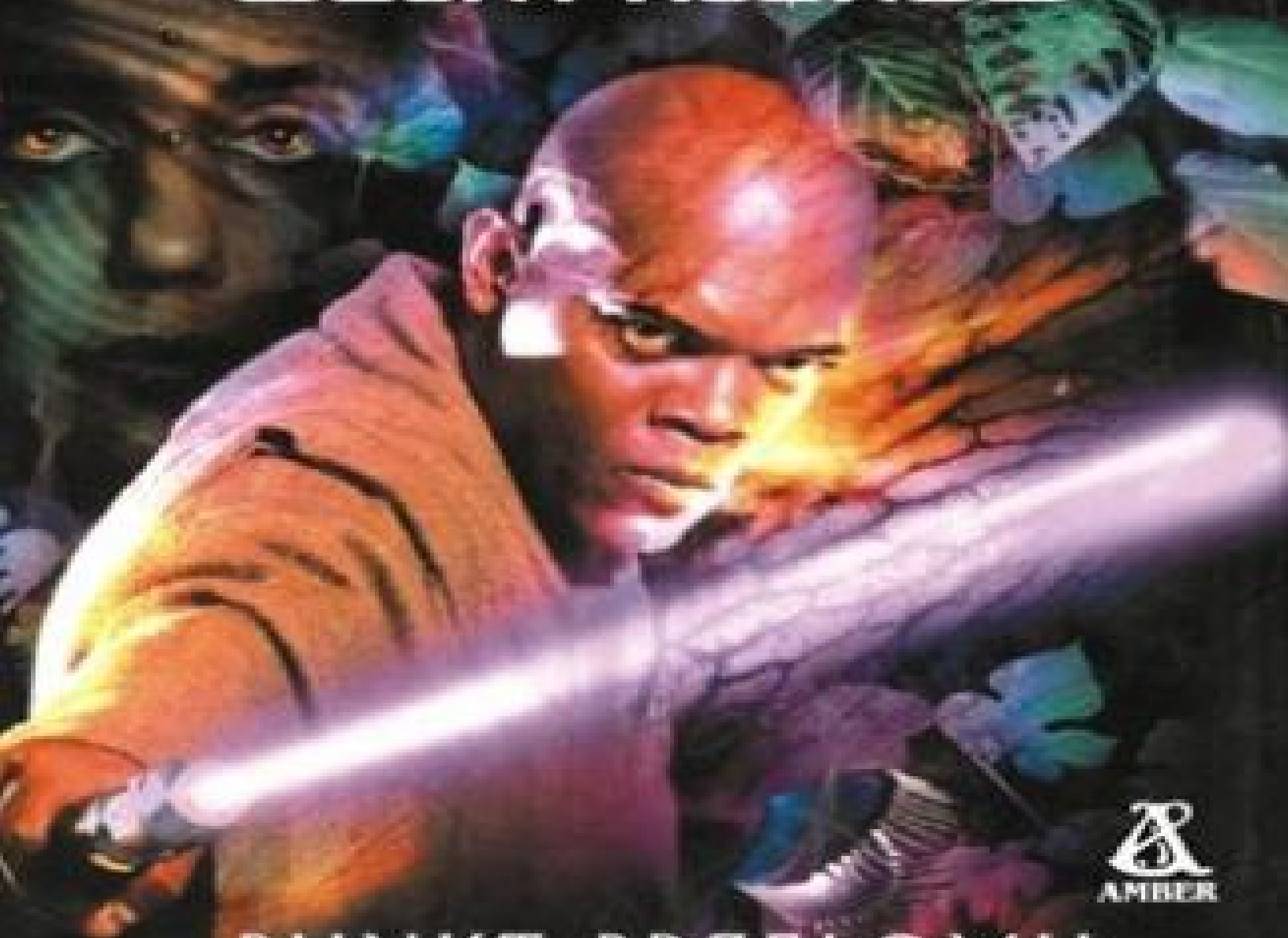


# STAR WARS

WOJNY KLONÓW



  
AMBER

PUNKT PRZEŁOMU  
MATTHEW STOVER

WOJNY KLONÓW

**PUNKT PRZEŁOMU**

**MATTHEW STOVER**

Przekład

ALEKSANDRA JAGIEŁOWICZ

Tytuł oryginału SHATTERPOINT

Redaktor serii ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

JOANNA CHRISTIANUS

RENATA KUK

Ilustracja na okładce STEVEN D. ANDERSON

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 2003 by Lucasfilm, Ltd. & TM

All rights reserved.

For the Polish translation

Copyright © 2001 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-1349-5

*Dla Robyn, mojej żony. dzięki której cieszę się, że nie jestem Jedi, oraz dla wszystkich fanów,  
dzięki którym marzenia wciąż żyją*

# CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW

Po wojnie o Geonosis Republika pogrążyła się w nowym konflikcie. Po jednej stronie znalazła się Konfederacja Niezależnych Systemów (zwana separatystami) pod wodzą charyzmatycznego hrabiego Dooku, cieszącego się poparciem wielu potężnych gildii i organizacji handlowych wraz z ich armiami robotów.

Po drugiej stronie stanęli lojaliści Republiki wraz z nowo utworzoną armią klonów pod przywództwem Jedi. Wojna toczy się na tysiącach frontów, z wielkim poświęceniem i heroizmem po obu stronach.

Miesiące po *Ataku klonów*

0 Bitwa o Geonosis

0 Pościg za hrabią Dooku

1 Bitwa o Raxus Prime

1 Projekt „Czarny Kosiarz”

1,5 Spisek na Aargau

2 Bitwa o Kamino

3 Obrona Naboo

6 Kryzys na Haruun Kal

9 Rewolta na Dagub

12 Zagrożenie ze strony biorobotów

15 Bitwa o Jabim

20 Podbój Praesitlyn

## Z prywatnych dzienników Mace'a Windu

W marzeniach zawsze postępuję właściwie.

W marzeniach staję na balkonie areny. Geonosis. Pomarańczowy żar zdziera cień z moich oczu. Pode mną, na piasku: Obi-Wan Kenobi, Anakin Skywalker, senator Padme Amidala. Na grubo ciosanym kamieniu, w zasięgu mojej ręki: Nutę Gunray. W zasięgu mojego miecza: Jango Fett.

I mistrz Dooku.

Nie. Już nie mistrz. Hrabia Dooku.

Może nigdy się nie przyzwyczaję, aby go tak nazywać. Nawet we śnie.

Jango Fett jest najeżony bronią. To instynktowny morderca, najbardziej zabójczy człowiek w galaktyce. Jango może mnie zabić w ułamku sekundy. Wiedziałbym o tym, nawet gdybym nigdy nie widział raportu Kenobiego z Kamino. Czuję brutalność, którą emanuje Jango: poprzez Moc wibruje jak pulsar śmierci.

Ale tym razem robię to jak należy.

Moje ostrze nie podświetla kwadratowej szczęki Fetta. Nie tracę czasu na słowa. Nie waham się.

Wierzę.

W moim śnie purpurowy promień miecza z sykiem przecina siwe włosy brody Dooku. W krytycznym ułamku sekundy, którego Jango Fett potrzebował, aby wycelować i wystrzelić, obracam ostrze i zabieram Dooku ze sobą w otchłań śmierci.

I ratuję galaktykę od wojny domowej.

Mogłem to uczynić.

Mogłem to uczynić.

Wiedziałem. Czuję to.

W otaczającym mnie zawirowaniu Mocy czuję więź, jaką Dooku stworzył pomiędzy Jangiem a Federacją Handlową, Geonosjanami, całym ruchem separatystów; więź zachłanności i strachu, kłamstwa i poniżenia. Nie wiedziałem, czym jest... nie wiedziałem, jak Dooku ją stworzył ani

dłaczego... lecz czułem jej siłę, tę siłę, znaną mi teraz jako sieć zdrady, którą upłótl, by omotać galaktykę.

Czułem, że gdyby go nie było, by podtrzymywać tę sieć, naprawiać jej usterki i wzmacniać nici, sieć zgniłaby, zwiędła i rozpadła się, aż wreszcie jeden oddech by wystarczył, aby ją rozedrzeć na strzępy i rzucić poszarpane nici w nieskończoność gwiazdnych burz.

Dooku był punktem przełomu.

Wiedziałem.

Taki mam dar.

Wyobraźcie sobie klejnot Corusca: minerał, którego struktura krystaliczna jest tak spoista, że czyni go twardszym od durastali. Możesz go uderzyć pięciokilowym młotem i uszkodzić młot. Lecz ta sama struktura, która daje mu wytrzymałość, jest również źródłem punktów przełomu: miejsc, gdzie precyzyjne przyłożenie starannie odmierzonej siły - nie więcej niż delikatne stuknięcie - rozbije go na części. Znalazienie jednak tych punktów, co pozwala na ukształtowanie klejnotów Corusca w przedmioty piękne i użyteczne, wymaga lat nauki, dokładnego zrozumienia struktury kryształu i surowych ćwiczeń, aby użyć dłoni w doskonałej kombinacji siły i precyzji, pozwalającej na uzyskanie żądanej fasety.

Chyba że macie taki talent, jak ja.

Bo ja widzę te punkty przełomu.

Nie używam do tego wzroku, lecz „widzenie” jest najlepszym terminem, jaki można znaleźć w basicu: to postrzeganie, odbieranie, jak to, na co patrzę, wpasowuje się w Moc, jak Moc wplata w to samą siebie i we wszystko inne. Miałem sześć czy siedem lat standardowych... od dawna szkoliłem się już w Świątyni Jedi... kiedy stwierdziłem, że inni studenci, dorośli rycerze Jedi, nawet mądrzy mistrzowie wyczuwają takie połączenia z wielką trudnością i tylko przy dużej wprawie i koncentracji. Moc ukazuje mi silne i słabe strony, ukryte wady i nieoczekiwane możliwości wykorzystania. Ukazuje mi wektory naprężeń, które ściskają lub rozciągają, skręcają lub ścinają; ukazuje mi, jak wzorce tych wektorów, przecinając się, tworzą matrycę rzeczywistości.

Mówiąc krótko: kiedy patrzę na ciebie poprzez Moc, widzę, gdzie się rozpadniesz.

Spojrzałem na Janga Fetta na piasku geonosjańskiej areny. Doskonała kombinacja broni, umiejętności i chęci, by ich użyć: spoisty kryształ zabójcy. Moc podsunęła mi punkt przełomu - a ja pozostawiłem na piasku pozbawione głowy ciało.

Najbardziej zabójczy człowiek w galaktyce.

Teraz po prostu martwy.

Sytuacje mają punkty przełomu, tak samo jak klejnoty. Lecz punkty sytuacji są płynne, efemeryczne, pojawiają się na króciutką chwilę i znikają zaraz, nie pozostawiając śladu swojego istnienia. Zawsze

są funkcją czasu.

Nie ma czegoś takiego jak druga szansa.

Jeśli... kiedyś... następnym razem spotkam się z Dooku, nie będzie on już punktem przełomu wojny. Nie zdołam powstrzymać wojny jedną śmiercią.

A wtedy, tamtego dnia na arenie Geonosis, mogłem to uczynić.

Kilka dni po bitwie Mistrz Yoda znalazł mnie w komnacie medytacji w świątyni.

- Przyjacielem twoim był - rzekł stareńki mistrz, kuśtykając ku mnie. Yoda ma ten szczególny dar; zawsze zdaje się wiedzieć, o czym myślę. - Szacunek mu winien jesteś. Sympatię nawet. Zabić go nie mogłeś... nie dla uczucia tylko...

Ależ mogłem.

Powinienem był.

Nasz zakon zabrania budowania osobistych więzi z tej właśnie przyczyny. Gdybym go tak nie szanował... nie kochał... galaktyka mogłaby teraz cieszyć się pokojem. „Uczucie tylko”, powiedział Yoda.

Jestem Jedi.

Od urodzenia uczono mnie ufać swoim uczuciom.

Którym jednak uczuciom powinienem był ufać?

Miałem cło wyboru-zabić dawnego mistrza Jedi lub uratować Kenobiego, młodego Skywalkera i panią senator... pozwoliłem, aby Moc wybrała za mnie. Posłuchałem instynktu.

Dokonałem wyboru jak Jedi.

I teraz Dooku żyje. I teraz galaktyka jest w stanie wojny. I teraz wielu z moich przyjaciół poległo.

Nie ma czegoś takiego jak druga szansa.

Dziwne: jestem Jedi, a jednak pogrążam się w żalu nad oszczędzonym życiem.

Wielu z tych, którzy przeżyli Geonosis, ma teraz koszmary. Słyszałem, jak opowiadali o tym uzdrowiciele Jedi, którzy ich leczyli. Koszmary to nieunikniona konsekwencja: takiej rzeźni Jedi nie było od czasu Wojny Sithów. Żaden z nich nie wiedział, jak to jest stać na tej arenie, otoczony ciałami przyjaciół, w palącym pomarańczowym słońcu południa i smrodzie przesiąkniętego krwią piasku. Być może jestem jedynym weteranem Geonosis, który nie cierpi koszmarów związanych z tym miejscem.

Ponieważ w moich snach zawsze postępuję właściwie.

Mój koszmar zaczyna się, kiedy otwieram oczy.

Jedi też mają swoje punkty przełomu.

Mace Windu zatrzymał się w drzwiach, próbując odzyskać spokój. Kaptur jego szaty znaczył półksiężyc potu; tunika lepiła się do skóry. Szedł prosto z sali treningowej w świątyni i nie zdążył wziąć prysznic. Szybki krok - prawie bieg - jakim przemierzał labirynt Senatu Galaktycznego, też nie pomagał mu dojść do siebie.

Rozpościerał się przed nim widok na prywatny gabinet Palpatine'a w apartamencie kanclerza pod Wielką Rotundą Senatu - ogromne, surowe pomieszczenie. Przestrzeń błyszczącej ebonitowej podłogi, kilka prostych wyściełanych krzeseł, proste, również ebonitowe biurko. Żadnych obrazów, rysunków czy dekoracji, z wyjątkiem dwóch samotnych posągów; tylko wielkie, ciągnące się od sufitu po podłogę, samopowtarzalne obrazy holograficzne, przedstawiające w czasie rzeczywistym obrazy z galaktycznego miasta widzianego z kopuły senatu. Na zewnątrz zwierciadła orbitalne wkrótce odwrócą się od słońca Coruscant, sprowadzając zmierzch na miasto.

W gabinecie był tylko Yoda. Siedział poważnie na krześle repulsorowym, z dłońmi na główce laski.

- Na czas przyszedłeś - zauważył stary mistrz. - Siadaj. Skupieni być musimy. To poważna sprawa, tak myślę.

- Nie spodziewałem się atrakcji. - Buty Mace'a stukały po lśniącej podłodze. Przysunął bliżej Yody jedno z miękkich, prostych krzeseł i usiadł twarzą do biurka. Zaciskał szczęki do bólu. - Posłaniec powiedział, że chodzi o operację na Haruun Kal.

Skoro z wszystkich członków Rady Jedi i Najwyższego Dowództwa Republiki kanclerz wezwał jedynie dwóch najstarszych członków rady, należało się spodziewać, że wieści nie są dobre.

Ci dwaj najstarsi członkowie rady nie mogliby się bardziej różnić od siebie. Yoda miał zaledwie jakieś sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, skórę zieloną jak wędrowne porosty i wielkie, wypukłe oczy, które chwilami zdawały się błyszczeć własnym światłem. Mace nawet jak na człowieka był wysoki; miał niewiele mniej niż dwa metry, szerokie potężne ramiona, twarde mięśnie, ciemne oczy i ponuro zaciśnięte szczęki. Podczas gdy rzadkie resztki włosów Yody sterczały w nieładzie, czaszka Mace'a była gładko wygolona, barwy polerowanego lammasu.

Lecz największa różnica kryła się w aurze, jaka otaczała obu mistrzów Jedi. Yoda emanował dobrotliwą mądrością, połączoną z chochlikowatym poczuciem humoru, charakterystycznym dla wszystkich prawdziwych mędrców. Sędziwy wiek i wielkie doświadczenie sprawiały, że nieraz wydawał się odległy, jakby nieobecny duchem. Zbliżał się do dziewięćsetnego roku życia i w naturalny sposób oglądał wszystko z długowiecznej perspektywy. Mace z kolei został mianowany do Rady Jedi, zanim jeszcze ukończył trzydziestkę. Jego postawa była diametralnie różna. Szczupły. Energiczny. Spięty. Znać było po nim przenikliwy umysł i niezłomną wolę.



W czasie bitwy o Geonosis, która dała początek Wojnom Klonów, Mace był już w radzie od ponad dwudziestu standardowych lat, a od dziesięciu nikt nie oglądał jego uśmiechu.

Sam zaczynał się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek się uśmiechnie.

- Ale to nie planeta Haruun Kal sprowadza cię ociekającego potem do tego gabinetu - zauważył Yoda. Ton jego głosu był lekki i wyrozumiały, lecz spojrzenie miało ostrość stali. - Depa martwisz się, czyż nie?

Mace opuścił głowę.

- Wiem, Moc przyniesie, co zechce, ale wywiad Republiki doniósł, że separatyści wycofali się, opuszczając bazę przy Pekel Baw...

- A jednak nie wróciła Depa.

Mace splótł palce. Głęboko oddychał, dzięki czemu jego głos nabrał głębokiej i beznamiętnej łagodności.

- Haruun Kał wciąż nominalnie jest planetą separatystów. A Depę ścigają. Niełatwo jej będzie opuścić ten świat ani nawet dać sygnał, żeby ją zabrać. Lokalna milicja wykorzystuje wszelkie sposoby zakłócania sygnałów, a to, czego nie uda im się zakłócić, namierzają; całe grupy partyzanckie padały ich ofiarą z powodu jednej nieostrożnej transmisji...

- Twoją przyjaciółką jest. - Yoda wysunął kostur i dźgnął Mace'a w ramię. - O nią troszczysz się.

Mace unikał jego wzroku. Uczucie, jakie żywił do Depy Billaby, było głębokie.

Pozostawała na planecie od czterech standardowych miesięcy. Nie mogła składać regularnych raportów; Mace śledził jej działania na podstawie skąpych doniesień wywiadu Republiki: o sabotażu bazy myśliwców należącej do separatystów i o bezowocnych wyprawach milicji Balawai próbującej - bezskutecznie - zniszczyć lub choćby aresztować partyzantów Depy. Ponad miesiąc temu wywiad przekazał informację, że separatyści wycofali się do sektora Gevarno, bo nie mogli już dłużej utrzymywać i bronić swojej bazy. Nigdy dotąd Depa nie odniosła takiego sukcesu.

Mace obawiał się jednak dowiedzieć, jakim kosztem.

- Przecież nie może chodzić o to, że zginęła albo... - mruknął. Ciemny rumieniec oblał jego nagą czaszkę, kiedy zorientował się, że wypowiedział tę myśl na głos. Wciąż czuł na sobie wzrok Yody, więc przeprasząco wzruszył ramionami. - Myślałem tylko, że gdyby została schwytana lub... lub zabita, nie byłoby powodu do takiej tajemnicy...

Zmarszczki wokół ust Yody pogłębiły się. Syknął cicho z lekką dezaprobatą, którą każdy Jedi rozpoznałby od razu.

-Niepoważne domysły są, jeśli cierpliwość wyjawia wszystko.

Mace w milczeniu skinął głową. Nikt nie sprzecza się z Mistrzem Yodą. W Świątyni Jedi człowiek uczy się tego od dziecka. Żaden z Jedi nigdy o tym nie zapomniał...

- To irytujące, mistrzu. Gdyby tylko... dziesięć lat temu mogliśmy po prostu sięgnąć i...

- Życ przeszłością Jedi nie może - przerwał surowo Yoda. Jego zielone oczy przypomniały Mace'owi, że nie należy wspominać o cieniu, który okrył mrokiem odbieranie Mocy przez Jedi. O tym nie mówiło się poza Świątynią Jedi. Nawet tutaj.

- Członkiem Rady Jedi jest... Potężną Jedi. Doskonałą wojowniczką. ..

- Lepiej, żeby to się okazało prawdą. - Mace zmusił się do uśmiechu. - Szkoliłem ją.

- Ale martwisz się. Za bardzo. Nie tylko o Depę, ale o wszystkich Jedi. Od czasu Geonosis.

Uśmiech mu nie wychodził, więc przestał próbować.

- Nie chcę mówić o Geonosis.

- O tym od miesięcy wiedziałem. - Yoda dźgnął go znowu i Mace podniósł wzrok. Sędziwy mistrz pochylił się ku niemu, wysuwając uszy do przodu, a ogromne zielone oczy lśniły. - Ale kiedy mówić teraz chcesz, wysłuchać cię mogę.

Mace przyjął te słowa milczącym skinieniem głowy. Nigdy w to nie wątpił. Mimo wszystko wolał jednak mówić o czym innym. O czymkolwiek innym.

- Spójrz na to miejsce - mruknął, skinieniem głowy obejmując rozległą przestrzeń gabinetu kanclerza. - Nawet teraz, po tylu latach, widać różnicę pomiędzy Palpatine'em a Valorumem. Inaczej wyglądał ten gabinet w tamtych czasach...

Yoda zrobił twierdzący ruch głową. Zawsze kiwał nią w przeciwnym kierunku.

- Finisa Valoruma pamiętam ja dobrze. Ostatnim z wielkiego rodu był. - W oczach mistrza pojawiła się nagle pustka, jakby spoglądał wstecz poprzez dziewięćset lat swojego życia.

Godny zastanowienia był fakt, że Republika, tak zdawałoby się odwieczna w swoim tysiącletnim panowaniu, w istocie niewiele była starsza od Yody. W opowieściach, jakie Yoda snuł, o dawno zapomnianych młodych latach, Jedi mógł często dopatrzeć się młodości samej Republiki - dzielna, pewna siebie, przepełniona witalnością panoszyła się po galaktyce, przynosząc pokój i sprawiedliwość kolejnym gromadom gwiazdnych, systemom i światom.

Dla Mace'a ten kontrast, nad którym zadumał się Yoda, był jeszcze bardziej niepokojący.

- Wiąż z przeszłością Valorum czuł. Zakorzenioną głęboko w glebie tradycji. - Gestem ręki Yoda zdawał się przywoływać lśniące politurą antyczne meble należące do Finisa Valoruma, jego dzieła sztuki i rzeźby z tysiąca światów. Gabinet wypełniała wtedy spuścizna trzydziestu pokoleń rodu Valorum. - Za głęboko może. Człowiekiem historii Valorum był, Palpatine... - Yoda powoli

przymknął powieki. -Człowiekiem terażniejszości jest Palpatine...

- Mówisz tak, jakby ci to sprawiało ból.

- Sprawiać może. Ale dnia dzisiejszego ból mój dotyczy, nie tego człowieka.

- Ten gabinet teraz podoba mi się bardziej. - Mace skinieniem głowy wskazał na rozległą przestrzeń podłogi. Surowy. Bezpretensjonalny i bezkompromisowy. Mace uznał, że to okno ukazujące charakter Palpatine'a. Kanclerz żył wyłącznie dla Republiki. Skromnie ubrany. Bezpośredni w mowie. Nie dbający o ozdoby i wygodę. - Szkoda, że nie może dotknąć Mocy. Byłby chyba doskonałym Jedi.

- Ale wtedy kolejnego kanclerza potrzebowalibyśmy - łagodnie uśmiechnął się Yoda. - Lepiej może, że jest tak, jak jest.

Mace przytaknął temu rozumowaniu lekkim skinieniem głowy.

- Podziwiasz go.

Mace zmarszczył brwi. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Całe swoje dorosłe życie spędził pod rządami kanclerza Republiki... lecz przecież służył urzędowi, nie człowiekowi. Co zatem sądził o kanclerzu jako o człowieku? A czy to miało jakieś znaczenie?

Chyba jednak miało. Mace wyraźnie pamiętał, co ukazała mu Moc, kiedy dziesięć lat temu obserwował zaprzysiężenie Palpatine'a na kanclerza Republiki. Palpatine sam był punktem przełomu, od którego zależała przyszłość Republiki, ba, może nawet całej galaktyki.

- Jediną inną osobą, którą mógłbym sobie wyobrazić na czele Republiki w tych ciężkich czasach, jest... - otworzył dłoń - .. jesteś ty, mistrzu.

Yoda zakołysał się na swoim fotelu i wydał szeleszczący syk, który służył mu za śmiech.

- Politykiem nie jestem, głupku.

Wciąż zdarzało mu się zwracać do Mace'a tak, jakby był studentem. Mace'owi to nie przeszkadzało. Czuł się wtedy odmłodzony. Wszystko inne ostatnio tylko przysparzało mu lat.

Śmiech Yody ucichł.

- Dobrym dowódcą dla Republiki bym nie był - zniżył głos jeszcze bardziej, prawie do szeptu. - Moje oczy ciemność zasnuwa, cierpienie i zniszczenie ukazują mi Moc, nadejście długiej, długiej nocy. Bez Mocy lepiej przywódcom może być. Widzieć dobrze Palpatine młody zdaje się.

„Młody” Palpatine - co najmniej o dziesięć lat starszy od Mace'a, a wyglądający jeszcze na dwa razy więcej - wybrał właśnie ten moment, aby pojawić się w gabinecie. Za nim wszedł jeszcze jeden człowiek. Yoda zsunął się z fotela, Mace podniósł się z szacunkiem. Obaj mistrzowie Jedi oficjalnym ukłonem powitali kanclerza Republiki. Palpatine machnięciem dłoni skwitował te uprzejmości. Wydawał się zmęczony: mięśnie jakby zanikły pod obwisłą skórą zapadniętych głęboko policzków.

Towarzyszający mu człowiek był niewiele wyższy od dziecka, choć z pewnością przekroczył czterdziestkę: chudy, o rzadkich ciemnych włosach okalających twarz tak bezbarwną, że Mace mógłby ją zapomnieć, gdyby bodaj na moment odwrócił wzrok. Oczy miał podkrążone i zaczerwienione, przy nosie trzymał płócienną chusteczkę. Wydawał się jakimś pomniejszym urzędnikiem, funkcjonującym gdzieś w zapadłych czeluściach rządowych biur, z ubezpieczeniem i wypłatą i absolutnie niczym więcej. Mace natychmiast uznał, że to szpieg.

- Mamy nowiny o Depie Billabie.

Mimo wcześniejszych przemyśleń zwykły smutek w głosie kanclerza sprawił, że żołądek Mace'a ścisnął się boleśnie.

- Ten człowiek wrócił właśnie z Haruun Kal. Obawiam się... cóż, może sami powinniście zobaczyć dowody.

- Co to jest? - Mace poczuł w ustach suchość popiołu. - Została aresztowana? Już od Geonosis było wiadomo, jaki los szykują schwytanym Jedi separatyści Dooku.

- Nie, Mistrzu Windu - odparł Palpatine. - Obawiam się... obawiam się, że to coś znacznie gorszego...

Agent otworzył sporą walizkę i wyjął z niej staroświecki holoprojektor. Przez moment manipulował kontrolkami, aż nad lustrzaną ebonitową taflą, która służyła Palpatine'owi za biurko, pojawił się obraz.

Yoda położył uszy płasko do tyłu i zwęził oczy w szparki.

Palpatine odwrócił wzrok.

- Ja już się dość napatrzyłem - wyjaśnił.

Mace zwinął dłonie w pięści. Nie mógł złapać tchu.

Mżące ciała na hologramie miały wielkość jego palca. Naliczył ich dziewiętnaście. Wydawały się ludzkie, a może humanoidalne. Otaczało je kilka prefabrykowanych chat, spalonych, rozbitych, rozniesionych na strzępy. Ruiny czegoś, co kiedyś zapewne było twierdzą, otaczały scenerię jak pierścień. Dżungla miała wysokość czterdziestu centymetrów i zajmowała półtora metra blatu biurka Palpatine'a.

Po chwili agent chrząknął przepaszająco.

- To jest... eee... wydaje się, że to robota lojalistowskich partyzantów, pod dowództwem mistrza Billaby.

Yoda wytrzeszczył oczy.

Mace wytrzeszczył oczy.

Te... te rany... Mace potrzebował lepszego obrazu. Sięgnął w głąb dżungli -jego dłoń zapulsowała jaskrawymi falami laserów skanującej matrycy projektora.

- Te tutaj.

Przesunął dłonią nad grupą trzech ciał ziejących ogromnymi ranami.

- Powiększ je.

Agent wywiadu Republiki odpowiedział, nie odrywając chusteczki od zaczerwienionych oczu:

- Uhm... ja... Mistrzu Windu... ten zapis jest... eee... dość nieskomplikowany... prawie prymitywny...  
- reszta zdania znikła w potężnym kichnięciu, które rzuciło nim do przodu, jakby ktoś uderzył go w tył głowy. - Przepraszam... przepraszam... mój system nie toleruje środków antyhistaminowych... za każdym razem, kiedy jestem na Coruscant...

Dłoń Mace'a ani drgnęła. Nie podniósł głowy. Czekał, aż skomlenie agenta całkiem ucichnie. Dziewiętnaście trupów. A ten człowiek uskarża się na swoją alergię.

- Powiększ to - powtórzył.

- Ja... tak, oczywiście, proszę pana. - Agent pokręcił przy kontrolkach projektora dłonią która jeszcze nie drżała. Jeszcze nie. Dżungla zamigotała i znikła. W chwilę później pojawiła się znowu, zajmując tym razem dziesięć metrów podłogi. Splątane gałęzie holograficznych drzew utworzyły lśniące wzory na suficie, ciała nabrały połowy naturalnej wielkości.

Agent przechylił głowę, wściekle trąc nos chusteczką.

- Przepraszam, Mistrzu Windu. Przepraszam. Ale system jest...

- Prymitywny. Wiem. - Mace przedzierał się przez świetlne obrazy, aż znalazł się obok ciał, które go zainteresowały. Przykucnął, opierając łokcie na kolanach, i splótł dłonie przed twarzą.

Yoda podszedł bliżej i też przycupnął, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Po chwili Mace podniósł wzrok i spojrzał w smutne zielone oczy.

- Widzisz?

- Tak... tak - wyskrzeczwał Yoda. - Ale wniosków z tego wyciągnąć nie możesz...

- Właśnie o to mi chodzi.

- A jeśli chodzi o tych z nas, którzy nie są Jedi... - głos wielkiego kanclerza Palpatine'a brzmiał pełną ciepłą siłą charakterystyczną dla zawodowych polityków. Okrążył biurko, ubierając twarz w nieco zadumany uśmiech człowieka, który w obliczu paskudnej sytuacji wciąż ma nadzieję, że wszystko ułoży się jak należy. - Może wyjaśnicie nam, w czym rzecz?

- Oczywiście. Inne ciała niewiele nam powiedzą bo są albo w stanie rozkładu, albo na wpół pożarte przez drapieżniki. Na tych jednak widać pewne uszkodzenia tkanek miękkich, o tu... - dłoń Mace'a zakreśliła łuk wzdłuż otwartych ran przecinających holograficzny tors kobiety - ...które nie powstały od szponów ani zębów... Nie pochodzą też od broni z zasilaniem... Widzicie te otarcia na żebrach? Miecz świetlny, nawet wibroostrze, przecięłyby kość na dwie części. Tę ranę zadano martwym ostrzem, sir.

Twarz wielkiego kanclerza wykrzywiło obrzydzenie.

- Martwe ostrze... Chcesz powiedzieć, kawałek metalu? Ostry kawałek metalu?

- Tak, proszę pana ostry kawałek metalu. - Mace przechylił głowę o centymetr w prawo. - Albo ceramiki. Transpastali. Nawet karbonitu.

Palpatine odetchnął głęboko, jakby tłumiąc drżenie.

- To brzmi... niewiarygodnie brutalnie. To musi być bolesne...

- Czasami tak, proszę pana. Nie zawsze. - Nie wyjaśnił, skąd to wie. - Ale te cięcia są równoległe, wszystkie prawie tej samej długości... Możliwe, że kobieta nie żyła, kiedy je zadano. A przynajmniej była nieprzytomna.

- Albo... - siąknął agent i zakasłał przepaszająco. - Albo po prostu... eee... no wie pan, związana.

Mace wybałuszył oczy. Yoda przymknął powieki, a Palpatine spuścił głowę, jakby z bólu.

-Eee... konflikt na Haruun Kal... ma całą historię... cóż, można by je tak nazwać... rozrywkowych tortur. Po obu stronach. - Agent zaczerwienił się, jakby sam fakt wiedzy o takich sprawach go zawstydział. - Czasem ludzie... ludzie tak bardzo nienawidzą... że samo zabicie wroga nie wystarcza.

Jakaś ogromna pięść ścisnęła serce w piersi Mace'a: ten mały niezgułowaty człowieczek... ten cywil... jak on mógł oskarżać Depę Bil-labę o taką potworność, choćby w domyśle! Ogarnęła go ślepa furia. Długie, zimne spojrzenie odnalazło wszystkie miejsca na miękkim ciele tego człowieka, gdzie jeden ostry cios oznaczałby śmierć. Agent pobladł, jakby też mógł je dokładnie policzyć w oczach Mace'a.

Lecz Mace zbyt długo był Jedi, aby poddać się gniewowi. Jeden czy dwa oddechy rozluźniły pięść zaciśniętą na jego sercu. Wstał.

- Nie widzę nic, co wskazywałoby na udział Depy.

- Mistrzu Windu... - zaczął Palpatine.

- Jaka była wartość militarna tego przyczółka?

- Wartość militarna? - Agent wydawał się zaskoczony. - Ależ żadna... tak mi się zdaje. To byli poszukiwacze dżungli Balawai... Szperacze, tak ich nazywają. Kilku szperaczy działa jak nieformalna

milicja, ale to prawie zawsze mężczyźni. Tu zaś mamy sześć kobiet... No i oddziały milicji Balawai nigdy, naprawdę nigdy nie prowadzą ze sobą... no... dzieci.

- Dzieci -jak echo powtórzył Mace. Agent skinął głową niechętnie.

- Troje... Hm... bioskany wskazują na jedną dwunastoletnią dziewczynkę, pozostała dwójka to prawdopodobnie bliźnięta... około dziewięciu lat. Musieliśmy użyć bioskanów... - Zamglone oczy błagały Mace'a, by nie kazał mu dopowiadać, że kilka dni w dżungli wystarczyło, aby pozostało z nich tak mało, że nie wystarczyło na identyfikację żadną inną metodą.

- Rozumiem - odparł Mace.

- To nie była milicja, Mistrzu Windu. Po prostu poszukiwacze Balawai, którzy znaleźli się w niewłaściwym momencie na niewłaściwym miejscu.

- Poszukiwacze w dżungli? - Palpatine okazał uprzejme zainteresowanie. - A co to znaczy Balawai?

- Pozaświatowcy - wyjaśnił Mace. - Dżungle Haruun Kal są jedynym w galaktyce źródłem kory thyssela, liści portaaku, jinsola, tyruuna i lammasu. A to jeszcze nie wszystko.

- Przyprawy i egzotyczne drewno? Czyżby były tak cenne, by przyciągać emigrantów z innych światów? W strefę wojny?

- Zna pan ostatnie ceny kory thyssela?

- Cóż... - z żalem uśmiechnął się Palpatine. - Właściwie nigdy mnie to nie obchodziło. Obawiam się, że mam bardzo przyziemne gusta. Można ściągnąć dzieciaka ze Środkowych Rubieży do miasta, ale...

Mace pokręcił głową.

- To nieistotne, proszę pana. Chciałem tylko zaznaczyć, że to cywile. Depa nie dałaby się wciągnąć w coś takiego. Nie mogłaby...

- Pospieszne twoje stwierdzenie jest - poważnie odezwał się Yoda. - Widzieć wszystkich dowodów, obawiam się, nie zdążyliśmy.

Mace spojrział na agenta. Ten znów spłoszował.

- No więc... eee... Mistrz Yoda ma rację. Jest jeszcze... eee... zapis głosu... - głową wskazał na widmowe ciała zaścieniające podłogę gabinetu. - Zrobiony własnym sprzętem poszukiwaczy... zaadaptowany do pracy na Haruun Kal, gdzie mają bardziej skomplikowane systemy elektroniczne...

- Nie potrzebuję wykładu na temat Haruun Kal - głos Mace'a nabrał ostrych tonów. - Pokaż mi twoje dowody.

- Tak... tak... oczywiście, Mistrzu Windu. - Agent grzebał w walizce przez chwilę, by wreszcie wyjąć staromodny krystaliczny nośnik danych. Podał go Mace'owi. - To... no, to tylko głos, ale... zrobiliśmy

analizę spektrum... nie jest dokładna, słycać też parę innych głosów... dźwięki tła... takie rzeczy... ale prawdopodobieństwo dopasowania oscyluje w granicach dziewięćdziesięciu procent.

Mace zważył krystaliczną płytkę w dłoni. Wpatrywał się w nią przez chwilę. Tu. Właśnie tu: jedno naciśnięcie paznokcia przełamie ją na pół. Powinienem to zrobić, pomyślał. Złamać na pół. Zmiażdżyć, i to natychmiast. Zniszczyć, zanim ktoś to usłyszy.

Ponieważ wiedział. Czuł to. Poprzez Moc widział pajęczę sieci naprężeń wychodzące z płytki, niczym ślady mrozu na przechłodzonej transpastali. Nie mógł odczytać wzorca, ale czuł tę moc.

To będzie coś niedobrego.

- Gdzie to znaleźliście?

- To było... eee... na miejscu... Na miejscu masakry. Było... no, na miejscu.

- Gdzie to znaleźliście? - powtórzył. Agent skurczył się.

Mace raz jeszcze zaczerpnął tchu. I jeszcze raz. Po trzecim oddechu pięść w jego piersi znów popuściła.

- Przepraszam.

Czasem zapominał, jak bardzo przytłaczający wydawał się niektórym ludziom jego wzrost i głos. Nie wspominając już o reputacji. Nie chciał, aby się go bali.

A przynajmniej nie ci, którzy pozostawali lojalni wobec Republiki.

- Proszę... - rzekł. - To może być ważne. Agent coś bąknął pod nosem.

- Słucham?

- Powiedziałem, że to było w jej ustach - machnął ręką mniej więcej w kierunku holograficznego ciała u stóp Mace'a. -Ktoś... ktoś przymocował jej szczękę w pozycji zamkniętej, żeby drapieżniki...no, wie pan... drapieżniki lubią... tego... no, język...

Mace'a ogarnęły mdłości promieniujące spod żeber. Poczł mrowienie w palcach. Spojrzał w dół, na twarz kobiety. Te znaki na jej twarzy... z początku myślał, że to tylko jakiś rodzaj grzyba, kolonia pleśni... Teraz oczy same powiedziały mu, co to takiego. Wolałby raczej oślepnąć: pod podbródkiem miała grube guzy barwy ciemnego złota.

Kolce brązowina.

Ktoś użył ich, aby przygwoździć jej szczękę.

Musiał się odwrócić. Po chwili stwierdził, że musi również usiąść.



Agent ciągnął:

- Nasz szef stacji dostał cynk i posłał mnie, żebym sprawdził. Wypożyczyłem pełzak parowy od jakichś zrujnowanych szperaczy, wynająłem kilku miastowych, którzy umieli posługiwać się ciężką bronią i pojechaliśmy tam. Znaleźliśmy... no, sam pan widzi. Ta płytka danych... kiedy ją znalazłem...

Mace wpatrywał się w człowieka, jakby nigdy go przedtem nie widział. Bo tak było: dopiero teraz zobaczył go po raz pierwszy i naprawdę. Niepozorny mały facecik: łagodna twarz, niecharakterystyczny głos, drżące ręce i alergia; mały człowieczek, który musiał posiadać niewyobrażalne zasoby hartu i siły. Żeby wejść na scenę mordu, którą Mace z trudem tylko mógł wytrzymać w postaci bezkrwawego, przejrzystego laserowego obrazu, żeby to wachać... dotykać ich... siłą rozwierać usta martwej kobiety...

A potem przywieźć tutaj te zapisy, żeby przeżyć to raz jeszcze...

Mace mógłby to zrobić. Tak mu się przynajmniej zdawało. Bywał w różnych miejscach, widywał różne rzeczy.

Ale nie takie.

Agent dodał:

- Nasi informatorzy są całkowicie pewni, że cynk poszedł od samego GFW.

Palpatine spojrzał pytająco. Mace wyjaśnił, nie odrywając oczu od agenta:

- Górski Front Wyzwolenia, proszę pana. Grupa partyzancka Depy. „Górale” to najprostsze tłumaczenie słowa Korunnai, nazwy, jaką określają siebie górskie plemiona.

- Korunnai? - Palpatine zmrużył oczy z nieobecną miną. - Czy to nie twoi ziomkowie, Mistrzu Windu?

- Mój... ród. - Zmusił się, aby rozluźnić szczęki. - Tak, kanclerzu. Ma pan dobrą pamięć.

- Sztuczka polityka. - Palpatine obdarzył go łagodnym, skromnym uśmiechem i lekceważąco machnął ręką. - Proszę mówić dalej.

Agent wzruszył ramionami, jakby niewiele więcej miał do powiedzenia.

- Było wiele takich... niepokojących doniesień. Egzekucje więźniów. Pułapki na cywilów. Po obu stronach. Z reguły niesprawdzalne. Dżungla pochłania wszystko. Więc kiedy dostaliśmy tę wiadomość...

- Znaleźliście ją, ponieważ ktoś chciał, abyście ją znaleźli - dokończył za niego Mace. - A teraz uważasz...

Raz i drugi obrócił w palcach płytkę z danymi, obserwując załamania światła na jej powierzchni.

- Myślisz, że ci ludzie mogli zostać zabici tylko po to, aby dostarczyć tę wiadomość?

- Cóż za ohydny pomysł! - Palpatine powoli oparł się o krawędź biurka i błagalnie spojrzał na agenta. - Przecież to nie może być prawda...

Agent tylko zwiesił głowę.

Uszy Yody wywinęły się w tył, oczy zwęziły w szparki.

- Niektóre wieści... ważna dla nich oprawa jest. Zawartość wtórna bywa.

Palpatine z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Ci partyzanci GFW... czy my naprawdę się z nimi sprzymierzamy? Jedi się z nimi sprzymierzają? Przecież to potwory!

- Nie wiem. - Mace podał płytkę agentowi. - Sprawdźmy to. Ten wsunął płytkę do szczeliny z boku holoprojektora i wcisnął przycisk.

Fazowane głośniki ożywiły otaczającą ich dżunglę dźwiękiem: szelest poruszanych wiatrem liści, chróbot i brzęczenie nawołujących się owadów, cichnące w dali krzyki przelatujących ptaków, wycie i pochrząkiwania odległych drapieżców. Poprzez prądy i skupiska dźwięków przesączał się szept, śliski niczym rzeczny wąż. Szept ludzki lub prawie ludzki, mrużący słowa w basicu. Zrozumiałe słowo tu, zdanie tam... zaraz ginące pod zniekształcającymi zmarszczkami powierzchni dźwięku. Mace pochwycił słowo „Jedi”, a potem „nóż” lub „móc”... i coś jakby „szukaj wśród gwiazd”.

Spojrzał na agenta spod zmarszczonych brwi.

- Nie możesz tego oczyścić?

- Już jest oczyszczone. - Agent wyjął z walizki notatnik, włączył go i podał Mace'owi. - Dokonałiśmy transkrypcji. To niewiele, ale więcej nie byliśmy w stanie.

Transkrypcja była fragmentaryczna, ale wystarczyła, by Mace'owi przeszły ciarki po plecach.

„Świątynia Jedi... uczyli (a może: uczynili)... mrok... nieprzyjaciel. Ale... Jedi...

Pod osłoną nocy...

Jeden szept zabrzmiał całkowicie wyraźnie. Przeczytał te słowa na ekranie notatnika i wydało mu się, że dobiega tuż zza jego ramienia.

„Wykorzystuję noc, a noc wykorzystuje mnie”.

Zapomniał o oddychaniu. Źle to wyglądało.

Potem było jeszcze gorzej.

Szept nasilił się i brzmiał teraz jak głos kobiety.

Głos Depy.

Na notatniku w jego dłoni i szepczący w powietrzu nad jego ramieniem.

„Stałam się mrokiem dżungli”.

Głos mówił dalej. I dalej.

Jej szept wysysał go, odzierał z uczucia, sił, nawet myśli. Im dłużej trwały majaczenia Depy, tym bardziej stawał się pusty... dopiero ostatnie słowa wyzwoliły tępy ból w jego piersi.

Mówiła do niego.

„Wiem, że przyjdiesz po mnie, Mace. Nie powinieneś być mnie tu przysyłać. A ja nie powinnam była przyjeżdżać. Co się jednak stało, to się nie odstanie. Pewnie pomyślisz, że oszalałam. Otóż nie. To, co mi się przytrafiło, jest znacznie gorsze.

Odzyskałam zdrowe zmysły.

Dlatego tu przyjedziesz, Mace. Po prostu będziesz musiał.

Albowiem nie ma nic bardziej niebezpiecznego, aniżeli Jedi, który odzyskał zdrowe zmysły”.

Jej głos utonął w monotonnym szepcie dżungli.

Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Mace usiadł ze splecionymi palcami i wsparł na nich podbródek. Yoda oparł się na lasce; miał przymknięte powieki i usta ściągnięte wewnętrznym cierpieniem. Palpatine uroczyście wpatrywał się w przestrzeń poza holograficzną dżunglą, jakby nagle zobaczył w niej coś rzeczywistego.

- To... hm... to wszystko, co tu jest - agent wyciągnął niepewną rękę w kierunku holoprojektora i wyłączył go. Dżungla znikła niczym zły sen.

Wszyscy ożyli nagle i podnieśli się, odruchowo poprawiając odzież. Gabinet Palpatine'a wydawał się teraz nierealny: jakby wyściełana dywanami podłoga i eleganckie linie mebli, czyste, filtrowane powietrze i krajobraz Coruscant wypełniający ogromne okna były tylko projekcją holograficzną, a oni siedzieli w głębi dżungli.

Jakby tylko ta dżungla była realna.

Mace odezwał się pierwszy.

- Ona ma rację. - Podniósł głowę znad dłoni. - Muszę iść po nią. Sam.

Palpatine uniósł brwi.

- Wydaje mi się to... nierozsądne.

- Z kanclerzem Palpatine'em zgadzam się - powoli rzekł Yoda. -Wielkie ryzyko czeka ciebie. Zbyt cenny jesteś. Innych posłać powinniśmy.

- Nikt inny nie będzie w stanie tego dokonać.

- Z pewnością, Mistrzu Windu - uśmiech Palpatine'a był pełen szacunku i niedowierzania - wystarczy grupa do zadań specjalnych wywiadu Republiki, a nawet kilku Jedi.

-Nie. - Mace wstał i rozprostował ramiona. - To muszę być ja.

- Wszyscy oczywiście rozumiemy twoją troskę o byłą uczennicę, Mistrzu Windu, ale z pewnością...

- Powody jakieś mieć musi, wielki kanclerzu - przerwał Yoda. -Wysłuchać ich musimy.

Nawet Palpatine dowiedział się teraz, że z Mistrzem Yodą się nie dyskutuje.

Mace starał się nadać swoim słowom pewność. Wynikało to bezpośrednio z jego daru postrzegania: pewne sprawy były dla niego tak oczywiste, że trudno było mu je wyjaśnić. To tak, jakby musiał tłumaczyć, skąd wie, że pada, stojąc pośrodku ulewy.

- Jeśli Depa oszalała... lub co gorsza, przeszła na Ciemną Stronę... - zaczął - .. ważne jest, aby Jedi wiedzieli, dlaczego tak się stało. Abyśmy wiedzieli, co jej zrobiono. Dopóki się tego nie dowiemy, żaden Jedi nie może zostać na to narażony, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Może się również okazać, że to fałszywy dowód; umyślna próba oskarżenia jej. Ten szum w tle nagrania... - Spojrzał na agenta.- Gdyby jej głos był... powiedzmy, zsyntetyzowany przez komputer...ten szum w tle mógłby być dodany po to, aby ukryć dowód oszustwa, prawda?

Agent skinął głową.

- Ale po co ktoś miałby ją wrabiać? Mace machnięciem ręki odsunął pytanie.

- Nieważne, trzeba ją tu sprowadzić. I to szybko, zanim plotki o tych masakrach rozprzestrzenia się po galaktyce. Jeśli nawet Depa nie ma z tym nic wspólnego, łączenie nazwiska Jedi z taką zbrodnią może zagrozić zaufaniu, jakie ludzie pokładają w Jedi. Ona musi się ustosunkować do wszystkich zarzutów, zanim jeszcze zostaną podane do wiadomości publicznej.

- Oczywiście, należy ją sprowadzić - zgodził się Palpatine. - Ale pytanie pozostaje: dlaczego ty?

- Ponieważ ona może nie chcieć wrócić. Palpatine zamyślił się.

Yoda podniósł głowę i spojrzał na kanclerza błyszczącymi oczami.

- Jeśli odszczepieńcem stała się... znaleźć ją ciężko będzie. A pojmać ją. .. - zniżył głos, jakby słowa

sprawiły mu ból. - Niebezpieczne być może.

- Depa była moim padawanem. - Mace odszedł od biurka i wyrzwał przez okno na przezroczysty zmierzch, który powoli pograżał w mroku miejski pejzaż. - Więż pomiędzy mistrzem a padawanem jest... silna. Nikt nie zna jej lepiej... a ja mam więcej doświadczenia w tych żywych dżunglach, niż jakkolwiek inny żyjący Jedi. Tylko ja mogę ją znaleźć, nawet jeśli ona tego nie chce. A jeśli trzeba będzie ją...

Przełknął ślinę i zapatrzył się w tarczę księżyca, odbitą od jednego ze zwierciadeł orbitalnych.

- Jeśli trzeba będzie ją... powstrzymać - rzekł wreszcie - mogę być jedyną osobą, która zdoła to zrobić.

Brwi Palpatine'a znów drgnęły na znak uprzejmego zrozumienia.

Mace zaczerpnął tchu, przyłapując się znowu na tym, że patrzy na swoje dłonie, ale poprzez swoje dłonie, i widzi tylko jeden obraz, ostry jak sen: miecz świetlny przeciwko drugiemu mieczowi świetlnemu w salach treningowych świątyni, zielony błysk ostrza Depy, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron jednocześnie.

Nie mógł cofnąć tego, co stworzył.

Nie ma drugiej szansy.

Własny głos rozbrzmiewał mu w głowie echem: „Albowiem nie ma nic bardziej niebezpiecznego, aniżeli Jedi, który odzyskał zdrowe zmysły”. Powiedział jednak tylko:

- Ona jest mistrzem Vapaad.

W milczeniu, jakie nastąpiło po tych słowach, studiował w skupieniu splecione palce, koncentrując się na polu widzenia, aby odpędzić od siebie mroczne widmo ostrza Depy błyskającego nad szczykami Jedi.

- Vapaad? - powtórzył wreszcie Palpatine. Widocznie zmęczył się czekaniem, aż ktoś wyjaśni mu to z własnej woli. - Czy to nie jakieś zwierzę?

- Tak, to drapieznik z Serapinu - odpowiedział poważnie Yoda. - Lecz również nazwa, jaką siódmej formie walki na miecze świetlne studenci nadali.

- Hm... zawsze słyszałem, że jest ich tylko sześć.

- Przez wiele generacji Jedi istotnie sześć ich było. Siódma... nie jest dobrze znana. Potężna forma. Najbardziej zabójcza ze wszystkich. Niebezpieczna jest... I dla mistrza, i dla przeciwnika. Niewielu poznało ją. Jeden tylko student mistrzostwo osiągnął.

- Lecz jeśli Depa jest jedyną mistrzynią, a jej styl jest tak zabójczy.. . co pozwala ci sądzić...

- Ona nie jest jedyną mistrzynią, kanclerzu. - Podniósł głowę, by spojrzeć w chmurne oczy Palpatine'a. - To moja jedyna uczennica, i dopiero może stać się mistrzem...

- Twoja jedyna uczennica... - powtórzył Palpatine.

- Nie uczyłem się Vapaad. - Mace opuścił dłonie. - Ja ją stworzyłem.

Palpatine w zadumie ściągnął brwi.

- Tak, wydaje mi się teraz, że sobie przypominam... wspomniałeś o tym w raporcie na temat zdrady mistrza Sory Bulq. Jego także nie uczyłeś? Czy i on nie twierdził, że jest mistrzem tego twojego Vapaad?

- Sora Bulq nie był moim uczniem.

- A może twoim... współnikiem?

- I nie opanował Vapaad - posępnie dodał Mace. - To Vapaad opanował jego.

- Ach... aha, rozumiem.

- Z całym szacunkiem, proszę pana, ale nie sędzę.

- Rozumiem dość, żeby zacząć się martwić - ciepło w głosie Palpatine^ sprawiło, że jego słowa nie zabrzmiały jak obelga. - Związek mistrza i padawana jest silny, tak jak mówisz. Chętnie w to wierzę. Kiedy stanąłeś przed Dooku na Geonosis...

- Wolałbym nie rozmawiać o Geonosis, kanclerzu - łagodnie przerwał Mace.

- Depa Billaba była twoim padawanem. I z pewnością jest nadal twoją najbliższą przyjaciółką. Jeśli trzeba ją będzie zabić, czy jesteś pewien, że to potrafisz?

Mace wbił wzrok w podłogę, potem popatrzył na Yodę, na agenta, aż wreszcie znów spojrział w oczy Palpatine'a. Pytanie nie padło z ust niejakiego Palpatine'a z Naboo, lecz samego wielkiego kanclerza. To urząd domagał się odpowiedzi.

- Jeśli Moc pozwoli - powoli odparł Mace. - Wolałbym nie musieć tego sprawdzać.



Poprzez zakrzywioną transpastalową powierzchnię Haruun Kał wydawała się ścianą poprzebijanych szczytami górskimi chmur. Mógłby jej dotknąć, tak bliska się wydawała. Orbita wahadłowca powolną spiralą schodziła ku powierzchni - wkrótce statek naprawdę jej dotknie.

Wahadłowiec wewnątrzsystemowy miał tylko dwadzieścia miejsc, a i tak w trzech czwartych był pusty. Właściciel linii kupił go od agencji turystycznej: długi kadłub pasażerski był całkowicie wykonany z transpastali, z zewnątrz przymglony i porysowany od uderzeń mikrociał, od wewnątrz nagi, z wyjątkiem maty przeciwpoślizgowej ułożonej wzdłuż przejścia.

Mace Windu był tu jedynym człowiekiem. Jako towarzyszy podróży miał dwóch Kubazów, którzy szczebiotali z podnieceniem na temat kulinarnych zastosowań chrząszczypawek i brzęczków, oraz niedopasowaną parę, wyglądającą na członków wędrownej grupy komediantów - Kitonaka i Pho Ph'eahianina. Tubalna paplanina tego ostatniego sprawiła, że Mace'owi zamarzyły się zatyczki do uszu. Musieli naprawdę być już na samym dnie, żeby wybierać się wahadłowcem turystycznym do Pelek Baw. Stolica Haruun Kal to miejsce, gdzie artysta nie ma czego szukać. Wielkie pasażerskie liniowce zmierzające do pętli Gevarn zatrzymywały się tu tylko dlatego, że i tak musiały przejść do realnej przestrzeni, aby przebyć system.

Mace siedział tak daleko od pozostałych, jak tylko mu pozwalała ograniczona przestrzeń wahadłowca.

Strój mistrza Jedi był odpowiedni do roli, jaką odgrywał: plamista kurtka ze skóry koreliańskiej pantery piaskowej, pod nią luźna koszula, która kiedyś była biała, oraz obcisłe jak druga skóra czarne spodnie, przecierane miejscami do szarości. Buty zachowały resztki połysku, ale tylko nad kostkami, w górnej zaś części cholewek skóra była starta i tak matowa, że przypominała zamsz. Jedynymi elementami tego stroju, które wydawały się w dobrym stanie, była miękka kabura przypięta do prawego uda i lśniący merr-sonn power, który w niej tkwił. Miecz świetlny, udający zwykłą staromodną latarkę, spoczywał w torbie pod siedzeniem.

Notes na kolanach Mace'a również był atrapą choć działał na tyle dobrze, aby można było prowadzić w nim dziennik. Właściwie był to miniaturowy nadajnik przestrzenny o stałej częstotliwości z zakresu monitorowanego przez krążownik „Halleck”, pozostający na orbicie w systemie Ventran.

W zasięgu wzroku pojawiła się wyżyna Korunnal: ogromna przestrzeń we wszelkich możliwych odcieniach zieleni, okolona nieskończonymi wirami obłoków, poprzecinana łańcuchami górskich szczytów. Kilka najwyższych wierzchołków pyszniło się śnieżnymi czapami, niektóre mniejsze góry wypuszczały smugi dymu i gazu. Wschodnia część pogórza minęła już granicę dnia i nocy: kiedy wahadłowiec wszedł w cień planety, na ciemnym tle pojawiły się czerwone i pomarańczowe błyski, niczym oczy drapieżnika odbijające blask ogniska-to otwarte kratery licznych aktywnych wulkanów.



Widok był piękny. Mace ledwie go zauważał.

Podniósł do ust mikrofon fałszywego notatnika i zaczął mówić bardzo, bardzo cicho.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

[Pierwsza notatka z Haruun Kal]

Depa jest tam, w dole. Teraz, w tej chwili.

Nie powinienem o tym myśleć, nie powinienem myśleć o niej. Jeszcze nie.

Ale...

Ona tam jest. Od wielu miesięcy.

Nie mogę sobie wyobrazić, co jej się przydarzyło. Nie chcę sobie wyobrazać.

Wkrótce się dowiem.

Koncentracja. Tylko koncentracja. Skupić się na tym, co znane i wiadome, dopóki muł nie opadnie, a woda się nie oczyści.

Nauki Yody... Czasem jednak nie można czekać.

A woda niekiedy pozostaje mętna.

Mogę skoncentrować się na tym, co wiem o Haruun Kal. A wiem dużo.

Oto kilka informacji:

**HARUUN KAL (Al'har I):** jedyna planeta systemu ALHAR. Haruun Kal to nazwa nadana jej przez miejscową ludność, Korunnai (górali). W basicu znaczy to „nad chmurami”. Z przestrzeni świat ten wydaje się jednym wielkim oceanem, z zielonymi wyspami wznoszącymi się tu i ówdzie ponad niespokojne, wielobarwne morskie fale. Wrażenie to jest jednak mylne: morze omywające te wyspy nie jest wodą, lecz cięższym od powietrza toksycznym gazem, który unosi się nieprzerwanie z niezliczonych aktywnych wulkanów planety. Oddychające tlenem życie może przetrwać wyłącznie na szczytach górskich i wysoko wzniesionych płaskowyżach - i to nie na wszystkich, bo tylko niewielka część z nich wznosi się ponad morze chmur i nie jest narażona na nieprzewidywalne wiatry Haruun Kal. Zwłaszcza w okresie krótkiej zimy, kiedy wieje thakiz baw'kal - Równinny Cyklon, wiatr unosi ciężkie morze chmur na tyle wysoko, że na niżej położonych partiach terenu natychmiast giną wszelkie istoty tlenodyszne.

Stolica, **PELEK BAW**, leży na jedynym zamieszkanym fragmencie lądu, płaskowyżu znanym jako **WYŻYNA KORUNNAL**. Jest to największa stała osada na planecie, pokrytej pierwotną dżunglą. Miejscowa ludność żyje w niewielkich, półnomadzkich grupach plemiennych, zwanych ghoshami i unika osad, zamieszkałych przez pozaświatowców z różnych zakątków galaktyki. Korunnai w

stosunku do wszystkich pozaświatowców i ludów osiadłych używa jednego, raczej pogardliwego określenia Balawai (dolinowcy). Od dawna wybuchają źle zorganizowane konflikty lokalne.

To nie pomaga.

Nie potrafię dopasować tego, co sam wiem o Haruun Kal, do opisu z przewodnika. Zbyt wiele z tego, co wiem, dotyczy koloru światła słonecznego i zapachu wiatru na Ramieniu Dziadka, jedwabistego falowania sierści trawiaków między moimi palcami i parzącego ukłucia kontaktu poprzez Moc z psem akk.

Urodziłem się na Haruun Kal, daleko w górach.

Jestem czystej krwi Korunem.

Setki pokoleń moich przodków oddychały tym powietrzem, piły tę wodę, jadły owoce tej ziemi i leżą w niej głęboko pogrzebane. Wróciłem tu tylko raz, trzydzieści pięć lat standardowych temu, ale uniosłem ten świat w moim sercu. Jego oddech. Potęgę burz. Wysoko sklepioną płataninę dżungli. Grzmot burzy w górskich szczytach.

Ale to nie dom. Moim domem jest Coruscant. Moim domem jest Świątynia Jedi.

Nie pamiętam niczego z mojego dzieciństwa pośród Korunnai. Najwcześniejsze z moich wspomnień to łagodny uśmiech Yody i jego ogromne, lśniące oczy nade mną. To wspomnienie wciąż pozostaje świeże. Nie wiem, ile miałem wtedy lat, ale jestem pewien, że jeszcze nie umiałem chodzić. Może byłem nawet zbyt mały, żeby stanąć o własnych siłach. We wspomnieniach widzę moje dłonie, pulchne dziecinne rączki, wplątane w białe kępkę włosów nad uszami Yody.

Pamiętam, jak piszczałem - czy raczej skrzeczałem niczym zarzynany żarogacek, jak powiada Yoda - gdy jakaś zabawka, może grzechotka, wisiała w powietrzu tuż poza zasięgiem moich paluszków. Przypominam sobie, że żadne krzyki, wrzaski, wycie, nawet płacz nie mogły sprawić, by grzechotka znalazła się choćby o milimetr bliżej mojej drobnej piąstki. A potem pamiętam tę pierwszą chwilę, gdy sięgnąłem po zabawkę nie używając dłoni: czułem, jak tkwi na swoim miejscu, czułem, jak Yoda podtrzymuje ją siłą swojego umysłu... i w moich uszach rozległ się pierwszy szept Mocy.

Następna lekcja: Yoda przyszedł, aby odebrać mi grzechotkę, a ja - z instynktowną przekorą dziecka - nie chciałem mu jej oddać; trzymałem zabawkę, rękami i całą Mocą, jaką zdołałem przywołać. Grzechotka się rozpadła - dla dziecka było to jak koniec świata - bo w ten właśnie sposób Yoda przekazywał dzieciom pierwszą zasadę Jedi: nie przywiązywać się. Zbyt silne przywiązanie do tego, co kochamy, może to zniszczyć.

I zniszczyć nasze serca.

O tej lekcji wolałbym teraz nie myśleć.

Ale nie mogę przestać. Nie teraz.

Nie teraz, kiedy ja jestem tu, w górze, a Depa na dole.

Depa Billaba zjawiała się w moim życiu przypadkiem. Był to jeden z tych radosnych zbiegów okoliczności, którymi obdarowuje nas czasem galaktyka. Znalazłem ją, kiedy pokonałem i pozabijałem piratów, którzy zamordowali jej rodziców. Ci sami piraci porwali śliczną córeczkę swoich ofiar. Nigdy się nie dowiedziałem, co chcieli z nią zrobić. Co chcieli jej zrobić. Wolałem w to nie wnikać.

To jest właśnie zaleta dyscypliny Jedi. Potrafię się zmusić, aby sobie nie wyobrażać takich rzeczy.

Dorastała więc w świątyni, dojrzewała jako moja padawanka. Chwila, w której wstałem i poprosiłem Radę Jedi, by powitała nową członkinię, była jedną z najpiękniejszych w moim życiu.

Depa była jedną z najmłodszych Jedi mianowanych przez radę. W dniu jej promocji Yoda powiedział, że to dzięki moim naukom zaszła tak daleko w tak młodym wieku.

Sądzę, że mówił tak bardziej z uprzejmości, niż wierząc, że to prawda. Zaszła tak daleko, ponieważ jest tym, kim jest. Moje nauki niewiele mają z tym wspólnego. Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego do niej.

Depa jest dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. To jedna z tych osób, do których się niebezpiecznie przywiązałem. Jest jak córka, której nigdy nie będę miał.

Cała dyscyplina Jedi w całej galaktyce nie jest w stanie podporządkować sobie ludzkiego serca.

Wciąż słyszę jej głos: „Nie powinienesz być mnie tu przysyłać, a ja nie powinnam była przyjeżdżać...”

Nie mogę się powstrzymać przed drażnieniem Mocy, choć wiem, że to daremne. Niedługo przedtem, jak Qui-Gon Jinn i Obi-Wan Kenobi stanęli przed radą, aby oznajmić jej odrodzenie Sithów, Moc spowił tajemniczy woal mroku. Wokół mnie - zarówno w czasie, jak i przestrzeni - Moc pozostaje tym, czym była zawsze: przewodnikiem i sprzymierzeńcem. Moimi niewidzialnymi oczami i dłońmi. Lecz kiedy próbuję sięgnąć poprzez Moc ku Depie, znajduję jedynie niewyraźne, groźne cienie. Krystaliczna czystość Mocy zmieniła się w gęstą mgłę zagrożenia.

I znowu... ale to, co się stało, nigdy się nie odstanie.

Mogę potrząsać głową, aż mi mózg zachlupocze, ale to nie wypędzi z niej tych słów. Muszę oczyścić umysł. Pelek Baw wciąż należy do separatystów, a ja muszę być czujny. Muszę przestać o niej myśleć.

Najwyższy czas pomyśleć o wojnie.

Republika została całkowicie zaskoczona. Czy ktokolwiek - a zwłaszcza my, Jedi - pomyślałby, że po tysiącu lat pokoju wybuchnie wojna domowa? Nawet Yoda nie pamięta ostatniej wielkiej wojny. Pokój stał się czymś więcej niż tradycją. Stał się ostoją i fundamentem całej cywilizacji.

I to okazało się wielkim atutem Konfederacji. Separatyści nie tylko spodziewali się wojny - oni na nią liczyli.

Zanim żar Wojny Klonów wybuchł w geonosjański płomień, ich statki były już w drodze. W ciągu kolejnych tygodni, kiedy my, Jedi, lizaliśmy rany i opłakiwali zabitych, kiedy senat gorączkowo zbierał flotę - jakkolwiek flotę - aby stawić czoło Konfederacji Niezależnych Systemów, kiedy kanclerz Palpatine prośbą, przekupstwem, a nierzadko szantażem zmuszał niepewnych senatorów, aby nie tylko pozostali przy Republice, ale i wsparli jej armię klonów własnymi kredytami i zasobami, statki separatystów rozproszyły się po całej galaktyce, obsadzając wszystkie ważniejsze szlaki handlowe. Większe drogi wiodące do przestrzeni separatystów chronione były przez myśliwce bezpilotowe, wspierane przez krążowniki Geonosjan, które dopiero niedawno wychyły z tajemnych stoczní.

Ze strategicznego punktu widzenia było to dzieło sztuki. Jakkolwiek próba uderzenia na światy w jądrze Konfederacji została natychmiast stłumiona i opóźniona na tyle, by mogły przejąć go siły separatystów. Każdy atak dość silny, aby szybko rozbić ich pikiety, pozostawiał setki lub tysiące światów na łaskę i niełaskę separatystów. Za murem robotów mogli zatem bezpiecznie budować swoje siły, wychodząc z niego tylko po to, aby po kawałku połykać Republikę.

Przeegraliśmy, zanim Republika zdążyła przygotować się do wojny.

Yoda jest głównym strategiem Rady Jedi. Po tylu przeżytych latach ma się szerokie horyzonty i można na wszystko spojrzeć inaczej. On właśnie opracował obecną strategię ograniczonego zaangażowania na wielu frontach - naszym celem jest zatem nękanie separatystów, męczenie ich w wojnie podjazdowej, kłusanie i ucieczka, aby tylko nie dopuścić do umocnienia na obecnej pozycji. W ten sposób może zdołamy zyskać na czasie i gigantyczna baza produkcyjna Republiki zdąży się przeprofilować na produkcję statków, broni i innych narzędzi zabijania.

Musimy też przeszkolić żołnierzy. Klony z Kamino są nie tylko naszymi najlepszymi żołnierzami - są właściwie jedynymi, jakich posiadamy. Trzeba ich wykorzystać do przygotowania bojowego i taktycznego ochotników cywilnych i personelu porządkowego, ale separatyści zdołali już związać w bitwach prawie milion dwieście tysięcy takich żołnierzy. Teraz oddziały te skaczą z planety na planetę, z systemu do systemu, aby odpierać pojedyncze ataki oszalałymi różnymi robotów bojowych, które TechnoUnion, finansowo wspierana przez Federację Handlową, produkuje i dostarcza w liczbach chyba nieograniczonych.

A skoro potrzebujemy wszystkich klonów tylko po to, aby bronić systemów Republiki, musieliśmy znaleźć sposoby, żeby atakować bez nich.

Separatyści nie cieszą się stuprocentową popularnością, nawet w swoich systemach. W każdym społeczeństwie znajdzie się margines, który gotów jest podnieść broń przeciw władzy. Wysłano zatem tajne misje Jedi na setki światów z jednym zadaniem - zorganizować opór lojalistów, szkolić partyzantów w sztuce sabotażu i wojny partyzanckiej, czyniąc zarazem wszystko, co możliwe, aby zdestabilizować separatystyczne rządy.

Po to właśnie Depa Billaba przybyła na Haruun Kal.

Ja ją tam wysłałem.

System Al'Har - którego Haruun Kal jest jedyną planetą -leży na przecięciu kilku szlaków nadprzestrzennych. Jest jak piasta koła, zwanego pętlą Gevamo, którego szprychy łączą separatystyczne systemy Killisu, Jutrand, Loposi oraz gromadę Gevarno z Opari, Ventran i Ch'manssem, należącymi do lojalistów. Z powodu lokalnej konfiguracji gwiazd i wrażliwości nowoczesnych hipernapędów na masę, każdy statek, podróżujący z jednego z tych systemów do innego, przelatując przez Al'Har, może skrócić sobie drogę o dobrych kilka standardowych dni, nawet jeśli doliczy całodzienną podróż w realnej przestrzeni przez sam system.

Żaden z tych systemów nie ma wielkiej wartości strategicznej, ale Republika straciła ich już na rzecz secesji zbyt wiele i nie mogła ryzykować utraty dalszych. Kontrolując węzeł Al'Har, masz w garści cały region. Stwierdzono, że Haruun Kal warta jest uwagi rady - nie tylko zresztą z powodu znaczenia militarnego.

W archiwach świątyni znajduje się raport antropologów Jedi, którzy badali plemiona Korunów. Istnieje teoria, że kiedyś statek Jedi musiał tam wylądować z powodu awarii, może nawet tysiąc lat temu, w czasie wojny z Sithami. Wtedy to wielu Jedi zaginęło bez wieści. W dżunglach Haruun Kal żyje wiele gatunków grzybów, które żywią się metalem i krzemianami. Statek, który nie wystartuje natychmiast, może na zawsze pozostać na planecie. Podobny los czeka urządzenia komunikacyjne. Antropolodzy uważają, że przodkami Korunnai byli właśnie ci rozbitkowie Jedi.

Jest to jedyne rozsądne wyjaśnienie dziwnego zjawiska genetycznego - wszyscy Korunnai mają kontakt z Mocą.

Prawdziwe wyjaśnienie może być znacznie prostsze: ewolucja. Ci, którzy nie potrafią używać Mocy, nie przeżyją długo. Ludzie nie są w stanie przetrwać w dżungli; Korunnai udaje się to jedynie dzięki stadom trawiaków, za którymi postępują, trawiaki, ogromne sześcionożne stwory, karczują drzewa potężnymi przednimi łapami i gigantycznymi szczękami. Ich nazwa pochodzi od trawiastych łąk, jakie po sobie pozostawiają. Na tych właśnie łąkach Korunnai pędzą swój niebezpieczny żywot. Trawiaki chronią Korunnai przed dżunglą; Korunnai z kolei, dzięki więzi Mocy, jaką mają ze swoimi groźnymi psami akk- bronią trawiaków.

Kiedy antropolodzy Jedi byli gotowi do wyjazdu, poprosili starszych z ghosha Windu, aby wolno im było zabrać z planety dziecko i wyszkolić je na Jedi, dzięki czemu talent Korunnai mógłby znów służyć pokojowi galaktyki.

To dziecko to ja.

Byłem niemowlęciem, sierotą, noszącym nazwisko swojego ghosha, jako że moich rodziców zabrała dżungla, zanim jeszcze nadano mi imię. Dokonano wyboru za mnie.

Nie uskarżam się.

Właśnie Korunnai miała Depa wyszkolić i wykorzystać jako antyrządowe oddziały partyzanckie. Cywilny rząd Haruun Kal składa się wyłącznie z Balawai - pozaświatowców i ich potomków, odcinających kupony od fortun zбитych na handlu korą thyssela. Rząd Balawai, dla Balawai i w imię Balawai.

Korun nie ma tu szans.

Rząd - wraz z milicją planetarną, jego organem militarnym -dołączył do Konfederacji Niezależnych Systemów w cynicznej odpowiedzi na śledztwo Wydziału Sprawiedliwości, dotyczące traktowania przez nich koruńskich tubylców. W zamian za korzystanie z portu kosmicznego stolicy jako bazy, gdzie mogli przeprowadzać naprawy i modernizację al'harskiej floty bezpilotowych myśliwców, separatyści dostarczali broni dla milicji i udawali, że nie widzą nielegalnych działań Balawai na wyżynie Korunnai.

Odkąd jednak przybyła Depa, separatyści odkryli, że nawet najmniejsza grupa zdeterminowanych partyzantów może mieć druzgoczący wpływ na operacje militarne.

Zwłaszcza jeśli wszyscy partyzanci potrafią korzystać z Mocy.

Był to najważniejszy argument Depy za przybyciem tutaj i powód, dla którego stwierdziła, że musi się tym zająć osobiście. Nie-wyszkoleni użytkownicy Mocy mogą być ogromnie niebezpieczni; dzikie talenty ujawniają się przypadkowo i w całkiem niespodziewany sposób. Mistrzostwo Depy w Vapaad sprawia, że jest ona właściwie niepokonana w starciu bezpośrednim, jej zaś własne wyszkolenie - subtelne, filozoficzno-mistyczne nauki adeptów Chalactan - obdarza ją niezwykle odpornością na wszelkie formy manipulacji umysłowej, od sugestii poprzez Moc po pranie mózgu z torturami włącznie.

Według mnie, w głębi ducha żywiła nadzieję, że uda się przekonać niektórych Korunnai, aby zaciągnęli się do Wielkiej Armii Republiki. Kadra szkolonych w użyciu Mocy komandosów mogłaby zdecydowanie odciążyć Jedi i wypełniać misje, z których żaden klon nie miałby szans ujść z życiem.

Podejrzewam też, że nalegała na powierzenie jej tej misji z przyczyn sentymentalnych. Sądzę, że przybyła tutaj, bo ja urodziłem się na Haruun Kal.

Choć planeta ta nigdy nie była moim prawdziwym domem, noszę jej piętno do dziś.

Kultura Korun opiera się na jednej prostej przesłance, tak zwanych Czterech Filarach: Honor, Obowiązek, Rodzina, Stado.

Pierwszy Filar to Honor, twoje zobowiązania wobec samego siebie. Działaj uczciwie. Mów prawdę. Walcz bez lęku. Kochaj bez zastrzeżeń.

Ważniejszy i większy jest Drugi Filar, Obowiązek, który dotyczy innych. Wykonuj swoją robotę. Pracuj ciężko. Słuchaj starszych. Broń swojego ghosha.

Jeszcze większy jest Trzeci Filar, Rodzina. Szanuj swoich rodziców. Kochaj swojego partnera. Ucz swoje dzieci. Broń swojego rodu.

Lecz najważniejszy jest Czwarty Filar, Stado, albowiem życie całego ghosha zależy od stada trawiaków. Rodzina jest ważniejsza od obowiązku, obowiązek przeważa nad honorem. Nie ma jednak rzeczy ważniejszej od stada. Jeśli dobro stada wymaga poświęcenia honoru, uczynisz to. Jeśli wymaga, byś zaniedbał obowiązek, także to zrobisz.

Za wszelką cenę.

Nawet za cenę rodziny.

Yoda pewnego dnia zauważył, że choć opuściłem Haruun Kal jako niemowlę, a powróciłem tam tylko raz jako podrostek, aby wyuczyć się więzi poprzez Moc z wielkimi akkami, wszystkie Cztery Filary płyną w moich żyłach wraz z koruńską krwią. Powiedział, że Honor i Obowiązek przychodzą mi równie łatwo jak oddychanie, a jedyną prawdziwą różnicą jest to, że Jedi zajęli miejsce rodziny, a Republika stała się moim stadem.

To wielka pochwała. Mam nadzieję, że to prawda, ale nie wyrobiłem sobie własnego zdania na ten temat. Nie interesują mnie opinie. Interesują mnie fakty.

Fakt pierwszy: odkryłem punkt przełomu w pętli Gevamo.

Fakt kolejny: Depa zgłosiła się na ochotnika, by w niego uderzyć.

I jeszcze jeden fakt...

Powiedziała: „Stałam się mrokiem dżungli”.

Port kosmiczny w Pelek Baw pachniał czystością. Ale czysty nie był. Typowy port na dalekich krańcach galaktyki - brudny, zdezorganizowany, prawie zablokowany porzeczonymi szczątkami starych statków.

Mace zszedł z rampy wahadłowca i przerzucił torbę przez ramię. Dławiący, wilgotny żar przysmażał jego nagą czaszkę. Podniósł oczy znad sterty złomu barwy ochry i porzrzuconych strzępków opróżnionych pakietów żywnościowych, które zaścielały podłoże lądowiska, i spojrzał w górę, w turkusowe niebo.

Biała Korona Ramienia Dziadka wznosiła się wysoko ponad miastem - była to największa góra wyżyny Korunnal, aktywny wulkan z tuzinem otwartych kraterów. Mace pamiętał jeszcze śnieg na linii drzew, zimne, rzadkie powietrze i aromatyczną żywicę wiecznie zielonej kosodrzewiny pod szczytem.

Zbyt wiele lat spędził na Coruscant.

Gdyby tylko wrócił tutaj z innego powodu!

Z jakiegokolwiek innego powodu.

Bładożółte mżenienie powietrza wokół wyjaśniło mu pochodzenie zapachu czystości - chirurgiczne pole sterylizacyjne. Port kosmiczny zawsze miał włączony parasol pola sterylizacyjnego, aby chronić statki i urządzenia przed różnymi miejscowymi grzybami, które żywią się metalem i krzemianami. Pole przy okazji wybijało bakterie i pleśnie; gdyby nie to, port śmierdziałby jak przeciążony odświeżacz.

Probiotyczne prysznicze znajdowały się, jak dawniej, w długim, niskim budynku z omszałego durabetonu, ale przy ich wejściu dobudowano wielkie, tymczasowe biuro z plastipianowych wtrysków. Drzwi, również z piankowej płyty, wisiały smętnie na częściowo wyrwanych zawiasach. Płytę pokrywały rdzawe zacieki, które spływały ze zżartego przez grzyb durastalowego szyldu. Napis na szyldzie głosił: ODPRAWA CELNA. Mace wszedł do środka.

Słońce przesączało się zieloną poświatą przez omszałe okna. Klimatyzacja pompowała powietrze o temperaturze ciała z wywietrzników dachowych, a panujący smród dobitnie świadczył, że chirurgiczne pole tutaj nie sięga.

Wewnątrz biura panował taki rozgardiasz, że dwójka Kubazów zaczęła chichotać i trącać się łokciami. Mace nie zdołał też zignorować Pho Ph'eahianina, wyjaśniającego szczegółowo znudzonemu śmiertelnie człowieczkowi, że właśnie wracają z Kashyyyka i, o rany, jak go bołą nogi. Agent miał chyba jeszcze niższy próg odporności niż Mace. Szybko przepchnął komediantów tuż za parą Kubazów i cała gromadka znikła w bloku prysznicowym.

Mace znalazł inną celniczkę: neimoidiańską samicę o różowych oczach jak szparki, dziwnie sennych i zimnych w tym upale. Bez śladu zainteresowania obrzuciła wzrokiem jego zestaw identyfikacyjny.

- Korelianin, tak? Cel wizyty?

- Interesy. Westchnęła ze znużeniem.

- Musisz wymyślić coś lepszego. Korelia nie jest w dobrych stosunkach z Konfederacją.

- Dlatego właśnie tutaj robię interesy.

- Mhm... niech cię obejrzę. Otwórz torbę do kontroli.

Mace pomyślał o „staroświeckiej latarce” wciśniętej na samo dno. Nie był pewien, na ile jej obudowa przekona Neimoidiankę, której oczy doskonale widziały w głębokiej podczerwieni.

- Wolałbym nie.

- A mnie to, myślisz, obchodzi? Otwieraj! - Obrzuciła go ciemnoróżowym spojrzeniem skośnych oczu. - Hej, ładna skórka. Prawie mógłbyś uchodzić za Koruna.

- Prawie?

- Jesteś za wysoki. No i oni zwykle mają włosy. A poza tym Korunnai wszyscy mają coś tam wspólnego z Mocą. Tajemne moce i te rzeczy.

- Ja też mam tajemną moc.

- Serio?

- Serio - zahaczył kciukami za pas. - Dzięki mojej mocy w twojej ręce może pojawić się dziesięć



kredytów.

Neimoidianka zadumała się nagle.

- Ciekawa umiejętność... Zobaczmy, jak to działa.

Mace przesunął rękę nad biurkiem celniczki i upuścił monetę, którą wyłowił przed chwilą z kieszonki przy pasie. Neimoidianka też musiała znać się na magii, bo moneta momentalnie znikła.

- Nieźle - podniosła w górę pustą dłoń. — Zobaczmy to jeszcze raz.

- Zobaczmy najpierw potwierdzony identyfikator i torbę po kontroli.

Neimoidianka wzruszyła ramionami i spełniła jego żądanie, a Mace powtórzył sztuczkę.

- Z takimi umiejętnościami dasz sobie świetnie radę w Pelek Baw - oznajmiła. - Miło było z tobą robić interesy. Nie zapomnij tabletek PB. I zjaw się, jak będziesz wracał. Pytaj o Pulę.

- Oczywiście.

Na tylnej ścianie biura widniał ogromny ekran ogłoszeniowy, przypominający wszystkim, którzy przybywają do Pelek Baw, żeby użyli pryszniców probiotycznych, zanim opuszczą port. Prysznicze przywracały do właściwego poziomu dobroczynną florę bakteryjną skóry, którą zniszczyło pole chirurgiczne. Radę wzbogacono ponurymi w swej dosłowności hologramami rozmaitych gatunków grzybic, jakie czyhały na tych podróżnych, którzy zaniedbali pryszniców. Pod ekranem znajdował się podajnik, który za pół kredytyki oferował porcję tabletek gwarantującą odtworzenie również flory jelitowej. Mace kupił porcję, połknął jedną tabletkę i wszedł do bloku pryszniców.

Blok pachniał po swojemu - ciężki piżmowy odór, gęsty i organiczny. Same prysznicze składały się z prostych autodysz, rozpylających bogatą w bakterie odżywczą mgłę. Dysze umieszczono na ścianach tunelu o długości ponad trzydziestu metrów. Mace zdjął ubranie i wcisnął je do torby. Obok wejścia ustawiono przenośnik taśmowy na bagaż, ale Mace wolał nie rozstawać się z torbą. Kilka bakterii raczej jej nie zaszkodzi.

Po drugiej stronie pryszniców trafił na rozróbę.

Ubieralnia aż huczała od napędzanych turbinami suszarek. Dwóch Kubazów i komedianci, wciąż nadzy, kulili się niepewnie w kącie. Naprzeciwko nich stał wielki facet o kwaśnej gębie, odziany w spłowiały mundur khaki i wojskową czapkę. Potężne, imponujące ramiona skrzyżował na potężnej, imponującej piersi i spoglądał na nagich podróżnych z zimną, obojętną groźbą w oczach.

Drugi człowiek, niższy, identycznie odziany, przetrząsał bagaże rozsypane u stóp większego. Do torby wrzucał wszystko, co było w miarę cenne i nieduże. Obaj mężczyźni mieli pałki ogłuszające, które zwisały im z pasów, oraz miotacze w łatwo otwierających się kaburach.

Mac w zadumie pokiwał głową. Sytuacja wydawała się raczej jasna. Gdyby był tym, za kogo się podawał, zignorowałby ich. Ale w przebraniu czy bez, był w końcu Jedi.

Wielki facet obejrzał sobie Mace'a od stóp do głowy i z powrotem. W jego spojrzeniu widać było jawną bezczelność, która brała się stąd, że on był ubrany i uzbrojony, a Mace nagi i ociekający wilgocią.

- O, jeszcze jeden. Cwaniak, zabrał torbę ze sobą. Mniejszy wstał i odpiął pałkę od pasa.

- Jasne, spryciarzu. Pokaż tę torbę. Kontrola. Dawaj.

Mace znieruchomiał. Mgła probi skraplała się i spływała strużkami po nagiej skórze.

- Czytam w twoich myślach - rzekł ponuro. - Masz tylko trzy myśli i wszystkie trzy głupie.

-He?

Mace wystawił kciuk.

- Myślisz, że jak jesteś ubranym draniem, możesz robić, co tylko zechcesz. - Zagiął kciuk i wyprostował palec wskazujący. - Myślisz, że nikt tu ci nie podskoczy, skoro jest nagi. - Zgiął i ten palec i wystawił środkowy. - I jeszcze myślisz, że mi zajrzesz do torby.

- O, jajcarz - zauważył mały, machnął pałą i zrobił krok w stronę Mace'a. - Nie dość, że cwany, to jeszcze jajcarz.

Wielki stanął u jego boku.

- No, faktycznie komediant.

- Komedianci są tam. - Mace skinieniem głowy wskazał Pho Ph'eahianina i jego kitonackiego partnera, którzy dygocząc, kulili się w kącie. - Dostrzegasz różnicę?

- Tak? - Wielki zwinął garście w wielkie pięści. - A ty niby kto jesteś?

- Jestem prorokiem. - Mace zniżył głos, jakby wyznawał mu wielką tajemnicę. - Widzę przyszłość...

- Pewnie, jeszcze jak. - Rozdziawił czarną od zarostu gębę, ukazując żółte i połamane zęby. - A co widzisz?

- Ciebie - odparł Mace. - We krwi.

Jego wyraz twarzy można by nazwać pogodnym, gdyby w oczach miał bodaj odrobinę ciepła.

Wielki nagle dziwnie się skurczył.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego -jako skuteczny drapieżnik, interesował się wyłącznie ofiarami. Z pewnością nie obchodził go potencjalny przeciwnik. I właśnie o to chodziło w tej całej hecy - przedstawiciele dowolnej rasy rozumnej, którzy w tradycji kulturowej mają noszenie odzieży, bez niej będą czuli się niepewni, przerażeni, bezbronni. Każdy normalny człowiek najpierw włoży

majtki, a dopiero później da napastnikowi w mordę.

Mace Windu znał niepewność i bezbronność ze słyszenia, ale nigdy sam ich nie przeżywał.

Sto osiemdziesiąt osiem centymetrów mięśni i kości. Całkowicie nieruchomych. Całkowicie spokojnych. Gdyby sędzić po wyglądzie, mgiełka probi, spływająca mu po nagiej skórze, mogła być ceramiczną zbroją wzmacnianą włóknem węglowym.

- Ruszysz się może, czy nie? - zapytał Mace. - Trochę mi się spieszy. Wielki spojrzał w bok i stęknął.

Mace poczuł poprzez Moc ucisk nad lewą nerką i usłyszał syk włączanej pałki ogłuszającej. Okręcił się i złapał obiema rękami nadgarstek małego, odpychając jednocześnie daleko na bok iskrzącą koronę pałki. Dzięki temu twarz małego znalazła się na drodze wzniesionej stopy Mace'a. Rozległo się mokre, mięsiste mlaśnięcie i trzask łamanej kości. Wielki ryknął i rzucił się na Mace'a, który spokojnie odstąpił na bok i dokończył wykręcania ramienia małego, wprawiając słabnące ciało w ruch wirowy. Złapał go za głowę i zdecydowanym ruchem uderzył w nos wielkiego.

Obaj mężczyźni osunęli się na śliską, mokrą podłogę jak kupa szmat. Pałka, plując wyładowaniami, poleciała w kąt. Mniejszy człowieczek leżał bezwładnie. Z oczu wielkiego płynęły strumieniem łzy. Siedział na podłodze, usiłując obiema rękami wmasować zmiążdżony nos na miejsce. Pomiędzy palcami ściekała mu krew.

Mace stanął nad nim.

- A nie mówiłem?

Wielki nie wydawał się szczególnie wstrząśnięty. Mace wzruszył ramionami. Powiadają, że nikt nie jest prorokiem na własnym świecie.

Ubrał się w milczeniu, podczas gdy pozostali podróżnicy zbierali swoje bagaże. Wielki mężczyzna nie próbował ich powstrzymać ani nawet stanąć na nogi. Teraz za to mniejszy poruszył się, jęknął i otworzył oczy. Zaledwie skupił wzrok na tyle, by zobaczyć Mace'a, który wciąż jeszcze był w ubieralni, zaklął i zaczął macać wokół kłapy kabury, usiłując wyciągnąć miotacz.

Mace spojrzał na niego surowo.

Facet doszedł do wniosku, że miotacz świetnie czuje się tam, gdzie jest.

- Nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś - mruknął ponuro, siadając na podłodze. Słowa z trudem wydobywały mu się z pokaleczonych ust. Podciągnął kolana i otoczył je ramionami. - Ludzie, którzy zadzierają ze stołeczną milicją, nie żyją za długo, żeby...

Wielki przerwał mu płaskim ciosem w tył głowy.

- Zamknij się.

- Stołeczna milicja? - teraz dopiero Mace zrozumiał. Twarz stężała mu w ponurą maskę. Powoli

skończył zapinać pas. - Rozumiem...

Pho Ph'eahianin udał, że chce wywinąć kozła.

- A ty myślałeś, że zatrudnią sprawniejsze gliny, co?

- A bo ja wiem, Phootie... - odparł Kitonak charakterystycznie powolnym, spokojnym głosem. - Ładnie się odbijali od podłogi.

Obaj Kubazowie zaczęli coś przebąkiwać na temat śliskich podłóg, nieodpowiednich butów i nieszczęśliwych wypadków.

Gliniarze odpowiedzieli żalonymi grymasami.

Mace przykucnął przed nimi. Prawej dłoni nie spuszczał z kolby power 5.

- Szkoda by było, gdyby komuś zwariował miotacz - mruknął. - Upadek, pośliznięcie się... cóż, to przykre. Boli. Ale za dwa-trzy dni przejdzie. A co by było, gdyby czyjś miotacz nagle wypalił w czasie upadku? - Wzruszył ramionami. - Jak długo będziecie się leczyć ze śmierci?

Mniejszy z gliniarzy chciał powiedzieć coś złośliwego, większy przerwał mu kolejnym pacnięciem.

- Będziemy cię mieć na oku - warknął. - Spadaj, no już. Mace wstał.

- Pamiętam czasy, kiedy to było miłe miasto.

Zarzucił torbę na ramię i wyszedł w rozżarzone tropikalne popołudnie. Minął wyszczerbiony, zardzewiały napis, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Napis głosił: WITAMY W PELEK BAW.

Twarze...

Twarde twarze. Zimne twarze. Głodne albo przepite. Pełne nadziei. Wyrachowane. Zdesperowane.

Twarze ulicy.

Mace szedł o krok za szefem stacji wywiadu Republiki, nieco w bok od niego. Prawa dłoń ani na chwilę nie oddalała się od kolby merr-sonna. Mimo tak późnej pory ulice wciąż były pełne ludzi. Haruun Kal nie miała księżycy; ulice były oświetlone blaskiem przesączającym się przez okna knajp i z kafejek pod gołym niebem. Latarnie wysokie sześciokątne słupy z durabetonu, pokryte świecącymi pasami - stały co dwadzieścia metrów wzdłuż obu stron ulicy. Otaczające je jeziorka żółtego światła obramowane były czarnym mrokiem. Wejście w jedną z bocznych alejek oznaczało pewną śmierć.

Szef stacji wywiadu była pulchną kobietą o czerwonych policzkach, mniej więcej w wieku Mace'a. Prowadziła Zieloną Górską Pralnię, doskonale prosperujący interes, obejmujący pralnie i publiczne odświeżacze na północnym obrzeżu stolicy. Ani na chwilę nie przestawała mówić. Mace ani przez

chwilę nie słuchał.

Moc ze wszystkich stron ostrzegała go o zagrożeniach: poprzez pomruk wozów na kołach, bezładnie wlokących się przez zatłoczone ulice, po wachlarz pałeczek śmierci w dłoni nastolatka. Milicjanci w mundurach wałęsali się lub sterczeli na skraju chodników, nadymając się w pseudogroźnej postawie uzbrojonych amatorów. Otwarte klapy kabur. Rusznice laserowe wsparte na biodrach. Mace widział wymachiwanie bronią, przepychanki między przechodniami, niejedno groźne czy wręcz mordercze spojrzenie, ordynarne zabawy gangów ulicznych, ale stanowczo za mało stróżów porządku. A kiedy o kilka przecznic dalej rozległy się strzały, nikt nawet nie spojrział w tamtą stronę.

Prawie wszyscy jednak gapili się na Mace'a.

Twarze milicji: ludzkie lub zbyt do ludzkich podobne, by je jakoś sklasyfikować. Patrząc na Mace'a widzieli jedynie Koruna w poza-światowych szmatach i ich wzrok stawał się zimny jak lód. Badawczy. Po jakimś czasie wszystkie wrogie spojrzenia wyglądały tak samo.

Mace zachowywał czujność, skupiając się na rozsiewaniu potężnej aury oznaczającej „nie zaczynaj ze mną”.

W dżungli czułby się bezpieczniej.

Twarze ulicy: wzdęte od przepicia księżycowe gęby nędzarzy żebrzących o drobne monety. Wookiee, posiwiały od nosa po pierś, z wysiłkiem napierający na uprząż dwukołowej rykszy, jedną ręką odpychał gromadę dzieciaków, drugą ścisnął pas z sakiewką. Twarze poszukiwaczy: blizny po grzybie na policzkach, broń u boku. Twarze dzieci, młodszych niż Depa, kiedy została jego padawanką, oferujących Mace'owi drobiazgi po „specjalnej cenie”, bo „spodobał im się”.

Wiele z nich było Korunnai.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Pewnie, jedź do miasta. W mieście życie jest łatwe. Żadnych lianokotów, żadnych wkręcimuszek. Ani brązowina, ani zabójczych pustek. Nie ma ładowania trawiakowego łajna, noszenia wody, opieki nad szczeniakami akków. W mieście jest kupa kasy. Musisz tylko sprzedać to albo wytrzymać tamto. Cokolwiek postanowisz sprzedać: młodość. Nadzieję. Przyszłość.

Każdy, kto żywi choć odrobinę sympatii dla separatystów, powinien pomieszkać chwilę w Pelek Baw. Dowiedzieć się, o co właściwie walczy Konfederacja.

Dobrze, że Jedi nie mogą pozwolić sobie na nienawiść.

Trajkocząca szefowa stacji nie przerywała ani na chwilę. Nazywała się Phloremirlla Tenk - „nazywaj mnie Flor, skarbie, jak wszyscy”. Mace zdołał wreszcie uchwycić wątek.

- Hej, każdy raz na jakiś czas potrzebuje prysznic. A przy okazji można sobie uprać ciuchy. Wszyscy

tu przychodzą. Urzędnicy, pracownicy rządowi, kto tylko może. Milicja, szycy od separatystów...to znaczy, dopóki się nie wycofali. Wszyscy przychodzą. Mam basen. Mam sześć różnych saun. I prywatne prysznice. Możesz w nich dostać wodę, alkohol, probiotyki, ultradźwięki, co tylko chcesz... no i może jeszcze jeden albo dwa rejestratory, żeby zebrać cały brud, jaki się da. Nie wyobrażasz sobie, o czym potrafią gadać w saunie oficerowie milicji. Wiesz, co mam na myśli?

Była najbardziej gadatliwym szpiegiem, jakiego zdarzyło mu się poznać. Kiedy urwała, żeby zaczerpnąć tchu, Mace nie omieszkał jej tego powiedzieć.

- Zabawne, no nie? A jak ci się zdaje, jak mi się udało przetrwać w interesie przez dwadzieścia trzy lata? Gadaj tyle, ile możesz, wtedy ludzie się nie zorientują że właściwie nie masz nic do powiedzenia.

Może była po prostu nerwowa. Może czuła zagrożenie emanujące z tych ulic. Niektórzy ludzie uważają że powstrzymają niebezpieczeństwo, udając, że są bezpieczni.

- Mam trzydziestu siedmiu pracowników. W tym tylko pięciu z wywiadu. Wszyscy inni tylko pracują. No i popatrz, w pralni robię dwa razy tyle kasy, co przez dwadzieścia trzy lata służby. Nie, nie chodzi o to, że mi ciężko, jeśli wiesz, co mam na myśli... Wiesz, ile może zdziałać RS-17? Żałosne, żałosne... A co teraz w ogóle robią Jedi? Płacą ci chociaż? Pewnie wciskają ci kit, że sama służba jest nagrodą, no nie? Zwłaszcza kiedy chodzi o służbę dla innych ludzi... Założę się.

Flor zebrała już grupę, która miała go wyprowadzić w góry. Sześciu ciężkozbrojnych ludzi z prawie nowym pełzakiem parowym.

- Wydają się nieco szorstcy, ale to wszystko dobrzy chłopcy. Wolni strzelcy, ale solidni. Lata w buszu. Dwóch to pełnej krwi Korniaci. Dobrze sobie radzą z tubylcami, wiesz?

Wyjaśniła, że dla bezpieczeństwa sama zaprowadzi go na miejsce spotkania.

- Im szybciej wyruszysz, tym bardziej dopisze nam szczęście. Mam rację? Taksówki ostatnio są po prostu beznadziejne... Uważaj na placki rynsztokowe, przeżerają buty. Hej, patrz co robisz, łamago! Słyszałeś kiedy, żeby piechota chodziła poboczem? Tak? Ty wypierdku obślinionego Hutta! - głośno tupiąc i wymachując rękami, przedzierała się przez tłum. - Eee... wiesz, że ta wasza Jedi jest poszukiwana? Musisz jakoś wywieźć ją z planety.

Mace miał do dyspozycji Hallecka na orbicie stacjonarnej w systemie Ventran, z dwudziestoma uzbrojonymi lądownikami i regimentem klonów. Powiedział jednak tylko:

- Wiem.

Z sąsiedniej przecznicy dobiegła kolejna salwa z miotacza, przetykana trzaskami, ostrzejszymi niż strzały laserowe. Flor natychmiast skrzyła w inną ulicę.

- Ups! Tędy! Chyba wolisz trzymać się z daleka od awantur, nie? Może to tylko kłótnie o żarcie, ale nigdy nic nie wiadomo. Słyszysz te kłaśnięcia? Karabinki na naboje albo jestem Dugiem. Może to jakaś akcja partyzantów tej twojej Jedi... kupa Korniaców używa karabinków. Naboje w nich

odskakują. Jak ja ich nie znoszę, tych karabinów. Ale są łatwe do przechowywania. Dzień, dwa w dżungli i miotacz jest bezużyteczny. Dobra solidna strzelba na naboje, dokładnie nasmarowana i czysta, może w dżungli trwać wiecznie. Partyzanci świetnie sobie z nimi radzą, chociaż to wymaga dużej praktyki, bo naboje są kiepskie balistycznie, wiesz. Musisz obliczać trajektorię w głowie. Niech to, wolę miotacz...

Do odgłosów strzelaniny dołączył jeszcze jeden dźwięk: głęboki, chropawy pomruk, drumm, drummmm, drrrummm. Mace skrzywił się. Pewnie lekki miotacz samopowtarzalny - T-21 albo może thunderbolt merr-sonn.

Wojskowy sprzęt.

- Chyba lepiej by było - zauważył - gdybyśmy zeszli z ulicy.

- Nie, nie, nie - zapewniła go. - Nie obawiaj się, te potyczki nigdy nie przeradzają się w coś poważnego.

Mace tymczasem zaczął się zastanawiać, jak szybko zdoła wyciągnąć miecz świetlny z torby.

Strzelanina nasilała się. Słysząc już było głosy -jęki i wrzaski. Wściekłość i ból. Już nie brzmiało to jak zamieszki, lecz jak regularna bitwa.

Przed nimi, tuż za rogiem, pojawiły się oślepiająco białe rozbłyski, a w ślad za nimi z sykiem przemknęły strzały z miotacza. Bitwa rozwijała się, w każdej chwili groziła zalaniem ulicy, którą szli. Mace rozejrzał się szybko: na razie wokoło widać było jedynie pojazdy naziemne i tłumy przechodniów, ale członkowie milicji zaczęli już przejawiać niejakie zainteresowanie - poprawiali broń, kierując się w stronę przecznic.

- Widzisz? - odezwała się Flor z za jego pleców. - Popatrz tylko. Nawet nie celują. A teraz przemkniemy się po...

Przerwało jej głucho, mokre kłaśnięcie. Mace słyszał ten dźwięk zbyt często, aby go nie rozpoznać: był to odgłos przegrzanej wysokoenergetycznym promieniem lasera pary, rozrywającej żywe, wilgotne tkanki. Obejrzał się i ujrzał, że Flor kręci się bezradnie jak pijana, skrapiając bruk krwią. W miejscu, gdzie powinno być jej lewe ramię, miała kłęb poszarpanego ciała wielkości pięści. Reszty ramienia nie było widać.

- Co? Co? - bełkotała.

Mace rzucił się na ulicę, przetoczył i ramieniem uderzył kobietę w biodro. Siła uderzenia aż ją zgięła. Poderwał Flor, obrócił się i ruszył za róg. Jaskrawe rozbłyski ognia laserowego przeplatały się z niewidzialnymi świstami i kłaśnięciami naddźwiękowych naboji. Dotarł do nędznej ochrony, jaką oferował mu zakręt, i położył kobietę na chodniku, opierając o mur.

- To się nie miało stać... - Życie zdawało się z niej uchodzić przez strzaskany kikut ramienia. Nawet umierając, nie przestawała mówić niewyraźnym bełkotliwym szeptem. - To się nie dzieje

naprawdę... Nie może... Moje... moje ramię...

Poprzez Moc Mace wyczuwał poszarpaną tętnicę ramieniową. Spróbował sięgnąć w głąb i zacisnąć ranę. Strumień krwi zmienił się w leniwie sączącą się strużkę.

- Spokojnie. - Podparł jej nogi własną torbą aby utrzymać ciśnienie krwi w mózgu. - Tylko spokojnie. Przeżyjesz.

Na permabetonie za jego plecami rozległy się głośne kroki.

- Pomoc już w drodze. - Pochylił się niżej. - Podaj mi miejsce spotkania i kod rozpoznawczy grupy.

- Co? O czym ty mówisz?

- Słuchaj i spróbuj się skupić. Zanim ulegniesz wstrząsowi, powiedz, gdzie mogę znaleźć grupę, która ma mnie zabrać w góry, podaj kod rozpoznawczy, żeby mnie z kimś nie pomylili...

- Nie... ty nie rozumiesz... to się nie dzieje...

- Dzieje się, owszem. Skup się. Od ciebie zależy życie ludzkie. Muszę znać punkt zborny i kod.

- Ale... ale... ty nie rozumiesz... Przedstawiciele milicji za jego plecami zatrzymali się.

- Hej! Korniak! Zostaw tę kobietę!

Obejrzał się. Sześciu. Postawa bojowa. Słup świetlny za nimi otaczał ich głowy blaskiem, lecz twarze pogrążał w mroku. Patrzyły na niego zwiędłe od plazmy lufy.

- Ta kobieta jest ciężko ranna. Ciężko. Bez pomocy medycznej umrze.

- Nie jesteś lekarzem - powiedział jeden i strzelił do niego.



Miał mnóstwo czasu, aby zapoznać się z pokojem przesłuchań.

Cztery metry na trzy. Bloki durabetonu, nakrapiane żwirem, który na powierzchniach przecięcia błyszczał jak mika. Ściany od wysokości półtora metra do sufitu kiedyś były pomalowane na kolor starej kości słoniowej. Podłoga i dolna część ścian pamiętały czasy, gdy były zielone jak wędrownie brunatniec. Teraz obie farby łuszczyły się i odpadały płatami obrzeżonymi pleśnią.

Bezpieczne krzesło, na którym siedział, było w lepszym stanie. Uchwyty otaczające jego przeguby, zimne i twarde, nie miały słabego punktu, którego mógłby dotknąć. Obręcze na kostkach wytarły już blade smugi w skórze jego butów. Płyta na piersi z trudem pozostawiała miejsce na oddech.

Żadnych okien. Jedna taśma żarowa rzucająca miękki żółty poblask z miejsca styku ściany i sufitu. Druga nie świeciła.

Drzwi miał za plecami. Odwrócenie się, aby na nie spojrzeć, sprawiało zbyt wiele bólu. Durastalowy stół pośrodku pokoju był pokryty plamami rdzy - przynajmniej zdawało mu się, że to rdza. Miał nadzieję, że to rdza. Po drugiej stronie stołu znajdowało się drewniane krzesło o wytartym oparciu.

Kurtka i koszula rozdarły się na ramieniu, w miejscu, gdzie trafił go pierwszy strzał. Skóra pod spodem była spalona i spuchnięta pod czarnym sińcem. Ustawiony na ogłuszanie strzał zaledwie dotarł do ciała, ale potężna siła uderzeniowa wybuchu pary miała taki sam skutek jak cios pałką. Poderwała go do góry i okręciła. W uszach mu szumiało, więc mógł przypuszczać, że co najmniej jeden cios trafił go w skroń. Nie pamiętał.

Nie pamiętał niczego od pierwszego strzału do momentu przebudzenia w bezpiecznym krześle.

Czekał.

Czekał długo.

Chciało mu się pić. Nieprzyjemne ciśnienie w pęcherzu sprawiało, że ból głowy wydawał się jeszcze bardziej dokuczliwy.

Obserwacja pokoju i własnych obrażeń mogła mu zająć tylko chwilę. Przez większość czasu rozpamiętywał śmierć Flor.

Wiedział, że kobieta nie żyje. Nie mogła przeżyć. Nie miała szansy, aby przetrwać dłużej niż kilka chwil po jego aresztowaniu. Bez dotyku Mocy zaciskającego arterię wykrwawiła się zapewne w ciągu kilku sekund. Pewnie leżała na tym brudnym chodniku, wpatrując się w przyćmione przez światła miasta gwiazdy, aż ostatnie mgnienie jej świadomości przygasło, zanikło i wreszcie zgasło.

całkiem.

Wciąż słyszał to mokre klaśnięcie. Wciąż od nowa wynosił ją w bezpieczniejsze miejsce. I powstrzymywał krwawienie. I próbował z nią rozmawiać. I został postrzelony przez ludzi, którzy - jak sądził - przybiegli na pomoc.

Ta śmierć wstrząsnęła nim do głębi, przeniknęła do jego wnętrza i kasała, niczym maleńka plamka infekcji, która w ciągu kilku godzin spędzonych w tym pokoju rozrosła się w pulsujący bólem wrzód. Ból, mdłości i pot. Dreszcze.

Gorączka umysłu.

Nie dlatego, że czuł się odpowiedzialny za jej śmierć. Przeciwnie, dręczyło go to, bo nie był niczemu winien.

Nie miał pojęcia, że kobieta wejdzie wprost na linię strzału z miotacza. Moc nie podsunęła mu nawet najmniejszej wskazówki. Żadnego wrażenia, złego przeczucia - żadnej przesłanki pozwalającej sądzić, że te wszystkie złe przeczucia, jakie go przenikały, miałyby się zsumować w coś znacznie, znacznie gorszego. Nic. Zupełnie nic. I to właśnie go przerażało. Co się dzieje z Jedi, który już nie może ufać Mocy?

Czy właśnie to zniszczyło Depę?

Otrząsnął się z tej myśli. Skierował uwagę na swoje otoczenie, koncentrując się na skatalogowaniu najdrobniejszego nawet szczegółu pomieszczenia. Poprzysiągł sobie, że dopóki sam nie przekona się, iż jest inaczej, powinien przyjąć jej domniemaną niewinność. Takie wątpliwości były jej niegodne. Jego też. Lecz ciągle wracały, niezależnie od tego, jak długo wpatrywał się w spleśniałą farbę na ścianie.

„Pewnie pomyślisz, że oszalałam. Otóż nie. To, co mi się przytrafiło, jest znacznie gorsze.

Odzyskałam zdrowe zmysły”.

Znał ją. Znał ją doskonale. Do szpiku kości. Znał najskrytsze zakamarki jej serca. Jej ukochane marzenia i najśmielsze nadzieje. Nie przyłożyłaby ręki do masakry cywilnej ludności.

Ani dzieci.

.. ..nie ma nic groźniejszego od Jedi, który nagle odzyskał zmysły.

Nie mogła tego zrobić.

W miarę jednak, jak sekundy łączyły się w godziny, pewność w jego sercu zmieniała się w pustkę, a potem w desperację. Jakby chciał sobie wmówić coś, o czym wiedział, że jest nieprawdą.

Poczuł, że ktoś otwiera drzwi za jego plecami. Wilgotny powiew liznął go po karku. Kroki weszły do pokoju i skierowały się w lewo; skręcił się, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Był to niewysoki

człowiek, pulchny, odziany w milicyjne khaki, zaskakująco wykrochmalone i odprasowane, jeśli wziąć pod uwagę upał i wilgoć. Mężczyzna miał w dłoni teczkę z wyprawionej zwierzęcej skóry. Odgarnął z czoła wilgotne na końcach włosy barwy chłodnego aluminium, spojrzął na Mace'a ciemnymi oczami i uśmiechnął się.

- Ależ proszę. - Machnął ręką. - Popatrz sobie, jeśli chcesz.

Mace skrzył się jeszcze bardziej i zajrzał w głąb korytarza, który miał za plecami. Na drugim jego końcu stało dwóch nieruchomych ludzi z milicji. Celowali mu z miotaczy prosto w twarz.

Mace zmarszczył brwi. Dziwna pozycja, jak na strażników.

- Czy to dość jasne? - zapytał człowieczek, okrążając Mace'a, ale nie wchodząc ani na sekundę w zasięg strzału. Podeszedł do stołu i otworzył teczkę. - Powiedziano mi, że masz lekki wstrząs mózgu. Zróbmy wszystko, aby nie okazał się śmiertelny, dobrze?

Poprzez Moc Mace widział w tym miękkim ciele dziesiątki miejsc, gdzie każdy cios mógłby być śmiertelny. Ten człowiek nie był wojownikiem, lecz energia otaczała go naokoło jak pajęczyna - ani chybi ważna persona. Mace nie znalazł w nim bezpośredniego zagrożenia, jedynie radosny pragmatyzm.

- Nierozmowny? Nie winię cię o to. Cóż. Nazywam się Geptun, jestem szefem bezpieczeństwa dystryktu stołecznego. Przyjaciele mówią na mnie Lorz. Ty możesz mnie nazywać pułkownikiem Geptunem. - Odczekał chwilę, wciąż z tym samym obojętnym i uprzejmym uśmiechem. Po kilku sekundach westchnął ciężko. - No i co? Wiesz, kim jestem, a my o tobie wiemy tylko, kim nie jesteś.

Otworzył zestaw identyfikacyjny Mace'a.

- Nie jesteś Kinsalem Trappano. Podejrzewam, że nie jesteś też Korelianinem. Interesująca historia, tyle że nie twoja. Szmugler. Pirat w nadgodzinach. Przemysłownik broni... i tak dalej, i tak dalej. - Rozsiadł się w drewnianym krześle, splótł palce i oparł je na brzuchu. Obserwował Mace'a wciąż z tym samym uprzejmym uśmieszkiem, w milczeniu. Czekał, aż Mace odezwie się pierwszy.

Mace mógł pozwolić mu czekać kilka dni. Bez treningu Jedi człowiek sobie nawet nie wyobraża, co to znaczy cierpliwość. Ale Depa gdzieś tam czeka na niego. I cały czas coś robi. Im dłużej będzie zwlekał, nim do niej dotrze, tym więcej zdoła zrobić. Postanowił mówić.

Dla niego to małe zwycięstwo, a dla mnie żadna strata, pomyślał.

- O co jestem oskarżony?

- To zależy. A co zrobiłeś?

- Oficjalnie.

Geptun wzruszył ramionami.

- Nie wniesiono żadnej skargi. Jeszcze nie.

- Więc dlaczego mnie przetrzymujecie?

- Przesłuchujemy cię. Mace uniósł jedną brew.

- Tak, tak. Przesłuchujemy. - Geptun mrugnął. - Naprawdę. Jestem wspaniałym śledczym.

- Jeszcze nie zadałeś mi ani jednego pytania. Geptun uśmiechnął się jak senny lianokot.

- Pytania bywają mało skuteczne. W twoim przypadku nie mają sensu.

- Musisz być bardzo dobry, skoro się zorientowałeś, nie zadając ani jednego - przyznał Windu.

Zamiast odpowiedzi Geptun sięgnął do teczki i wyjął miecz świetlny Mace'a.

Skorupę pręta żarowego zdjęto. Na metalu wciąż jeszcze widać było czarne plamy kleju. Geptun zważył broń w rękę i uśmiechnął się znowu.

- Tortury prawdopodobnie też byłyby stratą czasu, dobrze mówię?

Położył miecz świetlny na stole i zakręcił nim jak butelką. Mace czuł jego wirowanie w Mocy. Wiedział doskonale, jak dotknąć miecz poprzez Moc, aby włączyć ostrze i wycelować je wprost w pułkownika Geptuna - nieważne, zabić albo sterroryzować i wziąć na zakładnika, albo tylko przeciąć więzy, które utrzymywały go w krześle.

Pozwolił, żeby miecz się obracał.

Teraz dopiero zrozumiał, po co są ci dwaj strzelcy w końcu korytarza.

Wirujący miecz stracił rytm, zakołysał się i znieruchomiał. Jego emiter skierowany był w pierś Mace'a.

- Mogę się domyślać, że jesteś tym - rzekł Geptun.

Nieźła sztuczka. Mace zmierzył go wzrokiem jeszcze raz. Pułkownik beznamiętnie wytrzymał jego badawcze spojrzenie.

- Geptun - zastanowił się głośno Mace. - To może być koruńskie nazwisko.

- Istotnie, jest - przyznał radośnie pułkownik. - Mój dziadek ze strony ojca wyszedł z dżungli jakieś siedemdziesiąt lat temu. Cóż, o tym się nie mówi. Rozumiesz chyba. O takich rzeczach nie wspomina się w eleganckim towarzystwie.

- To wy jeszcze macie tutaj coś takiego, jak eleganckie towarzystwo?

Geptun wzruszył ramionami.

- Nazwisko mi raczej nie przeszkadza. Może ta kropla koruńskiej krwi sprawia, że jestem zbyt dumny, aby je zmienić.

Mace skinął głową, bardziej do siebie niż do tamtego. Jeśli facet miał wystarczający kontakt z Mocą, aby kontrolować obroty miecza, bez trudu mógł również ukrywać swoje zamiary. Mace zmienił swoją ocenę poziomu zagrożenia z „niskiego” na „nieznany”.

- Czego ode mnie chcesz?

- No cóż, to bardzo dobre pytanie. Sporo jest rzeczy, które mógłbyś dla mnie zrobić. Mógłbyś, powiedzmy, pomóc mi w dalszej karierze. Jedi? Nawet twoje pochodzenie Jedi mogłoby być cenne dla niektórych ludzi. Schwyciłem nieprzyjacielskiego oficera na swoim terytorium... a może się mylę? Konfederacja sownie by mnie wynagrodziła za tę przysługę. Właściwie na pewno mnie wynagrodzą. A może nawet dadzą mi medal - przechylił głowę i mrugnął wesoło. - Nie wydajesz się zmartwiony tą możliwością.

Gdyby Geptun planował przekazać Mace'a separatystom, nie byłoby go tutaj. Mace czekał. W milczeniu.

- Cóż, to prawda - westchnął po chwili pułkownik. - Nie jestem dyplomatą. Jest jeszcze coś, co mógłbyś dla mnie zrobić.

Mace czekał.

- Ja to widzę w ten sposób: mam tutaj Jedi. Prawdopodobnie ważnego Jedi, skoro złapałem go obok ciała szefowej planetarnej wywiadu republikańskiego. - Puścił oko do Mace'a. - O tak, Phloremirlla była moją starą przyjaciółką. Przyjaźniliśmy się od tak dawna, że różnice polityczne przestały mieć znaczenie.

- Z pewnością byłaby wdzięczna za twój nieutulony żal. Geptun przyjął cios bez zmrużenia oka. Nawet nie przestał się uśmiechać.

- To naprawdę tragedia. Po tylu latach spędzonych w różnych niebezpiecznych miejscach zginąć od przypadkowego strzału z lasera. Przypadkowa ofiara. Przechodzień. No, ale właściwie nie była tak zupełnie niewinna, prawda?

Mace uznał, że uda mu się serdecznie zniechęcić tego faceta.

- Gdyby twoi ludzie do mnie nie strzelali, wciąż by jeszcze żyła.

- Gdyby moi ludzie do ciebie nie strzelali, nie miałbym przyjemności spotkać się dzisiaj z tobą - zachichotał pułkownik.

- Czy ta przyjemność warta była życia przyjaciela?

- To się jeszcze okaże. - Zwarli się wzrokiem na długą chwilę. Mace widywał już jaszczury o bardziej wyrazistym spojrzeniu. Drapieżne jaszczury.

Znów skorygował swoją ocenę zagrożenia. W górę. Geptun przeniósł ciężar ciała na drugą stronę, jak człowiek poprawiający się w fotelu po dobrym posiłku.

- Cóż, wróćmy do kwestii Jedi. Uważam, że ten Jedi jest kimś całkiem ważnym. Może nawet być rzeczywiście niebezpieczny. Zwłaszcza że odpowiada opisowi faceta, który połamał kości dwóm moim najlepszym ludziom.

- To byli twoi najlepsi ludzie? Przykro mi.

- Mnie też, mistrzu Jedi, mnie też... No cóż, zacząłem się zastanawiać, jaki to interes może sprowadzać ważnego, niebezpiecznego Jedi na nasz mały, zapyziały świat Haruun Kal. Z pewnością nie przyjechałeś z tak daleka, żeby dokopać kilku pokojowo usposobionym oficerom. Zacząłem się zastanawiać, czy twój przyjazd nie ma coś wspólnego z innym... eee... inną Jedi, która hasa po górach, robiąc rzeczy różne i całkiem nie pasujące do Jedi. Na przykład, mordowanie cywilów. Czy twój przyjazd ma coś wspólnego z tą damą?

-A jeśli ma?

Geptun odchylił się w tył razem z krzesłem i spojrzał na Mace'a znad pulchnych policzków.

- Polujemy na tę Jedi już od jakiegoś czasu. Za jej głowę wyznaczono nawet nagrodę. Dużą nagrodę. Istnieje taka możliwość, że gdyby ktoś zechciał zająć się moim obecnym... hm... problemem Jedi, mógłbym uznać się za całkowicie usatysfakcjonowanego. Mógłbym nawet zapomnieć o wspomnianej przed chwilą nagrodzie.

- Rozumiem.

- Może bym zapomniał. A może nie. Jest pewien problem. Nie mogę się zdecydować.

Mace czekał.

Geptun westchnął z irytacją i wyprostował się w krześle.

-Niełatwo się z tobą rozmawia, przyjacielu.

Stwierdzenie nie wymagało odpowiedzi, więc Mace milczał dalej.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodziło. Może byś zrobił coś, żebym uspokoił swoje sumienie? Jestem na rozdrożu. Mogę iść w obie strony. Chciałbym dostać tę nagrodę. Bardzo bym chciał. Ale z drugiej strony kusi mnie, żeby sam mi się rozwiązał ten... górski problem. Nie jestem pewien, jaka decyzja byłaby najlepsza. Najlepsza dla mojej przyszłości. Waham się. Widzisz? Jestem w rozterce. Potrzebuję odrobiny pewności... wiesz, co mam na myśli?

Mace wreszcie zrozumiał, o czym mowa.

- Ile tej pewności potrzebujesz... dokładnie?

Oczy Geptuna zalśniły takim samym mdłym błyskiem, jak ziarna żwiru na ścianach.

- Dziesięć tysięcy.

- Dam ci cztery.

Geptun skrzywił się niemilośnie. Mace wytrzymał jego wzrok - wydawało się, że jest wykuty z kamienia.

- Mogę cię tu trzymać bardzo długo.

- Trzy i pół - odparł Mace.

- Obrażasz mnie. Nie jestem wart nawet tego, żeby się ze mną potargować?

- Ależ targujemy się. Trzy dwieście pięćdziesiąt.

- Ranisz mnie, panie Jedi.

- Chciałeś powiedzieć „mistrzu Jedi” - poprawił go Mace. - Trzy tysiące.

Twarz Geptuna spochmurniała, ale po chwili walki na twarde, bezkompromisowe spojrzenia z Mace'em Windu - walki z góry skazanej na klęskę - pokręcił głową i znów wzruszył ramionami.

- Trzy tysiące. Myślę, że wypada pójść na pewne ustępstwa - westchnął. - W końcu jesteśmy na wojnie.

Uwolnili go o świcie.

Mace zszedł po trzech wytartych stopniach frontowych schodów Ministerstwa Sprawiedliwości. Wysoki cirrus nad Ramieniem Dziadka był purpurowy od światła poranka. Słupy świetlne zbladły. Ulica przed nim wydawała się tłoczna jak zwykle.

Na ramieniu miał torbę, do uda przypiętą kaburę miotacza. Miecz świetlny umieścił w wewnętrznej kieszeni kurtki, dobrze ukrytej pod lewym ramieniem.

Wtopił się w tłum, pozwalając mu nieść się przed siebie.

Mijały go niekończące się szeregi twarzy, patrzące na niego bez ciekawości albo tylko prześlizgujące się po nim wzrokiem. Wozy grzechotały po bruku. Muzyka przesączała się przez otwarte drzwi i płynęła z osobistych odtwarzaczy. Od czasu do czasu wielki pełzak parowy z groźnym warkotem rozpychał tłum na prawo i lewo. W takich momentach dotyk nieznanego ciała przyprawiał go o dreszcz. Smród ludzkiego potu mieszał się z uryną Yuzzemów i piżmowym odorem Togorian. Mace wychwytywał też nieomylnie nutę gruczołów łokciowych flany Tila i zapach dymu liści portaak, smażących się na ogniu z lammasa. Zastanawiał się, jak obce stały się dla niego te wrażenia. Ale oczywiście to on był tu obcym.

Nie wiedział, co ma dalej robić.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Powiniem już wyruszać w drogę do Depy albo przynajmniej kierować się do Zielonej Górskiej Pralni, aby nawiązać kontakty z pozostałymi na planecie agentami wywiadu republikańskiego. Stać mnie było, by wynająć własną ekipę, choć przekupienie Geptuna spowodowało opróżnienie konta Kinsala Tappana, które nigdy nie zawiera więcej niż kilka tysięcy kredytów. Konto to monitorowane jest jednak przez Radę Jedi. Nowe fundusze zostaną przelane w miarę potrzeb.

Nietrudno będzie zdobyć pełzak parowy, a ulice są pełne niebezpiecznie wyglądających ludzi, którzy chętnie dadzą się wynająć. Mogłem zrobić mnóstwo różnych rzeczy.

A ja tylko pozwoliłem się unosić tłumowi.

Odkryłem, że się boję. Boję się, że popełnię kolejny błąd.

Dziwne nieznanne uczucie. Do czasu Geonosis nie przypuszczałem nawet, że takie uczucie jest możliwe.

W świątyni uczymy się wzajemnie, że jedynym błędem, jaki może popełnić Jedi, jest brak ufności w Moc. Jedi nie „orientują się” i nie „planują”. Takie działania są przeciwne istocie Jedi. Pozwalamy, aby Moc płynęła przez nas, unosimy się na jej falach w pokoju i sprawiedliwości. Szkolenie Jedi polega głównie na nauce, jak - zamiast rozumowi - ufać instynktowi, uczuciom. Jedi musi się nauczyć, jak unikać zastanawiania się nad sytuacją, jak rezygnować z działania; musi stać się pustym naczyniem, gotowym, aby Moc nappełniła je mądrością i działaniem. Czujemy prawdę, kiedy przestajemy ją analizować. Moc działa poprzez nas, kiedy porzucamy wszelkie wysiłki. Jedi nie decyduje. Jedi ufa.

Ujmując to innymi słowy: nie jesteśmy szkoleni do myślenia. Jesteśmy szkoleni, aby wiedzieć.

Na Geonosis jednak wiedza nas zawiodła.

Haruun Kal nauczyła mnie już, że zły osąd, który zaowocował tragedią na Geonosis, nie stanowił wyjątkowego przypadku. Może zdarzyć się znowu.

Zdarzy się znowu.

I nie wiem, jak to powstrzymać.

Samotne przybycie tutaj miało sens... ale był to sens intelektualny, a intelekt oszukuje. Wydawało mi się, że dobrze będzie, kiedy podejmę samotną wyprawę po Depę... lecz nie mogę już ufać moim uczuciom. Cień na Mocy zwraca nasze instynkty przeciwko nam.

Nie wiedziałem, co robić i nie wiedziałem też, jak zdecydować, co robić.



Istniały jednak instynkty, które niewiele miały wspólnego ze szkoleniem Jedi. Mace podporządkował się takiemu właśnie instynktowi, kiedy poczuł na ramieniu lekkie przyjacielskie klepnięcie. Okręcił się na pięcie i rozejrzał - ale nikogo nie było.

Klepnięcie było posłaniem Mocy.

Objął wzrokiem morze głów w dymie pełzaka parowego. Smętnie zwisające reklamy kafejek ociekały wilgocią z powietrza. Wozem zaprzężonym w wyleniałego trawiaka powoził woźnica, wymachujący batem elektrycznym i wołający: „Dwa kredyty, wszędzie, po całym mieście! Dwa kredyty!” Jakiś Yuzzem z oczami nabiegłymi krwią i mętными od alkoholu, zaprzężony do starej dwukołowej rykszy, warknął groźnie. Obrócił się w uprzęży i ściągnął człowieka z kozła; trzymał go nad głową w jednej ogromnej dłoni, podczas gdy druga prezentowała nieprzyjemnie wielkie i ostre szpony. Warknięcie w wolnym przekładzie mogło znaczyć: „Nie ma kasy? Nie szkodzi. Jestem głodny”.

Kolejne klepnięcie.

Tym razem Mace zdołał go dostrzec, gdy tłum wykonał jeden z tych ulotnych jak dym manewrów, po których nagle otwiera się pusta przestrzeń i można zajrzeć na sto metrów w głąb ulicy: był to smukły Koran o połowę młodszy od Mace'a, o ciemniejszej karnacji, ubrany w grubo tkaną tunikę i spodnie leśnego ghoshina. Mace pochwycił szybki błysk białych zębów i spojrzenie zaskakująco niebieskich oczu, lecz młody Koran prawie natychmiast skręcił gdzieś i znikł.

Te dziwne oczy... czy Mace już ich kiedyś nie widział? Może na ulicy, zeszłej nocy... może gdzieś w okolicach zamieszek?

Potrzebował kierunku. Ten wydawał się obiecujący.

Młody Koran najwyraźniej chciał, żeby Mace szedł za nim. Za każdym razem, kiedy tłum się zamykał i Mace był bliski zgubienia go, kolejne klepnięcie poprzez Moc dawało mu znak.

Tłum miał własne tempo. Im szybciej Mace próbował się poruszać, tym większy napotykał opór: łokcie, biodra i ramiona, a nawet jeden czy dwa staroświeckie lewe proste w samą pierś, przy akompaniamencie niewyszukanych ocen jego sposobu poruszania się i ofert wypełnienia luki w jego edukacji w tej dziedzinie. Na te propozycje odpowiadał spokojnie: „Nie chcesz się ze mną bić”. Ani razu nie podkreślił tego stwierdzenia Mocą. Wystarczyło, że adwersarz spojrzał mu w twarz.

Jeden szczególnie podniecony młodzieniec nie zaufał komunikacji werbalnej i postanowił wyrazić swoje niezadowolenie krzepkim sierpowym prosto w nos Mace'a. Mace poważnie skłonił głowę, jakby w uprzejmym ukłonie, a pięść młodzieńca roztrzaskała się na kości czołowej ogolonej na gładko czaszki. Przez moment Jedi rozważał, czy nie przekazać młodzieńcowi przyjacielskiej nauki na temat cnót cierpliwości, pokoju i cywilizowanego zachowania- albo przynajmniej łagodnej krytyki nędznego ciosu - ale kiedy ujrzał, jak tamten przyklęka, tuląc do piersi zranioną rękę, przypomniał sobie słowa Yody: „Najważniejszych lekcji bez słów się udziela”, więc tylko przepraszająco wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Nacisk tłumu spowodował, że jego pogoń zaczęła przypominać kwadraturę koła: Mace nie był w stanie dotrzeć do młodego Korana, nie ściągając na siebie coraz większej uwagi i nie uszkadzając paru nie dość uprzejmych przechodniów. Czasem, kiedy Koran oglądał się za siebie, Mace'owi wydawało się, że dostrzega cień uśmiechu, ale był zbyt daleko, żeby go odczytać: czy był to uśmiech zachęty? Przyjacielski? Tylko uprzejmy? A może złośliwy?

Albo drapieżny...

Koran skręcił w węższą i ciemniejszą uliczkę, jeszcze pogrążoną w mroku uciekającej nocy. Tu tłumy ustąpiły miejsca parze Yakorów, ramię w ramię odsypiających wieczorną hulankę w niebezpiecznej bliskości kałuży wymiocin, oraz trzem lub czterem podstarzałym kobietom Balawai, które wyszły, aby pozamiatać przed drzwiami swoich nor. Ich poranny rytuał codziennych plotek uległ zmaczeniu, kiedy Mace podszedł bliżej. Chwyciły kurczowo miotły, poprawiły chustki, kryjące to, co pozostało z ich włosów, i przyglądały mu się w milczeniu.

Jedna z nich splunęła mu pod nogi, gdy przechodził.

Zamiast zareagować, przystanął. Teraz, z dala od głównych ulic i odległego, monotonnego stukotu głosów, stóp i kół, usłyszał nowy dźwięk, przenikający poranek: słaby, lecz wyraźny. Cichy, ale przenikliwy szum o nieregularnych pulsacjach, wznoszący się i opadający jak kubek na leniwych falach.

Silniki repulsorowe. Może więcej niż jeden.

Echa na otoczonej budynkami ulicy sprawiły, że dźwięk zdawał się dochodzić zewsząd, ale się nie wzmacniał. A kiedy Mace otrzymał od Uśmiechniętego kolejne dotknięcie poprzez Moc i ruszył dalej ulicą, dźwięk także nie osłabł.

Po drugiej stronie budynków, pomyślał. Równy ze mną.

Może to ślizgacze. Może skutery odrzutowe. Z pewnością nie śmigacz. Repulsory śmigacza mruczały jednostajnie i nie pulsowały, kiedy pojazd podskakiwał.

Zaczął powoli rozumieć.

Podążał za Uśmiechniętym przez labirynt ulic, które skręcały i rozwidlały się na wszystkie strony. Niektóre były głośnie i zatłoczone, gdzie indziej rozlegały się tylko stłumione rozmowy i szelest polimerowych opon bicykli. Dachy zwisały nad głowami, górne piętra niemal się stykały, zasłaniając poranne niebo i pozostawiając z niego tylko ciemnoniebieski pasek nad uliczką pogrążoną w nieustannym zmierzchu.

Kręte uliczki zmieniły się w plątaninę alejek. Jeszcze jeden zakręt i Uśmiechnięty znikł.

Mace znalazł się na niewielkim zamkniętym dziedzińcu. Wokół niego stały ogromne, przepełnione pojemniki na śmieci; zsypy znaczyły puste fasady otaczających go domów. Najniższe okna znajdowały się na wysokości dziesięciu metrów i były zamaskowane drucianą siatką. Wysoko, ponad krawędzią dachu, bystre oczy Mace'a wyłuskały bliźnię - jaśniejszą cegłę. Uśmiechnięty musiał

szybko wspiąć się na górę po linie i wciągnął ją za sobą nie dając Mace'owi możliwości podążenia za nim.

W niektórych językach takie miejsce nazywa się martwym punktem.

Doskonałe miejsce na pułapkę.

Nareszcie, pomyślał.

Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zmienili zamiaru.

Staął na środku podwórza, plecami do prostej części alejki, i otworzył umysł na Moc.

W Mocy widział tamtych jako pola energii.

Cztery skupiska ukrytej złośliwości zmieszanej z emocją wyczekiwania: nadzieja na pomyślne łowy, lecz bez ryzyka. Dwaj stali na końcu alejki, aby osłaniać i wspierać główne siły. Druga dwójka zbliżała się w milczeniu z opuszczoną bronią gotową do strzału z bezpośredniej bliskości. Mace czuł punkty celownika kreślące gorące linie na jego skórze pod ubraniem, niczym ariduzjańskie lawozuki.

Szum repulsorów wzmógł się i zmienił kierunek: rozlegał się teraz po obu stronach i z góry. Mace domyślił się, że to skutery odrzutowe. Jego postrzeganie w Mocy rozszerzyło się i objęło skutery; czuł nad głową podwyższone zagrożenie i włączoną broń. Cywilne ślizgacze rzadko bywały uzbrojone. Po jednej osobie na każdym pojeździe. Byli poza zasięgiem wzroku i zataczali koła nad dachami, aby wziąć go w krzyżowy ogień.

Zaczynało być ciekawie.

Mace czuł ciepłą emocję wyczekiwania. Po całym dniu niepewności, ukrywania się pod przebraniem, dawania łapówek i wypuszczania łotrów na wolność, z niecierpliwością czekał na chwilę prostego, nieskomplikowanego mordobicia.

A potem zorientował się, o czym właściwie myśli, i westchnął ciężko.

Żaden Jedi nie był doskonały. Wszyscy mieli wady, z którymi walczyli bez ustanku. Nieliczne osobiste wady Mace'a doskonale były znane wszystkim Jedi z jego najbliższego otoczenia, a on ich nie ukrywał. Sam fakt, że swobodnie przyznawał się do słabości, dodawał mu splendoru. Nigdy też nie zawahał się poprosić o pomoc, żeby sobie z nimi poradzić.

Tutaj jednak miała znaczenie tylko jedna wada: lubił się bić. W przypadku Jedi jest to szczególnie niebezpieczna przywara.

A Mace był szczególnie niebezpiecznym Jedi.

Dzięki surowej samodyscyplinie zdołał opanować niecierpliwość i zdecydował się na negocjacje. Jeśli zdoła ich odwieść od ataku, mogą ująć z życiem. A skoro wydawali się profesjonalistami, może zdoła od nich kupić potrzebne informacje... zamiast je z nich wybijać.

Zanim doszedł do tego wniosku, otaczający go ludzie doszli do wyznaczonych pozycji. Rzeczywiście, profesjonaliści: bez jednego słowa opuścili broń, wycelowali i podwójny snop rozżarzonej plazmy skierował się ku jego plecom.

Nawet najlepszy strzelec potrzebuje co najmniej ćwierć sekundy, żeby od decyzji o strzale przejść do naciśnięcia spustu. Zagłębiony w Moc Mace wyczuł ich decyzję, zanim jeszcze ją podjęli: jak echo własnej przyszłości.

Zanim więc ich palce zdołały bodaj drgnąć, on już ruszył.

Kiedy strzały były na ćwierć drogi do celu, Mace okręcił się na pięcie, aż zafurkotała mu kurtka. Zanim dotarły do połowy drogi, Moc wsunęła mu miecz do ręki. Prawie natychmiast ostrze rozblęskło. Gdyby teraz laserowe promienie dosięgły ciała, trafiłyby na długą na metr kaskadę jaskrawo fioletowej energii.

Mace błyskawicznie odbił lasery w kierunku strzelających... ale zamiast odbić się od ostrza, smugi energii przedarły się przez nie i musnęły go po żebrach, ostatecznie rozbijając się o pojemnik na śmieci, aż zabrzączał i zadygotał niczym pęknięty dzwon.

Chyba jednak wpadłem, pomyślał Mace.

Nie zdążył sformułować tej myśli do końca, gdy obaj strzelcy (jakaś cząstka mózgu Mace'a uznała, że są to ludzie) przełączyli broń na automat. Oślepiająca kaskada światła zalała alejkę.

Mace rzucił się w bok i wywinął kozła w powietrzu; strzał trafił go w goleń, podcinając mu jedną nogę, przez co zamiast pełnego salta wykonał jedynie przewrót, ale i tak zdołał wylądować w kucki za wewnętrznym zakrętem alejki. Spojrzał na nogę - strzał nie przebił skóry buta.

Nastawili na ogłuszanie, pomyślał. Zawodowcy i w dodatku chcą mnie żywcem.

Zaczął analizować, czego może się jeszcze spodziewać ze strony napastników, kiedy stwierdził nagle, że jego ostrze rzuca dziwnie blade światło. O wiele za blade.

Z rozdziawionymi ustami przyglądał się, jak na jego oczach klinga blednie coraz bardziej, migocze, aby wreszcie zgasnąć.

Przypadkiem może się okazać, że wpadłem bardzo głęboko, pomyślał.

Bateria w mieczu była rozładowana.

- Przecież to niemożliwe - warknął. - Przecież... Żołądek wywinął mu koziołka, bo zrozumiał. Geptun.

Nie docenił go. Skorumpowany, chciwy... tak. Ale głupi? Okazuje się, że nie. Jedi! Głos jednego ze strzelców dobiegał z głębi alei.

- Załatwmy to spokojnie, dobra? Nikt nie musi oberwać. Gdyby to mogła być prawda, pomyślał Mace.

- Mamy tu różne rzeczy, Jedi. Nie tylko miotacze. Mamy glop. Mamy nitynit. I sieci paralizujące.

To czemu jeszcze ich nie użyli? Mace stwierdził, że to najemnicy. Może nawet łowcy nagród. Z pewnością nie milicja. Granaty glopowe i gazy usypiające są drogie, strzał z miotacza kosztuje tyle co nic. Oszczędzają po kilka kredytów.

Dają mu też czas do namysłu. Miał wielką ochotę sprawić, żeby tego pożałowali.

- Chcesz wiedzieć, co jeszcze mamy? - Mace doskonale słyszał ironiczne prychnięcie napastnika. - No to popatrz w górę.

Na krawędzi dachu, dokładnie nad jego głową, wisiała para skuterów odrzutowych. Głowy pilotów w kaskach odcinały się wyraźnie na tle nieba. Przednie łopatki sterujące lśniły w słońcu i rzucały błyski na bruk podwórka. Podwieszona działka laserowe zerknęły na Mace'a przy-smalonymi dyszami. Był całkowicie odsłonięty na ogień... ale oni nie zamierzali strzelać.

Mace pokiwał głową. Chcieli go żywcem, to jasne. Jeden strzał z tych działek i musieliby zbierać jego szczątki szufelką i mopem.

Nie oznaczało to jednak, że działka były bezużyteczne - jeden strzał z bliższego skutera wyrwał potężny kawał muru z palonej cegły jakieś dwa metry nad jego głową. Odłamki i drzazgi obsypały Mace'a, kalecząc tak dotkliwie, aż powaliły go na ziemię.

Coś ciepłego pociekło po skórze Mace'a, poczuł zapach krwi. Dostał, to jasne, ale na razie nie mógł się zorientować, jak poważne są to rany. Poczołgał się przez stosy gruzu i zanurkował za pojemnik na śmieci. Nic z tego - pilot z przeciwnej strony strzelił w pojemnik, który zakołysał się i uderzył Mace'a dość mocno, by go pozbawić tchu.

Postrzelony. Ogłuszony. Poraniony. Potłuczony. Bezbronny.

Haruun Kal załatwiło go, a nie przebywał na tym świecie nawet jednego standardowego dnia.

- W porządku! - Wyciągnął obie ręce nad pojemnik, żeby mogli je widzieć piloci skuterów. Rozładowany miecz zwisał mu z palca na kółku, o które zahaczał go zwykle przy pasie. - Wychodzę. Nie strzelajcie.

Pilot skutera skorygował nieco swoją pozycję, zanim Mace wygramolił się zza pojemnika z podniesionymi rękami. Drugi skuter wisiał z tyłu, osłaniając ich z góry. Mace ruszył w kierunku wylotu alejki, zaczerpnął głęboko tchu i wyszedł zza rogu. Dwaj strzelcy powoli wyszli z ukrycia: jeden zza śmietnika, a drugi z wnęki drzwiowej. Dwaj pozostali nie ruszali się ze swoich pozycji na końcu alei.

- Dobrzy jesteście - pochwalił Mace. - Niewielu lepszych widziałem.

- Hej, dzięki - odpowiedział jeden. Sądząc po głosie, był to ten sam, który mówił wcześniej. Prawdopodobnie dowódca.

Nie wyglądał jednak zbyt przyjaźnie. I on, i jego partner trzymali miotacze w zgięciu ramienia. Ludzie w końcu alei mieli dwulufowe strzelby laserowe połączone z czymś większym - granatnikiem lub wielokalibrowym karabinem do rozpędzania zamieszek.

- W ustach takiego Jedi, to chyba wielka pochwała - dodał dowódca.

- Z pewnością jesteście świetnie przygotowani.

- Jasne. Obejrzę sobie ten miotacz, co? Tylko grzecznie. Powoli - bardzo powoli - Mace przełożył miecz świetlny do lewej dłoni, prawą kierując ku kolbie power 5.

- Powiedzieć wam, ile razy takie grupy jak wasza próbowały mnie dopaść? Nie tylko na podwórkach. Również na ulicach. W jaskiniach. Na klifach. W ładowniach frachtowców. Pralniach chemicznych. Gdzie chcecie.

- A teraz jesteś uziemiony. Połóż miotacz na ziemi i kopnij go w kierunku mojego przyjaciela.

- Różni się trafiali. Piraci. Łowcy nagród. Dzikie plemiona. Hordy wyjców. - Mace zachowywał się, jakby snuł wspomnienia w gronie przyjaciół, ale jednocześnie spełnił polecenie. - Uzbrojeni we wszystko, od detonatorów termicznych po kamienne siekiery. A zdarzało się, że tylko w szczęki i pazury.

Milczący schylił się po power 5. Lufa jego miotacza zmieniła ustawienie. Mace zrobił krok w lewo. Teraz ten, który mówił, był na linii strzału pary za jego plecami.

Mace sięgnął w Moc i w alejce wokół niego skryzalizowała się sieć płaszczyzn przecięcia, linii naprężeń i wektorów ruchu. Skazy i pęknięcia, jak w kamieniu, łączyły mówiącego i jego partnera, dwóch strzelców z drugiej strony alejki, skutery i ich pilotów, dwudziestometrowej wysokości budynki po obu stronach...

I Mace'a.

Żaden dostrzeżony punkt przelomu nie był w stanie wydobyć go z tej matni. Co nie znaczy, że z niej nie wyjdę, pomyślał. Tyle tylko że nie będzie to łatwe.

Ani szczególnie prawdopodobne.

Odetchnął głęboko, aby się skupić.

Jeden oddech wystarczył. Jeśli Moc miała sprowadzić na niego śmierć tu i teraz, był gotów.

- Teraz miecz świetlny - poleciał dowódca.

- Jesteście lepiej przygotowani niż inni, to fakt. - Mace zważył miecz świetlny na dłoni. - Ale jak zwykle, zapomnieliście o pewnym urządzeniu, które mogłoby wam się przydać.

- Tak? A co to takiego?

Głos Mace'a stał się nagle zimny, a oczy jeszcze zimniejsze.

- Ambulans.

Dowódca uśmiechnął się szerzej, ale nagle spowaźniał. Spokojne spojrzenie Mace'a nie pozwalało na wesołość. Tamten podniósł miotacz.

- Miecz świetlny. Już.

- Jasne. - Mace rzucił miecz w jego stronę. - Łap.

Miecz zakreślił długi łuk. Poprzez Moc Mace czuł, jak pozostali odprężają się odrobinę: leciutkie zmniejszenie nacisku palca na spuście, drobne przesunięcie naładowanej adrenaliną koncentracji. Poczuli ulgę, bo on był teraz bezbronny.

Nikt z nich nie wiedział, czym jest miecz świetlny.

Mace zaczął budować swój miecz, kiedy jeszcze był padawanem. W dniu, kiedy po raz pierwszy położył dłoń na metalu, marzył o mieczu już od trzech lat. Wyobraził go sobie tak dokładnie, że miecz istniał już w jego umyśle, kompletny i doskonały w każdym szczególe. Jego konstrukcja nie była twórcza, ale nowoczesna: Mace przyjrzał się rzeczywistości i zmienił ją w przedmiot. Przedmiot składający się z metalu i klejnotów, z wyrzutni cząsteczek i z ogniwa. Ale jego prawdziwym mieczem był miecz świetlny, istniejący jedynie w tej części Mocy, którą Mace nazywał swoim umysłem.

Miecz świetlny to nie broń. Broń można odebrać lub zniszczyć. Broń to urządzenie wojskowe. Wielu ludzi nadawało swojej broni imiona. Mace nigdy by nie nadał swojemu mieczowi świetlnemu imienia - tak samo, jak nie nadałby go swojej dłoni. Nie był już tym chłopcem, który czterdzieści jeden lat temu po raz pierwszy wyobraził sobie jego kształt, a jego miecz świetlny nie był identyczny z tym pierwszym obrazem ze snów dziewięcioletniego dzieciaka. Z każdym kolejnym krokiem, pogłębiającym zrozumienie Mocy i własnego w niej miejsca, musiał przebudowywać swój miecz. Przerabiać go. Miecz dorastał wraz z nim.

Ten miecz był odbiciem całej jego wiedzy. Wszystkiego, w co wierzył.

Wszystkiego, czym był.

Dlatego bez wysiłku, bez specjalnej koncentracji zdołał przechwycić lecący w powietrzu miecz i wystrzelić go jak kulę.

Miecz, świszcząc, przeciął powietrze i z twardym stukiem, niczym kamienia o drewno, trafił dowódcę między oczy. Siła ciosu zwała go z nóg, pozbawiając przytomności albo nawet życia, zanim jeszcze sięgnął ziemi. Dłonie ofiary zacisnęły się na miotaczu, który plunął ogniem. Mace poprzez Moc pchnął lufę miotacza w kierunku drugiego napastnika. Strzał rzucił tamtego na ziemię, aż się potoczył. Mace skierował miotacz jeszcze wyżej; potężny strumień energii wżarł się łukiem w ścianę budynku, po czym ciał po sterach skutera, który znajdował się nad Mace'em. Pojazd wpadł w korkociąg; pilot miał dość kłopotu z utrzymaniem się w siodle, aby jeszcze myśleć o strzelaniu.

Rusznice pozostałych w alejce napastników plunęły ogniem, ale Mace był już w ruchu. Poderwał ciało i skoczył na ścianę pięć metrów wyżej; odepchnął się od niej prosto na przeciwległy mur, potem wrócił... i tak zygzakiem przedzierał się ku dachowi przez gęsty ogień miotaczy.

W dole rozbłysły spóźnione granaty; rozżarzony biały glob rozprysnął się po całej alejce, uwalniając purpurową chmurę usypiającego gazu nytinit. Mace był jednak znacznie powyżej granicy jego zasięgu. Przeskoczył przez krawędź dachu z wypalanych dachówek i... natknął się na ludzi.

Dach był zastawiony skrzynkami cegieł, dachówkami i puszkami płynnego permacytu, poskładanymi plandekami, które mogły służyć do osłony przed zimowym deszczem, a teraz stały się schronieniem dla co najmniej dwóch ludzi.

Leżeli ukryci pod płachtami, niewidzialni, lecz Mace czuł ich poprzez Moc: odbierał dreszcz adrenaliny i desperackie próby zachowania bezruchu. Gapie? Dekarze walczący o życie, złapani w wir przypadkowej bójki? Rezerwy dla grupy szturmowej?

Mace nie był pewien, czy dożyje, żeby się dowiedzieć.

Zanim wylądował, drugi pilot skutera odciął mu drogę fontanną ognia laserowego. Jedno uderzenie przez Moc skierowało strzał na dach, ale niemal natychmiast pilot odpalił w jego stronę odbezpieczony granat udarowy. Mace sięgnął poprzez Moc i odepchnął granat daleko od siebie i ukrytych ludzi, ale strumień energii z armatki zdążył już wypalić w dachu linię zwęglonych dachówek i dymiących dziur.

Skoczył więc w tamtą stronę.

Jedno pchnięcie Mocą w górę uniosło go ponad strumień energii. Mace zanurkował śrubą z przewrotem i wylądował na stopach, z plecami opartymi o masywny komin, który wznosił się pośrodku dachu. Komin zadygotał od uderzeń strzałów z drugiej strony. Poprzez Moc Mace czuł, że drugi skuter kieruje się w stronę szczeliny.

Dziury po strzałach w dachu, zdecydował. Działka pozostawiły wielkie, ziejące otwory, przez które można było przejść. Gdyby zdołał się przez nie dostać do budynku...

Komin był tylko o metr wyższy od Mace'a. Jedi skoczył na jego szczyt. Ogień z działka natychmiast skierował się na jego stopy. Zanim zdążył znaleźć dziurę w dachu, która zdołałaby go pomieścić, komin zachwiało się, osiadł i zaczął się walić.

Wczepił się palcami w ściankę, żeby złapać równowagę. Nagle ktoś krzyknął:

— Hej, Windu! Z serdecznymi życzeniami!

Mace ujrzał, że róg plandeki się odchyła, dostrzegł pod nią błysk niebieskich oczu i białych zębów, a potem w jego stronę poleciał przedmiot, który dziwnie znajomo kręcił się w powietrzu.

W ogólnym zarysie przypominało to granat kriobański, ale kiedy Mace sięgnął poprzez Moc, aby go odrzucić, rozpoznał: jego dotyk był równie znajomy jak głos Yody.



Miecz świetlny.

Miecz świetlny Depy.

Zamiast odepchnąć go od siebie, Mace sięgnął i poczuł poprzez Moc... poczuł Depę tak wyraźnie, jakby stała obok niego i trzymała go za rękę. Uchwyt uderzył go w dłoń.

W zielonym świetle miecza Depy sytuacja nabrała całkiem innego wymiaru.

Walka skończyła się w mniej niż pięć sekund.

Wiszący w górze skuter znów otworzył ogień i Mace usunął się na bok, pozwalając Mocy kierować ostrzem. Strzały odbiły się od fontanny energii i uderzyły w ogniwo zasilające skutera, ciskając go z łoskotem na ziemię u wylotu alejki. Błękitnooki Korun - Uśmiechnięty, ten, który go tu sprowadził - oraz drugi mężczyzna, który leżał pod plandeką, byli uzbrojeni w szybkostrzelne karabiny konwencjonalne, które wysunęli za krawędź dachu, zasypując wszystko w dole śmiertelnościami gradem kul.

Z kryjówki na dachu wyskoczyła jeszcze dwójka Korunnai. Mężczyzna miał broń na naboje, która natychmiast plunęła ogniem; wysoka, jasnoskóra dziewczyna o rudawych włosach stanęła na szeroko rozstawionych nogach, dzierżąc pod pachą potężny merr-sonn thunderbolt i zalała alejkę świszczącymi wiązkami skoncentrowanych cząsteczek.

Drugiemu pilotowi nie spodobał się nowy układ sił; dodał gazu i wyskoczył skuterem ponad dachy. Uśmiechnięty obrócił się wraz z karabinkiem i wycelował w plecy pilota... zanim jednak wystrzelił, skuter przekoziółkował w powietrzu, stracił stabilność i spadł, rozbijając się o ścianę sąsiedniego budynku z prędkością około dwustu kilometrów na godzinę.

Uśmiechnięty machnął ręką i Korunnai przestali strzelać.

Nagła cisza zadzwoniła Mace'owi w uszach.

- Fajnie było, nie? - Uśmiechnięty wyszczerzył się do Mace'a i mrugnął. - Ejże, Windu, przyznaj się, nie pociekło ci po nogach?

Mace opadł na dach i zatrzymał ostrze Depy w neutralnej pozycji.

- Kim jesteście?

-Jestem facetem, który właśnie wyrwał rozeń do przypiekania cię na wolnym ogniu. Spływamy, chłopie. Milicja może się zjawić w każdej chwili.

Para Korunnai po drugiej stronie alejki zjeżdżała już w dół po cienkich linach. Uśmiechnięty i jego kumpel założyli na krawędź dachu haki, chyba wykonane z brązowina, i zrzucili swoją linę. Towarzysz Uśmiechniętego przewiesił karabin przez ramię i zsunął się w dół.

Mace spojrział na dym unoszący się z ziejącej dziury, jaką drugi skuter pozostawił w budynku, i

skrzywił się lekko. Uśmiechnięty pochwyił jego spojrzenie i zachichotał.

- Spodobał mi się ten gość, dał się złapać na drut. Zaoszczędził mi strzału.

- Mam tylko nadzieję, że nikogo nie było w domu - wymamrotał Mace.

- Ale bajzel, co? - Uśmiechnięty wyszczerzył się radośnie. - Nie będziemy raczej identyfikować zwłok. Lepiej spadajmy.

Mace spojrzał na niego chłodno.

- Mam dziwne wrażenie - rzekł powoli - że ty i ja nie zostaniemy przyjaciółmi.

- Co ty powiesz? Serce mi zaraz pęknie. - Uśmiechnięty chwycił linę i pokiwał palcem. - We dwójkę, Windu. Czekasz na zaproszenie? A może na kwiatki i bombonierkę?

Kaskada światła z miecza Depy oświetlała ich twarze jak słońce przesączające się przez liście.

- Wiesz, na co czekam? - odparł Mace. - Aż mi powiesz, co ten miecz robi u ciebie.

- Miecz świetlny? - Błękit oczu Uśmiechniętego zaśnił demonicznym blaskiem. - To moje referencje  
- rzucił i zniknął za krawędzią dachu.

Mace stał na dachu, gapiąc się na szmaragdowy promień ostrza Depy. Albo dała miecz Uśmiechniętemu, albo ukradł go ze zwłok. Mace miał nadzieję, że w grę wchodzi pierwsza możliwość.

A przynajmniej miał nadzieję, że ma nadzieję.

Depa, którą znał... czy pożyczylaby komuś swój miecz? Oddałaby część siebie?

Coś w środku podpowiadało mu, że to niemożliwe.

Po kilku sekundach zwolnił płytkę aktywacyjną. Ostrze skurczyło się i znikło, pozostawiając jedynie w powietrzu woń jonizacji. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie weszła gładko: uchwyt był pokryty cienką warstwą mazi o dziwnym ziołowym zapachu.

Chyba to jakaś żywica. Lepka, ale nie plami dłoni.

Mace pokręcił głową i skrzywił się na widok swojej ręki. Westchnął i wzruszył ramionami. Może już czas przestać oczekiwać, że wydarzenia na jego planecie zaczną mieć więcej sensu.

Wychylił się z krawędzi dachu. W dole, na podwórku, cztery trupy, plus pilot leżący wśród szczątków skutera w alejce. Jeszcze jeden, który się rozbił o budynek, i to wszystko.

Uśmiechnięty i Korunnai szybko i sprawnie obrabiali zwłoki.

Mace zacisnął szczęki. Jeden z trupów - chyba ten, który prowadził pertraktacje - miał głębokie, krwawe cięcie od ucha do ucha.

Ktoś poderzwał mu gardło.

Mace poczuł w piersi bolesny ciężar. Pewne sprawy nabierały sensu, ale ten sens przyprawiał go o mdłości.

Moc nie przekazywała mu oznak poczucia winy ze strony żadnego z Korunnai; może przemoc była tutaj na tyle powszechna, że nikt nie bawił się w subtelności. A może ci, którzy to zrobili, nie byli zdolni do odczuwania winy.

W końcu ci... mordercy byli jego największą, a może jedyną nadzieją, że odnajdzie Depę.

Nie mógł tak po prostu odpuścić.

Przyszła mu do głowy kolejna lekcja Yody: „Kiedy wszystkie opcje wydają się niewłaściwe,

wybierz opanowanie".

Mace zsunął się po linie.

Uśmiechnięty skinął mu głową.

- Wyglądasz okropnie. Ściągaj tę koszulę. - Sięgnął do kieszeni przy pasie zabitego i wyciągnął z niej indywidualny pakiet medyczny. - Na pewno ma tu bandaż w sprayu...

Mace wziął Uśmiechniętego za ramię.

- Doszedłem do wniosku, że ty i ja musimy nieco zmienić nasze wzajemne stosunki - oznajmił.

- Hej... boli! - Uśmiechnięty próbował się wyrwać, ale stwierdził, że chwyt Mace'a nie różni się od uścisku szponu dokującego frachtowca. - Hej!

- Zaczęliśmy od niewłaściwego punktu - wyjaśnił Mace. - Musimy wprowadzić poprawki. Jak sądzisz, dasz radę załatwić to spokojnie?

Pozostali Korunnai podnieśli głowy znad łupu. Wstali z posępnymi minami i zwrócili się w ich stronę, poprawiając chwyt na broni. Palce wśliznęły się w osłony spustu.

- Niedobry pomysł - ostrzegł Mace. - Dla wszystkich zainteresowanych.

- Hej, puść moje ramię, co? Może mi się jeszcze kiedyś przydać...

Mace zacisnął palce.

- Powiedz im, co robimy.

- Może jednak dasz spokój, zanim połamiesz mi kości? - głos Uśmiechniętego był dziwnie piskliwy, a na górnej wardze pojawiły się kropelki potu. - Tak ci się spodobało, że chcesz je zabrać do domu?

- To nie jest uścisk, którym łamię kości. Tak ściskam, kiedy chcę powiedzieć: Nie rób głupstw. - Mace zacisnął dłoń tak mocno, że Uśmiechnięty aż zaskowyczał. - Ale powolutku możemy dojść do łamania kości... za jakieś dziesięć sekund.'

- Cóż, skoro tak stawiasz sprawę...

- Powiedz im, co robimy.

Uśmiechnięty odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez ramię na pozostałych Korunnai.

- Hej, dzieciaki, spokojnie - odezwał się słabym głosem. - My tylko... eee... precyzujemy nasze stosunki.

- Pokojowo.

- Jasne, pokojowo.

Pozostali Korunnai wypuścili z rąk strzelby i wrócili do obrabiania ciał.

Mace puścił Uśmiechniętego, który zaczął masować sobie ramię z obrażoną miną.

- A tak właściwie, to o co ci chodzi?

- Nie wciągnąłeś mnie w pułapkę. Wykorzystałeś mnie, żeby wciągnąć w pułapkę tamtych.

- Hej, kapitanie Oczywisty, wiadomość dnia: to nie była pułapka.

- No to jak to nazwiesz? - zmarszczył brwi Mace.

- To była zasadzka - skrzywił się Uśmiechnięty. - A co, w szkole Jedi nie uczą basicu?

- Wiesz co? - odgryzł się Mace. - Nie cierpię cię od pierwszej chwili.

- Czy to w języku Jedi oznacza: Dziękuję bardzo za uratowanie mojego tyłka? - Uśmiechnięty pokręcił głową z udanym smutkiem. - No więc o co chodzi? Dlaczego się rzucasz?

- Wolałbym wziąć ich żywcem - powiedział twardo Mace.

- A po co?

W Pelek Baw to dobre pytanie, przyznał Mace. Żeby oddać ich w ręce władz? Jakich władz? Geptuna? Gliniarzy, którzy podskakiwali w prysznicach probi? Odetchnął głęboko.

- Chciałem ich wypytać.

- Wszystko musisz wiedzieć, co? - rzuciła rudowłosa dziewczyna z thunderboltem. Spojrzała na Mace'a z dołu, wciąż przycupnięta przy zwłokach. Jej góralski akcent był tak twardy, że można było go kroić nożem. - Widzisz ich, nie? Sześć mętów Balawai. Zabici i martwi. Nigdy żaden dom Korun spalony. Nigdy żadne stado zabite, nigdy żadne dziecko zamordowane, nigdy żadna kobieta...

Nie skończyła, ale Mace odczytał ostatnie słowo z jej mrocznego spojrzenia. Czuł je w gniewie i gwałtowności, jakie emanowały z niej poprzez Moc. Mógł się domyślić, przez co przeszła. Poprzez Moc czuł to samo, co ona... chora z nienawiści, tak zraniona w głębi serca, że nie pozwalała sobie na żadne uczucia. Twarz Mace'a złagodniała, ale tylko na chwilę. Instynktownie wiedział, że dziewczyna nie potrzebuje litości. Nie była niczyją ofiarą.

Gdyby zauważyła, że się nad nią lituje, to by go znenawidziła.

Zniżył głos, mówiąc łagodnie i z szacunkiem:

- Rozumiem. Mam jedno pytanie: skąd wiesz, że ci ludzie popełnili takie czyny?

- Oni Balawai - odparła takim tonem, jakby spluwała trucizną. Więc to byli ludzie, których Depa po niego przysłała? Bolesny ucisk w piersi Mace'a był coraz cięższy.

Odsunął się od Uśmiechniętego i wyciągnął rękę w kierunku swojego miecza świetlnego, który leżał obok trupa z poderżniętym gardłem. Rozładowana rękojeść przyfrunęła do jego dłoni.

- Słuchajcie mnie. Wszyscy.

Spokojny autorytet, jakim brzmiał jego głos, sprawił, że spojrzeli na niego i już nie odwrócili wzroku.

- Nie będziecie mordować, dopóki jestem z wami - rzekł. - Rozumiecie? Jeśli spróbujecie, powstrzymam was. A jeśli i to nie wystarczy...

Mięsień na jego policzku zadrgał, a kostki palców zaciśniętych na uchwycie miecza zbieleły. Spokój w oczach ustąpił miejsca płonącemu gniewowi.

- Jeśli i to nie wystarczy... - dodał przez zęby - .. pomszczę wasze ofiary.

Uśmiechnięty pokręcił głową.

- No, no... witaj wśród żywych! Nie zauważyłeś przypadkiem, że mamy tu wojnę?

Dochodzący z dali cichy świst wzmagął się. Dołączyły kolejne gwizdy, coraz głośniejsze i wyższe. To syreny: oddziały milicji były w drodze.

- Alarm, dzieci. Wszyscy na pokład.

Korunnai przyspieszyli odzieranie trupów z pakietów medycznych, prowiantu, pojemników z gazem bojowym. Kredytów. Butów.

- Ty to nazywasz wojną - odparł Mace - ale to nawet nie byli żołnierze.

- Może i nie. Ale niektórzy mieli niezłe maszyny, nie sądzisz? - Uśmiechnięty podniósł jedną rusznicę i ze znanstwem się jej przyjrzał. - Bardzo śliczna. Jak inaczej mamy zdobywać takie rzeczy? Wasza cholerna Republika raczej ich nam nie przyśle.

- Czy są warte życia?

- Nie jesteś przypadkiem zanadto pyskaty? Czy to rzeczywiście my zdjęliśmy cię z rożna? „Dziękuję” byłoby może bardziej na miejscu...

- To ty, a nie kto inny - odarł ponuro Mace - wsadziłeś mnie na ten rożen. I nie spieszyłeś się za bardzo ze zdejmowaniem.

Drwina wprawdzie pozostała w głosie Uśmiechniętego, ale jego oczy nabrały dziwnego wyrazu.

- Nie znam cię, Windu. Ale wiem, kim powinieneś być. Ona wciąż o tobie opowiada. Wiem, co powinieneś umieć. Gdyby chcieli cię aresztować...

- To co?

Przechylił głowę na bok - koruński odpowiednik wzruszenia ramion.

- To byśmy im pozwolili. Idziesz czy nie?

Pelek Baw przesuwano się za przyciemnionymi szybami pojazdu terenowego. Pojazd podskakiwał na wielkich, grubych oponach z żywicy tutejszych drzew i na resorach wykonanych z płaskich, laminowanych drewnianych deseczek. Kierowca był tubylcem: Korun w średnim wieku z plamą katarakty na jednym oku i zepsutymi zębami, zabarwionymi na czerwono od żucia surowej kory thyssela. Mace i Korunnai siedzieli z tyłu, w kabinie pasażerskiej.

Mace nie podnosił głowy, udając, że pochłania go dopasowywanie zaimprovizowanego kondensatora, żeby doładować miecz świetlny ze zdobycznych akumulatorków. Nie wymagało to aż tak dużego skupienia, jego miecz świetlny był zaprojektowany tak, że łatwo dawał się ładować. W razie konieczności mógł użyć Mocy, żeby przełączyć ukryty wyłącznik w hermetycznie zamkniętej obudowie; otwierało się wtedy gniazdko pozwalające na ręczne wyjęcie ogniwa. Tymczasem pracowicie ciągnął przewody z baterii miotaczy i udawał, że wpatruje się w wyświetlacze.

Chodziło głównie o to, żeby nie podnosić głowy.

Pierwszą rzeczą, jaką po drodze zrobili Korunnai, było usunięcie z widoku całej broni, co udało im się pomimo podskoków pojazdu i ciasnego przedziału. Mace domyślał się, że mają w tym niezłą wprawę. Wszystkie odsłonięte części posmarowali kawałkami przejrystej, pomarańczowobrazowej żywicy, którą Uśmiechnięty nazywał bursztynem portaak. Był to naturalny środek grzybobójczy, którego GFW używał do zabezpieczania broni. Ta sama żywica pokrywała rękojeść miecza Depy.

Uśmiechnięty podał Mace'owi kawałek.

- Lepiej posmaruj swój miecz. I spróbuj zdobyć nóż. Albo pistolet na naboje. Nawet z bursztynem, broń zasilana elektrycznie nie jest tu szczególnie odporna. - Polecił mu zatrzymać grudę żywicy i wzruszeniem ramion skwitował podziękowanie.

Uśmiechnięty nazywał się Nick Rostu. Przedstawił się już w wozie, kiedy opatrywał sprayem ramię Mace'a i leczył jego sińce, hojnie czerpiąc ze zrabowanego pakietu medycznego. Mace przypomniał sobie, że ghoś Rostu był luźno spokrewniony z ghośem Windu; sam fakt, że Nick przyjął nazwisko Rostu, oznaczał, że jest nidoshem -dzieckiem klanu, sierotą. Jak Mace.

Ale nie był podobny do Mace'a.

W przeciwieństwie do towarzyszy, Nick mówił basikiem bez cienia akcentu. Doskonale orientował się w mieście, dlatego wyglądało na to, że to on dowodzi. Z rozmowy Mace wywnioskował, że Nick większość dzieciństwa spędził w Pelek Baw. Pamiętając koruńskie dzieci, które mieszkały w Pelek Baw, Mace wolał nie zastanawiać się nad tym, jak wyglądała jego młodość.

Wysoka dziewczyna z problemami emocjonalnymi miała na imię Chalk. Pozostała dwójka wydawała się na tyle do siebie podobna, że mogli być braćmi. Starszy, którego zęby nosiły szkarłatne ślady thysseła, miał na imię Lesh. Młodszy, Besh, nigdy się nie odzywał. Od kącika jego ust do prawego ucha biegła gruba, poskręcana blizna, a u lewej dłoni brakowało mu trzech palców.

W wozie rozmawiali między sobą po koruńsku. Z oczami wbitymi w rękojeść miecza Mace nie dawał po sobie poznać, że rozumie większość z tego, co mówili. Jego koruński był nieco przerdzewiały -nauczył się go trzydzieści pięć lat standardowych temu - ale wystarczył, Moc zaś pozwalała mu zrozumieć wtedy, gdy zawodziła pamięć. Ich rozmowy były właściwie normalne dla młodych ludzi po walce: „A widziałeś, kiedy...” i „O rany, myślałem, że naprawdę mnie...” Najwyraźniej usiłowali poukładać chaotyczne obrazy, jakimi były ich wspomnienia z bitwy.

Chalk od czasu do czasu zerkała na Mace'a.

- A co z Jedi Kamienną Twarzą? - spytała pozostałych, nie zwracając się wprost do nikogo. - Nie lubię go. Wygląda tak samo, kiedy czyści broń i kiedy jej używa. Robię się przy nim nerwowa.

Nick wzruszył ramionami.

- A czułabyś się szczęśliwsza, gdyby był taki jak Depa? Czuj się błogosławiona. I uważaj, co mówisz. Depa opowiadała, że parę lat temu spędził trochę czasu w górach. Może jeszcze rozmawiać po koruńsku.

Jedyną odpowiedzią Chalk był milczący grymas, który wbił się w żołądek Mace'a jak nóż. Jak Depa...

Aż się palił, żeby spytać, co Nick ma na myśli, ale tego nie zrobił. Nie mógł. Nie wolno mu było pytać o Depę. Już i tak był prawie chory z przerażenia, a w takim stanie nie powinno się spotykać ze swoją dawną padawaną, by ocenić jej zdrowie psychiczne i moralne. Będzie potrzebował umysłu tak jasnego, jaki uda mu się osiągnąć z pomocą całego szkolenia i dyscypliny Jedi. Nie mógł ryzykować, że oczekiwania, nadzieje czy lęki przyćmią mu zmysły.

Toczyli się teraz po nierównej drodze, wiodącej przez część miasta, której Mace nie znał: domostwa z grubo ciosanego kamienia wznoszące się pośród skupiska drewnianych chat. Tu ulice były znacznie mniej zatłoczone - jedyny ruch pieszy stanowili ponurzy, niedomyci mężczyźni i przestraszone kobiety wyglądające zza drzwi lub skupione w nerwowe grupki. Pojazd wciąż tracił cenne minuty na którymś rogu, zakręcie czy skrzyżowaniu w oczekiwaniu na ryk syreny parowej, oznajmiający wolną drogę. Szybciej pokonaliby tę trasę ślizgaczem powietrznym. Ale Mace tego nie zaproponował: latanie na tym świecie wydawało mu się bardzo niepewnym przedsięwzięciem.

Ale teraz nie był wcale pewien, że byłoby to o wiele bardziej niebezpieczne niż czas spędzony z tymi młodymi Korunnai. Martwili go - mieli dość kontaktu z Mocą, by być nieprzewidywalni, i dość brutalności w sobie, żeby dawało im to niebezpieczną siłę.

A oprócz tego był jeszcze Nick, który sprawiał wrażenie, że balansuje na granicy obłądu.



Jeszcze w alejce, stojąc pośród trupów i oczekując na przybycie milicji, Mace zapytał, gdzie jest ich transport i czemu się nie spieszą na jego spotkanie; nie chciał wplątywać się w kolejną potyczkę.

- Spoko. Oni też nie chcą- skrzywił się Nick. - Jak sądzisz, po co te syreny? Ostrzegają, że zaraz tu będą.

- Nie będą próbowali was złapać?

- Jeśli spróbują, będą musieli walczyć. - Poglądził swój długolufy karabinek, jakby to było zwierzątko. - Myślisz, że zechcą?

- Ja bym tak zrobił.

- No tak, dobrze. Ale oni nie są Jedi.

- Zauważyłem.

Spośród sztuk broni, które Korunnai pozostawili na ziemi, Besh podniósł power 5 Mace'a. Zmarszczył brwi, wzruszył ramionami i rzucił go z powrotem między trupy. Mace podszedł, żeby go zabrać, ale Nick poradził, żeby się nie fatygował.

- To moje - zaprotestował Mace.

- To złom - odparował Nick. Podniósł broń - Popatrz. Wycelował go w czoło Mace'a i nacisnął spust.

Mace zdołał powstrzymać się od zamknięcia oczu. Z pewnym trudem.

Z kolby popłynęła strużka zielonkawego dymu. Nick wzruszył ramionami i rzucił miotacz na ziemię.

- Zagrzybił się. Podobnie jak ten drugi skuter. Niektóre z tych obwodów mają po kilka nanometrów grubości; parę zarodników może je przeżreć bez trudu.

- To nie było zabawne - odparł Mace.

- Nie byłoby zabawne, gdybym się mylił, no nie? - zachichotał Nick. - Co z tobą, Windu? Depa mówiła, że masz kolosalne poczucie humoru.

- Musiała żartować - warknął Mace przez zaciśnięte zęby.

W pojeździe przyjrzał się uważnie każdemu z Korunnai po kolei. Żadnemu by nie zaufał. Nie czuł w nich złośliwości, no ale w Geptunie też jej nie wyczuwał. Znajdował jednak wokół nich dławiącą sieć gniewu, lęku i bólu.

Korunnai używali Mocy, ale nigdy nie przeszli szkolenia Jedi. Emanowali ciemnością, jakby pochodzili z jakiegoś odwróconego wszechświata, gdzie światło jest cieniem rzucanym przez ciemność gwiazd. Ich wściekłość i ból omywały Mace'a falami, które rezonowały z tymi w jego

własnym sercu. Nieświadomie wywoływali w Masie emocje, które całe życie szkolenia Jedi miało pogrzebać.

A pogrzebane emocje drgnęły w odpowiedzi...

Zrozumiał, że grozi mu tu niebezpieczeństwo. W pewnym sensie większe niż czysto fizyczne.

Teraz, siedząc w wozie terenowym i czekając, aż miecz świetlny się naładuje, Mace stwierdził, że powinien wyjaśnić sobie pewne rzeczy z tymi młodymi Korunnai. Nigdy nie będzie lepszego momentu.

- Sądzę, że wszyscy możemy pogadać sobie teraz w basicu - odezwał się. - Każdy szybko się znudzi prowadzeniem rozmowy w obcym języku.

Nawet nie kłamał.

Chalk obdarzyła go mrocznym spojrzeniem.

- Tu basie to obcy język.

- Jasne - zgodził się Mace. - Dopóki znajdujemy się w tym towarzystwie, będziemy się porozumiewać w tym właśnie języku.

- No, no, aleśmy szybcy do rozkazywania, co? Żadnych zabójstw, żadnego szabru, teraz mówienie w basicu... - odezwał się Nick. - Kto powiedział, że to ty tu rządysz? A jeśli nam się nie spodoba słuchać twoich rozkazów? Co wtedy będzie, Panie NiemaUczuć? Brzydkie słowa?

- Ale to ja tu rządę - łagodnie odparł Mace.

Słowa te zostały przyjęte pełnym politowania chichotem i parsknięciami.

Mace spojrzał na Nicka.

- Wątpisz w moją zdolność do utrzymania sytuacji w garści?

- Ale śmieszne - warknął Nick, rozmasowując ramię.

- Nie będę was nużył szczegółami kolejnych szczebli dowodzenia - oznajmił Mace. - Wolę się trzymać faktów. Prostych faktów. Łatwych do zrozumienia. Takich jak ten: mistrzyni Billaba przysłała was tutaj, żeby mnie do niej sprowadzić.

- A kto tak powiedział?

- Gdyby chciała mojej śmierci, zostawilibyście mnie w tej alei. Nie wysyłałaby was po to, żebyście mnie wyciągnęli. Wie, że jesteście na to za mali.

- To ty tak twierdzisz.

- Dostaliście rozkaz, żeby mnie doprowadzić.

- Depa właściwie nie wydaje rozkazów - wyjaśnił Nick. - Ona... jakby dawała ci do zrozumienia, co według niej powinieneś zrobić. A ty to robisz.

Mace wzruszył ramionami.

- Chcecie ją rozczarować?

Niepewne spojrzenia, jakie wymienili po tych słowach, jeszcze mocniej wbiły rozżarzony nóż we wnętrzości Mace'a. Bali się jej... albo czegoś z nią związanego... ale w taki sposób, w jaki nie bali się jego.

- No i co? - zapytał Nick.

- Będziecie potrzebowali mojej współpracy. - Mace sprawdził miernik pakietu baterii, który już się wyczerpał. Wyjął kondensator z portu ładowania miecza.

Nick przesunął się do przodu z niebezpiecznym błyskiem w błękitnych oczach.

- Kto powiedział, że potrzebna nam twoja współpraca? Kto powiedział, że nie możemy cię po prostu zapakować i wysłać pierwszą darmową pocztą Jedi?

Zamiast podłączać kolejny akumulator, Mace zważył w dłoni rękojeść miecza.

-Ja.

Kolejna wymiana spojrzeń i Mace wyczuł szybkie prądy, marszczące Moc na ich trasie. Bracia pobledli. Kostki palców Chalk, zaciśnięte na thunderbolcie, zbieleły. Twarz Nicka była idealnie nieruchoma. Ręce same powędrowały do broni.

Mace podrzucił miecz w dłoni.

- Przemysłcie sprawę.

Obserwował, jak każde z nich w myśli rozważa szansę wyciągnięcia broni i użycia jej w ciasnej kabinie, zanim on zdąży włączyć miecz.

- Wasze szanse są dwojakie - oznajmił. - Małe i duże.

- Dobrze, już dobrze. - Nick ostrożnie podniósł puste dłonie. - Spokój wszyscy. Spokój. Cisza, jasne? Coś jesteśmy zbyt nerwowi. Słuchaj, ty też nas potrzebujesz, Windu...

- Mistrzu Windu. Nick zamrugął.

- Żartujesz, no nie?

- Ciężko pracowałem, żeby dostać ten tytuł, a jeszcze ciężiej, żeby na niego zasłużyć. Chciałbym, abyście go używali.

- Eee... jasne. Chciałem powiedzieć, że ty nas też potrzebujesz. To znaczy, że nie jesteś stąd.

- Urodziłem się na północnym zboczu Ramienia Dziadka.

- Jasne, pewnie. Oczywiście, wiem, że jesteś tutejszy. Ale nie jesteś stąd. Jesteś z galaktyki. - Dłonie Nicka zaciskały się, jakby wyszarpywał słowa z powietrza. - Depa mówi... wiesz, co mówi Depa?

- Mistrzynie Billaba.

- Jasne, dobrze, oczywiście, niech będzie. Mistrzynie Billaba próbowała nam to wyjaśnić. Chodzi o to, że ty mieszkasz w galaktyce, wiesz? W innej galaktyce.

„W innej galaktyce?” - Mace zmarszczył czoło. - Mów dalej.

- Ona twierdzi... twierdzi, że ty... wszyscy wy, to znaczy Jedi, rząd, wszyscy... że jesteście, no, taką Galaktyką Pokoju. Pochodzicie z galaktyki, gdzie przepisy są przepisami i prawie wszyscy ich przestrzegają. Ale Haruun Kal to całkiem inne miejsce, wiesz? To tak, jakby tu obowiązywały inne prawa fizyki. Nie odwrotne, gdy góra jest dołem, a czarne to białe, nie takie proste... Po prostu... inne. Więc kiedy tu przybywasz, spodziewasz się, że sprawy będą szły w pewnym kierunku. A one nie idą. Bo tutaj wszystko jest inaczej, rozumiesz?

- Rozumiem - ciężko westchnął Mace - że nie jesteście dla mnie jedynymi możliwymi lokalnymi przewodnikami. Wywiad Republiki zebrał grupę, która miała mnie zawieźć w góry...

Spojrzenia, jakie wymienili między sobą Korunnai, spowodowały, że Mace urwał w pół słowa.

- Wiecie coś na temat tej grupy przewodników. - To nie było pytanie.

- Tej grupy przewodników... - powtórzył ironicznie Nick. - No widzisz, właśnie o tym mówię. Ty po prostu nie chwytasz.

- Nie chwytam czego?

W jaskrawoniebieskich oczach znów pojawił się błysk szaleństwa.

- A jak ci się zdaje, czyje trupy zostawiliśmy w alejce? Mace wytrzeszczył oczy.

Nick pokazał dwa rzędy lśniących zębów. Mace spojrzał na Lesha. Zobaczył zabarwiony thysselem uśmiech, lekko przeproszający.

- Nick mówi prawdę. Tu wszystko jest inaczej. Besh wrzucił ramionami i skinął głową.

Mace popatrzył na Chalk; na jej oczy, dziwnie ciemne w bladej twarzy, na sposób, w jaki tuliła do piersi thunderbolta merr-sonna, jakby to było dziecko.

I wiele spraw nagle trafiło na swoje miejsce.

- To ty - rzekł z podziwem. - Ty zastrzeliłaś Phloremirllę Tenk.

W popołudniowym upale odjeżdżający transporter wyglądał jak kłęb drgającego powietrza i kurzu. Mace stał na drodze i obserwował jego odjazd.

Tak daleko od stolicy drogę zaznaczała jedynie para krawężników, wypełnionych kruszywem skalnym i wijących się poprzez wzgórza. Zielone liście znaczyły jej środek - to dżungla upominała się o swoje. Na tym krótkim odcinku droga biegła równolegle ze srebrzystą strugą Łez Dziadka - rzeczki z roztopów czap śnieżnych na Ramieniu Dziadka, która łączyła się z Wielką Kaskadą niedaleko od Pelek Baw.

Znawali się teraz wysoko ponad stolicą, po drugiej stronie wielkiej góry.

Nick i pozostali wędrowali już po zboczu przez wysoki po kostki kobierzec kosodrzewiny i traw, z bronią przerzuconą przez ramię. Żywa ściana dżungli wisiała dwadzieścia metrów nad nimi. Z tej odległości Mace z trudem dostrzegał wąską linię szarych plam - prawdopodobnie stado oswojonych trawiaków. Rząd Balawai wykorzystywał stada tych potężnych zwierząt, aby oczyszczać drogę z zalewającej ją dżungli.

- Mistrzu Windu... - Nick zatrzymał się na zboczu ponad nimi skinął na Mace'a, żeby się pospieszył, wskazując na niebo. - Patrole powietrzne. Musimy dotrzeć do linii drzew.

Mace dalej stał na drodze. Wciąż obserwował, jak kurz unosi się i wiruje za pojazdem.

Nick powiedział: „Jesteś z Galaktyki Pokoju”.

I jeszcze: „Tutaj wszystko jest inaczej”.

Poczuł, jak w piersi wzbiera mu dziwny niepokój. Gdyby Jedi nie był nieczuły na takie rzeczy, powiedziałby, że to zabobonny strach. Bezrozumny strach: że zostawił swoją galaktykę w tym transporterze; że to sama cywilizacja oddała się właśnie, podskakując, po drodze do Pelek Baw. A jego pozostawia tutaj.

Tu, w dżungli.

Czuł ją.

Zapach mięsistych kwiatów, żywicy z połamanych gałązek, kurzu drogi, dwutlenku siarki unoszącego się z aktywnych kraterów na zboczu Ramienia Dziadka. Nawet światło słoneczne zdawało się tutaj mieć zapach rozgrzanego żelaza i zgnilizny. I samego Mace'a.

Czuł własny pot.

Spływał mu strużkami po ramionach. Skraplał się na czaszce i ściekał po szyi, po piersiach i plecach. Splamione krwią strzępy koszuli leżały gdzieś przy drodze, daleko stąd. Skóra kurtki lepiała się do

ciała i widać już było na niej pierścienie soli.

Zaczął się pocić, zanim jeszcze wyszli z pojazdu. Pewnie wtedy, kiedy Nick wyjaśniał mu, dlaczego wspierani przez Republikę partyzanci pod dowództwem Mistrza Jedi zamordowali szefa bazy Wywiadu Republiki.

- Tenk rozgrywała własną grę od wielu lat - powiedział Nick. -Grupa przewodników, rzeczywiście, na moje odciski od siodła! Ty, Mistrzu Windu, znajdowałeś się już w drodze do obozu wywiadu separków w grupie Gevarno. Tak to wygląda. Po pierwsze: przekazuje cię „grupie”, po drugie: „grupa” donosi o „wypadku w dżungli”. Twojego ciała nikt nie odkryje... ponieważ wszystko, co ci zostanie z mózgu, wyssą w jakiejś celi tortur w Gevarno. Trzy: Tenk usuwa się na jakąś planetę wypoczynkową w Konfederacji Niezależnych Systemów.

Mace był wstrząśnięty. Zbyt wiele z tego, co usłyszał, miało sens. Kiedy jednak zapytał, czy Nick ma jakieś dowody na swoje twierdzenia, młody Korun tylko wzruszył ramionami.

- To nie trybunał, Mistrzu Windu. To wojna.-No i dlatego ją zamordowaliście.

- Ty to nazywasz morderstwem. - Nick znów wzruszył ramionami. - A ja nazywam to zdjęciem ciebie...

- Z różna. Pamiętam.

- Czekaliśmy na ciebie od wielu dni. Depa... Mistrzynie Billaba... opisała nam ciebie i kazała pilnować w porcie, ale mieliśmy trochę problemów z milicją i przegapiliśmy cię. Nie mogliśmy na ciebie trafić, dopóki nie zobaczyliśmy, jak wychodzisz z pralni z Tenk. A wtedy o mało cię nie zgubiliśmy... trochę nas zatrzymały te zamieszki. Zanim cię dopadliśmy, już dałeś się ogłuszyć tym gliniarzom. A walka z milicją na otwartej ulicy w Pelek Baw to nie jest moja ulubiona wersja taktyki przeżycia, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- A nie mogliście mnie po prostu ostrzec?

- Jasne, że mogliśmy. Wtedy byśmy się odkryli przed Tenk i jej kumplami Balawai. Dalibyśmy się zabić za nic. I tak byś nam przecież nie uwierzył.

- Nie jestem pewien, czy ci wierzę nawet teraz - wyznał Mace, obracając miecz w dłoni. Walczył z nieprzyjemnym uczuciem, jakie wywoływał lepki dotyk bursztynu portaak na skórze. - Nie zapominam o fackie, że mam na wszystko tylko twoje słowo. Każdy, kto mógłby mu zaprzeczyć, nie żyje.

- Szczera prawda.

- Zdaje się, że się tym nie przejmujesz.

- Przywykłem.

- Nie rozumiem - zmarszczył czoło Mace.

- Na tym polega wojna - odparł Nick. Jego głos nagle stracił drwiący ton i stał się prawie łagodny. - To jak dżungla: zanim to, co się porusza za drzewami, zbliży się na tyle, żebyś mógł się zorientować, co to jest... albo kto... jesteś już martwy. Musisz zgadywać, najlepiej jak potrafisz. Nieraz masz rację i zlikwidujesz wroga albo oszczędzisz przyjaciela. Czasem się pomylisz i umierasz. Albo musisz żyć z tym, że zabiłeś przyjaciela.

Pokazał zęby, ale jego uśmiech nie miał w sobie ani odrobiny ciepła.

- A nieraz zgadniesz dobrze, a i tak umrzesz. Bywa, że twój przyjaciel nie jest przyjacielem. Nigdy nie wiesz. Nie możesz wiedzieć.

- Mogę. To część bycia Jedi.

Uśmiech Nicka stał się porozumiewawczy.

- W porządku. Wybieraj. Jesteśmy mordercami, których należy dostarczyć wymiarowi sprawiedliwości... albo żołnierzami, wypełniającymi swój obowiązek. Tak czy siak, kto inny zabierze cię do De... Mistrzynie Billaby?

- Tego też nie przeoczyłem - warknął Mace.

- No i co z tym zrobisz?

Razem z pozostałymi obserwowali, jak Mace analizuje sytuację. Ostatecznie jednak decyzja Mace'a nikogo nie zdziwiła. Tylko on poczuł się rozczarowany. Nick mrugnął.

- Witamy w Haruun Kal.

Pióropusz kurzu za transportowcem znikł za jakimś wzniesieniem i już się nie pojawił.

Besh z Leshem weszli w zieloną ścianę nad ich głowami, szukając schronienia w cieniu. Chalk i Nick czekali na Mace'a tuż poniżej linii drzew, przycupnięci w krzewach, ze wzrokiem wbitym w niebo. Na tle zieleni wyglądali jak narysowani.

Ściana dżungli była zielona jedynie z zewnątrz; pomiędzy liśćmi, pniami, paprociami, kwiatami i pnączami cień był tak gęsty, że stąd, spod rozżarzonego słońca, wydawał się całkiem czarny. Jeszcze nie jest za późno, żebym zmienił zdanie, pomyślał Mace.

Mógł zostawić tu Nicka, odwrócić się tyłem do Besha, Chalk i Lesha ruszyć wzdłuż drogi, dotrzeć do Pelek Baw, wskoczyć na wahadłowiec do kolejnego liniowca do pętli Gevarno...

Wiedział, że to jego ostatnia szansa, by odejść. Kiedy już przekroczy zielony mur, dalsza droga będzie mogła wieść jedynie w głąb.

Nie wiedział, co może zastać po drodze.

Jeśli nie liczyć Depy. Może.

„... Nie powinieneś być mnie tu przysyłać. A ja nie powinnam była przyjeżdżać...”

Chyba jednak już za późno, żeby zmienić zdanie.

Już jest w dżungli.

Zszedł w nią wprost z rampy wahadłowca w porcie kosmicznym Pelek Baw. Może nawet z balkonu na Geonosis. A może on tylko stał nieruchomo, a dżungla otaczała go stopniowo, zanim ją zauważył...

Witajcie w Haruun Kal.

Pod butami chrząścił mu piarg, kiedy szedł pod górę. Chalk kiwnęła do niego głową i znikła. Nick uśmiechnął się, jakby wiedział, o czym myśli Mace.

- Lepiej się pospieszyć, Mistrzu Windu. Jeszcze minuta, a zostałbyś tu sam. Chcesz zostać sam? Nie sądzę.

Miał absolutną rację.

- Gdybyśmy się kiedyś rozdzielili, czy jest jakieś miejsce, do którego powinienem zdążyć?

- Nie martw się tym, tylko wyciągaj nogi.

- Ale gdyby tak się stało, jak was znajdę?

- Nie znajdziesz. - Nick pokręcił głową i uśmiechnął się, wpatrzony w dżunglę. - Jeśli się rozdzielimy, nie przeżyjesz na tyle długo, żeby zacząć się tym martwić. Jasne? No to w drogę.

Wszedł w dżunglę i pochłonął go zielony półmrok. Mace skinął głową i ruszył za Nickiem w mrok, nie oglądając się za siebie.



Gęsiego przez dżunglę. Chalk wybierała drogę, rozchylając błyszczoliście i odsuwając na bok lufą thunderbolta pnące chwytacza. Mace szedł za nią mniej więcej w odległości dziesięciu metrów, z Nickiem tuż za plecami. Besh z Leshem zamykali pochód, od czasu do czasu zmieniając pozycję i osłaniając się wzajemnie.

Mace musiał wyteżać wzrok, żeby nadążać za Chalk. Kiedy już znaleźli się głęboko w dżungli, nie wyczuwał Korunnai poprzez Moc tak łatwo jak dotąd. Bywało, że prześlizgiwał się po nich spojrzeniem, mijał ich, nie widząc, dopóki stanowczo nie zmusił się do tego - talent bardzo użyteczny w miejscu, gdzie ludzie są tylko jeszcze jedną zwierzyną łowną.

Od czasu do czasu od któregoś z Korunnai nadchodził impuls w Mocy, wyraźny jak uniesiona dłoń. Wtedy wszyscy zatrzymywali się w miejscu. Dziesięć sekund bezruchu, nasłuchiwanie szelestu wiatru i krzyków zwierząt, przeszukiwania wzrokiem zielonego cienia i jeszcze bardziej zielonego światła, sięgania w kłębiącą się od istnień Moc w poszukiwaniu - czego? Lianokota? Patrołu milicji? Stobora? A potem fala ulgi, wyraźna jak westchnienie - zagrożenie, którego Mace nie mógł zobaczyć ani poczuć, mijało i ruszali dalej.

Pod drzewami było jeszcze bardziej gorąco niż w pełnym słońcu. Ulgę, jaką dawał cień, niweczyło wilgotne, gorące i całkowicie nieruchome powietrze. Mace słyszał wprawdzie nad głową ciągły szelest liści i gałązek, ale powiew zdawał się nie docierać pod korony.

Wyszli na małą polankę i Nick nakazał postój. Baldachim dżungli tworzył nad nimi warstwowy dach, ale ziemia w promieniu kilkunastu metrów była czysta; szarozłote, gładkie pnie drzew jak kolumnada katedry wspierały ściany z liści i winorośli. Nieco dalej z zasilanej źródełkiem sadzawki wypływał parujący, cuchnący siarką strumień.

Chalk wyszła na środek polany, opuściła głowę i na chwilę znieruchomiła ze spuszczoną głową. Fala Mocy rozeszła się od niej i zalała Mace'a. Przeniosła go w czasie o trzydzieści pięć lat wstecz, kiedy jako chłopiec, po całym życiu spędzonym w Świątyni Jedi, wrócił do ghosha Windu, by po raz pierwszy poczuć ciepło koruńskiego zewu w Mocy do psów akka...

A potem wszystko minęło i Mace znów był dorosłym człowiekiem, mistrzem Jedi, zmęczonym i zatroskanym, pełnym obaw o swoją przyjaciółkę, o Zakon, o Republikę.

Rumor i trzaski dochodzące spoza ściany drzew oznajmiły przybycie ogromnego zwierzęcia i dżungla rozstąpiła się, by dać przejście trawiakowi. Trawiak wtoczył się na polanę na tylnych łapach, czterema przednimi szarpiąc zielen i pakując ją do pyska dość dużego, by pomieścić Mace'a w całości. Zwierzę spokojnie przeżuwało pokarm z bydlęcym wyrazem zadowolenia wszystkich trojga oczu. Skierowało je po chwili na ludzi - po jednym po kolei: najpierw prawe, potem lewe, na końcu szczytowe, upewniając się, że żadnym nie dostrzega zagrożenia.

Na wolną przestrzeń weszły jeszcze trzy trawiaki. Cała czwórka miała na sobie rzędy do jazdy - szerokie siodła zamocowane po obu stronach pierwszej pary łopatek, dokładnie tak, jak to pamiętał Mace. Jeden miał podwójne siodło, przy czym drugie siedzisko znajdowało się w pozycji odwrotnej na środkowej parze łopatek.

Wszystkie cztery trawiaki były chude i mniejsze niż pamiętał Mace - największy z pewnością nie przekraczał sześciu metrów wysokości, a ich szara sierść była matowa i zmierzwiona. W niczym nie przypominały gładkich, lśniących zwierząt, jakich dosiadał wiele lat temu. Był to niepokojący sygnał - najbardziej niepokojący, jak dotąd. Czyżby Korunnai zaniedbali Czwarty Filar?

Nick sięgnął w górę i chwycił powiazaną w węzły linę na trawiaku z podwójnym siodłem.

- Chodź, Mistrzu Windu. Jedziesz ze mną.

- Gdzie są wasze akki?

- Dookoła. Nie czujesz ich?

Dopiero teraz Mace uświadomił sobie obecność drapieżnej czujności, skrytej w otaczającym gąszczu: dzikość i głód, i wierność, połączone w półrozumną całość. „Znajdźmy-coś-co-można-zabić”.

Nick wspiał się po boku trawiaka i usiadł w górnym siodle.

- Zobaczysz je, kiedy będziesz musiał. Miejmy nadzieję, że to się nie stanie.

- Czy nie ma już zwyczaju przedstawiania akkom gościa ghosha?

- Nie jesteś gościem, tylko bagażem. - Nick wyjął z uchwytu przy siodle bat z brązowina. - Wsiadaj. Wynosimy się stąd.

Mace przesunął się w kierunku środka polany, nie rozumiejąc nawet, po co to robi. Jednym oddechem przywrócił sobie równowagę ducha. Następnym ujawnił swoją naturę otaczającej go Mocy: powaga Jedi, równoważąca ukryty temperament, umiłowanie pokoju przeważające szalę zakazanej radości walki. Niczego nie dało się tu ukryć. Światło i mrok, czystość i zepsucie, nadzieją lęk, duma, pokora: ofiarował wszystko, co czyniło go tym, kim jest, z przyjaznym uśmiechem, spuszczoneymi oczami i dłońmi swobodnie zwisającymi po bokach. A potem wysłał w Mocy zew, którego nauczone go trzydzieści pięć lat temu...

I otrzymał odpowiedź.

Gładki ruch za ścianą zieleni, odgłos stąpania zlewający się z szelestem wiatru i brzęczeniem owadów. Rogate gadzie łby wyciągnięte w poszukiwaniu, pozbawione powiek owalne ślepia lśniące czernią...

- Windu! - krzyknął Nick. - Nie ruszaj się!

Trójkątne kły kłapały w rytm poruszających się szczęk, które mogłyby zmiażdżyć durastal. Parująca ślina spływała po fałdach gębowych pokrytych łuską tak grubą że powstrzymałaby nawet miecz świetlny. Stopy o szeroko rozstawionych palcach z każdym krokiem wyrzucały w powietrze tumany kurzu. Muskularne, opancerzone ogony, równie długie jak cielsko wielkości śmigacza, poruszały się na boki wężowym ruchem.

Psy akk z Haruun Kal. Trzy.

Nick syknął:

- Cofnij się. Tylko się cofnij. Do mnie. Bardzo powoli. Nie pokazuj im pleców. To dobre psy, ale jeśli zbudzą się w nich łowiecko--zabójcze instynkty...

Bestie zatoczyły krąg, zamiatając ogonami, których jeden cios mógłby przeciąć Mace'a na pół. Oczy, kamienne i pozbawione powiek, nie miały żadnego wyrazu. Oddechy psów cuchnęły zepsutym mięsem, skóra wydzielala odór piżma. Przez chwilę Mace'owi wydawało się, że stoi na piasku Circus Horrificus w czeluściach Nar Shaddaa, otoczony tłumami rozwrzeszczanych widzów, na łasce Hutta Gar-gonna...

Teraz zrozumiał, po co zrobił to, co zrobił. Zrozumiał, dlaczego musiał to zrobić. W tej odległej wizji areny sprzed wielu lat Depa stała u jego boku.

Czy była to ich ostatnia wspólna misja? Czy to możliwe?

Wydawało się, że to tak dawno temu...

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Przybyłem do Nar Shaddaa, aby wyśledzić przemytników egzotycznych zwierząt, którzy sprzedawali wyszkolone do ataku psy akk terrorystom Czerwonego laro z Lannika. Depa wybrała się ze mną na Księżyc Przemysłowców, bo podejrzewała, że będę potrzebował jej pomocy. Miała całkowitą rację: nawet we dwoje z trudem zdołaliśmy ująć z życiem. Stoczyliśmy straszliwą walkę ze zmutowanymi, gigantycznymi akkami, a widzowie Circus Horrificus bawili się jak nigdy...

Teraz jednak, w środku dżungli, te wspomnienia wycisnęły mi łzy z oczu.

Tamtego dnia w Nar Shaddaa Depa pokazała mi taki poziom walki mieczem, który przewyższał wszelkie moje umiejętności; widać było, że uczy się i czyni postępy we władaniu Vapaad i Mocą jednocześnie.

Byłem z niej taki dumny...

Minęły lata, odkąd przeszła Rycerskie Próby. Od dawna była też mistrzynią Jedi i członkiem rady. Tamtego dnia jednak byliśmy znów tylko Mace'em i Depą, mistrzem i padawanem, i przeciwstawialiśmy śmiertelności sztuce Vapaad wszystkiemu najgorszemu, co mogła rzucić

przeciwko nam galaktyka. Walczyliśmy tak, jak wiele razy wcześniej: doskonale zgrana jedność, pomnażająca wzajemnie swoje siły i znosząca słabości - tamtego dnia wydawało się, że nigdy nie robiliśmy nic innego. Jako rycerze Jedi byliśmy niepokonani; jako mistrzowie, członkowie rady...

Co osiągnęliśmy? Czy cokolwiek?

A może wszystko straciliśmy?

Jak to się stało, że nasze pokolenie jako pierwsze od tysiąca lat ujrzało Republikę rozbitą przez wojnę?

- Windu! - syk Nicka przywołał Mace'a do rzeczywistości. Podniósł głowę. Nick patrzył na niego z wysokości trzech metrów. -Nie stój jak słup!

- Dobrze.

Mace podniósł ręce i wszystkie trzy akki położyły się. Jedno dotknięcie Mocy i gest obu dłoni - i trzy psy przetoczyły się na grzbiety, wywalając czarne ozory, które zwisały spomiędzy ostrych jak brzytwa kłów. Dyszały radośnie, patrząc na niego z całkowitym oddaniem.

Nick mruknął coś na temat siedzenia po uszy w łajnie.

Mace podszedł do jednego z psów i przesunął dłoń po łbie pomiędzy trój kątem, jakie sześć szczytkowych rogów tworzyło na czole akka. Drugą dłoń położył pod dolną wargą akka, żeby ogromny jęzor stwora mógł zebrać zapach Mace'a do dołków węchowych obok nozdrzy. Przechodził tak od jednego do drugiego, poznając ich istnienie w Mocy. Uczyli się siebie z surową powagą, jakiej wymagały tak uroczyste okazje.

Cudowne istoty. Tak różne od zmutowanych olbrzymów, które wraz z Depą musieli pokonać w Circus Horrificus. W cuchnących otchłaniach Nar Shaddaa Gargonn zmienił szlachetnych obrońców stada w złośliwych i okrutnych morderców.

Mace nie mógł jakoś otrząsnąć się z wrażenia, że być może ktoś na Haruun Kal uczynił to samo z Depą.

- W porządku - rzekł wreszcie, zwracając się do wszystkich i do siebie. - Jestem gotów.

Co noc zatrzymywali się na postój - po ciemku, żadnego ognia, zresztą nie było takiej potrzeby. Akki trzymały drapiezców w ryzach, a Korunnai nie przeszkadzała ciemność. Choć kanonierki milicji nie latały po nocy, ognisko dawałoby tyle ciepła, że czujniki satelitarne wykryłyby je bez trudu. Nick sucho wyjaśnił, że nigdy nie wiadomo, kiedy Balawai uznają za stosowne spuścić ci KOBA z orbity prosto na łeb. Wyjaśnił, że rząd wciąż utrzymuje na orbicie nieznaną liczbę KOBA - Kinetycznych Orbitalnych Broni Antystanowiskowych. Ogólnie rzecz biorąc, były to krążące po orbicie planety pręty z durastali wielkości pocisku, wyposażone w prymitywny system naprowadzania i sterowania. Tanie w produkcji i łatwe w użyciu: prosta komenda do silników KOBA powodowała odpalenie broni w kierunku planety i uderzenie w dowolny punkt o stałych współrzędnych. Nie odznaczała się szczególną celnością, ale to wystarczało - ot, uderzenie meteorytu na rozkaz.

A więc dla Korunnai ogniska należały do przeszłości.

Niektóre nocne owady porozumiewały się za pomocą sygnałów świetlnych, rozgwieżdżając otaczającą ich noc gęstą galaktyką lampek, a różne gatunki błyszczowiru delikatnie fosforyzowały różnymi kolorami, emanując łagodne światło podobne do bladej poświaty księżyca.

Trawiaki spały na stojąco, na sztywnych sześciu nogach, z przymkniętymi oczami, nie przerywając zucia.

Korunnai mieli przy siodłach śpiwory. Mace wykorzystywał składany namiot, który trzymał w bocznej kieszeni worka. Rozsuwał paznokciem uszczelkę, a wewnętrzne, giętne żebra rozprężyły się automatycznie, tworząc schronienie dla dwóch osób.

Siadali lub klękali na ziemi, dzieląc się posiłkami; kiedy skończyły się paczki z żywnością i ciastkami, które zrabowali zabitym, żywili się paskami wędzonego mięsa i twardym, okropnie starym serem z surowego mleka trawiaka. Wodę brali z lejkwoców, jeśli je akurat znaleźli - ich woskowate, pomarańczowe liście zwijały się w tutkę o wysokości dwóch metrów, chwytając deszczówkę, co pozwalało z kolei utrzymać wilgotność płytkiego systemu korzeniowego rośliny. Kiedy indziej napełniali manierki z ciepłych strumieni i bulgoczących źródeł, które Chalk po sprawdzeniu uznała za zdatne do spożycia. Nawet autosterylizator jonowy w manierce Mace'a nie był w stanie usunąć podobnego do zgniłych jaj odoru siarki.

Po skończonym posiłku Lesh wyciągał czasem miękki wałek z surowej kory thyssele i częstował nim towarzyszy. Nick i Mace zawsze odmawiali. Chalk czasem brała troszkę, Besh nieco więcej, a Lesh nożem odcinał kawał grubości trzech palców i pakował sobie do ust. Thyssel prażony i rafinowany był „miękkim narkotykiem” nie bardziej szkodliwym od słodkiego wina; w postaci surowej był jednak dość mocny, aby siać trwałe spustoszenie w procesach chemicznych mózgu. Minuta zucia powodowała, że czoło Lesha spływało potem, a oczy nabierały szklanego wyrazu; widzieli to, jeśli pnącza dawały dość światła.

W te wieczory Mace dowiadywał się wiele na temat młodych Korunnai - a przy okazji również o GF W. Nick był przywódcą tej małej bandy, ale nie z powodu rangi. W ogóle kwestie hierarchii chyba ich nie obchodziły. Nick dowodził dzięki sile osobowości i błyskawicznym reakcjom ostrego jak nóż dowcipu, niczym błazen rządzący dworem królewskim.

Nie mówił o sobie jako o żołnierzu, a tym bardziej jako o patriocie. Twierdził, że jego największą ambicją jest kariera najemnika. Nie wplątał się w tę wojnę, aby ratować Korunnai. Walczył, a przynajmniej tak twierdził, wyłącznie dla kredytów. Ciągłe opowiadał, jak to się szykuje, żeby „rzucić w diabły tę cholerną dżunglę. Gdzieś tam w galaktyce można zrobić naprawdę wielką kasę”. Dla Mace'a było jednak jasne, że to tylko poza, sposób, aby utrzymać swoich towarzyszy na dystans, udając, że tak naprawdę wcale mu nie zależy.

Mace odgadł, że zależy mu, i to aż za bardzo.

Lesh z Beshem dołączyli do akcji z czystej nienawiści do Balawai. Kilka lat wcześniej Besh został

schwytyany przez poszukiwaczy dżungli... Palce, których mu brakowało, Balawai odcinali po jednym, żeby wyciągnąć z niego odpowiedzi na pytania dotyczące miejsca gdzie jakoby miał rosnąć cały zagajnik drzew lammasu. A kiedy nie mógł im odpowiedzieć - bo tak naprawdę drogocenny zagajnik był jedynie mitem - stwierdzili, że widocznie jest uparty. „Jeśli nie chcesz nam tego zdradzić - oświadczył któryś - załatwimy, żebyś nie powiedział też nikomu innemu”.

Besh nie mówił, bo nie mógł. Balawai odcięli mu język.

Porozumiewał się kombinacją prostych znaków i wyjątkowo ekspresyjnej projekcji uczuć i opinii poprzez Moc. W pewnym sensie był najbardziej elokwentny z całej grupy.

Chalk zaskoczyła Mace'a: kiedy domyślił się, przez co przeszła, spodziewał się, że będzie prowadzić osobistą wendetę, podobnie jak Lesh i Besh. Okazało się, że zanim dołączyła do GF W, wraz z członkami swojego ghosha odłowiła ludzi, którzy ją napastowali - pięcioosobowy oddział regularnej milicji razem z dowódcą- i wymierzyła im tradycyjną karę Korunnai. Kara ta nazywała się tanpel trokal, co z grubsza można było przetłumaczyć jako „sprawiedliwość dżungli”. Delikwentów porywano, wywożono setki kilometrów od najbliższej osady, a następnie wypuszczano nago, bez sprzętu i jedzenia. Bez niczego. W dżungli.

Bardzo niewielu ludzi uszło z życiem z tanpel 'trokal. Tym się nie udało.

Chalk nie walczyła już zatem z zemsty; mawiała: „Twarda dziewczucha jestem. Silna. Wielka. Dobry wojownik. Nie chciałam być. Musiałam być. Jak przeżyłam to, co zrobili mnie? Walczyłam ja. Nie przestawałam walczyć. I przeżyłam. Teraz walczę, żeby inne dziewczyny nie musiały. Powinny pozostać dziewczynami. Rozumiesz? Dwa sposoby, żeby mnie zatrzymać: zabić albo pokazać, że dziewczyny nie muszą walczyć”.

Mace rozumiał. Nikt nie powinien być aż tak twardy.

- Jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki się poruszasz w dżungli-powiedział jej raz w ciemności obozowiska. -Niełatwo cię dostrzec, nawet jeśli wiem, gdzie jesteś. Nawet twój trawiak jest trudny do namierzenia.

Burknęła coś, żując korę. Lekceważąco wzruszyła ramionami.

- To interesujący sposób wykorzystywania... - Mace przez chwilę grzebał we wspomnieniach sprzed trzydziestu pięciu lat w poszukiwaniu koruńskiego określenia Mocy. Pelekotan. Można by to przetłumaczyć jako „moc świata”. - ...Pelekotan. Zawsze umiałaś to robić?

Mace'owi w istocie chodziło o coś całkiem innego... ale bał się zapytać wprost. Czy to Depa cię tego nauczyła?

Jeśli uczyła sztuczek Jedi tych ludzi, którzy byli zbyt dorośli, by przyswoić sobie dyscyplinę Jedi... ludzi, którzy nie mają obrony przed ciemną stroną...

- To nie ty używasz pelekotanu - odparła Chalk. - To pelekotan używa ciebie.

Nie była to krzepiąca odpowiedź.

Mace przypomniał sobie, że dokładne, wierne tłumaczenie tego słowa brzmi „umysł dżungli”.

Odkrył, że tak naprawdę wcale nie chce o tym myśleć. W głowie wciąż brzmiały mu słowa: „Stałam się mrokiem dżungli”.

Kołyszący krok trawiaka był płynny i uspokajający. Aby iść szybciej, używał tylnych i środkowych nóg. W tej pozycji odwrócone do tyłu siodło Mace'a było nieco przechylone, dzięki czemu mógł opierać się ramionami o szeroki, gładki grzbiet zwierzęcia. Nick jechał na siodle z przodu, rozglądając się ponad jego głową.

Powolna, kołysząca wędrowka przez dżunglę pogrążała Mace'a w głębokiej frustracji. Mógł patrzeć tylko w tył; nigdy nie widział, co się dzieje z przodu, dopóki tego nie minęli, a wtedy i tak wszystko nabierało całkiem innego znaczenia, którego nie mógł zrozumieć. Kiedy na coś patrzył, prawie nigdy nie mógł być całkowicie pewien, czy to zwierzę, czy roślina; trujące, drapieżne, nieszkodliwe, lecznicze... a może nawet na tyle myślące, żeby odróżniać dobro od zła...

Miał niejasne wrażenie, że ta podróż stanowiła jakby, symbol jego wojny. Wchodził w nią tyłem i nawet w pełnym świetle dnia nie wiedział, co się dzieje, nie rozumiał, co przeszło obok. Całkowicie zagubiony. Cóż, w ciemności czuł się jeszcze gorzej.

Miał nadzieję, że się myli. Symbolika to śliska sprawa.

W ciągu dnia widywał przelotnie psy akk, patrolujące okoliczny nierówny teren. Były przed i za wędrowcami, pilnując ich przed drapieżnikami; w dżungli zdarzały się bestie tak wielkie, że mogły zaatakować nawet trawiaka. Trzy akki należały do Beshy, Chalk i Lesha. Nick nie miał własnego akka.

- Hej, wyrosłem na ulicach Pelek Baw, więc co miałbym zrobić z akkiem? Czym bym go karmił, ludźmi? Chociaż, jakby się zastanowić...

- Ale teraz mógłbyś sobie znaleźć psa - tłumaczył Mace. - Miałbyś towarzysza związanego z tobą poprzez Moc, jak twoi przyjaciele.

- Żartujesz chyba! Jestem za młody na taki związek.

- Naprawdę?

- Jasne. To gorsze niż małżeństwo.

- Nigdy bym nie przypuszczał - z roztargnieniem odparł Mace. Często zdarzało mu się przysypiać z upału i łagodnego kołysania trawiaka. Krótkie drzemki, w jakie zapadał nocą, zakłócone były gorączkowymi snami, niosącymi niejasną brutalną groźbę. Pierwszego ranka, kiedy włączył samoskładanie się namiotu i ulokował go na powrót w niewielkiej kieszonce torby, Nick usłyszał jego westchnienie i zobaczył, jak przeciera znużone oczy.

- Tu nikt dobrze nie sypia - stwierdził z niewesołym uśmiechem.— Przywykniesz.

Podróż w dzień płynęła sennie pomiędzy cieniem dżungli a jaskrawym słońcem, które przeplatały się wzajemnie, gdy przekraczali ścieżki trawiaków - wąskie otwarte przestrzenie łąk, pozostawione przez stada tych zwierząt, gdy wyjadały sobie drogę poprzez dżunglę. Były to czasem jedyne chwile, kiedy Mace widział Beshę, Chalk i Leshę oraz ich trawiaki i akki. Dzięki akkom, nawiązującym kontakt w Mocy, mogli się bezpiecznie rozpraszać nawet na duże odległości.

Otwarta przestrzeń dawała im odpoczynek od owadów; był to teren łowiecki wielu gatunków szybkich jak błyskawice, owadożernych ptaków. Psie muchy, szczypawki i wszelkie inne odmiany os, pszczoł i szerszeni kasały raczej w stosunkowo bezpiecznym dla nich cieniu. Skóry Mace'a nie było prawie widać spod śladów ukąszeń i ugryzień; trzeba było całej dyscypliny Jedi, żeby się nie drapać.

Od czasu do czasu Korunnai wykorzystywali sok z różnych zmiażdżonych liści do łagodzenia skutków szczególnie niebezpiecznych lub nieprzyjemnych ukąszeń, ale na ogół wydawało się, że nawet ich nie zauważali, tak samo, jak niektórzy nie czują, że pewne fasony butów zniekształcają palce stóp. Mieli całe życie, żeby się do tego przyzwyczaić.

Teraz mogli poruszać się szybciej, podążając ścieżkami trawiaków, lecz przez częste naloty kanonierek milicji było to zbyt ryzykowne. Nick poinformował Mace'a, że ludzie na trawiakach byli zabijani bez pytania. Co godzinę lub dwie akki ostrzegały ich o nadlatujących kanonierkach; ich czujne uszy wylatywały szum repulsorów z odległości ponad kilometra, nawet spośród ciągłych hałasów dżungli, a także odległych wybuchów wulkanu.

Mace miał dość okazji, żeby obejrzeć sobie te kanonierki i zorientować się co do ich możliwości. Wydawały się zmodyfikowaną wersją dawnych Turbostormów Sienara; zwykle kanonierki wyposażone do działań powietrznych krótkiego zasięgu. Dość powolne, ale dobrze uzbrojone, najeżone działkami i wyrzutniami rakiet, wystarczająco duże, aby przetransportować pluton ciężkiej piechoty. Przypuszczalnie latały trójkami. Zdolność milicji do utrzymywania patroli powietrznych pomimo metalożernych grzybów i pleśni łatwo dawała się wyjaśnić złocistymi błyskami otaczającymi je w locie: każda kanonierka miała własny generator pola dezynfekującego.

Sądząc po wysokości krzewów i młodych drzew na drogach trawiaków, najmłodsze z nich miały co najmniej dwa, trzy lata. Mace wspominał o tym Nickowi.

Ten westchnął ponuro.

- Jasne. Nie strzelają tylko do nas, wiesz? Kiedy strzelcy Balawai się nudzą, zaczynają celować do stad trawiaków. Ot, tak sobie. Już od kilku lat nie jesteśmy tak głupi, żeby gromadzić więcej niż cztery, pięć trawiaków w jednym miejscu. A nawet wtedy akki rozdzielają je tak, żeby nie stanowiły łatwego celu.

Mace zmarszczył brwi. Bez ciągłego kontaktu i współżycia ze swoimi pobratymcami trawiaki wpadają w depresję, chorują... bywa, że dostają psychozy.

- Tak się troszczycie o swoje stada?



Nie mógł widzieć twarzy Nicka, ale domyślił się, jaką ma minę.

- Masz lepszy pomysł?

Mace musiał przyznać, że nie -jeśli nie liczyć wygrania wojny.

Martwiło go za to coś innego. Nick powiedział „od kilku lat”, a przecież wojna zaczęła się parę miesięcy temu. Kiedy o tym wspomniał, Nick odpowiedział pogardliwym prychnięciem.

- To wasza wojna zaczęła się kilka miesięcy temu. Nasza trwa od dawna, jeszcze przed moim urodzeniem.

I tak zaczęła się lekcja Mace'a na temat Letniej Wojny.

Nick nie wiedział, jak to wszystko się zaczęło. Przypuszczał, że chodziło o nieuniknioną sprzeczność trybu życia. Korunnai wędrowali za swoimi stadami. Stada niszczyły nieprzyjazną dżunglę. Zniszczenie dżungli umożliwiło zaś przetrwanie Koranom: ograniczało populację muszek i brzęczyków, chwytnych pnączy i lianokotów oraz milionów innych sposobów, jakie miała dżungla na zabicie żywej istoty.

Balawai z kolei korzystali z dżungli - chcieli więc, by pozostała nietknięta, by produkowała cenne przyprawy i drogie drewno, a także wyciągi z egzotycznych roślin, które stanowiły podwalinę cywilizowanej gospodarki Haruun Kal. Niestety, trawiaki upodobały sobie szczególnie właśnie korę thysseła i liście portaaku.

Partyzanci koruńscy walczyli o dżunglę z milicją Balawai przez ponad trzydzieści lat.

Według Nicka wszystko zaczęło się od tego, że paru bankrutów -poszukiwaczy, którzy nie mieli szczęścia - przypisało własnego pecha Korunnai i ich trawiakom. Szperacze popili sobie i pewnie postanowili, że zapolują na trawiaki. A kiedy już wykończyli stado jakiegoś nieszczęsnego ghosha, ludzie z tegoż ghosha odkryli, że władze Balawai nie są zainteresowane śledztwem w sprawie śmierci jakichś tam zwierzaków. Ghosh postanowił zatem, że może powinni zapolować sami -na Balawai.

- Zresztą dlaczego by nie? Nic nie mieli do stracenia - stwierdził Nick. - Bez stada ghosh i tak nie miał już racji bytu.

Sporadyczne starcia trwały od dziesięcioleci. Wyżyna Korunnai była rozległa. Rozlew krwi nie trwał cały czas - przycichał na parę lat, ale potem seria prowokacji po jednej lub po drugiej stronie nieuchronnie wzniecała pożar na nowo. Koruńskie dzieci wychowywane były w nienawiści do Balawai. Dzieci Balawai uczono, aby strzelały do Korunnai bez ostrzeżenia.

Ze strony Korunnai była to bardzo staroświecka wojna. Metalozerne grzyby sprawiły, że mogli używać głównie prymitywnej broni -materiałów wybuchowych tego czy innego typu, żywych wierzchowców zamiast pojazdów. Nie byli w stanie korzystać z komunikatorów, ponieważ rząd Balawai bez trudu namierzał transmisje. Koordynowali swoje czynności poprzez system komunikacji w Mocy, niewiele bardziej skomplikowany niż znaki dymne.

Zanim Nick dorósł na tyle, aby wziąć udział w walkach, Wojna Letnia stała się tradycją prawie sportem. Późną wiosną na tyle długo po zimowych deszczach, aby można było przejść przez góry, co odważniejsi młodzi Korunnai na swoich trawiakach zbierali się, aby wyruszyć na wyprawy przeciwko Balawai. Balawai z kolei wyjeżdżali na ich spotkanie pełzakami parowymi. Każdego lata ogarniała wszystkich gorączka zasadzek i wypadów, uszkodzenia pełzaków i strzelania do trawiaków. Na miesiąc przed nadejściem jesieni zaczynały się deszcze i wszyscy wracali do domu.

Szykować się na następny rok.

Tak oto wyjaśniła się tajemnica niezwykłych sukcesów Depy. Mace zrozumiał, że nie musiała tworzyć armii partyzanckiej. Znalazła gotową do użytku.

Krwiożerczą i zachłanną.

- Ta wasza Wojna Klonów... Kogo ona obchodzi? Myślisz, że kogokolwiek na Haruun Kal interesuje, kto akurat rządzi na Coruscant? Zabijamy separatystów, bo dają broń i zapasy Balawai. Balawai zaś wspierają separatystów, bo dostają od nich takie cacka jak te kanonierki. I to za darmo! Przedtem kupowali je i ściągali z Opari. Kapujesz? To nasza wojna, Mistrzu Windu. - Nick pokręcił głową z rozbawieniem i pogardą. - Wy, chłopaki, tylko tędy przechodzicie.

- Mówisz prawie tak, jakby to była zabawa.

- Prawie? To najlepsza zabawa, jaką sobie możesz zafundować na trzeźwo. I nie musisz być nawet całkiem trzeźwy. Spójrz na Lesha.

- Przyznaję, że nie bardzo znam się na wojnie. Ale wiem, że to nie zabawa.

- Zabawa, zabawa. Tylko wyniki liczy się w trupach.

- To straszne.

Nick wzruszył ramionami.

- Wiesz co, traciłem już przyjaciół. Ludzi, którzy byli dla mnie więcej niż rodziną. Ale jeśli pozwolisz, by gniew zżerał cię od środka, zrobisz coś głupiego i dasz się zabić. Może nawet razem z tymi, na których ci zależy. Strach jest zresztą równie zły: nadmiar ostrożności może człowieka zabić równie łatwo, jak zbyt wielka odwaga.

- Więc dlatego udajecie, że to zabawa? Uśmiech Nicka stał się sarkastyczny.

- Nie udajemy niczego. Robimy wszystko, żeby to była zabawa. Każdy znajduje w sobie taką cząstkę, która to lubi.

- Jedi mają na to swoją nazwę. -Tak?

- Zwą to Ciemną Stroną.

Noc.

Mace siedział ze skrzyżowanymi nogami przed namiotem, cerując dziurę w spodniach, jaką zostawił pęd brązowina. O udo wsparł fałszywy notatnik; od ekranu padało dość światła, żeby szyć bez rozlewu krwi. Durastalowa obudowa zaczynała już wykazywać ślady czarnej pleśni i drobne nadżerki, ale została zaadaptowana do pracy w dżungli Haruun Kal i sprawiała się nieźle.

Zjedli już ser i wędzone mięso. Korunnai po omacku oczyścili broń, nakładając nową warstwę bursztynu portaaak na wrażliwe powierzchnie. Rozmawiali przyciszonymi głosami, dzieląc się opiniami na temat pogody i jutrzejszej podróży. Zastanawiali się, czy tej nocy dotrą do bandy GF W prowadzonej przez Depę, zanim przechwyci ich powietrzny patrol.

Kiedy Mace skończył cerować spodnie, odłożył zszywacz i w milczeniu obserwował Korunnai, przysłuchując się ich rozmowie. Po chwili wziął mikrofon rejestratora notatnika, włączył i wybrał wzór szyfrowania. Kiedy już ustawił go jak należy, przybliżył mikrofon do ust i zaczął bardzo cicho mówić.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Czytałem opowieści wojenne w archiwach świątyni. Mówiły o wczesnych latach Republiki i jeszcze dawniejszych czasach. Zgodnie z tymi opowieściami, żołnierze na biwaku powinni bez przerwy opowiadać o swoich ukochanych i rodzinach, o potrawach, na jakie mają apetyt i o winie, jakiego by się napili. I o planach powojennych. Korunnai nie mówili o niczym takim.

Dla nich nie istniał czas „po wojnie”.

Wojna to wszystko, co mają. Żadne z nich nie ma nawet tylu lat, żeby pamiętać cokolwiek innego.

O pokoju nawet nie próbują marzyć.

To jak ten dół śmierci, który mijaliśmy dzisiaj...

Głęboko w dżungli Nick nagle skręcił trawiakiem z trasy, którą szliśmy, aby wyminąć zagłębienie w ziemi, pełne niewiarygodnie bujnej roślinności. Nie musiałem pytać, skąd ta obfitość. Dół śmierci to zagłębienie terenu, w którym zbierają się gazy cięższe od powietrza, spływające w dół z wulkanów.

Na krawędzi dołu spoczywał martwy, stukilowy kłak; jego pysk dzielił najwyżej metr od świeżego powietrza, które uratowałoby mu życie. Wokół leżały inne martwe zwierzęta: kruki, szakale i różne małe ścierwojady, których nie rozpoznałem, a które zwabiła tutaj na pewną śmierć dana przez dżunglę fałszywa obietnica łatwego żarcia.

Powiedziałem coś na ten temat Nickowi, ale on zaśmiał się tylko i nazwał mnie balawajskim głupcem.

- Nie ma fałszywych obietnic - wyjaśnił. - W ogóle nie ma obietnic. Dżungla nie obiecuje. Istnieje i

tyłe. To, co zabiło te małe ruskakki, nie było pułapką. Tak po prostu jest.

Nick mówi, że personifikacja dżungli - nadawanie jej metaforycznej postaci istoty, jakiegokolwiek istoty - to pomysł Balawai. Dzięki temu tak łatwo ich zabić.

Personifikacja zakłóca logikę myślenia: spróbuj mówić o dżungli jak o istocie, a zaraz zaczniesz ją traktować jak istotę. Uznasz, że możesz ją przechytrzyć albo jej zaufać, pokonać ją lub się z nią zaprzyjaźnić, oszukać albo z nią negocjować.

A wtedy zginiesz.

- Nie dlatego, że dżungla cię zabije. Rozumiesz? Po prostu dlatego, że ona jest tym, czym jest. - Tak mówi Nick. - Dżungla nie robi nic. To tylko miejsce. Miejsce, gdzie żyje wiele, wiele istot. I wszystkie one umierają. Fantazjowanie na jej temat, udawanie, że jest tym, czym nie jest, to zabójstwo. To twoja pierwsza lekcja przetrwania, Mace. Darmowa - zaznaczył. - Zapamiętaj ją.

Będę pamiętał.

Mam wrażenie, że lekcja dotyczy również tej wojny. Ale jak mam udawać, że wojna jest czymś, czym nie jest? Nie wiem chyba jeszcze, czym naprawdę jest wojna.

Do tej pory mam tylko wrażenia...

Wielka. Nieznana i niepoznawalna. Żywa ciemność. Śmiercionośna jak dżungla.

A mojemu przewodnikowi nie można ufać.

Dzień.

Mace stał we wszechświecie pełnym deszczu.

Było tak, jakby drzewa, paprocie i kwiaty dżungli rosły u stóp przeogromnego wodospadu. Deszcz bębnił w liście i gałęzie z hukiem, który pozwalał na porozumiewanie się wyłącznie krzykiem. Żaden wodoodporny sprzęt nie mógłby ich ochronić - w ciągu niecałej minuty ubranie Mace'a było przesiąknięte wodą. Potraktował to po koruńsku - zignorował. Ubranie wyschnie, on też. Bardziej martwił się o oczy. Musiał je osłaniać obydwoma dłońmi, żeby w ogóle podnieść wzrok. Widoczność ograniczała się do kilku metrów.

Ale wystarczyła, aby dostrzegł ciała.

Wisiały do góry nogami, z łokciami wygiętymi pod dziwnym kątem, bo ręce związane im za plecami. Żywe, chwytnie pnącza okręciły się wokół ich kostek i utrzymywały sześć metrów nad podłożem, dość nisko, by ich głowy znalazły się w zasięgu skoku lianokota, takiego jak ten, którego spłoszył akk, kiedy Nick i Mace zbliżyli się do ciał.

Mace naliczył siedem trupów.

Ptaki i owady już się nimi zajęły, lianokoty też. Wisiąły już chyba od jakiegoś czasu w wilgotnym półmroku, pod ulewą i grzmotami. Metal nie był jedyną strawą, jaką odżywiały się lokalne pleśnie i grzyby. Po bezbarwnych strzępach, które pozostały z ubrań, trudno było poznać, czy to mężczyźni, czy kobiety. Mace nie był do końca przekonany, czy to w ogóle ludzie.

Stał pod nimi, wpatrując się w puste oczodoły dwóch ciał, które jeszcze miały głowy.

- Wyczułeś to? - krzyknął Nick z siodła. Jego trawiak sięgnął po pnącza, które podtrzymywały ciała, i Nick dźgnął go w łapę brązowi-nową szpicrutą. Trawiak stwierdził, że lepiej poczęstować się najbliższą kępą szklanych paproci. Nigdy nie przestawał żuć.

Mace skinął głową. Echa tych morderstw wyły w otaczającej go Mocy. Mógł je wyczuć na setki metrów. To miejsce cuchnęło Ciemną Stroną.

- Już się napatrzyłeś? Nie mamy tu nic do roboty. Wsiadaj!

Trupy spoglądały na Mace'a pustymi oczodołami. Pytały: „Co z nami zrobisz?”

- Czy oni... - Głos Mace'a był dziwnie chropawy... musiał odchrząknąć, żeby oczyścić krtań, ale zanim zdążył zamknąć usta, napił się tyle wody, że przez chwilę kasłał jak oszalały. - Czy to Balawai?

- A skąd mam wiedzieć?

Mace wyszedł spod wiszących ciał i zmrużonymi oczami spojrzał na Nicka. Błyskawica nad baldachimem liści położyła złote błyski na czarnych włosach młodego Koruna.

- Chcesz powiedzieć, że to mogli być Korunnai?

- Jasne. O co ci chodzi? - Nick był zdumiony, że Mace w ogóle się nad tym zastanawia.

Mace też nie był pewien, dlaczego go to interesuje. I czy go interesuje. Ludzie to ludzie. Trup to trup.

Nawet jeśli to przypadkiem nieprzyjaciel, stanowczo to nie jest w porządku.

- Powinniśmy ich pochować.

- Powinniśmy się stąd wynosić! -Co?

- Wsiadaj! Spadamy.

- Jeśli nie możemy ich pochować, to chociaż ich odetnijmy. Spalmy. Zróbmy cokolwiek. - Mace chwycił za linkę do wsiadania, jakby jego ludzka siła wystarczyła, aby zatrzymać dwutonowego trawiaka.

- Jasne... spalić! - Nick splunął wodą na bok trawiaka. - Znowu to poczucie humoru, typowe dla Jedi.

- Przecież nie możemy ich zostawić na pastwę drapieżników!

- Ależ możemy. I zostawimy. - Nick pochylił się ku niemu, a na jego twarzy pojawił się wyraz... chyba politowania. W stosunku do Mace'a oczywiście. Jeśli chodzi o zabitych, zdawał się nie czuć zupełnie nic.

- Jeśli to Korunnai - wytłumaczył bez cienia urazy - to przyzwoity pogrzeb byłby jak napis „Byliśmy tutaj”. Wykorzystałaby to kolejna banda nie zrzeczonych albo patrol milicji. Znakomicie się orientują, kiedy to robić. Jeśli zaś są to Balawai...

Spojrzał na ciała i wszystkie ludzkie uczucia znikły mu z twarzy. Zniżył głos, ale Mace odczytał słowa z jego ust.

- Jeśli to Balawai - szepnął - to i tak za dobry los dla nich...

Noc.

Mace zbudził się z koszmarne snu, ale nie otwierał oczu. Nie był sam.

Nie potrzebował Mocy, żeby to wiedzieć. Czuł go. Cuchnący pot. Ślina i surowy thysel. Lesh. Szept, najcichszy.

- Dlaczego tu, Windu? Po co tu przyszedłeś?

W namiocie panowała całkowita ciemność. Lesh nie powinien nawet wiedzieć, że Mace nie śpi.

- Czego chcesz tutaj, ty? Zabrać ją od nas chcesz, ty? Powiedziała, że tak zrobisz, ona... - Słowa Koruna były zniekształcone przez narkotykowe oszołomienie. Wyrażały płaczące, dziecięce zdumienie, jakby się bał, że Mace zniszczy mu ulubioną zabawkę.

- Lesh - odezwał się Mace umyślnie głębokim głosem. Spokojnym i pewnym jak głos ojca. - Musisz opuścić mój namiot, Lesh. Porozmawiamy o tym rano.

- Myślisz, że możesz? Ha! Myślisz, że możesz? - Głos brzmiał dziwnie cienko, jak krzyk zduszony do szeptu. Teraz Mace poczuł jeszcze olej maszynowy i bursztyn portaaka.

A więc Lesh był uzbrojony.

- Nie rozumiesz jeszcze, ty... Ale dowiesz się, dowiesz... Mace sięgnął ku niemu poprzez Moc. Korun siedział przycupnięty w nogach Mace'a, z butami na jego śpiworze. Nie najlepsza pozycja do walki...

- Lesh... - Mace przelał Moc w swój głos. - Chcesz teraz odejść. Porozmawiamy rano.

- Kiedy rano? Rano dla ciebie? Rano dla mnie? Mace nie wiedział, czy Lesh mówi „rano”, czy „rana”. Zaćmiony thysselem umysł Koruna miał w sobie jednak dość siły, by oprzeć się popartym przez Moc rozkazom Mace'a.

-Nie wiesz nic, ty - dodał urywanym głosem, jakby miał kłopoty z oddychaniem. - Ale nauczy cię Kar... To, co robisz, wszystko wie. Nauczy cię... akkami. Czeka, ty. Czeka i patrz.

Kar? W wielu raportach Depy przewijało się nazwisko Kara Vastora. Wspomniała o nim jako o szczególnie zdolnym dowódcy niezależnego - lub prawie niezależnego - oddziału komandosów. Mace nie do końca orientował się w strukturze dowodzenia GFW. Ale skoro Lesh wypowiedział to nazwisko z zabobonnym podziwem...

Czy on na pewno mówił o akkach?

- Lesh, musisz już iść. Teraz. -Niezależnie od wątpliwości, Mace nie był aż tak głupi, żeby angażować się w konwersację z facetem na korowym haju.

- Myślisz, że ją znasz. Myślisz, że jest twoja. Nauczę cię czegoś. Może. Żyłeś tak długo, żeby się nauczyć, ty? Może nie.

Zawirowanie w Mocy było wystarczającym ostrzeżeniem. Miecz natychmiast znalazł się w jego dłoni. Syczące ostrze rzuciło purpurowe cienie. Ale Lesh nie atakował.

Nie ruszał się. Rusznicę trzymał w poprzek kolan.

Po twarzy spływały mu łzy.

Dlatego tak niewyraźnie mówił. Dlatego z trudem łapał oddech.

Płakał w milczeniu.

- Lesh - zaczął zdumiony Mace. - O co cho...

Urwał. Cóż, Korun był wciąż na korze, a Mace nadal nie był głupcem. Podał mu tylko ręcznik z torby.

- Masz. Wytrzymaj twarz.

Lesh wziął go i rozsmarował smugi pod oczami. Spojrzał na ręcznik i zmiął go w palcach.

- Windu...

- Nie. - Mace wyciągnął rękę po ręcznik. - Pogadamy rano. Jak wytrzeźwiejesz.

Lesh pokiwał głową i otarł nos grzbietem dłoni. Spojrzał raz jeszcze błagalnie na Mace'a i wyszedł.

Noc mijała bez snu, powoli. Medytacja dawała mniej odpoczynku niż sen, ale przynajmniej nie produkowała koszmarów.

Nie taki zły interes.

Rankiem, kiedy zapytał Lesha, czy wciąż chce pogadać, ten udał, że nie wie, o co Mace'owi chodzi.

Mace obserwował jego plecy, gdy się oddalał. Przebłysk intuicji w Mocy dotarł do niego, wstrząsnął i objawił prawdę.

Przed zmrokiem Lesh nie będzie żył.

Dzień.

Rwetes, jaki akki robiły w Mocy, był prawie nie do wytrzymania. Na tyle często się to powtarzało, że Mace nauczył się go rozumieć.

Kanonierki. Więcej niż jedna.

Mace czuł, że Nick się martwi. W Mocy emanowało z niego lodowate napięcie. Zaczęło ogarniać również i Mace'a. Próbował uspokoić siebie i Nicka ćwiczeniami oddechowymi, ale czuł od tego ucisk w żołądku.

Powietrzne patrole nękały ich już od rana. Krążenie spiralą i loty po przekątnej typowe poszukiwania. Niebezpiecznie było sądzić, że szukają kogokolwiek innego niż czterech Korunnai i Mace'a.

Napięcie zwiększało ucisk w żołądku Mace'a. Jak ci ludzie mogą żyć w takim stresie?

- Pech - mruknął Nick. - Cholerny, cholerny pech...

Znajdowali się na odsłoniętym, ostrym jak brzytwa grzebieniu skalnym. Jakieś trzęsienie ziemi dawno temu wyrwało tu dziurę. Półkole związanego murawą i korzeniami piargu tworzyło rampę, po której zbliżali się do wyrwy. Wybierali drogę poprzez sterty kamieni o szerokości kilkunastu metrów; akki pilnowały z przodu i z tyłu. Na bokach szczeliny rosły kwitnące pnącza i drzewa wczepione w skałę podobnymi do palców korzeniami. Szczyt grzebienia tonął w niskich chmurach. Dwa lub trzy metry dalej przeciwległe zbocze prowadziło w mrok dżungli. Może zdołają dotrzeć do drzew, zanim nadleci patrol... Nick jednak ściągnął wodze.

- Lesh ma kłopoty.

Mace nie musiał pytać, skąd Nick to wie - tych młodych ludzi łączyła wzajemna więź prawie tak silna, jak ich więź z akkami. Pomyślał o przebłysku w Mocy, jakiego doznał rano.

- Idź - powiedział.

Nick zawrócił trawiaka i pogalopował z powrotem przez szczelinę. Ze skierowanego do tyłu siodła Mace widział jedynie Chalk, która mijała ich w pędzie. Jej trawiak był najszybszy ze wszystkich, a poza tym niósł połowę ciężaru.

Kiedy minęli szczyt przełęczy, Mace przywołał Moc i wstał w siodle z twarzą skierowaną do przodu, opierając się dłońmi o plecy Nicka i wyglądając mu zza ramienia.

Na stoku przełęczy ktoś leżał. Pies akk węszył nerwowo wokół niego. To był Lesh. Jego trawiak stał



spokojnie kilkanaście metrów dalej, skubiąc młode drzewka ze skalnej ściany, by napelnić niezmordowanie poruszającą się paszczę. Besh był pierwszy; zeskoczył z trawiaka i pobiegł do brata.

- Wstawaj! - krzyknął Nick i machnął ręką. - Wsiadaj i uciekaj! Mace'owi zdawało się, że ktoś niewidzialny skierował jego wzrok na dżunglę pod nimi - na tle koron widać było parę metalicznych punktów, ciągnących za sobą ślad w postaci gwałtownie falujących liści. Kanonierki. Zdażały wprost ku przełęczy.

- Może nas jeszcze nie widzieli - mruknął do siebie Nick. - Może tylko sprawdzają przełęcz.

- Widzieli.

Nick obejrzał się przez ramię na Mace'a.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ zwykle latają trójkami.

Jego ostatnie słowa utonęły w ryku repulsorów i warkocie silników odrzutowych kanonierki, która wśliznęła się właśnie do szczeliny z drugiej strony grzebienia. Mace spodziewał się, że zanurkuje, żeby ich ostrzelać, ale maszyna zawisła w powietrzu, włączając i wyłączając silniki.

- Co oni robią? Nick skrzywił się.

- Znasz takie określenie Jesteśmy ugotowani"?

- Znam.

W brzuchu kanonierki otworzyły się dolne klapy, ukazując dysze przypominające kształtem komory reaktorów rakiety. Dysze rozsunęły się szeroko i plunęły smugami płomieni, które uderzyły w ziemię i rozpląnęły się w ogniste rzeki, pokrywając skały i wypełniając szczeliny. W ciągu niecałej sekundy ta część przełęczy zmieniła się w piekło. Mace musiał osłonić twarz przed buchającym żarem. Kanonierka ruszyła ku nim, cały czas zalewając przełęcz ogniem.

- W tym przypadku - posępnie dorzucił Nick - to nie jest przenośnia.

Kanonierka kierowała się ku nim, jak niesiona na szczycie ognistego słupa.

Trawiak wydał przeraźliwy ryk i rzucił się do galopu. Skakał z kamienia na kamień i wspinał się po zboczu, dziko podrygując. Nick wrzasnął równie przeraźliwie, a przy tym bardzo nieprzyzwoicie i otoczył ramionami szyję wierzchowca, walcząc o życie. Ciało zwierzęcia kołysało się na wszystkie strony, a cztery przednie łapy cięły powietrze w dzikiej panice.

Mace zebrał się w sobie, czując strumień Mocy. Pozwolił swojemu umysłowi związać się z umysłem galopującego trawiaka, nakazując mu, by biegł przed strumieniami ognia. Kiedy kanonierka przelatowała nad nimi, Mace wyprostował palce i wbił je trawiakowi w splot nerwowy pod barkiem.

Trawiak ryknął niczym klakson taksówki powietrznej w godzinie szczytu i skoczył parę metrów w bok - w sam środek szczeliny pomiędzy dwiema ognistymi smugami. Chociaż płomienie huczały po obu stronach, tylko kilka iskier podpaliło kępki sierści na nogach trawiaka. Mace machnął ręką i Moc ugasiła płonące futro, dławiąc płomień w bąblu próżni.

Kanonierka przeleciała nad nimi, kierując snopy płomieni na Chalk. Dziewczyna wśliznęła się pod brzuch trawiaka, który objął ją przednimi łapami i biegł, osłaniając Chalk własnym ciałem. Przekleństwa Nicka utonęły w kaszlu wywołanym gęstym i czarnym chemicznym dymem.

Dym palił oczy Mace'a jak kwas, oślepiając go łzami. Użył Mocy, aby utrzymać się w siodle, i po omacku sięgnął po kradziony pakiet medyczny, który zwisał z pasa Nicka. Moc podpowiedziała mu, którą wybrać strzykawkę. Wbił ją w plecy Koruna poniżej krzyża, a potem sobie w pierś.

Nick jęknął, czując ukłucie.

-Co do jas...

- Neutralizator gazu - wyjaśnił Mace. Był to środek awaryjny używany na pokładzie statków, oczyszczający selektywnie krew użytkownika z różnych toksyn, od tlenku węgla po wodorocyjanek. - Nie tak skuteczny jak maska gazowa, ale utrzyma nas w przytomności przez parę minut...

- Będziemy przytomni, kiedy zaczniemy się żywcem palić? Ekstra! Jak ja ci się odwdzięczę?

Kanonierka przechyliła się i weszła w zakręt, który pozwoliłby jej wykonać jeszcze jeden przelot. Płomień osmalił zad trawiaka Chalk i podpalił cały bok zwierzęcia. Trawiak ryknął przeraźliwie i rzucił się do przodu z rozpostartymi przednimi łapami, objając się o płonące kamienie. Chalk wyleciała w powietrze i spadła na głaz. Jej suka akk, Galthra, skakała ze skały na skałę, wyciągając łapy w kierunku kanonierki, jakby chciała ją ściągnąć w dół. Mace nie bał się o nią; akki hodowano na zboczach aktywnych wulkanów, a ich skóra była dość twarda, by powstrzymać ostrze miecza

laserowego.

Kanonierka zakończyła pętlę i ruszyła z powrotem w kierunku Mace'a i Nicka.

Mace sięgnął głębiej w Moc; otworzył się, by znaleźć punkt przełomu. Sytuacja w przełęczy zatrzymała się na chwilę i rozszczepiła w kryształ: trawiaki, akki, ludzie, kanonierki stały się węzłami naprężeń, wektorami przecinających się pól energii, połączonych liniami skaz i wad. Mace zacisnął zęby z ponurą miną.

Ujrzał jedną, niewielką szansę.

Kanonierka mogła latać nad nimi i zalewać ich ogniem przez cały dzień. Żaden miecz laserowy nie zdołałby odbić płonącego paliwa. Jednak gdyby milicja w kanonierce chciała też wyprowadzić akki...

Tylne wyrzutnie kanonierki zagrzmiały i pociski ogłuszające poleciały w kierunku Besha i Lasha. Wstrząsy eksplozji spowodowały, że piekło otaczające Mace'a i Nicka zaczęło drgać, falować i trzaskać. Odpowiedziały im ze wszystkich stron mniejsze detonacje; to pękła przegrzana do granic wytrzymałości skała. Rozżarzone do czerwoności odłamki na pół stopionego kamienia przecinały płomienie. Gdziekolwiek lądowały, przyklejały się z sykiem. Kurtka Mace'a dymiała; Nick był zbyt zajęty strzepywaniem płonących okruchów z tuniki, żeby pamiętać o przeklinaniu.

Mace użył Mocy, aby odpiąć wiązkę granatów, które Nick zabrał najemnikom w Pelek Baw, i wyrwał zdobyczną rusznicę z futerału przy uprząży trawiaka.

Nick obejrzał się z obłędem w oczach, z trudem trzymając się wierzchowca.

- Co ty wyprawiasz?

- Skacz. -Co?

Pchnięciem poprzez Moc Mace wyrwał go z siodła sekundę przedtem, zanim pocisk uderzył trawiaka prosto w pierś. Wybuch wyrzucił ich wysoko w powietrze w chmurze pary i odłamków kości.

Mace czuł w Mocy, jak świadomość Nicka gaśnie pod wpływem szoku. Sam wyszedł z upadku przewrotem w przód i wylądował na stopach między skałami. Moc szarpnęła pas rusznicy i uwolniła mu dłonie, po czym delikatnie przejęła bezwładne ciało Nicka i opuściła w ramiona Mace'a.

Nick spojrzał na niego nie całkiem przytomnym wzrokiem.

-Co... co się...

- Zostań tu - polecił Mace. Wcisnął Nicka w szczelinę między dwoma blokami wielkości domu; dzięki swej masie będą się nagrzewać bardzo długo, nawet w tym rozszalałym piekle. Na razie stanowiły dobrą osłonę przed ogniem.

- Oszalałeś? - wybełkotał Nick. - Wiesz, jaką siłę ognia mają te ruskakki?

- Dwie podwójne rewolwerowe wieżyczki Taim & Bak FX-4, na lewym i prawym skrzydle - nieobecnym głosem odparł Mace, przykucając za skałą i ładując rusznicę pociskiem z nitynitem. Kanonierka kończyła przelot. - Podwójne stałe wyrzutnie pocisków Krupxy MG-3 z przodu i z tyłu, montowany pod brzuchem miotacz płomieni typu Sunfire Merr-Sonn 1-1000...

-I jakie osłony! - dodał Nick. Wzrok dopiero teraz zaczął mu się rozjaśniać. - Czego trzeba, żeby przebić tę powłokę? -Niczego.

- No to co masz właściwie zamiar zrobić?

- Zwyciężyć - odparł Mace.

Kanonierka przeleciała nad nimi. W ułamku sekundy, akurat wtedy, gdy Mace znalazł się w ślepej strefie pojazdu, wstał i szerokim łukiem wystrzelił granat z nitynitem. Czuł w Mocy jego trajektorię; kiedy wyminął kanonierkę, trzeba było tylko lekkiego dotknięcia, żeby skierować go do prawego wlotu powietrza silnika, który wessał go niczym ryba chrząszcza.

Metal rozdarł się z rykiem. Nitynitowe granaty właściwie nie wybuchają; po prostu wypuszczają strumienie gazu. To zresztą i tak nie miało szczególnego znaczenia. Ważne było, że półkilowa bryła metalu została wessana w łopaty silnika, które obracały się z prędkością około miliona obrotów na minutę.

Okrągåo licząc.

Z dyszy wylotowej trysnął czerwony ogień, a za nim rozżarzone do białości kawałki silnika. Kolejne przebiły się przez kadłub i teraz cały silnik eksplodował, spychając kanonierkę bocznym kursem na ścianę klifu.

Mace spojrzał na Nicka.

- Jakies pytania?

Nick o mała nie udławił się własnym językiem. Mace mruknął:

- Przepraszam - i znikł.

Moc przeniosła go przez głazy jak torpedę. Biegł schylony, przebijając się przez płomienie zbyt szybko, by mogły go oparzyć. Prześlizgiwał się po powierzchni rozżarzonego żwiru pod stopami, skacząc z kamienia na kamień, przedostał się wreszcie na drugą stronę przełęcz, do Chalk i jej akka, Galthry.

Dwie pozostałe kanonierki, zniżające się gładkim ślizgiem, ruszyły ku szczelinie. Trawiak Besha palił się żywcem, wierzgając i rycząc. Zwierzę Lesha było już tylko masą spalonego mięsa. Jeden z pocisków trafił akka w bok - chociaż skóra psa jest prawie nie do przebicia, jednak wstrząs detonacji pocisku zrobił krwawą masę z jego organów wewnętrznych. Akk chwiejnym krokiem powlókł się pomiędzy głazy, gdzie padł. Besh odciągnął brata przez płomienie i ukrył za masywnym, twardym cielskiem. Ciało akka podskakiwało i wiło się w rytm kolejnych salw z działek, które w nie

trafiały. Chwilami wydawało się, że pies wciąż żyje.

Za plecami Mace'a pilot pierwszej kanonierki odzyskał kontrolę nad maszyną, odcinając lewy silnik i sprowadzając statek jedynie na repulsorach. Mace czuł, jak Chalk odzyskuje przytomność pośród płonących kamieni, ale nie miał czasu, żeby coś dla niej teraz zrobić. Podążył tylko za strumieniem jej budzącej się myśli ku więzom Mocy, jakie łączyły ją z Galthrą. Wystarczyła sekunda, aby zgłębić siłę tych więzów - poznał ją w pełni i do końca.

A potem ją przejął.

Więź Galthry z Chalk okazała się głęboka i silna, ale była tylko funkcją Mocy, Mace zaś był mistrzem Jedi. Dopóki nie zwolni akka, Galthra będzie miała więź z nim.

Rzucił się saltem w powietrze, a Galthra skoczyła w dół na jego spotkanie. Dotknęła ziemi już spięta do kolejnego skoku, a Mace zakończył skok, lądując na jej grzbiecie. Nie była szkolona, aby nosić jeźdźca w bitwie, ale przepływ Mocy uczynił z nich jedną istotę. Mace zaklinował lewą stopę pod kolcami na karku Galthry, a ona skoczyła w przełęcz, kreśląc zygzakowatą drogę pośród piekielnych płomieni i eksplodujących skał.

Mace przykucnął, żeby skorzystać bodaj w części z osłony masywnej czaszki Galthry, i oddzielił z wiązki kolejny granat. Wsunął go w lufę rusznicy i zarzucił sobie broń na ramię, nie strzelając. Za plecami czuł, jak otwierają się przednie wyrzutnie pocisków uszkodzonej kanonierki.

- W samą porę - mruknął.

Dotarli z Galthrą do szczytu przełęczy. Dwie kanonierki przed nim z rykiem pędziły w górę zbocza. Trzecia wystrzeliła pocisk prosto w grzbiet Galthry.

W ułamek sekundy po wystrzeleniu, w tym okamgnieniu, kiedy pocisk zdawał się zawisać w powietrzu, jakby zbierając się do pełnego działania, kiedy to grawitacja wypchnie go w podróż, więź Mocy pomiędzy Mace'em a Galthrą zadziałała i akk nagle skoczył w bok.

Pocisk przeleciał tak blisko, że przypiekł skórę na czaszce Mace'a.

Jeden lekki dotyk przez Moc - lżejszy niż czułe polaskotanie pod brodą - odchylił romboidalną głowicę do góry o centymetr lub dwa, zmieniając kąt natarcia na tyle, by pocisk prześliznął się po grzbiecie góry, zamiast trafić w płonący grunt. Poleciał dalej, wlokąc za lotkami wir czarnego dymu; po chwili pierwsza kanonierka, która właśnie wyleciała zza przełęczy, przyjęła pocisk w sam środek dzioba.

Ogromna kula białego ognia uderzyła w nią jak w zaskoczonego trawiaka i odrzuciła w tył. Z poszarpanej szczeliny wyrwanej w powłoce dziobowej buchnął czarny dym. Silniki ryknęły, dym śmignął spod repulsorów, gdy pilot usiłował zachować równowagę. Trzecia kanonierka skrzyła, miotając się dziko na ciągu wstecznym, żeby uniknąć zderzenia z rufą drugiej.

Mace i Galthra pobiegli wprost ku nim.

Mijając drgające ciało trawiaka Chalk, Mace sięgnął po thunderbolta. Broń skoczyła z ziemi wprost w jego ręce, a akumulator wylądował mu u stóp. Oparł potężny karabin o biodro, skierował lufę na trzecią kanonierkę i przytrzymał spust.

Płynął teraz przez płomienie i czarny gryzący dym, nad szlaką rozpalonej skały, przez szrapnele rozrywanych kamieni na grzbiecie ważącego trzy czwarte tony opancerzonego drapieźnika, prując z karabinu wspartego o biodro pakietami energii, które cięły powietrze, lecąc ku kanonierce. Thunderbolt nie miał dość siły rażenia, żeby przebić gruby pancerz maszyny, ale to nie miało znaczenia: samopowtarzalny karabinek był tylko wizytówką Mace'a.

Galthra pognęła z boczem pod kanonierkami i Mace odwrócił się w ich stronę, siejąc ogniem laserów, aż wreszcie thunderbolt przegrzał się, zakasłał i Jedi odrzucił go na bok. Trzeci statek wystrzelił dwa pociski, lecz Mace wyczuł ich cel, zanim jeszcze strzelec wcisnął spust. Galthra tak szybko reagowała na jego rozkazy w Moc, że żaden z pocisków nie znalazł się na tyle blisko Mace'a, by zmierzwić mu włosy.

Gdyby je miał.

Teraz przemówiły boczne wieżyczki laserów, obracając się, by nadażyć za jeźdźcem, a Mace poprzez Moc poczuł, jak ich komputery celownicze namierzają cel. Uszkodzone statki także ustawiły się w pozycji do strzału. Kanonierki koordynowały teraz swój ogień: nie miał szansy, by uciec. Ale się nie przejmował. Zatrzymał Galthrę.

Stał nieruchomo, z pustymi rękami, czekając, aż otworzą ogień.

Czekał, aby dać przeciwnikom skrócony kurs sztuki Vapaad.

Ich działa plunęły energią, Mace zaś rzucił się w Moc, zostawiając wszystko oprócz swojego zamiaru. To już nie był Mace Windu, lecz wcielona w Jedi Moc. Miecz świetlny Depy błysnął w jego lewej dłoni, własny - w prawej. Zielona kaskada spotykała się z purpurową, kiedy ciał przed sobą powietrze.

Vapaad był szczególnie groźnym drapieźnikiem z Sarapinu, potężnym i okrutnym. Atakował nieprawdopodobnie szybkimi mackami. Większość okazów miała ich siedem, ale nierzadko zdarzało się, że miały i po dwanaście. Największy, jakiego kiedykolwiek upolowano, liczył sobie dwadzieścia jeden odnóży. Cały problem z Vapaadem polegał na tym, że nigdy nie wiedziałeś na pewno, ile ma macek, dopóki go nie zabiłeś. Poruszały się zbyt szybko, by je policzyć. Prawie za szybko, by je zobaczyć.

Tak samo poruszał się Mace.

Energia laserowa tryskała wokół niego, ale jedynie jej odpryski osmalały go tu i tam, reszta wracała do kanonierki. Thunderbolt nie był w stanie przebić grubego pancerza maszyny, ale działka laserowe Taim & Bak FX-4 to całkiem inna sprawa.

Dziesięć strzałów dosięgło ostrzy mieczy. Po dwa wróciły do uszkodzonych statków, rozpryskując

się na ich pancierzach i wytrącając z równowagi, aż straciły cel. Pozostałe sześć wbiło się w kokpit trzeciej kanonierki, wyrывая w transpasterowej owiewce ogromną dziurę.

Mace opuścił miecze, przerzucił karabinek do przodu i wystrzelił z biodra. Karabinek plunął pojedynczym granatem, który, pokierowany Mocą wpadł wprost w otwór w kokpicie. Z dziury wytrysnęła fontanna białej mazi. Glop.

Mace burknął pod nosem - zdawało mu się, że załadował nitynit.

Potem wzruszył ramionami. Ech, co za różnica, pomyślał.

Jeden z przednich silników zassał strumienie twardniejącego glopu przez wlot powietrza zawył i rozpadł się na drobne kawałki. Kanonierka zakołysała się gwałtownie; członkowie załogi posklejali się szybko twardniejącym glopem i wkrótce mogli już tylko z przerażeniem obserwować, jak ich statek kieruje się na zbocze i eksploduje w potężnej, imponującej kuli ognia która rozprysła się po zboczu w promieniu trzystu metrów.

A teraz ostatnia sztuczka, pomyślał Mace.

Rzucił karabin i wyciągnął ręce. Miecze przyfrunęły mu z powrotem do dłoni.

Ale dwa uszkodzone statki już zawróciły i ciężko wznosiły się w splamione dymem niebo.

Obserwował je ze zmarszczonym czołem.

Czuł się dziwnie zdenerwowany.

Nieszczęśliwy.

To było... jakby to powiedzieć... Kłopotliwe.

Surowa uczciwość nie pozwalała mu zaprzeczyć słowu, które dokładnie opisywało jego uczucia.

To było niewłaściwe.

### **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Nie wiem, jak długo tam stałem, ponuro wpatrując się w niebo. Ostatecznie odzyskałem dość równowagi, by zsunąć się z grzbietu Galthry i uwolnić jej więź Mocy. Natychmiast pobiegła w podskokach, aby odszukać Chalk na szczycie zbocza, wśród płonących kamieni.

Nick zszedł na dół, potykając się. Z trudem wybierał drogę pośród dogasających płomieni, wymijając na wpół roztopione kamienie, które wciąż jeszcze jarzyły się przyćmionym czerwonym blaskiem. Jeszcze się nie otrząsnął z emocji walki. Pijany adrenaliną, rozchichotany jak dziecko, wydawał się bezgranicznie szczęśliwy, kipiał szalonym entuzjazmem. Nie pamiętam, co mówił, poza

tym, że nazwał mnie „chodzącą jednoosobową machiną wojenną”.

Czy coś w tym stylu. Nie wiem, czy na pewno użył słowa „chodząca”.

Większość z tego, co mówił, zginęła w ryku, który przetaczał się w mojej głowie. Huraganowy wir grzmotów, echo eksplozji bitewnych i przyływ samej Mocy...

Kiedy Nick dotarł do mnie, zauważyłem, że jest ranny. Krew z rany na skroni spływała mu po twarzy i szyi - prawdopodobnie zadrażnienie odłamkiem skały. Powtarzał jednak nieustannie, że nigdy nie widział niczego podobnego do mojej akcji, aż musiałem go uciszyć, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Krwawisz - powiedziałem, ale mroczny blask w jego jasnoniebieskich oczach trwał nadal. Wciąż powtarzał: „Sam przeciwko trzem kanonierkom. Trzem. Sam”.

Wyjaśniłem, że nie byłem sam. Zacytowałem Yodę: „Moc jest moim sprzymierzeńcem”. Wydawał się nie rozumieć, więc wyjaśniłem: „Miałem nad nimi przewagę liczebną”.

To, co nastąpiło później, będę wspominał do śmierci. Choćbym nie wiem, jak chciał, nie wymażę tego z pamięci. Nie mogłem oderwać wzroku od uszkodzonych kanonierek, które teraz były już tylko maleńkimi kropkami durastali wznoszącymi się w nieskończone przestworza.

Nick podążył wzrokiem za moim spojrzeniem i mruknął:

- O tak, wiem, co czujesz. Szkoda, że nie usmażyłeś wszystkich trzech, nie?

- Co czuję? - rzuciłem się na niego. - Co ja czuję? Miałem ogromną ochotę walnąć go w nos; ochotę tak wielką, że sam wysiłek, żeby ją opanować, pozbawił mnie tchu. Chciałem... potrzebowałem... uderzyć go. Walnąć go w dziób. Poczuc, jak moja pięść miażdży mu szczękę. Żeby się zamknął.

Żeby już tak na mnie nie patrzył.

Zrozumienie w jego głosie... wiedza w tych zimnych niebieskich oczach...

Chciałem go uderzyć, bo miał rację. Wiedział, co czuję.

Fatalny szok.

Tak jak powiedział: chciałem zniszczyć także te pozostałe kanonierki. Chciałem ściągnąć je z nieba i patrzeć, jak płoną. Nie myśleć o istnieniach, które zniszczyłem wraz z pierwszą kanonierką. Nie myśleć o istnieniach, które zniszczyłbym w dwóch pozostałych. Sięgnąłem poprzez Moc do płonącej sterty złomu, szukając - sam nie wiedziałem, czego.

Podoba mi się wersja, że szukałem ocalałych. Sprawdzałem, czy byli tam ludzie, może tylko ranni, których mógłbym uratować z płomieni. Ale nie mogę przyznać uczciwie, że tak było naprawdę.

Może tylko chciałem poczuć, jak płoną.



Nie mogłem również powiedzieć uczciwie, że jest mi przykro, iż walka przybrała taki obrót.

Wprawdzie zabrałem im życie w samoobronie, ale ani ja, ani ci, których broniłem, nie byli niewinni. Nie mogłem uczciwie twierdzić, że moi koruńscy towarzysze bardziej zasługują na życie niż ludzie z kanonierki. Niczego, co uczyniłem na przełęczy, nie mogę uznać za spełnienie obowiązku Jedi.

To, co tam robiłem, nie miało nic wspólnego z pokojem.

Można to nazwać wypadkiem na wojnie: ot, banda krwiożerczych partyzantów podróżowała w towarzystwie mistrza Jedi, przez co żony i dzieci tych w kanonierce poniosły ciężką stratę. Można to nazwać wypadkiem na wojnie... nawet ja mógłbym to tak nazwać...

Gdyby to choć trochę przypominało wypadek.

Gdybym nie starał się zestrzelić tego statku. Gdybym nie czuł w moich żyłach gorączki... gorączki krwi.

Żądza zwycięstwa. Zwyciężyć za wszelką cenę.

Gorączka krwi.

Czuję ją do tej pory.

Nie, nie opanowała mnie jeszcze; aż tak nisko nie upadłem. Jest to raczej kwestia preferencji. Oczekiwanie. Nadzieja, która pozostała niespełniona.

To niedobrze. Nie najgorzej, jak może być, ale niedobrze.

Od dawna wiedziałem, że grozi mi tu niebezpieczeństwo. Dopiero teraz zaczynam pojmować, jak mroczne i bliskie jest to zagrożenie. Nigdy nie sądziłem, że Haruun Kal przywiedzie mnie tak blisko tej fatalnej granicy.

Musi to być efekt uboczny zastosowania Vapaad w Mocy. Mój styl zapewnia wielką skuteczność, ale straszliwym kosztem. Gorączka krwi to choroba, która może zabić każdego, kogo dotknie. Aby użyć Vapaad, musisz pozwolić sobie na radość z walki. Poddać się bitewnemu dreszczowi. Zwycięskiemu szaleństwu. Dlatego tak niewielu studentów w ogóle próbuje tego stylu.

Vapaad to droga, która prowadzi przez pograżony w półmroku skraj Ciemnej Strony.

Tu, w dżungli, ten skraj jest przerażająco wąski. Całkowita noc jest jedynie o krok. Muszę być bardzo, bardzo ostrożny.

Albo aż nadto dobrze rozumiem, co przydarzyło się Depie.

Mace opuścił głowę. Elektryczne iskrzenie bitewnego zapału opuściło go, pozostawiając ciężar i ból. Miał mnóstwo powierzchownych oparzeń z rozprysków plazmy i odłamków na wpół stopionej skały.

Zmusił się, żeby spojrzeć w górę, ku przełęcz, przez umierające płomienie i czarne zwoje rozwiewającego się dymu. Leżały tam martwe akki, nieżywe i ranne trawiaki, Besh, Chalk i Lesh.

Przypomniał sobie przebłysk Mocy z poranka.

-Dość już, uspokój się trochę - zwrócił się do Nicka. Dziwne jak wielkie ogarnęło go nagle zmęczenie. - Wydaje mi się, że mamy ofiary w ludziach.

Przedarli się do piargowego zbocza. Nad ich głowami Chalk do-kuśtykała do swego ranego trawiaka i pokręciła głową. Zwierzę było straszliwie poparzone. Cały jeden bok był wielką masą zwęglonego ciała. Zawróciła wzdłuż sześciometrowego cielska, opadła na jedno kolano i pogładziła trawiaka po głowie. Zwierzę zawyło cicho z bólu i rozpacz, wtulając nozdrza w jej dłoń. Chalk wyciągnęła pistolet i strzeliła prosto w górne oko.

Pojedynczy, głośny strzał odbił się od ścian klifu otaczających szczelinę. Dla Mace'a zabrzmiał on jak kropka zamykająca bitwę. Echo odpowiedziało ironicznym aplauzem.

Bracia wciąż kulili się w cieniu martwego akka. Zwłoki psa osłaniały ich z jednej strony, a wielki głaz z drugiej. Mace uznał, że przypadkiem mogli przeżyć.

Chalk znalazła się tam przed Nickiem i Mace'em. Schodząc w dół od zwłok trawiaka, nie spuszczała oczu z miejsca, gdzie powinni się znajdować bracia. Z jej wyrazu twarzy Mace wywnioskował, że nie zauważyła tam niczego dobrego. Spojrzała na wspinających się w górę Nicka i Mace'a i leciutko, z kamienną twarzą pokręciła głową.

Besh siedział na ziemi obok głowy martwego akka. Otoczył ramionami kolana i kołysał się w przód i w tył. Wokół niego na ziemi leżała porozrzucana zawartość pakietu medycznego: skaner ręczny, strzykawki ciśnieniowe i bandaże, stabilizatory kości. Wydawało się, że nic mu nie jest, ale był blady jak trup, a oczy miał okrągłe i całkiem puste.

Lesh miał konwulsje.

Jego twarz skurczyła się w sztywną maskę, ślepo wpatrzoną w puste popołudniowe niebo. Wyginał się i prężył, spazmatycznie zaciskając dłonie i bębniąc piętami po skale. Pierwszą myślą Mace'a było, że to rana głowy... szrapnel lub odłamek skalny w czaszce mogą dawać takie objawy. Nie mógł pojąć, czemu Nick i Chalk oraz własny brat ranego stoją bezradnie, jakby nie mogli zrobić nic innego, tylko patrzeć na jego cierpienia. Mace ukląkł i sięgnął po skaner.

- Zostaw - powiedziała Chalk. Podniósł na nią wzrok. Pokręciła głową. -On nie żyje już.

Mace pomimo to wziął skaner i odsunął pokrywę, żeby odczytać wynik. Odczyt mówił, że Lesh nie jest ranny.

Był zakażony.

Niezidentyfikowane pasożyty krwi zebrały się w jego centralnym systemie nerwowym. Właśnie weszły w nowy etap cyklu życiowego.

Pożerały mu mózg.

Teraz dopiero Mace pojął sens poprzedniej nocy w namiocie. Lesh musiał już być chory, zarażony pasożytem. A Mace myślał, że to tylko stres i odurzenie thysselem.

- Osy febronośne - chrapliwym głosem odezwał się Nick. Był prawie tak samo blady jak Besh. Mógł patrzeć na gwałtowną śmierć bez zmrużenia oka i rzucając sarkastycznymi uwagami, ale teraz, widząc Lesha, twarz miał pokrytą kroplistym potem. Cuchnął strachem. - Nie wiadomo, kiedy go ukąsiła. Ci, którzy żują thysel, umierają szybciej. Larwy lubią korę. Kiedy się wykluwają...

Przełknął ślinę i zacisnął powieki. Musiał się odwrócić.

- Wylęgają się na głowie. Przez czaszkę... jak przez skorupę jaja... Wyraz zgrozy na jego twarzy powiedział Mace'owi, że nie pierwszy raz obserwuje taką śmierć...

Mace odłożył pakiet medyczny w chłodniejsze miejsce obok martwego akka.

- Widzę z odczytu, że można go jeszcze uratować - rzucił. Wystarczyła sekunda, aby napełnić strzykawkę thanatizina. - Możemy wprowadzić go w stan śmierci klinicznej. Spowolnić cały proces, a potem odwieźć do Pelek Baw, do szpitala... Nawet jeśli go zidentyfikują...

Besh spojrzał na niego i w milczeniu pokręcił głową. Mace wyminął go i ukląkł obok Lesha.

- Możemy go uratować, Besh. Może to oznaczać konieczność wydania go milicji, ale przynajmniej będzie żył.

Besh chwycił go za ramię. Jego oczy patrzyły martwo, pożyłkowane czerwoną siateczką naczyń krwionośnych. Jeszcze raz pokręcił głową.

- Mistrzu Windu... - Nick wziął pudełko skanera i spojrzał na odczyt. - Lesh jest w bardziej zaawansowanym stanie, niż pokazuje ten wskaźnik.

- Skanery w pakietach medycznych są bardzo dokładne. Nie mogę sobie wyobrazić, że się myli.

- Nie myli się - miękko wyjaśnił Nick. Obrócił pudełko, by Mace jeszcze raz mógł odczytać wynik. - To nie są odczyty Lesha.

- Co takiego?

Besh wbił wzrok w ziemię, dotknął czubkami palców własnej piersi i usiadł. Wydawało się, że zapadł się w siebie, że wraz z wydechem uszła z niego nadzieja, ale i strach. Jego aura w Mocy emanowała czarną rozpaczą.

Mace spojrzał najpierw na Besha, potem na Nicka i znów na Besha, później na Lesha, wciąż rzucającego się w konwulsjach na kamieniach, wreszcie na strzykawkę, którą machinalnie zaciskał w dłoni. „Nie dlatego, że dżungla cię zabije - powiedział mu Nick. - Tak musi być”.

Nick wyjął skaner z pakietu medycznego i pomachał nim w pobliżu głowy Mace'a.

- Ty jesteś w porządku - rzekł cienkim głosem, zlizując pot z górnej wargi. - Żadnego śladu zakażenia. - Odwrócił się do Chalk i zmarszczył brwi, aby odczytać wynik.

Ramiona mu opadły i zaczął dygotać.

Brakło mu słów, ale nie musiał nic mówić. Chalk odczytała swój los z jego twarzy.

Zesztywniała, usta zacisnęły się jej w wąską linię. Odwróciła się i ruszyła w dół zbocza.

- Chalk! - zawołał za nią Nick. - Chalk, zaczekaj!

- Idę po thunderbolta ja - głos dziewczyny był martwy, pozbawiony emocji jak głos komputera nawigacyjnego. - Dobra broń. Potrzebować jej wy.

Nick odwrócił do Mace'a przerażoną twarz.

- Mistrzu Windu... - błagalnie wyciągnął ku niemu skaner pakietu medycznego. - Nie każ mi robić mojego własnego odczytu, dobrze?

Mace szybko przeskanował czaszkę i kręgosłup Nicka. Odczyt wskazywał wyraźnie negatywny wynik, ale Nick nie poczuł się wcale lepiej.

- Świetnie, nie ma co - rzekł z goryczą. - Gdybym miał umrzeć za dzień lub dwa, nie musiałbym się martwić, co z nimi, a tak...

- Co z nimi? - zdziwił się Mace. - A można ich wyleczyć?

- Jasne. - Nick wyciągnął pistolet. - Lekarstwo mam tutaj.

- To twoja odpowiedź? - Mace zastąpił mu drogę. - Zabić przyjaciół?

- Tylko Lesha - odparł. Jego głos brzmiał ponuro i twardo, choć lekko drżał, tak samo jak dłoń. Nie miał siły ducha Chalk. Oczy mu zwilgotniały, twarz się skurczyła, z trudem się zmusił, by spojrzeć na przyjaciół. - Beshem i Chalk zajmujemy się, kiedy zaczną mieć drgawki.

Mace nie mógł uwierzyć, że Nick mówi serio.

- Chcesz ich zastrzelić? Jak trawiaka Chalk?

- Nie jak jej trawiaka - odparł Nick. Twarz mu poszarzała. - Nie w głowę. To by spowodowało rozsiew larw. Niektóre mogą być już dość rozwinięte, aby stać się niebezpieczne... - odkaslnął - ...dla nas.

- A więc nie wystarczy, że zginie. - Mace oddechem wzniosł wokół serca mur dyscypliny Jedi, aby zdławić empatyczne przerażenie na widok wykrzywionej w konwulsjach, szarej twarzy Lesha. W

kącikach ust chłopaka pojawiły się bąbelki różowej piany. - Zainfekowane obszary... trzeba zniszczyć. Mózg i rdzeń kręgowy.

Nick skinął głową. Wyglądał teraz jeszcze gorzej.

- Przy tym ukąszeniu zwykle palimy ciało, ale...

Mace zrozumiał. Zbiegłe kanonierki z pewnością przekazały już gdzie trzeba ich położenie. Nie wiadomo, kto może ku nim lecieć.

Sam nie wierzył w to, co będzie musiał zrobić za chwilę. Nie mógł uwierzyć nawet w to, co chciał powiedzieć. Ale był Jedi. Celem jego życia było robić to, co należy. To, czego nie zrobią inni, bo nie są w stanie.

Nieważne, co to takiego.

Odpiął miecze świetlne od pasa; swój i Depy.

Zielone i purpurowe ostrza zwarły się z sykiem w pełnym dymu powietrza.

Besh spojrział w górę. Chalk znieruchomiała na zboczu, tuląc w ramionach thunderbolta. Nick otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

Wszyscy spoglądali na Mace'a, jakby go widzieli po raz pierwszy.

- To twój przyjaciel... a twój brat. - Mace odetchnął głęboko, by uspokoić własny lęk i obrzydzenie, i mroczny, mroczny wstręt do tego, co miał zrobić za chwilę. - Może chcecie się pożegnać.

Besh pokręcił głową. Z nieartykułowanym szlochem, pełnym rozpacz i przerażenia, zerwał się na nogi i popędził pod górę.

Chalk tylko przez chwilę patrzyła w oczy Mace'owi, po czym powoli skinęła głową i poszła za Beshem. Objęła go silnym ramieniem, a on oparł się o nią, szlochając rozpaczliwie.

Nick był ostatni. W jego oczach widać było tylko ból. Wreszcie pokręcił głową, a łzy spłynęły mu na policzki.

- Już po nim - dotknął ramienia Mace'a. - Mistrzu Windu... nie musisz tego robić.

- Muszę - odparł Mace. - Albo będziesz to musiał zrobić ty. Nick niechętnie skinął głową.

-Dzięki. Windu... eee... mistrzu... ja... no, dziękuję.-Odwrócił się i ruszył w ślad za innymi. - Nie zapomnę ci tego.

Ja też nie zapomnę, pomyślał Mace.

Spojrzął w dół na Lesha pomiędzy dwiema lśniącymi klingami. Sięgnął w Moc, usiłując odnaleźć w

młodym człowieku cokolwiek, co z niego pozostało, ofiarować mu tę odrobinę pociechy, na jaką było go stać; jednak, jak powiedział Nick, Lesha już nie było. Długa chwila minęła, nim Mace zebrał się w sobie, odnalazł spokój i szacunek i poświęcił Mocy wszystko, co mogło pozostać ze świadomości czy duszy Lesha.

Potem odetchnął głęboko, podniósł ostrza i wziął się do pracy.

Ostry jak brzytwa grzbiet górski zasłaniał południowe niebo za ich plecami. Baldachim dżungli nad głowami rozjarzył się wczesnym zachodem słońca; niżej był już zmrok. Towarzysze szli powoli szerokim traktem, wygniecionym do nagiej ziemi wielokrotnymi przejazdami gąsienic pełzaków parowych. Gałęzie zamknęły się nad drogą, splatając się u góry, tak że ich trasa wiodła niby przez tunel w dżungli, który wił się i zakręcał, wiodąc to w górę, to w dół po nierównej płaszczyźnie zbocza.

Mace był oklejony plastrami bacta, przyciętymi tak, by zakrywały tylko najpoważniejsze poparzenia. Skroń Nicka lśniła opatrunkiem w sprayu, Chalk miała rękę na temblaku, ograniczającym ruchy ramienia, które wywichnęła sobie, spadając na skały, skrócone kolano zaś owinęła bandażem usztywniającym. Besh szedł w tępym milczeniu. Prawdopodobnie był w stanie szoku.

To, co zostało z Lesha, pochowali na skraju puszczy.

Ich plecaki były ciężkie od zapasów zdjętych z martwych trawiaków. Z ekwipunku Mace'a niewiele przetrwało: namiot, zmiana odzieży, osobisty pakiet medyczny i zestaw identyfikacyjny uległy zniszczeniu wraz z trawiakiem Nicka. Wojna na Haruun Kal unicestwiała ślady życia Mace'a poza dżunglą; z wszystkich fizycznych dowodów, że był kiedyś kimś innym niż Korunem, pozostały mu tylko dwa miecze świetlne.

Nawet fałszywy notatnik, który nosił ze sobą przez całą drogę... jego miniaturowy nadajnik podprzestrzenny musiał ulec uszkodzeniu podczas wybuchu. Brał pod uwagę wezwanie „Hallecka”, aby ewakuować Besha i Chalk na leczenie, chociaż bardzo skomplikowałyby to jego misję. Nagłe pojawienie się w systemie AFHar krążownika Republiki z pewnością ściągnęłoby niepożądaną uwagę separatystów. Holokomunikator notatnika nie mógł jednak namierzyć nawet fali nośnej. Jego ostatnia więź z tym, co Depa nazywała Galaktyką Pokoju, była martwa jak milicjanci Balawai z kanonierki, którą Mace rozbił o zbocze klifu.

O ironio, funkcja rejestracyjna notatnika działała bez zarzutu. Kamuflaż stał się prawdą: notatnik nie był już fałszywy. Mace miał zabobonne przeczucie, że to jakiś znak.

Galthra szła wśród nich u boku Chalk, zamiast kręcić się po zaroślach. Była ostatnim z ich akków. Przy odrobinie szczęścia sama jej obecność wystarczy, aby odstraszyć drapieżniki i utrzymać je w przyzwoitej odległości.

Kolejne kanonierki nie przyleciały. Mace uznał to za niepokojące. Raz na jakiś czas Galthra wysyłała sygnał w Mocy, który teoretycznie mógł oznaczać, że słyszy w oddali odgłos silników, ale trudno było powiedzieć coś na pewno. Przez większość czasu opłakiwała swoich towarzyszy ze stada. Jej obecność w Mocy zaznaczała się głównie jako jęk żalu i rozpacz.

Parli naprzód. Nick narzucił mordercze tempo. Nie odezwał się ani słowem od dnia, kiedy pochowali szczątki Lesha.

Mace odgadywał, że myśli Nicka krążyły wokół Beshy i Chalk; on sam nie przestawał o nich myśleć. Myślał też o larwach osy febronośnej, które mnożyły się w tkankach ich mózgów i rdzeni kręgowych. Może za dzień, za dwa przyjdzie demencja. Jeszcze później konwulsje i potworna śmierć. Besh szedł ze spuszczoną głową drżąc, jakby nie był w stanie myśleć o niczym innym; Chalk maszerowała jak robot bojowy, jakby cierpienie i śmierć były jej zbyt obce, by je zrozumieć, a cóż dopiero by się bać.

Mace zrównał się z Nickiem i pochylił ku niemu.

- Powiedz coś.

Oczy Nicka pozostały wbite w dżunglę przed nimi.

- A po co?

- Chcę wiedzieć, co ci chodzi po głowie.

- A skąd wiesz, że w ogóle coś mi chodzi po głowie? Dlaczego sądzisz, że cokolwiek, co mogę sobie pomyśleć, ma jakieś znaczenie? - Jego głos pełen był gniewu i goryczy. - Mamy dwoje ludzi w początkowym stadium drugiego etapu osiej febry. Nie mamy trawiaków. Został jeden akk i parę sztuk broni, milicja siedzi nam na karku... No i jeszcze ty i ja. Jesteśmy martwi. Rozumiesz? Jak ten kłak w dole śmierci... o kilka metrów od miejsca gdzie mieliśmy dotrzeć. Nie udało nam się. Jesteśmy martwi.

- Jak na nieboszczyków mamy niezłe tempo - zauważył Mace. Przez chwilę sądził, że Nick się uśmiechnie, ale młody Korun tylko pokręcił głową.

- W oddziale Depy jest lor pelek. Bardzo... bardzo silny. Więcej niż silny. Jeśli zdążymy dowieźć Beshy i Chalk, zanim zaczną się drgawki, może ich uratować.

Lor pelek. Mistrz dżungli. Szaman. Czarownik. Magik. W legendzie koruńskiej lor pelek to osoba o wielkiej mocy i bardzo niebezpieczna. Nieprzewidywalna jak dżungla. Przynosi życie lub śmierć; dar lub ranę. W niektórych legendach lor pelek nawet nie jest istotą lecz raczej wcieleniem pelekotanu: personifikacja dżungli.

Mace powiązał fakty.

- To Kar Vastor, prawda? Nick wytrzeszczył oczy.

- Skąd wiesz? Skąd znasz jego imię?

- Ile mamy czasu, żeby do nich dotrzeć?

Nick przeszedł kilka kroków, zanim odpowiedział.

- Gdybyśmy mieli trawiaki i akki do pomocy? Może dwa dni. Może mniej. Na piechotę? Z jednym akkiem? - Wymownie wzruszył ramionami.

- Więc po co tak się spieszymy?

- Bo coś mi naprawdę chodzi po głowie - spojrzał na Mace'a z ukosa. - Ale to ci się nie spodoba.

- Ciekawe, czy mniej mi się spodoba, niż zrobienie z Beshem i Chalk tego samego, co musiałem zrobić z Leshem.

- O, tego to ja nie wiem. - Spojrzenie Nicka stało się odległe, wbił je w mrok tunelu. - O jakąś godzinę stąd, na zachód od traktu, jest mała osada. Takie osady znajdują się co kilkaset klików wzdłuż wszystkich traktów pełzakowych. Mają bunkier i urządzenia komunikacyjne. Jeśli tam dotrzemy, będziemy mogli wysłać Depie zakodowany sygnał z naszą pozycją. Potem wprowadzimy Chalk i Besha w śpiączkę thanatyzinową, zaciśniemy kciuki i będziemy czekać.

- Czy to osada Balawai? Skinął głową.

- My nie mamy osad. KOBA już się tym zajęły.

- A ci Balawai... czy nas przyjmą?

- Jasne. - Zęby Nicka błysnęły w półmroku, w oczach zapaliły mu się wariackie błyski. - Musisz tylko wiedzieć, jak poprosić.

Mace spochmurniał.

- Nie pozwolę ci krzywdzić cywilów. Nawet po to, aby ratować przyjaciół.

- Nie musisz sobie wrywać włosów z głowy - zaśmiał się Nick, maszerując przed siebie. - Cywile tutaj nie istnieją. To mit.

Mace nie dopytywał się, co Nick miał na myśli. Zatrzymał się pośrodku wyboistego traktu. Zobaczył znowu holograficzną projekcję rozpostartą na biurku wielkiego kanclerza: obraz spalonych, zniszczonych chat i dziewiętnaście trupów.

- Miałaś rację - mruknął. - Nie podoba mi się to. Wcale a wcale. Nick nie przystawał. Nawet się nie obejrzał przez ramię, gdy Mace został w tyle.

- Cóż, jeśli sam wymyślisz coś lepszego... - powiedział w ciemność przed sobą. - Tylko nie zapomnij mi o tym powiedzieć, zgoda?



## Z prywatnych dzienników Mace'a Windu

W tym bunkrze powietrze ma niższą temperaturę niż w jakimkolwiek innym pomieszczeniu od czasu pokoju przesłuchań w Ministerstwie Sprawiedliwości. Bunkier wykuty jest w rodzimej skale na zboczu - to raczej durastalowe drzwi wprawione w wylot jaskini, którą pozostawił w granicie bąbel gazu lub miększego kamienia. Wprawdzie widać z niego resztki zabudowań osady, ale nigdy nie stanowił on strategicznego punktu walki, bo nie posiadał portów strzelniczych. Sądząc z konstrukcji, a właściwie sposobu wykopania, sędzę, że jest to raczej schron dla spanikowanych -bezpieczne miejsce, gdzie można się zaszyć w przypadku ataku. Bezpieczne miejsce, aby czekać na pomoc milicji.

A skoro tak, to nie spełnił swego zadania.

Nocny wietrzyk łagodnie wiruje wokół skręconych szczątków tego, co niegdyś było drzwiami; jego szept niesie ze sobą echo walki, które jeszcze się unosi w otaczającej mnie Mocy.

Nie mam odwagi medytować. Ciemność jest tu zbyt głęboka. Ma moc odpływu - czarna dziura, wokół której wszedłem na zbyt ciasną orbitę, rozdziera mnie teraz na pół. Grawitacja ściąga część mojej osoby w kierunku horyzontu zdarzeń, za który nawet bałbym się spojrzeć.

Za mną, pogrążeni w mroku, wsparci o kamień, leżą nieruchomo Besh i Chalk. Są prawie tak zimni jak skała, na której spoczywają w pełnej śpiączce thanatyzinowej. Jedynie dzięki Mocy mogę stwierdzić, że żyją: ich serca biją rzadziej niż raz na minutę, a godzinę wyznacza dziesięć lub dwanaście płytkich oddechów. Larwy osy febronośnej również są w śpiączce: w ten sposób Besh i Chalk mogą przeżyć nawet przez tydzień.

O ile przez ten czas nic ich nie zje.

Moim zadaniem jest zapewnić im bezpieczeństwo. W tej chwili to moje jedyne zadanie. A zatem siedzę sobie pośród zdruzgotanych odłamków drzwi i gapię się w nieskończoną noc.

Thunderbolt spoczywa na trójnogu w otworze wejściowym, z lufą skierowaną ku niebu. Chalk doskonale dba o swoją ukochaną broń; prosiła, abym pozwolił jej oczyścić karabin po raz ostatni, zanim ją uspię. Od czasu do czasu oddaję kilka próbnych strzałów, a on wciąż dobrze działa. Wprawdzie uczę się już rozpoznawania poprzez Moc szkodliwego oddziaływania grzybów w taki sam sposób, jak Korunnai, ale wolę polegać na działaniach praktycznych.

Teraz niewiele mogę już zrobić, zabijam czas tym nagraniem... i roztrząsaniem mojej kłótni z Nickiem.

Na trakcie Nick powiedział, że cywile nie istnieją. Chciał przez to powiedzieć, że na tej planecie nie

ma cywilów; że być w dżungli, to znaczy uczestniczyć w wojnie. Rząd Balawai rozpusza bajki o niewinnych poszukiwaczach dżungli, masakrowanych przez okrutnych koruńskich partyzantów. Nick twierdzi, że to tylko propaganda.

Teraz, w ruinach osady Balawai, myśl ta dziwnie mnie uspokaja - lecz jeszcze kilka godzin temu instynktownie odrzucałem ją od siebie. Wydawało mi się, że to tylko usprawiedliwienie. Wymówka. Balsam na sumienia dręczone popełnionymi potwornościami. W czasie wędrówki traktem pełzaków parowych, który nas tu doprowadził, przedyskutowaliśmy to z Nickiem na wszelkie sposoby.

Według niego wszyscy cywile mieszkają w miastach: jedyni prawdziwi cywile na Haruun Kal to kelnerzy i stróże, sklepikarze i rykszarze. Powiedział, że istnieje powód, dla którego poszukiwacze noszą taką ciężką broń, a powód ten ma więcej wspólnego z psami akk niż z lianokotami. Balawai nie zapuszczają się w dżunglę, chyba że mają ochotę zabijać Korunnai. Żadna ze stron nie czeka na atak drugiej. W dżungli, jeśli nie uderzysz pierwszy, stajesz się ofiarą.

Wtedy zapytałem go o zabite dzieci.

I po raz pierwszy zobaczyłem, jak się wścieka. Rzucił się na mnie tak, jakby chciał mi rozbić nos.

- Jakie dzieci? - zapytał. - Ile lat trzeba mieć, żeby pociągnąć za spust? Dzieciaki to wspaniali żołnierze! Prawie nie wiedzą, co to strach.

Złą rzeczą jest prowadzić wojnę z dziećmi lub przeciwko dzieciom. Powiedziałem mu to. Powody są nieważne. Dzieci nie są dość dojrzałe, by rozumieć konsekwencje swoich czynów. Nick odpowiedział mi stekiem ohydnych przekleństw, ale ogólnie chodziło mu o to, żebym to powiedział Balawai.

- A nasze dzieci? - Aż się trząśł od ledwie hamowanej furii. - Szperacze mogą zostawiać swoje dzieci w domach, w mieście. A gdzie my mamy zostawiać nasze? Widziałeś Pelek Baw? Wiesz, co się dzieje z koruńskim dzieckiem na tych ulicach? Bo ja wiem. Byłem jednym z nich. Lepiej zostać rozerwanym na strzępy tutaj, niż musieć przetrwać... tak jak ja. Ciekawe, jak powiesz strzelcom, że ci Korunnai, którym tak radośnie odstrzeliwują ręce i nogi, to dzieci?

- Czy to usprawiedliwia mordowanie dzieci Balawai? Tych, które nie zostały w mieście? - zapytałem. - Korunnai nie strzelają na oślep z kanonierek. Jakie jest wasze usprawiedliwienie?

- Nie potrzebujemy usprawiedliwień - odparł. - Nie zabijamy dzieci. Jesteśmy dobrymi ludźmi.

- Dobrzy ludzie - powtórzyłem jak echo. Nie mogłem ukryć goryczy, jaka wkradła się do mojego głosu: holograficzne obrazy, które pokazano Yodzie i mnie w gabinecie Palpatine'a, nigdy tak naprawdę nie opuszczają mojej pamięci. - Widziałem, co zostało z osady poszukiwaczy dżungli, kiedy zajęliście się nią wy, dobrzy ludzie - powiedziałem. - Dlatego tu jestem.

- Jasne, że tak. Wiesz, coś ci powiem w sekrecie. - Zmienny jak letnia burza gniew Nicka ulotnił się w okamgnieniu. - Wiele dni czekałem, żeby ci to powiedzieć.

- Co takiego?

- Wy, Jedi, i wasze tajemnice, wszystko to kłacze łąjno. Myślicie, że nikt inny nie potrafi zakrywać swoich kart chipowych? -Wywrócił oczami i pomachał palcami przed twarzą. - Oooo, popatrz, jestem Jedi! Wiem o Rzeczach Zbyt Niebezpiecznych dla Zwykłych Śmiertelników! Ostrożnie! Jeśli się nie cofniesz, mogę ci powiedzieć coś, czego Zwykli Ludzie Nie Mogą Wiedzieć!

Po namyśle stwierdziłem, że niejaki Nick Rostu stanowi dobry sprawdzian dla mojego pionu moralnego. Jedi mógłby chyba przejść na Ciemną Stronę od samej niepowstrzymanej chęci rozwalenia mu jadaczki.

Wtedy jednak zdołałem się opanować, a nawet zachować cywilizowany ton, podczas gdy Nick opowiadał, co wie na temat masakry w dżungli i płytki z danymi.

Nie było to łatwe.

Powiedział mi, że nie tylko był tam - w tym samym miejscu, które wraz z Yodą oglądaliśmy w gabinecie Palpatine'a - lecz że towarzyszyli mu Depa i Kar Vastor. Wtedy też obmyślili całą intrygę. Pomógł im stworzyć dekoracje, a później osobiście powiadomił o tym wywiad Republiki.

Nawet teraz, w wiele godzin później, trudno byłoby mi ubrać w słowa uczucia, jakie mną miotają. Dezorientacja, z pewnością; może nawet wstrząs. Niedowierzenie.

Zostałem zdradzony.

Nosiłem w sobie te obrazy jak ranę. Ropiały w moim mózgu, tak zaognione i bolesne, że musiałem osłaniać je warstwami negacji. Taki ból sprawia, że rana staje się drogocenna; kiedy najdelikatniejsze dotknięcie przyprawia o agonię, trzeba tę ranę tak chronić, tak o nią dbać, że sama staje się obiektem adoracji. Świętością.

Ale Nick opowiedział tę historię tak, jakby to był dowcip.

Hm... teraz wydaje mi się, że znalazłem inne słowo na określenie, jak się wtedy czułem. I jak się czuję teraz.

Wściekły.

To także sprawia, że medytacja staje się trudna. I ryzykowna.

Dobrze chociaż, że Nick wyjechał kilka godzin temu, używając Galthry jako wierzchowca. Może zanim wróci... jeśli wróci... znajdę w swoim umyśle miejsce, gdzie ukryję wiedzę, jaką się ze mną podzielił, by nie sączyła więcej jadu gniewu w moje serce.

Cała masakra była ukartowana.

Nie sfingowana, nie. Trupy były prawdziwe. Ale reszta to dekoracja. Dowcip. Pod moim adresem.

Depa chciała, żebym tu przybył.

I tylko o to chodziło. Od samego początku.

To wszystko nie było ani kłamstwem, ani wyznaniem. Było przynętą. Chciała wyrwać mnie z Coruscant, sprowadzić na Haruun Kal i do tej koszarnej dżungli.

Wiele z tych ciał należało do poszukiwaczy dżungli. Nick mi to powiedział. Szperacze, jeśli nie przekopują dżungli, pracują jako najemnicy dla milicji. Są znacznie bardziej niebezpieczni niż kanonierki i satelity z czujnikami, i KOBA, i roboty bojowe, i armie separatystów razem wzięte. Znają dżunglę. Żyją z niej. Korzystają z niej.

Są bardziej bezlitośni niż GFW.

Pozostałe ciała w tej scenografii to koruńscy więźniowie schwytani przez szperaczy. Schwytani, torturowani, maltretowani w sposób, który umyka mojej wyobraźni i elokwencji; kiedy GFW dotarł do Balawai, ich pierwszym posunięciem była masowa egzekucja więźniów, jacy jeszcze pozostali przy życiu. Nick wyznał, że nikt nie uszedł z życiem. Żaden z więźniów. I żaden z Balawai.

Dzieci...

Dzieci były Korunnai.

Ten Kar Vastor... jaki to człowiek? Nick powiedział mi, że to Kar Vastor spiął kolcami brązowina usta martwej kobiety, w których ukryto kartę danych. I że to Kar przekonał GFW, aby pozostawili trupy w dżungli, aby sceneria była możliwie ponura i tym pewniej mnie tu zwabiła. Pozostawić martwe dzieci... własne martwe dzieci... szakalom i robactwu na pożarcie, czarnym, cuchnącym muchom ścierwnicom, tak opitym krwią, że nie mogą latać, tylko łazić po gnijących trupach...

Dość. Muszę przestać. Przestać o tym myśleć. Przestać o tym mówić.

Nie mogę... to nie jest...

Nicemu na tym świecie nie można ufać. To, co widzisz, nie ma nic wspólnego z tym, co dostajesz. Zdaje się, że mam za małą głowę, żeby to pojąć.

Ale się uczę. A ucząc, zmieniam się. A im bardziej się zmieniam, tym więcej rozumiem. I to mnie przeraża. Drzę na myśl, co się stanie, kiedy naprawdę zacznę rozumieć to miejsce.

Kim będę, kiedy wreszcie wszystko pojmem?

Obawiam się, że człowiek, którym byłem, będzie gardził człowiekiem, którym się staję. Mam przerażające przeczucie, że transformacja ta jest dokładnie tym, o co chodziło Depie, kiedy postanowiła mnie tu ściągnąć. Powiedziała, że nie ma nic niebezpieczniejszego niż Jedi, który odzyskał zdrowe zmysły.

Myślę, że ona rzeczywiście jest niebezpieczna.

I chyba chce, abym i ja się stał niebezpieczny.

Powiniennem... muszę to zmienić... muszę zacząć myśleć o czymś innym niż...

Ponieważ zapytałem o nią Nicka.

Nie mogłem się powstrzymać. Nadzieja rozkwitła we mnie wraz z gniewem. Jeśli hologram był tylko mistyfikacją, może i to, co mówiła, było tylko... wynikiem nastroju. Kolorytem lokalnym. Czymś w tym rodzaju.

Pomimo determinacji, aby pozostać bezstronnym, dopóki jej nie zobaczę, dopóki z nią nie pomówię... nie czuję jej kwintesencji w Mocy... pomimo postanowienia, że o nic nie zapytam, nie będę niczego słuchał... pomimo wszystkich tych lat samodyscypliny i samokontroli...

Serce to siła, której nie pokonasz żadną dyscypliną.

Zapytałem więc. Opowiedziałem mu o słowach Depy na płycie danych: jak się nazwała „mrokiem dżungli”, jak powiedziała, że wreszcie odzyskała zmysły.

Teraz obawiam się, że istotnie przeszła na Ciemną Stronę i jest nieodwracalnie szalona.

A Nick...

A Nick...

- Szalona? - powiedział ze śmiechem. - Nie, to ty jesteś szalony. Gdyby zwariowała, nikt by za nią chyba nie poszedł, nie?

Kiedy jednak zapytałem, czy to znaczy, że wszystko z nią w porządku, odpowiedział:

- To zależy, co rozumiesz przez słowa „w porządku”.

- Muszę wiedzieć, czy widziałeś, że robiła coś pod wpływem gniewu lub lęku. Muszę wiedzieć, czy używa Mocy dla swoich osobistych korzyści: dla zysku, dla zemsty. Muszę wiedzieć, ile jest w niej Ciemnej Strony.

- Tym się możesz nie martwić - odrzekł. - Nigdy nie spotkałem łagodniejszej i bardziej czulej osoby niż Mistrzynie Billaba. Nie jest zła. Nie sądzę, by była do tego zdolna.

- Nie chodzi o dobro i zło - wyjaśniłem - lecz o fundamentalną naturę Mocy. Jedi nie są moralistami. To powszechne, ale mylne mniemanie. Jesteśmy zdecydowanymi pragmatykami. Jedi jest altruistą nie tylko dlatego, że to jest dobre, raczej dlatego, że to bezpieczne. Korzystanie z Mocy dla zaspokojenia osobistych potrzeb jest natomiast niebezpieczne. To pułapka, w którą może wpaść nawet najlepszy, najłagodniejszy, najtroskliwszy Jedi. Prowadzi do tego, co my nazywamy Ciemną Stroną. Moc czynienia dobra staje się tylko mocą. Nagą siłą. Celem samym w sobie. To forma szaleństwa, na jaką Jedi są szczególnie wrażliwi.

Nick odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Kto ma prawdziwe powody do robienia tego, co robi?

Nie była to pocieszająca odpowiedź, a reszta jego słów wydawała się jeszcze gorsza.

Powiedział, że słowa w holograficznym kryształcie odzwierciedlają dokładnie sposób, w jaki teraz wyraża się Depa. Mówił, że ma koszmary... że krzyki z jej namiotu słychać w całym obozie. Mówił, że nikt nigdy nie widział jej jedzącej... mizernieje z dnia na dzień, jakby to ją coś od środka pożerało. Mówił, że ma straszne bóle głowy, których nic nie jest w stanie uśmierzyć. Nieraz nie opuszcza namiotu przez kilka dni, a potem wychodzi i zasłania oczy przed słońcem, bo nie może znieść jego blasku.

Żałuję, że spytałem. Żałuję, że Nick mi powiedział.

Żałuję, że nie skłamał.

To bardzo niepodobne do Jedi - bać się prawdy.

Będę kontynuował tę opowieść. Ubieranie doświadczeń w słowa pozwala nabrać perspektywy, a tego mi właśnie trzeba. I jest to dobry sposób na spędzanie długich nocnych godzin. Tego też mi potrzeba. Nawet dla mistrza Jedi, przyzwyczajonego do medytacji i refleksji, szkolonego w nich, istnieje coś takiego, jak przesytność przebywania z własnymi myślami.

Zwłaszcza tutaj.

Ta osada została zbudowana na szczycie bocznego grzbietu. Tu nie ma już turni; grzbiet łagodnie faluje hałdami wulkanicznej skały. Osada stoi na zielonej skarpie. Po obu stronach tej okolonej dżunglą kamiennej pięści widać poczerniałe koryta, którymi czasami lawa spływa z głównego krateru, położonego sześćset metrów nad miejscem, gdzie teraz siedzę i piszę te słowa. Jeśli się dobrze wsłuchać, można usłyszeć grzmoty. Ten mikrofon może nie jest dość czuły... o, słyszycie? Zbiera się na kolejną erupcję.

Wybuchy występują na tyle regularnie, że dżungla nie ma czasu odebrać lawie jej łożyska. Nad korytami rosną zwęglone od żaru drzewa, których liście od strony lawy odpadły, po prostu upieczone. Erupcje w tych okolicach nie mogą być zbyt silne, bo inaczej po co było budować tu obóz?

Cóż, może dla pięknych widoków.

Sam bunkier jest lekko wzniesiony ponad resztę obozu. Z miejsca, gdzie siedzę, to znaczy od zrujnowanego wejścia, widzę zwęglone sterty porzucanych i porzbijanych chat z prefabrykatów i strzaskany mur ogrodzenia. Blade światło fosforyzujących pnączy wydobywa z mroku szare koleiny traktu pełzaków, który wiję się w górę.

Przez całą dżunglę.

Widzę stąd bardzo daleko: upiornie falujące korony drzew rozpościerają się pod moimi stopami, srebrne i czarne, pożyłkowane świecącymi pnączami i upstrzone jaskrawymi plamami szkarłatu,

karmazynu i ciemnej czerwieni - to otwarte kratery, aktywne i bulgoczące. Widok zapiera dech w piersi.

Może to ten zapach.

Kolejna ironia losu, jeden z wielu paradoksów, które wdarły się w moje życie: wszystkie moje obawy o cywilów, o bitwy, o masakry, o to, że musi się walczyć, może zabijać mężczyzn i kobiety, którzy mogli być cywilami, niewinnymi widzami... wszystkie moje kłótnie z Nickiem i to, co mi powiedział...

Wszystko na nic. Nie musiałem się więcej martwić. Kiedy tu dotarliśmy, nie było już z kim walczyć.

GFW już tu był.

Nikt nie przeżył.

Nie opiszę, w jakim stanie były ciała. Wystarczy, że sam widziałem, co im zrobili. Nie mam ochoty się tym dzielić. Nawet z archiwum.

Muszę przyznać Nickowi, że Ba lawa i z tej osady z pewnością nie byli niewinnymi cywilami. Korunnai pozostawili ciała udrapowane klejnotami bardzo wysoko cenionymi przez szperaczy: naszyjnikami z ludzkich uszu.

Z uszu Korunnai.

Biorąc pod uwagę niewielkie szkody poczynione przez drapieżne zwierzęta i niezbyt zawansowany stan rozkładu, Nick domyślał się, że banda GFW, która tu była, opuściła to miejsce nie więcej niż dwa, trzy dni temu. Istniały również pewne... eee... znaki... to, co zrobili z ciałami oraz echa w Mocy, które wydają się nie ucichać, jak nieustająca fala energii... wszystko to sugeruje, że sam Kar Vastor maczał w tym palce.

Partyzanci z GFW dokładnie splądrowali całą osadę. Nie została ani odrobina żywności, wyłącznie bezużyteczne szczątki urządzeń i sprzętu. Wraki dwóch pełzaków leżały u stóp zbocza. Urządzenia komunikacyjne też znikły, oczywiście. Dlatego właśnie tu jestem i pilnuję Besha i Chalk.

Nick się załamał, gdy zauważyliśmy, że zabrali sprzęt do łączności. Miewał ataki rozpacz na przemian z napadami dzikiej radości i trudno się było domyślić, co wywoływało taki, a nie inny stan ducha. Usiadł na splamionej krwią ziemi i zajął się zwłokami.

- Pech - powtarzał pod nosem. - Zwykły pech. Rozpacz to herold Ciemnej Strony.

- Szczęście nie istnieje - powiedziałem cicho. - Szczęście to słowo, którym się opisuje naszą ślepotę na subtelne prądy Mocy.

- Naprawdę? - rzucił z goryczą. - Jaki to subtelny prąd zabił Lesha? Czy taki los planowała dla ciebie twoja Moc? Dla Besha i Chalk?

- Jedi powiadają, że są pytania, na które nie mamy odpowiedzi - odparłem. - Możemy sami być tą odpowiedzią.

Spytał mnie gniewnie, co to ma znaczyć.

- Nie jestem naukowcem ani filozofem - odpowiedziałem. - Jestem Jedi. Nie muszę objaśniać rzeczywistości. Muszę sobie z nią radzić.

- Ja właśnie to robię.

- Właśnie tego unikasz.

- Masz taką moc, Jedi, żeby nas przenieść do Depy i Kara w ciągu jednego dnia? Albo nawet trzech? Oni oddalają się od nas. Nie możemy ich dogonić. Taka jest rzeczywistość. Jedyna, jaka jest.

- Doprawdy? - Moje zamyślane spojrzenie spoczęło na szerokim grzbiecie Galthry. - Ona doskonale porusza się w dżungli. Wiem, że akki to nie zwierzęta wierzchove, ale jeden człowiek, sam... mogłaby cię ponieść bardzo szybko.

- Jasne, gdybym nie musiał się o was martwić... - urwał i zmrużył oczy. - Nie ma szansy. Nie ma szansy, Windu! Zapomnij!

- Będę nad nimi czuwał, dopóki nie wrócisz...

- Powiedziałem: zapomnij o tym! Nie zostawię cię tutaj.

- Nie ty decydujesz. - Podeszedłem bliżej. Nick musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. - Ja z tobą nie dyskutuję, Nick. I nie pytam cię o zdanie. To nie jest dyskusja. To odprawa.

Nick to uparty młodzieniec, ale nie głupi. Nie musiał długo myśleć, żeby zrozumieć, że dopóki mnie nie spotkał, nie wiedział, co to determinacja.

Udało nam się zmaistrować prowizoryczną derkę na grzbiet Galthry; Nick, Chalk i ja przekonaliśmy sukę poprzez Moc, żeby poniosła Nicka na grzbiecie tak jak kiedyś mnie i zawiozła go szybko przez dżunglę do pozostałych Korunnai. Cała nasza trójka obserwowała, jak znikali w ciemności nocy, po czym Besh i Chalk ułożyli się możliwie jak najwygodniej na zimnej podłodze bunkra, a ja wstrzyknąłem im thanatizinę.

Czekamy teraz w nadziei, że Nick zdoła się przedrzeć przez dżunglę, w nadziei, że znajdzie i sprowadzi Kara Vastora... tego niebezpiecznego lor peleka, pogromcę żywych i kata umarłych... i że człowiek ten, bez sumienia i ludzkich uczuć, zechce użyć swoich mocy, aby uratować dwa istnienia.

Ciekaw jestem, co pomyśli Kar Vastor, kiedy przybędzie i zobaczy, co zdziałałem na scenie jego zwycięstwa.

Popracowałem kilka godzin pomiędzy wyjazdem Nicka a chwilą, kiedy zapisuję te słowa. Zapewniłem zabitym przyzwoity pogrzeb. Nick pewnie by się śmiał i robił bezczelne uwagi, że



niewiele rozumiem i że jestem zbyt naiwny i nieprzygotowany, aby stać się częścią tej wojny. Spytałby mnie zapewne, czy pogrzebanie tych ludzi sprawi, że będą mniej martwi. Na tę wymyśloną pogardę mogę odpowiedzieć tylko wzruszeniem ramion.

Nie zrobiłem tego dla nich, lecz dla siebie. Zrobiłem to, ponieważ jest to jedyny sposób, aby wyrazić mój szacunek do życia, które zostało im wydarte, obojętne czy byli wrogami, czy przyjaciółmi.

Zrobiłem to, ponieważ nie chcę być człowiekiem, który pozostawia kogokolwiek... właśnie tak.

Kogokolwiek.

Siedzę teraz, wiedząc, że Depa przejeżdżała o kilka klików stąd. Że może stała dokładnie w tym samym miejscu w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu standardowych godzin. Ale choćbym nie wiem jak głęboko sięgał w Moc... w kamień pod stopami i dżunglę wokół mnie... nie czuję jej. Nic a nic. Nie czuję jej na tej planecie.

Czuję wyłącznie dżunglę i ciemność.

Dużo myślę o Leshu. Wciąż widzę, jak się wił na ziemi, jak dygotał w konwulsjach z zaciśniętymi zębami i uciekającymi w głąb czaszki oczami. Jego ciało dawało oznaki życia... lecz to życie nie należało do Lasha. Należało do czegoś, co przeżerało się z jego wnętrza na świat. Kiedy sięgałem w Moc, aby go znaleźć, czułem tylko dżunglę. I ciemność.

I znów myślę o Depie.

Może powinienem więcej słuchać i mniej myśleć.

Erupcja wydaje się wzmacniać. Grzmot jest już głośny jak główna ulica Pelek Baw i drgania zaczynają wstrząsać kamiennym podłożem. Zaczyna padać deszcz, jak to często bywa... wywołany cząsteczkami węgla z pióropusza dymu.

A skoro już o dymie mowa...

Pośród urządzeń zrabowanych przez GFW musiały być maski tlenowe. Mogłyby mi się przydać bardziej niż cokolwiek innego. Muszę zająć się moimi płucami. Na tym występie skalnym jestem w miarę zabezpieczony przed lawą, ale gazy, które spływają w dół z boczka przy takich wybuchach, mogą być trujące. Besh i Chalk będą o wiele bezpieczniejsi ode mnie. Może powinienem zaryzykować trans hibernacyjny? Tyle że żaden drapieźca nie dostanie się do nas przez erupcję. Drapieźniki też muszą oddychać...

Ale jeszcze...

Czy to...

Zaraz, to brzmiało jak...

Dziwne. Niektóre drapieźniki z dżungli Haruun Kal udają odgłosy tokowania lub krzyki strachu

swoich ofiar, żeby je zwabić albo zmylić. Zastanawiam się, jaki to mógłby być drapieżnik... zwierzę, które się żywi ludzkim mięsem, prawdopodobnie. Ten głos omal mnie nie zmylił. Brzmiał dokładnie jak dziecięcy krzyk strachu.

Dokładnie, to znaczy tak samo...

I jeszcze raz...

Och... O, nie.

To basie. To naprawdę krzyki.

Tam są dzieci.

Mace skoczył w dół zbocza. Biegł prawie na oślep przez deszcz, dym i opary, orientując się wyłącznie na słuch: kierował się wprost ku krzykom.

Dym z kraterów nad jego głową zniszczył fosforyzujące pnącza. Jedynym światłem były zatem piekielne ognie, przesiąkające przez szczeliny w czarnej skorupie pokrywającej strumienie lawy. Deszcz błyskawicznie zmieniał się w parę na metr nad korytami. Czerwone światło zmieniało noc w krew.

Mace rzucił się w Moc, pozwalając, aby to ona niosła go z kamienia na gałąź i znów na kamień, przerzucała go wysoko nad szczelinami, pozwalając prześlizgiwać się pomiędzy mrocznymi pniami drzew i pod niskimi gałęziami z milimetrycznym zapasem. Głosy odzywały się od czasu do czasu - między jednym krzykiem a drugim, poprzez ulewę i wybuchy, słyszał łomot własnego serca, a także zgrzyt stali po kamieniu i mechaniczny grzmot silnika znajdującego się na granicy wytrzymałości.

Pełzak.

Tkwiał przechylony pod niebezpiecznym kątem nad przepaścią i tylko niewielki występ kamienny powstrzymywał go przed upadkiem w przepaść. Jedna gaśienica kręciła się w powietrzu, druga była częściowo zalana twardniejącą lawą. Lawa nie zachowuje się jak ciecz, lecz raczej jak miękki plastik; spływając w dół zbocza krzepnie, a jej zastygnięcie w twardą skałę może dawać nieoczekiwane zmiany kierunku: tworzy bariery i blokady, samorzutnie powstające kanały, które mogą kierować koryta pod różnymi kątami, a nawet cofnąć się i zalać górny kanał. Potężny pojazd musiał próbować wspinaczki w kierunku osady, kiedy jeden ze strumieni lawy zatkał się, rozlał, skręcił i zmył pełzak z traktu, na dno wymytego przez deszcz kanału, aż pojazd zablokował się o kamienną półkę. Lawa otoczyła go i zalała, przebijając czarną skorupę wokół pełzaka; szkarłatna magma z wolna wspiwała się ku podwoziu.

Pełzaki były konstrukcją nieskomplikowaną - aby zmniejszyć ich wrażliwość na pożerające metal grzyby - ale nie prymitywną. Kilometr poniżej krateru lawa nie miała już temperatury punktu topnienia nowoczesnych stopów, z których wykonano powłoki i gaśienice pełzaka, ale wypełniała powoli szczelinę pod płaskim podwoziem, aż pojawiło się pytanie: czy wznosząca się fala podważy pełzak i zrzuci go w przepaść, czy przedtem gorąca lawa upiecze wszystkich, którzy znajdują się w

środku.

Ale nie wszyscy byli w środku.

Mace zatrzymał się o metr nad miejscem, gdzie strumień lawy przecinał trakt. Lawa dotarła przez warstwę pyłu do rodzimej skały, przez co miejsce, na którym stał Mace, stało się niestabilną półką, wznoszącą się osiem metrów nad leniwą rzeką stopionego kamienia; pełzak znajdował się o dalsze dziesięć metrów w prawo. Jego światła rzucały na mgłę i deszcz strumienie białego blasku. Mace z trudem rozróżniał dwie niewielkie sylwetki przytulone do siebie w najwyższym punkcie: na krawędzi mocno pochylonego dachu kabiny. Trzecia postać wypełzła z bocznego, owalnego wjazdu, przez który padał żółty blask, i dołączyła do nich.

Teraz już trójka przerażonych dzieci siedziała, szlochając, na dachu kabiny. W Mocy Mace wyczuwał jeszcze dwoje w środku - jedno ranne, które z bólu zaraz mogło wpaść we wstrząs, drugie nieprzytomne. Mace czuł desperacką determinację rannego, aby wyciągnąć towarzysza z pełzaka, zanim pojazd spadnie... cóż, ranny nie mógł wiedzieć, że to nie załatwi sprawy, że opuszczenie pełzaka w niczym im nie pomoże. Wciąż mieli przed sobą ten sam wybór - przepaść albo rzeka lawy.

I tak, i tak zginą.

Jeśli, jak twierdzą niektórzy filozofowie, służba rycerzy Jedi dla wszechświata ma głębsze znaczenie niż powierzchowna funkcja społeczna, jaką pełnili, broniąc pokoju w Republice; jeśli w istocie była jakaś kosmiczna przyczyna, dla której istnieli Jedi, przyczyna, dla której otrzymali oni moc większą niż inni śmiertelnicy - musiało to mieć związek z takimi właśnie sytuacjami.

Mace otworzył się na Moc. Słyszał głos Yody: „wzrost nie ma znaczenia...” Słowa te, jak Mace w skrytości ducha uważał, bardziej odnosiły się do samego Yody niż do jego uczniów. Yoda pewnie wyciągnąłby dłoń, podniósł pełzak z kanału i niedbale poprowadził go w powietrzu aż do osady, mamrocząc pod nosem jakąś enigmatyczną maksymę w rodzaju: „Nawet wulkan to nic, w porównaniu z potęgą Mocy...” Mace znacznie mniej był pewien własnych możliwości w tym względzie.

Miał jednak inne talenty.

Gdy ziemia znów zadrżała, klif zadygotał mu pod stopami. Poczul osiadanie - podcięty przez rzekę lawy brzeg przenosił wstrząsy znacznie mocniej, tracąc stabilność. Mógł zapaść się w każdej chwili, zrzucając Mace'a do rzeki, jeśli czym prędzej czegoś nie zrobi.

A więc zrobił. Sięgnął głęboko w Moc, aż poczul strukturę strzaskanej skały dziesięć metrów pod nim i pięć metrów od powierzchni. Pomyślał: Na co czekać? I pchnął.

Klif zadrżał, wyrzucił się i zapadł.

Setki ton pyłu i gruzu spłynęło do rzeki lawy z głębokim hukiem, który zagłuszył nawet grzmoty erupcji i łoskot ciężko pracującego silnika pełzaka. Części organiczne rozbłyskiwały płomieniem, które spadająca lawina natychmiast gasiła, układając się w poprzek kanału w ogromny klin. Lawa powoli wznosiła się i wspinała po jednej stronie, lecz po drugiej klif nadal się zapadał. Przykrywał

chłodniejsze warstwy lawy, która pod nim twardniała, przepychając sobą gorętsze, płynne warstwy i formując falę, która omyła bok pełzaka, nabrzmiała nad krawędzią klifu i ognistym deszczem spłynęła w czarną dżunglę daleko w dole.

Lawina natomiast stworzyła własną falę, która płynąc w kierunku pełzaka i wrzeszczących, zapłakanych dzieci, wypełniła kanał. Na jej grzbiecie, na samym szczycie stert gruzu i skał, odskakując w tył, aby nie dać się wciągnąć pod czoło lawiny, nadjechał Mace Windu.

Nie schodził z lawiny, dopóki fala nie uspokoiła się i nie osiadła, aby wreszcie znieruchomieć. Resztki gruzu usypały niewielki grzbiet, który łączył miejsce, gdzie stał Mace, z narożnikiem kabiny pełzaka. Cały skoncentrował się na Mocy, wykorzystując jej siłę do stabilizowania gruzu, gdy pospiesznie przedostawał się na dach pełzaka.

Na dachu siedzieli dwaj mali chłopcy, obaj w wieku około sześciu lat, i jedna dziewczynka, prawdopodobnie ośmioletnia. Dzieci przywarły do siebie ze szlochaniem, usiłując coś wypatrzeć poprzez łzy przerażonymi oczami.

Mace przykucnął obok nich i dotknął ramienia dziewczynki.

- Nazywam się Mace Windu i potrzebuję twojej pomocy. Dziewczynka ze zdumieniem pociągnęła nosem. -Ty... ty... pomocy?

Mace poważnie skinął głową.

- Musisz mi pomóc ściągnąć tych chłopców w bezpieczne miejsce. Możesz to zrobić? Możesz zaprowadzić chłopców na górę tą samą drogą którą tu zszedłem? Wspinajcie się dokładnie tędy. Nie jest stromo.

- Ja... nie... ja się boję!

Mace pochylił się ku niej i szepnął jej do ucha szeptem tylko nieco głośniejszym od pluskania deszczu:

- Ja też. Ale ty musisz udawać, że jesteś dzielna. Zrób to. Nie przestrasz tych dzieciaków, dobrze?

Dziewczynka otarła mokry nos grzbietem dłoni i zamrugła.

- Ty... ty... też się boisz?

- Szszsz... to tajemnica. Tylko między nami. Chodź, bierzmy się do roboty.

- No dobrze - odparła z powątpiewaniem, ale wytarła oczy i odetchnęła głęboko, a kiedy odwróciła się do pozostałych dzieci, jej głos miał ten niedopuszczający sprzeciwu ton, który bywa domeną wyłącznie ośmioletnich dziewczynek.

- Urno, Nykl, idziemy! Przestańcie się mazać, wy niemowlaki! Zaraz nas uratuję!

Dziewczynka popychała chłopców, zmuszając ich do wspinaczki, tymczasem Mace przesunął się dalej. Właz umieszczono z boku, ale kąt, pod jakim leżał pełzak, spowodował, że był skierowany w niebo. Podłoga wewnątrz opadała pod ostrym kątem, a deszcz wpadający przez otwór uczynił ją tak śliską, że trudno było po niej iść.

Na dole, w najniższym punkcie prostokątnej kabiny, kilkunastoletni chłopiec próbował jedną ręką wciągnąć po stromej podłodze niewiele młodszą od siebie dziewczynkę. Jedno ramię miał owinięte zakrwawionym bandażem w sprayu i próbował pchać towarzyszkę przed sobą, wykorzystując durastalowe nogi foteli pełzaka jako drabinę. Jego ranne ramię nie mogło jednak przyjąć żadnego ciężaru. Łzy spływały chłopcu po twarzy, gdy błagał dziewczynkę, żeby się koniecznie ocknęła i pomogła mu trochę, bo sam nie może jej wydobyć, ale na pewno jej nie zostawi, więc gdyby tylko oprzytomniała...

Głowa małej zwisała bezwładnie. Mace wiedział, że dziewczynka nieprędko się ocknie. Miała paskudną ranę wysoko na czole; jej delikatne złote włosy były czarne i lepkie od krwi.

Zajrzał przez właz i wyciągnął rękę.

- W porządku, synu. Weź mnie za rękę. Jeśli cię wyciągniemy, będę mógł...

Chłopiec spojrział w górę. Błagalny wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili we wściekłość, a płacz przeszedł w dziki wrzask. Mace nie zauważył, że dzieciak ma przewieszony przez zdrowe ramię karabinek laserowy. Pierwszym ostrzeżeniem był strumień plazmy, który świsnął Mace'owi koło ucha. Cofnął się od wylotu włazu i rozpląszczył na kabinie. Z wylotu włazu trysnął ogień.

Pełzak zakołysał się, właz powędrował jeszcze wyżej. Nagły ruch Mace'a wystarczył, aby zaburzyć delikatną równowagę i przechylić pojazd ku przepaści.

Mace obnażył zęby. Użył Mocy, aby chwycić pełzak i szarpnięciem ustawić go z powrotem, ale w tym momencie nad jego głową rozległ się krzyk - zajmując się pojazdem, poluzował więź Mocy, która trzymała lawinę. Teraz niestabilna góra skał i kamieni zaczęła przesuwać się pod stopami trójki dzieci. Obaj chłopcy i dziewczynka zaczęli ześlizgiwać się w dół, ku rzece lawy.

Mace uspokoił rozszalałe serce i wyciągnął rękę - musiał przymknąć na chwilę oczy, żeby przywrócić kontrolę nad lawiną i ustabilizować ją, choć przyszło mu to z trudem. Mógł ją przytrzymać przez minutę lub dwie - akurat tyle, aby dzieci zdążyły dotrzeć do stosunkowo bezpiecznego miejsca na nawisie, ale nie dłużej. Teraz z kolei czuł, jak pełzak powoli przechylił się pod nim coraz bardziej i bardziej w kierunku, z którego już nie ma powrotu.

Z wnętrza dobiegły go pełne przerażenia przekleństwa chłopca i groźby. „Zabiję tych wszystkich pieprzonych korniaków!” - krzyczał. Mace powoli przymknął oczy.

Ta koszmarna wojna...

Chłopiec i dziewczynka w pełzaku mieli stać się ofiarami Letniej Wojny tylko dlatego, że kiedy chłopak spojrział w górę, nie ujrzał mistrza Jedi, który przybył mu na ratunek.

Zobaczył tylko Koruna.

Gdyby Mace chciał użyć Mocy do rozbrojenia chłopca lub przekonania go, musiałby zwolnić więź utrzymującą w miejscu lawinę, a to mogło kosztować życie trójki dzieci wspinających się po jej powierzchni. Perswazja wydawała się bez sensu - chłopak doskonale wiedział, czego Balawai mogą się spodziewać z rąk Korunnai - i z pewnością zajęłaby więcej czasu, niż mieli do dyspozycji. Opuszczenie dzieci nie wchodziło jednak w rachubę.

Jeśli zdoła zmusić chłopca, by ruszył w górę po lawinie i dołączył do innych, będzie mógł sprowadzić dziewczynę sam. Ale jak go stamtąd wydobyć?

Mace zastanawiał się przez chwilę, co zrobić, by uratować życie całej piątki dzieci. Wszystkich. Podstawowa zasada walki: korzystaj z tego, co masz. Sposób walki zależy głównie od tego, z kim walczysz. Jego pierwszym przeciwnikiem był sam wulkan. Wykorzystał moc broni przeciwnika - lawy, w miejscu, gdzie podcięła ona klif, aby utrzymać jego potęgę w ryzach.

A w tej chwili jego przeciwnikiem nie był chłopak, lecz własne doświadczenia z Letniej Wojny.

- Mały! - zawołał umyślnie twardym tonem. Zmusił się, aby mówić w sposób, jakiego chłopak oczekiwał od Koruna, z ciężkim góralskim akcentem Chalk. - Mały, masz pięć sekund, żeby wyrzucić miotacz przez właz i wyjść za nim.

- Nigdy! - wrzasnął chłopak ze środka. - Nigdy!

- Nie, to nie. Wobec tego następną rzeczą jaką zobaczysz... ostatnią w twoim życiu, będzie wpadający granat. Jasne, smarkaczu?

- Nie krępuj się! Wiem, co się stanie, jeśli nas weźmiesz żywcem.

- Mały... mam już całą resztę. Dziewczynkę, Urno i Nykla. Zostawisz ich samych? Ze mną?

Nastąpiła cisza.

- Jasne, możesz sobie umierać - powiedział w końcu Mace. - Każdy tchórz to potrafi. Żeby jeszcze trochę pożyć, trzeba mieć jaja. Masz?

Był prawie przekonany, że trzynastoletni chłopiec, który zdołał załadować do pełzaka czwórkę dzieci i wyruszyć po nocy przez wyżynę... chłopiec, który woli zginąć, niż zostawić nieprzytomną dziewczynkę... ma dość odwagi, żeby się porwać właściwie na wszystko.

W chwilę później przekonał się, że ma rację.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Od wejścia widzę fontannę jaskrawych białych flar - światła trzech... nie, czterech pełzaków

wspinających się po grzbiecie wzgórza i kierujących ku zniszczonemu traktowi.

Jadą po nas.

Za godzinę nadejdzie świt. Mam nadzieję, że go dożyjemy.

Erupcje przycichły, a deszcz przeszedł w mżawkę. Przenieśliśmy część rzeczy w bunkrze. Trójka młodszych dzieci śpi skulona na zdobycznych kocach w głębi, Besh i Chalk leżą obok thunderbolta, gdzie mogę ich mieć na oku; nie jestem wcale pewien, czy któreś z tych dzieci nie zechce ich skrzywdzić. Terrel, trzynastoletni chłopiec, który w naturalny sposób wydaje się ich przywódcą, jest rzeczywiście odważny i chyba do tej pory nie wierzy, że nie planuję zamęczenia całej piątki na śmierć. Nawet jednak na Haruun Kal chłopcy są tylko chłopcami. Za każdym razem, kiedy przestaje się martwić torturami, zaczyna mi zawracać głowę, żebym dał mu postrzelać sobie z thunderbolta.

Zastanawiam się, co na temat tych cywilów powie Nick. Czy oni też nie istnieją? Teraz moja praca przy sprzątanii osady nabrała sensu: dzieci przeszły dzisiaj już dość i nie muszą patrzeć na to, co się stało z tymi, którzy tu mieszkali. Nie muszą widzieć, co zrobiono ludziom z osady, których prawdopodobnie znały.

Może nawet ich rodzicom.

Nie mogę dziś roztrząsać tego problemu. Jedyne, co mogę, to wyglądać przez poskręcane strzepy durastali, które niegdyś tworzyły drzwi tego bunkra, i obserwować wspinające się ku górze pełzaki.

Nie potrzebuję ostrzeżeń z Mocy, żeby się tym widokiem niepokoić.

W dejariku istnieje pewien klasyczny manewr, zwany widłami, kiedy gracz przesuwa pojedynczego holopotwora na pozycję, z której może on atakować dwa potwory przeciwnika. Nieważne, który z nich wycofa się w bezpieczne miejsce, ten drugi zawsze zostanie zjedzony. Jeśli się znajdziesz w widłach, możesz jedynie zdecydować, którą figurę stracić. Termin ten stał się powszechnie używanym określeniem sytuacji, gdzie można wybierać jedynie pomiędzy jedną a drugą katastrofą.

No więc my znaleźliśmy się dokładnie w widłach.

Wiedziałem, kto podróżuje tymi pełzakami: poszukiwacze z tej samej osady co dzieci, uciekający przed tymi samymi partyzantami z GFW, których atak skłonił dzieci do ucieczki... a więc pewnie i tą samą bandą, która zniszczyła osadę. Terrel opowiedział mi wszystko, podczas gdy opatrywałem jego zranione ramię i głowę dziewczyny.

Ich osada leżała dalej przy trasie, jakieś siedemdziesiąt klików na północ i wschód. Zostali zaatakowani przez GFW o świcie. Ojciec Terrela powierzył mu zadanie zebrania dzieci i odwiezienia w bezpieczne miejsce.

Nie mogli wiedzieć, że GFW był tu pierwszy.

Terrelowi złamała ramię kula lub odłamek granatu, ale on sam nie był tego pewien. Opowiedział mi z dumą, jak to udało mu się manewrować dwudźwigniowymi sterami pełzaka tylko jedną ręką i jak

wpadł na trawiaki, kiedy przebił się przez linię ataku Korunnai, i jak był pewien, że udało mu się rozjechać „co najmniej pięciu lub sześciu pieprzonych korniaków”.

Mówił to z dumą i wyzwaniem, jakby chciał sprawdzić, czy go za to ukarzę.

Jakbym w ogóle mógł to zrobić.

Starsza dziewczynka, Keela, była najpoważniej ranna. W czasie upadku pełzaka do kanału została wyrzucona z fotela. Miała pękniętą czaszkę i wstrząs mózgu. Udało mi się uratować z pełzaka jeden pakiet medyczny, zanim pojazd stoczył się w przepaść. W tej chwili nie grozi jej niebezpieczeństwo, jeśli będzie spokojnie odpoczywała przez kilka dni. W pakiecie był nowy stabilizator kości, więc ramię Terrela powinno się ładnie zagoić. Młodsze dzieci -Urno i Nykl - miały tylko po kilka siniaków, a także podrapane dłonie i kolana od wspinania się po lawinie.

Na razie.

Nie zamierzałem dalej udawać, że należę do partyzantów, choć unikałem wyjaśniania, kim jestem naprawdę. Dzieci uznały chyba, że jestem łowcą nagród, ponieważ „nie zachowuję się jak korniak”; cóż, ani ich nie torturowałem, ani nie zabiłem, jak się tego spodziewały po opowieściach zasłyszanych od swoich rodziców. A przy tym wszystkie uważały, że żyją tylko dlatego, iż je uratowałem. Zdecydowały zatem - w oparciu o swoją rozległą wiedzę na temat łowców nagród, zaczerpniętą z niezliczonych holoopowieści po pół kredytu - że Besh i Chalk to moi więźniowie, a ja zamierzam odwieźć ich do Pelek Baw w zamian za sowitą nagrodę.

Nie zamierzałem ich wyprowadzać z błędu. Łatwiej w to uwierzyć niż w prawdę.

Co jednak wydawało się jedynie dziecięcą fantazją, nagle stało się sprawą nieoczekiwanie bolesną i skomplikowaną. Nawet najprzyjemniejsza iluzja może nieraz zboleć bardziej niż prawda. Jeden z młodszych chłopców dość arbitralnie stwierdził, że „muszę być największym z żyjących łowców nagród”. Instynktowna reakcja sześciolatka, jak sądzę. Wkrótce wdał się w gorącą dyskusję z bratem, który twierdził, że „wszyscy wiedzą”, że to Jango Fett jest największym ze współczesnych łowców nagród. Po czym pierwszy z chłopców spytał mnie wprost, czy to ja jestem Jango Fett.

Zacząłem się zastanawiać, co by było, gdybym zdradził im, że jestem Jedi. Za kogo by mnie wzięli?

Od odpowiedzi uratowała mnie pogardliwa deklaracja Terrela:

- To nie Jango Fett, głupku! Jango Fett zginął! Wszyscy o tym wiedzą!

- Jango Fett żyje! Nie zginął! - W oczach chłopca pojawiły się łzy i spojrzał na mnie błagalnie. - Jango Fett żyje, prawda? Powiedz mu, że on nie zginął, powiedz...

Z początku chciałem im powiedzieć: „Przykro mi”. Bo było mi przykro. Dalej jest. Ale prawda to prawda.

- Przykro mi, ale on ma rację - powiedziałem. - Jango Fett nie żyje.



- Widzisz? - wrzasnął Terrel z druzgocącą pogardą, właściwą trzynastolatkom. - Oczywiście, że nie żyje, głupku. Jakiś śmierdzący Jedi zakradł się od tyłu i wbił mu w plecy ten ichni miecz laserowy.

To zabolalo mnie jeszcze bardziej.

-Nie jest tak, jak mówisz. Fett został... zabity w czasie walki.

- Kłaczę łajno! - stwierdził Terrel. - Żaden śmierdzący Jedi nie zdołałby zabić Janga Fetta twarzą w twarz. On był najlepszy.

Z tym nie mogłem się sprzeczać. Mogłem tylko się upierać, że Fett nie został zabity ciosem w plecy.

- A co ty wiesz na ten temat? Byłeś tam, czy co?

Nie mogłem... i dotąd nie mogę... zmusić się, aby im wyznać, do jakiego stopnia tam byłem.

I nie potrafię dokładnie opisać rany, jaką otworzył w moim sercu pogardliwy ton Terrela. Sposób, w jaki mówi „śmierdzący Jedi”, zdradza więcej, niż chciałbym wiedzieć o tym, co Depa uczyniła z imieniem naszego Zakonu na tej planecie. Jeszcze nie tak dawno temu każdy żądny przygód dzieciak, chłopiec czy dziewczynka, marzył o tym, aby zostać Jedi.

A teraz ich bohaterami są łowcy nagród.

Szereg pełzaków zatrzymał się o pół kilometra od nas... tam, gdzie strumień lawy zniósł trakt. To ich nie powstrzyma na długo. Kiedy klif się zapadł, stworzył naturalną tamę przecinającą wyłom. Domyślałam się, że w ciągu kilku godzin od erupcji lava przesączyła się przez kamienie i żwir i schłodziła na tyle, aby ustabilizować osuwisko. Ci z pełzaka są inteligentni i ostrożni i z pewnością przed przeprawą sprawdzają twardość gruntu.

Wiem, że przejdą.

I co wtedy zrobię?

Zdaje się, że nie mam wyboru. Poddanie się nie wchodzi w rachubę. Aby uratować Besha i Chalk, że o sobie nie wspomnę, muszę wziąć dzieci jako zakładników.

Jakże nisko upadłem, ja, mistrz Jedi. Co zrobiło ze mnie te kilka dni spędzonych na wojnie: chcę grozić odebraniem życia dzieciom, za których uratowanie oddałbym własne...

A jeśli Balawai przejrzą mój blef?

Najlepszy wynik, na jaki mogę liczyć: dzieci będą musiały oglądać, jak ich rodzice, lub przyjaciele ich rodziców, giną z ręki Jedi.

Najlepszy wynik... samo to zdanie jest kpina. Na Haruun Kal nie ma czegoś takiego.

Widły.

A jednak w dejariku człowiek nie trafia w widły przez przypadek. Zawsze jest to wynikiem błędu w grze. Gdzie popełniłem błąd, który doprowadził mnie do tej sytuacji?

Widać już w dole pręty żarowe. Opuścili pelzaki i idą pieszo. Nikt nas nie woła. Pewnie próbowali wezwać osadę przez komunikator i nie dostali odpowiedzi, więc poruszają się ostrożnie. Nie byłbym zdziwiony, gdyby pręty przywiązali do długich kijów, aby ściągnąć ogień snajperów.

Dużo ich. Bardzo dużo.

Teraz, w desperacji, mogę zrobić tylko to, co zawsze robiłem w niemożliwych sytuacjach: zwrócić się ku naukom Yody. Przywołuję w myślach mądre zielone oczy i przechyloną, pomarszczoną głowę. I słyszę głos.

„Jeśli błędu nie popełniłeś, a jednak przegrywasz... inną grę rozegrać musisz”.

Tak. Inną grę. Muszę poprowadzić inną grę. Nowe zasady. Nowe cele. I wszystko w ciągu około trzydziestu sekund.

- Terrel? Terrel, chodźcie tutaj. Wszyscy. Pell, zbudź chłopców. Będziemy się bawić w grę.

[Słaby głos chłopca]:

- W jaką grę?

- Nową grę, właśnie ją wymyśliłem. Nazywa się „Już nikt więcej dziś nie umrze”.

[Inny, również słaby głos chłopca]:

- Ja już spałem. Czy to będzie wesoła gra?

Tylko jeśli wygramy.

Ci Balawai mogli sobie być ochotnikami, ale mieli doświadczenie i dyscyplinę. Ich oddział rozpoznawczy składał się z trzech dwuosobowych grup, rozproszonych po stu dwudziestu stopniach łuku, co dawało im nakładające się pola rażenia. Wprawdzie prety żarowe nadal chwiały się w połowie zbocza, jednak ta szóstka wspinała się w całkowitym milczeniu i pod osłoną mroku. Musieli mieć jakieś urządzenia noktowizyjne. Gdyby Moc nie pozwoliła Mace'owi wyczuć surowej groźby, jaką stanowiła ich broń, nie miałby pojęcia, że tam są.

Stał w nieprzeniknionej ciemności, wyglądając przez poskręcane strzępy durastali, które stanowiły pozostałości drzwi bunkra. Czuł ciemność głębszą niż noc zbierająca się nad kompleksem, niczym mgła unosząca się z wilgotnej ziemi. Mrok przesiąkał przez pory w skórze i dudnił mu w głowie jak czarna migrena.

Nikt nie wymyślił światła dość jasnego, by rozpędzić taką ciemność. Mace mógł jedynie żywić nadzieję, że sam stanie się takim światłem.

Jestem ostrzem, powiedział sobie w duchu. Muszę nim być, bo nie ma nikogo innego.

- Terrel - szepnął. - Są tutaj. Do roboty, synu.

- Jesteś pewien? Ja tam nic nie widzę - szepnął Terrel zza jego ramienia. Otarł rękawem nos i zacisnął pięści, jakby chciał schwytać odwagę obiema rękami. - W ogóle nic nie widzę.

- Ale oni cię zobaczą - zapewnił Mace. - Zawołaj.

- Dobrze - odpowiedział pogrążony w mroku chłopak, po czym powtórzył, ale już znacznie głośniej: - Dobrze! Hej, nie strzelajcie! Nie strzelajcie! To ja!

Noc odpowiedziała milczeniem. Mace czuł sześć luf wycelowanych w wejście do bunkra.

- Powiedz im, kim jesteś - mruknął.

- Jasne. Eee... hej, słuchajcie, to ja, Terrel! Terrel Nakay. Czy jest tam mój tato?

Z mroku po lewej stronie Mace'a dobiegł piskliwy z radości głos kobiety:

- Terrel? Och, Terrel! Czy Keela jest z tobą?

Dziewczynka z raną na głowie trzymała Pell i obu chłopców z dala od wejścia, ale kiedy usłyszała głos kobiety, niepewnie spróbowała dźwignąć się na nogi.

- Nie wychodź - polecił jej Mace. - i nie wypuszczaj maluchów. Nie chcę, żeby ktoś zginął przez

przypadek.

Skinęła głową i cofnęła się, przyklękając obok dzieci.

- Mamo, jestem tutaj! - zawołała. - Nic mi nie jest!

- Keela! Keela... czy Pell jest z tobą?

- Cicho! - krzyknął jakiś mężczyzna ze środka kręgu.

- Rankin, to Terrel i Keela! Nie słyszałeś? Keela, co z Pell?

- Zostań na miejscu, głupia nerfico! I zamknij się! - warknął mężczyzna. Głos mu się łamał... był wściekły, zmęczony, zdesperowany. - Nie wiemy, kto jeszcze tam jest! To miejsce jest całkiem rozpieprzone!

-Rankinie...

- Mogą być przynętą. Zamknij się, bo osobiście cię zastrzelę. Mace skinął głową. On też by się tak zachowywał.

- Terrel? - zawołał mężczyzna. - Terrel, tu Pek Rankin. Wyjdź, chcemy cię zobaczyć.

Terrel spojrzał na Mace'a.

- Znasz go? - zapytał Mace. Chłopiec skinął głową.

- To... jakby przyjaciel mojego taty. Jakby...

- No to idź - łagodnie odparł Mace. - Poruszaj się powoli. Ręce na widoku, z dala od ciała.

Terrel posłuchał. Wszedł z bunkra po omacku kierując się w stronę rozwalonych chat.

- Czy ktoś może poświecić? Nic nie widzę.

- Za chwilę - odparł głos Rankina z ciemności. - Kieruj się dalej w tę stronę, Terrel. Nic ci nie będzie. Co się stało z waszym pełzakiem? Dlaczego nie odpowiadaliście na wezwania? Gdzie reszta dzieci?

- Mieliśmy wypadek, ale nic nam nie jest. Wszyscy jesteśmy zdrowi, jasne? Jasne? - Terrel zahaczył stopą o kamień i potknął się - Au! Hej, zróbcie to światło! Jedną rękę już mam złamaną.

- Po prostu idź dalej w kierunku mojego głosu. Jesteś sam? Gdzie reszta?

- W bunkrze. Ale nie mogą wyjść. Ani wy nie możecie tam wejść - odparł Terrel.

- A to dlaczego?

- Boja tu jestem - odparł Mace.

Poczuł poprzez Moc, jak napięcie wzrasta nagłym impulsem, ostro jak gwałtownie wciągnięte powietrze. Po dłuższej chwili z ciemności odezwał się głos Rankina:

- A kimże ty jesteś?

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Więc to tak? Dlaczego nie wyjdiesz do nas, żebyśmy mogli cię sobie obejrzyć?

- Ponieważ pokusa zastrzelenia mnie mogłaby się okazać zbyt duża - odparł Mace. - A każdy strzał, który chybi, odbije się wewnątrz bunkra. A tu jest czworo niewinnych dzieci.

Z prawej odezwał się głos drugiego mężczyzny, drżący z gniewu i strachu.

- Dwaj z nich to moi synowie. Jeśli ich skrzywdzisz...

- Na razie tylko opatrzyłem im rany i dałem schronienie. A co się będzie działo dalej, to zależy wyłącznie od was.

- On mówi prawdę! - krzyknął Terrel. - Nic nam nie zrobił... Uratował nas. Jest w porządku. Naprawdę, On się tylko boi, że go zastrzelicie, bo jest korniakiem!

Z prawej strony doleciała zdławiona, ale sugestywna wiązanka przekleństw.

Terrel dodał pośpiesznie:

- Ale on nie jest prawdziwym korniakiem. Wygląda tylko jak korniak. Mówi prawie jak normalny człowiek... i jest jakby... jakby łowcą nagród, albo czymś takim..

Ucichł niepewnie, pozostawiając groźne, puste milczenie. Mace czuł, jak napięte prądy intencji ścierają się i przesuwiają w Mocy; Balawai musieli porozumiewać się szeptem przez komunikatory.

Wreszcie odezwał się Rankin.

- No? Czego chcesz?

- Chcę, żebyście zabrali dzieci i odeszli stąd. -I co jeszcze?

- To wszystko. Bierzcie dzieci i się wynoście.

- No, no. Co za wspaniałomyślność - odparł Rankin oschle, z goryczą. - Słuchaj, załatwimy jakieś światło. Niech nikt się nie rusza. Nie chcę oberwać, jasne?

- Światło się przyda - odparł Mace.

Zza zwalonego muru wytrysnął białożółty promień. Pręt żarowy z zasilaniem bateryjnym poszybował

w powietrzu i spadł niedaleko Terrela; podskoczył, odbił się, przeturlał i zatrzymał. Półkula skierowanego w górę światła wyostrzyła cienie ku niebu, malując je absolutną czernią.

Terrel podniósł dłoń, aby osłonić oczy od światła.

- Hej, mam tak stać tu sam, czy jak?

- Chodź do nas, chłopcze. - W krąg światła wszedł mężczyzna i powoli kierował się w stronę Terrela. W jednej ręce trzymał rusznicę laserową, lufą w dół, celując dokładnie w ziemię. Drugą rękę wyciągnął do góry, ukazując pustą dłoń. Jego odzież była osmalona i poplamiona, całą jedną połowę głowy pokrywała zlepiona masa bandaża w sprayu. Pianka zalepiała nawet jedno oko. Sądząc po głosie, był to Rankin. - Schowaj się.

Terrel obejrzał się w stronę bunkra.

- Ruszaj, synu - odezwał się Mace.

- Nie nazywaj go synem, korniaku! - warknął z ciemności głos mężczyzny, który twierdził, że jest ojcem chłopców. - Nie jesteś jego ojcem! Jego ojca zabili twoi śmierdzący krewniacy...!

- Zamknij się! - warknął Rankin, ale było już za późno. Twarz Terrela skurczyła się w rozpaczliwym niedowierzaniu.

- Tato! - zawołał, oszołomiony i przerażony. - Mój tato? Gdyby oczy mogły emitować promienie laserowe, Rankin zabiłby tamtego na miejscu.

- Zabierzcie go stąd - polecił. Inny mężczyzna, również ranny, wysunął się w kierunku chłopca, chwycił go w ramiona i zabrał ze sobą w pierścień mroku.

- Słuchaj - odezwał się Rankin, spoglądając w ciemną, postrzępioną czeluść jaskini. - Widzę, że nie chcesz skrzywdzić dzieci. My też nie. Ale mamy tu poważny problem, zgodzisz się? Ostrzelali nam dzisiaj tyłki. Zniszczyli nasze domy. Połowa ludzi, jakich znam na tej pieprzonej planecie, nie żyje. Te pełzaki są pełne rannych, a na karku siedzi nam banda korniaków. Nie możemy tak po prostu sobie pójść, chwytasz? Nie możemy. Potrzebujemy miejsca, żeby się zaszyć do świtu, to wszystko.

- Nie możecie tu zostać - odparł Mace. - Właśnie zmierzają tu partyzanci GFW. Rozejrzyjcie się. To miejsce nie obroniłoby nas, nawet gdyby było nietknięte.

- Nie musi. Kanonierki zaczynają latać o świcie. Możemy się do tej pory utrzymać.

-Nie rozumiecie...

- Może i nie. No to co? Nie twój problem, prawda?

- Teraz to także mój problem - posępnie odparł Mace. - Nie macie pojęcia, co to za miejsce. Co się tu stało.

- A ty wiesz? - Rankin zatoczył strzelbą krąg, wskazując rozbite chaty. - Gdzie pozostali?

- Nie żyją- odparł Mace. - Zabili ich ci z GFW. Wszystkich.

- Naprawdę? A gdzie ciała? Myślisz, że nigdy nie widziałem akcji GFW? Wiem, co robią naszym zabitym.

- Zapomnij o ciałach. - Mace usiłował wymasować ze skroni ból. Nie przypuszczał, że zwykła przyzwoitość, nakazująca pogrzebanie zmarłych, może się obrócić przeciwko niemu... —Jeśli będziecie tutaj, kiedy przyjdą partyzanci, zabiją was wszystkich. Zależy wam na życiu dzieciaków? To zabierzcie je stąd.

- Hej, on nie powiedział „nas” - zawołał ojciec chłopców z mroku. - Słyszałeś, Pek? „Zabiją was wszystkich”, mówi... Chwytasz?

- Zamknij się. - Rankin nawet nie spojrzał w jego kierunku. -Dlaczego jeszcze nie przysłałeś nam reszty dzieci?

- Ponieważ nie wiem, kiedy się tu zjawi GFW - niecierpliwie odparł Mace. - To jedyne miejsce, gdzie mogę ich bronić A gdybym wam je odesłał, nie miałibyście powodu, żeby mnie słuchać, prawda? Dla was jestem tylko jeszcze jednym korniakiem. Jeden z waszych otworzyłby ogień i już byłyby trupy. Chcę tego uniknąć, nie rozumiecie? Nie mamy czasu na kłótnie. Tamci na trawiakach mogą się poruszać równie szybko jak pełzak. Nawet szybciej. Mogą być w każdej chwili, nawet teraz i obserwować was z dżungli!

Rankin pokręcił głową.

- Po to nam jest potrzebny ten bunkier, kapujesz? Możemy tam położyć naszych rannych i ich chronić...

- Nie ochronisz ich! - Mace zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w ciało. Dlaczego oni nie mogą zrozumieć? Czuł, że ciemność otacza go i dławi niczym pętla dusiciela. - Słuchajcie mnie. Ten bunkier nie pomógł osobom, które tu mieszkały, więc nie pomoże i wam. Jediną waszą nadzieją jest zabranie stąd dzieci i rannych i ucieczka. Uciekajcie, wszyscy.

- Dziwny jakiś ten śmierdzący korniak - rzekł z mroku ojciec chłopców. - Co ty się tak o nas martwisz?

- Nie twoja sprawa - odparł Mace. - Twoja sprawa to zabrać siebie, swoich ludzi i tę piątkę dzieci z tego miejsca, zanim ktoś straci życie.

- Może on próbuje nas tu zatrzymać, żeby te cholerne korniaki nas dopadły...

- Czyja ci się nie kazałem zamknąć? - Rankin skierował zdrowe oko w kierunku bunkra. - Żądasz od nas wielkiego zaufania, jak na faceta, którego nawet nie możemy zobaczyć.

-Nie musicie mnie oglądać. Wystarczy, jeśli zobaczycie sobie to. - Drgnięciem Mocy Mace nacisnął

spust thunderbolta. Pojedyncza wiązka energii z wizgiem pomknęła w niebo i rozbryznęła się w kulistym błysku szkarłatu, wpadając w chmurę. - To mogła być twoja głowa. Wiem dokładnie, gdzie jesteście. Cała szóstka.

Urwał na chwilę, żeby do nich dotarło.

- Gdybym chciał was skrzywdzić, nie rozmawialibyśmy, bo już by was nie było.

Prawda tych słów sprawiła, że twarz Rankina straciła jakikolwiek wyraz. Mace obserwował, jak po chwili pojawia się na niej cień zrozumienia i przyszło mu do głowy, że przypadkiem może mu się udać...

Za późno.

Strumienie ognia z miotaczy rozjarzyły całe zbocze.

Dżungla zagrziała szkarłatnymi eksplozjami, smugi laserowe błyskały zza osłony pełzaków, ścinając gałęzie i odbijając kawałki skał. Wybuchom natychmiast odpowiedziały mniejsze, białe światełka spod drzew, trzeszcząc jak ognisko rozpalone ze świeżych gałązek: błyski z luf.

Broń na naboje.

Krzyki i jęki ludzi zawtórowały świstowi miotaczy i brzękowi kul, odbijających się od osłon pełzaka.

- A nie mówiłem? - wrzasnął z mroku ojciec chłopców. - Nie mówiłem wam? Trzymał nas tutaj, kłapiąc jadaczką i teraz wszystkich pozabijają!

- Nie rób niczego głupiego! - zawołał Rankin. Zgarbił się w świetle pręta żarowego; miał przerażoną, zdesperowaną twarz jak podświetlony dla żartu szkielet. - Słuchajcie, niech nikt nic nie robi...

- Rankin! - Moc nadała głosowi Mace'a siłę huku działka sygnałowego. - Cofnij ludzi do defensywy. Niech się wycofają do osady.

W dole wieżyczka strzelnicza pełzaka polewała strumieniami ognia najbliższe drzewa. Światło barwy krwi lizało sklepienie pieczary.

- Powiedziałeś, że nic nam nie pomoże, jeśli wejdziemy na górę...

- Pewnie, że nie. Aleja wam pomożę. Zróbcie to. To wasza jedyna szansa.

Za plecami Mace'a jeden z chłopców zaczął płakać, a teraz dołączył do niego drugi.

- Proszę pana! - zawołała Pell. - Tam jest moja mamusia... Bródka jej zadrzała, w oczach pojawiły się łzy.



- Niech jej nie skrzywdzą, dobrze? Niech nikt jej nie skrzywdzi... Keela objęła Pell ramionami.

- Nic jej nie będzie, nie martw się. - W jej oczach widniało błaganie, żeby Mace potwierdził.

Mace spojrział na dzieci, myśląc, że gdyby to od niego zależało, nikt by nikogo nie skrzywdził. Nigdzie i nigdy. Ale powiedział tylko:

- Trzymajcie się. Musicie być dzielni.

Pell pociągnęła nosem i poważnie przytaknęła. Na zewnątrz Rankin krzyczał w komunikator:

- ...nie, niech was szlag! Tu, na górze! Flary i miotacze ognia. Podpalcie ich i spowolnijcie... i ruszcie wreszcie te pełzaki!

- Rankin, nie! - krzyknął ojciec chłopców. - Nie rozumiesz? Kiedy tam wejdziemy, będą mogli nas wziąć w krzyżowy ogień!

- Nie bądź głupi...

- Wsadź sobie te gadki... Nie bądź głupi, rzeczywiście... Wiesz, co jest głupie? Gadanie z tym korniakiem, jakby był ludzką istotą! Wierzyć jego pieprzonym słowom, oto, co jest głupie! Chcesz gadać z korniakami? Pogadaj karabinem.

W dole rozbłysła jaskrawa gwiazda i wystrzeliła w niebo: flara. Wisiała pod chmurami, oświetlając pełzaki, dżunglę i osadę martwą bielą. Mace musiał osłonić oczy przed nagłym rozbłyskiem światła; w tej samej chwili usłyszał chrapliwy okrzyk triumfu ojca chłopców. Moc sama wcisnęła mu miecz świetlny do ręki i włączyła ostrze, kiedy miotacz zaśpiewał tak szybkim rytmem, jak pozwalała na to bezwładność spustu.

Ojciec chłopców nie był dobrym strzelcem - żaden strzał nie zbliżył się do Mace'a nawet na długość ręki - ale istniała szansa, że dostaną się do bunkra. Ametystowe światło błysnęło na spotkanie czerwonego, odbijając każdy strzał po kolei ku niebu.

Mace stał u wlotu jaskini, spoglądając nad ostrzem miecza na zszokowaną twarz Rankina. Usta mężczyzny poruszały się w niemym szepcie: „Jedi...”

Zdaje się, że mam przechlapane, pomyślał Mace.

- Keela - powiedział, nie odwracając się, stłumionym i absolutnie spokojnym głosem. - Wycofaj się z dziećmi do końca bunkra. Połóżcie się za ciałami Korunnai... to wasze najlepsze zabezpieczenie.

- Co? - Keela spojrzała na niego tępo - Co? Kim ty jesteś?

Z zewnątrz rozległ się krzyk ojca: „To Jedi!” W chwilę później dołączył do niego inny, chrapliwy z żalu, poczucia zdrady i dzikiej wściekłości.

- Śmierdzący Jedi! To śmierdzący Jedi! Zabić go! Zabić! Głos należał do Terrela.

Moc poruszała rękami Mace'a szybciej niż myśl. Miecz Depy znalazł się w jego lewej dłoni, jak lustrzane odbicie własnego miecza, który trzymał w prawej. Razem stworzyły ścianę zamykającą wylot bunkra, wychwytyjąc i odbijając zalew laserowego ognia.

Promienie strzelały we wszystkich kierunkach: przechwycenie nierównego staccato źle wycelowanych strzałów wymagało całej możliwej koncentracji i zręczności. Mace pogrążał się coraz głębiej i głębiej w Moc, oddając świadomość pod kontrolę instynktownego wiru Vapaad, ale nawet teraz kilka strzałów świsnęło bokiem i z hukiem odbiło się kilkakrotnie wewnątrz bunkra.

Był zbyt mocno pogrążony w Vapaad, aby stworzyć plan, jakikolwiek plan; zbyt głęboko nawet, aby myśleć. Ale był mistrzem Jedi -nie musiał myśleć.

Wiedział.

Jeśli pozostanie u wlotu pieczary, dzieci zginą.

Krok za krokiem, aby dać strzelcom czas na skorygowanie strzału, Mace pochylił się ku ulewie ognia i ruszył w dół odsłoniętym zboczem. Jego ostrza błyskały w oślepiających kręgach zieleni dżungli i purpury zachodu słońca, odpychając złocisty wachlarz odbitych promieni w kierunku spowitych w chmury gwiazd. W ten sposób sprowadzał ogień poniżej wlotu bunkra. Jak najdalej od dzieci.

Jeden krok, potem następny.

Był świadom w pewien daleki, wyizolowany sposób, że ramiona zaczynają go boleć, że w ustach ma słony smak potu, który zalewa mu również czoło. Uświadamiał sobie istnienie gorących śladów ognia laserów na ciele, kawałka uda oderwanego przez zbłąkany strzał. Wszystko to miało dla niego mniejsze znaczenie niż nowe wektory strzałów, gdy uparcie parł w dół, a szperacze wyskoczyli z ukrycia. Wiedział również, że nie wszyscy szperacze strzelają; słyszał desperackie rozkazy Rankina, aby przerwać ogień i czuł w Mocy irracjonalny głód krwi, który zmuszał tamtych do nieustannego naciskania spustów, dopóki broń nie zacznie dymić.

Głód krwi, karmiony ciemnością.

Nie, nie głód.

Gorączka krwi.

Czuł, że ludzie otaczają go ze wszystkich stron - nowi ludzie, którzy strzelają krzyczą i potykają się o ruiny chat. Czuł ich panikę i okrutną wściekłość, i pozbawiony tchu przymus ucieczki. W Mocy majaczyły potężnie cienie, przyczajone diabły, które ryczały głosem płomieni: pełzaki wycofujące się do zrujnowanej osady. Ich gaśnice miażdżyły porozrzucane kawały prefabrykowanych ścian i wślaczały gruz w groby, które Mace wykopał zaledwie kilka godzin temu.

Resztki osady tonęły w dymie i płomieniach, rozświetlane strzałami z lasera i naddźwiękowymi pociskami. Mace kroczył przez to piekło z niezmaconym spokojem, a jedyną oznaką wysiłku była lekka zmarszczka skupienia między brwiami. Jego ramiona splatały nieprzeniknioną pajęczynę błyskawic. Dawał z siebie coraz więcej i więcej Mocy, pozwalając, by poruszała jego dłońmi i

stopami, by to ona prowadziła go przez pole bitwy.

Mroczna siła, którą wyczuwał w Mocy, zaczęła się wznosić wokół niego i połykać gwiazdy. Rozlała się nad nim falą która wgniotła go w ziemię, a potem wypchnęła w górę; kiedy poczuł wrogą obecność za plecami, okręcił się błyskawicznie i bez wysiłku, a ametystowe ostrze zrosiło ogniem długą durastalową klingę noża, trzymanego w drobnej dłoni. Odcięty kawałek poleciał z brzękiem na kamień, smuga zielonej energii spadła jak topór, by zabić...

I zatrzymała się z drżeniem.

O centymetr nad ciemną głową.

Ciemne włosy skręciły się, spiekły i poczerniały w zielonym ogniu. Kikut noża, którego ostrze wciąż jeszcze lśniło czerwonym żarem, wypadł z bezwładnej dłoni. Oszołomione brązowe oczy, spływające łzami, w których lśniły jaskrawozielone iskry, spojrzały na niego po obu stronach ostrza Depy.

- Śmierdzący Jedi - zaszlochał Terrel. - No, zabij mnie. Zabij wszystkich!

- Nie jesteś tu bezpieczny - powiedział Mace. Rzucił się w tył i jednocześnie pchnięciem Mocy wysłał Terrela w kierunku wejścia do tunelu. Przez miejsce, gdzie przed chwilą stali, z rykiem przetoczył się kłęb ognia.

Mace skoczył na nogi, wznosząc przed sobą oba ostrza. Podniósł wzrok na masywną wieżyczkę strzelniczą pełzaka, która właśnie zwróciła się ku niemu. Ktoś w środku zdecydował widocznie, że warto poświęcić Terrela, aby dopaść Mace'a. Mace'owi nie podobała się taka matematyka. Miał w głowie inne równanie.

Cztery pełzaki podzielone przez jednego Jedi równa się wielka, dymiąca sterta złomu.

Punkty przełomu pełzaków były oczywiste: żadna z gaśnic ani poziomych przekładni obracających wieżyczkami nie miała szans w starciu z mieczem świetlnym. W mniej niż sekundę mógłby zmienić te zbrojne olbrzymy w puste, metalowe pudła - ale tego nie zrobił.

Bo to by nie dość bolało.

Chciał, żeby zabolało ich bardziej niż jego czarna migrena.

Ci ludzie zaatakowali go, kiedy próbował im pomóc. Kiedy chciał ich uratować. Zaatakowali, nie dbając o własne życie ani o życie własnych dzieci. O mało go nie zmusili, by sam zabił jedno z dzieci.

Byli głupi. Byli źli. Zasługiwali na karę.

Zasługiwali na śmierć.

Ujrzał wszystko w jednej eksplodującej wizji: wspomnienie czegoś, co się jeszcze nie wydarzyło.

Widział siebie, jak głową w dół rzuca się pod pełzak i przewraca go na dach, tnąc bliźniaczymi ostrzami po słabiej opancerzonym podwoziu. Wdarłby się do przedziału pasażerskiego, gdzie pewnie jeden lub dwóch zbrojnych pilnuje rannych; zabiłby wszystkich ich własnymi strzałami z miotaczy. Potem przebiłby się do kabiny, wyciągnął kierowcę - i wreszcie sam zalałby osadę ogniem z działka na wieżycze. Piesi szperacze biegaliby jak opętani, płonąć i krzycząc. A wtedy użyłby Mocy, rzucając w powietrze oba miecze, by powycinały dziury w pancerzach pozostałych pełzaków; przez te dziury zalałby płomieniem z wieżyczki wnętrze pojazdów, smażyć kierowców, pasażerów i rannych... gęsty, cuchnący mięsem dym unosiłby się kłębamii z włazów.

Wszyscy zginą. Co do jednego.

Nie zajęłoby mu to nawet minuty.

I byłby szczęśliwy.

Biegł już w kierunku pełzaka, zabierając się do zanurkowania kiedy pomyślał: Co ja właściwie robię?

Zaledwie zdążył zmienić kierunek skoku. Przewiął się w powietrzu i wylądował na stopach na zewnętrznym pokładzie pojazdu, tuż obok wieżyczki z miotaczem ognia.

Przywarł do metalu, wykorzystując bryłę pełzaka jako osłonę przed strzałami Balawai z ziemi, i poczuł, jak opada z sił, próbując wyrwać swój umysł z Mocy.

Było zbyt ciemno. Wszędzie było zbyt ciemno: mrok był gęsty i oślepiający, dławiący jak czarny dym z czeluści wulkanu, który kłębił się nad jego głową. W skroniach mu dudniło, jakby to jemu febro-nośne osy wykluwały się w mózgu. Jakby czaszka pękała mu na pół.

Zmęczenie i ból przytłoczyły go niemal do utraty świadomości -zaczepnął Mocy, aby utrzymać w sobie gniew. Przyłgnął do pokładu pełzaka, dociskając twarz do gorącej, pooranej kulami płyty. Każda sekunda, przez którą uda mu się leżeć nieruchomo, będzie dodatkową sekundą życia dla tych ludzi.

Wezbrał w nim bolesny jęk, ryk mrocznej furii pełnej niewyobrażalnych emocji. Zacisnął zęby, by go powstrzymać, ale i tak dźwięczał w jego uszach, odbijając się echem o góry, jak wycie akków, nawołujących się głosem gorączki krwi...

Mace'owi odebrało oddech. Jak głos rozbrzmiewający wewnątrz jego czaszki może odbijać się echem...?

Podniósł głowę.

To rzeczywiście było wycie akków.

Wybiegły z dżungli; wspinając się po stromych, ukształtowanych przez lawę zboczach występu, wyrywały twardymi szponami głębokie bruzdy w kamieniu. Pięć, osiem, tuzin: gigantyczne, opancerzone, garbate grzbiety najeżone w demonstracji siły, białe, pienne strugi śliny spływające z

kąćników paszcz, zbrojnych w kły jak sztylety.

Ciężkozbrojni Balawai rozstępowali się przed nimi. Akki poruszały się z rozważną szybkością istot, które nie mają się czego bać. Działka pelzaków zalewały je ogniem, ale psy ignorowały go, podobnie jak banalne ukłucia strzałów z miotaczy. Zaledwie dotarły do szczytu występu, otoczyły zrujnowane chaty, a ich krok z truchtu przeszedł w galop. Zacieśniały stopniowo krąg.

Mace rozpoznał pasterskie metody akków - psy zachowywały się tak, jakby Balawai byli nieposłusznymi trawiakami: zapędzały ich w centralny punkt osady jak do zagrody. Nie używały siły, zaprowadzały porządek samym wyglądem. Każdy Balawai, który próbował uciec z kręgu, był natychmiast spychany z powrotem jednym ruchem masywnej łopatkii lub machnięciem opancerzonego ogona. Żaden z akków nie dotykał kłami ludzi; nawet szperacz, który przytknął akkowi lufę rusznicy do gardła i wypalił - bez sensu i bez efektu - oberwał tylko lekko pyskiem, który bez trudu mógłby go przegryźć na pół.

Mace poczuł, jak w Mocy narasta czarny pomruk, i zrozumiał. Osada nie była zagrodą. Stała się rzeźnią.

Miejscem do zabijania.

Wtedy poczuł cień rzeźnika.

Spojrzał w górę. Był tam, stał na skale nad wlotem do tunelu.

Korun.

W Mocy płonął energią.

Był ogromny. Lśniaca od potu, naga pierś wyglądała jak wykuta z granitowych brył. Ogoloną czaszkę dzieliło ponad dwa metry od bosych stóp. Spodnie Koruna były zszyte byle jak ze skóry lianokota. Podniósł nad głowę ramiona niczym kolumny.

Do każdego przedramienia miał przymocowane coś w rodzaju tarczy: podłużne kawałki polerowanego metalu w kształcie łez. Ich szersze, zaokrąglone końce otaczały masywne dłonie i zwężały się w ostre jak igły szpice na wysokości łokci.

Korun zacisnął pięści. Żyły zapulsowały pod skórą przedramion. Brzegi tarcz pociemniały i rozległ się wysoki, groźny świst, który Mace poczuł aż w zębach.

Psy akk zwróciły się ku olbrzymowi, jakby na sygnał. Człowiek i psy jednocześnie podnieśli twarze ku przyćmionym gwiazdom i wydali z siebie mrozące krew w żyłach wycie. Mace odebrał je w piersi i rozpoznał odpowiedź, niczym echo, we własnym gniewie. Wtedy dopiero zrozumiał.

Wściekłość była mu obca.

Gorączka krwi była tylko reakcją serca na zew dżungli. Na wycie akków.

Na moc tego człowieka.

Balawai nie uciekli tu z własnej woli; zostali zapędzeni, zagonieni na teren jeszcze kilka dni temu przesiąknięty gwałtem, okrucieństwem i dziką gorączką krwi. To, co uczyniono temu miejscu, było celowe, jak odbicie w mrocznym zwierciadle religijnej ofiary. Masakra okazała się jedynie przygotowaniem dżungli do czarnego rytuału.

Mace poznał tego człowieka: to musiał być lor pelek.

Kar Vastor.

Ramiona olbrzyma opadły, a spoza pierścienia krążących akków wypadło sześciu Korunnai, skacząc równie wysoko jak Jedi, lecz bez ich gracji. Uderzenie Mocy, które pchnęło ich w górę, było niczym jęk bólu. Wymachiwali rękami i nogami, jakby przy wspinaczkę czepiali się powietrza pazurami. Cała szóstka ubrana była identycznie jak Vastor, wszyscy też mieli podwójne tarcze w kształcie łez, które warczały jak przesterowane głośniki komunikatora.

Balawai przywitani ich ogniem z miotaczy. Promienie błyskały, rozpryskiwały się i odbijały w górę, odpierane podwójnymi tarczami, poruszającymi się szybciej niż myśl.

Balawai przestali strzelać.

Ani jeden Korun nie zginął. Ich błyszczące tarcze odbiły wszystkie strzały.

Tego mogli się nauczyć wyłącznie od Jedi.

Od jednej, szczególnej Jedi.

Och, nie, pomyślał Mace.

Nie, Depo, nie..

Stojący na skale lor pelek rozpostarł muskularne ramiona, wychylając się ponad przepaść, jakby chciał się wzbić do lotu - i w ostatniej chwili skoczył naprzód susem, który zaniósł go na środek grupy Balawai skupionych obok pełzaków.

Zaczęła się rzeź.

Korunnai wdarli się w tłum, nie czekając, aż Vastor wyląduje. Skoczyli w sam środek Balawai, machając podłużnymi tarczami, jakby próbowali nimi ciąć.

I cięli.

Skwierczące krawędzie przegryzały się przez miotacze z wizgiem, od którego cierpły zęby, i cięły ciało z mięsistym mlaskaniem, rozpylając krwawą mgłę. Purpurowe opary unosiły się jak dym. Mace widział człowieka przeciętego na pół tarczą lśniącą jak ultrachromowe zwierciadło.

Jak wibrotopór.

Vastor wylądował w centrum osady i przetoczył się na plecach, nie zmniejszając szybkości. Błyskawicznie rzucił się do biegu w stronę tego pełzaka, na którym leżał Mace. Zakończył długim susem w dół, pomiędzy gąsienice.

Pancerz pełzaka zaśpiewał pod dłońmi Mace'a, a do chóru wyjących tarcz dołączył jeszcze jeden dźwięk. Mace zmełł w ustach przekleństwo, zasłyszane kiedyś od Nicka.

Vastor przerzynał się przez podwozie pełzaka.

Czy wyjął to mroczne marzenie z głowy Mace'a?

Mace skoczył na nogi i oba jego miecze z pomrukiem obudziły się do życia. Czuł Vastora poprzez Moc jak pochodnię... jak ciemną pochodnię. Lor pelek przedarł się już przez podwozie - kiedy wejdzie do środka, znajdzie się sam na sam z rannymi. Moc ukazywała Mace'owi, jak ranni mężczyźni i kobiety w pełzaku cofają się przed lśniącymi ostrzami, tnącymi z dołu pancerz.

Uznał, że najwyższy czas przedstawić się Vastorowi.

Skoczył w powietrze, wykonał salto wysoko nad wieżyczką pełzaka i wylądował na płaskim pancerzu środkowego pokładu, bezpośrednio nad Vastorem. Drgnienie w Mocy przemieściło miecze w jego dłoniach tak, że teraz ostrza skierowane były w dół. Opadł na kolana i okręcił się, by zakreślić nimi krąg.

Wibrotarcze nie są jedynym ostrzem, które może przeciąć pancerz pełzaka.

Krąg wykrojony z tego pancerza - o krawędziach wciąż żarzących się od cięć miecza, z Mace'em klęczącym pośrodku - spadł w dół jak zepsuta turbowinda.

Mace usłyszał tylko jedno przekleństwo, zanim razem z płytą pancerza spłaszczyli Kara Vastora jak atomowy kafar.

Wnętrze pełzaka pełne było rannych. Jeden z mężczyzn trzymał ciężki miotacz. Mace przeciął go na pół lekkim ruchem miecza świetlnego.

- Żadnej strzelaniny - zapowiedział, a Moc zmieniła jego słowa w rozkaz, po którym jeszcze kilka miotaczy ze szczękiem spadło na podłogę.

Vastor leżał przygnieciony twarzą do podłogi, na wpół ogłuszony, Mace pochylił się nad nim nisko.

- Karze Vastorze, jestem Mace Windu. Wstań powoli. To rozkaz. Drgnienie w Mocy było jedynym ostrzeżeniem, ale Mace'owi wystarczyło aż za dużo. Wykonał salto w tył na ćwierć sekundy przedtem, zanim płat pancerza wystrzelił w górę, by z ogłuszającym łomotem odbić się o sufit. Zanim opadł, Vastor skoczył na nogi, a kiedy dysk opadł, ultrachromowy płomień musnął go lekko, przecinając na pół.

Oba kawałki zagrzechotały i spadły do dziury, którą Vastor wyciął w podwoziu.

Lor pelek stanął twarzą do Mace'a po drugiej stronie otworu. Moc posyłała Mace'owi impulsy mroku, lecz w twarzy Vastora nie widać było gniewu, a jedynie nieludzkie skupienie i pierwotną wściekłość, niczym u jaszczura krąjąc zaskoczonego nad ścierwem banthy.

Sposób, w jaki zrzucił z siebie Mace'a i przecięcie pancerza były pokazem dominacji drapieżcy.

Vastor uniósł okryte tarczami dłonie niczym w salucie i warknął coś w języku, którego Mace nie rozpoznał - brzmiało to jak ryk dzikiej bestii. Na szczęście, jego Moc przekazywała znaczenie dźwięków wprost do mózgu Mace'a.

*Mace Windu* - powiedział lor pelek. - *Co za zaszczyt. Dlaczego wtrącasz się do mojego zabijania?*

- Nie będzie zabijania - rzekł Mace. - Rozumiesz mnie? Koniec z zabójstwami.

Uśmiech Vastora był pełen niedowierzania.

*Nie? Więc co proponujesz? Mamy złożyć broń?* - Zapraszająco skinął jedną z syczących tarcz. - *Ty pierwszy.*

Przez szczeliny w pancerzu pełzaka słychać było wyraźnie wizg odbijanych laserowych strzałów i huk dział z wieżyczki pełzaka.

- Koniec niepotrzebnego zabijania - poprawił Mace. - Koniec z masakrami.

Odpowiedź Vastora była zwierzęco bezpośrednia i nieskomplikowana.

*Masakry są konieczne, doshalo.*

- Ty i ja nie jesteśmy doshallai. - Mace skrzyżował miecze w defensywny X. - Nie jesteś moim bratem z klanu.



Vastor wzruszył ramionami.

*Gdzie Besh i Chalk?*

- W bunkrze - odpowiedział bez namysłu Mace, zastanawiając się nad pojęciem „masakry koniecznej”.

Vastor obrzucił pogardliwym spojrzeniem rannych mężczyzn i kobiety w kabinie pełzaka.

*Nic im nie będzie, doshalo. Nie uciekną. Chodź ze mną.*

Na fali Mocy wyskoczył w górę, przez otwór, który wyciął Mace.

Ta sama fala Mocy pociągnęła za sobą wolę Mace'a, skłaniając go do pójścia w jego ślady - ale Mace rozumiał teraz potęgę tego miejsca i samego Vastora.

- Musisz się bardziej postarać - mruknął.

Odwrócił się ku otaczającym go, przerażonym Balawai. Skinął dłonią i wszystkie odrzucone miotacze poderwały się z pokładu i zawisły w powietrzu. Jednym zgrabnym cięciem przeciął każdy z nich na pół, a kawałki wyrzucił przez otwór.

- Słuchajcie mnie, wszyscy. Musicie się poddać. To wasza jedyna nadzieja.

- Nadzieja na co? - Z goryczą rzucił jeden z mężczyzn. Twarz miał szarą, na piersi bandaż z bacty. Jedną ręką podtrzymywał kikut drugiej, kawałek bandaża w sprayu służył mu jako opaska uciskowa. - Wiemy, co się będzie działo, kiedy nas złapią.

- Nie tym razem - odparł Mace. - Jeśli będziecie walczyć, zabiją was. Jeśli się poddacie, mogę utrzymać was przy życiu. I zrobię to.

- Mamy ci uwierzyć na słowo?

- Jestem mistrzem Jedi. Mężczyzna splunął krwią na podłogę.

- Wiemy, co to warte.

- Widocznie nie wiecie. - Poprzez Moc Mace czuł czarny płomień łopatek przedzierającego się ku bunkrowi w górę zbocza. Przez chwilę czuł nieomal wdzięczność - z przyjemnością pozostawi obronę Besh i Chalk w rękach Vastora - ale zaraz przypomniał sobie o dzieciach. Dzieci wciąż były w bunkrze.

Tam, dokąd szedł Vastor.

*Masakry są konieczne.*

- Nie będę się spierał. - Mace ruszył w kierunku otworu wyciętego przez Vastora i spojrzał w górę

na ten, który sam wyciął, oceniając jego wielkość.

- Walczcie, ryzykując pewną śmierć lub poddajcie się z nadzieją na życie. Wybór należy do was - rzekł i rzucił się w górę, w płonącą noc.

Cała osada stała w ogniu: duszący czarny dym pełzał nad rozżarzonymi jeziorami paliwa z miotaczy płomieni. Strzały z miotaczy latały pod wszystkimi możliwymi kątami. Wybuchy akompaniowały nierytmicznym werblem wyjącemu chórowi wibrotarcz Korunów. Vastor biegł w kierunku bunkra nierównymi, zygzakowatymi skokami; błyskając tarczami, chwycił zbłąkane promienie, ciął metal i ciało.

Mace dał nura z dachu pełzaka, wywinął salto w powietrzu i opadł na ziemię już w biegu. Jego ostrza splatały się w zielono-ametystową koronę mocy, która odpychała ogień z miotaczy w niebo.

O kilka metrów na lewo od trasy Mace'a kuliła się grupka Balawai, na klęczkach, z palcami splecionymi z tyłu głowy. Zamknęli oczy, by nie widzieć otaczającego ich koszmaru i błagali o litość okrytego krwią Koruna, którego twarz nie miała w sobie nic ludzkiego. Podniesione tarcze wyły nad jego głową, a on z rykiem rozkoszy opuszczał je w kierunku bezbronych karków.

Zanim jednak cios dosięgnął celu, czyjs but uderzył go w plecy tak mocno, że wywinął kozła i wylądował na głowie.

Od razu się zerwał, nieuszkodzony, ale wściekły.

- Kopnąć mnie! Umrzeć, ty! Umrzeć!

Urwał, bo jeszcze centymetr, a jego nos wszedłby w bezpośredni kontakt z nieruchomym purpurowym laserowym ostrzem. Po drugiej stronie ostrza stał Mace Windu.

- Jasne, że umrę - zgodził się. - Ale nie dziś.

Korun miał minę kwaśną jak stara serwatka z mleka trawiaka.

- Musisz być Jedi Windu - rzekł po koruńsku. - Pan Depy.

To słowo boleśnie ukłuło Mace'a, ponieważ „pan” w języku koruńskim może znaczyć „ojciec” lub „mistrz”, albo i jedno, i drugie. Przemówił w tym języku, choć z pewną trudnością.

- Nie zabijać nie wojowników, ty. Zabijać niewojowników, a umrzesz.

Korun prychnął.

- Mówisz jak Balawai - splunął w basicu. - Nie przyjmuję od ciebie rozkazów, ja...

Mace machnął mieczem. Oczy Koruna zabłysły. Mace wrócił do basicu.

- Jeśli chcesz żyć, uwierz w to, co mówię: to, co stanie się z nimi, stanie się również z tobą.

- Powiedz to Karowi Vastorowi - zadrwił Korun.

- Właśnie zamierzam. - Zanim Korun zdążył odpowiedzieć, Mace okręcił się w miejscu i ruszył ku drzwiom bunkra.

Nie przejmował się przeszkodami, które zmuszały Vastora do kluczenia trasą zygzakowatą jak błyskawica; ruszył prosto do zdruzgotanego wejścia jak wystrzelony z armaty. Dotarł do niego tylko o dwa kroki za olbrzymem.

I zamarł.

Stał bez ruchu mimo mrozącego krew w żyłach wycia tarcz o kształcie łez, mimo warczenia Vastora, brzęcego jak łowiecki syk głodnego lianokota, mimo dźwięku, jakiego Mace nie mógł ignorować, tak samo jak nie mógł odwrócić kierunku obrotów planety - krzyku przerażonych dzieci.

Płonąca osada w dole oświetlała sklepienie bunkra migoczącym blaskiem o barwie krwi, rzucając ogromny, drżący cień Mace'a, cień absolutnie czarny, który pograżał w mroku całe wnętrze. Jedyne światło na tle tego cienia miało dziwny, nienaturalny kolor zmieszanych promieni rzuconych przez klingi mieczy.

Vastor stał w środku, zgarbiony jak gundark, z prawym ramieniem cofniętym do zadania ciosu. U lewej pięści Vastora, na garści włosów, ze stopami wierzgającymi nad podłogą, szlochając w niekontrolowanej panice, zwisał Terrel.

- Vastor, stój! - Mace otworzył się na pełny przepływ Mocy i użył go, aby uderzyć w wolę lor peleka. - Nie rób tego, Kar. Postaw chłopca.

Mógł się nie fatygować. Warknięcie, jakie w odpowiedzi rzucił mu Vastor, przełożyło się w umyśle Mace'a na słowa: „kiedy z nim skończę”. Tarcza przypięta do lewego ramienia tworzyła zwierciadlaną aureolę nad głową Terrela, a druga wyciągnęła się w stronę, gdzie leżeli Besh i Chalk.

*Patrzcie, co za zwierzaka tutaj mam.*

- To nie zwierzak - odpowiedział Mace z bezwiedną pewnością. - To chłopiec... Ma na imię... ma na imię... - urwał niepewnie, kiedy jego oczy zarejestrowały wreszcie obraz, który wskazywał mu Vastor - ...Terrel.

Besh i Chalk leżeli na kamiennej podłodze w połowie drogi pomiędzy miejscem, gdzie stał Vastor, a stłoczoną grupką dzieci: Keelą, Pell i dwójką chłopców. Ubrania uspionych thanatizina Korunnai wydawały się dziwnie zmięte, może nawet podarte, a ich ciała lśniły oleistą czernią. Minęła cała sekunda, zanim Mace się zorientował, że to światło padające od ostrzy skradło kolor z mokrej wilgoci na ich odzieży. Wszystko powiedział mu zapach, wyraźny, pomimo smrodu spalenizny.

Był to odór krwi.

Ciała bezbronnych Korunnai ktoś posiekał, nieudolnie, ale z zapalem.

Posiekał dwie ludzkie istoty, których Mace poprzysiągł strzec.

Posiekał smutnego Besha, niemowę, który dopiero wczoraj stracił brata.

Posiekał dumną Chalk, która zdobyła tyle siły, aby przeżyć to wszystko. Wszystko - ale nie to.

Położyli się na zimnej podłodze bunkra i przyjęli w żyły narkotyk, który sprowadził na nich fałszywą śmierć, wierząc, że mistrz Jedi będzie czuwał nad nimi, aby nie zabrała ich śmierć prawdziwa.

Na podłodze obok zwisających stóp Terrela leżał odłamek noża, splamiony tą samą ciemną krwią. Ostrze miało z pięć centymetrów długości, a czubek był skośnie ścięty i ostry...

Nóż Terrela. Ten sam, który Mace przeciął na pół na zboczu.

Poczuł, że uginają się pod nim kolana.

- Och, Terrelu -jęknął, pozwalając, by miecze wchłonęły swoje ostrza. - Terrelu, coś ty narobił?

*Nie martw się* - odpowiedział mu ponury warkot Vastora. - *Nie robi tego po raz drugi.*

Mace rzucił się we wspomagany Mocą skok; oba ostrza zalśniły życiem, gdy śmignął przez mrok ku plecom Vastora - w tym samym jednak momencie ujrzał siebie dyskutującego z Nickiem na trakcie, usłyszał jego rozkazy wydawane w tym strzaskanym bunkrze, zobaczył pełzak z grupką dzieci, chwiejący się nad skrajem przepaści, Ran-kina wchodzącego w krąg światła... znów stał twarzą w twarz z Vastorem we wnętrzu przepelnionego rannymi pełzaka. Nie mógł zrozumieć, co mógłby... co powinien był zrobić inaczej, by pozostać tym samym Jedi co zawsze, aby doprowadzić do każdego innego momentu w czasie, aniżeli ten: ten moment, kiedy wiedział już, że się spóźnił, że jest zbyt powolny, zbyt stary i zmęczony, zbyt przytłoczony niewytłumaczalnym okrucieństwem wojny w dżungli...

Zbyt bezużyteczny, by uratować życie jednego dziecka.

Mace mógł jedynie krzyknąć, daremnie próbując powstrzymać cios Vastora, lecz wibrotarcza pogрузyła się już głęboko w ciele Terrela. Kiedy lor pelek wydierał z chłopca życie, gorączka krwi podpowiedziała Mace'owi, co powinien był zrobić inaczej.

Powinien był zabić Kara Vastora.

Spóźnił się, aby ratować Terrela, ale w bunkrze było jeszcze czworo dzieci Balawai, których Vastor mógł dopaść jednym susem.

Jeszcze w powietrzu Mace cofnął oba miecze i ciął nimi w przód i w dół, z ponurym zamiarem pocięcia Vastora na kawałeczki takiej wielkości, żeby tylko bioskan mógł stwierdzić, do kogo należą.

Lor pelek jednym ruchem masywnej ręki odrzucił na bok ciało dziecka i okręcił się na pięcie. Tarcze błysnęły w świetle mieczy, uniosły się w górę i zablokowały klingi. Mace użył Mocy, by zwiększyć

siłę ciosu; zamierzał ciąć przez obie tarcze i przez ramiona, zatopić miecz głęboko w piersi przeciwnika, by ugasić płomień ostrzy w dymiącym sercu Vastora.

Tarcze nie przecięły ostrzy, ale też przed nimi nie ustąpiły.

Ich śpiewna vibracja przenosiła drgania na dłonie Mace'a i jego ramiona, wprawiając w dygot jego pierś, rezonując w zębach.

Minął Vastora, koziółkując nad jego głową. Keela, Pell i dwaj chłopcy wrzasnęli ze strachu i przyłgnęli do siebie na klęczkach, czołgając się, byle dalej od niego. Wylądował i obrócił się twarzą do lor peleka, krzyżując ostrza w defensywie.

Vastor spoglądał na Mace'a, siedząc nieruchomo w kukki. Oczy mu płonęły, a warkot mówił:

*Bardzo wiele problemów sprawiło nam sprowadzenie cię tutaj, doshalo. Czy muszę cię zabić?*

- Już ci raz mówiłem, że nie jestem twoim doshalo. - Mace umiał warczeć równie dobrze jak Vastor.

*Depa się zmartwi, jeśli zginiesz. Uspokój się.*

Całe ciało Mace'a pulsowało potrzebą zadania ciosu: pragnął zanurzyć się w Vapaad i pozwolić, aby mroczna burza kierowała jego mieczami. Jego żyły śpiewały gorączką krwi, czarna migrena rozrywała mu czaszkę. Chciał uderzyć Vastora, żeby go zranić. Żeby go ukarać.

Jednak całe życie dyscypliny Jedi utrzymywało go w ryzach. Jedi się nie mszczą. Jedi nie karzą.

Jedi bronią.

Mace zgrzytnął zębami, oddychając chrapliwie.

- Odejdź stąd, Karze Vastorze... Nie pozwolę ci skrzywdzić tych dzieci.

Vastor podniósł tarcze, które wciąż lśniły jak zwierciadła. Miecze Mace'a nawet nie zarysowały ich powierzchni. Gorączka krwi znów zapulsowała w sercu Mace'a. Vastor ruszył ku niemu z groźnym spokojem głodnego rancora.

*Widzę płomienie w twoich oczach, Jedi Masie Windu: zieleń dżungli i purpurę chmury burzowej. Słyszę echa gromu krwi w twoich uszach.*

Skierował zaokrąglone końce tarcz do siebie, wywołując tym rozdzierający uszy skrzyp, który przeszył Mace'a dreszczem. Uśmiech wojownika ukazywał zęby podpiłowane na ostro jak zęby lianokota.

*Postanowiłeś, że mnie zabijesz.*

- Nie pozwolę ci skrzywdzić tych dzieci - powtórzył Mace.

Vastor pokręcił głową- powoli, ale stanowczo.

*One mnie nie interesują. Nie wojuję z dziećmi.*

Mace w odpowiedzi spojrział ponuro na ciało Terrela.

*Był już mężczyzną na tyle, by zabić - odpowiedział Vastor, wzruszając ramionami. - Więc był nim również na tyle, by umrzeć. To, co on zrobił, nie było walką, lecz morderstwem. Co miałem zrobić? Rozejrzyj się, doshalo, czy widziałeś tu, w tej dżungli, jakieś więzienia?*

- Gdybym widział - odparł Mace-już dawno byś tam siedział.

*Ale stoisz tutaj, dysząc z nadziei i ze strachu.*

- Jedi nie czują strachu - syknął Mace przez zęby. - A nadzieję zostawiłem na Coruscant.

*Masz nadzieję, że zagrozę dzieciom, i obawiasz się, że tego nie zrobię. Masz nadzieję, że dam ci wymówkę, żeby mnie zabić. Boisz się po prostu zadziałać.*

Mace wytrzeszczył oczy.

W lustrzanej powierzchni mruczących tarcz Vastora ujrzał samego siebie, jakby spoglądał w punkt przełomu własnej natury.

Wszystko, co powiedział Vastor, było prawdą.

Wszystko.

Płonął gorączką krwi; marzył, aby zabić lor peleka w taki sam sposób, jak on zabił Terrela. I z tego samego powodu. Stając pomiędzy Vastorem a dziećmi, nie próbował ocalić bezbronnych istnień.

Szukał usprawiedliwienia dla zabójstwa.

Morderstwa w stylu Jedi.

Myśl ta wyrwała go z odrętwienia jak wiadro wody chluśnięte w twarz: jakby po raz pierwszy ujrzał naprawdę oświetlony pożarem bunkier. Vastor był teraz człowiekiem, tylko człowiekiem, silnym, to prawda, ale już nie wcieleniem mroku dżungli. Terrel był tylko chłopcem, tylko dzieckiem, to prawda, ale martwe ramiona tego chłopca wciąż były unurzane po łokcie we krwi Chalk i Besha.

Do tej pory Mace patrzył na nich - na cały ten świat, na wszystko, co w nim oglądał - oczami Jedi. Widział abstrakcyjne wzorce sił w wirującym światłocieniu Mocy, niezmienny rytm dobra i zła. Oczy Jedi widziały tylko to, czego szukały.

Nie wiedząc o tym, szukał nieprzyjaciela. Kogoś, z kim mógłby walczyć. Kogoś, kto byłby dla niego personifikacją wojny.

Kogoś, kogo mógłby o nią oskarżyć.

Kogoś, kogo mógłby zabić.

Ale teraz...

Spojrzał na Vastora własnymi oczami, po raz pierwszy naprawdę otwartymi.

Vastor odpowiedział mu równie intensywnym spojrzeniem. Po chwili lor pelek odetchnął z ulgą i opuścił broń.

*Zdecydowałeś, że pozwolisz mi żyć - znaczył jego pomruk bez słów. - Na razie.*

- Przykro mi - odparł Mace.

*Dlaczego? - Vastor wydawał się szczerze zdumiony. Kiedy Mace nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. - Teraz, kiedy mogę się bezpiecznie odwrócić do ciebie tyłem, pójdę już. Walka się skończyła. Muszę zająć się naszymi jeńcami.*

Odwrócił się w kierunku wyjścia z bunkra.

- Nie pozwolę zabijać więźniów - powiedział Mace do jego pleców.

Vastor zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

*Kto tu coś mówił o zabijaniu więźniów? Jeden z moich ludzi? - W świetle ostrzy Mace'a jego oczy nabrały morderczego blasku. - Nieważne. Wiem, kto to był. Zostaw go mnie.*

Bez dalszych dyskusji wyszedł w rozświetloną pożarem noc.

Mace stał w ciemności, oświetlonej jedynie migotaniem kling. Po chwili dłonie na płytkach aktywacyjnych mu zdrętwiały, a ostrza skurczyły się i znikły.

Teraz jedynym oświetleniem był krwawy żar na sklepieniu bunkra, rzucający przez ogień z zewnątrz.

Mace zauważył, że rany Beshy i Chalk krwawiły bardzo niewiele. Domyślił się, że to efekt thanatizyny.

Cichy płacz za plecami przypominał mu o dzieciach. Obejrzał się i popatrzył na nie. Dygotały, ściśnięte w grupkę tak ciasną, że nie mógł odróżnić, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie. Żadne nie podniosło na niego oczu. Czuł ich przerażenie w Mocy, bały się nawet spojrzeć na niego.

Chciał im powiedzieć, że nie mają się czego obawiać, ale to byłoby kłamstwo. Chciał im powiedzieć, że nie pozwoli nikomu ich skrzywdzić. Kolejne kłamstwo: już pozwolił. Żadne z nich nie zapomniało widoku przyjaciela, zabitego przez Koruna.

Żadne z nich nie zapomniało też Jedi, który pozwolił temu Korunowi odejść.

Tyle było rzeczy, które powinien był powiedzieć, że mógł tylko milczeć. Tyle było rzeczy, które powinien był zrobić, że mógł tylko stać, trzymając w dłoniach wyłączony miecz.

„Kiedy wszystkie wybory wydają się niewłaściwe, wybierz powściągliwość”.

Dlatego znieruchomiał.

- Mistrzu Windu? - Głos był znajomy, ale wydawał się dochodzić z bardzo daleka; a może to było tylko echo wspomnień. - Mistrzu Windu!

Stał wpatrzony w niewidzialną dal, dopóki jakaś silna dłoń nie wzięła go za ramię. -Hej, Mace! Westchnął.

- W porządku. Czego chcesz?

- Prawie świta. Kanonierki latają za dnia. Nie potrzebują dużo czasu, żeby tu dotrzeć. Musimy siodłać... - Nick urwał, jakby się nagle zakrztusił. - Ja pieprzę. Co ty... to znaczy, co oni... kto... kto to... ..jak?

Zabrakło mu słów. Mace odwrócił się wreszcie i spojrzał na młodego Koruna. Nick gapił się w milczeniu na krwawą masę, która niegdyś była ciałami Besha i Chalk.

- Thanatizina spowolniła krwawienie - rzekł Mace cicho. - Ktoś bardzo zręczny w posługiwaniu się klejem do tkanek z pakietu medycznego wciąż jeszcze byłby w stanie ich uratować.

- A... a... te dzieci to...?

- Widocznie paru Balawai nie pozostawiło ich jednak w mieście.

- Co te dzieciaki tu robią? Co im się stało? Mace odwrócił wzrok.

- Uratowałem im życie. - Ramiona uniosły mu się w głębokim westchnieniu i zaraz opadły. - Na chwilę.

Nick chrząknął.

- No. Zawsze tak jest. Mace spojrzał na niego.

- Kiedy ratujesz komuś życie - Nick przechylił głowę w koruńskim geście obojętności - to zawsze na chwilę.

Mace przesunął się w kierunku rozwalonego wejścia do bunkra.

- Chyba masz rację. Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

- Hej, zaczekaj. Dokąd się wybierasz?



- Rodzice tych dzieci tam są. Może jeszcze żyją.

- A co z Beshem i Chalk? - nalegał Nick. - Co z nimi? Nie możesz przecież tak po prostu odejść i ich zostawić...

- Zostawiam ich pod twoją opieką. Nie zdołałem ich ochronić. - Mace spuścił głowę i dodał zniżonym głosem: - Siebie też nie zdołałem ochronić. - Odszedł powoli.

- Ale, Mace... Mistrzu Windu... - zawołał za nim Nick. - Mace! Mace zatrzymał się i obejrzał. Nick stał w obramowaniu mrocznej czeluści bunkra, poskręcane strzepy durastali sterczały wokół niego jak kły. - A co z dziećmiakami? Co mam z nimi zrobić?

- Udawaj, że są twoje - zaproponował Mace i odwrócił się tyłem.

Osada pełna była uzbrojonych Korunnai, którzy rabowali porozrzucane ciała z tą samą sprawnością i skutecznością, jaką Mace widział u Nicka i Chalk, Beshy i Lesha w alejce w Pelek Baw. Korunnai mieli na sobie ubrania, które wydawały się składać głównie z łąt. Większość partyzantów miała różnego rodzaju rany, niektórzy byli wyraźnie niedożywieni. Tylko broń była dobrze utrzymana.

Widocznie bardziej troszczyli się o miotacze niż o siebie. Mace powoli szedł przez osadę, rozglądając się po nowej rzeczywistości. Świat wydawał mu się jakby bardziej intensywny i jednocześnie rozbity: układanka realnych szczegółów, których nie potrafił wpasować w ogólny obraz.

Żywa jak koszmar.

Na ziemi, na skraju kałuży płonącego paliwa z miotaczy leżała odcięta dłoń z przedramieniem. Przypiekane palce z wolna skręcały się w pięść.

Czarna plama kałuży w miejscu, gdzie się nie paliła, mogła być wodą. Lub krwią.

Na wpół roztopiona butla gazu do miotacza pękła, skacząc jak żywa po ziemi i plując zielonym płomieniem.

Para koruńskich nastolatków tańczyła niczym obłąkane kowakiańskie małpojaszczury, przeskakując przez kałuże płomieni i próbując łapać paczki z racjami żywnościowymi, wyrzucane na oślep z włazu płonącego pełzaka.

Niebo płonęło, jakby obłoki zajęły się ogniem świtu.

Dwanaście akków stało kręgiem wokół grupki dygoczących Balawai. Jeńcy tulili się do siebie i obejmowali ramionami, wodząc za partyzantami przerażonym wzrokiem pozbawionym nadziei.

Korun, którego Mace kopnął, siedział na zgiętym płacie pancerza pełzaka obok kręgu akków. Zmierzył przechodzącego obojętnie Mace z złym wzrokiem. Tarcze odsunął wyżej na ramiona, uwalniając dłonie, którymi z troską rozmasowywał potężny guz i czarny siniec pod okiem. Skóra w tym miejscu była pęknięta, pół twarzy pokrywała krew, która spływała z sińca i łączyła się z drugim

strumyczkiem, z podobnej opuchlizny w kąciku ust.

Przebłyskiem intuicji Mace połączył groźny wzrok Koruna, opuchliznę na jego twarzy i to, co lor pelek powiedział przed wyjściem z bunkra.

Vastor musiał mieć piorunujący lewy sierpowy.

- Czegoś chcesz, ty? - warknął Korun. Wstał i wciągnął tarcze z powrotem na przedramiona, aż zawyły. - Chcesz czegoś?

- Cofnij się - martwym głosem polecił Mace. Wyminał wyższego od siebie mężczyznę. - Zdaje się, że szukam kogoś do zabicia. Postaraj się, żebyś to nie był ty.

Nie musiał się przedstawiać psom akk, które strzegły więźniów -stado rozstało się na jego widok, jakby rozpoznawały go instynktownie. Proste pytanie skierowane do najbliższego z więźniów zaprowadziło go do ojca chłopców. Kiedy Mace powiedział mu, że Urno i Nykl żyją i są tak bezpieczni, jak tylko może tu być bezpieczny Balawai, człowiek wybuchnął płaczem.

Mace nie wiedział, czy z ulgi, czy z przerażenia.

Łzy to łzy.

Nie potrafił zmusić się do współczucia. Nie zapomniał, że to właśnie ten człowiek oddał pierwszy strzał do bunkra. Nie mógł go w żaden sposób osądzać; nie mógł mieć pewności, że gdyby ten człowiek powstrzymał się w ostatniej chwili, któryś z zabitych żyłby teraz.

Rankina nie było wśród jeńców. Matki dziewczynek też nie.

Mace wiedział, że nikt nie uciekł.

Rankin... Wprawdzie nie ufali sobie wzajemnie, ale przez jedną krótką chwilę byli po jednej stronie. Wspólnie próbowali wyprowadzić stąd ludzi bez ofiar.

Rankin zapłacił cenę ich porażki.

Może Mace też już zaczął płacić.

Jeszcze jedno pytanie do jeszcze jednego więźnia i akki znów rozstały się przed nim.

Vastor był blisko; używając warknięć, ryków i pomruków ustawiał Korunnai w grupy przed wycofaniem się. W swoim stanie oderwania Mace nawet się nie zdziwił, że już nie rozumie lor peleka. Głos Vastora stał się szumem dżungli, ciężkim od znaczeń, lecz niepojętym. Nieludzkim. Bezosobowym.

Śmiercionośnym.

„... .Nie dlatego, że dżungla cię zabija- powiedział Nick. - Po prostu tak musi być”.

Mace zaczął przechodzącego Vastora.

- Co zrobisz z jeńcami?

Vastor zamruczał bez słów, gardłowo, ale teraz znaczenie tego dźwięku znów objawiło się myślom Mace'a.

*Pójdą z nami.*

- Zajmiesz się więźniami?

*Nie zajmujemy się nimi. Oddajemy ich dżungli.*

- *Tan pel'trokal* - wymruczał Mace. - Sprawiedliwość dżungli. W jakimś stopniu miało to sens. Nie mógł się z tym zgodzić, lecz musiał zrozumieć.

Vastor skinął mu głową i odwrócił się.

*Tak to się u nas odbywa.*

- Czym to się różni od morderstwa? - Mace patrzył na Vastora, lecz wydawało się, że zadaje to pytanie sobie. - Czy któryś z nich ma szansę przeżyć? Wypędzeni samotnie, bez zapasów, bez broni...

Lor pelek obdarzył Mace'a drapieżnym uśmiechem przez ramię, pokazując ostre jak igły zęby.

*Ja przeżyłem* - warknął i odszedł.

- A dzieci?

Ale mówił już tylko do oddalających się pleców lor peleka. Vastor krzyczał coś do trzech czy czterech obdartych Korunnai. Mace nie wiedział, o co mu chodzi. Utracił rozumienie słów Vastora wraz z jego uwagą.

Poszedł w kierunku, który wskazał mu ostatni z zagadniętych więźniów.

Przystanął na skraju kałuży, pełgającej ogniem paliwa. Prawie się już wypaliła, czarne pierścienie dymu wznosiły się w górę z zaledwie kilku bladych w blasku dnia płomieni.

O krok lub dwa od krawędzi kałuży leżało ciało.

Leżało na boku, skręcone w charakterystycznej dla ofiar ognia pozycji płodowej, ale jedno z ramion wydawało się nie poddawać skurczowi. Skierowane było dłonią w dół ku najbliższej krawędzi wypalonej kałuży, jakby ofiara próbowała się wydostać z płomieni.

Mace nie był w stanie nawet stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Przykucnął na piętach na skraju spalenizny, wpatrując się w ciało. Otoczył kolana ramionami i usiadł.

Wydawało się, że nie ma nic lepszego do roboty.

Pytał jeńca, gdzie po raz ostatni widział matkę dziewczynek.

Nie potrafiłby powiedzieć, czy to, co tu leżało, było kiedyś kobietą która dała życie Pell i Keeli; czy ta dymiąca masa zwęglonego, martwego ciała trzymała je w ramionach i ssała ich dziecięce łzy.

Czy to miało znaczenie?

Tak czy owak, był to czyjś rodzic, brat czy siostra. Czyjeś dziecko. Czyjś przyjaciel.

Który zginął anonimowo w dżungli.

Mace nie potrafił ocenić, czy ofiara zginęła od koruńskiej kuli, czy od wibrotarczy, czy może od miotacza Balawai. A może po prostu nie miała szczęścia i dostała się w zasięg strumienia ognia z wieżyczki pełzaka.

Może byłby w stanie odnaleźć pewne odpowiedzi w Mocy, nie potrafił jednak zdecydować, czy wiedza jest lepsza od niewiedzy. Dotknąć Mocy raz jeszcze w tym mrocznym miejscu - nie, tego ryzyka nie był gotów podjąć.

Siedział więc tylko i dumał o ciemności.

Siedział, a partyzanci tymczasem podzielili się na grupy, które wtopiły się w zbocze góry. Siedział, a tymczasem więźniowie zostali wyprowadzeni całą grupą otoczoną kręgiem psów akk. Siedział, a tymczasem słońce wychynęło zza szczytów gór na wschodzie i fala światła zalała zbocze nad jego głową.

Podszedł do niego Vastor, mrużąc coś o opuszczeniu tego miejsca, zanim nadlecą kanonierki. Mace nawet nie podniósł wzroku.

Myślał o blasku słonecznym, o tym że nie niweczy on mroku dżungli.

Nick zatrzymał się obok niego po drodze z obozowiska. Na jednym ramieniu trzymał Urno, Nykl spał na drugim, drobnymi ramionkami otaczając jego szyję. Keela, potykając się, wlokła się z tyłu, jedną ręką przyciskając bandaż opatrujący ranę na jej głowie, drugą wlokąc za sobą małą Pell. Nick chyba zadał Mace'owi jakieś pytanie, bo stał teraz przed mistrzem Jedi, jakby czekał na odpowiedź.

Ale Mace nie miał dla niego odpowiedzi.

Nick nie miał cierpliwości czekać - wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Mace myślał o ciemności. Metafora Jedi na temat Ciemnej Strony Mocy nigdy nie wydawała mu się równie właściwa jak tutaj - Ciemna Strona jest nie tyle mrokiem zła, lecz mrokiem bezgwiazdnej nocy, gdzie myślisz, że lianokot to tylko krzak, a to, co wydaje się drzewem, równie dobrze może okazać się nieruchomo stojącym mordercą tylko czekającym, aż odwrócisz wzrok.

Mace czytał w archiwach świątyni relacje spisane przez Jedi, którzy otarli się o Ciemną Stronę i wrócili. Relacje te często wspominały o tym, jak to Ciemna Strona sprawiała że wszystko nagle wydawało się jasne. Mace wiedział, że to tylko złudzenie. Kłamstwo.

Prawda była całkiem inna.

Wokół widział tyle ciemności, że równie dobrze mógł być ślepy.

Poranne słońce, które zalało osadę, sprowadziło ze sobą kanonierki; sześć sztuk, dwie triady, z rykiem wyłaniające się z oślepiającego kręgu żaru nad górami Al'har. Ich formacja rozkwitła w rozetę, pojedyncze statki zakręcały, podchodząc do manewrów ostrzału.

Mace wciąż się nie ruszał.

Mógłbym równie dobrze być ślepy, pomyślał... a może nawet powiedział to głośno.

Ponieważ głos, który odezwał się za jego plecami, najwyraźniej mu odpowiedział:

- Najmądrzejszy z ludzi, jakich znałam, powiedział mi kiedyś: „Właśnie w najciemniejszą noc świetliste istoty, jakimi jesteśmy, błyszczą najjaśniej”.

Był to głos kobiety, przerywany ze zmęczenia i chrapliwy od długotrwałego cierpienia, ale prawdopodobnie tylko ten głos mógł rozpalic płomień w nieogarnionej ciemności Mace'a, tylko ten głos mógł poderwać go na nogi, przywrócić nadzieję w oczach i w sercu, prawie dać mu szczęście...

A może nawet uśmiech...

Odwrócił się i rozpostarł ramiona; dech mu zaparło i zdołał wykrztusić jedynie:

-Depa...

Ale ona nie podeszła, by go uściskać na powitanie. Nadzieja rozbłysła na chwilę i zgasła. Ramiona opadły mu bezsilnie. Choć przygotowany przez Nicka, nie był w najmniejszym stopniu przygotowany na to, co ujrzał.

Mistrzynie Jedi Depa Billaba stała przed nim w łachmanach - strzępkach szat Jedi, zbrukanych błotem, krwią i żywicą z dżungli. Jej włosy - niegdyś lśniące, przepyszna grzywa czarna jak kosmos, utrzymywana przez właścicielkę w ryzach warkoczy spleatanych z matematyczną precyzją - teraz były spleatane, sztywne od tłuszczu i brudu, krótkie i postrzępione, jakby obcięta je tępym nożem. Twarz miała bladą, poorly zmarszczkami zmęczenia, tak chudą, że kości policzkowe sterczały jak ostrze topora. Usta wydawały się twarde, jakby pozbawione warg; szpeciła je świeża blizna po oparzeniu, biegnąca od jednego kącika do podbródka - lecz nie to było najgorsze.

Żadna z tych zmian nie mogłaby sprawić, że Mace stał, jak wkopany w ziemię, choć kanonierki śmigały mu nad głową i zalewały otaczającą ich osadę deszczem ognia z miotaczy.

W tym piekle, pośród świstu odłamków skalnych i wszechobecnej pajęczyny plazmy, Mace

wpatrywał się w czoło Depy, gdzie niegdyś pysznił się lśniący, złocisty kamień Największego Znak Oświecenia, symbol adeptki Chalactanu. Znak Oświecenia mocuje się w kości czołowej adepta. Robią to starsi tej pradawnej religii, traktując kamień jako symbol Wiecznie Otwartego Oka, które jest najdoskonalszym wyrażeniem Świetlistości Chalactanu. Depa nosiła swój kamień z dumą przez dwadzieścia lat.

Teraz w miejscu, gdzie był Znak, widniała tylko brzydka blizna, jakby ten sam nóż, który ścinał jej włosy, posłużył również do brutalnego wyluskania symbolu religii przodków z kości czaszki.

Na oczach miała kawałek szmaty, zawiązany jak u ślepeca. Szmata była również zwietrzała, poplamiona i poszarpana, jak cała szata.

Ale stała przed Mace'em tak, jakby go doskonale widziała.

- Depo...

Mace musiał podnieść głos, aby usłyszeć własne słowa przez huk repulsorów, grzmot działek laserowych i eksplodujące wokół niego skały.

- Depo, co się stało? Co się z tobą dzieje?

- Witaj, Mace - odparła smutno. - Nie powinieneś był przyjeżdżać.



## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Wreszcie rozumiem, co tutaj robię. Po co przybyłem. Rozumiem hipokryzję tej listy przyczyn, jakimi kilka tygodni temu uraczyłem Yodę i Palpatine'a w biurze kanclerza.

Kłamałem im.

Sobie też.

Musiałem znać prawdziwy powód, dla którego tu przybyłem, od pierwszej chwili, gdy ujrzałem Depę w osadzie. Był w wrytych przez ból zagłębieniach pod jej kośćmi policzkowymi. W bliźnie, jaka pozostała po Znak Oświecenia.

Tak, to nie była ona. To była tylko jej wizja w Mocy. Halucynacja. Kłamstwo. Lecz nawet kłamstwo Mocy jest prawdziwsze niż każda rzeczywistość, jaką mogą objąć nasze ograniczone umysły.

Powód był w szmacie, która zakrywała jej oczy, lecz nie czyniła jej ślepą na prawdę o mnie...

Znalazłem warunki mojego zwycięstwa.

Nie przybyłem tutaj, żeby się dowiedzieć, co stało się z Depą, ani po to, żeby chronić reputację naszego Zakonu. Nie obchodzi mnie, co się z nią działo, a reputacja Zakonu nie ma dla mnie znaczenia.

Nie przybyłem, żeby walczyć w tej wojnie, nie obchodzi mnie, kto zwycięży.

Bo nikt nie zwycięża. Nie w prawdziwej wojnie. Liczy się to, ile każda ze stron gotowa jest poświęcić.

Nie przybyłem tutaj, aby pojmać czy zabić zbłąkanego Jedi ani nawet go osądzać. Nie mogę jej osądzić. Byłem na obrzeżach tej wojny przez kilkanaście dni, i popatrzcie, czym mógłbym się wkrótce stać; a ona siedzi od miesięcy w samym jej środku.

Pogrążona w mroku.

Pogrzebana w dżungli.

Nie przybyłem, żeby powstrzymać Depę. Przybyłem, by ją ratować.

Uratuję ją.



I niech Moc się zlituje nad każdym, kto zechce mnie powstrzymać, bo ja litości miał nie będę.

## Z prywatnych dzienników Mace'a Windu

Nie pamiętam, jak opuściłem osadę. Podejrzewam, że musiałem być w szoku. Nie fizycznym - moje obrażenia są niewielkie, choć plastry z bactą ze zdobytych pakietów medycznych poszły na opatrzenie poważniejszych obrażeń, a oparzenie od strzału z miotacza na moim udzie napuchło i zaczerwieniło się od zakażenia, ale szok to dobre słowo. Chodzi o szok psychiczny.

Moralny.

Opadła zasłona: pomiędzy chwilą w osadzie, kiedy przyszła do mnie Depa, a momentem, gdy ocknąłem się na dole zbocza, w moim umyśle zaległa mgła. W tej mgle znajduję dwie różne wersje naszego spotkania.

Obie wydają się fałszywe.

Sny. Powtórna interpretacja zdarzeń przez wyobraźnię.

Halucynacja.

W jednym wspomnieniu Depa wyciąga do mnie rękę, a ja wyciągam swoją, żeby jej dotknąć - zamiast tego jednak czuję szarpnięcie, jej miecz świetlny wyskakuje z wewnętrznej kieszeni mojej kurtki, wirując, przecina powietrze i z kłaśnięciem wpada jej w dłoń. Promienie z miotaczy i działek laserowych na pokładach kanonierek wybijają kratery na terenie osady; każdy strzał powoduje wybuch skały i gruzu; powietrze wokół nas wypełnia się czerwoną plazmą i pomarańczowym ogniem. Dawny, znajomy półśmieszek unosi w górę kącik jej ust, gdy pyta: „Góra czy dół?”, a ja jej mówię: „Góra” i ona wyskakuje, ponad moją głowę, wykonuje w powietrzu salto, a ja robię jeden krok do przodu, żeby mogła wylądować dokładnie plecy w plecy...

I czuję jej plecy na swoich - silny, ciepły i żywy dotyk, który czułem tak często, w tak wielu miejscach, wypędza przerażenie z mojego serca, mrok z moich oczu; nasze ostrza w doskonałej synchronizacji wychwytyją płomienie padające z góry, odbijając je tam, skąd nadleciały, w poranione świtem niebo...

Tak jak mówiłem - to sen.

Drugie wspomnienie to milczący obraz mnie samego, idącego u boku Depy przez deszcz ognia z miotaczy. Rozmawiamy spokojnie, nie zważając na kanonierki i dżunglę, na blask świtu. W tym śnie, czy też wspomnieniu, Depa obraca ku mnie ślepą twarz i przechyla głowę, jakby chciała zajrzeć mi w serce. „Po co tu przybyłeś, Mace? Czy choć ty wiesz, po co?”

Nie słyszę tych słów, znów, jak we śnie, wydaje mi się, że tylko mamy zamiar coś powiedzieć i jakimś cudem przekazujemy tę myśl drugiej osobie.

„Dlaczego po mnie posłałaś?” - odpowiadam pytaniem.

„To nie to samo - przypomina mi łagodnie. - Musisz zdefiniować swoje warunki zwycięstwa. Jeśli nie wiesz, co próbujesz uczynić, skąd będziesz wiedział, że ci się udało? Po co przybyłeś? Żeby mnie powstrzymać? Możesz to zrobić jednym ciosem miecza”.

„Wydaje mi się - odpowiadam jakimś cudem - że próbuję się dowiedzieć, co się tu dzieje. Z tymi ludźmi i z tobą. Kiedy wreszcie zrozumie, o co chodzi, będę wiedział, co z tym zrobić”.

„Jedyną rzeczą, której naprawdę nie rozumiesz - mówi ślepe widmo mojej ukochanej padawanki - jest to, że rozumiesz już wszystko, co było do zrozumienia. Po prostu nie chcesz w to uwierzyć”.

A potem zasłona gęstnieje, przechodzi w noc, i nie pamiętam już nic, dopiero za jakiś czas - nie tak długi - widzę siebie, jak biegnę na oślep przez dżunglę, ale całkiem sam.

Zbiegając skokami po długim, długim zboczu, pokrytym starą lawą i spalonym przez nową, czułem partyzantów gdzieś przed sobą, niczym ciemny, pachnący smołą dym, który ciągną za sobą w Mocy-mogę ich wysledzić dzięki śladom krwi, jakie ranni pozostawili na ziemi, na skałach i liściach.

I pamiętam, jak biegnę w dół po zboczu suchym korytem, a na dole czeka na mnie Kar Vastor.

Kar Vastor...

Mam wiele do powiedzenia temu lor pelekowi. O jego umiejętnościach wywabiania os febronośnych z ciał Beshi i Chalk, i o sposobie, w jaki dżungla sama wydaje się rozstępować, aby go przepuścić, aby zamknąć się za nim, gdy już przejdzie. O jego poplecznikach - sześciu Korunnai, których nazywa strażnikami akków, ludziach, których stworzył na mniej doskonały obraz i podobieństwo siebie. O tym, jak wyszkolił ich do używania tylko im znanej broni - tych przerażających wibrotarcz - które sam zaprojektował i zbudował. Nawet o najdrobniejszych szczegółach - pierwotnym okrucieństwie jego spojrzenia, dzikim warczeniu w pozbawionym słów języku, i o tym, jak rozumiałem, co miał na myśli, jakby to mój własny głos szeptał wewnątrz czaszki. Wszystko to wymaga głębszego komentarza, niż mógłbym mu teraz zaoferować.

Nie jestem pewien, dlaczego tyle czasu zajęło mi zrozumienie, że on i ja jesteśmy naturalnymi wrogami.

Lor pelek stał na zboczu poniżej Mace'a, trzymając wodze osiodłanego trawiaka. Zwierzę nie spuszczało z Vastora jednego z trojga oczu, a kiedy lor pelek się odzywał, trawiak drżał, jakby zamierzał uciec, gdyby nie był przyszpilony do miejsca przez niewidzialną siłę, silniejszą od instynktów.

*Jedi Windu. Posyłają po ciebie, doshalo.*

Mace nie spytał, kto po niego posłał.

-Gdzie ona jest?

*O godzinę drogi stąd. Odpoczywa w swojej howdah. Już nie chodzi.*

Mace poczuł, że kręci mu się w głowie; świat zafalował, jakby oglądany w zwierciadle wody.

-Godzina... już nie chodzi...?-To nie miało sensu, ale w Mocy brzmiało jak prawda. - Przecież była tutaj... była tu, przy mnie...

*Nie.*

- Ależ była... przywitała się ze mną i... - Mace przesunął dłonią po czaszce, sprawdzając, czy nie ma krwi lub opuchlizny. Szukał rany na głowie. - Oddałem jej miecz świetlny... walczyliśmy razem... walczyliśmy z kanonierkami...

*Walczyłeś sam.*

- Była ze mną...

*Wysłałem dwóch moich ludzi, żeby sprawdzili, co się dzieje, kiedy nie dołączyłeś do wymarszu. Obserwowali cię z dołu, ukryci przed statkami Balawai. Widzieli cię samotnego w osadzie, odbijającego mieczami ogień z miotaczy. Moi ludzie mówią, że sam przegnałeś kanonierki, choć nie wydawało się, by odniosły uszkodzenia. Może nauczyłeś Balawai bać się ostrza Jedi. - Vastor pokazał Mace'owi opiłowane na ostro zęby. - Nick Rostu dużo opowiadał o tym, jak ich pokonałeś na przełęczy. Nawet ja nie zdołałbym dokonać niczego podobnego.*

- Była ze mną! - Mace spojrział na ślady bursztynu portaak, które plamiły mu dłonie. - Walczyliśmy... a może rozmawiali... chyba nie pamiętam...

*Pamiętasz pelekotan.*

- Moc...? Chcesz powiedzieć, że to była wizja w Mocy?

*Pelekotan sprowadza na nas sny na jawie, opowiadające o naszych pragnieniach i obawach. - Głos Vastora był poważny, ale łagodny. - Kiedy pożądamy tego, czego się boimy i boimy się tego, czego pożądamy, pelekotan zawsze odpowiada. Czyżby Jedi o tym zapomnieli?*

- To się wydawało takie realne... bardziej realne niż ty teraz. Vastor wzruszył ramionami.

*Bo było realne. Tylko pelekotan jest realny. Wszystko inne to kształty i cienie, mniej niż obłok czy wspomnienie. Jesteśmy snem pelekotanu. Czy Jedi zapomnieli również o tym?*

Mace nie odpowiedział. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z symetrycznego obciążenia kurtki. Położył dłoń na prawym boku i przez plamistą skórę pantery wyczuł zarys miecza świetlnego, identyczny jak jego własny, który nosił po lewej.

Miecz Depy.

A jeśli to, co widział w osadzie, było jedynie wizją w Mocy? Czy to w jakikolwiek sposób

zmieniało sytuację? Czy zmieniało prawdę, którą widział? Czy zmieniało prawdę, którą ona widziała w nim?

Z punktu widzenia Mocy, prawdy te wydają się bardziej, a nie mniej realne.

- Sen... - wymruczał do siebie. - Sen...

Vastor gestem kazał mu wsiadać na trawiaka.

*Może i jest snem, ale oprzyj się jej wezwaniu, a wtedy się przekonasz, jak szybko sen potrafi zmienić się w koszmar.*

Mace wskoczył na siodło, nie mówiąc lor pelekowi, że już o tym wie.

Jakiś niejasny impuls zmusił go, by zapytać:

- A ty, Karze Vastorze? Jakie wizje tobie przynosi pelekotan? Odpowiedzią było bezgranicznie puste spojrzenie, nieludzkie, pełne nieodgadnionych niebezpieczeństw, jak sama dżungla.

A dlaczego pelekotan miałby mi cokolwiek ukazywać? Nie mam lęków.

- Ani pragnień?

Ale on już się odwrócił, by odprowadzić trawiaka, i nie dał poznać, że w ogóle usłyszał pytanie.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Kar Vastor prowadził mojego trawiaka, idąc obok. Bez trudu odnajdywał drogę poprzez najgęstsze, najbardziej splątane zarośla, więc mogliśmy poruszać się równym truchtem. Po pewnym czasie zacząłem wierzyć - tak jak wierzę teraz - że swoją umiejętność poruszania się w dżungli tylko w połowie zawdzięczał percepcji; drugą połowę stanowiła czysta siła. Nie tylko bowiem potrafił wyczuć ścieżkę tam, gdzie nikt nie mógł jej dostrzec, ale prawdopodobnie umiałby wykonać przejście w miejscu, gdzie go nigdy nie było.

Może „wykonać” nie jest właściwym określeniem.

Nigdy nie widziałem tej siły w działaniu, nigdy nie widziałem poruszających się drzew ani rozplatających się węzłów lian. Czulem jednak ciągły prąd w Mocy; łagodny falujący cykl, niczym oddech ogromnej, pogrążonej w mroku istoty. Moc wsączała się w niego i znów wypływała, ale nie czulem, jak jej używa, tak samo jak nie czulem, kiedy moje mięśnie wykorzystują pokarm, jakiego im dostarczam.

Właśnie tak to wyglądało: jakby jakaś moc bez wysiłku niosła nas przez dżunglę, niczym krew w żyłach. Lub jak myśli w swoim nieskończonym umyśle.

Jakbyśmy byli snem pelekotanu.

Podczas tej drogi wzdłuż linii maszerujących partyzantów po raz pierwszy mogłem przyjrzeć się dokładnie osławionemu Górskiemu Frontowi Wyzwolenia.

GFW: terror dżungli. Śmiertelny wróg milicji. Bezlitośni, nie-poskromieni wojownicy, którzy wypędzili z tej planety Konfederację Niezależnych Systemów.

A teraz wyglądali, jakby ledwie żyli.

Szli kolumną rannych, z trudem poruszających się łachmaniarzy, znaczących swoje ślady w dżungli plamami krwi i ciężkim odorem infekcji. Później w ciągu tych dni piekielnego marszu miałem się dowiedzieć, że ostatnia operacja składała się z serii napaści na osady poszukiwaczy; poszli nie tylko po to, aby zabijać Balawai, lecz także aby zdobyć pakiety medyczne, żywność, odzież, broń, amunicję - zapasy, których nasza Republika albo nie mogła, albo nie chciała im przekazać.

Kierowali się do swojej bazy w górach, gdzie zebrali właściwie wszystko, co pozostało po koruńskiej ludności: starszych ludzi i inwalidów, dzieci i to, co pozostało ze stad. Życie w ciasnej, zamkniętej przestrzeni nie było dla Korunnai naturalne. Nie mieli doświadczenia, bo nigdy nie przebywali w takich warunkach, co szybko zebrało swoje żniwo. Choroby nieznanne cywilizowanej galaktyce dziesiątkowały ich szeregi; w ciągu kilku miesięcy od przybycia Depy dyzenteria i zapalenie płuc zabiły więcej Korunnai niż kanonierki milicji.

Te same kanonierki, które teraz krążyły nad dżunglą jak sępy. Drzewa nieustannie wibrowały dźwiękiem ciężkich repulsorów i turbowentylatorów. Wibracja przechodziła w wycie, potem opadała do owadziego brzęczenia, mieszała się w roje i rozdzielała na pojedyncze elementy, które zataczały ósemki po niewidocznym niebie. Od czasu do czasu z góry spadał na dżunglę snop ognia, przydając mrokowi leśnemu ostrych pomarańczowych odbłasków, rzucając czarne cienie na zielone liście.

Nie sądzę, aby rzeczywiście próbowali w coś trafić.

Nękali nas nieustannie, często strzelając na oślep przez sklepienie dżungli lub przemykając nad naszymi głowami, by miotaczami płomieni Sunfire podpalać całe jej wielkie połacie. Wszelkie próby odpowiedzi ogniem na ogień oznaczałyby zdradzenie naszych pozycji ich strzelcom, dlatego mogliśmy jedynie uciekać pod koronami drzew i mieć nadzieję, że nas nie widzą.

Partyzanci prawie się tym nie przejmowali. Wlekli się swoim rytmem - ci, którzy mogli chodzić - ze spuszczonej głowami, jakby już się pogodzili z myślą, że prędzej czy później jeden z tych ognistych dywanów spadnie właśnie na nich. Jako Korunnai z krwi i kości, nigdy nawet jednym słowem nie poskarżyli się na swój los, a przy tym prawie wszyscy mogli czerpać siły z Mocy - z pelekotanu - co pozwalało im utrzymywać się na nogach.

Tych, którzy nie mogli chodzić, popakowano jak bagaż na grzbiety trawiaków. Większość zwierząt niosła teraz wyłącznie rannych: dostawy i urządzenia złupione Balawai jechały na prymitywnych, ale mocnych toboganach, które trawiaki ciągnęły za sobą.

W czasie marszu GFW musiała znosić najnowszą taktykę milicji: nocne wypadki. Wydawało się, że raczej nie mają nadziei na schwytanie nas i że nie o to im chodzi. Zamiast tego, kanonierki latały wysoko nad naszymi głowami i strzelały w dół na oślep z działek laserowych. Po to tylko, żeby nas nękać. Żeby zniszczyć nasz spokój. Zmusić do czuwania i ciągłej obserwacji.

Ranni mężczyźni i kobiety potrzebują snu, żeby wyzdrowieć. Żadnemu się to nie udawało. Codziennie o świcie kilkoro z nich leżało zimnych i nieruchomych w śpiworach, nie wstając wraz z resztą. Codziennie o kilku więcej potykało się, oślepionych zmęczeniem, i wyłamywało się z linii marszu, aby zniknąć wśród drzew.

Najczęściej na zawsze.

Na Haruun Kal jest mnóstwo dużych drapieżników: pół tuzina wyraźnie zdefiniowanych gatunków lianokotów, dwie mniejsze odmiany psów akk i ogromne, dzikie wilki akk, jak również sporo upartych padlinożerców, takich jak szakale jacuna, nielotne stworzenia podobne do ptaków, które poruszały się w stadach, czy liczne gatunki wielkich ptaszydeł, nie mniejszych od małpojaszczura, równie zwinnie wspinających się po zboczach, co przeskakujących z gałęzi na gałąź czy biegających po płaskim terenie. Nie są to istoty wybredne, nie zwracają szczególnej uwagi na to, czy ich aktualny posiłek jest istotnie martwy. A przy tym większość dużych drapieżników z Haruun Kal ma dość inteligencji, by zapamiętać, że najlepsza wyżerka czeka za kolumną rannych Korunnai. Dlatego właśnie maruderzy rzadko nas doganiali.

Byliśmy, jak mawiał Nick, ruchomym bufetem.

Dlatego też GFW nie zostawiał straży przy więźniach.

Było ich wszystkiego dwudziestu ośmiu, dwa tuziny poszukiwaczy i czwórka dzieci. Szperaczom pozwolono wlec się, jak komu było wygodniej, nawet i ciągnąć tych, którzy nie mogli iść samodzielnie, na mniejszej wersji toboganów, podczepionych do trawiaków.

Byli pilnowani jedynie przez dwóch strażników akków Vastora i sześć groźnych psów akk; jak wyjaśnił Vastor Mace'owi, potrzebnych tylko po to, aby się upewnić, że Balawai nie ukradną rannym Korunnai broni ani żywności, ani też nie zaatakują w inny sposób. Strażnicy nie potrzebowali nawet miotaczy; jeśli jakiś więzień życzył sobie oddalić się w kierunku dżungli, nikt mu w tym nie zamierzał przeszkadzać.

W końcu i tak wszystkich ich to czeka: odarci z wszelkich dóbr, z wyjątkiem odzieży i butów, zostaną porzuceni w dżungli, aby samotnie szukać bezpiecznych miejsc, jeśli uda im się na takowe trafić.

*Tan pel'trokal.* Sprawiedliwość dżungli.

Mace pochylił się nad szyją trawiaka, aby cicho szepnąć do ucha Vastorowi:

- Skąd wiesz, że nie zawrócą wzdłuż linii marszu? Wielu rannych ledwie idzie. Balawai mogą uważać, że kilka sztuk broni i zapasy są warte ryzyka...

Vastor wyszczerzył garnitur spiczastych zębów.

*Nie czujesz ich? Są w dżungli, ale nie z dżungli. Nie mogą nas zaskoczyć.*

- Więc dlaczego wciąż tutaj są?

*Jest jasno - zagrział Vastor, machnięciem dłoni wskazując na zielono podświetlone liście nad ich głowami. - Dzień należy do kanonierek. Więźniowie dostaną tan pel'trokal po zmierzchu.*

- W ciemności - mruknął Mace. Tak.

*Noc należy do nas.*

Mace przypomniał sobie nagranie szeptu Depy: „Wykorzystuję noc, a noc wykorzystuje mnie...”  
Poczuł w piersi ciężki ból. Oddychał powoli i z trudem.

Nick zajęty był więźniami, prowadząc za wodze chudego, niedożywionego trawiaka. Trawiak miał na grzbiecie nowe podwójne siodło, takie samo jak tamto, które zostało rozniesione na strzepy wraz z trawiakiem Nicka na przełęczy. Każde siodło było dość duże, aby pomieścić dwoje dzieci. Urno i Nykl jechali na górnym siodle, skierowanym przodem do kierunku jazdy, ściskając zwierzę za grzywę i wyglądając pomiędzy jego uszami. Keela i Pell zajmowały dolne siodło, skierowane do tyłu. Siedziały skulone i przytulone do siebie w niemej rozpacz.

Widok tej czwórki dzieci przypominał mistrzowi Jedi o dziecku, którego tu nie było. Musiał odwrócić wzrok od Kara Vastora. Pod powiekami wciąż miał obraz lor peleka trzymającego ciało chłopca. Widział, jak lśni tarcza w strugach krwi Terrela.

Nie mógł spojrzeć Vastorowi w oczy, nie czując do niego nienawiści.

- Czy dzieci też... - czuł, że słowa pęcznią mu w gardle i wzbierają, by uderzyć w rozmówcę. - Dzieci też oddajecie dżungli?

*Tak to u nas jest - warknięcie Vastora było teraz łagodniejsze, nawet wyrozumiałe. - Myślisz o chłopcu. O tym w bunkrze.*

Mace wciąż nie mógł na niego patrzeć.

- Był więźniem. Bezbronnym.

*Był mordercą nie żołnierzem. Zaatakował bezbronnych.*

- Ty też.

*Ale jeśli ja znajdę się w rękach wroga, mój los będzie jeszcze gorszy. Myślisz, że Balawai ofiarują mi czystą szybką śmierć?*

- Nie mówimy o nich - odparł Mace. - Mówimy o tobie. Vastor tylko wzruszył ramionami.

Nick zauważył ich razem i ironicznie pomachał ręką.

- Właściwie kiepska ze mnie niańka - zawołał. - Czasem tylko bawię się w HoloNecie.

Głos miał wesoły, ale mistrz Jedi potrafił wyraźnie odczytać z jego twarzy, co stanie się z tymi dziećmi po zachodzie słońca. Mace poczuł nagle, że czoło ma zmarszczone aż do bólu.

- Co on tu robi?

Vastor spojrział jakby na wylot przez Nicka, jakby popatrzenie bezpośrednio na niego było dla młodego Koruna niezasłużonym zaszczytem.

*Nie można mu powierzyć prawdziwej pracy.*

- Dlatego, że zostawił mnie, aby uratować przyjaciół? Chalk i Besh to dobrzy wojownicy, weterani. Czy nie są warci odrobiny wysiłku?

*Może są a może nie są. Podobnie jak on.*

- Nie dla mnie - odparł Mace. - Dla mnie wszyscy są ważni. Lor pelek wydawał się rozważać jego słowa przez dłuższą chwilę.

Szedł w milczeniu, prowadząc trawiaka Mace'a.

*Nie wiem, po co Depa chciała cię tu sprowadzić - rzekł w końcu. - Ale nie muszę wiedzieć. Pragnie twojej obecności; to wystarczy. Skoro jesteś dla niej ważny, jesteś ważny dla naszej wojny. O wiele ważniejszy niż kiepski żołnierz Nick Rostu.*

- On wcale nie jest kiepskim żołnierzem.

*Jest słaby. Tchórzliwy. Boi się poświęcenia.*

- Ryzykował swoją misją... życiem... dla przyjaciół. To nie czyni z niego kiepskiego żołnierza - odparł Mace - ale za to pokazuje, że jest dobrym człowiekiem. Lepszym od ciebie - dodał po chwili, bo jakoś nie mógł się powstrzymać.

Vastor spojrział na mistrza Jedi oczami pełnymi dżungli.

*W czym jest lepszy?*

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Nie uważam Vastora za naprawdę złego człowieka. To prawda, emanuje ciemnością... ale tak jest z wszystkimi Korunnai. Jego ciemność to mrok dżungli, a nie ciemność Sithów. Nie żyje po to, aby sprawiać ból i dominować nad wszystkim, co jest w jego zasięgu. Żyje po prostu. Dziko. Naturalnie.



Bez ograniczeń cywilizacyjnych.

Jest mniej człowiekiem niż wcieleniem samej dżungli. Mroczna moc przepływa przez niego, ale jakby go nie dotykała. Ma w sobie tę pierwotną czystość, której mógłbym mu zazdrościć, gdybym nie był Jedi i nie przysięgał wierności światłu.

Czerń składa się z wszystkich kolorów.

Vastor nie tworzy ciemności, jedynie ją wykorzystuje. Jego wewnętrzna ciemność to odbicie ciemności tego świata: on z kolei pogrąża w ciemności wszystko, co go otacza. Ciemność zewnętrzna i wewnętrzna tworzą i wspomagają się wzajemnie, tak samo jak wewnętrzne i zewnętrzne światło. Na tym właśnie polega jedność w Mocy.

Jak powiedziałaaby Depa, nie on rozpoczął tę wojnę. On tylko próbuje ją wygrać.

I oto znalazłem prawdę pod samym nosem: moje instynkty Jedi dokonały skojarzenia poniżej progu mojej świadomości. Vastor. Dżungla. Psy akk i ludzie, z których składało się stado Vastora. Depa. Ciemność tak głęboka, że przypominająca ślepotę. Słowa Nicka: „Dżungla nie składa obietnic. Ona istnieje. Nie dlatego, że dżungla cię zabija. Dlatego że po prostu tak jest”.

No i sama wojna.

Dopiero później, kiedy spędziłem cały dzień, jadąc u boku howdah Depy na pancerzu grzbietowym jej ogromnego ankkoksa, kiedy musiałem schylać się nisko do cienkich jak gaza zasłon, aby pochwycić jej niemal szeptem wypowiedziane słowa, zrozumiałem, dokąd prowadziły mnie moje instynkty.

Chwilami jej głos jest silny i wyraźny, a argumenty oczywiste; jeśli przymknę oczy i udam, że nie czuję kołysania ankkoksa, ukąszeń owadów i ciężkiego kwiatowego odoru dżungli, mógłbym sobie nawet wyobrazić, że siedzimy i gawędzimy nad filiżanką herbaty rek w mojej komnacie medytacji w Świątyni Jedi.

W takich chwilach mówi przerażająco logicznie.

- Wciąż myślisz jak sędzia - powiedziała mi kiedyś. - To twój podstawowy błąd. Wciąż myślisz o wymuszaniu prawa. Przestrzeganiu zasad. Byłeś wspaniałym urzędnikiem czasów pokoju, Mace, ale kiepski z ciebie generał, dlatego tak wiele ofiar ponieśliśmy na Geonosis. Postępowaliśmy jak sędziowie, Geonosjanie zaś już wiedzieli, że jest wojna... dlatego tak niewielu z nas przeżyło.

- A gdybym myślał jak generał, to co bym zrobił? - zapytałem. - Pozwoliłbym umrzeć Obi-Wanowi i Anakinowi?

- Generał - wymruczał cień zza zasłony - spuściłby bombę baradową w sam środek areny.

- Depo, nie mówisz tego poważnie! - oburzyłem się, ale ona mnie nie słuchała.

- Generał wygrałby wojnę - ciągnęła - wygrałby ją za cenę dwóch Jedi, jednej pani senator i kilku

tysięcy wrogów.

- Za cenę wszystkiego, co stanowi o samej istocie Jedi.

- Za to zginęło ponad stu Jedi, a galaktyka jest w stanie wojny. Zginą jeszcze miliony, a kolejne miliony skończą tak jak ten chłopiec, którego zabił Kar: wynaturzeni, źli, wściekli. Zbierz ten milion ciał i powiedz im, że twoja etyka jest ważniejsza od ich życia.

Na to stwierdzenie nawet teraz nie znalazłem natychmiastowej odpowiedzi.

Lecz, jak powiada Yoda: „Istnieją pytania, na które nigdy nie znajdziemy odpowiedzi. Jedyne my możemy być odpowiedzią”.

Teraz już wiem, co to znaczy być strażnikiem pokoju w Galaktyce Wojny.

To nie znaczy zupełnie nic.

Nie ma już pokoju. Wielki Pokój Republiki okazał się jedynie snem, z którego nasza galaktyka właśnie się obudziła. Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze przyśni nam się podobny sen.

W Galaktyce Wojny nikt nie sypia aż tak dobrze.

To zrozumienie przyszło później: w tym momencie jednak, siedząc na grzbiecie trawiaka i patrząc w dół na Kara Vastora, więźniów za naszymi plecami i ankkoksa Depy, który - wciąż niewidoczny - szedł gdzieś na przędzie, doznałem jedynie przebłysku-jakby przecucia masy nieprzetworzonych uczuć i nieuporządkowanych idei.

Instynkt.

W jakiś niewytłumaczalny sposób moje instynkty znów zaczęły działać. Dlatego postanowiłem, że wyślę Vastora samego. Tak samo jak tysiąc razy wysyłałem Depę, kiedy była moim padawanem.

Czy prawdziwa lekcja to ta, której naucza nauczyciel, czy ta, której uczy się uczeń?

O kilka kroków od więźniów Balawai, którzy chwiejnie przedzierali się przez dżunglę, Mace Windu sięgnął do pyska trawiaka i wziął wodze.

- Wystarczy. Zostaw mnie tutaj.

Vastor przystanął, oglądając się przez potężne ramię.

*Depa czeka.*

- Czekala kilka tygodni, poczeka jeszcze kilka godzin. - Po raz pierwszy od czasu bitwy w przełęczy Mace czuł się spokojny. Pewny siebie. Na solidnych podstawach. - Jedźcie dalej beze mnie. Wybiorę się do niej w dogodnym dla mnie momencie.

*Posłała po ciebie. Nie wolno jej lekceważyć.*

Vastor odwrócił się i pociągnął za wodze, ale Mace trzymał je w garści, a to znaczyło, że równie dobrze mogły być przyśrubowane do klifu.

Oczy Vastora błyszczały niejasną groźbą. Błyskawica drzemiącej za horyzontem burzy.

*Pożałujesz tego.*

- Jestem mistrzem Jedi, członkiem starszyny Rady Jedi - cierpliwie odparł Mace. - Jestem generałem Wielkiej Armii Republiki. Po mnie się nie posyła. Jeśli chce mnie zobaczyć, spotkam się z nią na trakcie pełzaków przed zmrokiem.

Błyskawice w oczach lor peleka były coraz bliżej.

*Obiecałem, że cię dostarczę.*

Mace spojrzał na niego dokładnie takim samym wzrokiem.

- Śmieszne, prawie to samo powiedział mi Nick. On też nie miał więcej szczęścia.

*Moje rozkazy...*

- .. są twoim problemem. - Mace wypuścił wodze i rozłożył szeroko ręce. Znieruchomiał, całkowicie odprężony, absolutnie spokojny, jeśli nie liczyć syku Mocy, która iskrzyła jak elektryczność z dwóch uchwytów mieczy świetlnych w jego dłoni. - Chyba że życzysz sobie, by stały się naszym problemem. Możesz to zrobić w tej chwili, jeśli chcesz.

Vastor również wypuścił wodze z dłoni. Odstąpił od trawiaka i odwrócił się, aby spojrzeć mistrzowi Jedi prosto w twarz. Potężne ramiona napięły się, mięśnie na piersi zeszywniały jak trawione kwasem. Powietrze drżało wokół niego jak miraż; gniew uderzał w Mace'a w Mocy niczym gorący wiatr.

*Pójdiesz ze mną.*

-Nie.

Mroczna siła chwyciła wolę Mace'a.

*Pójdiesz ze mną.*

Powoli, niechętnie Mace zsunął się z siodła i zrobił dwa kroki w kierunku Vastora.

I przystanął.

- Nie mam już ochoty na twoje towarzystwo - rzekł mistrz Jedi. - Odejdź teraz i nie wracaj do mnie bez Depy.

Vastor wytrzeszczył oczy. Usta mu drgały, ale się nie odezwał.

- Ty i ja nie powinniśmy przebywać razem. Możemy się pobić. Ściągną na szyi Vastora skurczyły się, ściągając mu głowę w dół.

Wargi ukazywały spiłowane na ostro zęby.

*Nie chcę z tobą walczyć, doshalo.* - Pomimo wściekłości, emanującej z niego poprzez Moc, głos Vastora był cichy i łagodny. - *Depa będzie wściekła, jeśli zginiesz.*

- No to może lepiej idź swoją drogą - rozsądnie zaproponował Mace. - Pewnie nie chcesz rozgniewać Depy, co?

Widocznie rzeczywiście nie chciał; jego warczenie przerodziło się w syk gniewu.

*A co mam jej powiedzieć? Co tu będziesz robił?*

- Nic, z czego musiałbym się tłumaczyć przed tobą. - Mace odwrócił się do trawiaka i znów chwycił za wodze. - Jeśli Depa będzie miała jakieś pytania może mi je zadać sama.

Udawał, że manipuluje wędzidłem, ale w istocie poświęcił całą uwagę rozjarzonemu do białości spojrzeniu Vastora, które wwiercało mu się pomiędzy łopatki. Stał spokojny, zrównoważony, gotów zrobić unik w dowolnym kierunku, gdyby lor pelek postanowił skoczyć mu na plecy.

Usłyszał jednak tylko syk i warknięcie, a potem kilka krótkich, przenikliwych pisków. Vastor powiedział coś do strażników akków, którzy pilnowali więźniów. Obrzucił Mace'a ostatnim spojrzeniem, które ten odczuł jak dotknięcie skupionych przez lupę promieni słonecznych, po czym odwrócił się plecami i pogрузzył w dżungli, aby dołączyć do czoła kolumny.

Mace spoglądał w ślad za nim z satysfakcją. To tyle, jeśli chodzi o serdeczne przyjęcie, pomyślał.

Strażnik akków, z którym rozmawiał Vastor, popatrzył koso na Mace'a; to samo zrobiły trzy najbliższe akki. Mace zignorował to. Strażnik oddalił się sztywno w poszukiwaniu partnera i pozostałych akków. Mace pochwycił spojrzenie Nicka Rostu i skinął dłonią. Nick przekazał trawiaka dzieci jednemu z Balawai i podbiegł do mistrza Jedi, nie spuszczając jednak oka z odchodzącego strażnika.

- No, no. Mam dreszcze, jak patrzę na tych gości. Zdaje się, że przez chwilę było gorąco, Mistrzu Windu. Co ci powiedział ten wielki facet?

- Masz, potrzyj - rzekł Mace i podał Nickowi wodze. - Ile usłyszałeś?

- Trochę z tego, co mówiłeś. Masz jaja, nie powiem. - Nick podrapał trawiaka po szyi. - Ale Vastor... nie wiem, czy zauważyłeś... możesz go zrozumieć tylko wtedy, kiedy mówi do ciebie. Kiedy zwraca się do kogoś innego, zawsze brzmi to tak, jakby warczał, gwizdał albo wydawał inne zwierzęce odgłosy.

- Tak, zauważyłem coś takiego - powoli odpowiedział Mace, skłaniając głowę. Ale myślałem, że to tylko ja. Tam, w osadzie... wszystko było bardzo dziwne.

- Dlatego właśnie wydaje ci się, że rozmawiasz z samym sobą czujesz to? W mojej głowie on gada jak ulicznik z Pelek Baw. Co ci powiedział?

- Próbował wyrzucić na mnie wrażenie swoim poczuciem obowiązku - odparł Mace oschle.

- I co teraz? Nie spławiłeś chyba jednego z najniebezpieczniejszych ludzi na wyżynie Korunnal po to tylko, żeby sobie pogawędzić z prezesem Agencji Nianiek w Dżungli Rostu? Musisz teraz coś zrobić.

Mace skinął głową.

- Musimy to zrobić razem. Wsiadaj. Zaprowadzisz tych więźniów na trakt pełzaków, aby milicja mogła ich odnaleźć i zabrać.

Nickowi opadła szczęka.

- My... ja? Dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ dałem słowo mistrza Jedi, że jeśli się poddadzą ochronię ich, żeby nikt nie zrobił im krzywdy. Nie chcę wyjść na kłamcę.

- A co twoje słowo ma wspólnego ze mną?

- Nic a nic - odparł Mace. - Na pewno spodoba ci się pomysł, żeby lianokot wypruł flaki z Keeli. A jeśli chodzi o Pell... jak ci się podoba śmierć głodowa w objęciach chwytanych lian albo jej oczy wygryzione przez jacuny?

Nick zrobił taką minę, jakby miał z wymiotować.

- Wyobraź sobie, że chłopcy zostaną rozdarci przez kłaki lub rozszarpani przez brązowin. Może będą mieli szczęście i wpadną do dołu śmierci. Przynajmniej tu umrą stosunkowo szybko, z płucami trawionymi przez żrące opary i twarzą przeżartą własnymi łzami, palącymi jak kwas...

Młody Korun odwrócił wzrok.

- Wiesz, co ze mną zrobią Kar i Depa?

- Ty znasz rejon. Jeśli ja ich poprowadzę, wszyscy razem zgubimy się w dżungli. Wsiadaj i to już.

Nick prychnął.

-No, no, wciąż łatwo nam przychodzi wydawać rozkazy, co? A jeśli ja zwyczajnie nie chcę? A jeśli podoba mi się myślenie o tym wszystkim? Jeśli chcę, żeby ci ludzie zginęli? Co wtedy?

Mace znieruchomiał. Odwrócił wzrok i zapatrzył się w dżunglę, a oczy wypełnił mu jej mrok.

- Wtedy stłukę cię do nieprzytomności - odparł łagodnie. - I poproszę kogoś innego.

Spojrzał na Nicka, który przełknął ślinę.

- Nie będę powtarzał - rzekł Mace. Nick wszedł.

- Kar Vastor - powiedział mistrz Jedi, znów wpatrując się w dżunglę, tym razem w kierunku, w którym oddalił się lor pelek - nie jest najniebezpieczniejszym człowiekiem na wyżynie Korunnal.

Nick pokręcił głową.

- Mówisz tak, bo go nie znasz.

- Mówię tak - odparł Mace Windu - bo to on nie zna mnie.

Więźniowie wlekli się w beładnych grupkach, podtrzymując się wzajemnie i nerwowo zerkając na krążące akki. Mace przeciskał się ku nim przez splątane zarośla. Nick deptał mu po piętach na trawiaku.

- Czy ja czegoś nie przegapiłem? - Nick pochylił się, żeby móc mówić cicho, zahaczony jednym ramieniem o grubą szyć trawiaka. - O ile pamiętam, zeszłej nocy te ruskakki próbowały przyrządzić sobie pieczeń z Windu.

- Myślę o *tan pel'trokal* - mruknął Mace. - Tobie się to podoba?

- Jasne. - Mace obejrzał się na trawiaka, którego dosiadały dzieci. - Cóż, powiedzmy, że w pewnym sensie... - Oczy zwęziły mu się i nabrały cynicznego wyrazu. - Nie tak dawno temu Kar zabijał ich wszystkich bez wyjątku. Nie mogliśmy sobie pozwolić na ich karmienie. Co innego mieliśmy zrobić? To Depa wymyśliła sprawiedliwość dżungli.

- Naprawdę?

- To ma sporo sensu, no nie? Gdyby Balawai myśleli, że i tak ich zabijemy, po co mieliby się poddawać? Każdy z nich powinien walczyć na śmierć i życie. Ale to się robi kosztowne, więc zamiast tego oddajemy ich dżungli. Przynajmniej mają jakieś szanse.

- Ilu z nich przeżywa?

- Część.

- Połowa? Jedna czwarta? Jeden na stu?

- A skąd ja mam wiedzieć? - wzruszył ramionami Nick. - Czy to robi jakąś różnicę?

- Mnie nie - odparł Mace Windu.

Nick przymknął oczy i oparł głowę o ucho trawiaka, jakby był bardzo zmęczony albo obolały.

- Odbiło ci, co? - rzekł wreszcie. - Straciłeś rozum doszczętnie. Mace przystanął. Na jego czole ukazała się pionowa zmarszczka.

- Nie. Właściwie to wręcz przeciwnie.

- A co to ma znaczyć? Ale Mace już odszedł.

Nick zmełł w ustach przekleństwo pod adresem wszystkich pieprzonych Jedi i pociągnął za sobą

trawiaka.

Kiedy więźniowie ich zauważyli, na powitanie odezwał się jakiś męski głos:

- To Jedi... Nie, inny. Ten prawdziwy.

Mace pomyślał, że głos może należeć do mężczyzny, który rozmawiał z nim dziś rano w pełzaku; tego o szarej twarzy, z raną na piersi i bez ręki, tego, który nie wierzył słowu Jedi.

Mace wolał nie pytać, co tamten rozumie przez słowa „prawdziwy Jedi”.

Kilku więźniów skupiło się wokół niego, wyglądając ubranie; patrzyli z niepewną nadzieją. Chwiali się na nogach ze zmęczenia i opierali o wielkie szare pnie; w końcu wszyscy przysiedli tam, gdzie stali. Niektórzy musieli chwycić liany, żeby powoli opuścić się na ziemię.

Dwaj strażnicy akków przyglądali się Mace'owi z dołu zbocza z nieukrywaną wrogością. Z sześciu akków wyznaczonych do pilnowania więźniów dwa smętnie przycupnęły opodal.

Trawiaka dzieci prowadził człowiek, którego Mace rozpoznał jako ojca Urno i Nykla. Jedynym czystym miejscem na jego pokrytej kurzem i krwią twarzy były dwa kanaliki od kącików oczu po podbródek, wyłobione przez łzy. Wypuścił wodze z dłoni i rzucił się Mace'owi do stóp.

- Proszę, błagam... Wasza Miłość.... Wasza Wysokość... - szlochał, zaryty twarzą w ściółce. - Panie, nie pozwól im zabić moich chłopców. Zróbcie ze mną, co chcecie... zasługuję na wszystko, wiem, żałuję moich czynów, ale moi chłopcy... to nie ich wina, oni nic nie zrobili... proszę, nie... Nigdy przedtem nie spotkałem Jedi... Nie wiem nawet, jak powinienem pana nazywać...

- Wstań - poważnie rzekł Mace. - Przed Jedi się nie klęka. Nie jesteśmy waszymi panami, lecz sługami. Wstań.

Zdumiony mężczyzna powoli dźwignął się na nogi. Grzbietem dłoni rozsmarował sobie błoto pod nosem.

- W porządku - rzekł. - Dobrze. Cokolwiek mnie czeka... przyjmę to jak mężczyzna... ale moi chłopcy...

- Czeka cię życie, a może nawet wolność. Mężczyzna zamrugał, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Wasza Miłość?

- Nazywaj mnie Mistrzem Windu. - Mace wyminął go i rozpostarł ramiona, wzywając do siebie wszystkich więźniów. - Zbierzcie się wokół mnie. Musicie trzymać się blisko siebie. Nie będzie nas dość dużo, żeby szukać maruderów.

- Proszę pana... - odezwała się Keela, gdy trawiak dzieci zbliżył się do grupy. Okręciła się w dolnym siodle, żeby spojrzeć na Mace'a wilgotnymi, zaczerwienionymi oczami. - Proszę pana, co oni z nami robią? Gdzie moja mamusia? Pozwolisz im wypędzić nas do dżungli?



Mace spojrział w jej zamglone od łez oczy.

- Nie. Odeślę was do miasta. Wracacie do domu. Wszyscy.

- Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać - mruknął Nick.

- Nigdy tego nie robię.

- Myślisz, że Kar i ci strażnicy akków na dole nie będą mieli w tej sprawie nic do powiedzenia?

- Ich opinię już znam, ale mam również swoją.

- *Tan pel'trokal...*

- Dla mnie to nic nie znaczy - odparł Mace. - Nic mnie nie obchodzi sprawiedliwość dżungli. Moją sprawiedliwością jest sprawiedliwość Jedi. I dopilnuję, aby się dokonała.

- Sprawiedliwość Jedi, niech mnie piorun strzeli w zadek. Wciąż jeszcze nic nie kumasz? Jedi nic tu nie znaczą i tyle...

- Zasady już rozumiem. Sam mi je wyłożyłeś. Potem Kar Vastor wyjaśnił mi, co one znaczą. A teraz zaczynam grać.

- Właśnie - podkreślił Nick. - Teraz jesteś w dżungli. Tu nie ma zasad.

- Ależ oczywiście, że są. Nie bądź durniem. Mace zamrugał.

- Żartujesz, no nie? Jaja sobie robisz?

- Stój tu i patrz - polecił mu Mace, kierując się w stronę strażników. - A potem mi powiesz, co sądzisz o moim poczuciu humoru.

Ten sam strażnik akków, którego Mace kopnął, teraz ruszył, aby zagrozić drogę mistrzowi Jedi. Opuchlizna, którą pięść Vastora pozostawiła na twarzy strażnika, stała się purpurowo-czarna, jak nabrznięte chmury nad ich głowami, a mięśnie napięły mu się niczym bloki durabetonu pod skórą nagiej klatki piersiowej.

- Dokąd to, Windu?

Mace musiał odchylić głowę w tył, żeby spojrzeć Korunowi w oczy.

- Nie znam twojego nazwiska.

- Możesz mnie nazywać...

- Ja cię o nazwisko nie pytam - przerwał mu Mace. - Po prostu go nie znam. I nie potrzebuję. Zejdź mi z drogi.

Oczy strażnika wyrażały oburzenie i coś więcej niż wściekłość.

- Zejść tobie z drogi, mały Jedi?

- Zabieram więźniów na trakt pełzaków. - Mace wskazał głową ogólny kierunek. - Mogę przejść obok ciebie albo po tobie. Twój wybór.

- Po mnie? Przelecieć chyba, ty! - Wibrotarcze przypięte do ramion strażnika ożyły z szumem. - Wyciągnij tę swoją zabawkę, mały Jedi. No, już. Wyciągaj.

- Mój miecz świetlny? A niby po co? - Mace podniósł palec i po-stukał się w czoło. — Tylko tej broni potrzebuję.

- Tak? - strażnik zarechotał. - A co, zamyślisz mnie na śmierć?

- Nic nie rozumiesz - mruknął Mace i zamiast wyjaśnienia rozpląszczył Korunowi nos solidnym bykiem.

Strażnik chwiejnie odskoczył w tył. Mace ruszył za nim z doskonałą synchronizacją, jak w tańcu, wczepiając się w masywne bicepsy tamtego. Kiedy Korun zaczął odzyskiwać równowagę, jego głowa automatycznie poleciała do przodu. Mace szarpnął go za ramiona, waląc kolejnym bykiem, który wylądował na podbródku strażnika z trzaskiem głośnym jak pękająca skała.

Mace cofnął się o krok i pozwolił, aby półprzytomny przeciwnik upadł. Drugi strażnik warknął i rzucił się na Mace'a od tyłu, ale zamiast wylądować u celu, stwierdził, że patrzy na roboczy koniec syczącego amarantowego miecza świetlnego.

- On żyje - spokojnie oznajmił Mace. - Ty też. Na razie. Wy żalosne nerfy, niech jeszcze jeden choćby kiwnie na mnie palcem, zginie. Rozumiesz?

Korun przyglądał mu się z morderczym wyrazem twarzy.

- Odpowiedz! - wrzasnął Mace.

Warknął groźnie i rzucił miecz świetlny na ziemię do stóp Koruna. Szybciej niż oko mogło zarejestrować, jego ramię wyskoczyło naprzód, kciuk zatopił się w policzku Koruna, a reszta palców wbiła się pod staw żuchwy. Mace przyciągnął strażnika do siebie, a w oczach miał prawdziwą, niepohamowaną wściekłość.

- Rozumiesz mnie?

Usta Koruna poruszyły się bezdźwięcznie. Mace ryknął mu prosto w twarz:

- Chcesz umrzeć? Chcesz zdechnąć tu i teraz? No, rusz się! Rusz się tylko, a zginiesz!

Przerażony i zdumiony Korun zamrugał tylko i wymamrotał coś, próbując pokręcić głową. Mace pchnął jego twarz z pogardą; strażnik poleciał w tył i usiadł na ziemi. Mace otworzył pustą dłoń i

miecz świetlny wskoczył do niej z lekkim kłaśnięciem. Umieścił go na powrót w kieszeni kurtki.

- Nigdy nie wchodź mi w drogę - ostrzegł, a jego głos znów był spokojny i lodowaty. - Nigdy.

Dwa psy akk wstały i warczały jak nadciągające chmury burzowe, jeżąc kolce na opancerzonych grzbietach.

Mace spojrział na nie.

Najpierw jeden, potem drugi opuściły łby i położyły kolce. Podkuliły ogony pod siebie i cofnęły się z drogi.

Mace zerknął w górę, gdzie Nick stał i gapił się w niemym zdumieniu. Jeńcy skulili się jeszcze bardziej, żaden nie miał odwagi nawiązać kontaktu wzrokowego. Mistrz Jedi skinął dłonią.

Zanim Nick i trawiak, który niósł dzieci, zeszli na dół, nieprzytomny strażnik akków zaczął się ruszać. Kiedy jednak otworzył oczy i zauważył, że Mace wciąż nad nim stoi, uznał, że woli pozostać na ziemi.

-No dobra, przyznaję, to było całkiem zabawne - zauważył Nick, wymijając strażników i psy. - Ale i trochę straszne: nigdy wcześniej nie widziałem cię wściekłego.

- I dalej tak jest - miękko odparł Mace. - Pamiętasz zasady dżungli, o których mówiłem? Właśnie widziałeś jedną w praktyce.

- A co to za zasada?

- Kiedy idzie wielki pies - rzekł mistrz Jedi Mace Windu - małe pieski schodzą mu z drogi.

Lodowaty deszcz przenikał przez korony drzew, grzmoty przetaczały się jak silniki turbodrzutowe przelatujących kanonierek. Choć dzień zaledwie dobiegał południa, burza otuliła dżunglę półmrokiem wczesnego zmierzchu. Mace szedł kilka kroków za zmęczonym trawiakiem Nicka. Krople deszczu padały mu na głowę, zimny strumyczek spływał po plecach. W miejscach, gdzie spleśniałe liście odsłaniały nagą ziemię, błoto zasysało mu buty za każdym krokiem. Nieraz zapadał się tak głęboko, że czarna maź przelewała mu się przez cholewki. Szedł przed siebie tylko dlatego, że czerpał siły z Mocy.

Nie mógł sobie wyobrazić, jak muszą się czuć poranieni więźniowie.

Od czasu do czasu przez warstwy listowia i pnączy przebijały się bryły gradu i trafiały kogoś w głowę lub ramię. Zanim dotarły na dół, topniały do rozmiaru połowy pięści Mace'a; były za małe, aby stanowić niebezpieczeństwo, lecz dość duże, aby pozostawić na skórze piekące zadrapania. Więźniowie Balawai zbierali te, które spadły blisko, ssąc je, aż stopniały w ustach. Po lekkim przetarciu grad stanowił bodaj najczystsze źródło wody, jakie mieli szansę znaleźć - prawie się w nim nie wyczuwało smaku dymu i gazów wulkanicznych.

Mace poczuł nagle w Mocy gorące, gniewne ukłucie zbliżającego się psa. W chwilę potem poczuł

dotknięcie na prawej łopacie. Wyciągnął rękę i szarpnął Nicka za kostkę.

- Prowadź ich dalej - polecił, przekrzykując szum deszczu. - Zaraz wracam.

O kilka kroków od trasy ich marszu, w zamglonym deszczem mroku pojawił się cień mężczyzny. Mace ruszył ku niemu, klucząc pomiędzy drzewami i odsuwając gestem dłoni zwisające pnącza. Zobaczył posiniaczonego strażnika akków, który szedł w jego kierunku, niosąc jednego z Balawai. Za jego plecami majaczyła potężna sylwetka akka, którego Mace wyczuł wcześniej.

- Upadł, ten tutaj. Myślę ja, że jest gorączkujący. - Strażnik postawił Balawai na nogi. Był to ranny mężczyzna bez ręki. - Lepiej daj mu kogoś do towarzystwa, ty.

Mace skinął głową i zarzucił sobie na barki zdrowe ramię rannego.

- Dziękuję, zajmę się nim. - Balawai spojrzał na niego, wyraźnie nie rozpoznając.

Strażnik zmarszczył brwi.

- Zabije was za to Kar, wiesz to, ty?

- Doceniam twoją troskliwość.

- Nie troska. Tylko mówię. To wszystko.

- Dziękuję.

Strażnik jeszcze chwilę stał, po czym starannie wzruszył ramionami, odwrócił się i znów znikł w półmroku.

Mace spoglądał za nim w zadumie. Dwaj strażnicy akków nie byli łatwi we współpracy. Przed wymarszem Mace powierzył Balawai Nickowi, który usiłował doprowadzić ich do jakiegoś takiego porządku, zaś sam powędrował na górę, gdzie jeden ze strażników stał i gapił się na niego, a drugi, ten, którego powalił, siedział jeszcze na ziemi i masował nos.

Mace przykucnął przy nim.

- Jak twoja twarz? - zapytał poważnie. Głos strażnika był stłumiony przez dłonie.

- Co obchodzi ciebie?

- To żadna hańba przegrać z Jedi - wyjaśnił Mace. - Daj, zobaczę. Kiedy zdumiony strażnik odsunął ręce od twarzy, Mace dotknął jej po obu stronach jego nosa i jednym silnym skrętem ustawił kości prosto. Nagły i ostry ból wyrwał z ust Koruna westchnienie, ale trwało to tak krótko, że nie było czasu na krzyk. Po chwili już tylko mrugał ze zdumienia.

- Hej... hej, naprawdę lepiej jest. Jak ty...

- Przepraszam, że straciłem cierpliwość - rzekł Mace i wstał, aby jego słowa usłyszał również drugi strażnik. - Ale nie potrafię cofnąć się przed wyzwaniem. Rozumiecie chyba.

Obaj Korunnai wymienili spojrzenia i niechętnie przytaknęli, zgodnie z resztą z tym, czego Mace się spodziewał. Vastor wyszkolił ich jak psy i jak u każdego psa, jedyną odpowiedzią na kopniak, po którym następowało pogłaskanie po łbie, odpowiadali merdaniem ogona w nadziei, że to już koniec.

- Wygląda, że obaj jesteście silni - rzekł Mace. - Mocni wojownicy. Dlatego tak mocno was zaatakowałem. Z szacunku. Jesteście dla mnie zbyt niebezpieczni, żebym miał z wami igrać.

Korun ze złamanym nosem odezwał się łaskawym tonem:

- Masz byka jak taran i łeb jak kamień, ty. - Zachichotał, zezując, żeby sobie obejrzeć zakrwawioną opuchliznę pośrodku twarzy. - Najlepszy, jakiego widziałem.

Drugi strażnik nie zdzierzył i wtrącił:

- A ten chwyt na twarzy... czy to sztuka Jedi była? Nigdy wcześniej nie widziałem ja. Może nauczysz mnie, ty?

Mace nie miał czasu na uprzejmości.

- Słuchajcie, wiem, że zabranie więźniów narobi nam kłopotów z Karem. I wiem, że będziecie mieli kłopoty, bo ich wypuściliście. Dlaczego nie mielibyście zostać z nami? Weźcie psy. Pilnujcie Balawai, żeby się nie rozłazili i żeby żaden się nie zgubił. To nie jest tak, że Kar nie wie, dokąd idziemy. Powiedziałem mu to osobiście. A jeśli pójdziecie z nami, nie będzie mu trudno nas znaleźć. Jasne? Znowu wymienili spojrzenia, znowu pokiwali głowami.

- Jeśli Kar zechce zabrać więźniów, może ich wziąć sobie sam. Jak mógłby was winić, skoro to on się boi tu przyjść?

Dla ciemnego Koruna ta logika była bez zarzutu.

- Jasne - radośnie odezwał się posiniaczony. - Słusznie. Myśli, że jesteś szczeniakiem w skórze lianokota, on? Niech cię pociągnie za ogon. Szybko się przekonają myślę.

I tak Mace Windu wszedł w posiadanie pary koruńskich pasterzy dla swojego stadka Balawai.

Potem zapewnił sobie pomoc Nicka podobną techniką. Wkrótce mieli skręcić w bok od kolumny GFW, więc Mace przystanął w zadumie obok trawiaka Nicka.

- Nick - zaczął. - Chyba będę potrzebował adiutanta. Młody Korun spojrział z góry i zmrużył podejrzliwie oczy.

- Adiutanta? A po co?

- Tak jak radziłeś, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Pelek Baw. Potrzebuję kogoś, kto mnie

dopilnuje, doradzi, te rzeczy...

- Chcesz rady? Kichaj na tych pieprzonych Balawai i zanieś swój mistrzowski zadek z powrotem do kolumny. Pogódź się z Karem i Depą, zanim zrobią z ciebie zrazy. Jeszcze jakieś rady? Nie pękaj, pytaj.

- Właśnie to robię.

- Słucham?

- Potrzebuję kogoś, kto wie, co i jak się tutaj odbywa. Kogoś, komu mogę zaufać.

Nick prychnął,

- Pieprzone szczęście. Ja bym tu nikomu nie ufał...

- Toteż nie ufam - odparł Mace. - Z wyjątkiem ciebie.

- Mnie? - zdziwił się Nick i pokręcił głową. - Naprawdę ci odbiło. Nie słyszałeś? Jestem najmniej godnym zaufania facetem w GFW. Taki słaby tchórz, kapujesz? Bezużyteczny dupek, który nawet nie potrafił cię tu przywieźć z Pelek Baw i nie pokpić sprawy... a teraz znowu pokpiłem, bo powinienem był się wyłgać z tej durnowatej Parady Wolności dla Balawai...

- Jesteś jedynym godnym zaufania facetem, jakiego spotkałem w Haruun Kal - powiedział Mace stanowczo. - Jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać, że zrobi to, co należy.

- Oj, bo przewrócę się ze szczęścia. Patrz, gdzie mnie to zawiodło.

- Zawiodło cię do miejsca, gdzie możesz zostać członkiem osobistego sztabu generała Wielkiej Armii Republiki.

- Tak? - Nick wyraźnie się ożywił. — A ile płacą?

- Nic - przyznał Mace i Nick posmutniał wyraźnie, ale mistrz Jedi ciągnął: - Ale jeśli kiedy wyjadę z tej planety, sztab zabieram ze sobą.

Oczy Nicka jakby trochę pojaśniały.

- Może nawet w randze oficerskiej, dajmy na to majora? A kiedy będę na Coruscant, potrzebny mi będzie instruktor sztabowy do szkolenia oficerów w taktyce partyzanckiej. Kilka miesięcy jako konsultant prowadzenia działań wojennych w dżungli i w mieście afiliowany przy Świątyni Jedi. To powinno zrobić z ciebie całkiem niezły kąsek dla dowódców wojsk najemnych. Może nawet dostaniesz własną kompanię? Nie tego byś chciał? A może pomyliłem cię z jakimś innym Korunem, którego najskrytszym marzeniem były podróże po galaktyce w charakterze najemnika?

- Założę się o wszystkie słodkie... to znaczy nie, proszę pana, generale. Major Rostu na usługi pana generała. Eee... jest może jakaś przysięga, czy coś takiego?

- Właściwie nie przyszło mi to do głowy - przyznał Mace. - Nigdy dotąd nie zaciągałem nikogo do Wielkiej Armii Republiki.

- Chyba muszę podnieść rękę, no nie? Mace w zadumie pokiwał głową.

- Połóż lewą dłoń na sercu, prawą podnieś i stań na baczność. Nick spełnił polecenie.

- To jest... no wiesz, dziwnie się z tym czuję...

- Nie można tego traktować lekko. Moc jest świadkiem takich przysiąg.

- Pewnie - przełknął ślinę Nick. - Dobrze, jestem gotów.

- Przysięgasz uroczyście służyć Republice myślą, słowem i czynami, bronić jej obywateli, odpierać jej wrogów i strzec jej sprawiedliwości całym swoim sercem, siłą i umysłem? Przysięgasz porzucić wszelkie inne zależności, słuchać zgodnych z prawem rozkazów starszych oficerów, przenosić najwyższe ideały Republiki, a nadto w każdej chwili zachowywać się ku chwale Republiki jak jej oficer, przy świadectwie, wsparciu i w wierze w Moc?

Całkiem niezłe to zabrzmiało, pomyślał Mace. Powinienem to chyba zapisać.

Nick zamrugnął w milczeniu. Miał szklane spojrzenie i oblizywał nerwowo wargi.

Mace pochylił się ku niemu.

- Nick, powiedz „tak”.

- Eee... chyba tak - rzekł takim tonem, jakby właśnie dowiedział się o sobie czegoś dziwnego. — To znaczy: tak.

- Baczność. Zasalutuj.

Nick strzelił obcasami w bardzo wiarygodny sposób, choć wciąż wydawał się cokolwiek oszołomiony.

- Hej... hej, coś czuję... w Mocy... -jego lekkie zaskoczenie ustąpiło miejsca kompletnie czystemu zdumieniu. - Ciebie.

- Żołnierz w pozycji na baczność się nie odzywa, jeśli nie odpowiada na bezpośrednie pytanie, jasne?

- Tak, panie generale.

- To, co czujesz, to nasza nowa więź. Rozbrzmiewa ona w Mocy, podobnie jak więź między akkiem a jego człowiekiem.

- To znaczy, że jestem teraz twoim psem, tak? -Nick!

- Racja, racja, stul dziób. Wiem... eee... generale.

- Spocznij, majorze - rzekł Mace, kiedy wreszcie odpowiedział na salut młodzieńca. - Wyprowadź ich.

Teraz, kiedy strażnik akków znikł za kurtyną deszczu, Mace przeniósł rannego Balawai do grupy zmęczonych więźniów. Nie mógł wśród nich znaleźć ani jednego, który wyglądał na dość silnego, aby unieść ciężar tego człowieka przez wystające korzenie i błoto głębokie do pół łydki, więc tylko wzruszył ramionami i dołączył do reszty, nie zdejmując ramienia rannego z własnej szyi.

Ze spuszczoneymi głowami, z plecami zgarbionymi pod lodowatą ulewą, ruszyli przed siebie.

Wyszli spod drzew na niewielkim wzniesieniu, które kończyło się nagim klifem. Dżungla otaczała jego podstawę sto metrów niżej. Szli w poprzek długiego zbocza, kierując się na dno kanionu. Pół klika za nimi z urwiska spadała cienka strużka wody; druga ściana kanionu mieniła się feerią zieleni, fioletoów i jaskrawej czerwieni, która zasłaniała pół nieba. Burzę częściowo zostawili za sobą. Mace i Nick wyszli na otwartą przestrzeń i w niedalekiej odległości, u wylotu kanionu, trochę ponad klik przed nimi, ujrzeli - lśniący od popołudniowego słońca rzucającego czerwone, ukośne promienie z krystalicznie czystego nieba - szeroki, łagodnie zakręcający szarą wstęgą trakt pełzaków.

Mace i Nick szli pieszo. Do siodła trawiaka przywiązali gorączkującego Balawai.

- Jest - odezwał się Nick posępnie. — Ładny, nie?

- Tak. Ładny. - Mace okrążył trawiaka. - Szkoda, że nam się nie udało.

Każda istota wrażliwa na Moc wyczułaby zagrożenie, które znajdowało się na ich drodze. Dla Mace'a było ono niczym wstęga pożaru lasu, przedzierająca się przez drzewa. Nie widział jeszcze nic, ale wiedział, że to Vastor. Jakiegokolwiek siły sprowadził sobie na pomoc, zamykały teraz drogę do kanionu.

Nick skinął głową. Zdjął z ramienia rusznicę, sprawdził zabezpieczenie i przeładował ją.

- Nie mogliśmy iść szybciej. - Zerknął na Balawai, którzy właśnie wynurzali się z zarośli. Pokręcił głową. - Wystarczyłaby godzina. Tylko tyle. Jedna godzina i już by nas tu nie było.

- Co się dzieje? - Ojciec chłopców podszedł do nich na skraj klifu. - Czy to już trakt? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Strażnik akków z posiniaczoną twarzą wyszedł spod osłony drzew. Sześć psów i drugi strażnik ustawili się za więźniami. Skinął głową w kierunku zagrożenia, które wyczuwali chyba wszyscy, oprócz trawiaków i Balawai.

- Ale pech, co? Mówiłem ja, że Kar się zjawi.

- Wiem. - Mace skrzyżował ramiona na piersi. - Nie warto nawet marzyć, żeby zostawił nas w spokoju. - Odwrócił się do strażnika. - Możesz do niego iść, jeśli chcesz.



- Może i tak. Pójdziemy. - Korun odzyskał część swej dawnej buty. Nadał się i spojrzął na Mace'a z druzgocącą pogardą. Byłby nawet przekonujący, gdyby nie trzymał się poza zasięgiem ramienia Jedi.  
- Nie idziesz nigdzie, co, ty?

Mace spojrzął na Nicka. Nick boleśnie wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że nie - odparł Mace.

Grupki zmęczonych Balawai rozdzieliły się, aby przepuścić odchodzącego strażnika. Dołączył do kolegi i obaj razem z psami zniknęli w kępie drzew poza zasięgiem popołudniowego słońca.

Nick bawił się rusznicą.

- Myślisz, że naprawdę wrócą do Kara?

- Wcale nie - sucho odparł Mace. - Wrócą na górę, żeby nam odciąć drogę ucieczki.

- Niespecjalnie mi się to podoba. A co my zrobimy?

- Ty mi to powiedz, majorze.

Nick zamrugał.

- Żartujesz sobie.

- Wcale nie. Biorąc pod uwagę nasze warunki zwycięstwa, to znaczy uratowanie możliwie jak największej liczby ludzkich istnień... co powinniśmy uczynić?

- Nie wierzę, że mnie o to pytasz.

- Pytam ciebie nie o to, co zrobimy - odparł cierpliwie Mace - ale co powinniśmy zrobić. Ujmijmy to trochę inaczej. Co powinniśmy zrobić zdaniem Kara?

- No cóż... - Nick obejrzał się na ścieżkę, potem jeszcze raz popatrzył w kierunku wylotu kanionu i na trakt pełzaków. - Powinniśmy się rozdzielić. Jeśli będziemy trzymać się razem, wszyscy zostaniemy schwytani... albo przez Kara, albo przez strażników i GFW za nami. Jeśli więźniowie się rozproszą, część z nich może się wysliznąć, zanim Kar załatwi resztę.

- Właśnie. - Mace wskazał palcem na ojca chłopców. - Ty. Wyprowadź resztę spośród drzew. Chcę, żebyście wszyscy znaleźli się na skale. Na klęczkach, z rękami na głowach.

- Oszalałeś? - jęknął Balawai.

- Wiesz, ja ciągle go o to pytam - westchnął Nick. - Jakoś nigdy jeszcze nie odpowiedział mi wprost.

Mace skrzyżował ramiona na piersi.

- Wszyscy ci, którzy nie chcą zrobić tego, co mówię, mogą spokojnie próbować szczęścia z dżunglą i GFW.

Mężczyzna odwrócił się i odszedł, kręcąc głową.

- A co my zrobimy? - zapytał Nick.

- Coś innego.

- Wiem, że gdybyś nie powiedział Karowi o szlaku pełzaków, nie byłoby go tutaj.

- Tak, wyminąłby nas w dżungli, a wtedy bylibyśmy bez szans.

- Czeka, czeka... chyba mam. - Na twarzy Nicka pojawiło się zrozumienie.

Mace skinął głową.

- Pod drzewami więźniowie natychmiast by się rozbiegli. Niektórym nawet udało się uciec, tak jak mówisz. On się tego spodziewa, tak samo jak ty. Z tego punktu widzenia jest to ruch oczywisty: niech kilku umrze, aby uratować resztę. Spodziewałem się, że Kar spróbuje takiej właśnie taktyki: znaleźć miejsce, gdzie można nas będzie wciągnąć w pułapkę. Kar i ja mamy wspólną cechę: dla nas zawsze wszystko albo nic. On chce ich wszystkich oddać dżungli, ja chcę wszystkich odesłać do domu. - Zaciśnął zęby, aż napięły mu się mięśnie. - Nie zamierzam kupować życia za śmierć, jeśli to nie moja śmierć. Nick wydawał się pod wrażeniem.

- Kara niełatwo oszukać. Jest tak głęboko związany z pelekotanem, że pozna się na każdym kłamstwie. Kiedyś widziałem, jak goście wyrwał za to język...

Mace spojrział na niego z ukosa.

- Kto kłamie? Powiedziałem mu, że razem z Depą mogą mnie znaleźć dziś po południu na trakcie pełzaków. Kłamstwo polega na tym, jak on zrozumiał moje słowa nie na tym, jak ja je wypowiedziałem.

- I kazałeś mi prowadzić, ponieważ uznałeś, że on się domysli, którędy pójdę. I jeszcze zabrałeś ze sobą strażników akków, żeby go na nas naprowadzili...

Mace skinął głową.

- Ale dlaczego?

- Chciałem, żebyśmy się znaleźli dokładnie w takim miejscu. Pewnie już się cieszy, że tak nas złapał.

-Atak nie jest?

- W każdym razie wcale mu się nie spieszy, żeby nas dopaść. A teraz się zastanów: do czego może się nadać trakt pełzaków, jeśli popatrzysz na to od naszej strony? To wielka, otwarta przestrzeń,

gdzie każda przelatująca kanonierka zobaczy ludzi, a przy tym jest tu dość miejsca, żeby wylądować.

- Taaa...

- Więc co na tym zyskuje, że nas odcina od otwartej przestrzeni... - Mace sięgnął do kurtki i wyjął oba miecze. Miecz Depy rzucił Nickowi, który złapał go zwinnie. - ..skoro wszystko, czego potrzebujemy, to trochę czasu, a potem już sobie poradzimy?

Nick gapił się na miecz świetlny w swojej dłoni.

- To by się mogło udać - przyznał. - A ty twierdzisz, że to ja mam ludzi uczyć wojowania.

Mace wzruszył ramionami.

- To nie wojowanie, to dejarik.

- Jasne. Kiedy Kar się pokaże, to ty będziesz czyścił planszę. Proszę uprzejmie. - Przechylił głowę z posępną miną. - On nas obu zabije, wiesz?

Miecz świetlny Mace'a wskoczył mu w dłoń i z emitera wyrosła metrowej długości fontanna energii.

- A, to się dopiero zobaczy.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Przygotowanie lądowiska zajęło nam kilka minut. Użyłem Mocy, żeby ułożyć stertę z mniejszych drzewek, zamierzając później rozpaść wilgotne gałęzie ostrzem miecza, aby powstało wielkie, dymiące ognisko, ale nie musiałem tego robić; zanim jeszcze skończyliśmy wycinkę, nadleciały trzy trójki kanonierek. Chyba nie miały problemów ze zrozumieniem sytuacji: dwudziestu ośmiu klęczących Balawai z dłońmi splecionymi na karkach wyglądało dość jednoznacznie.

- Zdaje się, że nam się udało - rzekł Nick, jakby niespecjalnie się cieszył tym sukcesem. - Uratowaliśmy ich. Mam nadzieję, że kiedyś się nam odwdzięczą.

Zaledwie zaczęliśmy wycinać, kiedy poczuliśmy, że siły Vastora zacieśniają okrąg wokół nas jak stryczek. Moje małe oszustwo nie wystarczyło na długo, skomentował Nick.

Nie odpowiedziałem. Miałem wrażenie, że w tej akurat partii dejarika nie Kar jest moim prawdziwym przeciwnikiem.

Jedna z kanonierek zaczęła krążyć tuż nad naszymi głowami: wystawiła się na wabia, żeby sprawdzić, czy nie otworzymy ognia z ukrytych dział, jak tylko znajdą się w naszym zasięgu. Poprzez Moc czułem, jak strzelcy z działek laserowych biorą na cel Nicka i mnie. Powstrzymywała ich chyba tylko niewielka odległość dzieląca nas od Balawai.

Jak powiada Nick: czas siodłać trawiaki.

Zanim jednak odeszliśmy, przykucnąłem obok ojca Urno i Nykla.

- Chcę, żebyś zaniósł wiadomość pułkownikowi Geptunowi. Spojrzał na mnie oszołomiony; język mu się plątał ze zmęczenia.

- Geptun? Szef wydziału bezpieczeństwa w Pelek Baw? Jak miałbym się do niego dostać?

- Przyjmie cię osobiście. -Tak?

- Powiesz mu, że mistrz Jedi załatwił jego problem. Powiedz mu, że jeśli rozbroi ochotników i wycofa milicję z gór, ta wojna będzie skończona. Ma na to moje słowo.

Mężczyzna wytrzeszczył na mnie oczy, jakby nagle wyrosły mi rogi - ale jego zdumienie nie było większe niż zdumienie Nicka.

- Jeszcze jedno: przypomnij mu, że w ciągu niespełna tygodnia rozwiązałem problem, z którym on się zmagał przez cztery miesiące.

Wstałem i obszedłem go, tak że teraz mój cień padał mu na twarz.

- Powiedz mu, że jeśli nie zrobi tak, jak mówię, to on się stanie problemem. A ja go rozwiążę.

Zabrałem Nicka do dżungli, nie czekając na odpowiedź.

Zatrzymałem się na chwilę, żeby spojrzeć za siebie, pomiędzy drzewa, gdzie ojciec trzymał chłopców w ramionach i wspólnie czekali, aż kanonierka wyląduje. I gdzie Keela obejmowała Pell, kryjąc twarz przed wirem wznieconym przez silniki kanonierki.

Nie oczekuję, że mi przebaczą. Nie mam na to nadziei. Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia te dzieciaki będą mogły spojrzeć na Jedi bez nienawiści w sercach.

I tylko takiej pragnę nagrody.

Zapadała noc, a słońce rzuciło ukośne promienie przez wylot kanionu. Nawigacja była prosta: zawrócili przez gęstniejący mrok i skierowali się prosto tam, gdzie Moc pokazywała Mace'owi maksymalne zagrożenie.

- Mówisz, że rozwiązałeś problem milicji, co? - mamrotał Nick, biegnąc obok Mace'a pod osłoną drzew. - Chyba zrobisz tym niespodziankę Karowi i Depie...

-Nie interesuje mnie Kar - mruknął Mace. - Obchodzi mnie wyłącznie Depa. Gdzie jest najbliższy nadajnik podprzestrzenny? Nick wzruszył ramionami.

- W jaskiniach na przełęczy Lorshan. To nasza baza... to tylko kilka dni stąd, jeśli uda nam się wreszcie zgubić te pieprzone kanonierki. I tak tam się właśnie wybieramy. Dlaczego pytasz?

- Dzień po tym, jak doprowadzisz mnie do komunikatora podprzestrzennego, ja i Depa opuścimy tę planetę. Nie chcę tracić tu więcej czasu. Potrzebuję podprzestrzeni, żeby wezwać transport.
- Mnie też zabierzesz? Nie zostawisz na planecie swojego sztabu, no nie?
- Widziałeś, ile warte jest moje słowo.
- A nie chciałbyś mnie wysłać przodem? Bo wiesz, no... nie chciałbym być w tym sektorze, kiedy Kar się zorientuje, że Depa wyjeżdża.
- Vastora zostaw mnie.
- Eee... Mistrzu generale! Zastanawiałeś się już, co zrobisz, jeśli Depa nie zechce wyjechać?
- To nie od niej zależy.
- Mogła się stąd wynieść wiele tygodni temu, gdyby chciała. Jak ją zmusisz?
- Mam zakładnika - wzruszył ramionami Mace.
- Zakładnika? A wolno ci? Chodzi mi o to, czy Jedi mogą brać zakładników?
- Jest jeden zakładnik, którego Jedi może wziąć zgodnie z prawem. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.
- A liczysz się z tym, że może jej zależeć na tym zakładniku jak na kuble kłaczego łajna?
- Tak - odparł Mace. Głos miał chłodny, ale czuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch i zakręcił.

Nick stanął jak wryty.

- Wziąłeś przypadkiem pod uwagę - rzucił słabym głosem - że żaden z nas może tego nie dożyć?

Powiedział tak, bo nagle zmaterializowało się wokół nich dwanaście akków, jakby dżungla zrodziła je ze zmięzchu.

Furia kłębiła się w Mocy jak para z nozdrzy psów.

Spod spowitych w mroku drzew wyszła cała szóstka strażników akków. Uzbrojeni byli w wibrotarcze, dzięki czemu dłonie mieli wolne i mogli swobodnie używać karabinów i granatników przewieszonych przez ramiona.

Broń dla łowców podchodzących ludzką zwierzynę.

Wszyscy wyglądali jak akki, kiedy szczerzą zęby.

Żaden się nie odzywał.

Może nawet w tej chwili żaden nie pamiętał, że umie mówić.

Moc aż huczała od gniewu, jakby każdy z nich rezonował z pojedynczą nutą. Mace dopiero wtedy wyczuł więź Mocy, która ich łączyła - ale nie pomiędzy sobą. Żaden ze strażników nie miał ze swoim psem takiej więzi, jak Chalk z Galthrą.

Cała osiemnastka - zarówno ludzie, jak i psy - połączona była Mocą z jedną osobą, która spajała ich tak, jak piasta łączy szprychy koła.

Wściekłość, którą Mace czuł, pochodziła od Kara.

Rozpoznał jej wyraźny zapach.

- Zdaje się, że Kar troszkę się zdenerwował tymi więźniami - mruknął.

Nick stał zwrócony plecami do Mace'a w pozycji, którą niegdyś zajmowała Depa.

Którą powinna zajmować Depa.

To tam znajdowałyby się w tej chwili w normalnym wszechświecie.

Mace usłyszał znany syk włączanego miecza i obejrzał się na Nicka.

- Oddaj mi to.

Oczy młodego Koruna zabłyśły zielenią skradzioną klindze.

- To czym mam walczyć? Oстрыm jak rapier dowcipem?

Tyle samo mu to pomoże przeciwko dwunastu akkom, co miecz świetlny, pomyślał Mace, ale nie uznał za stosowne go o tym poinformować.

- Nie będziesz walczył.

- Bo ty tak mówisz?

Zamiast się spierać, Mace sięgnął ponad ostrzem i dał Nickowi prztyczka w nos, jakby odganiał muchę.

Nick zamrugał, skrzywił się i wypuścił stosowną wiązaną przekleństw, ale zanim sobie przypomniał, że powinien mieć w dłoni miecz świetlny, ten przewędrował już do ręki Mace'a.

- Vastor to drapieżca, nie bandzior z HoloNetu: nie będzie nas tu trzymał i pastwił się nad nami. Gdyby chciał nas zabić, już byśmy nie żyli.

- Więc po co nas trzyma?

Poprzez drzewa ujrzał zbliżający się ku nim ciemny kształt: niski i masywny, o nogach wygiętych na

boki i ogromnych szerokich stopach, uzbrojonych w szpony.

Nick jęknął:

- Jasne. Przywiózł Depę.

Ogromny cień przybliżał się z łomotem; każdemu jego krokowi towarzyszył trzask łamanych drzew.

Ankkox.

Ogromny, opancerzony jaszczur był największym z lądowych zwierząt Haruun Kal. Ankkoksy dwukrotnie przewyższały wielkością trawiaki - ważyły mniej więcej tyle, co półtora dobrze wyrosniętej banthy - ale były niskie, choć szerokie, o płaskiej skorupie grzbietowej, wyglądającej jak owalny półmisek odwrócony do góry dnem. Skorupa tego okazu miała prawie trzy metry szerokości i dobrze ponad cztery długości. Fotel woźnicy przymocowany był śrubami do pancerza koronowego - wypukłego dysku okrywającego łeb bestii. Kiedy ankkox chował nogi i głowę, jego pancerz koronowy i sześć pancerzy kolanowych dopasowywały się do wgłębień w skorupie równie ciasno jak śluzy powietrzne, umożliwiając zwierzęciu przetrwanie w strumieniu gazów wulkanicznych, przed którymi nie mógł uciec.

Tym razem woźnica nie siedział, a stał na szeroko rozstawionych nogach na pancerzu korony, za fotelem, potrząsając długą tyczką, zakończoną ostrym hakiem. Dzięki niej mógł kierować zwierzęciem.

Dwie ultrachromowe tarcze w kształcie łez miał zsunięte na przedramiona.

Kar Vastor.

Poruszał się tylko o tyle, żeby móc kierować ankkoksem. Twarz miał bez wyrazu. Na Mace'a i Nicka nawet nie spojrział.

Powietrze wokół drgało od jego wściekłości.

Ankkox drobniejsze drzewka rozgarniał na boki, krzewy po prostu miażdżył stopami wielkości śmigacza. Aby mógł przepchnąć potężną skorupę przez grubsze drzewa, Vastor sięgał drągiem, wskazując na ich pniach określone punkty. W te punkty uderzał warczący obiekt, zbyt szybki, by go dostrzec, lecz dość mocny, aby roztrzaskiwać pnie w drzazgi i robić przejście - maczuga ogonowa zwierzęcia.

Jedyną częścią ciała ankkoksa, nieokrytą pancerzem, był masywny, rozciągliwy i zaskakująco giętki ogon. Ogon zakończony był dużą, twardą kulą a dorosły ankkox mógł strzelać nim szybciej, niż ludzkie oko zdążyłoby zarejestrować, do celów w odległości nawet ośmiu metrów dalej, i z siłą dość wielką, aby ogłuszyć akka lub strzaskać nieduże drzewo.

Dawno temu, zanim Haruun Kal otworzyło się na cywilizację galaktyki, maczuga zdobyta na młodym ankkoksie była tradycyjną bronią pasterzy konińskich. Bronią niełatwo osiągalną. Trudną w użyciu. Śmiercionośną w skutkach.



Na wypukłości skorupy grzbietowej tego ankkoksa wybudowano howdah - niewielką okrytą zasłonami konstrukcję wykonaną z drzewa lammasu, mniej więcej dwa na trzy metry, niewiele większą niż wyściełane krzesło w jej środku. Drapowany baldachim podwieszono nieco wyżej, niż sięgał wzrost Mace'a i otoczono polerowaną poręczą mniej więcej metr nad skorupą. Tkaniny, nie wspominając o pięknie rzeźbionym drewnie, zostały prawdopodobnie zrabowane z jakiegoś domu Balawai. Składały się z wielu warstw zwiewnej koronki i były przejrzyste jak dym.

Zachód słońca podświetlał baldachim od tyłu i Mace mógł dostrzec sylwetkę Depy.

Ankkox zatrzymał się z chrzęstem, osiadając na skorupie brzusznej z lekkim sykiem, jakby gazu ulatującego z pneumatycznych podnośników. Vastor odłożył drąg do futerału, zamocowanego do korony ankkoksa, przekroczył fotel woźnicy i skrzyżował muskularne ramiona na piersi.

Teraz dopiero spojrzał w oczy mistrza Jedi.

Akki zaczęły warczeć, cicho i gardłowo; bardziej się czuło, niż słyszało ten dźwięk, podziemną falę ostrzegawczą nadchodzącego wstrząsu sejsmicznego.

Wiatr opadł. Nawet szeleszczące liście zamilkły.

W ciszy gasnącego dnia Moc ukazała Mace'owi punkt przełomu.

„Ciemność dżungli, nie Sithów”.

Życie bez ograniczeń cywilizacyjnych.

- No to po nas - syknął Nick. - Wiesz o tym, nie? Jesteśmy ugotowani. Jak oni to nazywają w armii? Pomoc i wsparcie dla nieprzyjaciela?

- Zamknij się. Nie ściągaj na siebie uwagi.

- Niezły pomysł. Może zapomną że tu jestem.

- Nie chodzi o pomoc i wsparcie dla nieprzyjaciela - wyjaśnił Mace. - Gdyby to miało coś wspólnego z wojną zaarrestowaliby nas i zabrali na jakiś pokazowy proces, gdzie świadkami byłaby reszta GF W. Ale jesteśmy tu, w dżungli, a jedyni świadkowie to Kar, Depa i te akki... ludzie i jaszczury.

- No to nas po prostu zabijają.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, skończy się na bijatyce - odparł Mace.

- Na bijatyce? Jeśli będziemy mieć szczęście? Dobra, jak tam sobie chcesz. Nawet nie próbuję się z tobą dogadać. Powiedz mi tylko, co mam robić.

- Masz tylko pamiętać, że jesteś oficerem Wielkiej Armii Republiki.

- Tę pieprzoną przysięgę złożyłem niecałe trzy godziny temu!
- Trzy godziny, trzydzieści lat, co za różnica? Przysiągłeś zachowywać się tak, aby przynosić chwałę Republice jako jej zawodowy oficer.
- To zapewne wyklucza mokre spodnie i rozpaczliwy płacz, nie?
- Spokojnie. Nie okazuj słabości. Pomyśl o Vastorze jak o dzikim akku; nie rób nic, co wyzwoliłoby jego żądzę mord. i zamknij dziób.
- Och, jasne. Czy to rozkaz, generale?
- A jeśli powiem, że rozkaz, posłuchasz?

Ponad nimi na skorupie ankkoksa Vastor spoglądał w milczeniu w dół, a wokół niego narastała łuna gniewu. Dopiero teraz Mace spojrzął na pelekowi w oczy.

I pozwolił, aby dolna warga wydeła mu się pogardliwie.

- Co ty wyprawiasz? - syknął Nick. Mace ani na chwilę nie odwracał wzroku.
- Nic, czym musiałbyś sobie zawracać głowę.
- Cóż, może powinienem był ci powiedzieć - nerwowo mruknął młody Korun. - Kar nie lubi, kiedy się na niego gapić.
- Wiem.
- To go wkurza.
- On już jest wkurzony.
- Tak, a ty chcesz go wkurzyć jeszcze bardziej.
- Właśnie taki mam zamiar.
- Wiem - szepnął Nick. - Chyba przestanę się dopytywać, czy zwariowałeś. Uznajmy raczej, że to pytanie jest zawsze aktualne. Za każdym razem, kiedy otwierasz usta, wiedz, że właśnie zaczynam się zastanawiać, czy ci sprężynki nie wylatują uszami. „Dzień dobry, Nick”. Zwariowałeś? „Ładny dzień, prawda?” Zwariowałeś?
- Będziesz wreszcie cicho? - syknął Mace.
- Zwariowałeś? - Nick przechylił głowę. - O, przepraszam. To taki odruch.

Szczęka Vastora drgała, pozbawiony słów pomruk wyrywał się z mocno ściśniętych ust.

*Posłano po ciebie.*

Mace westchnął ze znudzoną miną.

Pomruk Vastora nabrał siły.

*Pogarda kosztuje.*

Nick przekrzywił głowę i zmarszczył czoło.

- To nie chodzi o więźniów?

Mace spojrział na niego z ukosa. Nick zrozumiał. Vastor zwracał się do nich obu - to znaczy, mówił do Mace'a, ale pozwalał również usłyszeć swoje słowa Nickowi. Obejrzał się na howdah.

Pewnie Depa też go słyszała.

- Oczywiście, że chodzi o więźniów - cicho odparł Mace. - To tylko rozgrzewka. Nie psuj zabawy.

Zahaczył kciuki o pas i niedbałym krokiem ruszył przed siebie.

- Już ci powiedziałem. Po mnie się nie posyła. Skoro sprowadziłeś ją do mnie zgodnie z rozkazem, chcę się z nią zobaczyć.

Mżenie wokół Vastora narastało, ale on sam stał całkowicie nieruchomo. Pomruk zmienił się w łowiecki charkot lianokota.

*Nie przyjmują niczyich rozkazów. Depa jest tu z własnej woli.*

- Naprawdę?

*Przyszła się pożegnać.*

- Ale ja się nigdzie nie wybieram.

Odpowiedzią Vastora był szeroki uśmiech, ukazujący cały garnitur nie po ludzku zaostrzonych zębów. Skinął dłonią, a pierścień akków i ludzi rozstał się przed nim.

- Mówiłem, że nas zabije! - syknął Nick. - Mówiłem! Niech to, jak ja nie lubię mieć racji!

- Już raz ci mówiłem. Traktuj Vastora jak dzikiego akka. Nie zabije nas, jeśli znajdzie inny sposób, aby osiągnąć to, czego chce.

- A czego on może chcieć?

- Tego samego co pies akk: pokazać dominację. Bronić swojego terytorium. I stada.

- I myślisz, że nas nie zabije za uwolnienie więźniów? Mace wzruszył ramionami.

- Ciebie na pewno nie. Jesteś podwładnym, tak naprawdę się nie liczysz.

- O, fajnie. Dzięki serdeczne... - Nick urwał i zadumał się nagle. - Wiesz co? Chyba faktycznie mówiłem szczerze.

-Nie ma sprawy.

Vastor zakręcił hakowatym drągiem i ankkox poczłapał w kierunku Mace'a i Nicka, tłukąc ogonem i zakreślając maczugą niebezpieczne łuki.

- No i co? - szeptem ciągnął Nick. - Myślisz, że nas tylko stąd wyrzuci? Da nam czas do wieczora, żeby się wynieść z planety?

- Coś w tym guście.

- A ten zakładnik, o którym mówiłeś?

- Zobaczymy, czy będzie potrzebny.

- Eee... ale to nie ja, prawda? No bo wiesz, mówiąc szczerze, nie sędzę, żeby Depa mnie aż tak bardzo lubiła... a może nawet w ogóle mnie nie lubi. Nic a nic.

- Cicho.

Ankkox przystanął. Zakrzywiona korona na głowie wielkości śmigacza terenowego schyliła się do ziemi, ku samym stopom Mace'a. Oczy bestii były pomarańczowe i złote, wielkie jak głowa Mace'a i patrzyły spod krzywizny pancerza z melancholijną, jaszczurcza cierpliwością.

Vastor zeskoczył na ziemię.

*Pożegnaj się, bo wyjeżdżasz.*

- Ładny piesek - mruknął Nick z wymuszonym uśmiechem. Zachichotał niepewnie. - Ładny...

Potężne lewe ramię Vastora śmignęło w kierunku Nicka, wymierzając mu policzek, który bez trudu mógłby zmieść mu głowę z karku, gdyby przedtem nie zablokowała go otwarta dłoń Mace'a.

Palce Jedi na sekundę zamknęły się na nadgarstku Vastora.

- On jest ze mną - rzekł i zanim lor pelek zdolał zareagować, puścił jego rękę i jednym ciosem zwałił Nicka z nóg.

Nick leżał skulony na przegniłych liściach; oszołomiony, wybałuszał na Mace'a zdumione oczy. Poprzez ich więź w Mocy Mace przesłał mu lekki impuls osobistej pociechy, niewidoczne zmrużenie oka.

Nick nie dał się prosić.

- Za co to?

Mistrz Jedi wycelował palcem w jego twarz.

- Jesteś oficerem Wielkiej Armii Republiki. Zachowuj się odpowiednio.

-To znaczy jak?

Mace odwrócił się do Vastora.

- Przepraszam za niego.

*To jego matka powinna przeprosić* - mruknął Vastor.

- Jeśli będziesz miał z nim jakiegokolwiek problemy, przyjdź z tym do mnie. - Mace musiał odchylić głowę w tył, żeby spojrzeć lor pelekowi w oczy. - Uderzyłem też wcześniej jednego z twoich ludzi. Za to także przepraszam - dodał powoli. - Powinienem być uderzyć ciebie.

*Jesteś mistrzem Depy i moim doshalo, nie chcę cię skrzywdzić.* - Pomruk Vastora był niski i jedwabisty. *Nigdy więcej mnie nie dotykaj.*

Mace westchnął z tą samą znudzoną miną.

- Nie wstawaj - polecił Nickowi, a do Vastora powiedział „przepraszam” i wyminął go, aby wskoczyć na skorupę grzbietową ankkoksa.

Miał czas się zastanowić, czy ktokolwiek dał się nabrać na tę grę w pewność siebie.

Spojrzał na howdah, teraz już tylko o krok od niego. Zaszło mu w ustach.

Wciąż jej nie wyczuwał.

Nawet tak blisko, nawet po tak długim czasie, jej obecność w Mocy mieszała się z otaczającą ich ciemnością dżungli.

Znów poczuł w piersi gorzki ciężar. Ten sam, który zrodził się wiele tygodni temu w gabinecie Palpatine'a. Ten sam, który narastał w Pelek Baw, a ostatniej nocy w bunkrze w osadzie omal go nie zgniótl. Ciężar zelżał nieco w ciągu tego długiego popołudnia; może dlatego, że był całkowicie pewien, że postępuje właściwie.

W jedyny właściwy sposób.

A teraz był o krok od tego, aby stanąć z nią twarzą w twarz. Ze swoją padawanką, swoją protegowaną. Kobieta, dla której zostawił Coruscant i Świątynię Jedi, i wszelkie proste reguły wojny. Dla której zagłębił się w dżunglę. Dla której poddał się surowym, skomplikowanym, nieubłaganym realiom, kryjącym się za zasadami, które w zaciszu sterylnych komnat rady wydawały się takie proste i czyste.

Odkrył po raz kolejny, że nie wie, co powinien zrobić.

Sam widok Depy przez zasłony przewrócił do góry nogami jego pojmowanie dobra i zła.

W głowie dźwięczały mu słowa Palpatine'a: „Depa Billaba była twoją padawanką. I z pewnością do tej pory jest twoją najlepszą przyjaciółką, prawda?”

Prawda? - pomyślał Mace. Sam chciałbym to wiedzieć. Jeśli trzeba będzie ją zabić, jak mogę być pewien, że zdołam to uczynić?

W tej chwili nie był nawet pewien, czy zdoła na nią spojrzeć.

Tak bardzo obawiał się tego, co zobaczy.

„...stałam się mrokiem dżungli...”

Smukła brązowa dłoń ujęła skraj zasłony. Długie, ale silne palce, połamane i czarne od brudu paznokcie... kształt dłoni, delikatne zarysy żył, ścięgien i kości, które znał równie dobrze jak swoje własne... zasłona, poplamiona i zapleśniała, pocerowana czarną nitką, która wyglądała na koronce jak stara blizna, owinęła się wokół dłoni, która odsuwała ją na bok. Serce Mace'a załomotało; miał ochotę się odwrócić. Tak, powinien był wiedzieć, że nie spotkał się z nią o świcie, u narodzin dnia, pośród burzy ogniowej z dział kanonie-rek; powinien był wiedzieć, że to było tylko jego marzenie, ucieczka od Mocy, powinien był wiedzieć, że mogą się spotkać jedynie w cieniu i o zmierzchu...

Lecz strach również prowadzi do ciemności.

Już się spotkałem z mrokiem dżungli, pomyślał, już go poczułem we własnym sercu. Walczyłem z nim ramię przeciwko ramieniu i myśl przeciwko myśli. Dlaczego boję się spojrzeć jej w twarz?

Węzeł w jego brzuchu rozwiązał się sam.

Opuścił go cały niepokój. Ciemność odpłynęła. Nie zostało w nim nic, jeśli nie liczyć zmęczenia i bólu poranionego ciała i spokojnego oczekiwania Jedi: gotów był zaakceptować każdy zwrot w Mocy, cokolwiek przyniesie.

Odsunęła zasłonę.

Siedziała na brzegu długiego wyściełanego szezlongu. Miała na sobie łachmany szat Jedi, okrywające szorstki samodiał odzieży Koruna z dżungli. Jej włosy były takie, jak je widział w osadzie - rozczochrane, tłuste, obcięte na krótko jakby niezbyt ostrym nożem i bez lustra. Twarz miała dokładnie tak mizerną, jak w jego widzeniu: wystające kości policzkowe, szczeka, która zaczynała już wystawać. Była tam i blizna po oparzeniu, ciągnąca się od kącika zaciśniętych cierpieniem warg ku szczęce...

Lecz zamiast opaski miała tylko strzęp brudnego łachmanu owinięty wokół czoła, by ukryć Wieki Znak Oświecenia.

Lub bliznę, jaka po nim pozostała...

Mniejszy Znak wciąż lśnił złotem na sklepieniu jej nosa, a choć oczy miała nabiegłe krwią i pełne bólu, spojrzenie pozostało czyste i spokojne. Tak, była Depą Billabą.

Cokolwiek się jej przytrafiło, cokolwiek widziała albo uczyniła.

Wciąż była Depą.

Rozciągnęła usta w bladym uśmiechu, z wysiłkiem, od którego serce Mace'owi omal nie pękło. Wyciągnęła dłoń, która drżała odrobinę, kiedy Mace ujął ją w swoją. Czuł, jaka jest delikatna, jakby kości były puste w środku, niczym u ptaka, ale jej uścisk był silny i ciepły.

- Mace - powiedziała powoli. W jednym oku zatańczyła jej łza, jak pojedynczy klejnot. - Mace. Mistrz Windu.

- Witaj, Depo. - Rozchylił kurtkę i wyjął jej miecz. - Przechowałem go dla ciebie.

Wyciągnęła dłoń, która drżała teraz jeszcze bardziej.

- Dziękuję, mistrzu - rzekła oficjalnie, ale głos miała zmęczony. - To zaszczyt otrzymać go z twojej ręki.

Uśmiechnęła się znowu, tym razem serdeczniej. Spojrzała na miecz, obracając go w dłoniach, jakby nie całkiem pamiętała, do czego służy. Pochyliła głowę tak, że nie widział jej oczu.

- Och, Mace... Jak mogłeś? -Depo...

- Jak mogłeś być taki arogancki? Taki głupi? Tak ślepy? - Choć w jej słowach brzmiał gniew, w głosie słyhać było jedynie zmęczenie. - Chcę... Powinieneś być zjawić się od razu u mnie... Prosto do mnie, Mace. Ci ludzie... oni nie są tego warci. Niewarci tego, żebyś nie wiedział... Powinieneś być zapytać mnie... a ja mogłam ci powiedzieć...

- Dlaczego niewinne dzieci mają umierać?

- Wszyscy kiedyś umrzemy... - Zwiesiła głowę jeszcze niżej. -Nie po to tu jestem, żeby się z tobą sprzeczać, Depo. Przybyłem, żeby cię zabrać do domu.

- Do domu... - powtórzyła, unosząc znów głowę. Jej oczy były jak horyzonty zdarzeń, nieskończenie głębokie i nieskończenie mroczne. - Używasz tego słowa, jakby miało jakieś znaczenie.

- Dla mnie ma.

- Ależ nie. Już nie. Nawet dla ciebie. Po prostu jeszcze tego nie rozumiesz - westchnęła z gorzkim uśmiechem, równie mrocznym jak jej oczy, a potem uniosła drżącą dłoń i wskazała na otaczającą ich dżunglę. -To jest dom. Taki dom, jakim tylko może być jakieś miejsce. Dla każdego z nas. Dla nas wszystkich. Dlatego cię tu sprowadziłam, żebyś się nauczył, Mace. Teraz jednak wszystko popsujesz. Wszystko się rozpada i rozlatuje w rozmaitych kierunkach. Wszystko jest nie tak, wszystko jest za późno, powinnam była przewidzieć, że tak się to skończy. Powinnam była wiedzieć, ponieważ jesteś

po prostu zbyt aroganckim durniem, żeby pilnować własnych spraw! - Jej głos zabrzmiał jak skrzek, a z pęknięcia na dolnej wardze popłynęła krew.

- Ty jesteś moją sprawą tutaj.

- Właśnie. Właśnie! - Chwyliła go za nadgarstek i szarpnęła ku sobie z zaskakującą siłą. - To ja byłam twoją sprawą tutaj. Ci ludzie nie powinni byli cię interesować. Ty ich też nie. Ale przecież nie możesz przestać być Jedi - dodała z goryczą. - Nieważne, o co chodzi. Na szali ważą się losy całego Zakonu Jedi, a ty bawisz się w holonetowego herosa. Teraz twoja sprawa tutaj jest przegrana. Zniszczona. Wszystko poszło na marne. Za późno. Jest za późno dla nas wszystkich. Musisz stąd odejść, Mace. Musisz odejść i to natychmiast, albo Kar cię zabije.

- Takie mam plany - zgodził się Mace. - A ty wybierasz się ze mną.

- Och - jęknęła. Ogień płonący w jej wnętrzu przygasł, a wraz z nim jej siła. Dłoń spoczywająca na ramieniu Mace'a opadła. - Och... więc myślisz... myślisz, że mogę tak po prostu odjechać?

- Musisz wyjechać, Depo. Nie wiem, co cię tu trzyma...

- Nie rozumiesz. Jak mógłbyś zrozumieć? Nie widziałeś... a ja ci nie pokazałam... nie możesz tego pojąć...

Mace pomyślał o swojej halucynacji w osadzie.

- Ależ rozumiem - powiedział powoli. - Rozumiem wszystko, co trzeba. A teraz nawet w to wierzę.

- Czy rozumiesz, że nie ja tu dowodzę? Mace wzruszył ramionami.

- A czy w ogóle ktoś tu dowodzi?

- Właśnie - odparła. - Właśnie. Mistrz Yoda... Mistrz Yoda by powiedział: „Widzisz, ale nie dostrzegasz”.

- Depa...

- Żyjesz do tej pory tylko dlatego, że Kar nie chce sprawiać mi przykrości. To jedyny powód. Nie dlatego, że mogę mu rozkazywać czy polecić, żeby coś zrobił. Poprosiłam go. Porosiłam, aby ci dał szansę ucieczki. Ponieważ Kar... Kar mnie lubi...

Mace obejrzał się, obejmując wzrokiem ludzi i akki, wmieszanych w dżunglę. Zmierzch był coraz głębszy, świecące pnącza ożyły. Akki kręciły się niespokojnie i wydawały głębokie pomruki, rezonujące w ogromnych klatkach piersiowych. Nick siedział na ziemi; kolana podciągnął pod brodę i otoczył je ramionami. Głowę miał pochyloną starannie unikał oglądania się na Vastora. Lor pelek krążył przed łbem ankkoksa jak głodny lianokot, rzucając kosę spojrzenia na Depę i Mace'a i szybko odwracając wzrok, jakby nie chciał być na tym przyłapanym.

- Vastor dowodzi GFW?



- Nie ma GFW! - syknęła Depa. - GFW to nazwa, nic więcej. Sama ją wymyśliłam! Górski Front Wyzwolenia to sztuczny twór, na który zwała się każdy napad, pułapkę, każdą kradzież i sabotaż i w ogóle co się da. Milicja dostaje szafę w doszukiwaniu się prawidłowości naszych ataków. Próbuje dopatrzeć się w nich jakiejś strategii. A tu nie ma prawidłowości. Nie ma strategii. Nie ma GFW. Jest tylko klan, rodzina, jedna banda tu, druga tam. I to wszystko. Obszarpani koruńscy bandyci i mordercy.

- Ale twoje raporty...

- Raporty? - Wyglądała tak, jakby chciała go złapać i stłuc, ale była zbyt zmęczona. - Co ja ci powiedziałam? Nie widziałeś Haruun Kal. Co mam ci powiedzieć, żebyś zrozumiał?

-Nie musisz nic robić, żebym zrozumiał. Po prostu chodź ze mną.

- Mace, posłuchaj mnie uważnie: nie mogę. - Ramiona jej opadły, zakryła twarz dłońmi. - Kar gotów jest puścić cię wolno tylko dlatego, że ja zostaję. Żebyś był jak najdalej ode mnie. Jeśli odjadę z tobą... będziemy musieli wracać przez dżunglę... pieszko i na trawiakach... całą tę drogę do Pelek Baw? Nie widziałeś, do czego jest zdolny? Nie rozumiesz, że w dżungli nigdy nie będziesz przed nim bezpieczny?

Ciężar w piersi Mace'a zelżał odrobinę. Przełknął ślinę i stwierdził, że lżej mu się oddycha.

Bała się o niego. Nie upadła tak nisko, żeby stracić wrażliwość. Dla niego to już było małe zwycięstwo.

- Nie będziemy podróżować przez dżunglę - odrzekł. - Mam na stacjonarnej orbicie statek z batalionem żołnierzy. Mój komunikator jest uszkodzony, inaczej już bylibyśmy w drodze. Nick mówi, że macie transmisję podprzestrzenną w jaskiniach przełęczy Lorshan. Na drugi dzień po przybyciu tam będziemy daleko.

Podniosła głowę. W jej oczach wciąż nie było nadziei.

- Minie dwa dni, zanim tam dotrzemy. A jeśli pozostaniesz tutaj jeszcze przez dwie godziny, czy nawet dwie minuty, Kar cię zabije.

- Vastora pozostaw mnie. - Mace wychylił się do przodu, opierając ramiona na polerowanych poręczach howdah. - Nie odjadę bez ciebie.

- Musisz.

- Ujmijmy to nieco inaczej. - Mace odetchnął głęboko. - Mistrzynie Depo Billabo, korzystając z mojej władzy jako członka starszyny Rady Jedi oraz generała Wielkiej Armii Republiki, niniejszym zwalniam cię z pełnienia dowództwa nad siłami zbrojnymi Haruun Kal, zarówno mundurowymi, jak i ochotniczymi. Zostajesz zwolniona z wszystkich obowiązków i odpowiedzialności za akcje na tej planecie. Jesteś zawieszona w obowiązkach członka rady i otrzymujesz niniejszym rozkaz jak najszybszego stawienia się na Coruscant, gdzie staniesz przed radą, która cię osądzi.

Depa pokręciła głową.

- Nie możesz... nie możesz...

- Depo - ze smutkiem szepnął Mace. - Jesteś aresztowana. - To idiotyczne...

- Tak. I całkowicie poważne. Znasz mnie, Depo. Ilu aresztowań dokonaliśmy w ciągu tych lat? Wiesz, że dostarczę więźnia albo zginę, nie przestając próbować.

Powoli skinęła głową raz jeszcze udało jej się przywołać uśmiech na twarz. Smutny, spokojny uśmiech, nieco skażony goryczą.

- Przyjmiesz moją gwarancję? Jeśli dam słowo, że nie zamierzam.. próbować ucieczki?

- Zawsze będę ci ufał, Depo.

W oczach zabłyśły jej nagle łzy. Szybko odwróciła twarz.

- Ile razy jeszcze będę musiała ratować ci życie?

- Jeszcze ten jeden raz - odrzekł. - Możesz pójść ze mną albo patrzeć na moją śmierć. Wybór należy do ciebie.

Ramiona jej zadrgały konwulsyjnie. Mace przez chwilę sądził, że Depa płacze, ale do jego uszu dotarł tylko suchy, cichy chichot.

- Tęskniłam za tobą, Mace. - Oczy błyszczały jej od wstrzymywanych łez. - Nie mogę wyrazić, jak bardzo mi ciebie brakowało. Oczywiście, wiedziałeś dokładnie, w które miejsce uderzyć, aby zburzyć moje szanse. Ale to nie ja jestem twoim prawdziwym problemem - dodała zmęczonym głosem. - Co zrobisz z Karem?

- Ty jesteś moim jedynym problemem - uśmiechnął się Mace. - Znalazłem twój punkt przełomu, dlaczego myślisz, że przeoczę jego?

- On chyba ich nie ma.

- Ano, zobaczymy - odparł Mace Windu.

- Ty i te twoje punkty przełomu... - W zalanej łzami twarzy jej uśmiech był olśniewający. - Chyba tylko Mace Windu wpadłby na to, żeby wziąć siebie samego jako zakładnika.

Mace przechylił głowę w koruńskim odpowiedniku wzruszenia ramionami.

- Tylko ja byłem pod ręką.

Lekko zeskoczył z ankkoksa. - Kar Vastor? Musimy chyba pogadać.

*Nie musimy.* - Vastor odwrócił wzrok. - *Tak jak powiedziałeś, następnym razem, gdy się spotkamy, może się to skończyć walką.*

- Powiedziałem tylko - leniwie odparł Mace - że następnym razem, kiedy się spotkamy sam na sam, może być walka. Ale chyba obdarzyłem cię zbyt wielkim zaufaniem. Przecież po to sprowadziłeś tutaj całą swoją psiarnię, co? A więc nie życzyłeś sobie, by zmierzyć się ze mną bez nich.

Głowa Koruna odwróciła się w jego kierunku jak wieżyczka pełzaka.

*Co?*

- Masz ze mną jakiś problem? - Mace rozłożył dłonie. - Jestem tutaj.

Ściągną w szyi Vastora obracały jego głowę centymetr po centymetrze.

*Ona nie chce, żebym cię skrzywdził.*

- Depa? Zamierzasz chować się za jej plecami aż do śmierci? - Mace skrzyżował ramiona. - Zawsze masz jakiś powód, żeby się wykręcić. Podziwiam twoją... kreatywność.

Strażnicy akków wytrzeszczyli oczy.

Wszystkie dwanaście psów przysiadło na zadach. Uniosły ogony i chłostały nimi grzebienie grzbietowe, szykując się do skoku. Vastor warknął i rzucił się konwulsyjnie w stronę Mace'a. Chwycił Nicka za ramię, poderwał go do góry i pchnął w kierunku Jedi.

- Hej, wiesz co? Boli! - jęknął Nick.

*Mam osiodłane i zaopatrzone trawiaki. Zabieraj je i chłopaka i już cię nie ma.*

Jego spiłowane zęby wydawały się świecić własnym światłem w półmroku, rozjarzonym jedynie poświatą pńczy.

*Zabierz ich i żyj dalej.*

- Wiesz co? - powiedział Mace. - Chyba nie podoba mi się twój ton.

Vastor wytrzeszczył oczy. Usta drgały mu w milczeniu.

- I zabieraj łapy od mojego adiutanta. Ale już.

Vastor odzyskał głos i ryknął z czarną wściekłością. Potężne pchnięcie posłało Nicka w stronę Mace'a. Chłopiec zdążył złapać go za ramiona, inaczej poleciałby na twarz. Podniósł wzrok i spojrzał mistrzowi Jedi w oczy, szczerząc zęby w niepewnym uśmiechu.

- Pamiętasz to pytanie, którego miałem ci już nie zadawać?

*Precz!* - Głos Vastora miał siłę wstrząsu tektonicznego. - *Odejdź, zanim zapomnę, że obiecałem cię oszczędzić!*

Mace obejrzał się na jednego ze strażników akków.

- Czy on zawsze tak kłapie paszczą? Przyłóż mu może, żeby się uspokoił.

Strażnik pobladł i gorliwie pokręcił głową.

- Naprawdę, naprawdę, nie powinieneś do Kara tak mówić, ty. Naprawdę, naprawdę, naprawdę.

- Och, pewnie. Jasne. On jest słaby w basicu. - Mace zahaczył kciukami o poły kurtki.

Ściągną w szyi *lora peleka* napięty się jak struny. Jego rozedrgana wściekłość przybrała szkarłatną barwę i świeciła w mroku własnym światłem, jakby skóra była lawą wylewającą się z krateru wulkanu.

Powoli, z namysłem wsunął lewą dłoń pod tarczę na prawym ramieniu. Umieścił ją w pozycji bojowej, starannie unikając ostrych jak brzytwa krawędzi. Potem, równie powoli i z namysłem, to samo zrobił z drugą.

Mięśnie zadrgały na jego ramionach, gdy zamknął dłonie na uchwytych, a tarcze z wyciem ożyły. Zbliżył je do siebie, powierzchnia w powierzchnię, wzbudzając potworny, rozdzierający uszy wizm, od którego nawet akki się skuliły.

Nick syknął zza ramienia Mace'a:

- Jesteś pewien, że nie wolno mi się posikać w spodnie?

Mace spokojnie ruszył prosto na Vastora, z kciukami wciąż zatkniętymi za poły kurtki.

- Ciągle to robisz. Nic dziwnego, że twoje psy uważają to za okropne.

Patrząc w oczy Vastora, Mace rozchylił kurtkę, ukazując rękojeść miecza.

Potem zrzucił ją z siebie, złożył na pół i rzucił zręcznie przez ramię, wprost w oczekujące ramiona zdumionego Nicka Rostu. Miecz pozostał w kieszeni.

- Widzisz, jak bardzo się ciebie boję.

Vastor rozsunął tarcze i w dżungli zapadła cisza.

- Wszyscy tutaj wiedzą że to nie ma nic wspólnego z Depą - oświadczył Mace. - Chodzi o tych Balawai, których nie mogłeś utrzymać, bo byłeś za słaby albo za głupi.

Nogi Vastora ugięły się jak zadnie łapy akka.

*Oni należeli do mnie! Ja ich miałem zabić albo oszczędzić! Należeli do mnie, to ja miałem im dać sprawiedliwość dżungli...*

- Dopóki nie naciąłeś się na mnie. A potem byli już moi - odparł Mace. - Należeli do mnie i mogłem ich uwolnić.

*Pokażę ci, ty słaby, głupi...*

- Już pokazałeś.

Vastor przemieścił ciężar ciała, aby rzucić się do skoku, ale nagle zamarł, jakby jakaś niewidzialna smycz zacisnęła mu się wokół karku. Obejrzał się na cień za zasłonami howdah, a kiedy znów spojrzął na Mace'a, jego wargi unosiły się w drapieżnym uśmiechu, a oczy lśniły jak bliźniacze kratery.

*Depa wolalaby, żebyś żył. Ale nie będzie się upierać, żebyś nie oberwał.*

Mace wzruszył ramionami.

- Jeśli również nie będzie się upierała, żebyś ty nie oberwał...

Vastor zaczął odpinać tarcze. Mace pogardliwie odwrócił się plecami do lor peleka i powoli ruszył w kierunku środka kręgu akków i ludzi.

W sposobie, w jaki Vastor zdjął tarcze z ramion, nie było nic powolnego ani niepewnego: jeden ostry jak trzask bicia ruch nadgarstka i obie poleciały z brzękiem na ziemię, zawadzając po drodze o skorupę ankkoksa.

Nick niepewnie ścisnął zwiniętą w kłęb kurtkę i broń Mace'a.

- Eee... chyba powinienem ci powiedzieć... moim zdaniem ten manewr wielkiego psa nie działa na Kara.

- Przeciwnie - miękko odparł mistrz Jedi. - Działa znakomicie. - Nick zamrugał. - A co do ciebie, to...  
- mruknął Mace.

- O mnie się nie bój. Wiem dokładnie, co mam robić. - Wsunął kurtkę Mace'a pod pachę i podreptał w kierunku najbliższego strażnika akków. - Sto kredytów, że Jedi zmusi Kara do płaczu. Kto wchodzi?

Lor pelek przycupnął i wyciągnął jedną dłoń, zatapiając ją w warstwie ściółki. Lśniaca od potu pierś falowała, oddech przepompowywał przez niego ciemność. Gromadził wściekłość. Gromadził siłę.

Rozedrgane powietrze wokół niego zmieniło barwę z czerwonej na czarną.

Mace potrząsnął ramionami, żeby rozluźnić mięśnie.

- Zasady?

Odpowiedzią Vastora było prychnięcie polującego akka. Zasady dżungli. Eksplozja energii wyrzuciła lor peleka jak ludzki pocisk, który, szarpiąc szponami zmierzch, kierował się w stronę Mace'a.

No to niech będą zasady dżungli, pomyślał Mace i skoczył, aby spotkać się z nim pośrodku drogi.

Zderzyli się z trzaskiem, który wstrząsnął dżunglą wokół nich. Nie ograniczało się to do dwóch ludzkich ciał; wraz z nimi zderzyły się dwa węzłowe kanały w Mocy. Niewidzialna energia trzeszczała i strzelała, jaskrawoniebieskie iskry przeskakiwały pomiędzy liśćmi drzew nad ich głowami. Przez moment wisieli w powietrzu, spleceni, drąc się wzajemnie pazurami. Akki przywarły do ziemi i zatańczyły w miejscu, chłoszcząc ogonami powietrze. Strażnicy złożyli tarcze, rycząc z dziką, zwierzęcą zawziętością.

Vastor wydawał się składać z samych zębów i szponów: zaciekły, warczący kłęb. Ramiona, niczym durastalowe przęsła, chwyciły Mace'a w nierozzerwalny uścisk, przygważdżając mu łokcie do trzeszczących żeber. Mace odpowiedział szybciej niż myśl, instynktownym uderzeniem z czoła, które rozszczepiło kość policzkową Kara. Lor pelek przechylił głowę na ramię Mace'a, jakby przytulał się do kochanka- i zatopił ostre jak igły zęby w jego szyi, szarpiąc ciało w poszukiwaniu tętnicy.

Mace poderwał kolano i kopnął Vastora w wewnętrzną część uda. Vastor stęknął i wgryzł się jeszcze mocniej, kręcąc głową na obie strony jak akk szarpiący nogę kłaka. Nacisk jego szczęk na tętnicę ograniczał przepływ krwi; umysł Mace'a zaczęły przesłaniać czarne chmury - lecz kiedy po raz kolejny uderzył kolaniem, Vastor nieco popuścił.

Mace trafił go dziesięć centymetrów poniżej pępka.

Tym razem Vastor stęknął głośniejsz i warknął tak, że drgania przeniosły się aż na szyję Mace'a, ale teraz, zamiast wycofać kolano do kolejnego uderzenia, Mace nacisnął mocniej, odpychając przeciwnika od siebie. Dzięki temu powstała między nimi przestrzeń dość duża, aby Mace mógł wsunąć ramię pomiędzy ich klatki piersiowe i wbić Karowi sztywne palce w zagłębienie pod grdyką.

I pchnąć.

Lor pelek wydał konwulsyjny jęk zdumienia i puścił kark Mace'a. Mace cisnął dalej, wbijając palce w krtań przeciwnika. Vastor zaczął się krztusić, jego masywne ramiona poluzowały chwyt.

Upadli razem, przetoczyli się i Mace wreszcie zdołał zrzucić z siebie Vastora. Jednocześnie zastosował szybki kopniak w podbródek, który wyrzucił lor peleka w górę jak podkręconą piłkę.

Mace zdążył odzyskać swój kontakt z Mocą na czas, aby przekoziółkować i wylądować w lekkim, zrównoważonym przysiadzie. Vastor wylądował na czworakach, absorbując wstrząs bez wysiłku, jak lianokot.

Patrzyli na siebie.

Z rany na karku Mace'a spływała krew, malując na purpurowo jego pierś i ramię, ale była to tylko

strużka, nie fontanna. Podobna strużka ściekała z rozciętego policzka Vastora i skapywała mu ze szczęki.

Żaden z nich zdawał się tego nie zauważać.

Warkot Vastora rozbrzmiewał w piersi Mace'a.

*Niewielu ludzi jest w stanie rozerwać mój uścisk. Ty też tego nie zrobisz po raz drugi.*

Mace nie odpowiedział. Vastor prawdopodobnie miał rację.

Nagle z przerażającą jasnością uświadomił sobie, że nie spał od nocy poprzedzającej walkę na przełęczy. Tej nocy, kiedy to naćpany korą Lesh przyszedł do niego we łzach, aby mu powiedzieć, czego nauczą go Kar i strażnicy akków, jeśli dożyje.

Wydawało się, że to było wiele lat temu.

Zastanawiał się przez chwilę, czy lor pelek rzeczywiście rozdarłby mu gardło, pomimo tego, co, jak twierdził, powiedziała mu Depa. A może zadowoliliby się podduszeniem?

Stwierdził, że może żyć dalej, nie znając odpowiedzi na te pytania.

Jeśli przeżyje w ogóle.

Vastor na czworakach ruszył w jego kierunku.

*Tak wyglądają sztuki walki Jedi? Dźganie i szczypanie? Dziabnięcie, które ma powstrzymać wielkiego psa? Nie jestem pod wrażeniem.*

Mace stał nieruchomo, jeśli nie liczyć ciężko falującej piersi. Wiedział już, że pod względem czystej siły nie może się z Karem równać.

Z każdym oddechem odrzucał kolejne warstwy ograniczeń i opanowania. Kolejne warstwy spokoju i powagi. Musiał wyrzucić z siebie wewnętrzny spokój, aby w jego miejsce wstąpiła radość. Dreszcz oczekiwania. Czysta przyjemność fizycznego wyładowania emocji. Vapaad był bowiem czymś więcej niż tylko formą walki na miecze świetlne.

Był stanem umysłu.

Noc pogrążyła dżunglę w mroku, świecące liany wokół nich zaczęły lekko pulsować. Użycie Vapaad było w tej chwili ogromnie niebezpieczne, prawie równie niebezpieczne jak rezygnacja.

Ostateczną odpowiedzią na siłę jest zręczność.

- Chcesz wrażeń? - zapytał Mace. - Zobaczmy, jak mój but wciska się w twoją gębę.

Powolny ruch Vastora bez ostrzeżenia przerodził się w szybki jak błyskawica skok, z palcami



rozpostartymi jak szpony i ramionami zataczającymi szerokie łuki, aby zamknąć Mace'a raz jeszcze w objęciach - ale jego już tam nie było. Lekki odskok w bok i ruch głową sprowadziły go bezpiecznie daleko od linii skoku Vastora, a jego pięść wystrzeliła, aby trafić przelatującego bokiem przeciwnika w podstawę czaszki: cios, który powaliłby byka.

Lecz Vastor chyba przeczuł jego nadejście, bo rzucił się naprzód i w dół, przetaczając się wraz z ciosem tak, że zaledwie go musnął. Wylądował w doskonałej równowadze i skoczył raz jeszcze, tym razem w górę. Kopnięcie, które Mace skierował w jego nerki, zaledwie prześliznęło mu się po łydce. Wykorzystał siłę uderzenia, by wywinąć salto w powietrzu i wylądować na grzbiecie Mace'a jak leśna pantera na grzbiecie kłaka.

Upadł jednak tylko na jego pięść, wyprowadzoną w górę ku splotowi słonecznemu Vastora z siłą stanowiącą kombinację Mocy i prawie pięćdziesięciu lat szkolenia w sztukach walki Jedi.

Dłoń Mace'a zapadła się aż po nadgarstek, a bojowe wycie Kara przerodziło się w bolesny jęk walki o oddech. Mace użył Mocy, by zrzucić go z siebie i wycelować nim w bok niespokojnego akka. Lor pelek ze szklanym, półprzytomnym spojrzeniem ześliznął się miękko po opancerzonych żebrach psa i zachwiał, gdy stopy zaplątały mu się w węzły korzeni.

Mace dosiadł go, zanim odzyskał równowagę.

- No, jak wrażenia? Lepsze?

Stali teraz prawie pierś w pierś, chociaż głowa Mace'a sięgała najwyżej do podbródka Vastora, a cały jego tors, świetnie umięśniony, zmieściłby się w piersi lor peleka i jeszcze zostałyby trochę miejsca. Nawet pobity i ledwie żywy Vastor zdołał z osłepiającą szybkością zadać dwa potężne ciosy w głowę i zraniony kark Mace'a.

Lecz tam, gdzie prędkość Vastora była osłepiająca, prędkość Mace'a dawała efekt niewidzialności.

Żaden z ciosów nie trafił w miejsce przeznaczenia.

Zanim Vastor zdołał skoncentrować wzrok, Mace uderzył go sześć razy: dwa potężne ciosy pod żebra, kolano, które trafiło w udo dokładnie w to samo miejsce, co przedtem, łokieć, który podbił podbródek i dwa niszczycielskie ciosy otwartą dłonią w zawiasy szczęk.

Normalny człowiek już leżałby nieprzytomny. Vastor jednak zdawał się nabierać sił.

Wymierzył kolejny błyskawiczny cios. Tym razem, zamiast się uchylić, Mace skontrował hakiem, który zablokował ramię tamtego dokładnie w miejscu, gdzie pod bicepsem przebiegał nerw. Vastor uderzył po raz drugi, jeszcze energiczniej - co tylko spowodowało, że jeszcze mocniej zderzył się z hakiem Mace'a.

Potężne ramiona Vastora drgnęły spazmatycznie i zwisły bezwładnie.

- To się nazywa Vapaad, Kar. - W oczach Mace'a zapłonęło groźne światło. - Ile widzisz ramion?

Dwa razy walnął Vastora w nos, zanim lor pelek zdążył bodaj mrugnąć.

Kar zawył z bólu i wściekłości zmieszanej z niedowierzaniem. Poleciał w tył i znów uderzył w bok akka, zwijając się, aby uniknąć kolejnych piorunujących ciosów.

Mace nie odstępował. Przyszpilił go do boku psa, stosując formy Vapaad - uderzał nie tak, aby zabić czy obezwładnić, lecz aby zadać ból: piekące razy w miękkie tkanki, prztyczki w ucho i w nos, ostre ciosy w podbródek.

Pies akk nagle odsunął się od nich, dając Vastorowi pół metra luzu. Lor pelek skoczył w bok i zanurkował.

Mace nie zatrzymywał go.

- Jazda, Kar, uciekaj. To koniec. Przegrałeś. To ja jestem dużym psem...

Vastor ze skoku przeszedł w przewrót, opadł na jedno kolano i odwrócił się ku mistrzowi Jedi. Zanim jeszcze Mace skończył mówić, Moc zawirowała wokół niego i nagle stwierdził, że leci nad ziemią i z wielką szybkością zmierza wprost w kierunku szarego pnia, by roztrzaskać się o gładką korę lammasa o metrowej średnicy. Całe drzewo zadygotało od tego uderzenia, a w czaszce Mace'a narodziła się nowa spiralna galaktyka.

A właśnie się zastanawiałem, kiedy przejdziemy do konkretów, pomyślał.

Twarz Vastora skamieniała. Powoli odzyskiwał czucie i siłę w sparaliżowanych ramionach; zdołał nawet unieść jedno i wykonać gest, jakby ciskał kamień. Mace oderwał się od drzewa i wirując, spadł na głowę zdumionego akka.

Siła uderzenia niemal owinęła go wokół czaszki zwierzęcia i wypchnęła mu powietrze z płuc. Grzebień korony psa wbił mu się w brzuch, a kiedy akk strząsnął go jednym ruchem łba, jak otrzepujący się wodny wół nymalijski, krew Jedi zalała mu czarne powieki.

Padawanowie Jedi uczą się kierować kinetyczną siłą Mocy, zanim jeszcze rozpoczną szkolenie z mieczem świetlnym. Mace jeszcze w locie zdążył wyczuć strumień siły, która utrzymywała go pod kontrolą Vastora. Z lekkim westchnieniem pozwolił, aby jego środek ciężkości - punkt kontaktu Mocy Vastora - uwolnił się i skierował siłę lor peleka z powrotem w dżunglę.

I dżungla ożyła.

Wić chwytnych lian zsunęła się z góry i objęła kostkę Mace'a nierozzerwalnym uchwytem. Jego lot w powietrzu skończył się zawisnięciem głową w dół.

Pnącza zaciskały chwyt tym mocniej, im bardziej ofiara się szarpała, a ich włókna były mocne jak durastalowe kable. Żaden śmiertelnik nie mógłby go rozerwać. Liany kaleczyły skórę do krwi krawędziami ostrych jak brzytwy, woskowanych liści. Kolejna wić otoczyła drugą kostkę; Mace ze swojej pozycji widział czarną, najeżoną ostrymi kolcami gałąź brązowina kierującą się konsekwentnie ku jego krtani.

Omal nie sięgnął poprzez Moc do miecza świetlnego.

Ale to oznaczałoby przyznanie się do klęski.

Czas, by użyć sprytu.

Posługując się Mocą, zdołał pchnąć pnącze tak, aby wyniosło go ponad pierścień psów i ludzi. Jeden ze strażników akków wykrzywił się do niego, kiedy Mace przelatował mu nad głową.

- Wielki pies? Raczej mały zębaty wieprz.

Wracając, Mace chwycił strażnika za ramię i szarpnięciem uniósł w powietrze. Sięgnął w Moc po kolejną falę siły, wypchnął zdumionego strażnika w górę i użył krawędzi jego ostrej jak brzytwa tarczy, by obciąć pnącze, po czym wypuścił go z rąk. Strażnik, wymachując wszystkimi kończynami, bezradnie poleciał w ciemność i z hukiem spadł w poszycie.

Mace odwrócił się w powietrzu i wylądował na barkach akka. Odbił się, skoczył wysoko...

.. i znów dostał się w uchwyt Mocy Vastora.

Lor pelek stał już na nogach, a jego ramiona wcale nie wyglądały na obolałe. Otworzył zakrwawione usta i wydał donośny okrzyk triumfu, po czym szarpnął Mace'em poprzez rozświetloną wielobarwnymi pnączami ciemność i rozpostarł ramiona, by zamknąć go w kolejnym zabójczym uścisku.

- Cóż, skoro się upierasz... - mruknął do siebie Mace.

Zamiast stawiać opór czy kanalizować uchwyt Vastora w Mocy, dodał do niego własną siłę. Prędkość jego lotu nagle się podwoiła - Vastor zaledwie miał czas otworzyć szerzej przerażone oczy na widok nadlatującego głową do przodu Jedi. Mace wbił się czaszką w brzuch Vastora, wbijając go w ziemię niczym pocisk ogłuszający.

Cóż, Kar wcale nie był bardziej miękki niż pień lammasa, w który wcześniej uderzył Mace, i siła zderzenia też nie podzielała na niego jak kojący kompres.

W jego głowie narodziła się kolejna spiralna galaktyka. Mace stoczył się z przeciwnika i leżąc na plecach, obserwował, jak gromady gwiazd wirują mu pod czaszką. Vastor leżał obok, cicho jęcząc i daremnie próbując zaczerpnąć powietrza w zmiażdżone płuca.

Dopiero po chwili oddech mu wrócił w świszczących, głębokich spazmach. Mace wiedział, że czas mu się kończy. Wytrząsnął z głowy resztki gwiazd i sięgnął do kostki, żeby odwinąć odcięty kawałek pnącza. Umierająca, bezwładna roślina nie stawiała większego oporu niż normalny sznur. Mace owinął sobie oba jej końce wokół dłoni. Kiedy Vastor przetoczył się na brzuch, a potem dźwignął na klęczki, Jedi zaszedł go od tyłu, owinął mu pętlę z pnącza wokół szyi i mocno zacisnął.

Vastor wyprostował się konwulsyjnie i sięgnął palcami do gardła, szarpiąc zaimprovizowaną garotę, ale nawet on nie miał dość siły, by gołymi rękami zerwać chwytnie pnącze. Twarz mu

pociemniała i nabrzmiała krwią mięśnie karku zeszywniały, a na skroniach i czole wystąpiły pulsujące żyły.

Tylko dziesięć sekund, pomyślał Mace, ciągnąc kurczowo z kolanem wbitym w plecy Vastora. Dziesięć sekund i będzie po wszystkim.

Vastor zdołał wsunąć pod niego jedną stopę.

Mace przełknął ślinę, z trudem chwyając oddech. Spróbował jeszcze mocniej zacisnąć pnącze wokół szyi lor peleka.

Tylko nieugięta wola życia pozwoliła Vastorowi stanąć na nogi. Wydawał się w ogóle nie dostrzegać ciężaru zwisającego mu z pleców, potężnie zbudowanego mistrza Jedi.

No to do widzenia, pomyślał Mace.

Dłonie Vastora z pnącza przeniosły się błyskawicznie na ręce Mace'a. Zgiął się w pasie, ostro poderwał biodra w górę, z niewiarygodną siłą przerzucił mistrza Jedi nad głowę i uderzył nim o ziemię.

Siła upadku sprawiła że zamiast gwiazd w głowie Mace'a ukazały się skłębione czarne mgławice. Jeszcze nie zdążył porządnie zaczerpnąć tchu po upadku na akka, więc teraz w ogóle nie mógł oddychać. Dżungla nad jego głową pogrążyła się w gęstej mgle. Poprzez spływającą na niego ciemność zdołał dostrzec cień Vastora w skoku, który miał położyć kres walce i jego życiu. Jęknął i odtoczył się na bok, a Vastor twardo wylądował na ziemi tuż przy nim.

Oszołomiony Mace spróbował podnieść się z ziemi. Vastor jeszcze leżał, bezradnie sięgając w stronę przeciwnika. Mace odepchnął go i dźwignął się na kolana. Kar przetoczył się na bok, namacał pień drzewa, wciągnął się po nim do pozycji stojącej i zwisł jak pijany.

Mace wprawdzie nie mógł oddychać i ledwo widział poprzez czerwono-czarny wir pod czaszką ale wciąż jeszcze był w stanie sięgnąć w Moc, aby doprowadzić się do pionu. Natychmiast rzucił się na Vastora z dłońmi złożonymi tak, aby wykorzystać każdy erg pozostałej mu energii i włożyć go w ostateczny, piorunujący cios, który podniósł przeciwnika i rzucił nim w tył, aż lor pelek uderzył w ziemię potylicą.

Mace zachwiał się i o mało nie upadł. Dżungla pulsowała wokół niego, na przemian rozmywając się i nabierając ostrości. Wyraźnie widział tylko lor peleka, gramolącego się na nogi.

Vastor się uśmiechał.

*Tylko na tyle cię stać?*

- Ja przecież... - Mace walczył o oddech. Powoli podniósł ramiona a każde z nich wydawało się ciężkie, jak wykute z materii czarnej dziury. - Właśnie... się... rozgrzewam...

Z ciemności wystrzeliła nagle otwarta dłoń. Następnym wrażeniem, jakie dotarło do Mace'a, był

dźwięk dzwonów w uszach i zaciśnięta na karku ogromna ręka Vastora, który trzymał go nad ziemią jak szczeniaka.

Mace ostrożnie uchylił powieki. Wysmarowany krwią uśmiech lor peleka wypełnił mu cały świat.

*Ile widzisz ramion?* - zamruczał Vastor. Mace nie odpowiedział.

Z pewnością nie widział tego jednego, znajdującego się na drugim końcu pięści, która zdmuchnęła mu świat jak świeczkę.

W ciemności czuł odór amoniaku i zgniłego mięsa: oddech drapieżnika.

Suchy, szorstki język wielkości torby, którą zgubił, wylizywał go w mroku tak długo, aż otworzył oczy.

Otaczali go strażnicy akków. Pochylone nad nim twarze pogrążone były w głębokim cieniu, ale otaczało je pulsujące światło fosforyzujących liści wplecionych w koronę puszczy. Jeden z nich odepchnął teraz wężący pysk akka, który lizał z zapalem ciało Mace'a. Wielka bestia odeszła na bok.

Jej miejsce zajął Kar Vastor. Przykucnął na piętach u boku Mace'a. Twarz miał całą w sińcach i guzach, krew spływała mu z rozciętego policzka, ale uśmiechał się jeszcze groźniej niż zwykle.

Warknął coś i jeden ze strażników odszedł na chwilę. Mace usłyszał głos Nicka:

- Hej, co jest? Daj spokój, zostaw moje ramię, wiesz, że potrafię...

Strażnik wrócił, ciągnąc za sobą Nicka. Vastor warknął.

- Hej, dlaczego mówisz do mnie...? - jęknął Nick.

Vastor warknął jeszcze ostrzej i Nick cofnął się lękliwie. Spojrzał niepewnie na strażnika akków, który trzymał go za ramię, potem na Vastora i w dół, na Mace'a.

- Eee... tego... - Przełknął głośno ślinę. - Kazał mi powiedzieć tak, żeby wszyscy słyszeli: jeśli chcesz, możesz wstać...

Mace przymknął powieki. Nie odpowiedział. Lor pelek zamruczał znowu.

- Mówi: „Wstawaj. Chciałeś być wielkim psem. Wstawaj i walcz”. - Nick zniżył głos. - Słuchaj, ale ty możesz wstać, prawda? Jeśli zechcesz. .. no wiesz, porobiłem zakłady... to jest warte pięć setek, wiesz? Podzielę się z tobą...

Mace otworzył oczy. -Nie.

Pomruk Vastora zabrzmiał łagodniej, jak huk trzęsienia ziemi opowiadający dowcip.

- No więc... on... on chce wiedzieć... O co chodzi z tym „nie”? O pieniądze?

- Nie - odparł Mace. Nie miał na całym ciele ani jednego miejsca, które by go nie bolało. - Koniec walki. Mam dość. Wygrałeś.

Vastor ogromną dłonią chwycił Mace'a za ramię i wstał, bez większego wysiłku podnosząc mistrza Jedi z ziemi. Jego pomruki znów formowały się w słowa w umyśle Mace'a.

*Powiedz im... Powiedz im, kto tu jest wielkim psem.*

Mace zwiesił głowę, starannie unikając wzroku Kara.

- Ty. - Odkaszlnął, na zmiażdżonych wargach pojawiły się banieczki krwi. - Ty jesteś wielkim psem.

Nick wyglądał na wstrząśniętego.

*Powiedz im, że nie miałeś racji, zabierając mi więźniów. Powiedz, że nie miałeś racji, pozwalając im odejść.*

Mace wbił oczy w ziemię pod stopami. Krew z płytkich skaleczeń od kolców akka spływała mu z brzucha po nogach.

-Nie miałem racji, zabierając twoich więźniów. Nie miałem racji, wypuszczając ich.

*Powiedz, że przykro ci, iż rzuciłeś mi wyzwanie i że nie zrobisz tego nigdy więcej.*

Jedynym ruchem, jaki wykonał Mace, było lekkie odwrócenie głowy, aby spojrzeć na howdah. Teraz, w ciemności, zasłony były nieprzezroczyste. Nie był nawet pewien, czy Depa tam jest.

- Przykro mi, że rzuciłem ci wyzwanie i nigdy więcej tego nie zrobię.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch - to Nick pomachał jego kurtką i pozwolił się jej rozwinąć. Znowu poruszył nią zachęcająco.

Mace czuł ukryty w kieszeni miecz świetlny.

Spojrzał Nickowi w oczy. Chłopak z rozmysłem odwrócił wzrok, udając, że pogwizduje nonszalancko, ale raz jeszcze poruszył kurtką.

Lekki dotyk przez Moc - wysiłek nie większy niż wysiłek Nicka przy machaniu kurtką- i miecz znajdzie się w dłoni Mace'a.

- Kar? - cicho odezwał się Windu. Vastor wymruczał ciche „tak”.

- W tej kurtce jest moja broń. Mogę ją wziąć? - Uparcie nie podnosił wzroku wyżej niż pierś lor peleka. - Proszę.

Vastor wzgardliwie odepchnął jego ramię i wyciągnął rękę po kurtkę. Nick spojrział na Mace'a, wyraźnie wstrząśnięty, jakby został nieoczekiwanie zdradzony.

Mace wciąż patrzył w ziemię.

Vastor wyjął z kieszeni kurtki miecz świetlny.

*To twoje?*

- Tak, Kar - cicho odezwał się Mace. - Mogę go dostać? Proszę. Vastor spojrział z ukosa na strażnika akków i mruknął coś. Strażnik zachichotał i kiwnął głową.

- Proszę - pokornie odezwał się Mace. - To moja jedyna broń. Bez niej na niewiele się komuś przydam.

*Z nią też na niewiele się przydasz* - burknął Vastor. Podał miecz Mace'owi, ale kiedy mistrz Jedi z wahaniem wyciągnął po niego dłoń, Vastor odrzucił go beztrąsko w bok. Strażnik, do którego wcześniej mrucał, chwycił broń w locie.

Trzymał go teraz jedną ręką. Wibrotarcza na drugim ramieniu ożyła.

- Hej, Kar, daj sobie spokój, dobrze? - Twarz Nicka wykrzywił grymas. Trudno było litować się nad kimś, kogo do tej pory się szanowało. - Zwyciężyłeś, no nie? Nie wystarczy ci? Dlaczego musisz być takim...

Vastor przerwał młodemu Korunowi niedbałym ciosem na odlew, który powalił go na ziemię. Nawet na niego nie spojrział - nie spuszczał za to wzroku z Mace'a Windu.

Mistrz Jedi zdawał się nawet nie zauważać, że Nick leży na ziemi, zasłaniając rękami zakrwawione usta i nie przestając przeklinać.

-Nie rób tego - powiedział stłumionym głosem. - Nie rób tego... zrozum... miecz świetlny Jedi...

.. .można zniszczyć równie łatwo jak mistrza Jedi... Vastor pstryknął palcami, jakby odpędzał muchę, ale zanim strażnik przysunął rękojeść miecza do krawędzi tarczy...

-Kar... -usłyszeli.

Spoza lekkich jak gaza, lecz nieprzejrzystych zasłon howdah głos Depy dochodził ze zdumiewającą siłą, jakby ze wszystkich stron jednocześnie.

- Wysłać go do dżungli bez broni to byłoby morderstwo, Kar. Nie jest wrogiem.

*Może nie twoim.*

- Proszę, Kar. Przechowaj miecz dla niego i oddaj mu, kiedy będzie odchodził.

*On już odchodzi.*

- Nie może podróżować - zaprotestowała Depa. - Nie czujesz tego? Zraniłeś go, Kar, i to mocno. Potrzebuje odpoczynku i leczenia. Zabierzmy go do bazy. Może jechać ze mną na ankkoksie. Trzymaj miecz przy sobie. Pokazałeś mu, że niewiele zdziała przeciwko tobie bez niego.

Nieludzkie spojrzenie Vastora penetrowało pustą ścianę howdah, ale noc już zapadła. Blask pńczy odbijał się od zasłon i wewnątrz nie było widać nikogo.

Wzruszył ramionami z irytacją i wyciągnął rękę. Strażnik rzucił mu miecz, a Vastor zatknął go za pas spodni ze skóry lianokota.

Rzucił kurtkę do stóp Mace'a.

*Ciekawe, czy jeszcze bardziej cię bolało, jeśli wiedziałeś, że na ciebie patrzy?*

W jego głosie nie było już drwiny: chodziło o zwykłe zaspokojenie ciekawości.

Powoli, ostrożnie, niczym stary człowiek chroniący pokurczone artretyzmem kolana, Mace schylił się po swoją kurtkę.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle mogłoby bardziej boleć - mruknął.

*Może nie pamiętasz, ale wszystko zaczęło się od tego, że odmówiłeś pójścia za mną, kiedy ci kazałem.*

Wszystko się zaczęło w dniu, kiedy zostałem wezwany do prywatnego gabinetu kanclerza Palpatine'a, pomyślał Mace, ale nie odezwał się ani słowem.

*Odmówiłeś zrobienia tego, co ci kazano.*

- Tak - rzekł w końcu Mace. - Tak, pamiętam.

Podniósł kurtkę i włożył ostrożnie. Pieczenie brudu w otwartych ranach uświadomiło mu, że kora drzewa lammas rozorała plecy.

*Jeśli kiedyś zdarzy się następny raz, doshalo, to będzie twój ostatni występ.*

- Tak, Kar. Wiem. - Spojrzał na Nicka, który nadal siedział na ziemi i żałośnie gapił się na Vastora.

- Chodź - cicho powiedział Mace. - Musisz mi pomóc wdrapać się na ankkoksa.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Vastor pozwolił Nickowi, żeby mi pomógł i opatrzył co poważniejsze rany, używając zdobycznego



pakietu medycznego. Chętnie uwierzył, że lanie, jakie mi spuścił, omal nie zrobiło ze mnie kaleki.

Nie był daleki od prawdy.

Podnosząc mnie na nogi, Nick wciąż jeszcze gotował się ze złości i mruzczał pod nosem niekończącą się litanię inwektyw, opisujących Vastora jako „żabojada o jaszczurczej gębie” i „stukniętego parszywego wora na padlinę”, plus cały wachlarz innych określeń, których cytowanie, nawet w prywatnym dzienniku, uważam za krępujące.

- Wystarczy - powiedziałem. - Mocno się napracowałem, żeby zachować nas obu przy życiu, Nick. Wolę, żeby tak zostało.

- No pewnie, całkiem nieźle ci poszło - powiedział z goryczą. Unikał mojego wzroku.

Powiedziałem, że przykro mi z powodu jego stu kredytów, ale delikatnie dałem mu do zrozumienia, że wcale nie musiał mnie obstawiać.

Rzucił się na mnie, nagle wściekły jak osa, i zasyczał dziko, żeby nie wrzeszczeć, bo wokół wciąż kręcili się strażnicy akków razem z psami.

- Nie chodzi o kredyty! Gdzieś mam te kredyty! - Urwał nagle, zamrugał i na chwilę na jego twarzy pojawił się znajomy uśmiech. - No nie! Czy ja to naprawdę powiedziałem? Niesamowite. No i dobrze, pewnie to było kłamstwo. O kredyty też chodzi, jasne, że tak. Ale nie dlatego jestem wściekły.

Skinąłem głową i powiedziałem, że rozumiem. Jest wściekły na mnie. Czuje się tak, jakbym go zawiódł.

- Nie mnie - odparł. - To znaczy, daj spokój. Jedi powinien czegoś bronić, prawda? I to chyba tego, co właściwe. Nieważne, co to jest.

Może i był na mnie wściekły, ale i tak otoczył siebie szyję moim ramieniem, żeby pomóc mi iść, i włókł mnie na swoich barkach.

Doceniłem to. Dopiero teraz, kiedy fala adrenaliny i wstrząs przestały być tak bardzo odczuwalne, zrozumiałem, że naprawdę dostałem solidnie. Później, kiedy dobrałem się do skanera z pakietu medycznego, odkryłem, że miałem dwa złamane żebra, porządnie zwichniętą kostkę, co zawdzięczałem chwytmemu pnączu, średnio mocny wstrząs mózgu i trochę wewnętrznych krwawień, że nie wspomnę o ranie kęsanej na karku i zdumiewającej różnorodności cięć, zadrapań i sińców.

Nick pomógł mi wdrapać się na ankkoksa i dopiero wtedy odkryłem, co go tak naprawdę zdenerwowało. Bardziej niż cokolwiek innego wyprowadziła go z równowagi moja deklaracja, że nie miałem racji, uwalniając więźniów.

- Nieważne, co powiesz - mruzczał ponuro. - Nieważne, co mówi Kar. Tam były dzieci. I ranni. I chodzi mi o to, że ci Balawai... oni wcale nie byli tacy źli. Ot, zwykli ludzie, tacy jak my.

- Prawie wszyscy są tacy jak my.

- Zrobiliśmy to, co należy i dobrze o tym wiesz.

Przyszło mi do głowy, że Nick jest z siebie dumny. Dumny z tego, co zrobił. Może to dla niego nowe uczucie: ta wyjątkowo rozkoszna duma, która cię rozpiera, kiedy podjąłeś straszliwe ryzyko, żeby zrobić coś naprawdę wspaniałego. Duma z pokonania instynktu samozachowawczego; ze zwalczania strachu i ze zwycięstwa nad sobą.

Jest to duma z odkrycia, że nie jesteś tylko kłębkim refleksów i uwarunkowanych reakcji, lecz również istotą myślącą, która może wybrać pomiędzy łatwym a właściwym, między bezpiecznym a sprawiedliwym. Duma, jaką z tego czerpał Nick, stała się powodem również mojej dumy, choć, oczywiście, nie mogłem mu o tym powiedzieć. To by go tylko wprowadziło w zakłopotanie i z pewnością by pożałował, że w ogóle się odezwał.

Mam nadzieję, że nigdy nie zapomnę zarliwej pewności na jego twarzy, kiedy pomagał mi wspiąć się na wyciągniętą nogę ankkoksa i wszedł za mną na pancerz grzbietowy.

- Sam fakt, że Kar stłukł cię jak pożyczony gong, nie oznacza jeszcze, że miał rację. To, że zwyciężył, wcale nie znaczy, że źle zrobiłeś, wyzywając go do walki. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy to usłyszałem z twoich ust.

Odpowiedź nadeszła spoza kotary, zamykającej ciemność howdah na szczycie sklepionej skorupy.

- Nick, jeśli jeszcze trochę się wśród nas pokręcisz, szybko się nauczysz - głos Depy był wyraźny i silny, a przy tym tak łagodny i rozumny, jakim zapamiętałem go w swoim sercu - że Jedi nie zawsze mówią całą prawdę.

Nick przystanął, nagle boleśnie skrzywiony, jakby całkiem niespodziewanie stwierdził, że myśli.

- Nie zawsze... ejże... - mruknął podejrzliwie. - Czekaj no chwilę, koleś...

Odsunęła zasłonę i otworzyła niewielką bramkę w barierce.

- Wejdźcie. Wyglądasz, jakbyś chciał się położyć.

- Może i tak - przyznałem. - To nie był mój najlepszy tydzień.

Wzięła mnie za rękę i pomogła wejść do howdah, a potem zrobiła mi miejsce na leżance.

- Wiesz co, Mace, jedno ci muszę przyznać - rzekła z nieco ironicznym uśmieszkiem. - Wciąż potrafisz dostać lanie nie gorzej niż jakikolwiek inny człowiek w galaktyce.

Oczy wyszły Nickowi na wierzch i wydawało się, że głowa mu zaraz eksploduje.

- Wiedziałem! - Podsunął mi pod nos pięść i potrząsnął nią tryumfalnie. Wiedziałem! Wiedziałem, że możesz mu złoić skórę!

Musiałem mu przypomnieć, że ma być cicho, bo Vastor i strażnicy akków wciąż się kręcą wśród okolicznych drzew, a ja nie miałem pojęcia, jak dobry słuch ma lor pelek. Nie powiedziałem, żeby się całkiem zamknął, bo to by nic nie dało.

- Wyczałem cię... Słyszysz? Przeskanowałem ten twój tyłek Jedi do dwunastego miejsca po przecinku! Powinienem być wiedzieć, jak tylko zaczęłaś podskakiwać Karowi, że chcesz go załatwić... podkreślałaś go, żeby wszystko wyglądało na bardziej osobiste porachunki, no nie? Im bardziej go obrażałaś, tym mniejszą miał ochotę wyładowywać się na mnie. Jak się z nim tak drażniłaś, skucie ci jadaczki jak starej torby tak go ucieszyło, że właściwie ci przebaczył wypuszczenie na wolność tych Ba lava i!

Powiedziałem mu, że w połowie się myli.

- W której połowie?

Depa odpowiedziała za mnie:

- W tej, że pozwolił Karowi zwyciężyć. Zna mnie zbyt dobrze.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę ci skroił tyłek? - Nick jakoś nie mógł w to uwierzyć. - Naprawdę, naprawdę ci wtukł?

- Nick, przecież teraz jesteśmy związani w Mocy. Czy wyglądało na to, że sprzedałem walkę?

Pokręcił głową.

- Nie. Wyglądało to tak, jakbyś był skórą na bębnie stukniętego perkusisty.

- Powiedziałem ci już kiedyś, że Vastor to człowiek, którego trudno okłamać. Poznałby, gdybym się oszczędzał. Wtedy dostałbym znacznie gorsze lanie, które równie dobrze mogłoby mnie zabić. Wszcząłem więc bójkę, w której nie mogłem zwyciężyć.

- Nie mogłeś?

- Vastor jest... bardzo silny. Ma o połowę mniej lat ode mnie i dwa razy tyle mięśni. Szkolenie i doświadczenie może wypełnić tę lukę tylko do pewnego stopnia. A oprócz tego... on ma wrodzoną odwagę. Żaden Jedi nie potrafi tego naśladować.

- Chcesz powiedzieć, że umyślnie grałeś mu na nosie? Wiedziałaś, że spierze cię tak, że cała twoja rodzina będzie nosić siniaki?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie musiałem zwyciężyć. Musiałem tylko walczyć.

- Kar jest punktem przełomu - mruknęła Depa. - Wiedziałaś o tym od początku.

Skinąłem głową. Nick nie wiedział, o czym mowa. Kiedy uzmysłowiłem mu, że punkt przełomu to krytycznie słabe miejsce, pokręcił głową.

- Ja w nim nie widzę nic słabego.

Spojrzałem z ukosa na zmarszczone w zadumie brwi Depy i zacytowałem Yodę: „Widzisz, ale nie dostrzegasz”.

- Wielką siłą Kara jest jego instynktowna łączność z pelekotanem. Dżungla żyje w nim tak samo, jak on w niej. I, jak ci to ciągle powtarzam, nawet dżungla ma swoje zasady.

Wyjaśniłem, że walka między Karem a mną była nieunikniona: dwa samce typu alfa w tym samym stadzie. Czuję to już w osadzie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jediną nadzieją na właściwy rezultat było starcie osobiste i natychmiastowe.

I bez broni.

Gdyby ta walka się nie odbyła, Kar i strażnicy akków mogliby za uwolnienie więźniów zabić i mnie, i Nicka. Gdybym zaczął walczyć mieczem przeciwko tarczy, też bym już nie żył - nawet gdybym zabił Vastora, strażnicy i psy rozerwaliby mnie na strzępy. Depę też, gdyby próbowała mnie ratować. Tylko z trudem przeżyliśmy atak trzech akków w Circus Horrificus.

A co byśmy poradzili przeciwko tuzinowi...

No cóż, przynajmniej do tego nie doszło. Wiedziałem, czego Kar naprawdę chce. Podobnie jak on, byłem ofiarą instynktu przewodnika stada rodem z dżungli.

Chciał mnie sobie podporządkować.

Jak się dzieje z większością łowców polujących w stadach, po podporządkowaniu sobie rywala, jego instynkty mówią mu, że rywal może sobie teraz spokojnie węszyć wokoło... tak długo, jak długo nie powtórzy wyzwania.

- Więc dlaczego dałeś mu swój miecz świetlny? Żeby się nie czuł zagrożony?

Pokręciłem głową. Przez chwilę korciło mnie, żeby się uśmiechnąć.

- Nie, chciałem pozwolić mu go pociąć.

- Naprawdę?

- Cóż, gdyby wtedy czuł się bezpieczniejszy i pozwolił mi zostać... To jasne. Miecz świetlny można naprawić albo zbudować nowy. Ale przyznaję, że pomysł Depy ma wszelkie znamiona geniuszu.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Jestem z siebie troszkę dumna.

Nick znów pokazał, że ma problemy ze zrozumieniem. Wyjaśniłem mu więc:

- Nawet używając Mocy, nie jestem w stanie wyłowić Kara w otaczającej nas dżungli. Stanowi jej część tak bardzo, że jest praktycznie niewidoczny. Z drugiej strony, mój miecz...

- Kapuję - jęknął Nick. - Dopóki ma go przy sobie...

- Właśnie. - Czuję go nawet w tej chwili; bez zastanowienia potrafiłem określić jego położenie względem mojego. - To jak dzwonek na szyję, który Depa zdołała założyć szczególnie niebezpiecznemu lianokotu.

- Słowo daję, niesamowite... Wiesz, wszyscy słyszeli, jacy straszni są Jedi, ale ich historie to nawet nie połowa... - mruknął. - Wasze prawdziwe moce nie mają nic wspólnego z mieczami świetlnymi i podnoszeniem rzeczy za pomocą myśli. - Pokręcił głową, nie całkiem rozumiejąc. - To nie jest naturalne... nie tylko wziąć w skórę, ale jeszcze się pokłonić... i do tego wymyślać takie rzeczy, jak z tym mieczem świetlnym...

- Oczywiście, wymaga to pewnej swobody myśli. Jeśli nie angażujesz w to emocji, odpowiedzi czasem bywają oczywiste.

- I tak to nie jest normalne. Czy mogę powiedzieć wprost, że wy dwoje przyprawiacie mnie o dreszcze?

- Kiedy byłem uczennicą Mace'a - zadumała się Depa - często przypominał mi, że w byciu Jedi nie ma nic naturalnego.

- A ja myślałem, że wy się po prostu dajecie unosić prądowi, używacie instynktów i takich rzeczy.

- Różnica leży w samych instynktach - wyjaśniłem mu. - Nie wyszkolony użytkownik Mocy może mieć do dyspozycji taką samą potęgę, jak największy z Jedi... popatrz tylko na Kara. Ale nie-wyszkolony człowiek polega na instynktach ofiarowanych mu przez naturę. To kolejny z głównych paradoksów Jedi: „instynkty”, których my używamy, wcale nie są takie instynktowne. Są wynikiem szkolenia tak intensywnego, że zastępują naturalne. Dlatego szkolenie Jedi musi się rozpoczynać w tak młodym wieku. Zastępujemy naturalne instynkty: terytorializm, egoizm, gniew, strach i tak dalej, „instynktami” Jedi: usłużnością, powagą, altruizmem i empatią. Najstarsze dziecko, jakie kiedykolwiek przyjęto do szkolenia, miało dziewięć lat, ale debata trwała bardzo długo... Śmiem twierdzić, że trwała przez całe następne dziesięć lat.

Bycie Jedi to dyscyplina nałożona na naturę, tak samo jak to się dzieje z cywilizacją, która tak naprawdę jest dyscypliną nałożoną na naturalne impulsy istot rozumnych.

Pokój jest bowiem stanem nienaturalnym.

Pokój to produkt cywilizacji. Mit łagodnego dzikusy jest tylko mitem i niczym innym. Bez cywilizacji cała egzystencja jest dżunglą. Spróbuj takiemu łagodnemu dzikusowi spalić zasiewy, wyróżnić stada albo wyrzucić go z terenów łowieckich. Zobaczysz wtedy, że nie na długo starczy mu tej łagodności. Czy nie to właśnie stało się na Haruun Kal?

Jedi nie walczą o pokój. To tylko slogan, mylący jak wszystkie slogany. Jedi walczą o cywilizację, ponieważ tylko cywilizacja tworzy pokój. Walczymy o sprawiedliwość, ponieważ sprawiedliwość jest opoką, na której można stworzyć cywilizację. niesprawiedliwa cywilizacja jest zbudowana na piasku i nie przetrwa jednej burzy.

Moc Kara pochodzi od instynktów naturalnych, lecz instynkty te rządzą nim w taki sposób, w jaki nigdy nie będą rządzić Jedi. Pojedynczy Jedi, który podda się naturalnemu pędowi do potęgi, szacunku, sukcesu lub zemsty, może narobić niewyobrażalnych szkód.

- Mace - przerwała mi miękko Depa. - Czy my wciąż mówimy o Karze? Czy może o Dooku?

Albo... zadumałem się o duchu... może mówiłem o niej?

Westchnąłem i spuściłem głowę, nagle zdając sobie sprawę, jak strasznie jestem zmęczony. Skończyłem jednak myśl, bardziej pod adresem Nicka niż Depy.

I moim własnym.

- Naszą jedyną bronią przeciwko istotom kontrolowanym przez ich własne instynkty jest kontrolować nasze w sposób całkowity i absolutny.

Noc w dżungli.

Konińskie śpiwory porozrzucane w niewielkich grupkach. Ciche głosy mieszające się z szumem dżungli. Zapach podgrzewanych pakietów z racjami żywnościowymi i dym cygar domowego wyrobu z zielonych liści rashallo.

Mace siedział na wypożyczonym materacu kilka metrów od miejsca, gdzie rozbito składany namiot Depy - w opuszczonym gnieździe ruskakków pod splątaną kopułą krzewów thyssela. Nick opatrywał mu rany, a on obserwował jej niewyraźny cień, rzucany na ściankę namiotu przez zdobyczy pręt oświetleniowy.

Kiedy światło zgasło, stało się tak, jakby nigdy jej tam nie było.

Zamglone, blade pulsowanie świecących pnączy utrudniało Nickowi odczytywanie skanera pakietu.

- Zdaje się, że krwawienie wewnętrzne mamy z głowy - mruknął. - Jeszcze jeden zastrzyk środka przeciwzapalnego, żeby utrzymać w ryzach obrzęk mózgu...

Mace przechylił głowę na bok, aby Nick mógł swobodnie przycisnąć strzykawkę ciśnieniową do tętnicy szyjnej. Mistrz Jedi niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w noc, nawet nie poczuł lekkiego ukłucia.

Śledził swój miecz świetlny.

- Nie zamierza usiąść - mruknął.

- Kto i po co?

- Vastor. Łazi. Krąży. Jak rancor przywiązany na pustyni.

- A dziwisz mu się?

- Nie powinienem. Pewnie czuje, że choć walka była prawdziwa, moje poddanie się - nie całkiem. Biedak nie ma pojęcia, co z tym zrobić.

Nick wsunął strzykawkę z powrotem do futerału.

- Jeśli spędzanie czasu ze mną i pakietem medycznym nie jest twoją ulubioną formą rozrywki, trzymaj się raczej od niego z daleka, przynajmniej na razie. - Poklepał bandaż z bactą, którym opatrywał ukąszenie na karku Mace'a. - Nie masz bladego pojęcia, ile śmiertelnych bakterii tu znalazłem. Wolałbym nie wiedzieć, co on jada.

- Nie interesuje mnie za bardzo, co on je, ale raczej, co je jego -odparł Mace.

- Jedna łatwa odpowiedź. - Nick skinął głową w kierunku namiotu Depy. - Co z nią?

- Sam widziałeś - wzruszył ramionami Mace.

- Nie... chodzi mi o te wszystkie bzdury związane z Ciemną Stroną. To, o czym mówiłeś, zanim cię zostawiłem w osadzie.

- Nie... nie umiem powiedzieć. — Zmarszczka na czole Mace'a znacznie się pogłębiła. - Chciałbym powiedzieć, że wszystko w porządku. Ale to, czego bym chciał, nie ma nic wspólnego z rzeczywistym stanem rzeczy. Ona wydaje się... niestabilna.

- Wiesz co, kilka miesięcy na wojnie może to zrobić z każdym.

- Właśnie tego się boję.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Nie jestem pewien, która może być godzina. Pewnie jest po północy, do świtu jeszcze kilka godzin. Nie mogę określić dokładniej, bo funkcję chronometru mojego notatnika spotkał ten sam los, co ukryty w nim nadajnik. Jest jednak taka pora w nocy, kiedy nawet świecące pnącza przygasają, krążące drapieżniki układają się do drzemki, a sen wydaje się jedyną czynnością, jaka nabiera znaczenia.

A jednak nie śpię, choć niewiele spałem w ciągu trzech ostatnich dni.

Obudził mnie krzyk Depy.

Ten krzyk nieprawdopodobnego bólu wyrwał mnie z moich własnych koszmarów. Nie było w nim strachu, jedynie cierpienie tak głębokie, że nie można go było wyrazić inaczej.

Ona także się obudziła, a jej pierwszą myślą było otworzyć namiot i zmęczonym głosem zapewnić wszystkim, że to naprawdę tylko sen. Wydaje się, że taka jest zawsze jej pierwsza myśl: uspokoić Korunnai i mnie. Bardzo mnie to pociesza.

Dziś to dopiero trzeci raz.

A jednak - choć jestem cały poraniony, nieprzyzwyczajony do spania w koruńskim śpiworze - muszę przyznać, że spałem tak dobrze, jak nigdy do tej pory na tej planecie.

Krzyki Depy są wybawieniem.

Ponieważ moje własne koszmary nie chcą mnie budzić.



Moje koszmary mnie wsysają, zalewają ślepy, lepki chaosem niepokoju i cierpienia. To coś więcej niż zwykle, niespokojne sny o ranach i cierpieniu czy rozmaitych ponurych jatkach, rozrywaniu na kawałki i śmierci, jaka może cię spotkać w dżungli.

W moich obecnych snach śnię o zniszczeniu Jedi. O śmierci Republiki. Widziałem świątynię w ruinach, rozbity senat i całe Coruscant rozbite orbitalnym bombardowaniem przez statki o niezwyklej konstrukcji. Widziałem Coruscant, centrum kultury galaktycznej, jak stawało się dżunglą o wiele bardziej wrogą i obcą niż dżungla Haruun Kal.

Widziałem koniec cywilizacji.

Krzyki Depy sprowadzają mnie z powrotem do dżungli i nocy.

Tydzień temu nie sądziłem, że przebudzenie w środku dżungli może przynieść ulgę.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Jutro opuszczamy to miejsce.

Powtarzam to sobie przez cały dzień, gdy siedząc ze skrzyżowanymi nogami na skorupie ankkoksa, rozmawiam z Depą. Powinienem właściwie powiedzieć - słuchając jej. Wydaje się, że słyszy mnie tylko wtedy, kiedy jej to odpowiada. Przez cały dzień opuszczałem skorupę tylko po to, żeby rozprostować nogi lub posłuchać zewu natury... ale czasem, zanim jeszcze zdążę wdrapać się na swoje siedzisko, ona już zaczyna mówić tym samym niskim, niewyraźnym szeptem, którym zawsze ze mną rozmawia - jakby nasza rozmowa cały czas ciągnęła się w jej głowie, a moje przybycie było tylko nieistotnym szczegółem.

Kiedy nadlatywały kanonierki i zasypywały nas ogniem albo na oślep strzelały z działek, partyzanci, którzy mieli dość szczęścia, by znajdować się akurat w pobliżu ankkoksa, kryli się pod parasolem jego grubej skorupy. Depa jednak nigdy tego nie robiła, ja też nie. Ona leżała na swoim szezlongu w howdah, ja czasami opierałem się o polerowaną balustradkę, a jej miękki głos unosił się ponad moim ramieniem.

Przebyliśmy dzisiaj wiele kilometrów. Teren zaczyna się wznosić, dżungla się przerzedza, dzięki czemu możemy się poruszać znacznie szybciej. Nie na darmo Korun nie liczy przebytych kilometrów, tylko czas podróży.

Przerzedzająca się dżungla, która z jednej strony ułatwia nam marsz, z drugiej jednak odsłania nas przed kanonierkami, które wydają się teraz latać w zorganizowanych patrolach i prowadzić systematyczne poszukiwania.

Wiele mam do powiedzenia o minionym dniu, a jednak trudno mi o tym mówić. Mogę myśleć tylko o jutrze, o spotkaniu z Nickiem i wezwaniu „Hallecka”, aby nas stąd zabrał.

Nie mogę się już doczekać.

Odkryłem, że nienawidzę tego miejsca.

Nie jest to całkiem zgodne z naturą Jedi, ale nie mogę temu zaprzeczyć. Nienawidzę wilgoci, smrodu, gorąca, potu, który nieustannie ścieka mi po brwiach i policzkach, kapie z podbródka. Nienawidzę bydlęcej tępoty trawiaków, groźnego powarkiwanie półdzikich akków. Nienawidzę chwytnych pnączy, brązowina, drzew portaaku i krzaków thyssela.

Nienawidzę ciemności pod drzewami.

Nienawidzę wojny.

Nienawidzę tego, co zrobiła z tymi ludźmi. I z Depą.

Nienawidzę tego, co robi ze mną.

Na „Hallecku” będzie czysto i chłodno. Pożywienie nie będzie spleśniałe ani przegniłe, nie będzie miało w sobie jaj insektów.

Wiem, co najpierw zrobię na statku, zanim jeszcze pójde na mostek przywitać się z kapitanem.

Wezmę prysznic.

Ostatni raz czułem się czysty w wahadłowcu na orbicie. Teraz się zastanawiam, czy ten cały brud zejdzie za pierwszym razem.

Przypominam sobie chwilę, kiedy wyszedłem z wahadłowca w porcie Pelek Baw, spojrzałem na ośnieżony szczyt Ramienia Dziadka i pomyślałem, że zbyt wiele czasu spędziłem na Coruscant.

Cóż ze mnie za głupiec.

Dobrze mnie opisała Depa: ślepy, nieświadomiony, arogancki dureń.

Bałem się dowiedzieć, jak źle mogą tu wyglądać sprawy, ale najgorsze z moich obaw nawet nie zbliżyły się do prawdy.

Nie mogę...

Czuję, że zbliża się mój miecz świetlny.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Kar ostentacyjnie zatrzymał się w namiocie Depy, żeby omówić drogę na jutro, zanim oboje udadzą się na spoczynek. Podejrzewam, że tak naprawdę sprawdza, co się dzieje ze mną.

Mam nadzieję, że usatysfakcjonowało go to, co zobaczył.

Tego ranka zapytałem Depę, dlaczego nie uciekła, kiedy separatyści wycofali się z Gevarno i Oparu. Dlaczego najwyraźniej chciała tu zostać, nawet gdybym nie wymuszał na niej współpracy.

- Szykowały się walki. Czy Jedi może wtedy odejść? - Jej głos był stłumiony przez warstwy zasłon. Nie zaprosiła mnie dziś do środka, a ja nie pytałem, dlaczego.

Obawiam się, że była w takim stanie, w jakim żadne z nas nie chciało, żebym ją oglądał.

- Walczyć po zakończeniu bitwy... Depo, Jedi tak nie postępuje - odpowiedziałem. - To oznacza ciemność.

- Wojna to nie światło i ciemność. To zwyciężanie. Albo śmierć.

- Ale tu już zwyciężyłaś. - Pomyślałem znowu o jej słowach, usłyszanych w moim dziwnym śnie na jawie. Słowach jej, a może Mocy - tego nie wiedziałem.

- Może i tak. Ale rozejrzyj się wokół. Czy to, co widzisz, można nazwać zwycięską armią? Czy nie są to raczej obdarci uchodźcy, resztkami sił utrzymujący się o krok od szubienicy?

Bardzo im współczuję z powodu ich ogromnych cierpień i desperackiej walki. Nigdy nie przestaję myśleć o tym, że tylko fantazja antropologów Jedi i wybór starszyny ghosha Windu spowodowały, że mój los jest inny od ich losu.

Zbyt łatwo mogłem sam wyrosnąć na Kara Vastora.

Nie powiedziałem tego Depie; nie po to tu przybyłem, aby dyskutować nad zawirowaniami w nieskończonej rzece Mocy.

- Rozumiem tę wojnę - powiedziałem. - Doskonale wiem, o co walczą. Pytam tylko, o co jeszcze walczysz ty?

- Nie czujesz tego?

Poczułem, kiedy to powiedziała: w Mocy pulsował ogromny, nieskończony rytm strachu i nienawiści, taki sam jak ten, który wyczuwałem u Nicka, Chalk, Besha i Lesha, lecz wzmocniony przez dżunglę, jakby stała się ona planetarną komorą rezonansową. Była to nienawiść, która pozwalała Korunnai walczyć dalej, jakby cały lud dzielił to samo marzenie: by Balawai stali się jedną wielką czaszką, gotową przyjąć cios koruńskiej maczugi.

- Tak, nasza bitwa została wygrana - powiedziała. - Ich jeszcze trwa i pewnie nigdy się nie skończy, dopóki żyje choć jedno z nich. Balawai nigdy nie przestaną przybywać. Wykorzystaliśmy tych ludzi do własnych celów... i teraz mamy to, czego chcieliśmy. Czy powinnam była ich odrzucić? Pozostawić na pastwę wojny domowej, bo nie są nam już potrzebni? Czy to właśnie nakazuje mi rada?

- Wolisz zostać i walczyć w nie swojej wojnie? Jej głos nabrał energii.

- Mace, oni mnie potrzebują, jestem ich jedyną nadzieją. Energia ta jednak szybko zgasła i Depa wróciła do zmęczonego szeptu.

- Zrobiłam... różne rzeczy. Nie całkiem jednoznaczne, wiem. Widziałam... Mace, nie możesz sobie wyobrazić tego, co widziałam. W całej okazałości zła... w całej okazałości mojego zła. Wejrzyj w Moc... Poczujesz, jak bardzo złe może być wszystko dokoła. Łącznie ze mną.

Z tym nie mogłem się sprzeczać.

- Rozejrzyj się. - Szept nabrał goryczy. - Pomyśl o wszystkim, co widziałeś. To taka sobie wojenka, Mace. Seria krótkich, nieszkodliwych potyczek. A potem pojawia się Republika i Konfederacja. Sportowa zabawa, a jednak popatrz, co uczyniła z tymi ludźmi. Wyobraź sobie teraz, co wojna zrobi z tymi, którzy jej nigdy nie znali. Wyobraź sobie bitwy piechoty na polach Alderaanu, KOBA uderzające w drapacze nieba na Coruscant. Wyobraź sobie, czym się stanie galaktyka, jeśli Wojna Klonów okaże się czymś poważnym.

Powiedziałem jej, że już jest poważnym konfliktem, a ona się tylko roześmiała.

- Nie widziałeś jeszcze poważnego konfliktu.

Odparłem, że właśnie na niego patrzę.

Myszę teraz o żołnierzach-klonach na „Hallecku”, o ich absolutnej, niepodważalnej odwadze i dyscyplinie ogniowej, o tym, jak bardzo różnią się od tych obszarpanych morderców - tak jak tylko jedna istota ludzka może się różnić od drugiej... i przypominam sobie, że Wielka Armia Republiki liczy sobie milion dwieście tysięcy klonów. To wystarczy akurat, żeby osadzić po jednym człowieku - jednym, jedynym człowieku - na każdej planecie Republiki, a jeszcze zostanie ich trochę nieobsadzonych.

Jeśli Wojna Klonów rozprzestrzeni się tak, jak przypuszcza Depa, będzie prowadzona już nie przez klony, Jedi i roboty bojowe, ale i przez zwykłych ludzi. Przez zwykłych ludzi, którzy nagle staną przed drastycznym wyborem: umrzeć albo stać się kimś takim jak Korunnai. Zwykłych ludzi, którzy będą musieli na zawsze opuścić Galaktykę Pokoju.

Mogę jedynie żywić nadzieję, że wojna okaże się łatwiejsza dla tych, którzy nie mogą dotknąć Mocy.

Choć podejrzewam, że będzie dokładnie odwrotnie.

Były też godziny, kiedy nie rozmawialiśmy. Siedziałem obok howdah, a ona drzemała w popołudniowym upale. Mnie też usypiał monotony ruch ankkoksa, niezmienny korowód mijanych drzew, pnączy i kwiatów. Wsłuchiwałem się w senne mamrotania Depy, nieraz wrywany z zadumy jej krzykami, gdy miewała koszmary, albo rozpaczliwymi jękami, jakie wydierały jej z ust ciężkie migreny.

Wydawało się, że często dopada ją gorączka. Nieraz jej mowa stawała się beładnym, bełkotliwym

monologiem, przeskakującym z tematu na temat z gorączkową przypadkowością. Jej słowa miały dziwny, proroczy ton, jakby przepowiadała przyszłość, która nie ma przeszłości. Czasem próbowałem to zarejestrować... ale jakoś nigdy nie udaje mi się nagrać jej głosu.

Tak jakby nasze rozmowy były tylko moją własną halucynacją. A jeśli tak... A czy to ma znaczenie?

Nawet kłamstwo Mocy jest prawdziwsze niż każda rzeczywistość, którą możemy objąć umysłem.

## **Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

Większość dnia spędziliśmy, rozmawiając o Karze Vastorze. Depa oszczędziła mi wielu smakowitych szczegółów, ale i tak powiedziała dość.

Więcej niż dość.

Na przykład, kiedy Kar mnie nazywa doshalo, nie jest to zwykły przypadek. Jeśli to, co powiedział Depie, jest prawdą, Kar Vastor i ja jesteśmy ostatnimi z Windu.

Gosh, w którym się urodziłem - i gdzie mieszkałem przez kilka miesięcy jako nastolatek, aby zapoznać się z pewnymi koruńskimi umiejętnościami posługiwania się Mocą - został podobno doszczętnie zniszczony w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie w jakiejś wielkiej masakrze, nie jako ostateczna linia obrony, lecz wskutek prostej, brutalnej arytmetyki. Mój gosh stał się po prostu jeszcze jedną statystyczną ofiarą kipiącej pod powierzchnią dżungli wojny partyzanckiej z wrogiem liczniejszym, lepiej uzbrojonym i równie bezlitosnym.

Depa powiedziała mi o tym z lekkim wahaniem, jakby to były straszne wieści, które trzeba przekazywać ostrożnie. Może i tak. Nie potrafię ocenić. Chyba jej się wydawało, że dla mnie powinno to mieć ogromne znaczenie. Może i powinno.

Jestem jednak znacznie bardziej Jedi niż Korunem.

Kiedy myślę o moich martwych doshalai, o spuściźnie i tradycji Windu, która pogrąża się we krwi i mroku, czuję jedynie abstrakcyjny smutek.

Każda opowieść o bezcelowym cierpieniu i stratach jest dla mnie smutna.

Wszystkie bym pozmieniał, gdybym tylko mógł. Nie tylko moją.

A już na pewno Kara.

Zdaje się, że jako młodzieniec Kar był całkiem normalny; może w większym kontakcie z pelekotanem niż inni, ale poza tym dość zwyczajny. Dopiero Letnia Wojna tak go zmieniła, podobnie jak wielu innych na tym świecie.

Kiedy miał czternaście lat, na jego oczach poszukiwacze wymordowali mu całą rodzinę: kolejna

przypadkowa potworność, których pełna jest ta wojna.

Nie wiem, jak to się stało, że sam uciekłem. Wersje, które Depa słyszała od Korunnai, są sprzeczne. Sam Kar chyba wolałby o tym nie opowiadać.

Wiemy tylko tyle, że po wymordowaniu całej rodziny zostawiono go w dżungli bez broni, bez trawiaków, bez akków i ludzkiego towarzystwa, bez żywności i zapasów. A on przeżył w dżungli cały rok standardowy. Sam.

Właśnie to miał na myśli, kiedy powiedział, że przeżył tan pel'trokal.

Ta nazwa ma w sobie ironię, którą dopiero teraz doceniłem.

Tan pel'trokal jest karą wymyśloną przez koruńską kulturę, wymierzaną za zbrodnie zasługujące na karę śmierci. Wiedząc, że ludzki osąd jest zawodny, Korunnai pozostawiają ostateczne wykonanie wyroku samej dżungli. Uważają, że to łaska.

Powiedziałbym, że to łaska, którą wyświadczają sami sobie. Dzięki temu mogą odebrać życie, nie plamiąc rąk krwią.

W przypadku Kara, tan pel'trokal wymierzono mu za zbrodnię bycia Korunem. Był równie niewinny - a może równie winny - jak dzieci Balawai, z którymi chciał zrobić to samo. Ich zbrodnia była identyczna: urodzili się niewłaściwej rodzinie.

W tym okresie Kar był pewnie trochę starszy od Keeli.

Ale w okolicy nie było Jedi, który by go uratował, musiał się zatem ratować sam.

Sądzę, że jego niezdolność do używania ludzkiej mowy stała się częścią ceny, jaką zapłacił za swoje przeżycie. Każdy Jedi wie, że za siłę trzeba zapłacić: Moc utrzymuje równowagę, której nie wolno zachwiać. Pelekotan dał mu moc za człowieczeństwo.

Zastanawiam się czasem, czy Moc nie czyni tego samego z Jedi...

On i jego strażnicy akków mają chyba wiele wspólnego z Jedi: wydają się naszym odbiciem w czarnym zwierciadle. Polegają na instynkcie, Jedi zaś polegają na szkoleniu. Wykorzystują gniew i agresję jako źródło swej siły; nasza siła opiera się o spokój i obronę. Nawet broń, którą nosi zarówno on, jak i jego strażnicy, jest zniekształconym obrazem naszej broni.

Używam mojego miecza jako tarczy. Oni używają swoich tarcz jako mieczy.

Depa mówi, że te „wibrotarcze” są wynalazkiem Kara. Wibrotopory są wśród poszukiwaczy dość popularną bronią; wykorzystuje się je do ścinania drzew i oczyszczania dróg przez zarośla zbyt gęste, żeby przepchnęły się przez nie pełzaki. Od czasu, kiedy do zasilania wibrotoporów używa się generatorów sonicznych, całkowicie i hermetycznie zamkniętych w obudowie, stały się one całkiem odporne na metalożerne grzyby i pleśnie.

A sam metal... cóż, to też ciekawa historia. Podobno jest to stop, którego nie atakują grzyby. Jest wyjątkowo twardy i nigdy nie traci ostrości krawędzi. Nie rdzewieje, nie ciemnieje.

Wydaje się, że jest też nadprzewodnikiem.

Dlatego moje ostrze nie mogło go przeciąć. Cała powierzchnia ma zawsze jednakową temperaturę. Nawet energia miecza świetlnego jest natychmiast odprowadzana. Jeśli dość długo przytrzymasz ostrze, wszystko się stopi, ale tarczy nie przetniesz. Nie energetyczną klingą.

Kiedy Kar przyjmuje kogoś na strażnika akków, człowiek ten buduje swoją własną broń. Jest to tradycja nieco podobna do tradycji Jedi, którzy także sami budują swoje miecze.

Teraz dopiero przyszło mi do głowy, że Kar mógł wykorzystać historie ze szkolenia Jedi, jakie swego czasu opowiadałem moim dawno zaginionym przyjaciółom z ghosha Windu, jakieś trzydzieści pięć czy nawet więcej lat temu. Korunnai mają długą tradycję przekazywania sobie opowieści z ust do ust, a historie przechowywane w każdej rodzinie traktuje się jak największy skarb.

Nie podzieliłem się tą uwagą z Depą.

A Depa przysięga, że nie ona nauczyła Kara i jego strażników typowej dla Jedi umiejętności przekazywania myśli. Powiada, że Kar już ją znał, kiedy po raz pierwszy się spotkali, a jeśli to, co twierdzi Depa, jest prawdą, musiał nauczyć się tego sam. Prawdopodobnie zaczerpnął pomysł z tej samej opowieści, którą ja -bezmysłny młodzik - niewinnie podzieliłem się z równie niewinnymi przyjaciółmi.

I tak, w dziwny, okrężny sposób, Kar Vastor może być moim dziełem.

Pochodzenie metalu jest tajemnicą. Kar nikomu jej nie zdradza. Sądzę, że wiem, co to takiego.

Powłoka statku kosmicznego.

Tysiące lat temu - przed wojnami Sithów - kiedy generatory pola były tak masywne, że mogło się w nie wyposażać tylko największe statki bojowe, mniejsze stateczki zbrojono lustrzanym nadprzewodzącym stopem, który wytrzymywał strzały z powolnych i niskoenergetycznych działek laserowych tamtych czasów.

Myślę, że Kar, gdzieś tam w przepaścistej dżungli wyżyny Korunnai, któregoś dnia podczas swojego rocznego tan pel'trokał natrafił na starożytny statek Jedi, który pozostawili na tej planecie jego przodków, a także moich własnych.

Wcześniej, tego samego wieczoru, dowiedziałem się ostatecznej prawdy o Karze Vastorze. Nie tylko kim jest i dlaczego jest taki, a nie inny...

Ale także o co mu chodzi.

Gdzieś po drodze na trasie Kar znalazł jaskinię, która wydawała się odpowiednia, aby nas ukryć przed kanonierkami i wykryciem przez satelity. Tej nocy zajął się uzdrawianiem Besha i Chalk z

zakażenia larwami osy. Besh i Chalk pozostawali w transie thanatyzującym, przymocowani do toboganu jak towar. Brutalne rany, jakie zadał im Terrel, częściowo zasklepiono za pomocą kleju do tkanek ze zdobycznego pakietu medycznego, choć same rany rzecz jasna zagoić się nie mogły - procesy naprawcze organizmu również zostały spowolnione przez thanatyzację.

Depa była świadkiem zabiegu, ja też, podobnie jak kilku innych wybrańców. Para strażników akków wniosła ją do środka, razem z szezlongiem i całą resztą. Leżała, zasłaniając oczy szczupłym ramieniem -właśnie cierpiała na atak migreny, a blask tyruunu, lokalnego drewna, które płonie białym ogniem, sprawiał jej ból. Zdaje się, że najchętniej w ogóle zrezygnowałaby z całej imprezy.

Kiedy jednak Kar ułożył nieruchome ciała Besha i Chalk twarzą do dołu na omszałej podłodze pieczary, a potem rozerwał im tuniki na plecach, Depa poruszyła się i usiadła. Wprawdzie przez cały czas przysłaniała oczy, ale blask ognia zapalał w nich czerwone i srebrne błyski. Patrzyła łakomie, wbijając drobne białe zęby w dolną wargę i oblizując kącik ust w okolicach blizny po oparzeniu.

Kar przykucnął obok leżących, nucąc coś pod nosem, a Korun, którego nie znałem, zaczął wprowadzać im do żył antidotum. Nucenie Vastora było coraz głośniejsze, nabrało pulsującego rytmu, jak powolne tętno ludzkiego serca. Wyciągnął dłonie, zamknął oczy i nucił, a ja wyczuwałem ruch w Mocy, wir siły, całkiem niepodobny do tego, co wyczuwałem w obecności uzdrowicieli Jedi - albo kogokolwiek innego, jeśli mam być szczery.

Wzdłuż kręgosłupów Besha i Chalk pojawił się nagle czerwony pas; w chwilę później okazało się, że to lśniąca wilgoć świeżej krwi przesączającej się przez skórę. Powiedzmy, że szczegóły nie są najważniejsze. Wystarczy powiedzieć, że Kar w jakiś sposób wykorzystał Moc - lub raczej pelekotan - aby przekonać larwy osy, że znajdują się w całkiem niewłaściwym miejscu do wykluwania; wykorzystując ten sam owadzi tropizm, który każe im od miejsca ukąszenia przemieszczać się natychmiast w kierunku centralnego systemu nerwowego ofiary, Kar zmusił je do przeniesienia się...

Całkowicie poza ciała Besha i Chalk.

Jego moc była tak wielka, że cała ta wijąca się masa - pewnie było ich razem z kilogram - popęzła prosto do ognia tyruunu, gdzie pękały z lekkim trzaskiem, smażąc się i wydzielając słaby swąd podobny do spalonych włosów.

W samym środku tego niezwykłego przedstawienia Depa pochyliła się ku mnie i szepnęła:

- Nigdy się nie zastanawiałaś nad tym, czy przypadkiem się nie mylimy?

Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Machnęła delikatną ręką o drobnych kościach, wskazując na Vastora.

- Taka moc... i taka kontrola... i ani jednego dnia szkolenia. To, co robi, jest dla niego naturalne, tak naturalne jak sama dżungla. My, Jedi, szkolimy się przez całe życie: kontrolujemy naturalne emocje, pokonujemy naturalne pragnienia. Dajemy w zamian za tę naszą Moc tak wiele... A który Jedi potrafiłby zrobić coś takiego?



Nie umiałem jej odpowiedzieć. Vastor miał moc na skalę Mistrza Yody albo młodego Anakina Skywalkera. Nie miałem zamiaru prowadzić z Depą debaty na temat tradycji Jedi oraz niezbędnego rozróżnienia pomiędzy światłością a mrokiem.

Postanowiłem zatem zmienić temat.

Powiedziałem jej, że Nick wyjawiał mi prawdę o zainscenizowanej masakrze i o jej wiadomości na karcie danych; przypomniałem jej, że w czasie wczorajszej rozmowy nawiązywała do jakiegoś planu w stosunku do mojej osoby. Chciała mi coś pokazać czy czegoś mnie nauczyć... Zapytałem, o co chodzi.

Zapytałem, co zamierzała osiągnąć, sprowadzając mnie tutaj.

Zapytałem, jakie są jej warunki zwycięstwa.

Odpowiedziała, że po prostu chciała mi coś powiedzieć. To wszystko. Informacja była krótka, mogła ją przesłać w jednym podprzestrzennym piknięciu, kilka słów, nie więcej. Musiałem jednak być na wojnie - widzieć ją i wahać, pić i spożywać, i oddychać wojną - inaczej nigdy bym jej nie uwierzył.

Powiedziała mi: „Jedi poniosą klęskę”.

Tam, w jaskini, przy wtórze trzasków i skwierczenia larw smażących siew ogniu tyruuna, zaprotestowałem, przywołując na pomoc liczby: lojalistów wciąż było dziesięciokrotnie więcej niż separatystów, Republika miała potężne zaplecze produkcyjne, ogromną przewagę w zasobach... ot, początek długiej listy powodów, dla których Republika musi wygrać.

- Och, wiem - odpowiedziała. - Republika może i wygra. Ale Jedi poniosą klęskę.

Powiedziałem wtedy, że nie rozumiem, ale teraz uważam, że to nieprawda. Prawda jest taka, że Moc powiedziała mi to ustami Depy tamtej nocy w osadzie. I że rozumiem już wszystko, co było do zrozumienia.

Po prostu nie chcę w to uwierzyć.

Powiedziała mi, że sam jestem wcieleniem porażki Jedi.

- Powód, dla którego uwolniłeś Balawai, Mace - rzekła mi - jest tym samym powodem, dla którego Jedi zostaną zniszczeni.

Wojna to potworność, powiedziała. To jej własne słowa: „Potworność. Ale ty nie możesz zrozumieć jednego - ona musi być potwornością. Tak się zwycięża w wojnach: zadając wrogowi najpotworniejsze rany, tak aby już się nie mógł podnieść i walczyć. Nie można traktować wojny jako sposobu egzekucji prawa, Mace. Nie możesz walczyć w obronie niewinnych, bo niewinnych nie ma”.

Powiedziała mniej więcej to samo, co Nick na temat poszukiwaczy: nie ma cywilów.

- Niewinni obywatele Konfederacji to ci, którzy umożliwiają swoim przywódcom prowadzenie z

nami wojny: budują statki, hodują żywność, wydobywają metale, oczyszczają wodę. I tylko oni mogą tę wojnę powstrzymać. Tylko ich cierpienie spowoduje jej zakończenie.

- Ale chyba nie oczekujesz, że Jedi będą stać i patrzeć na cierpienia i śmierć zwyczajnych ludzi - zacząłem.

-Właśnie. Dlatego nie zwyciężymy. Aby wygrać tę wojnę, musimy przestać być Jedi. - Wciąż jeszcze mówi w czasie przyszłym, ale mam wrażenie, że w jej sercu, w sumieniu, Jedi już nie żyją. -To tak, jak zrzucenie bomby na arenę Geonosis. Możemy uratować Republikę, Mace. Możemy. Ale kosztem naszych zasad. Ostatecznie czy nie po to są Jedi? Poświęcamy dla Republiki wszystko: nasze rodziny, nasze rodzinne świąty, nasze bogactwo, nawet życie. Teraz Republika oczekuje od nas, że poświęcimy również nasze sumienia. Czy możemy odmówić? Czy tradycja Jedi jest ważniejsza niż życie bilionów?

Opowiedziała mi, jak wraz z Karem Vastorem zdołali przepędzić separatystów z tej planety.

WNS wykorzystywała port kosmiczny Pelek Baw jako bazę, gdzie naprawiali, doposażali i doładowywali myśliwce bezpilotowe, którymi otaczali system Al'har. Operacje te wymagały znacznej liczby pracowników cywilnych. Strategia Depy była prosta: udowodnić tym cywilnym pracownikom, że wojska separatystów i milicja Balawai razem wzięte nie są w stanie zapewnić im bezpieczeństwa.

Nie było otwartej walki. Nic heroicznego ani spektakularnego. Niekończąca się seria ponurych morderstw. Jedna lub dwie osoby naraz. Początkowo separatyści zalali Pelek Baw swoimi siłami zbrojnymi - ale roboty bojowe są tak samo nieodporne na metalożerne grzyby jak zwykle miotacze, żołnierze z krwi i kości zaś umierają równie łatwo jak cywile. Na czym zatem polega wojna partyzancka? Jej prawdziwym celem nie są stanowiska bojowe nieprzyjaciela, ba, nawet nie jego życie.

Celem jest wola walki wroga.

Wojny nie wygrywa się, zabijając nieprzyjaciół, ale terroryzując ich tak długo, aż zrezygnują i sami wrócą do domu.

- Dlatego sprowadziłam cię na Haruun Kal - powiedziała Depa. - Chciałam ci pokazać, jak wyglądają żołnierze zwycięskiej armii - wskazała miejsce gdzieś poza ogniskiem. - Patrz, oto Jedi przyszłości.

Wskazywała na Kara Vastora.

Dlatego właśnie teraz, o tej czarnej godzinie, długo przed świtem i jeszcze dłużej po północy, kiedy to świecące pnącza blakną, a drapieżniki udają się na spoczynek, wciąż leżę w śpiworze i gapię się w czarne liście nad głową. Myślę o jutrze.

Jutro stąd odjeżdżamy.

Wracamy do światów, gdzie prysznice zawierają tylko czystą wodę, zamiast mgły probi. Do

światów, gdzie śpi się pod dachem, na materacach, w czystych, bielonych prześcieradłach z prawdziwych włókien.

Do światów, które na razie wciąż jeszcze leżą w Galaktyce Pokoju.

Powietrze nad przełęczą Lorshan było tak czyste, że niebieski jak niebo szczyt, który Mace z trudem dostrzegał daleko na południu, mógł być nawet Ramieniem Dziadka. Nieco bliżej w tamtym kierunku na ziemi kładła się plama mgły, prawdopodobnie smog nad Pelek Baw. Jeszcze bliżej drobniutkie srebrne kropeczki kanonierek patrolowały dżunglę w dolinie. Dużo ich było - Mace naliczył co najmniej sześć, może nawet dziesięć uwijających się nad górami trójek.

Od czasu do czasu widać było bezgłośny błysk strzału z działa lub kręte nitki czarnego dymu z miotaczy ognia. Mace czerpał z nich pewną otuchę; oznaczało to, że milicja wciąż sądzi, iż partyzanci kryją się w dżungli.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami u wejścia do jaskini, z notatnikiem na kolanach. Tylko o dwa metry dalej jaskrawe popołudniowe słońce oświetlało łączkę na zboczu: porośniętą gęstą trawą płaszczyznę, prawie całkiem poziomą, która po jakichś dziesięciu metrach załamywała się ostro i spadała aż do przełęczy w dole.

Ta łączka wystarczy bez problemu, aby mógł tu wylądować lądownik klasy Jadthu, produkcji Republic Sienar Systems.

Mace z determinacją starał się nie patrzeć w niebo. Jak przyleci, to będzie.

Już tylko kilka minut, nie więcej.

Stwierdził, że układa w myśli listę obrażeń, jakie wyniósł z Haruun Kal: od sińców po strzałach z miotaczy nastawionych na ogłuszanie poprzez oparzenia, połamane żebra, wstrząs mózgu, a nawet ugryzienie przez człowieka. Nie wspominając licznych ukąszeń i użądleń owadów, jakiejś wysypki na prawym udzie i bąbli na stopach, które prawdopodobnie zawdzięczał uporczywej grzybicy.

A to tylko obrażenia fizyczne. Szybko się zagoją.

Co innego z tymi niefizycznymi. Wiara w siebie, zasady, pewniki moralne... serce.

Tego nie można wyleczyć bandażem w sprayu i plastrami z bacty.

Nieustannie krążący za jego plecami Nick zdążył już wydeptać dróżkę w cienkiej warstwie gruntu pokrywającego podłogę jaskini. Podniósł karabinek oparty o ścianę, sprawdził po raz dziesiąty, czy działa, odstawił znowu. To samo zrobił z pistoletem przy udzie, po czym rozejrzał się, czy nie znajdzie jeszcze czegoś do roboty. Nie znalazł, więc wrócił do spaceru.

- Jak długo jeszcze?

- Niedługo.

- To samo mówiłeś ostatnie trzy razy, kiedy ci zadałem to pytanie.

- To chyba kwestia różnicy w interpretacji słowa „długo”.

- Jesteś pewien, że będzie?

- Tak - skłamał Mace.

- A jeśli oni przylecą szybciej? Chcę powiedzieć, że nie mamy czasu, żeby na nią czekać... nie wtedy, kiedy kanonierki i cholera wie, co jeszcze, śledzą lądownik w atmosferze. Jeśli jej nie będzie...

- Wtedy zaczniemy się martwić.

- Jasne. -Nick zmienił kierunek wędrówki; zamiast od jednej ściany do drugiej, chodził teraz od wejścia do ściany w głębi i z powrotem. - Jasne.

-Nick? -Co?

- Siądź sobie.

Młody Kotun zatrzymał się, skrzywił przepaszając pod adresem Mace'a, wyprostował sobie tunikę i kciukami przesunął pod sznurkiem, podtrzymującym mu spodnie w pasie, jakby go piły.

- Nie lubię czekania.

- Zauważyłem.

Nick przykucnął koło mistrza Jedi i skinął głową w kierunku notatnika.

- Masz tu jakieś gry? Bo ja zagrałbym teraz nawet w dejarika. A nienawidzę dejarika.

Mace pokręcił głową.

- To mój dziennik.

- Widziałem, jak do niego mówisz. Coś jak pamiętnik?

- Nazwijmy to tak. Osobisty rejestr moich doświadczeń na Haruun Kal. Dla archiwów świątyni.

- Bomba. A ja tam jestem?

- Tak. I Besh, i Chalk, i Lesh, Depa i Kar Vastor, i dzieciaki z osady.

- Bomba - powtórzył Nick. - Naprawdę bomba. Świetne to... Wszyscy Jedi tak robią?

Mace objął wzrokiem nierówny teren poniżej przełęczy.

- Depa raczej nie... - westchnął i znów powstrzymał się, żeby nie spojrzeć w niebo. - Dlaczego

pytasz?

- Cóż, to takie dziwne, wiesz? Pomyśl sobie tylko, będę w archiwach Jedi...

-Tak.

- Dwadzieścia pięć tysięcy lat zapisów. To jak... jakbym był częścią historii całej galaktyki!

- I będziesz, chcesz czy nie.

- Jasne, pewnie, wiem, wszyscy są. Ale niekoniecznie w archiwach Jedi, prawda? Chodzi o to, że moje nazwisko zostanie tam na zawsze. To jak nieśmiertelność...

Mace pomyślał o Leshu i o Phloremirlli Tenk. O Terrelu i Ranki-nie. O ciałach spalonych bezimiennie, pozostawionych w ziemi osady.

- To jest tak blisko nieśmiertelności - rzekł powoli - jak tylko może się znaleźć normalny człowiek.

- Mógłbym trochę posłuchać? - Nick próbował zachęcająco skinąć głową. - Nie jestem jakiś ciekawski, albo co. Ale trochę czasu by zeszło...

- Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć, co o tobie myślę?

- Jasne, a co? Tak źle jest? - zapytał z pełnym nadziei mrugnięciem. - Wiem, nie jest źle, tylko okropnie.

- Żartuję, Nick. Przekomarzam się z tobą. Nie mogę go odtworzyć. Jest zakodowany, a tylko mistrzowie z archiwów w świątyni mają kod.

- I nawet sam siebie nie możesz posłuchać?

Mace zważył notatnik w dłoniach: wydawał się takim małym, nieistotnym przedmiotem, a nosił w sobie tyle zwątpienia i bólu.

- Kodowanie nie tylko chroni przed odczytem, lecz również zabezpiecza mnie przed pokusą zmiany zapisów, żeby wypaść lepiej.

- A zrobiłbyś to?

- Do tej pory nie miałem okazji. Gdybym mógł... cóż, nie potrafię odpowiedzieć. Mam nadzieję, że oparłbym się pokusie, ale Jedi czy nie, wciąż jestem człowiekiem. - Wzruszył ramionami. - Zrobię teraz ostatni zapis, przygotowanie do ostatecznego raportu dla rady, po powrocie na Coruscant.

**Z prywatnych dzienników Mace'a Windu**

## [Ostatni zapis z Haruun Kal]

Major Rostu i ja czekamy przed jaskinią w koruńskiej bazie na przełęczy Lorshan. Depa...

[Męski głos zidentyfikowany jako Nick Rostu, major zawodowy, GAR] - Hej, to już jest włączone? Mogą mnie teraz... no tego... słyszeć?

-Tak, jest...

[Rostu]: - Ekstra. Więc jakiś dziki Jedi z innej planety za tysiąc lat może to wyciągnąć i to będzie tak, jakbym mu powiedział „cześć” przed tysiącem lat? Cześć, paskudny, przerażający małpiszonie Jedi, kimkolwiek...

- Majorze.

[Rostu]: -Tak, wiem, zamknij dziób, Nick.

[Odgłos ciężkiego westchnienia].

Depa ma się z nami tutaj spotkać.

Wymyśliła jakąś intrygę, żeby pozbyć się Kara Vastora i jego strażników na tak długo, by zdążyć odlecieć w spokoju. Nie podała szczegółów, a ja nie dopytywałem.

Obawiałem się usłyszeć to, co mogłaby mi powiedzieć.

Sygnal został wysłany wczesnym rankiem, przy wykorzystaniu tej samej techniki, jaką stosowała przy wysyłce sporadycznych raportów. Zamiast zwykłej transmisji podprzestrzennej - która zostałaby przejęta przez satelity milicji i pozwoliła bez trudu namierzyć lokalizację - nadawała zakodowane wezwanie do podjęcia przez normalny kanał komunikacyjny, wykorzystując bardzo ciasną wiązkę, którą następnie na jednej z sąsiednich gór odsyłali do satelity HoloNetu. Sygnal komunikacyjny zawiera również kod ominięcia priorytetów Jedi, który częściowo przechwytuje lokalne pasmo HoloNetu i wykorzystuje do przesłania rzeczywistego kodu podjęcia na „Hallecka”. Jest to bardzo bezpieczna transmisja, choć część danych zawsze traci się przy rozproszeniu wiązki.

Sam słyszałem potwierdzenie w stacji komunikacyjnej bazy.

„Halleck” jest w drodze.

Przybyliśmy do bazy mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. „Halleck” do tej pory wszedł już pewnie w system. Sama baza zaś... no cóż, nie tego oczekiwałem.

Jest to nie tyle baza wojskowa, co podziemne obozowisko uchodźców.

Kompleks jest olbrzymi, zajmuje całą północną ścianę przełęczy jak przypadkowo wykopany ul. Spora liczba wiodących od niego tuneli prowadzi w głąb dżungli, do ukrytych jaskiń. Niektóre z nich są naturalne: bąble wulkaniczne i kanały wodne zerodowane przez odcieki ze śnieżnych górskich

czap. Jaskinie zamieszkałe zostały sztucznie powiększone i wygładzone. Na Haruun Kal nie ma wprawdzie przemysłu górniczego, a więc brakuje sprzętu do wykopów, ale wibrotopór tnie kamień równie łatwo jak drewno; wiele z mniejszych pomieszczeń umeblowano łózkami, stołami i ławkami z kamienia, wyciętymi za pomocą takich właśnie ostrzy.

Byłoby to całkiem wygodne, gdyby nie panował tu taki tłok.

Jaskinie, tunele i pieczary zapchane są tysiącami Korunnai, a codziennie zjawiają się kolejni. Nie są to wojownicy, lecz głównie żony i rodzice, chorzy i ranni. I dzieci.

Całkowity brak sprzętu górniczego oznacza, że wentylacja z konieczności jest bardzo prymitywna, urządzenia sanitarne zaś po prostu nie istnieją. Zapalenie płuc szaleje; antybiotyki to pierwsza rzecz, jaką natychmiast się zużywa ze zdobycznych pakietów medycznych. Nie ma w jaskiniach miejsca, gdzie nie spotkałbyś człowieka, który ze świstem walczy o kolejny łyk powietrza wciągany do wilgotnych, zalanych śluzem płuc. Dyżentaria codziennie zbiera swoje żniwo wśród starszych i rannych, a przy urządzeniach sanitarnych na poziomie kubła sytuacja może się jedynie pogorszyć.

Największe jaskinie zajmują trawiaki. Wszyscy przybywający Korunnai prowadzą ze sobą trawiaki, którym udało się przetrwać podróż. Nawet w czasie wojny Czwarty Filar trzyma ich mocno w ryzach. Trawiaki całe dni spędzają bez jedzenia i stłoczone w ciasnych pomieszczeniach, wszystkie są wątłe i pasywne. Pomiędzy członkami różnych stad zdarzały się walki i, jak mi mówiono, codziennie pada co najmniej kilka sztuk: najczęściej od ran odniesionych w starciach lub od infekcji. Niektóre po prostu tracą chęć do życia. Kładą się i nie chcą wstać, aż umrą z głodu.

Korunnai opiekują się nimi najlepiej jak potrafią, stawiają zaimprovizowane ogrodzenia ze stert kamieni, aby rozdzielać stada, wyprowadzają je tunelami do dżungli poniżej przełęczy, gdzie mogą się paść pod czujnym okiem akków. Teraz jednak nawet i ten półśrodek zaczyna być kłopotliwy: w miarę jak przybywa coraz więcej trawiaków, Korunnai muszą wyprowadzać je coraz dalej, aby uniknąć przzerzedzenia dżungli, które mogłoby zdradzić położenie bazy.

Teraz rozumiem, dlaczego Depa nie chce odjeżdżać.

Ankkox dowiózł nas do wlotu jednego z zamaskowanych tuneli. Kiedy wyszliśmy z mroku dżungli w jeszcze głębszą ciemność podziemia, Depa odsłoniła kotary howdah i przeniosła się na fotel zamontowany na pancerzu koronowym zwierzęcia. Wydawało się, że wdycha spokój wraz z cuchnącym, gęstym powietrzem.

Wszyscy, których mijaliśmy... których widzieliśmy...

Nie było okrzyków radości, nawoływań. Powitanie Depy było widać przeżyciem głębszym niż cokolwiek, co można wyrazić słowami.

Jakaś kobieta, przytulona do ociekającej wilgocią ściany, ujrzała Depę i odepchnęła się od skały, a jej twarz wyglądała jak kwiat, który nagle otwiera się do słońca. Sama obecność Depy rozpała światło w jej oczach, dodała sił stopom. Kobieta wstała z wysiłkiem, ruszyła tunelem i zaraz znów oparła się o ścianę, ale wyciągnęła do nas dłoń, a kiedy Depa skinęła jej głową na znak, że ją



poznaje, kobieta chwyciła dłonią jej spojrzenie z powietrza, przyciskając stuloną pięść do serca, jakby to jedno spojrzenie było dla niej czymś drogocennym.

Świątym.

Jakby rzeczywiście była to jedyna rzecz potrzebna jej do szczęścia.

Tak właśnie wyglądało nasze powitanie: ta kobieta pomnożona przez tysiące. Wojownicy i ranni. Starcy. Chorzy i kaleki... Dzieci...

Depa jest dla nich czymś więcej niż Jedi. Nie boginią - sami używając Mocy, nie dają się łatwo oszołomić możliwościami Jedi. Sądzę, że jest czymś w rodzaju totemu. Jest dla nich tym, czym Jedi powinien być dla każdego, ale zapadła im w serca tak głęboko, że zdaje się to oscylować na granicy szaleństwa.

Jest ich nadzieją.

[Rostu]: - A wiesz, że to prawda?

- Nick?

[Rostu]: - Myślisz, że tu jest źle? Jasne, masz rację, jest źle. Ale nie tylko tu, to znaczy tu. Na całej wyżynie. Jest źle. Ale nie wyobrażasz sobie, jak tu było przed Depą... w sumie, wiesz, my nie jesteśmy tacy źli.

- Nikt nie powiedział, że jesteście. Ale za dobrzy też nie. Nie widziałem ani jednego dobrego faceta.

[Rostu]: - Do tej pory? Ja widziałem jednego... nie, dwóch.

- Naprawdę?

[Rostu]: - Całą tę historię z dobrymi i złymi możesz sobie wsadzić w służbę powietrzną. To znaczy, sam dobrze wiesz, dlaczego Pelek Baw wycofał się z Republiki. „Korupcja senatu” ani ta cała polityczna gadanina nie ma tu nic do rzeczy. Balawai dołączyli do Konfederacji, ponieważ separki obiecali, że będą szanować ich suwerenność. Łapiesz? Prawa planetarne. A jedynym prawem planetarnym, jakie interesuje Balawai, jest możliwość wybicia nas wszystkich. Separki parkują swoje myśliwce-roboty i załogi pomocnicze w porcie kosmicznym i nagle milicja ma do dyspozycji nieograniczoną liczbę kanonierek, a z kolei Balawai wydają prawo, że przebywanie Korunnai poza granicami miasta Pelek Baw jest nielegalne, a potem bardzo szybko zabierają się również za Korunnai w mieście. Nie wszystkich, sam rozumiesz, tylko przestępców. Żebraków, dzieciaki uliczne, rozrabiaków. Dla jasności „rozrabiaka” to każdy Korun, który powie jedno słowo na temat tego, jak jesteśmy traktowani.

Mieli dla nas obóz. Byłem tam. Tam właśnie znalazła nas Depa. Uważasz, że tu jest źle? Powinieneś zobaczyć piekło, z którego ona nas wyciągnęła.

No i dobrze, może życie tam zamieniliśmy na śmierć tutaj. No i co? Myślisz, że jest jakaś różnica?

Myślisz, że tamto było lepsze?

Życie sobie w klatce, jeśli chcecie. Ja? Ja jestem wolnym człowiekiem. Tym jest dla nas Depa.

To właśnie nam zabierasz.

- Wkrótce i tak stąd odejdziesz. [Rostu]: - Ty tak twierdzisz.

- Ona umiera, Nick. Wojna ją zabija. Ta planeta ją zabija. Korunnai ją zabijają.

[Rostu]:-Nikt nigdy jej tu nie skrzywdzi... nie umyślnie w każdym razie.

- Ale ona tonie w waszym gniewie, Nick. [Rostu]: - Ejże, ja jestem tylko troszkę upierdliwy.

- Nie chodzi o ciebie osobiście, tylko o was wszystkich. O całe to miejsce. Niekończąca się przemoc... bez nadziei, bez pomocy.

Połączenie Jedi z Mocą wzmacnia wszystko, co czujemy. Najmniejszym naszym czynom przydaje wagi, którą trudno sobie wyobrazić. Czyni nas czymś więcej niż to, czym już jesteśmy. Jeśli jesteśmy spokojni, daje nam powagę. Gdybyśmy byli wściekli, wypełniłaby nas gniewem bogów. Gniew jest pułapką. Możesz go uważać za narkotyk, nieco podobny do błyszczostymu. Nawet minimalna dawka może cię napełnić nieposkromionym apetytem na więcej i apetyt ten nigdy nie zniknie.

Dlatego my, Jedi, zawsze musimy starać się budować pokój w sobie, bo to, co tkwi w nas, widać również z zewnątrz. Moc jest Jednością. Jesteśmy częścią Mocy, a ona zawsze będzie, choć w części, tym, czym my jesteśmy.

Podobnie jak dla Vastora zbyt późno jest, aby stać się Jedi, dla Depy za późno, aby stać się lor pelekciem. Chętnie odda życie, aby pomóc twojemu ludowi. Czy ty również chętnie je weźmiesz?

[Rostu]: - Hej, nie patrz tak na mnie. Jestem po twojej stronie, pamiętasz?

- Dobrze. „Halleck” zapewne jest już w systemie, wkrótce powinniśmy zobaczyć smugę pary z lądownika. A Depa zdąży nam na spotkanie.

[Rostu]: - Na pewno? Wyczuwasz ją?

- Nie bezpośrednio. Ale... to dla niej typowe. Część jej planu utrzymywania Kara i jego strażników akków z dala od nas obejmowała odzyskanie mojego miecza świetlnego. Dzięki takim drobiazgom i jej wrodzonej dobroci wierzę, że jeszcze nie jest stracona...

Mogę wprawdzie odbudować mój miecz, ale ona...

Był w niej taki smutek...

Melancholijna rezygnacja: chyba to najlepsze określenie jej wyrazu twarzy, kiedy obiecała, że zwróci mi miecz. Broń to niby nic takiego, ale wydawała się bliska łez.

„Nie mogę znieść myśli, że twoja podróż tutaj mogłaby kosztować cię więcej niż to, co już straciłeś”  
- powiedziała mi tego ranka, kiedy odchodziłem, aby na nią tu poczekać.

Wyraźnie czuję, jak mój miecz się zbliża, czuję również jej miecz. Zbliżają ku nam krętymi szczelinami skalnymi, które stanowią przejście z tej jaskini do wewnętrznego systemu pieczar. Dziwne to... dziwne, jak prekognitywne wrażenie straszliwej tragedii, która wkrótce ma nastąpić... dziwne, że czuję Depę, tę samą Depę, którą tak dobrze znam, tylko dzięki jej mieczowi.

[Rostu]: - A czy to „precośtam” straszliwej tragedii ma przypadkiem jakieś tłumaczenie na basie, na przykład: „Mam co do tego złe przeczucia”? No bo wiesz, teraz, jak o tym wspomniałeś...

- Też mam takie wrażenie... ale mam złe przeczucia od chwili, kiedy postawiłem stopę na tej planecie.

[Rostu]: - Tak się zastanawiałem... wiesz, jesteśmy tutaj już długo, bardzo długo. Nie przyszło ci do głowy, że Depa niekoniecznie wysłała nas tutaj, żeby usunąć z drogi Kara? Może zrobiła to, żeby pozbyć się nas?

-To też mi przyszło do głowy, ale nie dopuszczałem do siebie tej myśli. Depa nie jest taka: nie jest zdolna do oszustwa, a co dopiero do zdrady. Obiecała, że się tu z nami spotka. To znaczy, że się spotka. Tutaj.

Jest już tylko o kilka kroków od nas...

[Rostu]: - Albo wiesz co? Nie.

-Ty...

[Rostu]: - No nie, dość! Przestań! Mówię poważnie...

[Ostatnim dźwiękiem w dzienniku mistrza Windu z Haruun Kal jest nieartykułowany pomruk, przypominający ostrzegawczy ryk drapieżnika].

[Koniec dziennika]

Nick stał w klasycznej postawie strzelca: pistolet w prawej dłoni, lewe ramię do przodu, prawe w poprzek ciała, lewa dłoń obejmuje prawą na kolbie pistoletu.

Jego celem był pełen spiczastych jak igły zębów uśmiech, widniejący w szczelinie w głębi pieczary.

Mace wstał płynnie, lecz powoli, bez niepotrzebnych gestów.

- Nie rób tego, Nick.

- Wolałbym nie - przyznał Nick. - Ale jeśli nie będę miał innego wyjścia...

- Widziałem, jak blokował strzały z miotaczy. Z kulami zrobi to samo. Nie będziesz miał żadnych szans.

- To ty tak twierdzisz - głos Nicka był dziwnie spokojny i stłumiony, a dłonie spokojne i nieruchome jak otaczająca ich góra. - Jeszcze nie widziałeś, jak strzelam.

- Nie musisz mi tego pokazywać akurat teraz. - Mace położył rękę na dłoni Nicka i delikatnie zmusił go do opuszczenia broni. - Wychodź, Kar.

Ciemność w szczelinie ukształtowała się w sylwetkę łor peleka. Wibrotarcze tkwiły na bicepsach.

A w dłoniach Kar trzymał dwa świetlne miecze.

Mace poczuł, jak ulatnia się z niego cała nadzieja i wiara. Pozostało jedynie zmęczenie.

Tak uparcie, tak długo starał się wierzyć w nią w siebie, w Moc. Zmusił się, aby wierzyć. Bezlitośnie dyscyplinował umysł, aby nie dopuścić do siebie obaw czy klęski. W końcu to była Depa, jego padawan, prawie jego dziecko... znał ją przez całe jej życie...

Z wyjątkiem kilku pierwszych i kilku ostatnich miesięcy.

Vastor wyminął Nicka, nie zaszczycając go spojrzeniem. Na otwartych dłoniach trzymał oba miecze.

Dar pokoju.

*Poprosiła mnie, żebym...*

- Wiem - mruknął Mace.

*Powiedziała mi, że nie chciałaby, abyś stracił cokolwiek więcej poza tym, co już straciłeś...*

- Nic nie straciłem.

To była prawda: nie stracił właściwie nic konkretnego. Nie tu, nie na Haruun Kal. Depę stracił wcześniej, zanim jeszcze postawił stopę na rampie wahadłowca. Stracił ją przed masakrą, przed wiadomością na płycie danych. Stracił ją, zanim jeszcze ją tu przysłał.

Depa Billaba była kolejną ofiarą jego klęski na Geonosis.

Tyle tylko że jej umieranie zabrało więcej czasu.

Na Haruun Kal stracił właściwie tylko iluzję. Sen. Nadzieję tak świętą, że nie odważył się jej wyznać nawet przed samym sobą marzenie, że któregoś dnia w galaktyce znów zapanuje pokój.

Że wszystko wróci do normy.

*Czyżbyś musiał sobie usiąść, doshalo?* - Pomruk Vastora brzmiał nutą ostrożnej troski. - *Nie wyglądasz najlepiej.*

- Więc to pocałunek na do widzenia? - Nick wsunął pistolet z powrotem do kabury, ale wyglądał tak, jakby w wyobraźni opróżniał w Vastora cały magazynek. - Bardzo brzydki dowcip, jeśli chcesz znać moje zdanie.

*Powiedz swojemu chłoptasiowi, żeby uważał, co mówi na temat Depy*

Mace tylko w milczeniu pokręcił głową. Brakowało mu słów.

- Chodzi mi o to, że to draństwo. A ja coś wiem na temat draństwa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Pożegnanie to jedno, ale wysłać swój miecz świetlny, żebyś myślał, że to ona...

- Nie po to go przysłała. Kar oddaje mi oba.

Warkot Vastora był jak spojrzenie lianokota: bezlitosny, ale jakimś sposobem nie miał w sobie nic odpychającego.

*Powiedziała, że zrozumiesz.*

Mace w zadumie skinął głową.

- Jej już nie będzie potrzebny. Nick zmarszczył brwi.

-Nie?

- To broń Jedi. -Aha.

- Właśnie.

Mace spuścił głowę.

- Chce ci powiedzieć, że...

- Właśnie.

Mace przymknął oczy.

Nie mógł już patrzeć na to miejsce.

- To ją zabija - rzekł słabym głosem. - Obecność tutaj. Robienie tych wszystkich rzeczy. Jeśli zostanie, umrze.

*Każdy umiera, doshalo. Ale Haruun Kal jest jej problemem. To jej dom. Zna go dobrze, to teraz jej miejsce. Dżungla jej nie zabija. Ty ją zabijasz.*

Mace otworzył oczy i spojrzał uważnie w źrenice lor peleka.

*Nigdy nie przestaje myśleć a tobie. - Zagrzmiął Vastor. - Wiesz, co ją zabija? Wyobrażanie sobie, co ty musisz o niej myśleć. O niej, o wszystkim, co zrobiła i co jeszcze robi. Mierzy siebie twoimi standardami, ale nawet jeśli twoje standardy są całkowicie błędne, to nie znaczy, że jej porażka jest przez to choć trochę mniej bolesna. Jesteś jej panem, mistrzu Windu. Nie rozumiesz, jak bardzo cię kocha?*

- Rozumiem. - Chciałby, żeby ona także zrozumiała, jak bardzo on kochają... Ale czy postąpiłaby inaczej, gdyby wiedziała? A może wtedy cierpiałaby jeszcze bardziej? - Tak, rozumiem.

*Dlatego przysłała mnie, abym oddał ci jej broń i przekazał pożegnanie. Ona nie ma odwagi spojrzeć ci w oczy...*

Mace westchnął głęboko, po czym wyprostował się nagle.

- Cóż - rzekł powoli, niechętnie. - Będzie musiała to pokonać.

*Co powiedziałaś?*

- Przykro mi, że to dla niej bolesne. Dla mnie to też żadna przyjemność. Szczerze mówiąc, na tej planecie coś najbliższego do przyjemności czułem, kiedy zostałem pobity do nieprzytomności. Powiedziałem jej, że nie opuszczę tej planety bez niej i nic się w tym względzie nie zmieniło.

*Tak sądzisz? Wyjrzyj na zewnątrz, doshalo. - Lor pelek wyszedł z cienia pieczary w jaskrawe, naznaczone czerwienią światło popołudnia, zalewające łączkę nad klifem. - Nie jest to jedyna jaskinia w tej górze.*

Mace wyszedł za nim, a Kar pokazał mieczem świetlnym ogromne zbocze, częściowo pokryte plamami cienia.

*W jednej z jaskiń siedzi mój człowiek. W ciągu kilku ostatnich miesięcy udało nam się zdobyć na Balawai kilka sztuk ciężkiej broni piechoty. Jedną z nich jest odpalany z ramienia miotacz torped*

*protonowych.*

- Kar, groźbami mnie nie przekonasz. Powiedziałem jej, że raczej tutaj umrę, niż zostawię ją na tej planecie.

*Nie rozumiesz mnie. Torpeda nie jest dla ciebie... gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to sam.*

- A to by się jeszcze okazało - odparł Mace Windu.

*Lądownik wkrótce przyleci, żeby cię stąd zabrać. Jeśli nie wsiądziesz na pokład, mój człowiek go zniszczy. Twoich pilotów, strzelców, żołnierzy, wszystkich, którzy tu po ciebie przybyli. Zginą wszyscy.*

Teraz dopiero Mace spojrzał w niebo. Turkusowa płachta bez granic. Jedynymi obłokami widocznymi na horyzoncie były smugi oparów.

*Widzisz? Nie jesteś jedynym, który może brać zakładników.*

- Wiesz co? - mruknął Mace w zadumie. - Prawie jestem ci za to wdzięczny.

*Rozumiem. Łatwiej ci będzie zrobić to, co musisz.*

- Tak. Właśnie. Dokonałeś za mnie wyboru.

- Co się dzieje? - zapytał Nick z półmroku. - Co on do ciebie mówi? Odjeżdżamy, prawda?

- Dzieje się bardzo dużo i źle - odparł Mace. - A on nie powiedział niczego ważnego i, oczywiście, nigdzie nie wyjeżdżamy. Nie bez Depy.

Vastor schylił się, w oczach pojawiły mu się niebezpieczne błyski.

*Ja nie rzucam gróźb na wiatr.*

- To, że jesteś tutaj, oznacza, że nie znałem Depy tak dobrze jak sądziłem. A jeśli wy dwoje myśleliście, że się ugnę pod zagrożeniem, to znaczy, że ona zna mnie jeszcze mniej.

*Lądownik zostanie zniszczony. Będzie to tak, jakbyś ich zabił własnymi rękami.*

- Nie ma czegoś takiego, jak „tak jakby”. - Mace odwrócił się i podniósł głowę, aby spojrzeć Karowi Vastorowi prosto w oczy. - Jesteś za to ty, Karze Vastorze, i twój zbrojny atak skierowany przeciwko Republice.

*Republika nie ma z tym nic wspólnego. To sprawa osobista. Nie możesz twierdzić...*

- Trzy dni temu nałożyłem na Depę formalny areszt. Dała mi swoje słowo... słowo honoru Jedi, że nie będzie próbować ucieczki ani w żaden inny sposób unikać powrotu przed oblicze Rady Jedi, aby odpowiedzieć za swoje czyny. Złamała słowo i podeptała swój honor. Teraz muszę ją uwięzić. I

ciebie także.

*Mnie? Chyba oszalałeś.*

- Karze Vastorze - bezbarwnym głosem ciągnął Mace. - Jesteś oskarżony o morderstwo popełnione na Terrelu Nakayu.

- Eee... Mistrzu? Generale...? Jesteś pewien, że dokładnie wiesz, co robisz?

Vastor wytrzeszczył oczy z absolutnym niedowierzaniem.

*Zginą twoi ludzie...*

- Oni są żołnierzami, a to jest wojna. Rozumieją ryzyko, jakie podjęli - wyjaśnił Mace. - A ty?

- Jakie ryzyko?

- Kiedy twój człowiek strzeli do lądownika, będzie to oznaczało zdradę stanu. Jako prawdopodobna współniczka twojej zbrodni, Depa zostanie oskarżona o to samo. Narażasz ją na śmiertelne zagrożenie. Może zostać wraz z tobą stracona.

Ryk Vastora tym razem nie zawierał słów, tylko pogardę i wściekłość.

- Może powinieneś odwołać swojego człowieka. Dopóki jeszcze jest czas.

*Depa ma rację. Jedi to szaleńcy.*

- Od chwili, kiedy stanąłem na tej planecie, wszyscy mi mówią, że jestem wariatem. Powiedzieli mi to już tyle razy, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie mają racji. Teraz jednak zrozumiałem, o co chodzi. Nie mówicie tak dlatego, że to prawda. Nawet nie dlatego, że wam się tak zdaje. Wy po prostu macie nadzieję, że tak jest. Bo jeśli ja postradałem zmysły, to wy nie jesteście tymi odrażającymi, oślizłymi robakami o zgniłych sercach, którymi się w głębi duszy i tak czujecie.

Vastor jednak przestał go słuchać. Skrzyżował masywne ramiona tak, że miecze świetlne w jego dłoniach znikły pod okrytymi ultra-chromem bicepsami. Oddalił się w zadumie od Mace'a w stronę łączki nad krawędzią klifu i rozejrzał się po ogromnej, falującej przestrzeni dżungli. Widok ożywiały metalowe kropki statków i odległe rozbłyski dział.

*Dużo dzisiaj patroli kanonierek -zauważył. - Więcej niż kiedykolwiek za mojej pamięci.*

- Mace... - syknął Nick z mroku jaskini. - Wiesz, to przeczucie, o którym mówiłem, jest coraz mocniejsze...

-Tak.

- Lepiej się cofnij, tu jest bezpieczniej.



- Nigdzie nie jest bezpieczniej - odparł Mace i podszedł do Vastora na skraj klifu.

*Próbowałem* - wymruczał Vastor, kiedy Mace znalazł się obok niego. - *Zrobiłem wszystko, czego można było ode mnie wymagać. Nawet Depa nie może teraz powiedzieć, że nie starałem się ciebie oszczędzić. Ale ty nie chcesz być rozsądny.*

- Nie leży to w mojej naturze.

*Tak jak powiedziałeś wcześniej: sam dokonałeś za mnie wyboru. Jest tylko jeden sposób, aby ją przed tobą uchronić.*

- To prawda.

Mace zagłębił się w sobie, aż odnalazł wśród znużenia i bólu spokojny punkt. Oddechem zanurzył się w ten punkt, aż cały się w nim znalazł, a cierpienie, zmęczenie i wątpliwości pozostały na zewnątrz.

- Mamy teraz walczyć?

Musimy. Co za ironia, że my, ostatni męscy potomkowie ghosha Windu, musimy ze sobą walczyć. Chciałem, żeby wszystko potoczyło się inaczej, ale i tak nie wierzyłem, że się uda. Depa powiedziała mi, że nie umiesz przegrywać.

- Nie miałem okazji poćwiczyć.

Vastor skłonił głowę w pełnym żalu i szacunku ukłonie.

*Żegnaj, Mace, Jedi Windu.*

Delikatne zafalowanie w Mocy...

Drgnienie. Impuls. Najłżejsze z możliwych dotknięcie, nieskierowane nawet ku Mace'owi, lecz gdzieś pomiędzy drzewa pod przełęczą.

Sygnał.

Zatrzymana w czasie scena, jak zamknięta w bursztynie postrzegania Mocy Mace'a. Vastor, stojący ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Żadnego zagrożenia. Tarcze wysoko na ramionach, dłonie z mieczami świetlnymi wciśnięte pod pachy, zasłonięte masywnymi bicepsami...

Mace obok niego... odsłonięty na krawędzi klifu, nieuzbrojony...

Kanonierki, morze drzew falujące w ślad za ich przelotem, wszystkie dźwięki stłumione przez odległość...

Nick w głębi jaskini, karabin oparty o skałę. Chłopak sięga po pistolet ruchem, który dla każdego innego widza byłby szybki jak błyskawica. ..

Człowiek ukryty w cieniu dżungli, o kilometr stąd, gładko przyciskający spust karabinka snajperskiego wysokiej mocy. Pojedynczy snop czerwonej energii tryska spomiędzy drzew w kierunku łączki...

Prosto w serce Mace'a.

Wszystko to Mace ocenił w jednym ułamku sekundy, a jedyny punkt przełomu, jaki znalazł, związany był z równowagą Vastora na klifie.

Powoli, nie spiesząc się zanadto, Mace położył dłoń na ramieniu Vastora i pchnął.

W przepaść.

Oczy wyszły Vastorowi na wierzch ze zdumienia, kiedy poczuł, że leci, a rozkrzyżowane nagle ramiona wywijają w powietrzu, by zachować równowagę. Kiedy się zachwiał, głowa przesunęła mu się w bok; to wystarczyło, aby kula z pistoletu Nicka otarła się o skroń, zamiast wydusić mózg przez oczodoły. Machając ramionami, rozluźnił palce. Mace sięgnął w Moc, ściągnął ku sobie oba miecze, włączył obie świecące klingi i uniósł z zapasem całych sześciu czy siedmiu milisekund, zanim promień wystrzelony z dżungli rozbił się o nie, wzniecając snopy iskier.

Vastor miał refleks lianokota - przekreślił się w locie i wbił palcami w powierzchnię skały metr od krawędzi klifu. Jego kamrat z dżungli zalewał Mace'a ogniem, usiłując zmusić go do odwrotu. Nick wybiegł z jaskini, wrzeszcząc: „Dostałem go? Nie żyje? Nie żyje?” -i zamarł na widok Vastora, który jednym skokiem wylądował na łączce i szarpnięciem Mocy ściągnął tarcze do pozycji bojowej.

Nick strzelał tak szybko, jak tylko jego palec nadążał naciskać spust, ale kule z brzękiem odbijały się od błyszczących tarcz Vastora...

A Mace tylko stał i patrzył.

Patrzył na klingę swojego miecza.

Moc zmieniła świat w kryształ.

Purpurowy promień jego miecza rozświetlił skazy w całej planecie. Pęknięcia szły od jego ostrza do Vastora, do Nicka, do góry w tle, do przełęczy w dole i kosmosu nad głową, przemieszczając się w rytm gwałtownych zafalowań łączących go z tym, czym jest, był i czym na zawsze pozostanie.

Włączenie tego miecza, tu i teraz, było punktem przełomu Letniej Wojny.

Świadomość Mace'a rozszczepiła się wraz ze światem, błyskiem przemierzając linie skaz i wektory wyników; przez jedną chwilę znajdował się w bezpośrednim, intymnym niemal kontakcie z wieloma różnymi czasami i miejscami.

Widział wszystko.

Jakby z niewiarygodnej odległości widział więźniów Balawai klęczących na wzgórzu i kanonierki,

które przybyły, zanim jeszcze zdążył rozpaść ognisko sygnalizacyjne.

Widział przybycie kanonierek do osady kilka chwil po tym, jak włączył broń, aby chronić dzieci w bunkrze przed pochopnym ogniem współplemieńców.

Ujrzał Vastora u stóp ruin, usłyszał znów jego słowa-pomruki:

*Moi ludzie mówią, że sam przegnałeś kanonierki, choć nie wydawało się, by odniosły uszkodzenia. Może nauczyłeś Balawai bać się ostrza Jedi.*

On jednak wiedział, że tak nie jest.

Widział kanonierki w tamtej przełęczy i pamiętał, że zawróciły w sekundę po tym, jak włączył ostrza po raz pierwszy. Otrzymały rozkaz, aby się wycofać.

Ponieważ był sam.

Ponieważ gdyby został zabity, zanim dotrze do Depy i jej partyzantów, nie rozwiązałby „problemu Jedi” milicji.

Ujrzał siebie w alejce Pelek Baw, z niedowierzaniem spoglądającego na rozładowany miecz.

Ujrzał godziny, jakie spędził na bezpiecznym krześle w tym brudnym pokoju w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości, w oczekiwaniu... ale to długie oczekiwanie nie miało nic wspólnego z technikami przesłuchań. Geptun nie miał w ogóle zamiaru go przesłuchiwać.

Podążając po tej skazy w kierunku przeciwnym do osi czasu, zobaczył izolowany pokój w Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie technicy raz po razie cięli jego mieczem różne przedmioty. Gdzie strzelali w ostrze z miotacza i z pistoletu, gdzie przecinali nim thyssel, lam-mas, liście portaak, durabeton, transpastal.

Wszystko po to, by móc zarejestrować kod emisji ostrza.

By satelity mogły rozpoznawać je za każdym razem, kiedy zostało użyte. Nieważne w jakim celu.

Dlatego miecz był rozładowany. Geptun prawdopodobnie nie miał pojęcia o grupie przewodników. Chciał po prostu, aby Mace wydostał się z Pelek Baw.

Chciał, aby skontaktował się z Depą i GFW.

Chciał się dowiedzieć, gdzie ukrywają się wszyscy zbiegli Korunnai.

Teraz, na łączce, kolejne skazy naprężeń połączyły jego umysł z dziesiątkami kanonierek, które zbliżały się do przełęczy Lorshan. Kanonierek wyładowanych rozochoczonymi żołnierzami, ciągnących za sobą smugi nienawiści, strachu i dzikiej radości, niczym pióropusz dymu wybuchającego wulkanu.

. Jedna skaza kończyła się na satelicie orbitalnym, który pędził wokół planety z prędkością prawie dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów na godzinę. Mace przez szczelinę czuł, jak krzemowy mózg wykonuje połączenie elektryczne. Czuł, jak zostaje wykonana jedna prosta komenda programowa, jak automatyczne zaciski zwalniają potworne durastalowe pręty ułożone warstwami w osłonach, prymitywne silniki manewrowe kierujące go w atmosferę pod kątem zbyt ostrym, aby przetrwał to jakikolwiek statek kosmiczny.

Ale to nie były statki kosmiczne i nie musiały przetrwać.

Vastor wciąż jeszcze leciał w powietrzu, Nick skręcał właśnie, żeby go namierzyć z pistoletu, kiedy Mace Windu poderwał w górę ręce i krzyknął:

- Stać!

Eksplozja Mocy, która towarzyszyła temu okrzykowi mistrza Jedi, rzuciła Nickiem o ziemię, a Vastorem o ścianę skalną nad jaskinią.

- Co ty wyprawiasz! - Nick poderwał się na nogi i wycelował pistolet. - Chciał cię rozpieprzyć... Zabij go!

Vastor przylgnął do skały jak jaszczur krayt.

*Koniec gadania. Czas walczyć.*

- Tak - odparł Mace Windu. - Ale nie ze mną. Rozejrzyj się! Machnął ręką w stronę doliny.

Wszystkie patrolujące kanonierki, całe ich tuziny, które tak leniwie przemierzały dżunglę we wszystkich kierunkach, teraz płynęły po zbieżnych trasach, skoncentrowanych w jednym punkcie - na przełęczy Lorshan.

Nick zaklął, warkot Vastora przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- I tam - dodał Mace, wskazując na powoli rozrastającą się czarną chmurę nad górami; w istocie był to dym z płonących w atmosferze osłon ablacyjnych.

Środek chmury stał się czerwony, pomarańczowy, potem biały jak błękitna gwiazda - to zaskoczyły silniki jonowe.

Nick zmarszczył brwi.

- To nie może być lądowisk... nie ten kąt podejścia i zniża się o wiele za szybko.

- Nie może - zgodził się Mace. - A raczej nie mogą...

- Oj, chyba się nie ucieszę, co? - Nick przesunął dłonią po czole. - Cholera. Cholera, cholera, cholera... Chcesz mi powiedzieć, że to KOBA?

- Co najmniej pięć. Kolejne w drodze.

*Ty!* - Ryk Vastora poderwał go ze ściany jak wybuch i przeniósł na łączkę. Wymachując syczącą tarczą wrzeszczał: - *To twoja wina! Ty ich tu sprowadziłeś!*

- Później się będziemy kłócić, kto zawinił. - Mace pozwolił, aby ostrza mieczy skurczyły się i znikły.  
- Teraz musimy zrobić coś zupełnie innego.

-Co?

Mistrz Jedi powiódł wzrokiem od lor peleka do młodego koruńskiego oficera, potem zerknął na niebo i durastalowe rakiety mknące przez atmosferę.

Trzydzieści tysięcy kilometrów na godzinę i przyspieszają.

- Wiać - powiedział. Rzucili się do ucieczki.



Całkowicie zmontowana Kinetyczna Orbitalna Broń Antystanowiskowa - ostrze z utwardzonej durastali, tarcze ablacyjne, miniaturowy napęd jonowy i małe silniczki korygujące - ważyła niewiele ponad dwieście kilogramów. Zanim dotarła do celu na poziomie ziemi, tarcze, napęd oraz silniczki, a nawet spora część samej durastali ulegały spaleni: ostatecznie głowica bojowa ważyła około stu kilogramów, czasem trochę więcej lub mniej, zależnie od kąta wejścia, gęstości atmosfery i innych drobiazgów.

Było to nieistotne, ponieważ KOBA nie była w gruncie rzeczy bronią szczególnie wrażliwą lub skomplikowaną-jej zalety polegały głównie na niezbyt kosztownym procesie produkcji i prostej obsłudze, dlatego najczęściej pojawiały się na prymitywnych światach w dalekich krańcach galaktyki. Była wrażliwa na przeciwogień z baterii turbolaserów. Przystawała być użyteczna, jeśli cel miał bodaj minimalne możliwości ucieczki, a kiedy silniczki korygujące uległy spaleni, wystarczyły zwykłe zakłócenia atmosferyczne, aby wytrącić ją z kursu i zdecydowanie zmniejszyć jej skuteczność również przeciwko celom stacjonarnym o wielkości nieprzekraczającej niedużego miasteczka. W końcu był to tylko stukilowy kawałek durastali.

Dokładność strzału była jednak również nieistotna, ponieważ w punkcie uderzenia ta stukilowa dzida z hartowanej durastali poruszała się z prędkością ponad dziesięć kilometrów na sekundę.

Jednym słowem:

Łup!

Mace, Nick i Kar dotarli do rozszerzającego się wylotu pierwszej z głównych jaskiń, kiedy w jednej zdumiewającej sekundzie ziemia zapadła się pod nimi, podskoczyła z powrotem w górę i wystrzeliła ich w powietrze, w kierunku najeżonego stalaktytami sklepienia.

Wybuch wyprzedził dźwięk.

Mace instynktownie przejął kontrolę nad lotem, aby przyjąć siłę uderzenia o sklepienie na zgięte nogi. Poprzez Moc uchwycił Nicka o metr od poważnego uszkodzenia czaszki, a kiedy obaj znów spadali na ziemię, fala uderzeniowa przegrzanego powietrza wystrzeliła ze szczeliny wiodącej z jaskini nad łączką i uniosła ich, pchając i przetaczając po podłodze wraz z gradem skalnych odłamków kamieni i płonącego piachu.

Mace nie wypuszczał Nicka z uchwytu Mocy. Kiedy zatrzymali się wreszcie w koszmarnym kłębowisku kurzu, dymu i krzyków, postawił go na nogi i przykucnął obok.

- Wstawać! - krzyknął. - Schylić się, ale poza podłogą!

Skulił się, wciskając pięści w uszy, szarpany przez następny - ale już słabszy - wybuch, potem

kolejny, jeszcze słabszy. Była to normalna dokładność KOBA - zawsze istniało spore rozproszenie wiązki. Ostateczna konwulsja góry spowodowała pęknięcie sklepienia jaskini i zasypała wszystko gradem kamieni. Krzyki przechodziły w charkot, inne nabierały siły i stawały się wyciem w agonii.

Minęły dwie sekundy i Mace skoczył na nogi. Światło z kul żarowych wyglądało jak świecące sfery, których promienie nie mogły przebić się przez kurz i dym. Oczy go piekły i łzawiły. Jeden nieostrożny oddech wywołał paroksyzm kaszlu. Przyciągnął Nicka do siebie -młody Korun zasłonił ramieniem załzawione oczy i wymiotował w drugą rękę. Mace chwycił skraj jego samodziałowej tuniki i szarpnął.

-Hej... hej, co ty...

- Potrzebuję twojej koszuli.

Jednym ruchem rozerwał tunikę na pół wzdłuż pleców. Drugie szarpnięcie rozdarło cały przód aż po dolny rąbek. Połowę rzucił Nickowi, a sam zawiązał sobie drugą część wokół twarzy jak kaptur. Tkanina była rzadko tkana i można było przez nią coś widzieć i redukowała pył i dym do jakiego takiego poziomu.

Nick poszedł w jego ślady. Mace, przekraczając stosy gruzu i martwych oraz rannych Korunnai ruszył w kierunku lśnienia ultrachromu, widocznego pod ogromnym kamiennym blokiem. Uklęknął obok i zaczął usuwać drobne kamyki z lor peleka, jednocześnie pytając:

- Kar? Słyszysz mnie?

Chrapliwy z bólu i kurzu warkot Vastora nie był pozbawiony sarkazmu:

*Odsuń się lepiej. Ile razy jesteś w pobliżu, coś ciężkiego spada mi na głowę.*

Mace oddechem wprowadził się w lekki trans i odnalazł punkt przełomu kamienia.

-Nie ruszaj się.

Ostrze zabłysło, wbiło się w kamień i płyta pękła na dwoje nad plecami Vastora. Jeden ruch potężnych ramion rozsunął oba kawałki na tyle, aby Kar mógł się między nimi podnieść na kolana. Był oblepiony kurzem, a z brzydkiej rany nad uchem spływała krew.

*Mogłeś mnie zabić. Powinieneś był to zrobić.*

- Martwy mi się nie przydasz - odparł Mace. - Czy ta baza ma jakiś schron? Jakiś bunkier, najlepiej hermetyczny?

*Pomieszczenie z ciężką bronią. Można je uszczelnić.*

- Doskonale. Weź wszystkich chorych i rannych niezdolnych do ruchu i zamknij tam. Kiedy przychodzi milicja, zwykle zaczyna od gazu.



Vastor i Nick wymienili ponure spojrzenia. Mace obejrzał się przez ramię.

- Nick, idziesz ze mną. Naprzód.

*Nie powstrzymamy ich. Nawet przez dzień. Nawet przez godzinę.*

- Nie musimy robić tego sami. Mam w systemie średniej wielkości krążownik z regimentem najlepszych żołnierzy, jakich widziała ta galaktyka. - Mace położył jedną dłoń na ramieniu Vastora, drugą na ramieniu Nicka, a w jego ciemnych oczach zaśnił dziwny blask. - Nie będziemy ich zatrzymywać. Nie będziemy nawet z nimi walczyć. Jeśli „Halleck” będzie nas osłaniał z powietrza, a żołnierze z ziemi, dwadzieścia lądowików może ewakuować wszystkich w ciągu kilku godzin.

- Razem z trawiakami? Mace skinął głową.

- Niech tylko dadzą się wsadzić na pokład.

KOBA bombardowały górę. Korunnai krzyczeli, uciekali i krwawili. Niektórzy próbowali pomagać rannym. Inni ginęli. Jeszcze inni dygocząc, przywierali do najbliższej ściany.

Mace biegł dalej. Nick deptał mu po piętach. Czasem fala uderzeniowa zwała ich z nóg. Czasem kurz był tak gęsty, że Mace musiał oświetlać sobie drogę ostrzami mieczy świetlnych.

- A po co ja ci jestem potrzebny? Byłeś dzisiaj w centrum komunikacyjnym - dyszał Nick przez kłęby kurzu, które ślina zmieniała w błoto. - Znam się na pakietach medycznych. Idź dalej, a ja sobie zostanę z rannymi...

- Mowy nie ma.

Światło padające od ostrza oświetliło najeżone kawałkami skał rumowisko: korytarz został odcięty ukośną ścianą kamieni.

- To jedyna droga do centrum komunikacyjnego, jaką znam - oznajmił Mace. - Miałem nadzieję, że ty znasz inną.

Nick wymamrotał pod nosem brzydkie słowo i pochylił się nad rumowiskiem.

- Jakie to jest głębokie? Nie możesz się przebić... - Wytrzeszczył oczy. - Hej, tam są ludzie! Uwięzieni! Czuję ich... musimy ich wydobyć!

- Ja też ich czuję... ale to rumowisko jest mało stabilne - mruknął Mace. - Kopanie i cięcie może zająć więcej czasu, niż mamy do dyspozycji; pierwszy błąd i zwalimy im na głowy pół góry. Musimy się dostać do centrum inną drogą.

- Ale.. .przecież nie możemy ich tu tak zostawić! -Nick, skup się. Czy tu będą bezpieczniejsi?

- No cóż... - Nick zmarszczył czoło. - Cóż...

- Słuchaj. We wszystkich jaskiniach będą zapadliska. Musimy zrobić wszystko, żeby przeżyło wystarczająco dużo ludzi, aby się przekopali.

Nick niechętnie skinął głową.

- No to w drogę.

Centrum komunikacji było niewielką naturalną jaskinią, umeblowaną stołami z desek, kilkoma skleconymi domowym sposobem krzesłami i niewielką ilością sprzętu.

- Z anten przekaźnikowych pewnie niewiele zostało - mamrotał Nick, drepcząc w tamtym kierunku.

- Trochę za późno, żeby się martwić, że nas odkryją - przypomniał mu Mace. - Podprzestrzenna nie będzie miała problemu z przejściem przez kamień.

Nick zmrużył oczy, zajrzał do środka i nagle skoczył jak oparzony.

- Nie ma pola chirurgicznego! - Rzucił się do środka, Mace wszedł za nim, ale zatrzymał się u wejścia.

Komunikator podprzestrzenny leżał na podłodze wśród szczątków stołu. Jego obudowa wyglądała tak, jakby ktoś sturlał go ze zbocza skalnego i zrzucił z klifu. Układy do komunikacji w częstotliwościach normalnych przestrzeni, mniej trwałe, były całkowicie zmiażdżone. Nick klął jak najęty, klęcząc nad dwoma koruńskimi technikami, którzy leżeli na podłodze, całkiem jakby ucieli sobie drzemkę w ruinach stanowiska pracy.

- Nick - odezwał się Mace.

- Nie żyją- szepnął łamiącym się głosem młody Korun. - Obaj nie żyją. Ani śladu ran! I...

-Nick, chodź tutaj.

Nick dźgnął palcem czaszkę jednego z leżących. Czaszka ugięła się, jakby wypełniała ją nie kość, lecz gąbka. -Iii... jest miękki...

- Musimy uciekać, Nick.

- Co może zrobić coś takiego z człowiekiem?

- Wstrząs - wyjaśnił Mace. - Przenoszący się wstrząs. Ten pokój musi być częścią struktury, która sięga powierzchni...

- Chcesz powiedzieć... - Nick wytrzeszczonymi oczami rozglądał się po otaczających go ścianach. - Chcesz powiedzieć, że jeśli kolejna KOBA uderzy w to samo miejsce, a ja będę dalej stał tutaj, to...

- Chcę powiedzieć... - Mace niecierpliwie wyciągnął rękę - zakryj uszy i skacz!

Mace sam posłuchał własnej rady i użył Mocy, aby utrzymać ich w powietrzu, podczas kiedy powietrze w jaskini dudniło wokół nich, jakby znaleźli się w dłoniach klaszczącego olbrzyma. Pozwolił, aby fala uderzeniowa wyniosła ich z powrotem do korytarza, jak najdalej od centrum, po czym zwolnił uchwyt Mocy i przetoczył się na nogi.

Nick mówił coś, kiedy Mace stawiał go w pionie, ale Jedi poprzez gwizd w uszach słyszał tylko odległe mamrotanie.

- Musisz mówić głośniej. Nick przystawił rękę do ucha. -Co?

- Mów głośniej!

- Co? Musisz mówić głośniej!

Mace westchnął i popchnął przed sobą Nicka w dół korytarza. Odwrócił się, sięgnął przez Moc i wyciągnął rękę. Układ podprzestrzenny poszybował w górę, opuścił centrum i korytarzem pomknął prosto w jego ramiona.

Mace pędził za Nickiem. Ich zmaltretowane bębny powoli dochodziły do siebie. Trzyminutowa wędrówka doprowadziła ich do węzła krzyżujących się korytarzy, niektórych wykutych w skale, innych naturalnych.

- Musi wystarczyć.

- Co? Do czego? - Nick oparł się o ścianę i zsunął po niej, dysząc ciężko. - Po cholere taszczysz za sobą to pieprzone żelastwo?

Mace postawił komunikator na podłożu. Zdjął zaimprovizowaną maskę pyłową i marszcząc brwi, przyjrzał się uważnie tylnej płycie. Mocowania odkręciły się same i odpłynęły, by spocząć w zgrabnym stosiku w niewielkim zagłębieniu skalnym. Wkrótce dołączyła do niego sama płyta. Mace przez chwilę sprawdzał przewody i styki w środku, wreszcie skinął głową.

Otworzył dłoń i uchwyt miecza świetlnego poszybował z kieszeni wprost do ręki. Dotknięcie Mocy wyzwoliło ukryty zatrask w rękojeści. Zakrzywiona część uchwytu odskoczyła i Mace wyjął baterię. Drugie dotknięcie Mocy wygięło parę płytek przewodzących wewnątrz komunikatora. Mace wcisnął pomiędzy nie baterię i urządzenie zamigotało lampkami, pokazując sygnał gotowości.

- Trzymaj to - polecił. Nick trzymał ogniwo, a Mace wywoływał kanał awaryjny „Hallecka”.

- „Halleck”, tu generał Windu. Wezwanie priorytetowe. Kod inicjacji zero sześć jeden pięć. Potwierdzić.

Komunikator zatrzeszczał i wydał z siebie falę elektromagnetycznych trzasków. Przez szum zakłóceń dobiegł słaby głos:

- Odpowiedź... jeden dziewięć.

- Weryfikacja siedem siedem. -Mów... generale.

- Kapitanie Trent, proszę o status.

- Przykro... Kap... załoga most... żnie ranna. Komandor Urhal... od intens... Powtarzam: jesteśmy pod intensywnym ostrzałem MBP.

- MBP? - zdziwił się Nick.

- Myśliwców bezpilotowych. - Mace przycisnął przycisk transmisji. - Wytrzymacie?

-.. .gatywna... Za dużo... ponieśliśmy ciężkie... tarcze i pancerz... ale...

Poprzez wybuchy zakłóceń elektrostatycznych i fale białego szumu, dowódca „Hallecka” streścił ich sytuację: nieznaną liczbą myśliwców bezpilotowych Federacji Handlowej czekała w dryfie, nieaktywna, pozostając poza płaszczyzną ekliptyki systemu, w chmurze gruzu i szczątków starych asteroid. Komandor domyślał się, że coś w samym lądowniku spowodowało ich włączenie, bo zaatakowały natychmiast, gdy tylko pojazd wyszedł z doku i ruszył w kierunku orbity. Lądownik został strącony wraz z całą załogą, a MBP szybko rozprawiły się z eskortującym „Hallecka” szwadronem sześciu myśliwców. Teraz waliły w krążownik wszystkim, czym się dało. Statek, na którego ratunek Mace liczył, sam był w opałach i walczył o życie. I przegrywał.

Mace zakołysał się na piętach, wpatrzony bezmyślnie w kamienną ścianę.

Ziarnista powierzchnia lśniła rosą, która skropliła się z jego własnego oddechu, i lśnięciami przełomami ziaren mineralnych. Mace tego nie widział. Nie patrzył na kamień, lecz w jego wnętrze. Poprzez kamień.

W Moc.

- I tak to wygląda, co? - Słowa Nicka dobiegały do uszu Mace'a jakby z wielkiej odległości, słabo i głucho, jak gdyby mówił z głębi studni. - Nie ma sposobu na ewakuację.

- No właśnie. Nie ma - odruchowo odpowiedział Jedi. Zaledwie docierało do niego, co mówi Nick, a już w ogóle nie uświadamiał sobie, że mu odpowiedział. - Nie ma...

Jego świadomość była całkiem gdzie indziej.

- Czy ci już mówiłem, jak ja nie cierpię tego miejsca? Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, czuję się jak pogrzebany żywcem.

W Moc...

Mace właściwie nie patrzył - zmysł, którego używał, nie był wzrokiem. Zmysł ten wnikał w Moc, dotykał siły i pozwalał się dotykać, tworząc na niej cień i czerpiąc z cienia, który sam stworzył, by pogłębić swój własny cień, karmiąc się Mocą i karmiąc Moc w jednej spirali regeneracji, nabierając sił, rozprzestrzeniając się na zewnątrz z określonego nigdzie-teraz do ogólnego wszędzie i zawsze

wszystkich czasów; ze skrzyżowania dróg wewnątrz góry, stojącej w dżungli wielkości kontynentu, na świecie wirującym w galaktyce, która wkrótce też stanie się dżunglą.

Zmysł ten był niezbędny przy postrzeganiu wektorów naprężeń w rzeczywistości. Było to coś więcej niż poszukiwanie punktu przełomu; tak jakby ta krótka chwila istniała w kryształowej skorupie, a jeśli uderzysz we właściwy punkt i we właściwym kierunku, skorupa się rozprysnie, a za nią skorupa okrywająca tę skorupę, i tak dalej, i tak dalej... jeden cios, od którego fale uderzeniowe pójną na zewnątrz, aby przebić się przez pułapkę, która obejmowała nie tylko jego i Nicka, lecz Kara, Depę, Korunnai, cały świat Haruun Kal, Republikę, może nawet całą galaktykę... więcej niż cały łańcuch punktów przełomu, fontanna punktów przełomu... Kaskada...

Lawina.

Gdyby tylko znalazł odpowiednie miejsce...

Słaby, odległy głos, rezonujący z tu-i-teraz do Mace'owego wszędzie naraz...

- Jesteśmy uwięzieni! Cała pieprzona planetarna milicja jest na zewnątrz i znikąd pomocy, i wszyscy zginiemy jak nic, a to głupie miejsce na śmierć, głupie, głupie, głupie...

- Głupie... - powtórzył Mace. - Głupie... tak... Głupie! Właśnie!

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Chłopie - odezwał się Mace, z wolna wracając spojrzeniem z głębi kamienia, której się przyglądał - jesteś genialny. I do tego masz cholerne szczęście.

- Że co?

- Kilka lat temu Zakon Jedi rozważał użycie myśliwców bezpilotowych do zabezpieczenia przed piratami... konwojowanie frachtowców, te rzeczy. Wiesz, dlaczego zdecydowaliśmy, że to niemożliwe?

-A co mnie to...?

- Bo roboty są głupie.

- Rany, co za ulga! Nie chciałbym zostać zabity przez geniusza... Mace odwrócił się do komunikatora i nawiązał łączność.

- Komandorze, tu generał Windu. Wszystkie oddziały... załaduj ich do pozostałych lądowików i wyślij kursem o pierwotnych współrzędnych. Wszystkie. Pierwotne współrzędne. Zrozumiano?

- Tak, ale... nie damy rady... MBP... ofiary... dobrze, jeśli połowa z nich dotrze do atmosfery...

- To nie twój problem. Wypuść lądowniki i wycofaj się... rozumiałeś? To bezpośredni rozkaz. Kiedy lądowniki się oddalą, „Halleck” ma wykonać skok do przestrzeni Republiki.

- Ładowniki... tylko podświetlana... Bez hipernapędu... jak...

- Komandorze, naprawdę masz tak mało do roboty, że chce ci się ze mną dyskutować? Masz rozkazy. Windu się wyłącza.

Wyjął ogniwo z tylnej części komunikatora i włożył z powrotem do uchwytu miecza świetlnego.

- Kto jest najlepszym strzelcem, jakiego znasz?

Nick wzruszył ramionami.

-Ja.

-Nick!

- A co, mam kłamać?

- Dobrze. Drugi w kolejności.

- Kto jeszcze żyje? - Nick zamyślił się na sekundę lub dwie. -Chalk... może. Jest dość dobra, zwłaszcza z ciężką bronią. Albo byłaby... gdyby mogła, no wiesz, chodzić...

- Nie będzie musiała. Idziemy.

Nick oparł się o ścianę i wzruszył ramionami.

- A po co sobie głowę zawracać? Chyba i tak nic z tego, nie? Statek odleci, a my nie mamy dokąd iść...

- Mamy. I pojedziemy tam.

- Gdzie?

-Nie powiem ci. -Nie powiesz?

- Mam dość słuchania, jaki to ze mnie wariat - mruknął Mace. Nick wstał ostrożnie, obserwując Mace'a spode łba, jakby się spodziewał, że mistrz Jedi jest worrtem w przebraniu.

- O czym ty mówisz? Powiedziałaś, że nie ma sposobu, aby się ewakuować.

-Nie będziemy się ewakuować. Zaatakujemy. Nick wybałuszył oczy.

- Zaatakujemy? - stęknął tępo.

- Nie tylko zaatakujemy. Słuczemy ich - oznajmił mistrz Jedi -jak wypożyczony gong.

Powietrze w bunkrze zbrojowni było gęste od ozonu wydzielanego przez pole chirurgiczne i od cuchnącego, feromonowego odoru, jaki wydzierały przerażone ludzkie ciała. Kilka ciężkich sztuk broni, jakie przechowywali tu partyzanci, zrzucono beładnie na kupę, aby zrobić miejsce niekończącemu się zalewowi noszy z chorymi i rannymi, taszczonych przez Korunnai o zaciętych twarzach.

Przeważnie były to dzieci.

Przeważnie milczące, o wielkich zdumionych oczach.

Noszowi potykali się za każdym razem, gdy kolejny Koba wstrząsał górą, nieraz upuszczali tych, których nieśli. Wielu rannych krwawiło z nowych zadrapań. Nick przeciskał się pomiędzy nimi w poszukiwaniu Chalk - koruńska dziewczyna nie odstępowała posłania Besha od chwili, gdy oboje zostali wyprowadzeni z thanatyzinowej śpiączki.

Mace zatrzymał się przed wejściem. Zamyślonym spojrzeniem dokonał inwentaryzacji stosu broni i włączył go do swoich obliczeń. Nowe dane sprawiły, że obraz nadchodzącej bitwy przesunął się i popłynął, aby po chwili znów się zestalić niczym strumień stygnącej lawy. Zamontowany na trójnogu EWHB-10 z dodatkowym generatorem atomowym. Dwie naramienne wyrzutnie torpedowe, z czterema podładowanymi rurami nośnymi. Stojak z dwudziestoma pięcioma granatami protonowymi, wciąż w fabrycznym opakowaniu.

Nic więcej mu nie trzeba.

Pozostała broń nie miała znaczenia.

Nick wszedł z pewnym wahaniem, jakby coś go bolało.

-Nie ma ich tu.

-Nie?

Nick skinął głową w kierunku jednego z noszowych.

- Powiedzieli mi... że nie ma dosyć miejsca dla wszystkich... że Kar... - Przełknął ślinę, usiłując ukryć rozpacz w głosie i twarzy. - Wstawiają tu tylko ludzi, którzy mogą przeżyć...

Mace skinął głową.

- A pozostali?

- Nazywamy to trupiarnią. Chodź.

Trupiarnia była ogromną jaskinią, spowitą w mrok. Jedynym oświetleniem było miękkie żółte światło ręcznych prętów żarowych. W przeciwieństwie do innych zamieszkałych jaskiń, tu podłogi nie wyrównano wibrotoporami, lecz podzielono na poziome półki, zgodnie z naturalnym ułożeniem warstw kamienia.

Półki pełne były umierających.

Pole chirurgiczne nie istniało - powietrze ciężkie było od smrodu fekaliów, mdlącego, słodkawego odoru zepsutego mięsa i trudnego do opisania zapachu zarodników wypuszczanych przez grzyby żywiące się ludzkim ciałem.

Nick zatrzymał się o kilka kroków od wejścia i przymknął oczy. W chwilę później westchnął i wskazał odległy kąt.

- Tam. Widzisz to światło? Coś się dzieje... chyba Kar jest z nimi.

- Dobrze. On też będzie nam potrzebny, a mamy mało czasu. Musieli iść bardzo ostrożnie, żeby przechodząc z półki na półkę, na nikogo nie nadepnąć.

Besh leżał na plecach, nieruchomy, ledwie oddychał. Vastor klęczał obok niego z przymkniętymi oczami, z dłonią na jego sercu. Klej do tkanek z pakietu medycznego, który pozamykał rany od noża Terrela, stracił już połysk i przejrzystość, poczerniał i zaczął się zwijać jak martwa skóra, a rany spęczniały w bolesne bulwy lekko fosforyzującego grzyba. Perłowe zielenie i purpura pulsowały w cieniach rzucanych przez pręt żarowy trzymany przez Chalk.

Chalk siedziała ze skrzyżowanymi nogami po drugiej stronie, z piersią grubo owiniętą bandażem w sprayu. Ze spuszczoną głową ścierała wilgotną szmatką porosty z piersi Besha. Nawet z tej odległości Mace wyczuwał ostry zapach alkoholu i bursztynu portaaak.

Nick zatrzymał się o metr od nich i znacząco spojrzał na Mace'a, jakby chciał powiedzieć: „To był twój pomysł, radź sobie sam”.

Mace podszedł bliżej, pozostając na poprzedniej półce. Zatrzymał się i odezwał cicho do Chalk:

- Co z nim?

Nie podniosła wzroku.

- Umiera. A co u ciebie?

Zamoczyła szmatę w wiadrze, wyjęła, przetała, wrzuciła z powrotem do wiadra z tępym, mechanicznym uporem: robiła to dlatego, że chciała zrobić cokolwiek, choć nie wierzyła ani przez chwilę, że to pomoże.

- Chalk, potrzebujemy cię.



-Nie odchodzę, ja. Potrzebuje mnie on.

- My cię potrzebujemy. Chalk, musisz mi zaufać.

- Ufałam ci, ja. I Besh też. Mace nie odpowiedział.

Nick podszedł do Mace'a i stanął obok.

- Archiwum zaczyna wyglądać całkiem nieźle. Mistrz Jedi obejrzał się na niego.

Nick wzruszył ramionami.

- Hej, to chyba jedyna nieśmiertelność, na jaką możemy liczyć, no nie?

- Ciekawe, jak chcesz osiągnąć tę nieśmiertelność - mruknął Mace -jeśli moje dzienniki zostaną zagrzebane pod ruinami góry na Haruun Kal?

- Cholera, masz rację. To może być problem. - Nick zrobił taką minę, jakby go rozboleł żołądek.

- Zapomnij o nieśmiertelności. Skup się, żeby nie umrzeć jeszcze dziś.

Oczy Vastora były przymknięte, a Moc otaczała go mżącym kręgiem. Mace czuł częściowo, co robił lor pelek. Szukał w piersi Beshy podstawowej aury grzyba, który go zabijał, koncentrując na nim Moc, aby spalić zarodnik po zarodniku.

Kolejna fala wstrząsów zakołysała jaskinią. Luźne skały z grzechotem posypały się ze sklepienia.

- Kar - odezwał się Mace. - Nie tak. Nie mamy czasu.

Vastor nie otwierał oczu. Jego wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę.

*Czy jest coś lepszego, czym mógłbym się teraz zająć?*

- Właściwie tak - odparł Mace. - Jest.

*Czy ma to coś wspólnego z zabijaniem Balawai?*

- Może nie więcej niż tysiąca - przeprasząco odparł Mace. - Najwyżej dwóch tysięcy.

Vastor otworzył oczy przepelnione mrokiem pelekotanu. Chalk podniosła głowę, zapomniana szmata zwisała jej z palców. - No to co? - spytał Mace Windu. - Wchodzimy?

Dym i kurz wypełniały ogromną jaskinię, cuchnącą piżmem wydzielanym przez przerażone trawiaki, łajnem, uryną i krwią a z każdym nowym uderzeniem KOBA smród jeszcze się wzmaczał.

Flary zapalały się, rozbłyskiwały i gasły. Cuchnąca mgła wirowała olbrzymimi kłębowcami; trawiaki wspinały się, poszturchiwały się wzajemnie, niektóre w spazmie strachu zaciskały szczęki na własnych kończynach. Atakowały bezładnie, tratując ranne sztuki, a nawet własne młode. Korunnai

biegali pomiędzy nimi, znikając w dymie i pojawiając się na nowo, z rękami pełnymi drugich bosaków, i pochodniami próbowali rozdzielać walczące grupy wrzeszczących, chrząkających i oszalałych ze strachu zwierząt.

Jeden z wirów mgły rozstąpił się nagle - potężny akk zatrzymał się i spojrzał Mace'owi w oczy, mierząc go wzrokiem z gadzią złośliwością a z pyska zwisała mu długa nitka śluzu. Po chwili zwierzę statecznie odwróciło się i znikło w półmroku, zwinnie zawijając długim ogonem. Równie dobrze mogło się rozplątać.

Mace przeciskał się przez ten chaos.

Za nim postępowała para Korunnai z noszami, na których spoczywał EWHB i jego generator. Dwaj inni nieśli wyrzutnie torped i załadowane rury nośne. Chalk szła przewieszona przez ramię Nicka, który włókł ją za sobą.

Pięć kolejnych par Korunnai biegło po obwodzie jaskiń, wymijając miejsca zamieszania i ogniska zapalne. Każda para podzielona była tak, że jedna osoba niosła samodzielną torbę z pięcioma granatami protonowymi, a druga pochodnię. Pary wkrótce wśliznęły się do innego z pięciu szerokich przejść, którymi trawiaki codziennie prowadzono na wypas.

Powietrze drżało od eksplozji słabszych i ostrzejszych niż uderzenia Koba, ale wciąż dość potężnych, by wstrząsnąć podłożem. Mace wskazał w kierunku, skąd dochodziły te huk - w jednej z bocznych jaskiń miotał się przerażony ankkox. Wstrząsy pochodziły od wściekłych uderzeń maczugą na ogonie zwierzęcia, od których drżały ściany i podłoga jaskini.

Najbliższy z Korunów przy noszach zauważył gest Mace'a i wszyscy ruszyli w tym kierunku. Pochód zamykał Nick z Chalk na ramieniu.

Mace przystanął i obejrzał się. Przy wejściu do jednego z bocznych korytarzy stał Kar Vastor i jego strażnicy akków. Za nimi przycupnął tuzin związanych Mocą akków Vastora. Lor pelek pochwycił spojrzenie Mace'a i skinął głową.

Mace odpowiedział podobnym skinieniem i rozpostarł dłonie, jakby chciał powiedzieć: „Kiedy tylko będziesz gotów”.

Vastor i akki ruszyli z gniewną determinacją w kierunku jaskini trawiaków. Akki rozbiegły się wielkimi, sprężystymi skokami, rozpędzając na wszystkie strony przerażone trawiaki, przewracając i skacząc na nie, aż długie strugi śliny z ostrych jak brzytwy zębów spływały na futra wierzchowców. Ludzie trzymali się w luźnej formacji klinowej, z Vastorem jako punktem szczytowym; wkraczali tylko po to, aby rozdzielać walczące trawiaki, poskramiać zwycięzców i zabijać te, które były za ciężko ranne, aby walczyć.

Mace patrzył z kamienną twarzą. Marnotrawstwo. Brutalność.

Konieczność.

Zawrócił do własnej pracy.

Skinął ręką i masa walczących zwierząt i ludzi rozstała się przed nim. Dym i kurz opadł. Wtedy ją zobaczył.

Siedziała na półce jak na naturalnej galerijce, która biegła wzdłuż całej ściany jaskini. Stopy zwisały jej w przepaść i bujały swobodnie, jak u dziecka na zbyt wysokim krześle. Twarz zakryła rękami, nawet z drugiej strony jaskini widać było, że jej pierś wznosi się i opada w bezgłośnym rytmie szlochu.

Podszedł do niej, choć wciąż jeszcze nie wiedział, co ma powiedzieć.

-Depo...

Podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Gdyby nawet wiedział, co ma powiedzieć, nic by to nie dało, ponieważ nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Opaska-szmata, którą nosiła na czole przez te ostatnie kilka dni -znikła. A na jej czole...

Na jej czole, tam, gdzie powinien znajdować się Wielki Znak Oświecenia Chalactan...

Tak jak w halucynacji wiele dni temu, w osadzie poszukiwaczy, na czole Depy widniała brzydka fałda nabrzmiałej blizny. Jakby ktoś wyciął jej Wielki Znak Oświecenia z kości czaszki tępym nożem. Jakby rana, która po nim została, długo ropiała i nie była odpowiednio leczona.

Jakby do tej pory nie przestała ropieć...

Mniejszy Znak, zwany Poszukiwaczem, wciąż błyszczał u nasady jej nosa. Taki znak umieszcza się między oczami osoby, która staje się adeptem Chalactan: symbolizuje skoncentrowaną osobowość, jasną wizję, elegancję i porządek, które zaszczenia w osobie poszukiwacza dążenie do Oświecenia. Drugi Znak zwany jest Universum. Jest to dokładna replika Poszukiwacza, choć większa. Mocuje się go do kości czołowej w uroczystej ceremonii Konwokacji Adeptów, aby radośnie przyjąć kandydata do grona wybrańców. Oba razem reprezentują sobą podstawowy dogmat filozofii Chalactan: co na zewnątrz, to wewnątrz. Adeptci Chalactan uczą, że porządek niebieski, prawa natury, które rządzą ruchem planet, oraz koła galaktyk kierują również życiem Oświeconych.

Dla Depy jednak Universum przepadło. Pozostał jedynie Poszukiwacz.

Samotny w próżni.

- Mace... - Twarz Depy znów wykrzywiła się do płaczu. - Nie patrz na mnie. Nie możesz na mnie patrzeć. Nie możesz mnie takiej oglądać. Proszę...

Przyklęknął obok na jedno kolano. Nieśmiało wyciągnął dłoń, żeby dotknąć jej ramienia. Chwyliła jego rękę i przycisnęła do miejsca, gdzie spoczywała, ale sama odwróciła wzrok.

- Tak mi przykro... - pokręciła głową, jakby próbowała strząsnąć łzy z rzęs. - Tak mi przykro, że tak się stało... wszystko mogło potoczyć się inaczej... Lepiej. Szkoda, że ja też nie mogę być lepsza...

- Ależ możesz - ścisnął ją za ramię. - Możesz, Depo. Będziesz musiała.

- Jestem taka zagubiona, Mace... -jej szept był ledwie słyszalny w zamieszaniu panującym w jaskini, ale Mace czuł, co ma na myśli, jakby Moc sama mruczała mu do ucha. - Jestem taka zagubiona.

Depa z jego halucynacji... co ona mu takiego powiedziała? Przypomniął sobie.

- Dopiero w najciemniejszym mroku światłość, którą jesteśmy, świeci najjaśniej - rzekł łagodnie.

- Tak. Tak. Tak, zawsze to powtarzasz. Ale co ty wiesz o ciemności? - Opuściła głowę i oparła podbródek na piersi, jakby nie mogła już wymyślić powodu, żeby trzymać ją prosto. - Jak ślepiec może wiedzieć, że gwiazdy zgasły?

- Ale one nie zgasły - odparł Mace - Błyszczą tak samo jasno jak zawsze. Jak długo wokół nich żyją ludzie, będą potrzebowali Jedi. Tak jak ja potrzebuję ciebie w tej chwili.

- Ja... ja już nie jestem Jedi. Wycofuję się. Składam rezygnację. Odchodzę. Myślałam, że to zrozumiałeś.

- Rozumiem. Ale nie akceptuję.

- To nie zależy od ciebie.

Zdjął rękę z jej ramienia, podniósł się i pochylił nad nią.

- Wstawaj.

Westchnęła i uśmiech, choć z trudem, wypłynął na jej mokrą od łez twarz.

- Nie jestem już twoim padawanem, Mace. Nie możesz mi rozkazywać.

- Wstawaj!

Odruchy, utrwalone w jej psychice przez ponad dziesięć lat niekwestionowanego posłuszeństwa, zadziałały raz jeszcze, instynktownie stawiając ją na nogi. Zachwiała się jak pijana i otworzyła usta ze zdumienia.

- Za kilka minut prawie tysiąc klonów, żołnierzy Republiki, dotrze do nas.

W oczach Depy zapłonęło nowe światło.

- Czy to znaczy... że „Halleck” może nas uratować?

- Nie - odparł Mace. - To my musimy ratować ich. -Nie... nie rozumiem.

- Przybywają pod ostrzałem. Cały ten cholerny system jest jedną wielką pułapką. Wycofanie się separatystów było przynętą, rozumiesz?

- To niemożliwe! To nie może być prawda! - Światło znikło z jej oczu, ramiona opadły. - Oczywiście, że to prawda. Jak mogłam kiedykolwiek pomyśleć inaczej? Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że zwyciężę?

- Przechwycili średni krążownik, że nie wspomnę o dwóch członkach Rady Jedi. „Halleck” może już nie istnieje. Żołnierze-klony przybywają na pokładach pozostałych lądowików. Będą ich ścigały myśliwce bezpilotowe Federacji Handlowej, szybsze, bardziej zwrotne i lepiej wyposażone. Jeśli nasi ludzie znajdą się pomiędzy myśliwcami a milicją nie będą mieli szans. Jeśli mają zachować choć cień szansy, to my musimy im ją dać. Nie, nie my. Ty.

- Ja? A co ja mogę zrobić?

Odsunął połą kurtki. Jej miecz wyfrunął z wewnętrznej kieszeni i zawisł, kołysząc się łagodnie w powietrzu między nimi.

- Możesz dokonać wyboru.

Przenosiła wzrok z miecza na jego oczy i z powrotem. Przyglądała się uchwyтови, jakby jej odbicie na powierzchni wysmarowanej portaakowym bursztynem mogło wyjawiać przyszłość.

- Mój wybór nie ma żadnego znaczenia.

- Dla mnie ma.

- Niczego się nie nauczyłeś na tym świecie? Nawet jeśli ich uratujemy, nic to nie da. Nie w dżungli. Rozejrzyj się. To nie jest coś, z czym można walczyć, Mace...

- Ależ można...

- To nie jest nieprzyjaciel, Mace. To po prostu dżungla. Nie możesz nic z tym zrobić. Po prostu jest, jak jest.

- Sądzę - łagodnie odparł Mace - że to ty nie wyciągnęłaś wniosków z lekcji, jaką dało ci Haruun Kal.

Pokręciła głową z rezygnacją.

- Nie powiesz mi, że nie umiesz walczyć z dżunglą, Depo - zganił ją. - To właśnie robią Korunnai. Nie rozumiesz tego? Na tej walce opiera się cała ich kultura. Na walce z dżunglą. Wykorzystują trawiaki, żeby ją atakować, a akki, by się bronić przed jej kontratakami. O to chodzi w Letniej Wojnie. Balawai chcieli wykorzystać dżunglę, żyć z niej, czerpać z niej zyski... Korunnai chcą siłą zmusić ją do pokory. Zrobić z niej coś, co nie będzie już chciało pożreć ich żywcem. A teraz pomyśl: dlaczego Korunnai to robią? Dlaczego są wrogami Balawai? Dlaczego są wrogami dżungli?

- Zagadka dla padawana? - zapytała z goryczą.

- Lekcja.

- Już skończyłam z lekcjami.

- Nigdy nie kończymy z lekcjami, Depo, dopóki żyjemy. Odpowiedź znajduje się przed twoim nosem. Dlaczego Korunnai walczą z dżunglą?

Otworzył dłoń, jakby podając na niej odpowiedź.

Stała, wpatrując się w uchwyt miecza świetlnego, wiszącego w powietrzu pomiędzy nimi. Nagle w jej oczach pojawiło się coś jakby delikatny powiew wiatru z czystego, chłodnego miejsca, powiew powietrza, który złagodzi jej dławiący ból.

- Ponieważ... - zaczęła ściszym, pełnym szacunku głosem. Przytłoczonym przez prawdę.

- Ponieważ są potomkami Jedi... - Tak.

- Ale... przecież nie możesz walczyć z porządkiem rzeczy...

- A my to robimy. Codziennie. Tym właśnie są Jedi. Z jej przekrwionych oczu popłynęły łzy.

- Nigdy nie zwyciężysz...

- Nie zwyciężymy - łagodnie poprawił ją Mace. - I nie musimy. Musimy jedynie walczyć.

- Przecież... nie możesz mi tak po prostu przebaczyć.

- Jako członek Rady Jedi... masz rację, nie mogę. Jako twój mistrz nie przebaczę. Ale jako przyjaciel...

Oczy go zapiekły. Pewnie od dymu.

- Jako twój przyjaciel, Depo, mogę ci przebaczyć wszystko. Już to zrobiłem.

Pokręciła głową bez słów. Podniosła rękę.

Dłoń drżała. Zacisnęła ją w pięść i zagryzła wargi.

- Weź swój miecz, Depo - polecił. - Uratujemy tych ludzi. Wzięła.

Milicja lądowała falami.

Zanim opadł pióropusz dymu i kurzu z ostatniego ataku KOBA na górę, nad przełęcz w dżungli nadleciały kanonierki, plując tuzinami, a później setkami arpidesantowców. Byli to żołnierze wyposażeni w jednorazowe pakiety repulsorowe, które opuszczały ich szybko przez korony drzew. Rozbiegli się po dżungli, wyposażeni w elektroniczne detektory śledzące pewien pierwiastek występujący w moczu trawiaków, zdolne do wykrywania nawet śladowych ilości. Szybko zlokalizowali pięć głównych tuneli prowadzących do bazy partyzantów i oznaczyli je potężnymi reflektorami.

Działka laserowe kanonierek ścinały drzewa, żeby wokół każdego wylotu stworzyć wolną od ognia strefę. O kilometr dalej zastosowano podobną technikę, aby przygotować lądowisko dla wahadłowców wojskowych, które czekały na orbicie stacjonarnej, by zrzucić po pięciuset żołnierzy każdy i zaraz zawrócić do miejsca załadunku na obrzeżach miasta Oran Mas, pięćdziesiąt klików na północny zachód.

Zanim oznakowano tunele trawiaków, na ziemi było już z pięć tysięcy zawodowych milicjantów i wszyscy zdążali w kierunku pola bitwy.

Następne dziesięć tysięcy było w drodze.

Milicja nosiła broń, której pozazdrościłaby im sama Wielka Armia Republiki: dostarczona przez separatystów, wspieranych potęgą kapitałową i zapleczem przemysłowym Federacji Handlowej oraz gildii producentów, była hojnie finansowana z zysków z handlu korą thyssela.

Standardowe wyposażenie bojowe zawodowego żołnierza milicji na Haruun Kal obejmowało średni karabinek laserowy Merr-Sonn BC7 z opcjonalnym granatnikiem na granaty raketowe, sześć granatów typu Dum-Dum (przeciwpiechotnych), najnowszy wibronóż do walki wręcz, Merr-Sonn Devastator, oraz broń osobistą z włókien ceramicznych Opankro Graylite. Dodatkowo co szósty żołnierz miał przenośną, plecakową wersję miotacza płomieni, a każdy dwudziestoosobowy pluton dysponował eksperymentalnym podwójnym moździerzem z granatnikiem MM(X), również firmy Merr-Sonn.

Piętnaście tysięcy zawodowców. Trzydzieści pięć naziemnych wozów bojowych - przerobionych pełzaków parowych, oprócz miotaczy płomieni wyposażonych w działka chemiczne wyrzucające eksplodujące naboje, jak również w szybkie samopowtarzalne działka zamontowane na bocznym pancerzu. Siedemdziesiąt trzy kanonierki krótkiego zasięgu Sienar Turbostorm.

Cały ten arsenał zbliżał się teraz do bazy na przełęczy Lorshan.

Przeciwko nim partyzanci koruńscy mieli około czterystu ludzi, z których dwie trzecie było rannych, oraz ponad dwa tysiące nie nadających się do walki ludzi starszych i bardzo młodych. Wyposażeni byli w rozmaite typy lekkich strzelb na naboje, kilka sztuk lekkiej i średniej broni energetycznej, niewielki stosik granatów, dwie naramienne wyrzutnie torped protonowych Krupx MiniMag oraz jeden ciężki samopowtarzalny miotacz Merr-Sonn EWHB-10.

Partyzanci z Haruun Kal byli doskonali w wojnie w dżungli, ale znacznie mniej mieli wprawy w otwartej walce. W przypadku konwencjonalnych starć między milicją a Korunnai milicja zawsze rozbiła partyzantów w puch. Nic więc dziwnego, że dziś przy przełęczy Lorshan zawodowcy przekonani byli nie tylko, że zwyciężą, ale i o tym, że dziś załatwią ostatecznie cały ruch oporu Korunnai.

Większość zawodowych żołnierzy w przełęczy Lorshan nawet nie powąchała walki. Zanim zdążyli przygotować sobie pozycje u wylotów tuneli - zanim wystrzelili bodaj raz z miotacza czy rzucili choćby jeden granat - ziemia się zatrzęsała, góra ryknęła i z czterech tuneli buchnęły ogromne kłęby dymu i kurzu.

Grupy zwiadowcze, składające się z nielicznych, najdzielniejszych żołnierzy z zaciągu, ostrożnie zakradły się w mrok i odkryły, że tunele zostały całkowicie zasypane niewyobrażalnymi ilościami kamienia. Zaintrygowani wojacy nie mieli więc do roboty nic innego, jak tylko zasiąść z pakietami racji żywnościowych i odprężyć się w miarę możliwości, na zmianę obserwując górę i działania partyzantów przez zwykłe lornetki.

Tylko jeden tunel pozostał otwarty. Żołnierze u wylotu tego tunelu wynieśli z tej bitwy cokolwiek odmienne doświadczenia.

Wybuchy granatów protonowych w innych tunelach zostały uznane przez komendanta milicji za świetną okazję. Tunel, przy którym znajdowali się jego ludzie, pozostał nietknięty, więc stwierdził, że środki wybuchowe, stosowane zazwyczaj w tutejszych kopalniach po prostu nie odpaliły. Poleciał wysunięcie moździerzy i wystrzelił w głąb tunelu kilka granatów gazowych, załadowanych środkiem paraliżującym system nerwowy Tisyn-C.

Jego ludzi zaskoczyło zatem, a potem przeraziło, kiedy te same granaty wyleciały z tunelu i wylądowały w ich własnych szeregach. Tisyn-C był cięższy od powietrza, a choć zbroja bojowa Opanko Graylite miała być odporna na pociski gazowe, żaden z żołnierzy nie miał ochoty sprawdzać jej działania z gazem, który powoduje konwulsje, demencję, a następnie paraliż dróg oddechowych i śmierć. Kiedy biała chmura napłynęła nad ich zaimprovizowane obozowisko, milicja przezornie stamtąd odpłynęła. I oto znaleźli się na otwartej przestrzeni, bardziej przerażeni tym, co się dzieje w ich własnych szeregach, niż kolejnym atakiem - szarżą stada rozszalałych trawiaków.

Trawiaki nie są hodowane do walki. Wręcz przeciwnie. Przez siedemset pokoleń Korunnai zrobili ze swoich trawiaków stworzenia pokorne i łatwe do prowadzenia, posłuszne rozkazom swoich ludzkich przewodników i ich psów pasterskich akk. Rosły wielkie, tłuste, dając ludziom mleko, mięso i skóry.

Z drugiej jednak strony dorosły byk trawiaka mógł ważyć około półtorej tony. Jego chwytne członki - przednie i środkowe pary - były dość silne, aby wyrwać z korzeniami małe drzewka. Jednym z



ulubionych przysmaków trawiaka były ciernie brązowina, które miały twardość bliską durastali. Powiadano, że znudzony trawiak może obgryźć kawałki pancerza z pełzaka.

A siedemset pokoleń to wcale nie tak dużo, biorąc pod uwagę skalę ewolucji.

Byki trawiaków były zamknięte w ciasnych pomieszczeniach przez wiele tygodni, cierpiały niewiarygodny stres i ciągle zagrożenie ze strony bardziej agresywnych towarzyszy. Dziś dodatkowo przeżyły wstrząsające bombardowanie, które pozostawało całkowicie poza sferą ich pojmowania, bo jedynym podobnym wydarzeniem, na jakie przygotowała je ewolucja, był wybuch wulkanu. Instynktowną reakcją trawiaków na erupcję była ślepa panika.

Kwiczące, wyjące zwierzęta wylały się z tunelu. Żołnierze odkryli nagle, że miotacz laserowy ma marginalne znaczenie w starciu z półtoratonowym potworem, oszalałym z nadmiaru hormonów stresowych. Odkryli również, że członki dość potężne, aby wrywać małe drzewka, bez trudu radziły sobie z wrywaniem ludziom nóg, a szczęki, które wyginają pancerną płytę, potrafią zrobić z ludzkiej głowy taką krwawą masę, że człowiek nie odróżni kawałków czaszki od kawałków hełmu.

Więcej szczęścia mieli z granatami rozrywającymi. Granat wystrzelony z lufy przytkniętej do ciała zwierzęcia był w stanie przebić tors trawiaka, a kiedy wybuchał w środku, robił z niego po prostu gulasz. Mając pod ręką pięć NWB - choć ich wieżyczki nie nadążały obracać się za skaczącymi, pędzącymi i ruchliwymi trawiakami, równa seria z szybkiego samopowtarzalnego karabinu wystarczała najczęściej, aby położyć zwierzę na miejscu - milicja przeżyłaby galopadę bez jakichś specjalnych strat własnych.

Przeżyłaby - gdyby za trawiakami nie podążały tuziny psów akk.

Trawiaki były tylko spanikowane i działały przypadkowo, starając się uciec i przeżyć; natomiast akki zachowywały się jak stadnie polujące drapieżniki, którymi zresztą były: zorganizowane, inteligentne i zabójcze. Wskakiwały w sam środek oddziału, rwąc ludzi na strzępy ostrymi zębami i druzgocąc uderzeniami ogonów. Wyczulone zmysły bez trudu podpowiadały im, który z leżących został naprawdę obezwładniony, a który tylko udaje. Żołnierze, którzy próbowali udawać zabitych, wkrótce przestali i próbować, i udawać.

Samopowtarzalne karabinki NWB były bezsilne wobec pancernej skóry akków, a wieżyczki jeszcze bardziej bezużyteczne niż w przypadku ciężkich trawiaków. Piechota nie miała nic, czym mogłaby je bodaj zadraskać, więc rozbiegła się, co z kolei wywołało u psów gwałtowny przypływ instynktu pasterskiego. Akki naskoczyły na żołnierzy, wymordowały dowództwo, a całą resztę zapędziły w beładnej masie do miejsca jatki u wylotu tunelu.

Dowódca jednostki milicji, który ze swojej wieżyczki w NWB widział, jak jego sen o zwycięstwie w ciągu niecałych dwóch minut przeradza się w koszmarną masakrę, zrobił to, co zrobić musiał.

Wezwał siły powietrzne.

Kanonierki przy przełęczy Lorshan wciąż były zajęte przenoszeniem żołnierzy z punktu ładunkowego w Oran Mas. Kiedy otrzymały wezwanie od dowódcy jednostki, co najmniej jedna trzecia

znajdowała się już w drodze do przełęczy. Sienar Turbostorm nie był specjalnie szybkim statkiem - osiągał zaledwie zero-pięć ponad szybkość dźwięku, i to w stromym nurkowaniu - ale w ciągu kilku sekund niebo nad przełęczą huknęło dwudziestoczerokrotnym przekroczeniem bariery dźwięku. Statki wytraciły prędkość, stając dęba i wykorzystując repulsory jak silniki wsteczne. Włazy desantowe otworzyły się, wypływając dwudziestu arpidesantowców za jednym zamachem, po czym kanonierki wyprostowały lot i zaczęły krążyć nad polem bitwy, ostrzeliwując je z przednich baterii.

Pociski trafiały w walczących bez różnicy, niszcząc akki, ale przy okazji rozrywając na strzępy własnych żołnierzy. Jediną obroną akków przed pociskami były uniki, więc psy rozbiegły się pomiędzy drzewa. Komendant jednostki, widząc okazję do wykazania się genialną strategią, rozkazał atak wszystkimi pięcioma wozami bojowymi. Miały one ruszyć tunelem - z jego własnym wozem na czele - miażdżąc po drodze trawiaki i zmuszając akki do ucieczki. Lepiej uzbrojony niż kanonierka, uważał, że nie ma się czego bać. Niebawem miał tego pożałować, choć tylko przez pół sekundy, zanim dosięgły go wystrzelone z tunelu torpedy protonowe, zmieniając jego NWB w kupę złomu.

W tym momencie partyzanci wprowadzili na plac boju swoją jedyną sztukę artylerii ruchomej: z wylotu tunelu wytoczyło się dwanaście ton ankkoksa.

Na jego głowie stał woźnica - Korun wielki jak Wookie, o barach rancora i srebrzystych tarczach w kształcie łez przymocowanych do przedramion.

Korun skinął dłonią i poskręcana masa dymiącego złomu, która niegdyś była NWB dowódcy jednostki, rozplaszczyła się ze zgrzytem pod masywnymi stopami ankkoksa. Machnął jednym ramieniem i maczuga ogonowa zwierzęcia świsnęła w powietrzu, wprawiając wieżyczkę strzelniczą drugiego NWB w ruch wirowy, wskutek czego oddany strzał trafił z bliskiej odległości w pancerz następnego z kolei wozu bojowego.

Dwie pary Korunnai, prawie tak wielkich jak ten na ankkoksie i podobnie uzbrojonych, przycupnęły po obu bokach wygiętej skorupy grzbietowej zwierzęcia. Każda para miała ciężki, niewygodny naramienny miotacz torped protonowych z zapasem czterech rur ładujących, których wyraźnie nie mieli ochoty przetrzymywać. Wyrzutnie wypływały jedną torpedę za drugą, najpierw niszcząc pozostałe wozy bojowe, a następnie kierując się w niebo, aby zestrzelić nadlatujące kanonierki.

Kilku bohaterskich żołnierzy milicji postanowiło zbliżyć się do ankkoksa na tyle, aby zaatakować strażników akków bronią ręczną, ale niemal natychmiast znaleźli się w powietrzu, zmiażdżeni osłepiająco szybkimi i skutecznymi uderzeniami ogona.

Na szczycie skorupy grzbietowej ankkoksa, gdzie kiedyś stała howdah z polerowanego lammasu, teraz znajdował się przyśrubowany bezpośrednio do pancerza ciężki samopowtarzalny miotacz, którego generator obsługiwał młody, niebieskooki Korun o uśmiechu szaleńca. Miotacz grał pieśń zniszczenia, rycząc nieustannie i zasypując pole bitwy ładunkami wysokoenergetycznych cząstek.

Strzelcem była Korunka o jasnej skórze i zaskakująco rudych włosach, tak zgrana i zrosnięta ze swoją bronią, że choć chwilami strzelała z zamkniętymi oczami, nieomylnie trafiała w kokpity i wieżyczki strzelnicze nawet tych kanonierek, które zbliżały się do prędkości dźwięku. Spadające z nich pociski w odległości kilku metrów od luku trafiały na strumienie ognia z miotaczy. Żaden nie spadł na ziemię.

Żadna z kanonierek nie była też w stanie podejść na tyle blisko, aby wciągnąć Korunkę w pojedynek; nie tylko dlatego, że każdy strzał wytrącał z równowagi ich statki, uniemożliwiając celowanie, lecz i z tej przyczyny, że osłaniali ją Korun i Chalactanka, oboje uzbrojeni w miecze świetlne Jedi i posługujący się nimi tak, jakby od urodzenia nie robili niczego innego.

Dwie kanonierki, które mimo to spróbowały ataku, spadły w płomieniach.

Inne odleciały, biorąc szeroki zakręt, aby ukryć się za górami. W chwilę później trzy z nich pojawiły się w formacji, lecąc wprost na zbocze, i zanurkowały, ale ustawiły repulsory tak, aby nie spadać z większą szybkością niż biegnący człowiek. Dolne śluzy się otworzyły, odsłaniając zamontowane w nich miotacze płomieni Sunfire.

Rozpoczęła się niepowstrzymana ulewa ognia.

Łądowniki klasy Jadthu, dokowane na „Hallecku”, były w istocie zmodyfikowanymi wahadłowcami Incom, nieco podobnymi do tych, które przewożą pasażerów do i z liniowców pętli Gevarno. Wygodne, rozkładane krzesła zastąpiono ławkami, transpastał płytą pancerza. Każdy z nich mógł unieść do sześćdziesięciu w pełni wyposażonych i uzbrojonych żołnierzy. Miały kształt mniej więcej prostopadłościanu i były ładowane od tyłu, co umożliwiało ich ustawienie w pełnych blokach, cztery statki na pięć, z dziobami tkwiącymi w gniazdach w powłoce krążownika i skierowanymi na zewnątrz.

Były prostej konstrukcji, łatwe i tanie w budowie, jak również wygodne w transporcie. Dzięki grubemu pancerzowi potrafiły też odeprzeć prawie każdy strzał.

Było to ich niewątpliwą zaletą, ponieważ nie posiadały hipernapędu i trwałością kompensowały brak zwrotności, niechlubnie porównywany do Hutta na płamie oleju.

Ich jedynym uzbrojeniem były dwie wieżyczki z podwójnymi działkami laserowymi - z przodu i z tyłu, oraz wyrzutnią Arkayd Caltrop 5, która mogła w każdej chwili i w każdym kierunku wypuścić obłok durastalowych igieł, co skutecznie zakłócało wskazania czujników. Strzelcy na łądownikach już w pierwszym starciu odkryli, że przy szybkościach, w jakich toczą się bitwy w międzygwiazdnej przestrzeni, rozrzucenie igieł z caltrop 5 było wysoce skuteczną bronią. Niczym miniaturowe pole asteroid, igły katastrofalnie uszkadzały każdy statek, który nierozsądnie lub pechowo próbował przelecieć przez obłok. Dotyczyło to zwłaszcza myśliwców bezpilotowych, których siłę pancerza poświęcono dla większej zwrotności i których ochrona opierała się zwykle na polach energetycznych. Oczywiście, w kontakcie z durastalowym złomem pole nie mogło im w niczym pomóc.

Kiedy „Halleck” - zaangażowany w walkę i mocno uszkodzony przez uwijającą się wokół niego chmurę myśliwców bezpilotowych - odpalił zaciski dokujące i ruszył w nadprzestrzeń, na pokładzie wiozł dziewiętnaście łądowników, które w sumie pomieściły dziewięćset siedemdziesiąt siedem klonów, łącznie ze strzelcami i pilotami.

Łądowniki nie miały osłony. Eskorta myśliwców „Hallecka” została zniszczona w pierwszych minutach starcia. Ich jedyną ochroną poza własnymi działkami było pięć kanonierek Rothana HR

LAAT/1. Zostały one przydzielone do misji jako przeciwpiechotna osłona dla lądowników, na wypadek gdyby się okazało, że muszą podjąć pasażera w strefie działań nieprzyjaciela. Kanonierki te miały wprawdzie napęd podświetlony do użytku na orbicie, ale nie były przewidziane do walki z elektronicznym refleksem bezpilotowych myśliwców.

Na szczęście, obsadzono je klonami, których refleks nie był o wiele gorszy. Dzięki temu do atmosfery dotarło szesnaście lądowników i trzy kanonierki. Za nimi wleciał cały oddział myśliwców - sześćdziesiąt cztery jednostki.

Wyżynę Korunnai osiągnęło czternaście lądowników i pięćdziesiąt trzy myśliwce bezpilotowe. Żadna z kanonierek nie przetrwała.

Zanim lądowniki znalazły się w zasięgu przełęczy Lorshan, było ich już tylko dwanaście, z czego pięć poważnie uszkodzonych. Czterdzieści myśliwców ścigało je z elektronicznym, bezlitosnym uporem.

Zza krzywizny horyzontu przed nimi wysypały się jeszcze trzy oddziały myśliwców i ustawiły się na kursie przechwytyjącym.

Trzy kanonierki podpaliły zbocze góry. Lawina płomieni przetoczyła się w dół, w kierunku ogniska walki przy wylocie tunelu.

Zawodowe oddziały milicji rozpierzchły się we wszystkich kierunkach, ślizgając się na kałużach krwi, przedzierały się pomiędzy połamanymi drzewami i truchłami trawiaków. Ranne trawiaki rzucały się i wyły, akki warczały, skakały i gryzły, ankkox zaś rozdziawił ogromną, opancerzoną paszczę i wydał z siebie ryk, od którego ze zbocza góry posypały się kamienie. Kilku żołnierzy próbowało znaleźć schronienie pod skorupą ankkoksa, ale natychmiast zostali zmiażdżeni na krwawą masę, rozprysniętą potężnymi ciosami ogona.

Chalk, usadowiona na szczycie skorupy, wyrzucała z siebie stek przekleństw, usiłując ustawić ciężką lufę miotacza w pozycji, do której nigdy nie był przewidziany - w górę. Nick, cały czas zajęty przy generatorze EWHB, spojrzał na Mace'a i oskarżycielsko wyciągnął palec w kierunku lawiny ognia.

- Czy twój plan obejmował i to?

- Oczywiście. - Mace wetknął miecz świetlny do futerału i spojrzał w górę, kalkulując szybkość nadlatujących kanonierek. - Wszyscy padnij! - krzyknął. - Kryć się pod pancerzem!

Depa rzuciła się do przodu, ponad łbem ankkoksa, przewinęła się w powietrzu i wylądowała tuż obok ogromnej głowy stworzenia, po przeciwnej stronie niż Kar Vastor, podpierając się na olbrzymim fałdzie nosowym obok pyska. Strażnicy akków porzucili opróżnione już wyrzutnie torped i zsunęli się po skorupie na ziemię.

- To jest ta część, którą wolałeś przemilczeć? - mruknął Nick.

- Pomóż lepiej Chalk - zaproponował Mace.

Chalk wciąż walczyła z ciężkim sprzętem, leżąc na plecach pod trójnogiem. Nick musiał siłą oderwać jej palce od broni, żeby ją wywlec w bezpieczniejsze miejsce.

- A mógłbym ci powiedzieć, że mam dość twoich planów? Wszystkich! Dlaczego wykombinowałeś, że to dobry pomysł?

Mace skinął głową Karowi i ogon ankkoksa śmignął nad grzbietem zwierzęcia. Jedi złapał go obiema rękami tuż poniżej ciężkiego guza na końcu.

- Bo gdybym spróbował tej sztuczki w czasie przelotów naddźwiękowych - odparł spokojnie - byłbym teraz mokrą czerwoną plamą na owiewce.

Na polecenie Kara Vastora, przekazane poprzez Moc, ankkox puścił ogon w krótki młynek, podrywając Mace'a w powietrze. Zawinął nim raz wokół zewnętrznej krawędzi pancerza, żeby wyczuć dodatkowe obciążenie, po czym z ogłuszającym trzaskiem puścił go w górę po zboczu z taką prędkością, jakby został wystrzelony z wyrzutni torpedowej.

Mace znalazł się nagle na trajektorii zbieżnej z opadającymi kanonierkami. Sięgnął poprzez Moc do rozporki, która dzieliła przez środek przedni iluminator kanonierki i pociągnął. Okręcił się w powietrzu, aż zaświstało mu w uszach i podciągnął się jak na holu. Butami zapał się po obu stronach rozporki i znieruchomiał, jak przymurowany przez Moc, twarzą do przodu. Między czubkami butów widział zdumione, rozdziawione gęby pilota i nawigatora kanonierki.

Nawigator gapił się tylko, niezdolny pojąć natury tego niewyjaśnionego zjawiska. Pilot miał lepszy refleks - kanonierka skoczyła, kiedy wypuścił drążek i chwycił za boczny karabinek. Widać postanowił sprzedać życie swoje i swojej załogi za jeden strzał do rycerza Jedi przez dziurę, którą, jak przypuszczał, Mace zaraz wytnie w pancerzu swoim mieczem.

Mace jednak tylko pokręcił głową, jakby się rozczarował. Pogroził im palcem, jak uczniakom przyłapanym na psocie.

Zaskoczenie, jakim zareagowali na takie zachowanie, szybko minęło, kiedy usłyszeli dwa ostre kliknięcia - odgłosy wydane przez dźwignie bezpieczeństwa układów katapultujących, kiedy się je przekłada w pozycję „gotów”. Nie mieli czasu zauważyć, co się właściwie dzieje - a z pewnością nie zdążyli zareagować - kiedy płytki aktywujące pod siedzeniami wcisnęły się same, a ładunki wybuchowe stłukły transpystalowe szyby ułamek sekundy przedtem, zanim oni zrobili to własnymi kaskami.

Mace pochwycił przelotny obraz identycznie oburzonych min, gdy repulsorowe sprężyny wyrzuciły ich fotele w kierunku dżungli. Jeden z nich zawołał coś nieprzyzwoitego, drugi tylko wrzeszczał.

Mace odbił się od krawędzi dachu i wskoczył do pustej kabiny. Jednym ruchem w kierunku konsoli nawigacyjnej wyłączył miotacz ognia, drugim - na konsoli pilota - uaktywnił funkcję lądowania na autopilocie, po czym otworzył drzwi i spokojnie wszedł do przedziału pasażerskiego.

Przedział pełen był liści, błota i opakowań z racji żywnościowych, jak również różnych urządzeń,

zapomnianych lub wyrzuconych przez desant. Włazy do wieżyczek po prawej i lewej burcie znajdowały się dokładnie naprzeciwko siebie przed wspornikami turbiny, w dwóch trzecich drogi na rufę.

Mace przeszedł pomiędzy nimi, odwrócił się i skrzyżował ramiona.

Poprzez szczelne włazy słyszał wycie klaksonu ostrzegawczego, włączanego przed katapultowaniem. Nawet nie musiał sięgać w Moc, żeby ujrzeć w wyobraźni strzelców w obu wieżyczkach, jak gorączkowo walczą z pasami bezpieczeństwa w fotelach. Ręczne zamki na włazach jakimś cudem zablokowały się tak mocno, że ustąpiły dopiero wtedy, gdy rzucili się na nie całym ciężarem.

Wtedy uchwyt Mocy, jaki zastosował Mace, zamiast przytrzymywać włazy w pozycji zamkniętej, otworzył je jednym szarpnięciem i obaj strzelcy dosłownie wlecieli do przedziału, zderzyli się kaskami z trzaskiem niewiele różniącym się od strzału i upadli. Jeden z nich, widocznie silniejszy, nie stracił przytomności; próbował stanąć na nogi, dopóki nie natknął się na but Mace'a.

A raczej, mówiąc dokładnie: dopóki czubek buta Mace'a nie natknął się raptownie na podbródek strzelca.

Nieprzytomny mężczyzna upadł na swojego kolegę. Mace wziął ze sterty śmieci na podłodze dwa krótkie kawałki drutu i skrępował ich dłonie kciukami. Następnie niespiesznie wrócił do kabiny i odczekał, dopóki statek nie wylądował na usłanej trupami przecince około dziesięciu metrów przed ankkoksem.

Na zewnątrz dwie pozostałe z trójki kanonierki zawracały właśnie, syjąc ogniem z wieżyczek i celując w nich z działek laserowych. Depa i Kar przykucnęli przed łbem ankkoksa, odbijając strumienie ognia z miotaczy. Chalk i Nick leżeli płasko pod osłoną jednej z masywnych, szeroko rozstawionych łap zwierza, prowadząc ogień z terkoczących karabinków desantowych.

Mace nacisnął dźwignię zwalnającą klapę włazu do przedziału pasażerskiego i wystawił głowę przez dziurę po brakującej owiewce. Kiedy ujrzeli go pozostali, otworzyli usta prawie równie szeroko jak właz.

- Na co czekacie? - warknął Mace z pokerową miną. - Zaproszenie wam wysłać?

Depa wyskoczyła na otwartą przestrzeń, jej miecz migał szybciej, niż oko mogło nadążyć. Ściągała na siebie ogień, który bez trudu odbijała mieczem, podczas gdy pozostali zbierali się na nogi. Nick wyminął ją, strzelając z wysokości uda. Kar zanurkował pod ankkoksa, przetoczył się i pobiegł, niosąc Chalk w ramionach jak małe dziecko. Ogień zza osłony drzew oderwał się od Depy i zaczął ścigać kluczącego Kara.

Mace zmarszczył brwi.

- Myślę, że to by było na tyle... - mruknął i sięgnął w Moc, aby użyć przełączników i kluczy do serwowatorów naprowadzających wieżyczki karuzelowe, co pozwalało na ich sterowanie z konsoli pilota.

Dwa poczwórne działka laserowe Taim & BAK ożyły z rykiem, który przetoczył się po dżungli jak grzmot. Drzewa eksplodowały jak bomby, wypełniając powietrze drzazgami i pyłem drzewnym, który zadziałał jak zaimprovizowana zasłona dymna, osłaniająca Kara i Chalk w drodze do kanonierki. Depa popędziła za nimi.

Nick pojawił się u wejścia do kokpitu za plecami Mace'a.

- Jesteśmy w środku!

- Świetnie. A strzelcy?

- Ci powiązani? - Młodzieniec wzruszył ramionami. - Na zewnątrz.

Mace skinął mu głową. - Trzymaj się!

Było to ostatnie ostrzeżenie, zanim kanonierka wystrzeliła w górę niczym kamień z wulkanu, rycząc przesterowanymi repulsorami. Ogień z działek pozostałych kanonierek zalał miejsce, gdzie stała jeszcze przed chwilą, po czym podniósł się wyżej, waląc w burty. Wgniecenia pojawiały się jedno obok drugiego.

Mace wprowadził kanonierkę w pętlę wznoszenia, ale pozostałe dwa statki wzięły go w dwa ognie.

- Przegroda! Zamknij przegrody! - rozległ się nagle głos Nicka, z trudem przedzierający się przez huk trafień i chybionych, ale bliskich strzałów.

Obejrzał się przez ramię. Depa stała pośrodku pomieszczenia, chwiejąc się na nogach z zaciśniętymi powiekami, jakby bitwa wywołała u niej migrenę. Nick skulił się w przejściu, osłaniając głowę ramionami. Kar ułożył Chalk na podłodze i przykucnął przed nią. Odbijał wzniesionymi tarczami zbląkane promienie, które przedostały się przez przejście i świstały czerwonymi rykoszetami po całym przedziale.

- Depo - odezwał się Mace. Otworzyła oczy.

Jego miecz świetlny wyskoczył mu z kieszeni i pomknął ku niej jak kula.

Dłoń Depy wystrzeliła mu na spotkanie. Szkliste od bólu oczy jakby straciły zdolność widzenia. Wyczuł to w Mocy - coś jak poddanie się i rezygnacja pływaka, niezdolnego dłużej walczyć z przyływem.

Pogrążyła się w Vapaad.

Znów zamknęła oczy i lekko skinęła głową.

Mace wprowadził sekwencję kodową na konsoli pilota. Przegrody pozostały otwarte. Właz wyjściowy po drugiej stronie otworzył się także.

Do przedziału zaczęły się wdzierać smugi cząstek.

Oba ostrza zatańczyły jednym rytmem.

Statki na zewnątrz zakołysały się pod ogniem strzałów z własnych działek. Silnik turboodrzutowy jednego z nich wyskoczył z obudowy i odpadł, odbijając się od zbocza i ciągnąc za sobą smugę dymu i rozpalone do białości szczątki poszycia. Kanonierka zakreśliła się, częściowo tracąc sterowność.

Druga kanonierka przyjęła własne strzały prosto w kokpit.

Transpastalowe okna Turbostorma Sienara były grube i bardzo trwałe. Odłamki i kawałki metalu na ogół nie pozostawiały na nich nawet zadrapania. Nawet kule ciężkiego kalibru wybijały jedynie niewielkie wgłębienia. Promień z poczwórnego lasera miał jednak szansę wybić w nich dziurę. Jednemu się udało.

Następnych pięć przeszło przez otwór.

Kanonierka spiralnym lotem opadła na korony dżungli z kabiną pełną strzępów ludzkich ciał.

Depa otworzyła oczy.

Kłębiła się w nich ciemność.



Mace zacisnął szczęki, aż zadrgały mięśnie twarzy. Z trudem zmuszał się do odwrócenia głowy i skoncentrowania uwagi na locie. Jedno spojrzenie na czujniki krótkiego zasięgu powiedziało mu, że okolica aż roi się od nieprzyjacielskich statków. Zamknął przegrodę przedziału pasażerskiego i wyłączył silniki.

- Nick, przejmij nawigację.

- Jasne. Eee... Tak jest, generale. - Nick obejrzał się na puste gniazda, które pozostały po wystrzelonych krzesłach. - Hm... gdzie mam usiąść?

- Pilnuj czujników. Wkrótce powinniśmy zobaczyć lądowiki „Hallecka”. Kar! Chalk! Awaryjne silniki repulsorowe leżą obok włączów do wieżyczek. Macie trzydzieści sekund.

Nick zaklinował się stopami pomiędzy wspornikami gniazda i chwycił podwójny drążek sterujący konsolą nawigacyjną. Zmrużył oczy przed coraz silniejszym wiatrem, wiejącym mu w twarz przez dziurę po owiewce. Aerodynamika kanonierki kierowała uderzenia wiatru po kabynie zamiast do środka, ale nawet minimalne boczne zawirowanie wystarczyło, żeby go zbić z nóg. Oczy mu się zaświeciły, kiedy zobaczył matrycę ekranów na konsoli, zwłaszcza podwójny ekran z siatkami celowniczymi na samym środku.

- Hej, co to robi? - Przekręcił drążek w drugą stronę i obrazki na ekranach zawirowały jak szalone, żeby się dopasować do nowego położenia.

- Nie ruszaj tego.

Nick wcisnął przełączniki na obu regulatorach. Ekran wypełniły się równoległymi promieniami energetycznymi z poczwórnych laserów na wieżyczkach.

- O, w mordę! Kontrola ognia! Dla mnie? Generale, nie trzeba było...

- Wiem.

- To nawet nie moje imieniny... -Nick!

- Wiem... Czujniki. I...

- Tak, wiem. Zamknij dziób, Nick. No cóż, trudno. - Wiatr wtłoczył mu kłęby pary z oddechu z powrotem do ust. - Tu zaczyna być zimno. Nie tu, tam. Jesteśmy w środku czy na zewnątrz?

- Zbliżamy się do siedmiu tysięcy metrów. Sprawdź te czujniki: czerwone kropki to przyjaciele, niebieskie - wrogowie.

- No, nieźle - mruknął Nick. - To czym się przejmujesz? Mamy tu około pięćdziesięciu z okładem przyjaciół i jeszcze sto dziewięćdziesiąt dwie sztuki w drodze... to znaczy nie... wszędzie ich pełno... i tylko trzynaście nieprzyjacielskich statków, i wszyscy nasi siedzą na nich i... o rany! Teraz już tylko dwanaście... och, poczekaj. Dotarło. Cholera.

- Cholera to odpowiednie słowo.

- Przepraszam, trochę mnie poniosło.

- Jasne.

- A teraz grupka naszych próbuje nam wleźć na zadek... aj! Co to jest? - Rozległ się alarm zbliżeniowy, głos brzęczyka tonął w świszczącym wietrze. - Strzelają! Pociski nadlatują! Sześć, zbliżają się, już są za nami!

- Prześledź trajektorię pocisków i wprowadź do komputera, żeby otworzył kontrogięń.

- Świetny pomysł! Zrobię to natychmiast, jak skończę szkołę artylerii!

- Świetnie - wycodził Mace przez zęby. - Mówiłeś, że umiesz strzelać. Popatrzmy.

- No, no... aleś się rozgadał! - Wieżyczki obróciły się i poczwórne lasery plunęły ogniem. Kanonierka podchodziła w górę pionową świecą, gnając w kosmos jak statek przestrzenny, którym była kiedyś. - Rzeczywiście! Chodź i weź sobie!

Jeden z pocisków trafił na strumień energii i zdetonował w kłębach czarnego dymu i białego ognia.

- Jak tam?

- Nieźle - odparł Mace. - Postaraj się nie odstrzelić nam ogona.

- Niektórych ludzi nie zadowolisz... -Nick. Jest jeszcze pięć.

- Wiem, wiem... jeśli tak stawiasz sprawę... - Przełączył dźwignie ładowania na wszystkich czterech tylnych wyrzutniach pocisków. - Raz-dwa-trzy-cztery! - wrzasnął, aktywując je wszystkie razem. Kanonierka podskoczyła, gdy klucz czterech rakiet odpalił i wirując, pociągnął za sobą smugi białego dymu w stronę pięciu nadlatujących pocisków.

Pierwsze uderzenie i wybuch wciągnął kolejny pocisk, potem następny, aż wreszcie objął wszystkie dziewięć ogromną kulą ognia.

- Eee tam... - z odrazą prychnął Nick. - Nawet się nie pobawiłem...

-To nie zabawki. Oszczędzaj rakiety.

- A po co?

- Depa! - zawołał Mace, przekrzykując wycie wiatru. - Gotowa? Pojawiła się u wejścia i oparła o framugę, jakby sztuczna grawitacja kanonierki była dla niej za duża.

- Bardziej nie będę - odrzekła. - Mogę walczyć. Zawsze mogę walczyć. Weź swój miecz.

Mace pokręcił głową.

-Ty go będziesz potrzebować - odparł i odciął całe zasilanie od silników kanonierki.

Teraz wznosili się wyłącznie rozpędem, ale już zwalniali, kręcąc leniwe beczki. Ścigające ich statki śmignęły naprzód. Kanonierka zawisła w martwym punkcie. Czas włókł się niemiłosiernie.

Prześladowcy rozdzielili się w identycznych elipsach; dwaj skręcili w dół, do następnego podejścia, trzeci ubezpieczał ich z góry.

Mace szarpał stery, żeby utrzymać lecący w dół statek dziobem do góry.

- Prawy czy lewy?

- Lewy - odparła Depa i zanurkowała w niebo przez otwartąabinę. Od razu zwinęła się w kłębek, żeby przelecieć przez turbulencję, jaką ciągnął za sobą spadający statek.

- O rany! -jęknął Nick. - Może by mnie tak ktoś uprzedzał o takich numerach?

- Działka na prawy statek. Ogień ciągły. Żadnych rakiet.

- Nie ma sprawy. - Lasery na prawej wieżycze przez chwilę śledziły cel, po czym rzygnęły strumieniem energii w chmury.

Mace skręcił drążek, ustawiając spadający statek dziobem w prawo, żeby i lewa wieżyczka mogła się włączyć do imprezy, po czym puścił repulsory na pełną moc i włączył turbodopalacze.

- Trzymaj się. -Nie ma sprawy.

Statek szarpał się i walczył ze sterami. Kierująca się ku niemu, kanonierka nagle rozkwitła ogniem, który uderzył w nich niczym potężna pięść fali uderzeniowej. Mace kątem oka spostrzegł Depę, która wyprostowała swój lot i spadała teraz stopami w dół, z obydwoma mieczami na pełnej mocy wzniesionymi nad głową.

Mace szarpnął stery w bok i kanonierka z wizgiem ruszyła w pionowy korkociąg, który spowodował zapalenie się wszystkich wskaźników przeciążeniowych na całej konsoli. Udało im się uciec spod ognia działek, ale komputery celownicze nie były w stanie przetwarzać ciągle zmieniającego się strumienia danych i wektorów, więc i ich strzelanina stała się bezładna. Nick spojrzął na wskaźniki i pokręcił głową.

- Hej, czy ta balia jest przewidziana do takich manewrów?

- Mam nadzieję, że nie - wycodził Mace przez zęby, szarpiąc sterami. - Skieruj ogień z powrotem na ten statek.

- Co, ja? Komputer jest za wolny...

- Komputer - odparł Mace - nie używa Mocy.

- Och, jasne... Pewnie... Oczywiście.

Zanim statek ich wyminął, Mace ujrzał, jak ten po lewej pikuje w dół, na przeciwciaгу, po czym wchodzi w manewr wymijający, aby uniknąć kolizji z Depą.

Poczuł wezbraną falę Mocy, która skierowała ją wprost na jego trajektorię.

Wbiła ostrza tuż poniżej owiewki, ale za to po same rękojeści. Pęd wiatru na dziobie poderwał ją i rozplaszczyl na kabinie. Ostrza przecięły transpastał, wycinając w niej ogromną, ziejącą dziurę.

- Hooo! - wrzasnął Nick za jego plecami. - Lubię, jak się tak łatwo otwierają.

- Kar, Chalk! Czas na was!

Korunka wspięła się do kabiny pomiędzy Mace'a i Nicka. Była blada i ruchy sprawiały jej ból, ale nie rezygnowała. Lor pelek wcisnął się tuż za nią. Oboje mieli na sobie awaryjne plecaki repulsorowe.

- Wiecie, jak to działa?

Chalk w milczeniu skinęła głową. Vastor poklepał graficzną instrukcję obsługi, przyszytą do upręży, i zawarczał:

*Umiem czytać.*

- Eee... wynosimy się, czy co? - zapytał Nick. - Bo wiesz, chyba mi ktoś zapomniał dać taki jeden...

-Nick. -Co?

- Strzelaj.

- Racja. Racja. Wybacz. No dobra, popatrz. - Nick uciszył lewą wieżyczkę, podczas gdy prawa nieustannie niszczyła statek milicji. Ostrzelany statek zakołysał się i próbował uciec na bok, aby uniknąć dalszych uszkodzeń - wprost pod strumień ognia z drugiej wieżyczki.

- Widzisz? Tak się strzela.

- Prawdziwe strzelanie - odparła Chalk - to kiedy nie może strzelać on.

- Ludzie! Co trzeba zrobić, żeby wszyscy byli zadowoleni? Mace skinął na Chalk i Vastora.

- Gotowi?

Nie czekając na odpowiedź, odciął silniki i przełączył repulsory na wsteczny ciąg. Przeciążony metal zawył na wszystkich spawach, statek wystrzelił w dół, żeby po chwili znieruchomieć. Mace ściągnął stery i przewrócił go do góry dnem. Kar Vastor objął ramieniem Chalk, drugą ręką chwycił pustą framugę po oknie, po czym podciągnął oboje na dach. Jednym mocnym uderzeniem ciągu opuścił pole grawitacyjne statku i razem z Chalk odpadli, kierując się w stronę dżungli o tysiąc metrów niżej.

- Z drugiej strony - mruknął Nick - chyba nawet mi się tu podoba... Statek milicji, który do tej pory robił za osłonę, wreszcie dołączył do walki. Kanonierką zatrzesło; przeciwnik, którego pozostawili z tyłu, nagle znów znalazł się przed nimi. Mace szarpał stery jak oszalały, manewrując kanonierką, obracając ją, robiąc uniki godne raczej myśliwca niż antycznego statku artyleryjskiego. Lewy silnik dostał podwójnym strumieniem laserowego ognia, a kolejny piruet Mace'a okazał się zbyt forsowny dla uszkodzonego gniazda. Silnik wyrwał się z jękiem torturowanego metalu. Statek wpadł w niekontrolowany korkociąg.

- Ostrożnie! - wrzasnął Nick.

- Nie bywam ostrożny - wymamrotał Mace. -Co?

- Powiedziałem: strzelaj!

- Jak? Przecież nawet ich nie widzę!

- Nie musisz - mruknął Mace i wpuścił uszkodzoną kanonierkę w kolejny szalony korkociąg, ciągnąc za nimi smugę dymu i kawałków durastali. -Zapomnij o celowaniu. Zdecyduj.

- Co mam zdecydować?

Mace sięgnął w Moc i po więzi, jaka łączyła go z Nickiem, przesłał falę spokoju.

- Nie celuj - powtórzył. - Zdecyduj, co chcesz trafić. Strzelaj, kiedy będziesz wiedział, że to się ma stać.

Nick zmarszczył brwi w zadumie. Odwrócił się od ekranów i spojrzał Mace'owi w oczy. Z nieco nieobecną miną skinął głową, westchnął i wypalił z wszystkich działek.

Wciąż miał ten sam zadumany wyraz twarzy, kiedy oddane strzały rozbiły prawoburtową wieżyczkę statku poniżej, a następnie wdarły się do wewnętrznego włazu i rozerwały kadłub na pół.

- Ekstra - szepnął, ale jego spokój znikł równie nagle, jak się pojawił. -Naprawdę, ekstra! Widziałeś to!?

Mace wyprowadził kulejący statek ze świecy i wszedł w strome nurkowanie z dala od ostatniego przeciwnika. Poruszali się wolniej z powodu braku jednego silnika, więc szybko stracili przewagę. Przeciwnik rzucił się w pogoń i wkrótce jego działa przeorały im rufę. Mace manipulował repulsorami jak szalony, podrywając statek, skacząc, robiąc uniki we wszystkich możliwych

kierunkach, jak małpojaszczur na surowym thyssele. Zalewał ich ogień z góry, ale dzięki manewry Mace'a nie pozwalały na precyzyjne wytyczenie strzałów, niezbędnych do przebiccia ciężkiego pancerza Turbostorma.

Rozległ się kolejny alarm. Głos Nicka brzmiał równie przynaglająco.

- Rakiety!

Mace nawet się nie obejrzał.

- Zajmij się nimi.

Idealna pewność siebie w jego głosie natychmiast uspokoiła młodego Koruna. Uśmiechnął się promiennie.

-Jeśli pozwalasz...

Wieżyczki obróciły się w tył i ożyły. Mace obserwował dzungłę, ku której nurkował jego kulejący statek. Trudno było się zorientować w skali - mógł być równie dobrze parę setek metrów, jak kilkadziesiąt kilometrów nad ziemią. Dopiero rój metalowych punkcików - uzupełnienie floty milicji - sprawił, że cały obraz nabrał właściwej perspektywy.

Tam w dole - tysiące metrów poniżej, może więcej - na repulsorowych plecakach Kara i Chalk migotały światełka alarmowe. Jeden ze statków zanurkował, żeby ich przejąć, po czym zwolnił i zawisł w powietrzu.

Mikroskopijne figurki z plecakami wylądowały mu na dachu.

W chwilę potem dziób statku poderwał się i ruszył w kierunku Mace'a, który lekko skinął głową i pozwolił, aby Moc poprowadziła jego ślizg po kursie przechwytyjącym. Sprawdził ekrany.

- Rakiety?

- Uziemione. - Ton Nicka tak przypominał sposób mówienia mistrza Jedi, jakby to było umyślne przedrzeźnianie.

Mace nie przejmował się tym ani trochę.

- Więcej już nie będzie. Nie narazi na niebezpieczeństwo swojego kumpla, atakując nas.

- A może, hm... to my powinniśmy narazić jego kumpla na niebezpieczeństwo?

-Nie trzeba.

- Jak to nie?

- Bo to nie jego kumpel.

Lasery z wieżyczki na wznoszącej się kanonierce plunęły ogniem i Mace kopnął repulsory, aż Thunderstorm podskoczył na kilkanaście metrów ponad linię opadania, a dwie strugi cząsteczek przeleciały nieszkodliwie pod nim i uderzyły w ścigający go statek - w sam kokpit.

Eksplozja robiła wrażenie.

Cały tył statku poleciał w dół, ku dżungli, ciągnąc za sobą pióropusz dymu. Z przedniej części został tylko ten dym.

- Widzisz? - rzekł Windu. - Tak się strzela. Nick skrzywił się lekko.

- No pewnie, to Chalk. Powiedziałem ci, że da sobie radę nawet z ciężką armatą. Ale powinieneś ją zobaczyć w akcji z bronią ręczną. Rozpacz. No, po prostu rozpacz.

- Zdejmij kod transpondera Depy ze skanera i ściągnij ją na komunikator. Musimy skoordynować kolejny ruch.

- Cieszę się, że masz ten kolejny ruch.

- Ilu przyjaciół naliczyłeś?

- Zliczanie skanu myśliwców bezpilotowych... No, no. Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?

-Nick!

- Dwieście dwadzieścia osiem.

- To dobrze.

- Dobrze? Dobrze?

- Na dole po lewej stronie ekranu skanera znajdziesz dźwignię wielkości kciuka. To twoja kontrola oznaczeń. Zaczynj oznaczać myśliwce jako cele dla naszych rakiet. Jedna rakietka na jeden myśliwiec.

I nie oszczędzaj. Nie włączaj... powtarzam: Nie włączaj, dopóki ci nie każę. I nie oznaczaj niczego innego oprócz myśliwców.

- Nawet jednej, powiedzmy, z tych sześćdziesięciu siedmiu kanonierek w naszej strefie starcia? - Nick wskazał rój „przyjaciół” w innej części ekranu. - Bo jakoś wydają się nami zainteresowane, jeśli wiesz, co mam na myśli. Lecą na nas. I to szybko.

- Sześćdziesiąt siedem? Ile jest na wektorach przechwytyjących?

- Ejże... czy nie wyraziłem się jasno? Może powinienem był powiedzieć: przepraszam, czy już ci wspominałem, że zaraz odstrzelą nam tyłki?

-Ile?

Nick zaśmiał się histerycznym chichotem.

- Wszystkie.

- Doskonale - stwierdził Mace Windu.

Komendant pułku oznaczony był jako CRC-09/571. Haruun Kal była jego trzecią akcją bojową i pierwszą jako dowódcy. Na Geonosis brał udział w walce jako dowódca batalionu w piechocie napowietrznej; jego grupa prowadziła frontalny atak na kule bojowe Federacji Handlowej. Drugi raz służył, również jako komendant batalionu, podczas katastrofalnej awantury na Teyr. Na pokładzie „Hallecka”, gdzie dni oczekiwania na działanie przeciągały się w tygodnie, szkolił swoich braci-żołnierzy bez litości, doprowadzając ich już i tak znaczne zdolności do najwyższej możliwej perfekcji, jaką można osiągnąć bez wdawania się w prawdziwą walkę.

Dzisiaj jednak prawdziwej walki było dość; chmara myśliwców bezpilotowych zaatakowała jego małą flotę jak stado os.

Oglądał śmierć jednej trzeciej swojego pułku.

Niektóre z lądowników były nie tyle niszczone, co unieruchamiane, więc zdołały przedtem wystrzelić ocalałą załogę: roje meteorów, składające się z żołnierzy w kombinezonach kosmicznych, spływały na niską orbitę, odpalając co chwila przenośne repulsory, żeby spowolnić wielominutową podróż w kierunku atmosfery Haruun Kal. Ocalałe lądowniki nie były w stanie związać w akcji wszystkich myśliwców, zostało ich zatem sporo, żeby zapolować także na ludzi.

Promienie z działek laserowych błyskały wśród spadających żołnierzy: bezgłośnie strugi przesywały czarną przestrzeń z elektroniczną precyzją, każde uderzenie pozostawiało za sobą rozbite ciało, unoszące się w kuli migoczących kryształów, białych, różowych i czerwonych, i turkusowych - zamrożone w próżni oddech, krew i płyny ustrojowe, lśniące jak dzieło sztuki w świetle Al'har.

Inni żołnierze jednak nie spanikowali: z doskonale wyćwiczoną dyscypliną ogniową i zwyczajną odwagą zwrócili ku myśliwcom całą broń, jaką mieli, koordynując ogień dla lepszego efektu. Trzy lekkie karabinki, skierowane ku temu samemu myśliwcowi, mogły przełamać jego tarcze tak, aby pojedynczy strzał z rusznicy laserowej dał radę unieszkodliwić jego silnik. Grupa grenadierów rozrzuciła zbliżeniowe granaty protonowe, tworząc zaimprovizowane minipola minowe, a kiedy zapasy uzbrojenia się wyczerpały, zdesperowani żołnierze wykorzystywali jako broń własne ciała, manipulując repulsorami tak, aby znaleźć się na drodze myśliwca lecącego z prędkością bojową. Z takiej kolizji żaden z nich nie miał szans ująć z życiem.

Żołnierze nie walczyli we własnej obronie - wiedzieli, że ich życie dobiegło końca. Ale i tak się nie zatrzymywali.

Walczyli za pułk.

Każdy myśliwiec, którego udało im się strącić, to był jeden myśliwiec mniej, z tych, które mogły zaatakować ich braci. CRC-09/571 nie był szczególnie uczuciowy, nawet jak na klona, ale



obserwował ich poświęcenie z lekkim uczuciem ciepła w piersi. Ci ludzie sprawiali, że czuł się dumny, będąc jednym z nich. Jego jedyną motywacją było spełnienie obowiązku, ale marzył też skrycie, aby czegoś dokonać, osiągnąć coś, co byłoby warte zdumiewającego heroizmu jego ludzi.

Aby oddać cios.

Dlatego poczuł ucisk w żołądku - zwykły człowiek mógłby to uczucie nazwać gniewem lub frustracją, ale CRC-09/571 zaledwie je zauważył i natychmiast o nim zapomniał - kiedy jego komunikator wyświetlił rozkaz od generała Windu.

Rozkaz głosił, że statki mają natychmiast przerwać ogień.

Przerwać ogień pomimo bezpośredniego pościgu przez MBP.

Pomimo trzech dodatkowych formacji - stu dziewięćdziesięciu dwu jednostek - zbliżających się z za horyzontu.

Pomimo dziewięciu kanonierek Sienar Turbostorm kierujących się ku nim z powierzchni planety.

Gniew i frustracja dowódcy przejawiały się tylko w odrobinie nadziei w jego głosie, kiedy poprosił o kod weryfikacji generała Windu -bo może to jakiś nieprzyjaciel podszywa się pod generała- i w lekkim wahaniu, z jakim potwierdził przyjęcie rozkazu, kiedy kod generała okazał się poprawny.

Generał Windu, o ile CRC-09/571 mógł to stwierdzić, wysłał klony na śmierć. Ale CRC-09/571 nie mógł nie posłuchać legalnego rozkazu, tak samo jak nie mógł przejść przez płytę pancerną.

Kiedy zatem pędzili poprzez atmosferę w kierunku wyżyny Korunnal, działa na wszystkich statkach Republiki umilkły.

Myśliwce nadal uwijały się nad nimi, błyskając laserami.

Ładownik był bombardowany ze wszystkich stron kolejnymi trafieniami, ale w tym samym momencie CRC-09/571 zauważył na ekranie skanera dowodzenia rzecz niezwykłą: wydawało się, że niektóre kanonierki w dole strzelają do innych kanonierek.

A dokładniej: wydawało się, że sześćdziesiąt siedem kanonierek strzela do dwóch lecących na czele.

Kanonierki te nie odpowiadały ogniem. Pędziły pełną mocą w stromej świecy, jedna obok drugiej, kierując się w sam środek walki powietrznej, tak że wszystkie strzały, które je omijały - prawie wszystkie - trafiały w chmurę MBP. Większość pocisków, oczywiście, przelatowała, nie wyrządzając szkód, ponieważ nie wymierzono ich w małe zwrotne stateczki. Część jednak trafiała - kilka MBP dostało w sam środek i eksplodowało.

CRC-09/571 zmarszczył czoło. To mu się zaczynało podobać.

Nieco poniżej, w otwartym kokpicie jednej z kanonierek, Mace Windu powiedział:

- W porządku, Nick. Ognia do wszystkich!

- Tak jest, generale!

Nick Rostu wcisnął pojedynczą dźwigienkę i mózgi robotów dwudziestu sześciu różnych myśliwców bezpilotowych - po jednym na każdą rakietę pozostałą w wyrzutniach Turbostorma - poczuły nagły alarm wewnętrzny, oznaczający, że znajdują się na celowniku wroga.

Sygnal pochodził od sprzymierzeńca.

Mózgi robotów stwierdziły, że to dziwne, ale niespecjalnie denerwujące. Wciąż były skoncentrowane na swojej pierwotnej misji, to znaczy zniszczeniu wszystkich statków Republiki, usiłujących wylądować czy choćby wejść na orbitę Haruun Kal. Były jednak zaprogramowane na monitorowanie wszelkich możliwych niebezpieczeństw i każdy z nich miał nieco wolnej mocy obliczeniowej, aby przeszukać banki pamięci pod kątem programów reagujących, które można by wykorzystać w przypadku, gdy statek sojusznicy ma cię na celowniku.

Nie było takich.

A to już mózgi robotów uznały za bardzo denerwujące.

No i jeszcze ta sprawa z promieniami laserowymi...

W sekundę później trzydzieści dwa inne mózgi robotów w roju myśliwców doznały dokładnie tego samego wrażenia.

A wszystko z powodu czterech całkowicie naładowanych mini-wyrzutni raketowych Krupx MG3, w które była wyposażona kanonierka Depy.

Kiedy dwie kanonierki minęły granicę zaciętej walki, Mace rzucił: „Ognia!”

Jedna lufa Krupx MG3 może wystrzeliwać rakietę z prędkością jednej na sekundę. Każdy MG3 miał dwie rury, a każda rura - magazynki zawierające po cztery minirakiety. Kanonierka małego zasięgu Sienar Turbostorm miała cztery Krupx MG3: dwie z przodu i dwie z tyłu. Na rozkaz Mace'a oba statki wypróżniły magazynki. Kanonierki rozkwitły dymem i płomieniami odrzutu.

Szesnaście rakiet na sekundę wirując, pomknęło przez niebo.

Walka zmieniła się w splątany kłęb dymu i oparów.

W otwartej kabinie kanonierki Nick obserwował ekran skanera.

- Fiu, fiu - aż gwizdnął. - Te myśliwce są szybkie.

- Tak - zgodził się Mace.

- Dwie trzecie naszych pocisków i tak nie trafi. Może nawet trzy czwarte. Więcej. Cholera, ale są

szybkie!

-Nie szkodzi.

- Co to znaczy: nie szkodzi? W końcu to tylko nasze tyłki, no nie? Nie wspominając już o tych biednych ruskakkach w lądownikach.

- Patrz - odezwał się Mace Windu.

Szacunki Nicka okazały się bardzo optymistyczne: z pięćdziesięciu dziewięciu wystrzelonych rakiet tylko cztery trafiły w cel. Trzy inne zostały przypadkowo przechwycone przez MBP-y, w które nie celowały. Część została zniszczona z nieludzką precyzją przez kontr-ogień robotów, innym zwinne stateczki po prostu uciekły z drogi. Tuziny rakiet wystrzeliły w niebo i leciały, dopóki nie skończyło im się paliwo, po czym rozpoczęły powolne opadanie ku powierzchni.

Ale, jak stwierdził Mace w zniszczonej bazie w jaskiniach, roboty były głupie.

Co nie oznacza, że nie miały zdolności adaptowania się do zmiennych okoliczności. Miały je i robiły, co należy, często z prędkością i umiejętnością podejmowania decyzji, jakiej nie dorównałby żaden mózg organiczny. Roboty pojęły natychmiast, że są atakowane przez „przyjazne” statki, zanim jeszcze pierwsza seria szesnastu rakiet dotarła do ich silników. Atak pojedynczego przyjaznego pojazdu mógł być uznany za pomyłkę lub wypadek, nic więcej. Ale kiedy przypuściły do nich zorganizowany atak dwa statki, z kodami identyfikowanymi przez transpondery jako przyjazne...

W dodatku bez ostrzeżenia...

Roboty nie mogły czekać na kolejne ataki. Zaadaptowały się z błyskawiczną szybkością i pozbawioną wyrzutów sumienia logiką robotów.

A Nick Rostu, gapiący się na ekran skanera, nawet nie zauważył, jak szczęka opada mu coraz niżej i niżej, gdy najpierw dziesięć, a potem sto lub więcej czerwonych obiektów na ekranie zmieniło się w niebieskie.

- Przechodzą na stronę wroga - mruknął zafascynowany. -Tak.

- Wszystkie. -Tak.

Dwieście dwadzieścia siedem MBP-ów zeszło z lądowników -których milczące działa zepchnęły je poniżej horyzontu zagrożenia mózgownic robotów - i spadło na sześćdziesiąt dziewięć Turbostormów w niszczycielskim cyklonie.

Kanonierki zaczęły eksplodować ogniem i spadać.

- Zaplanowałaś to? -I jeszcze więcej.

- Tak? A co teraz robimy?

Ze dwanaście myśliwców zrobiło zwrot i popędziło w ich kierunku.

- Teraz - rzekł Mace Windu - teraz to dajemy nogę... Chwycił Nicka za pas. Nick spojrzał na niego z nieukrywaniem przerażeniem.

- Tylko mi nie mów, że...

- Dobrze, nie powiem.

Wspomagany Mocą skok wyrwał ich obu z kabiny na całą sekundę przed tym, zanim kanonierka zaczęła się rozsypywać pod setkami trafień z działek laserowych. W dwie sekundy później eksplodowała, ale wtedy Mace i Nick byli już prawie sześćdziesiąt metrów niżej i nabierali prędkości. Bez plecaków repulsorowych pędzili w dół poprzez kłębowisko walki, płomień, dym i eksplozje.

Wrzask Nicka utonął w szumie wiatru i huku eksplozji.

Mace wyszeptał bezgłośnie:

- Nie chciałeś, żeby ci mówić.

Większość czasu spadania, jaka im pozostała, Nick spędził na głośnych - choć niesłyszalnych - skargach, że skończy swoje piękne, młode życie jako „pieprzony, stuknięty, jajogłowy naiwniak wielkiego mistrza Jedi”.

Mace spadał swobodnie, z jedną ręką zaciśniętą na pasie Nicka. Sięgnął w Moc i poszukał swojego miecza świetlnego.

Znalazł jego znajomy rezonans daleko w dole. Nick leciał zwinięty w embrionalny kłębek, przyciskając uda do piersi i wykrzykując paskudne przekleństwa spomiędzy kolan. Choć miał tendencję do obracania się, jego pozycja mocno ściśniętej „kuli” uczyniła z niego kształt neutralny z aerodynamicznego punktu widzenia, a to z kolei pozwoliło Mace'owi na kierowanie spadkiem za pomocą własnego ciała.

Zmierzali w kierunku celu, który można było dostrzec. Dwa kilometry poniżej i ćwierć klika na zachód, w kierunku dżungli leciała kanonierka, ciągnąc za sobą chmurę czarnego dymu. MBP-y ignorowały ją, koncentrując się na statkach, które wciąż strzelały, uciekały i robiły uniki w gwałtownych próbach ucieczki.

Depa świetnie sobie radziła w roli bezradnej i okaleczonej.

Od czasu do czasu w długim, nudnym locie wymijały Mace'a i Nicka większe lub mniejsze dymiące kawałki durastali lub fragmenty napędu repulsorowego. Wydawały się dryfować w dół w spokojnym, leniwym tempie, zgodnie z parametrami oporu powietrza. Nie mijały ich jednak żadne ciała. Mace i Nick lecieli już z prędkością zbliżoną do terminalnej dla ludzkiego organizmu.

Na Haruun Kal było to nieco mniej niż trzysta kilometrów na godzinę.

Tempo spadania kanonierki było znacznie mniejsze - ona miała jedynie wyglądać tak, jakby była niesterowna. Dlatego też, kiedy Mace przytaszczył Nicka na odległość kilkuset metrów od kanonierki, spowolnienie spadania i uniknięcie katastrofalnego zderzenia wymagało znacznego wysiłku w Mocy.

Nick podniósł spojrzenie tylko raz, kiedy dryfowali łagodnie w kierunku górnego pancerza kanonierki: akurat na tak długo, żeby sobie przypomnieć to, co Windu mówił na temat czerwonej plamy na owiewce. Szybko wcisnął głowę z powrotem między kolana i czekał, aż Mace sprowadzi ich do dość bezceremonialnego lądowania na dachu kręcącego się statku.

Wolna dłoń Mace'a wysunęła się z idealną dokładnością i chwyciła wspornik tarczy czujnika szerokokątnego. Druga, wciąż zaciśnięta na pasie Nicka, ściągnęła młodego Koruna do pozycji zwisu twarzą w dół ponad niemal kilometrową przepaścią dzielącą ich od dżungli.

- Pamiętasz... jak się spotkaliśmy? - Nick z trudem chwycił oddech w wirującym wietrze. - Kiedy prawie... złamałeś mi łapę tym pieprzonym hakiem dokującym, który masz zamiast ręki?

-Tak?

- Przebaczam ci.

- Dziękuję. - Mace wciągnął go na dach kanonierki, a Nick owinał się ramionami wokół wspornika tarczy.

- Proszę, nie krępuj się - powiedział. - Ja sobie tu trochę poleżę i podygoczę.

Dzięki Mocy Mace zdołał utrzymać się na wirującym statku. Powoli, na rękach i kolanach przeczołgał się do kabiny i wyjrzał przez krawędź wyciętej przez miecz świetlny dziury.

Chalk, siedząca w fotelu nawigatora, podniosła głowę i zaklęła. Vastor stał za siedzeniami, a jego wzrok mógłby zabijać. Depa wyciągnęła rękę z fotela pilota i ciepłym gestem powitania położyła ją na dłoni mistrza. Oczy miała szklane od zmęczenia i bólu, ale nic dziwnego.

- Mówiłeś, że muszę ci uratować życie tylko raz...

- Wybacz - odpowiedział.

Przetoczył się na plecy i sięgnął za siebie, aby uchwycić krawędź obu rękami. Odbił się i zwinnie wsunął do środka stopami do przodu, nawet nie sprawdzając, czy Vastor zdążył się usunąć.

Zdążył.

- Nick jest na dachu - poinformował Mace. - Otwórzcie mu jakiś właz.

Właz do przedziału pasażerskiego w Turbostormie otwierał się i wysuwał tak, że mógł być wykorzystywany jako rampa. Depa uchyliła drzwi na prawej burcie, tworząc coś w rodzaju zsuwni, po której Nick mógłby wśliznąć się do środka, po czym szarpnęła stery, aby opanować wirowanie.

Mace skinął głową lor pelekowi, który wypełniał teraz cały otwór wejściowy.

- Kar, pomóż mu.

*Dlaczego ja?*

Mace nie miał ochoty na dyskusje. Pokręcił głową z irytacją i gestem kazał Vastorowi odejść.

-Sam to zro...

Urwał, bo Vastor odsunął się na bok, dopuszczając go do przejścia. Mace mógł teraz zajrzeć do przedziału.

Który pełen był martwych ciał.

Mace oparł się o ścianę, żeby utrzymać się w pozycji pionowej. Depa wybrała pełny statek.

Jego otępiały mózg nie mógł dokładnie policzyć, ale przypuszczał, że w przedziale było ze dwadzieścia ciał: cały pluton piechoty. Pilot musiał być młody, podniecony, pewny siebie i chwalebnie zwycięstwa. .. tak się palił do walki, że włączył się do niej, nawet nie wyładowując pasażerów. Zapłacił wysoką cenę za to zadufanie - jego ciało leżało zwinięte tuż za drzwiami, na kimś, kto pewnie kiedyś był nawigatorem.

Mace zacisnął szczęki. Odzyskał równowagę i przestąpił przez splątane, martwe nogi, aby dostać się do środka.

Wszystkie ciała w przedziale nosiły milicyjne broje Graylite -większość z nich była przepalona w wielu miejscach przez strzały z miotaczy, oddane z bliskiej odległości. Mace bez trudu potrafił sobie wyobrazić niedoświadczonych ludzi - właściwie chłopców - z milicji, jak biorą na cel Depę, która weszła do przedziału przez kokpit. Efekt użycia przeciwko mistrzowi Vapaad broni energetycznej z niewielkiej odległości był oczywisty - świadczyły o tym zwęglone kręgi wokół każdej dziury w zbroi i pozbawione życia ciało pod nią.

Półowa prawdopodobnie powystrzelała się wzajemnie, padając ofiarą zaskoczenia, paniki i ciasnego pomieszczenia.

Wiele ciał nosiło na sobie charakterystyczne poczerńnięte smugi -ślady po mieczu świetlnym, natychmiast kauteryzowane przez ostrze, które je zrobiło. Depa postąpiła ze strzelcami na wieżyczkach znacznie bardziej elegancko niż Mace - po prostu przebiła ich przez durastal włazów, zabijając w fotelach.

Ciała wciąż tam były, z martwymi dłońmi nadal zaciśniętymi na podwójnych spustach laserów.

No i ten odór. Przysmażone ciało i ozon.

I żadnej krwi. Nigdzie.

Wszyscy zginęli, zanim jeszcze Depa zdążyła przejąć Kara Vastora i Chalk. Dwudziestu czterech ludzi.

W mniej niż minutę.

Mace odwrócił się i napotkał wściekłe, ale triumfujące spojrzenie Kara Vastora.

*To jej miejsce* - warknął lor pelek.

Mace w milczeniu odwrócił się i wyszedł przez uchylone drzwi, aby pomóc zejść Nickowi.

Zjazd po drzwiach do przedziału pełnego trupów pozbawił Nicka mowy. Przycupnął tylko, oparty plecami o drzwi, i drżał.

Mace zostawił go tam. Wyminął Vastora i wszedł do kabiny.

- Chalk, wpuść mnie na fotel.

Korunka zmarszczyła brwi i spojrzała na Depę. Ta skinęła głową.

- W porządku, Chalk. Zrób to.

Jak tylko usiadł, pochylił się nad ekranami czujników, studiując je uważnie. Czuł na sobie wzrok Depy, ale nie podniósł głowy.

- Możesz to powiedzieć, jeśli chcesz - odezwała się po chwili. - Nie szkodzi.

Mace nie spuszczał wzroku z ekranu skanera, obserwując, jak myśliwce wykańczają kanonierkę po kanonierce, ale część uwagi skierował również na rejestry danych, plany zbiórek, kody sterowania.

Kody rozpoznawcze.

- Proszę, Mace, nie ma sprawy - odezwała się smutno. Na wpół oślepiona migreną oddychała szybko, mrugając oczami. Spojrzała na pozostałą część ekranu. - Wiem, co sobie myślisz.

- Chyba nie - łagodnie odparł Mace.

- Nie chodzi o to, że wszystko, co robię, robię dobrze. Wiem, że tak nie jest. - Lekki, pełen goryczy śmiech. - Wiem o tym. Ale to jedyny sposób.

- Jedyny sposób na co?

- Żeby zwyciężyć, Mace.

- Tak nazywasz to, co zrobiłaś? Zwycięstwem?

Znużonym ruchem głowy wskazała na kłębiącą się powietrzną bitwę, która jeszcze nie dobiegła końca.

- Ta bitwa to dzieło sztuki. Po wszystkich twoich sukcesach, których byłam świadkiem, i tak bym nie uwierzyła w coś podobnego, gdybym nie ujrzała tego na własne oczy. Dokonałeś dziś wielkiej rzeczy.

- Dziś się jeszcze nie skończyło.

- A jednak wszystko to na nic. Co osiągniesz pod koniec dnia? Zniszczysz większość sił zbrojnych milicji? I co z tego? - Jej głos stał się chrapliwy, słowa formowała z trudem, jakby nie mogła znieść wysiłku wypowiedzenia ich poprzez ból. - Kupiłeś nam kilka dni. Może tygodni, nie więcej. Kiedy odejdziesz, my tu zostaniemy. Dalej będziemy zdychać w dżungli. Balawai sprowadzą nowe kanonierki, tyle, ile będzie trzeba. A my wrócimy do zabijania. Musimy sprawić, żeby zaczęli bać się dżungli. Ten strach jest naszą prawdziwą bronią.

-Nie dziś.

- Co? Co masz na myśli?

- Stwierdziłem - odrzekł Mace, studiując ekrany - że przez cały czas miałaś rację.

- Co? - zamrugła z niedowierzaniem.

- Właśnie. Wykorzystywaliśmy tych ludzi do swoich celów. Jak możemy opuścić ich teraz, kiedy mają do wyboru, albo paść ofiarą zabójstwa, albo popełnić je samemu. - Mace ponuro pokręcił głową. - To ciemne jak noc w dżungli. Ciemniejsze. To nie jest niewinna dzicz. To aktywne zło. Jak u Sithów. Trzeba z tym walczyć. Jedi nie mogą odejść.

- Mówisz... mówisz poważnie? Naprawdę? - W jej zamglonych od bólu oczach niedowierzanie walczyło o lepsze z nadzieją. - Zostawisz Wojnę Klonów? Zostaniesz z nami i będziesz walczył?

Mace wzruszył ramionami, wciąż nie odrywając oczu od skanera.

- Zostanę i będę walczył. Co nie oznacza, że zostawię Wojnę Klonów.

- Mace, Letnia Wojna to nie jest konflikt, który można rozwiązać w ciągu kilku tygodni... czy miesięcy.

- Wiem - mruknął z roztargnieniem. - Nie mam tygodni ani miesięcy na zmarnowanie. Wojna Letnia nie potrwa tak długo.

- Dlaczego tak twierdzisz? A ile potrwa, jak sądzisz?

- Mam zgadywać? Dwanaście godzin. Może mniej. Wytrzeszczyła oczy.

Wreszcie Mace zobaczył na ekranie to, na co czekał: myśliwce wyłączyły się z walki i ruszyły w przestrzeń, a pozostała przy życiu garstka kanonierek pokuśtykała do domu.

- Widzisz? - zapytał, otwartą dłonią wskazując na ekran. - Wiesz, co to znaczy?



Depa skinęła głową.

- To znaczy, że ktoś się zorientował, co zrobiliśmy.

- Tak... i że ten ktoś ma kody sterowania tych myśliwców. - Odwrócił się w jej stronę, a w jego oczach pojawiła się iskra, która u kogo innego byłaby dziką radosną euforią. - Mówiłem ci: nie mamy tygodni ani miesięcy na zmarnowanie.

- Nie rozumiem... co zamierzasz zrobić?

- Zwyciężyć - odparł Mace.

Włączył częstotliwość dowodzenia dla lądowników Republiki:

- Generał Windu do CRC-09/571. Czekać na weryfikację i rozkazy. Zainicjować równoczesne łącze danych. Cienka wiązka.

Komunikator zatrzeszczał.

- Tu siedem-jeden. Proszę, generale.

Depa była tak zaskoczona rozkazami, jakie usłyszała z ust Mace^, że omal nie rozbiła Turbostorma o górę. Kiedy wreszcie udało jej się ustabilizować pojazd, przełączyła się na autopilota i bez tchu spojrzała na dawnego mistrza.

- Postradałeś zmysły?

- Przeciwnie - odparł Mace. - Nie słyszałaś? Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż Jedi, który wreszcie odzyskał zmysły.

Syknęła jak robot ze zwartym motywatorem.

- A teraz, jeśli łaska, poproszę o mój miecz świetlny - dodał przeproszającym tonem. - Będzie mi potrzebny.

-Ale... ale... ale... - wreszcie udało jej się sklecić zdanie: - Zamierzasz zdobyć Pelek Baw?

- Nie - odparł Mace Windu. - Zamierzam podbić cały system. Cały. I to zaraz.

Kluczem do pętli Gevarno był system Al'har. Kluczem do Al'har była kontrola nad myśliwcami bezpilotowymi. Flota była sterowana z bezpiecznego nadajnika pod bunkrem dowodzenia portu kosmicznego Pelek Baw.

Port kosmiczny miał szansę. Ale tylko jedną.

Dwa lądowiki i ich oddziały żołnierzy ulokowano na przełęczy Lorshan, gdzie miały stanowić linię obrony wokół jedyne go otwartego tunelu trawiaków i wsparcie lekką artylerią. Pozostałe dziesięć kręciło się po górach z maksymalną prędkością atmosferyczną która wprawdzie nie była szczególnie imponująca, ale i tak nieco lepsza niż to, co mogły zdziałać nieliczne sfatygowane Turbostormy, które kulejąc, wracały do swoich baz, rozrzuconych po wszystkich większych miastach w okolicy wyżyny.

Tylko jedna z kanonierek dotarła do Pelek Baw.

Nadleciała nad Ramię Dziadka na jednej czwartej mocy repulsorów, spowita w dym i promieniowanie. Oficerowie wieży w porcie kosmicznym ze zgrozą wysłuchali relacji pilota: wyciek z reaktora. Katastrofa nieunikniona. Pilot heroicznie utrzymywał statek w powietrzu, kierując się ku Pelek Baw, ponieważ tylko port kosmiczny był wyposażony w urządzenia do opanowywania wycieku i odkażania -lądowanie gdziekolwiek indziej mogłoby oznaczać poświęcenie życia zarówno załogi, jak i plutonu piechoty na pokładzie.

Więści przedostały się z wieży do personelu naziemnego lotem błyskawicy, od techników ochrony przeciwradiacyjnej do znużonego garnizonu, pracującego przy dostarczonej portowi przez Konfederację baterii nowoczesnych turbolaserów i dział jonowych. Była to najbardziej ekscytująca nowina od czasu wycofania się separatystów. Bitwa pod przełęczą Lorshan była wstrząsająca, wręcz tragiczna, ale działo się to po drugiej stronie wyżyny, więc właściwie się nie liczyło. Wszystkie oczy w porcie kosmicznym - żywe i za pośrednictwem ekranu -skierowane były na Turbostorma. Krążyły słowa uznania dla odwagi i altruizmu załogi, która z poświęceniem wybrała tak długą drogę wokół miasta, by nie narażać mieszkańców. Niektórzy modlili się głośno, by im się udało, lecz większość w duchu miała nadzieję na spektakularną katastrofę...

Zamiast zajmować się swoimi obowiązkami, na przykład monitorowaniem ekranów czujników.

W końcu po co mieliby to robić? Port kosmiczny był powiązany w czasie rzeczywistym z całą siecią satelitów wykrywających na orbicie wokół planety; w powietrzu nie było teraz niczego, z wyjątkiem około dwudziestu kanonierek, które przetrwały. Ostatni z myśliwców bezpilotowych wrócił w przestrzeń wiele godzin temu, a lądownik Republiki, który narobił tyle zamieszania, wkrótce także znikł bez śladu.

Nikt nie przejmował się lądownikami. Po stracie czterdziestu procent swojego stanu, którą ponieśli,

statki Republiki z pewnością nie będą szukały kolejnych starć. Bez wątpienia kryły się gdzieś w „zupie” - gęstym wirze oceanicznym toksycznych gazów, który otacza wyżynę - aby przeczekać w spokoju do chwili, aż jakiś krążownik zdoła się przedrzeć do systemu, by je zabrać.

Bez wątpienia.

Był to wielki kredyt zaufania z ich strony, ponieważ te same satelity wykrywające, od których zależeli, były równie przestarzałe, jak cała reszta wyposażenia planetarnego lokalnego rządu. Ich detektory podczerwieni i światła widzialnego stawały się bezużyteczne przy próbach penetracji gęstego, gorącego wiru „zupy”, a bardziej subtelne czujniki satelitów były systematycznie przeciążane skrajnie wysoką zawartością metali w gazach. Gdy tylko lądowiki znalazły się na odpowiedniej głębokości, można było przyjąć, że znikły z powierzchni planety.

Dlatego właśnie każdy członek obsługi czujników w całym porcie kosmicznym Pelek Baw, gdyby miał dość dyscypliny, aby patrzeć w ekran krótkiego zasięgu, mógłby zobaczyć coś niezwykłego.

Pelek Baw rozpościerał się wzdłuż zachodniego wybrzeża Wielkiego Potoku, najpotężniejszej rzeki na Haruun Kal. Potok był zasilany dopływami z całej wyżyny - począwszy od wschodniej części na przełęczy Lorshan, a skończywszy na północy, gdzie wznosiły się nieprzebyte klify, zwane Ścianą Trundura. Zanim największa z rzek docierała do stolicy, osiągała szerokość całego kilometra. Dramatyczny, ryczący i otoczony obłokiem pary wodospad przy spadku z ostatnich klifów tworzących południową granicę miasta był jednym z największych naturalnych cudów tego sektora- lecąc w dół, pieniał się, rozbryzgiwał mgłę i rozszerzał kilometr za kilometrem, aż stawał się śnieżnym wachlarzem, który mieszał przewalającą się „zupę” w dole w szalone wiry i bąble kolorowych gazów.

Gdyby technicy mieli dość poczucia obowiązku, żeby wciąż śledzić ekrany krótkiego zasięgu, mogliby zobaczyć dziesięć lądowików klasy Jadthu wspinających się pod górę w samym środku Wodospadu Potoku. Płynęły jeden za drugim, chłostane spadającymi strumieniami wody, ale doskonale ukryte przed czujnikami dalekiego zasięgu. Gdyby technik to zauważył, wynik mógłby być całkiem inny.

To była ta jedną jedyną szansą.

Uwaga techników zwrócona była jednak na dramat oczekiwania, czy okaleczona kanonierka zdoła dotrzeć do miejsca lądowania, czy się rozbije.

Nie wspominając o takim szczególe, że na sekundę lub dwie przed lądowaniem otworzyła ona ogień do centrum kontroli portu kosmicznego, a w chwilę potem wyskoczyło z niej siedmiu ogromnych Korunnai z ogolonymi głowami, lądując na permabetonie jak lianokoty. Ręce mieli pełne broni plującej ogniem laserowym.

Nieoczekiwanym gościom towarzyszyli mężczyzna i kobieta, uzbrojeni w natychmiast rozpoznawalną i bezsprzecznie najbardziej podejrzaną broń osobistą w całej galaktyce, z rodzaju tych najmniej chętnie oglądanych po drugiej stronie barykady.

Miecze świetlne Jedi.

Załoga portu kosmicznego była tak zaaferowana, że nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby spojrzeć w górę, aż do chwili, kiedy światło Al'har padające na ich stanowiska zostało zasłonięte przez lądowniki klasy Jadthu.

Dopiero wówczas popatrzyli w niebo. W samą porę, aby zobaczyć dziesięć durastalowych chmur, z których lunął deszcz uzbrojonych żołnierzy-klonów Wielkiej Armii Republiki. Byli tak szybcy, skuteczni i zdyscyplinowani - i w tak przeważającej sile - że zajęli wszystkie stanowiska przeciwlotnicze bez utraty jednego bodaj żołnierza.

Nie można było powiedzieć tego samego o załodze milicji.

Żołnierze-klony, niewrażliwi na takie drobiazgi, nie pofatygowali się nawet, aby zetrzeć krew ze ścian i podłogi, zanim obsadzili stanowiska swoimi ludźmi.

Walka w centrum kontroli była bardziej zacięta i trwała o kilka sekund dłużej, lecz wynik był taki sam - ostatecznie atakującymi byli strażnicy akków i Jedi, obronę zaś prowadzili zwyczajni ludzie.

Przejęcie portu kosmicznego Pelek Baw od chwili otwarcia ognia przez kanonierkę trwało nie więcej niż siedem minut i zakończyło się aresztowaniem dwustu osiemdziesięciu sześciu osób personelu militarnego, z których trzydzieści pięć było ciężko rannych. Czterdzieści osiem zginęło. Sześćdziesięciu jeden pracowników cywilnych zostało aresztowanych bez obrażeń. Wszystkie jednostki obrony przeciwlotniczej portu zostały przejęte bez szkód, podobnie jak statki, które w tym momencie znajdowały się na miejscu.

Tak samo jak bitwa o przełęcz Lorshan, przejęcie portu kosmicznego Pelek Baw mogłoby zostać uznane za element błyskotliwej kariery strategicznej generała Windu, gdyby tylko reszta operacji przebiegła zgodnie z planem.

Powiada się jednak, że żaden plan bitwy nie przeżył jeszcze konfrontacji z samą bitwą.

A ten nie był wyjątkiem.

Mace nie musiał nawet wychodzić z centrum dowodzenia, żeby się zorientować, że wszystko zaczyna się psuć.

Bunkier dowodzenia był wielkim, ciężko opancerzonym sześcianem pośrodku centrum kontroli portu kosmicznego. Wypełniały go zestawy konsoli. Jedyne oświetlenie w pomieszczeniu był blask padający z monitorów konsoli i ogromne prostokątne obrazy z holoprojektora, zajmujące wszystkie ściany. Poniżej wysokości konsoli panował półmrok, więc wszyscy po biodra brodzili w cieniu. Martwa przestrzeń pod ekranami ściennymi służyła teraz jako miejsce odosobnienia więźniów, tak samo jak prowizoryczna stacja pierwszej pomocy, gdzie ranni mężczyźni i kobiety siedzieli lub leżeli pod ścianami, poddając się obojętnym zabiegom żołnierzy-klonów.

Kar Vastor i jego strażnicy akków krążyli po obwodzie bunkra, niespokojni jak dzikie stworzenia, którymi w końcu prawie byli. Krążyli wokół przerażonych więźniów, a Moc wirowała wokół nich.

Mace czuł, jak karmią się strachem, bólem i cierpieniem tych nieszczęśników, wciągając je w siebie, magazynując niczym żywe ogniwa.

Mace nie pytał, co Kar ma zamiar zrobić z tą energią. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

W najciemniejszym kącie pomieszczenia stała opancerzona konsola, oddzielona od reszty zamykaną na zamek kodowy przegrodą z durastali, co miało zapobiec nieautoryzowanemu dostępowi. Konsola była niedawnym uzupełnieniem centrum dowodzenia, specjalnie zainstalowanym przez specjalistów z Techno w tym samym okresie, kiedy modernizowane były systemy obronne portu. Nazywano ją skrzynką buntowników, a zawierała osobne wyłączniki do ładunków niszczących wbudowanych w każdy turbolaser i działą jonowe, każde umocnienie i wieżyczkę przeciwlotniczą.

Wyglądało na to, że Konfederacja nie wierzyła, by sama sprawiedliwość sprawy wystarczyła do zapewnienia lojalności wojsk.

W cieniu konsoli, na zaimprovizowanym posłaniu z poduszek zerwanych z foteli, leżała Depa Billaba. Ból głowy prawie ją oślepił. Słabła coraz bardziej od czasu ataku na centrum dowodzenia, a teraz leżała z ramieniem na oczach. Z zagryzionej wargi ściekała strużka krwi.

Żołnierze opanowali całą stację w centrum dowodzenia. Kilku z nich zdjęło hełmy, żeby założyć gogle lub słuchawki. Mace starał się nie patrzeć w ich kierunku. Puste hełmy leżące na konsolach zbyt mocno przypominały ten jeden, pełny, który zostawił na piasku areny na Geonosis.

Stanął przy konsoli satelitów. Z jednej strony towarzyszył mu Nick, mrużący pod nosem jednostajną litanię przekleństw. Z drugiej miał nieruchomą, spokojną postać CRC-09/571.

CRC-09/571 wciąż miał hełm na głowie, dzięki czemu Mace mógł z nim swobodnie rozmawiać. Nie miał wielkiej ochoty oglądać twarzy komendanta.

Aż za dobrze pamiętał dzień, kiedy widział japo raz pierwszy.

Wystarczyło, że wiedział, iż ta twarz tam jest, pod dymnym szkłem hełmu. Świadomość ta była niczym palec stukający go w tył głowy, aby mu przypomnieć o Geonosis. O wszystkim, co się tam zdarzyło.

O miejscu, gdzie zaczęła się jego klęska.

Nie chciał, aby mu przypominano o Geonosis. Zwłaszcza teraz.

Nie mógł oderwać oczu od monitora. Na ekranie widniał obraz w czasie rzeczywistym z satelitów wykrywających na orbicie geosynchronicznej.

- Siedem-jeden.

Głos dowódcy klonów zatrzeszczał w głośniczkach hełmu.

-Tak?

- Włącz silniki w lądownikach. Wszystkich.

- Nigdy ich nie wyłączamy, proszę pana.

- To świetnie. - Zmarszczka na czole Mace'a pogłębiła się jeszcze. - Jeśli polecimy, muszą mieć w co celować. Uruchom procedurę startowaną w wszystkich statkach w porcie. Do tych, które mają działka, przydziel strzelców. Ilu z twoich ludzi to wykwalifikowani piloci?

- Wszyscy, proszę pana. Mace skinął głową.

- Weź najlepszych... albo nie - skrzywił się. Wiele statków w porcie miało broń na pokładzie, ale tylko lądowniki można było uznać za statki wojenne. - Lepiej ochotników.

- To będzie to samo, proszę pana.

- Słucham?

-Zawsze jesteśmy ochotnikami. Wszyscy. Tacy jesteśmy.

- No to weź najlepszych.

- Tak jest. - CRC-09/571 odwrócił się, żeby wydać polecenia przez komunikator w hełmie.

Nick przestał kląć tylko na chwilę, żeby zapytać:

- Odlatujemy?

- Nie ma czasu - mruknął Mace, wpatrując się w ekran.

Na ekranie widać było przestrzeń powietrzną nad Pelek Baw.

- Aż tak źle? - Nick rozłożył ręce. - To znaczy... wiem, że masz plan, prawda? Wymyśliłeś jakąś sztuczkę, żeby nas stąd wydostać?

- Koniec ze sztuczkami - odparł Mace. Niebo pełne było bezpilotowych myśliwców. Nadlatywały.

- Ile mamy czasu? Mace pokręcił głową.

- Siedem-jeden. Mamy tu wysokiego oficera milicji, prawda?

- Tak, proszę pana. Major Stempel.

- Przeprowadź go.

CRC-09/571 zaszalutował sztywno. Mace skwitował salut machnięciem ręki i dowódca klonów ruszył w kierunku grupki więźniów.

- Co on nam może pomóc?

Mace wskazał konsolę stojącą o kilka metrów dalej.

- Widzisz? To cudo jest połączone linią naziemną z bezpiecznym nadajnikiem pod bunkrem. To jedyne nadajnik na planecie, który może wysyłać polecenia do myśliwców. Dlatego właśnie ten bunkier jest taki ważny. Ktokolwiek je wezwał, musi tam teraz być.

- Kod sterowania - ze zrozumieniem pokiwał głową Nick. CRC-09/571 powrócił w towarzystwie dwóch żołnierzy, którzy prowadzili śmiertelnie bladego, drżącego mężczyznę w ciemnym od potu mundurze majora milicji.

- Majorze Stempel, jestem Mace Windu - zaczął Mace, ale dygoczący mężczyzna przerwał mu w pół słowa.

- Ja... ja wiem, czego chcecie. Ale nie umiem wam pomóc. Nie znam tego kodu! Przysięgam! Nigdy go nie znałem. Kody są w notatniku. .. takim dużym notatniku w pancernym pudełku. On nosi go przy sobie przez cały czas. Nie wiedziałem w ogóle, co on robi... kazał mi tylko podać sygnał przez konsolę sterowania...

Mace przymknął oczy i przyłożył dłoń do czoła. Zaczynała go boleć głowa.

- Oczywiście, powinienem był się tego spodziewać - mruknął pod nosem. - Ciągłe zapominam, że on jest sprytniejszy ode mnie.

- On? To znaczy kto? - zapytał Nick. - Kim jest ten „on”, o którym cały czas gadacie?

- Odbieram sygnał priorytetowy - zameldował żołnierz przy tablicy komunikacyjnej. Jego hełm spoczywał na konsoli, tuż pod ręką. Cybernetyczny zestaw słuchawkowy zwisał mu z czoła i po jednej stronie szczęki, ale mimo to, kiedy się obejrzał, Mace widział w nim tylko Janga Fetta.

- Mówi, że nazywa się pułkownik Geptun - odezwał się żołnierz o twarzy martwego człowieka. - Pyta o pana, generale. Wzywa pana do kapitulacji.

Ogromny, błękitny, lekko przezroczyisty Lorz Geptun uśmiechał się z ekranu jak syty jaszczur. Jego mundurowa koszula khaki była jak zwykle nieskazitelna i wykrochmalona, a włosy barwy aluminium starannie zaczesane do góry.

- Generale Windu - odezwał się ze zwykłym wesołym zaśpiewem. - Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, nie miałem pojęcia, że przyjmuję u siebie tak szacownego mistrza Jedi. Nie wspominając o sławie. Cóż za honor. Jak się panu udało wycieczka w góry?

Depa usiadła na posłaniu i oparła się o biurko. Oszołomionym wzrokiem wpatrywała się w ekran. Blask rzucany przez wizerunek Geptuna zanurzył jej oczy w cieniu.

Kar i jego strażnicy krążyli nadal. Klony stały nieruchomo.

- Widzę - odparł Mace Windu - że nie dostał pan mojej wiadomości.

- Wiadomości? Och, tej wiadomości! Ależ tak, tak... Mój problem z Jedi i te rzeczy. Bardzo to miło z pana strony. Co za nadzwyczajna troskliwość.

- A więc nie uwierzył mi pan.

- A powinienem był?

- Miał pan słowo mistrza Jedi.

- Ach, tak. Honor, obowiązek, sprawiedliwość. Przebój miesiąca. Jak mogłem nie uwierzyć w słowo mistrza Jedi? Doprawdy, gdzie ja miałem głowę? A przy okazji, jak miewa się Mistrzynie Billaba? Czy masowe mordowanie naszych obywateli nie nadszarpnęło jej zdrowia?

- Mówiłeś coś o kapitulacji - zimno przypomniał Mace Windu. Geptun zacisnął usta, jakby skosztował czegoś kwaśnego.

- Doprawdy, Mistrzu Windu, nie codziennie człowiek z moją pozycją osiąga tak niezwykle zwycięstwo. W każdym cywilizowanym społeczeństwie daliby mi chwilę, żebym się nim podelektował.

- Proszę bardzo, delektuj się ile chcesz. Oddzwoń, jak skończysz.

- Ach, cóż. Nie po to się, z wami skomunikowałem, żeby się chełpić. No, może tylko po to. Sytuacja wygląda tak: nad waszą pozycją znajduje się kilkaset myśliwców bezpilotowych. Cokolwiek poderwie się z portu, zostanie zestrzelone bez ostrzeżenia. I nie tylko tu, ale wszystko, co lata w dystrykcie stołecznym. Tymczasem... o właśnie, czy już skomplementowałem pański wyczyn w przełęczu Lorshan? Mistrzu Windu, to było genialne. Naprawdę dzieło sztuki. Musi być z pana dobry gracz w dejarika. - Blade oczy Geptuna zalśniły radośnie. - Wszyscy wiedzą, że sam też czasem troszkę sobie pogram. Jeśli nasza dyskusja zakończy się pozytywnie dla obu stron, może sobie utniemy partyjkę?

- A co innego robimy? - Nie patrząc w bok i nie zmieniając wyrazu twarzy, Mace wysłał impuls w Mocy przez połączenie, które ustanowił z Nickiem Rostu. Młody Korun wytrzeszczył oczy, a po chwili je zmrużył. Twarz mu znieruchomiała. Odwrócił się szybko, żeby powiedzieć coś do najbliższego żołnierza.

- W pewnym sensie, Mistrzu Windu. W pewnym sensie. Co to ja mówiłem? Aha, w przełęczu... mam piętnaście tysięcy zawodowych na ziemi. Chociaż wasza cwana sztuczka z ogłupianiem robotów kosztowała mnie prawie piętnaście kanonierek, trochę mi jeszcze zostało. Nawet całkiem sporo. Dwadzieścia z nich jest już w przełęczu Lorshan, a z waszych lądowników i pasa obrony została tylko krwawa miazga. Powiedzieli mi, że ocalali żołnierze wciąż strzegą wejścia do tunelu, ale oczywiście to nie potrwa długo. Wyobrażam sobie, że ich następnym ruchem będzie zaminowanie tunelu i zawalenie go, podobnie jak to zrobili z pozostałymi. Mnie to pasuje. Saperzy czyszczą już pozostałe tunele. Będziemy w środku za godzinę. I dokładnie tyle macie czasu, żeby uratować swoich ludzi.



- Godzinę.

- O, nie, pan mnie źle zrozumiał. Mam pecha, że moi podwładni są mało solidni... Może mi pan współczuć. Nie są tak zdyscyplinowani jak pańscy. W końcu to młodzi ludzie, młodzi i energiczni. Wejście do środka może im zająć godzinę, a może dziesięć minut. Kiedy wejdą do jaskiń, byłbym bardzo zaskoczony, gdyby jakkolwiek Korun uszedł z nich z życiem.

- Geptun...

- Pułkownik Geptun.

- .. tam jest ponad dwa tysiące cywilów. Starych i bardzo młodych. Pozwolisz, aby twoi ludzie pozabijali dzieci?

- Jest tylko jeden sposób, aby ich powstrzymać - ze smutkiem odparł Geptun. - Muszę wydać rozkaz zatrzymania się, zanim wejdą do jaskiń.

- A w tym celu my się musimy poddać. - Tak.

- Właściwie - powoli odpowiedział Mace - tutaj też są cywile.

- Oczywiście, że są. - Geptun uśmiechnął się szerzej. - A pan, Mistrzu Windu, odda życie, aby ich ocalić. Nie można tak blefować. Nie pan.

Mace spuścił głowę. Po chwili Geptun dodał:

- Proszę nie brać sobie tego tak bardzo do serca, generale. W dejariku mistrzostwo polega również na tym, aby rozpoznać, kiedy gra jest przegrana. - Geptun chrząknął lekko. - Jakby to powiedzieć... ma pan tylko jeden ruch: poddać się.

- Proszę dać nam trochę czasu. - W głosie Mace'a pojawiło się przygnębienie. - Musimy... musimy to omówić.

- Ach, czas. Oczywiście. Proszę się nie spieszyć. Przecież to nie ode mnie zależy, prawda? Moi saperzy są, jakby to powiedzieć... utalentowani. Mogą się przebić w każdej chwili. Byłaby to... eee... ironia losu, gdyby się okazało, że wasza kapitulacja przyszła zbyt późno, aby uratować te wszystkie niewinne istnienia.

- Właśnie - pokornym głosem odparł Mace. - Odezwę się na tej samej częstotliwości.

- Czekam z niecierpliwością. Co za przyjemność grać z panem, Mistrzu Windu. Geptun się wyłącza.

Obraz na ekranie ściennym pociemniał. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

Depa chwiejnie podniosła się na nogi.

- Mace... -jęknęła z bólem. Opuściła głowę i zacisnęła zęby, zmuszając się do funkcjonowania

wyłącznie siłą woli. - Mace... nie możemy pozwolić, aby milicja zabiła tych ludzi. To twój ród...

- Moim rodem - odparł Windu - są Jedi. Podniósł głowę i już nie wyglądał na pokonanego. -Nick!

Nick Rostu podniósł głowę znad konsoli, gdzie siedział skulony z dwójką żołnierzy. Oczy mu zabłyśły.

- Mam go. Ministerstwo Sprawiedliwości. Przyspiliłem go jego własnymi pieprzonymi satelitami.

Depa zrobiła zdumioną minę. Na twarzy Kara Vastora pojawił się drapieżny uśmiech. Mace skinął głową.

- Depo, czas walczyć. Masz dosyć sił?

Potarła twarz dłońmi; jej wzrok wyostrzył się na moment, ale znów oklapła. Podtrzymując głowę jedną ręką, drugą masowała skroń.

- Tak... tak sądzę, Mace... Ale to... to za wiele... Drzenie jej głosu ścisnęło mu serce.

- Dobrze. Zostań tutaj.

- Nie... nie, mogę... walczyć.

- Może i tak. Ale ja bym nie zniósł tego, wiedząc, że zaraz mi zemdlejesz. Zostajesz. To rozkaz.

Odwrócił się.

- Nick, idziesz ze mną. Weź Chalk i spotkamy się przy kanonierce.

Nick skoczył do drzwi, zatrzymał się gwałtownie, okręcił i wykonał bardzo wiarygodny salut, ale cały efekt zrujnował głupim uśmiechem i wzruszeniem jednego ramienia.

- Wybacz, zapomniałem. - Mace odpowiedział na salut i Nick znikł w drzwiach bunkra.

- Mace... - Depa z trudem ruszyła ku niemu i wyciągnęła rękę, jakby chciała go dosięgnąć przez szerokość całego pomieszczenia. Kar Vastor ruszył tuż za nią, żeby ją złapać, gdyby upadła.

-Nie możesz... nie masz szans... Zestrzelacie, zanim wylecisz z pola lądowania.

- Nie zestrzelą mnie, bo nie lecę w górę. Ta kanonierka ma szansę zostać największym śmigaczem Haruun Kal. Nick zna ulice. Doprowadzi nas, gdzie trzeba.

Depa osunęła się na najbliższy fotel. Vastor podtrzymał ją i łagodnie posadził. Uśmiechnęła się smutno, ale z wdzięcznością, położyła dłoń na ręce Koruna i spojrzała na Mace'a.

- Idziesz odszukać pułkownika?

- Nie potrzebuję Geptuna, tylko jego notatnika.

- A co zrobisz... - Przymknęła oczy. Każde słowo wyduszała z siebie z wielkim wysiłkiem. - Co zrobisz z... Geptunem?

Mace przyjrzał się im uważnie. Depa Billaba i Kar Vastor.

Musi odejść. Musi ją zostawić. Niech zostanie. Z nim.

Może już nigdy jej nie zobaczy.

Nie potrafił się zmusić do pożegnania.

Mógł tylko odpowiedzieć na jej pytanie.

- Pułkownik Geptun to niebezpieczny człowiek - wyjaśnił. - Bardzo niebezpieczny. Pewnie będę musiał go zabić.

Zmarszczył brwi i przechylił głowę w koruńskim geście obojętności.

- A może go zatrudnię...

Zmierzch.

Baterie turbolaserów rzucały wielkie jak domy cienie na ciemniejącą płytę z permabetonu. Milczący żołnierze-klony siedzieli za metalowymi tarczami dwu- i czterolufowych laserowych działek przeciwlotniczych. Jedynym dźwiękiem był cichy pisk serwomotorów; to komputerowo naprowadzane działka śledziły ruch myśliwców bezpilotowych, które wciąż były za wysoko, żeby było widać coś więcej niż kropki odbijające zachodzące słońce.

Czyjś stłumiony jęk bólu i frustracji zwrócił uwagę Mace'a, który podniósł głowę znad procedury przygotowania kanonierki do lotu. To Chalk walczyła z pasami fotela nawigatora. Ciasno zabandażowane rany nie pozwalały jej dosięgnąć dźwigni regulacji długości. Twarz miała tak bladą, że pęgi wyglądały jak ślady smaru, a krew przesiąkła przez bandaż na piersi.

- Czekaj, ja to zrobię. - Mace wyregulował długość pasa i zapiął klamrę. Zmarszczył czoło na widok plamy krwi na bandażu. - Kiedy to się stało?

Chalk wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku.

- W czasie skoku, może. Na przełęczu.

- Powinnaś była mi powiedzieć. Odsunęła go i zajęła się sprawdzaniem broni.

- Nic mi nie jest. Ja mocna dziewczucha.

- Wiem, Chalk, ale twoje rany...

- Nie mam czasu, żeby boleć, ja. - Skinęła głową, wyglądając przez owalny, wycięty mieczem laserowym otwór w owiewce. Wysoko nad miastem zachodzące słońce rozpałało iskry w skomplikowanym układzie tanecznym myśliwców. - Niebezpieczeństwo dla ludzi. Boleć będę później, ja.

Żarliwe przekonanie w jej głosie sprawiło, że Mace zamyślił się na chwilę, licząc własne kontuzje. Wstrząs mózgu, po którym ciągle bolała go głowa. Pęknięte żebra. Naciągnięta kostka, od której kulał, zainfekowane oparzenie od lasera na udzie. Zabandażowane sprayem ukąszenie Vastora. Nie wspominał już o drobnych skaleczeniach i siniakach. Miał ich tyle, że trudno było odróżnić jedno od drugich.

A jednak walczył i zamierzał walczyć dalej. Rany? Na razie wcale ich nie czuł.

Ktoś, kogo kochał, był w niebezpieczeństwie.

- Kiedy to wszystko się skończy - rzekł, kiwając głową ze zrozumieniem - razem pójdziemy do centrum medycznego. Ty i ja.

Obdarzyła go uśmiechem, w którym prawie nie było bólu. Nick wsunął głowę przez właz.

- Zdaje się, że jesteśmy... hej, popatrz na to. - Zmarszczył brwi, wyglądając przez owiewkę.

Przez cienie na polu lądowniczym biegł Kar Vastor. Jego tarcze rzucały oślepiające błyski, odbijając światło paneli żarowych, które zastępowały teraz światło słoneczne. Zamachał rękami, nie przystając. Chyba chciał, żeby Mace na niego zaczekał.

- Co z nim? Chce się znowu bić, czy jak? - Nick rozpromienił się nagle. - Wiesz co, można by go zastrzelić, tak przypadkiem... Tyle jest bezsensownych i tragicznych wypadków z bronią...

-Nick!

- Wiem, wiem.

Mace z kamienną twarzą obserwował nadchodzącego Vastora. Kilka chwil temu - tuż przed wyjściem z bunkra dowodzenia - odciągnął CRC-09/571 na bok.

- Odbierasz rozkazy wyłącznie ode mnie, rozumiesz? - zapowiedział dowódcy klonów. - Chcę, żebyś miał w tym względzie całkowitą jasność.

Hełm CRC-09/571 przechylił się pytająco.

- Mistrzynie Billaba...

- Została zwolniona z obowiązków. Kar Vastor też.

- A jego ludzie, proszę pana?

-Nie mają rangi wojskowej ani władzy.

- Czy pan generał życzy sobie ich rozbrojonych, czy skrupowanych?

Mace ponuro obrzucił wzrokiem zatłoczone centrum dowodzenia. W głowie miał wciąż jeszcze widok dwudziestu ciał w przedziale pasażerskim.

-Nie jestem pewien, czy dacie radę. Ale pilnujcie ich. Nie wolno im ufać. Mogą stać się agresywni bez ostrzeżenia. Mogą próbować skrzywdzić więźniów. A może nawet ciebie.

- Tak, proszę pana.

- Zabierz więźniów jak najdalej od nich. Nie wszystkich naraz. Wymyśl jakiś pretekst, z potem zacznij ich wyprowadzać możliwie jak najszybciej.

- A jeśli dojdzie do konfrontacji? - CRC-09/571 mówił teraz powoli, jakby komendant sam niechętnie rozważał taką możliwość. - Jeśli zaatakują?

- Broń siebie, swoich ludzi i więźniów - odparł Mace. - Użyj niezbędnych środków.

- Śmiertelnych środków, proszę pana?

Mace zapatrzył się we własne odbicie w przydymionym wizjerze dowódcy. Zanim odpowiedział, musiał przełknąć ślinę.

- Tak. - Odwrócił wzrok, bo stwierdził, że jego odbicie, w zestawieniu z tym, co miał do powiedzenia, wygląda zbyt ponuro. - Tak, masz upoważnienie do użycia zabójczych środków.

Na lądowisku Vastor nie zawracał sobie głowy szukaniem wejścia. Nie zatrzymując się, wspomaganym Mocą skokiem zanurkował i wylądował na dziobie turbostorma, tuż podabiną. Zabrzęczały wibrotarcze, które zawadzały mu podczas wchodzenia na maszynę. Wspiął się wyżej i ukucnął na pancerzu dziobowym, za owiewką.

Siedział tak przez chwilę z rękami wspartymi na zgiętych kolanach, poważnie obserwując Mace'a przez otwór.

*Mace, Jedi z Windu* - warknął bez przekonania. Prawie jakby się zastanawiał.

-Kar?

*Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ty i ja. Jeśli obaj przeżyjemy ten dzień, pewnie nadal nimi nie będziemy.*

Mace tylko skinął głową.

*Może się już nigdy nie spotkamy. Chcę ci coś powiedzieć: cieszę się, że tamtego popołudnia cię nie zabiłem. Nikt inny nie potrafiłby dokonać tego, co ty dzisiaj. Nikt inny nie doprowadziłby nas tak daleko.*

Te słowa także nie wymagały odpowiedzi. Mace milczał.

Vastor zacisnął wargi, jakby to, co chce wyznać, sprawiało mu ból. Kolejne warknięcie zabrzmiało jak niskie, gardłowe mruczenie kota.

*Chciałbym też, żebyś wiedział, że jestem dumny, będąc twoim doshalo. Jesteś dumą Windu.*

Mace zaczerpnął głęboko tchu.

- A ty - rzekł powoli, z chłodnym namysłem - ty nie jesteś. Teraz to Vastor przyglądał mu się w milczeniu.

-Nie jestem Mace, Jedi z Windu - ciągnął Mace. - Windu to moje nazwisko, a nie gosh. Ty i ja nie

jesteśmy doshallai. Windu już nie ma, a to, co zrobiłeś, hańbi ich pamięć. Mój ghosh - dodał Mace Windu - to Jedi.

Wrócił do procedur.

- Byłoby miło - rzekł nieobecny tonem - gdybyś oszczędł, zanim wrócę.

Kiedy Mace mówił, Vastor zwrócił twarz w kierunku baletu myśliwców. Wydawało się, że nie słyszy. Patrzył w górę, jakby wsłuchiwał się w głos gwiazd. W milczeniu i spokoju upłynęła jedna czy dwie sekundy, po czym Vastor poważnie skinął głową i spojrzał na Mace'a.

*Do naszego następnego spotkania, doshalo.* - Obrócił się na pięcie jak wystraszony gepard nadrzewny i zeskoczył z dziobu Turbostorma, by zaraz oddalić się biegiem po lśniącym permabetonie.

Mace przełączył w sekwencję startową ostatnie dziesięć przełączników. Turbostorm zakołysał się łagodnie na repulsorach i uniósł na metr nad podłogę.

- Jedziemy.

Zanim Turbostorm z rykiem wyleciał poza bramy portu kosmicznego w dzielnicy magazynowej Pelek Baw, osiągnął prędkość ponad dwustu kilometrów na godzinę.

Wycięty mieczem otwór w owiewce huczał jak kiepski róg w trzeciorzędny zespół muzyczny. Ogromne, czarne w mroku nocy bloki magazynów tłoczyły się przy drodze ponad kilometr od portu kosmicznego, ale ulice były puste. Mace zamierzał z tego korzystać, póki się da.

Nick trzymał się oparcia foteli Mace'a i Chalk, z powątpiewaniem mrużąc oczy.

- Wiecie co, mam pytanie. Czy jesteście pewni, że te myśliwce nie zapolują również na pojazdy naziemne?

- Jestem pewien.

- Ale... to znaczy, skąd wiesz?

- Pokażę ci. - Mace zawrócił Turbostormem, wchodząc w ciasny zakręt przy użyciu silników manewrowych, odbił się od magazynu na tyle mocno, aby wgiąć pancierz i wybić dziurę wielkości pełzaka w ścianie budynku. Opanował stery i wyprostował statek, po czym skinął głową w kierunku wylotu długiej, prostej ulicy.

Pół klika dalej z bocznej uliczki z brzękiem wyjeżdżał ogromny, opancerzony wóz bojowy.

- Teraz widzisz, skąd.

Wieżyczka wozu przekręciła się już o ćwierć obrotu, żeby wziąć na cel Turbostorma, a Mace mruknął tylko: „Chalk”. Ona jednak zdążyła go wyprzedzić - poczwórne wieżyczki po obu stronach

kanonierki plunęły ogniem i wypełniły ulicę smugami energii... Które uderzyły w pancerz wozu, nie pozostawiając nawet zadraśnięcia.

- Nie przebijesz tej blachy! - wrzasnął Nick, gdy Chalk znów spojrzała przytomnie i rozluźniła uchwyt na drążku.

- Ja nie strzelałam do pancerza - mruknęła i znów przycisnęła spusty, kiedy działko wozu zagrzmiało wystrzałem pocisku przeciwpancernego.

Tyle że pocisk spotkał się nos w nos z promieniem laserowym, zanim jeszcze zdążył wylecieć z lufy.

Eksplozja była czystą nagrodą.

Lufa działka, wywinięta na zewnątrz, pokryła się poczerniałymi, poskręcanyimi kawałami durastali; pojazd wyglądał teraz jak robot palący wybuchowe cygaro.

- Dobra - mruknął Nick. - Zaimponowałaś mi.

Strzelcy z wozu otworzyli ogień z ciężkiego karabinu samopowtarzalnego; jazda w Turbostormie zaczęła przypominać trzymanie głowy w blaszanym kubku na śmieci, na którym ktoś wygrywa szalony rytm. Uderzenia pocisków wyciskały pryzmatyczne wgłębienia w transpatalowej owiewce.

- Najwyższy czas zniknąć z ulicy - rzucił Mace.

- Nie możesz! - krzyknął Nick. - Zastrzelą nas!

- Z ulicy, a nie w górę. Otwórz ogień.

Chalk przytrzymała poczwórne spusty. Mace szarpnął stery, kładąc Turbostorma na boku i wysłał całą moc z obu wieżyczek w magazyn obok. W ścianie pojawiła się nagle wielka, czarna dziura obramowana strzępami durastali jak paszcza. Mace wbił kanonierkę przez otwór. Do budynku.

- Bomba!

- Wiesz, co robisz, ty?

- Strzelaj.

Kontenery z towarami śmigały w tył po obu stronach, rozbłyskając czerwienią z laserów, po czym w przeciwnej ścianie otworzyła się druga wybita przez działko paszcza. Wyskoczyli na równoległą ulicę...

.. .która również roiała się od milicji.

Była tam co najmniej kompania ciężkiej piechoty, kilka sztuk ruchomej artylerii i pewnie jeszcze coś więcej, ale Mace nie miał czasu identyfikować, ponieważ nie zwalniając, przemknął kanonierką do kolejnego magazynu po drugiej stronie, zanim którykolwiek ze zdumionych Balawai zdołał



przeładować broń.

Przebijając się w razie potrzeby przez budynki, śmigając przez otwarte przestrzenie, kiedy tylko mogli, klucząc i cofając się co chwila, aby znaleźć luki w zaciskającej się pętli ciężkozbrojnych oddziałów rozlewających się po dzielnicy magazynowej, przedarli się wreszcie do miasta pozostawiając za sobą zdumionych Balawai i układankę z płonących magazynów.

Czasami, kiedy coś źle się dzieje, jest to zdarzenie pojedyncze. To łatwa sprawa.

Czasem jednak kłopoty chodzą całymi gromadami.

Jak tylko wyrwali się z dzielnicy magazynowej, Mace sprowadził prędkość kanonierki do tempa spacerowego. Wieczne pasażer Pelek Baw były tłoczne jak zwykle, ale istoty różnych gatunków pospiesznie robiły miejsce wolno przejeżdżającej kanonierce.

Przynajmniej jeśli zdołali przestać się gapić na dość długo, by zdążyć się przesunąć.

-Nick, wiesz, gdzie jesteśmy?

Młody Korun wychylił się nad nim, żeby wyrzeć przez owiewkę. Po lewej stronie niebo było czerwone od blasku pożarów, które za sobą pozostawili.

- To się nazywa element zaskoczenia... -Nick.

Nick posępnie skinął głową.

- Nie kapujesz? Oni już wiedzą, że nadlatujemy. Ministerstwo Sprawiedliwości jest jak forteca. Nawet nie jak, to po prostu forteca. Nawet ty tam nie wejdiesz. Nie teraz. Teraz będą przygotowani na nasze przyjęcie.

- Zawsze byli przygotowani - stwierdził Mace. - Nie ma sprawy, wcale się tam nie wybieramy.

-Co?

- Geptun jest sprytny. Może zbyt sprytny, żeby mu to miało wyjść na dobre. Wie, że po niego przyjdziemy. Jest to nasz jedyny możliwy ruch. Dlatego tak łatwo wyśledziłeś sygnał: on chce, żebyśmy uderzyli w Ministerstwo Sprawiedliwości. Gdyby rzeczywiście tam siedział, znalazłby sposób, żeby zamaskować sygnał. Nie będzie tam nikogo oprócz mnóstwa żołnierzy. Albo jednej wielkiej bomby.

- No to po co się tu wpakowaliśmy? Gdzie on jest?

- W miejscu, wyposażonym elektroniką dość skomplikowaną żeby udawać sygnał z komunikatora - odparł Mace. - Może nie jestem takim dobrym graczem w dejarika jak nasz pułkownik, ale nie mam jeszcze problemów z pamięcią. Ostatnio spotkaliśmy się z okazji śmierci osoby, którą nazwał „drogą przyjaciółką”.

Nick zmrużył oczy.

- Tenk... - wyszeptał. - Myślisz, że będzie w pralni?

- Potrafisz nas tam zaprowadzić?

- Jasne. To proste. Musisz tylko jechać cały czas na północny wschód...

Przerwała im Chalk, kładąc dłoń na ramieniu Mace'a. Uśmiechnęła się do niego blado; przełykała ciężko ślinę, jakby próbowała powstrzymać mdłości.

- Może... może lepiej... - wykrztusiła. Z ust pociekła jej krew.

- Chalk!

Wbiła mu kurczowo palce w ramię. Drugą dłoń przyciskała do boku. Twarz miała szarą, oczy zamglone.

- Może przejmij nawigację, ty... - szepnęła i zemdląła.

Dłoń, która opadła, odsłoniła postrzępioną ranę pod piersią, na wysokości żeber. Dziewczyna zwiśla w przód w pasach bezpieczeństwa. W plecach miała ranę wylotową, w której mogłaby się zmieścić pięść Nicka. W oparciu fotela ziała jeszcze większa dziura, a ściana kabiny za nimi oblepiona była krwią, tkanką i strzępami czarnej syntetycznej skóry.

Nick objął dziewczynę; podtrzymał jej głowę i zaglądał w puste oczy, błagając:

- Chalk, Chalk, nie... nie ty, proszę, nie ty... daj spokój, Chalk, proszę...

Mace wyrzwał na zewnątrz - na linię śladów po pociskach z pierwszego pojazdu naziemnego, w jednym miejscu przerwana przez otwór wycięty mieczem. Musiała oberwać dobrych kilka minut temu. Bez słowa. Bez jednego dźwięku. Trzymała się... walczyła.

Ponieważ ludzie, których kochała, byli w niebezpieczeństwie.

- Centrum medyczne - głos Nicka brzmiał dziwnie ochryple - Centrum medyczne jest tylko o klik lub dwa stąd...

Mace nie czekał z decyzją nawet jednej pełnej sekundy. Generał czy nie, wciąż był Jedi.

- Prowadź.

- Dobrze. Dobrze. - Nick oderwał się od Chalk i wskazał na najbliższe skrzyżowanie. - Dobra, tam skręć w lewo, potem...

Ulica przed nimi eksplodowała jak łańcuch wulkanów. Były to małe ziemne eksplozje w punktach uderzeń szkarłatnych promieni spadających wprost z nieba, wycelowanych nie w ulicę, ale w

pędzący czarny kształt, który wywijał beczki nad budynkiem, aż wreszcie oberwał i spadł jak kula ognia, uderzając w blok mieszkalny najwyżej kilkadziesiąt metrów od Turbostorma.

Podmuch wybuchu porwał kanonierkę, okręcił i pchnął w głąb ulicy.

Ulicy pełnej nieuzbrojonych pojazdów naziemnych, pieszych, ryksz i ulicznych sprzedawców, staruszków z balkonikami i dzieci, które uwijały się radośnie wokół słupów oświetleniowych.

Teraz pozostał jedynie stos dymiącego gruzu i poskręcane metalu.

- Co u licha... - Nick zaprezentował imponującą wiązaną brzydkich słów. - Co to było...?

Mace wyprowadził Turbostorma z wirowania i wyłączył silniki. Statek ślizgiem pędził po ulicy, ciągnąc za sobą fontanny iskier. Pochylił się do przodu, kostki palców zaciśniętych na sterach były całkiem białe. Wyjrzał przez owiewkę.

- Niech Moc da mi siłę - szepnął. Były to słowa najbliższe przekleństwu, jakie kiedykolwiek wypowiedział.

Ten ciemny kształt był jednym ze skoczków Incom, z portu kosmicznego. Ogień z dział, który zalał ulicę i zestrzelił skoczka, pochodził z myśliwców.

Niebo pełne było statków.

Ponad miastem...

- Och, Depo -jęknął Mace.

W Pelek Baw mieszkało ponad czterysta tysięcy ludzi. Ściągnięcie ognia z myśliwców na miasto mogło spowodować gigantyczny pożar.

Spowodowało.

Skoczek nie był pierwszym zestrzelonym statkiem, który spadł na miasto. Było ich znacznie więcej, od maleńkich jachtów wyścigowych po ogromne frachtowce.

Mace czuł w Mocy miasto - holokaust ognia i ciemności.

Panika. Wściekłość. Rozpacz.

Przerażenie.

Nie pozostało nic innego.

W porcie kosmicznym panował jednak całkiem inny nastrój.

- Depo, coś ty zrobiła?

Panel komunikacyjny zapiszczał, aby oznajmić nadejście wiadomości. Mace machinalnie sięgnął przez Nicka i Chalk, żeby odebrać. Lasery skanujące w urządzeniu komunikacyjnym nakreśliły niebieską linią cień na ekranie - elektroniczne echo obrazu wyświetlonego w płonącej na zewnątrz nocy.

Obrazu ogromnego Koruna z ogoloną głową i uśmiechem jak rządęk kościanych igieł.

Warknął i Mace zaczął się zastanawiać, jak Vastor sobie wyobraża tę rozmowę jego zasilana Mocą telepatia nie zmoduluje sygnału komunikacyjnego - ale i ta mała tajemnica prawie natychmiast się rozwiązała.

Kiedy lor pelek zawarczał, razem z nim zawarczała czarna chmura, która spowiła miasto.

*Dziękujemy ci za ofiarowane nam miasto, doshalo.* - Jego uśmiech rozszerzył się jak płomień na plamie oleju. - *Postanowiliśmy, że trochę zmienimy wystrój.*

Mace otworzył usta, żeby zapytać o CRC-09/571 - i szybko je zamknął. Uprzedził go przecież, że ma nie przyjmować od nich żadnych rozkazów.

Zabili go. Z całą pewnością.

- Kar, gdzie jest Depa? - Mace starannie ukrył desperackie przerażenie. - Chcę z nią pomówić.

*Ona nie chce z tobą rozmawiać. Nie chce cię widzieć. Nigdy. Załatwiłem sprawę tak, żeby już nie musiała.*

- Kar, przestań! Musisz to powstrzymać!

*Powstrzymam.* - Vastor ściągnął wargi na ostre jak igły zęby i już nawet nie udawał, że się uśmiecha. - *Kiedy wszyscy zginą.*

- Nie rozumiesz, co robisz!

*Rozumiem. Ty też.*

Oczy Mace'a błyszcząły jak płonące wokół miasto.

Wreszcie zrozumiał. Wreszcie. Za późno.

Nie miał słów na określenie swoich uczuć. Może takie słowa w ogóle nie istniały.

*Przyszedłem się pożegnać, doshalo. Depa będzie cię czule wspominać. Jak i my wszyscy. Czeka cię śmierć bohatera, Masie z Windu.*

Mace wyszczerzył zęby.

- Jeszcze żyję.

Błękitna głowa Vastora przechyliła się w prawo.

*Która godzina?*

Mace zamarł.

W jego pamięci odezwał się metaliczny dźwięk.

Dźwięk, który mógł być odgłosem wyłączanych wibrotarcz uderzających o pancerz dziobowy Turbostorma Sienara.

Albo...

Nie!

-Nick! - nagły okrzyk Mace'a wstrząsnął młodym Koninem jak strzał z pałki paralizującej. - Trzymaj się!

- Czego mam się trzymać?

Dźwignie uruchamiające wyrzutnie siedzeń poderwały się w górę. Nick zaklął i objął Chalk ramionami na sekundę przedtem, zanim wyłączniki wcisnęły się same i drobne wybuchy zlikwidowały owiewkę. Fotel Chalk skoczył w kierunku dachów, wirując jak opętany; opadał w nocne niebo, kiedy bezpiecznik czasowy granatu protonowego, który Vastor zamocował przylgą magnetyczną do pancerza Turbostorma dokładnie w miejscu, gdzie spowoduje wystrzelenie rozdartych strzępów płyty pancerza do kokpitu...

.. .zdetonował granat.

Mace znalazł ich, podążając po więzi Mocy z Nickiem.

Podwójnie obciążony i pozbawiony równowagi fotel Chalk zaniósł ich nie dalej niż na czarny dach, płaski i lepki od smoły, uderzył w jego powierzchnię i wysypał swój ładunek. Płomienie z innych budynków oświetlały ściany i kreśliły czarny cień na tle gwiazd.

Milczący Nick klęczał z pochyloną głową obok Chalk. Jego dłoń delikatnie gładziła splątane i pozlepiane krwią włosy, odsuwając je z twarzy. Łzy chłopca spadały na jej twarz i ściekały po policzkach, jakby śmierć pozwoliła wreszcie zapłakać tej twardej dziewczynie.

Mace stał na krawędzi dachu i spoglądał na miasto.

Jego fotel zaniósł go o dwanaście ulic dalej. Przyszedł tu piechotą.

Ulice wyglądały jak senny koszmar.

Nikt nie celował, ogień z działek zalewał wszystko bez wyjątku. Zbłąkane pociski rozbijały pojazdy naziemne i stragany handlarzy ulicznych. Ludzie biegali i krzyczeli. Wielu miało broń. Jeszcze więcej

wynosiło w workach co cenniejsze rzeczy, uratowane - raczej zrabowane - z płonących budynków. Ciała leżały na ulicy i nikt nie zwracał na nie uwagi, chyba że zaklął, potykając się o zwłoki w ślepej panice.

Mace widział małą dziewczynkę, jak ściska zakrwawioną sukienkę zabitej matki, krzykiem próbując przywrócić ją do życia.

Widział Wookiego i Yuzzema splątanych w jeden kłęb, drących się wzajemnie szponami i zębami; krzyki wściekłości i przerażenia były stłumione, bo każdy z walczących miał pysk pełny sierści i ciała przeciwnika.

Widział mężczyznę leżącego niecałe dwa metry od niego, przeciętego na pół przez oderwaną wybuchem płytę pancerza, która spadła z nieba jak tasak wielkości stołu.

Z dachu stolica Haruun Kal wyglądała jak spowita w noc wulkaniczna równina: ogromne czarne pole, oznaczone kraterami pozwalającymi zajrzeć na dno piekieł. Pilotowane przez klony statki śmigły, obracały się i przetaczały, desperacko robiąc uniki przed myśliwcami, które nurkowały i wznosiły się na przemian, plując ogniem. W tym starciu nie było ważne, kto zwycięży, bo przegrało całe miasto.

Pelek Baw zawsze było dżunglą, ale tylko w sensie metaforycznym. Vastor sprowadził tu prawdziwą dżunglę.

Sam nią był.

I pożerał to miasto żywcem.

- Zawsze myślałem... - Głos Nicka był cichy, niemal bez wyrazu, powolny i lekko zdziwiony. - Wiesz, może kiedyś, kiedy opuszczę tę pieprzoną planetę... - Pokręcił głową bezradnie. - Zawsze tak jakoś myślałem, że ją ze sobą zabiorę...

-Nick...

- Nie, żeby o tym mówić... rozumiesz? Nie. Nie miałem nigdy dość jaj, żeby powiedzieć choć słowo. O tym, i jeszcze o... - Podniósł wzrok do odległych, zimnych gwiazd. - O nas... To tak... to tylko... wiesz, nigdy nie było czasu... I jakoś mi się zdawało, że ona może wie... Mam nadzieję, że wiedziała.

- Nick, przykro mi. Nie potrafię nawet wyrazić, jak żałuję.

- Tak... - Nick skinął głową powoli, w zadumie, jakby każdy taki ruch nakładał kolejną warstwę pancerza na jego smutek. Odetchnął głęboko przez zęby i zerwał się na nogi.

- Wielu ludziom dzisiaj będzie przykro. W dłoniach miał pas Chalk z kaburą.

Podszedł do krawędzi dachu, stanął obok Mace'a i spojrzał na płonące miasto.

- Teraz wszyscy są przeciwko nam - rzekł cicho. - Nie tylko milicja i roboty.

-Tak.

Zapiął sobie pas Chalk wokół bioder i przywiązał kaburę do lewego uda, symetrycznie do swojej.

- Wszyscy są przeciwko nam. Wszyscy. Kar i jego akkowie. Depa, nawet klony.

- Klony - nieobecny głosem odparł Mace - klony tylko słuchają rozkazów.

- Od naszych wrogów.

Teraz przyszła kolej na Mace'a, by spuścić głowę, by każdym jej skinieniem budować nowe warstwy pancerza przeciwko rozpaczy. -Tak.

- A po naszej stronie... tylko my. Ty i ja. I nikt więcej. - Gładko, szybko wyciągnął pistolet Chalk, sprawdzając wyważenie i uchwyt. Odbezpieczył, zabezpieczył. - Wiem, Kar uratował jej życie.

Okręcił pistolet wokół palca i cofnął, a sam obrót zgrabnie ulokował go w kaburze.

- Chwilowo.

- To zawsze jest chwilowe - mruknął Mace.

Objął spojrzeniem pandemonium na ulicy. Zza zakrętu wyjechał opancerzony pojazd milicji. Strzelec przy zamontowanym na dachu EWHB-10 wypuszczał krótkie serie w powietrze, aby oczyścić drogę. Kilku uzbrojonych szabrowników odpowiedziało ogniem.

- Masz jakiś pomysł, co teraz robić? - zapytał cicho Nick. Zanim Mace zdołał odpowiedzieć, Nick uśmiechnął się smutno i uniósł dłoń.

- Nie fatyguj się. Wiem, co powiesz.

- Nie sądzę.

Mace popatrzył na milicję na dole i zmarszczył brwi.

- Idziemy się poddać.

Zielona Górska Pralnia i Łaźnia mieściła się w imponującej budowli o patynowanej kopule, wzniesionej z oślepiająco białej cegły podkreślonej obsydianowymi fugami. Kiedy pojazd się zatrzymał, reklama była zgaszona, a ostrołukowe okna zasłonięte durastalowymi okiennicami.

O dwie przecznice dalej ulice blokowały płonące ruiny, tu panowała pustka i cisza.

Podoficer wyrżał niepewnie zza owiewki.

- Nie wiem, dlaczego pułkownik miałby tu być - rzekł z powątpiewaniem.

- Może chce się wykapać - burknął Nick z tyłu przedziału, gdzie siedział pośród czterech spoconych, zmęczonych zawodowych żołnierzy. - Wam, chłopcy, też by to raczej nie zaszkodziło, to znaczy... orany...

- On tu jest - zapewnił Mace z przedniego siedzenia, obok dowódcy. - Wsiadka.

- Chyba masz rację - przyznał niechętnie podoficer. - Dobra, wszyscy z wozu.

Oddział wysypał się na podjazd, a podoficer mruknął:

- Wciąż uważam, żeśmy powinni spróbować w ministerstwie. I powinienem was włożyć w kajdanki, ot co.

- Nie ma powodu jechać do ministerstwa - odparł Mace. - Kajdanki też niepotrzebne.

- A, pieprzyć te kajdanki. Idziemy. - Podoficer szarpnął zasłonięte żaluzjami drzwi. - Zamknięte.

Rozbłysła purpurowa energia, zaskwierczała durastal, rozżarzone do białości krawędzie ściemniały do czerwieni, potem do czerni.

- Ależ skąd - odparł Mace.

Podoficer lufą miotacza podważył drzwi. Od razu się otworzyły.

- Hej, chłopcy, co wy tu robicie?

Ogromny, ozdobny westybul pralni zamienił się w gniazdo ciężkiej artylerii. Cały pluton milicji leżał, siedział lub kuczał za zaimprovizowanymi barykadami z permabetonu. Zamontowane na trójnogach karabiny skierowane były na otwarte drzwi. Ludzie mieli zmęczone, blade twarze, oczy okrągłe i przerażone. Niektóre lufy drżały lekko.



- Ktoś mógłby zadać wam to samo pytanie - rozległ się dziwnie znajomy głos.

- No, złapałem Jedi, co go całe miasto szuka, nie? - odezwał się podoficer. - Chodź tu.

Mace wszedł w otwarte drzwi.

- To ty! - zdziwił się.

Był to wielki facet z pryszniców probi, ale teraz wcale nie wydawał się przerażony.

- Jak tam nos? - rzucił Mace.

Olbrzym z zaskakującą wprawą wyciągnął broń. Mace był szybszy.

Zanim miotacz tamtego wyskoczył z kabury, Mace już patrzył na niego zza syczącego strumienia purpurowej energii.

- Nie rób tego - ostrzegł.

- Wy się znacie, chłopcy? - zapytał Nick.

Wielki trzymał miotacz wycelowany w górną wargę Mace'a.

- Złapałeś go, co? - zapytał kwaśno.

- Eee... pewnie, panie poruczniku - podoficer zamrugał niepewnie. - No, dobra, poddali się, ale to przecie to samo, no nie? Znaczący, jest tutaj, no nie?

- Odsuń się od nich. Wszyscy się odsuńcie. Zaraz. Oddział rozproszył się po sali.

- Chcę się zobaczyć z pułkownikiem Geptunem - oznajmił Mace.

- A to dobre! - Wielki porucznik przymierzył się do celownika. - Bo on nie chce cię zobaczyć. Specjalnie mi to powiedział o tobie. Że możesz się tu przyplątać. Kazał cię zastrzelić bez ostrzeżenia.

- Zastrzelić Jedi? - zdziwił się Mace. - Z góry skazane na porażkę.

- No, coś o tym słyszałem.

- Poruczniku, masz rodzinę?

- Nie twój interes - skrzywił się oficer.

- A wyglądałeś może ostatnio na zewnątrz? Wielki zacisnął zęby. Nie odpowiedział; Nie musiał.

- Mogę to powstrzymać - oznajmił Mace. - Te statki, które ścigają wasze roboty, są pilotowane przez ludzi pod moimi rozkazami. Gdyby jednak coś mi się miało stać...

Szczęka wielkiego wysunęła się do przodu. Jego ludzie spojrzeli po sobie, marszcząc czoła. Niektórzy przygryzali wargi, inni przestępowali z nogi na nogę. Jeden odezwał się z powątpiewaniem:

- Hej, Lou... ja tam mam dwójkę dzieciaków... Gemmy chodzi z trzecim...

- Zamknij się.

- Masz prosty wybór - wyjaśnił Mace. - Możesz posłuchać rozkazów i otworzyć ogień, ale wtedy większość z was zginie. Wasze rodziny zostaną same. Bez was. I bez innej nadziei niż na szybką i bez-bolesną śmierć. Albo sprowadzicie mi tu pułkownika Geptuna. Ocalicie dzięki temu setki tysięcy istnień, w tym własne. Róbcie, co wam każe obowiązek. Albo to, co jest właściwe. Wasza sprawa.

- Wiesz, kiedy ostatni raz normalnie oddychałem? - warknął wielki porucznik, wskazując na swój nos. - Zgaduj. No już, zgaduj.

- Cóż, twój nos nie jest jedynym, jaki zламаłem na tej planecie -odparł Mace. - A ty zasługiwałeś na to bardziej niż oni.

Kostki dłoni tamtego na miotaczu zbiały podejrzanie. Mace opuścił miecz, ale go nie wyłączył.

- Może wezwiecie pułkownika i zapytacie? - zaproponował, ruchem głowy wskazując krwawy chaos na ulicach. - Może przypadkiem zmienił zdanie.

Porucznik najwyraźniej toczył ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu z odrazą pokręcił głową i opuścił broń.

- Aż tyle to mi nie płacą.

Wyszedł zza permabetonowej bariery i podszedł do domofonu przy ladzie recepcji. Nastąpiła krótka, cicha wymiana zdań. Kiedy dobiegła końca, wielki miał minę jeszcze bardziej zniesmaczoną niż dotąd. Włożył miotacz do kabury i skinął na ludzi.

- Dobra, spocznij wszyscy. Niech wejdą.

Ludzie natychmiast wypełnili rozkaz. Wielki podszedł do Mace'a.

- Będę potrzebował waszej broni.

- Nieprawda - odezwał się Nick zza ramienia Windu.

- Mały, nie chrzań bez sensu. - Porucznik wyciągnął rękę. - No, nie zaprowadzę was tam przecież z bronią.

Mace w milczeniu podał mu miecz świetlny. Nick zaczerwienił się i wyciągnął oba pistolety, zahaczając palcami o osłony spustu.

Porucznik wziął pistolety do jednej ręki, a miecz Mace'a do drugiej. Zważył go na otwartej dłoni i przyjrzał mu się w zadumie.

- Pułkownik mówi, że ty jesteś Mace Windu. -Tak?

Oficer spojrział mistrzowi wprost w oczy.

- To prawda? Rzeczywiście jesteś Mace Windu? Mace potwierdził.

- No to już się tak nie gniewam o nos. - Porucznik smutno pokręcił głową. - Chyba mam szczęście, że w ogóle żyję, co?

- Wydaje mi się - odparł Mace - że powinieneś pomyśleć o innej robocie.

Wejście do stacji Wywiadu Republiki prowadziło przez wodoodporny właz, ukryty pod szachownicą płytek na dnie parującego basenu do kąpieli mineralnych, zasilanych przez naturalne źródła znajdujące się pod łaźniami. Porucznik poprowadził Mace'a i Nicka do schodków, prowadzących z tarasu w dół, do płytszego końca. Pochód zamykali mocno spoceni żołnierze z karabinami ukośnie przewieszonymi przez piersi.

Nick skrzywił się lekko.

- Ale tu śmierdzi! Ludzie naprawdę chcą się w tym kąpać?

- Założę się, że mało kto - odparł wielki. - W przeciwnym razie, to nie byłoby dobre tajne wejście, prawda?

Ukryty zamek otwierał pulpit kodowy, umieszczony na poręczy schodków. Porucznik wziął pod pachę miecz Mace'a, żeby swobodnie wcisnąć kilka klawiszy, i generator pola wbudowany w schody i podłogę basenu ożył z cichym pomrukiem. Elektryczne trzaski oznajmiły otwarcie się kanału; ściany syczącej energii utrzymywały w ryzach parującą siarką wodę. W dalszej części kanał stawał się tunelem. Kolejny pulpit kodowy otwierał wodoszczelny właz. Ażurowe schody zaprowadziły ich do jasnego, suchego pokoju wypełnionego najnowszym sprzętem elektronicznym, służącym do śledzenia, łamania szyfrów i komunikacji.

Grupka ludzi w cywilnych ubraniach monitorowała różne urządzenia; wyglądało, że się na tym znają. W pomieszczeniu unosiło się ciche, ale wyraźne mruczenie, ekrany zaś pokazywały głównie śnieg.

Porucznik zaprowadził ich do małego, ponurego pomieszczenia ze ścianami z ekranów holograficznych i wielkim stołem z lammasu pośrodku. Jedyne światło w pokoju pochodziło z holoekranów. Pokazywały one obrazy z miasta w czasie rzeczywistym. Sufit migotał od przelatujących myśliwców bezpilotowych i ściganych przez nie statków. Płonące budynki rzucały na ściany migoczący poblask, który obrysowywał sylwetkę niskiego, pulchnego człowieka siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Mistrz Windu! Proszę wejść - odezwał się Geptun cienkim głosem i niepewnie zachichotał. - Cóż, chyba się przeliczyłem.

- Obaj się przeliczyliśmy - przyznał Mace.
- Nie podejrzewałem, że Jedi może być zdolny do takiego... barbarzyństwa.
- Ja też nie.
- Ludzie tam umierają, Windu! Cywile. Dzieci.
- Gdyby twoja troska o dzieci obejmowała również Korunów, nie byłoby nas tu teraz.
- Więc to tak? Czy to zemsta? - pułkownik chwiejnie podniósł się na nogi. - Czy Jedi powinni się mścić? Jak możesz to robić? Jak możesz?
- Nie ty jeden masz niezdyscyplinowanych podwładnych - odparł Mace.
- Ach, tak? - Geptun powoli usiadł na krześle i opuścił głowę na złożone dłonie. Wstrząsnął nim nerwowy śmiech. - Rozumiem. To nie ja cię nie doceniłem, tylko ty nie doceniłeś swoich ludzi. To wszystko twój błąd, a nie mój.
- Winy będzie dość, żeby się nią dzielić. Teraz najważniejsze, jak to powstrzymać.
- Potrafisz to zrobić?
- Ja nie - odparł Mace. - Ale ty, owszem.
- Myślisz, że nie próbowałem? Myślisz, że nie zapędziłem wszystkich po kolei na tej stacji do wyłączania myśliwców? Spójrz na to wszystko. - Głos Geptuna stał się piskliwy i histeryczny. Wskazał dłonią obrazy na suficie i ścianach. - To nasze czujniki naziemne. Zamontowane na stałe. A chcesz zobaczyć zdalne sterowanie?

Dźgnął palcem przycisk w stole. Wszystkie cztery ściany i sufit pokryły się mżącym białym śniegiem.

- Widzisz? Widzisz? Wszystkie nasze urządzenia do blokowania sygnału też są w porcie. Nawet gdybyś chciał rozkazać swoim pilotom, żeby się wycofali, nie dasz rady! Nie przebijemy się... wszystko wymknęło nam się z rąk. Jesteśmy bezradni. Bezradni.

W białym świetle padającym od ekranów Geptun wydawał się blady i rozczochrany. Oczy miał czerwone i podpuchnięte. Wargi miał spuchnięte, jakby je stale przygryzał. Czarne plamy potu wykwiwały na koszuli.

- Możesz spróbować jeszcze jednego - odezwał się Mace.

- Oświeć mnie.

- Poddaj się.

Geptun zaśmiał się gorzko.

- Jasne, oczywiście. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? - pokręcił głową. - Komu miałbym się poddać?

- Republice - rzekł Mace. - Czyli mnie - sprecyzował.

- Tobie? Jesteś moim więźniem i tracę przy tobie czas. - Drżącą ręką machnął na porucznika. - Zabierz go stąd.

Wielki mężczyzna wzruszył ramionami.

- Słyszał go pan... - zaczął i nagle wrzasnął z zaskoczenia i bólu, kiedy miecz świetlny, który trzymał w rękę, nagle się sam zapalił, ostrze wysunęło się w dół i wypaliło mu w udzie dymiącą dziurę.

Pistolety z brzękiem poleciały na podłogę, a miecz świetlny wskoczył Mace'owi do ręki.

- Widzisz, tak się go trzyma- poinformował mistrz Jedi, podtykając mu syczącą klingę pod sam nos.

Dwaj wojacy za jego plecami zakłęli, manipulując przy broni, ale Nick obejrzał się i podniósł obie ręce. Ich pistolety wskoczyły mu w dłonie z lekkim kłaśnięciem.

- Raczej tego nie róbcie - ostrzegł.

Strażnicy, mrugając nerwowo, próbowali skoncentrować się na jednej lufie, ale ostatecznie zrezygnowali. Błady i skrzywiony porucznik oparł się o holoekran, ściskając zranione udo.

- Oto moje warunki - odezwał się Mace bezbarwnym głosem. - Milicja planetarna natychmiast zaprzestanie wszelkich operacji na przełęczy Lorshan. Przekażecie mi kody sterowania myśliwców. Następnie Geptun, jako wyższej rangi oficer sił zbrojnych... i Konfederacji... podpisze formalną kapitulację, przekazując Haruun Kal i system Al'har we władanie Republiki.

- Pułkowniku... - stęknął porucznik zbolałym głosem. - Może powinieneś pan to przemyśleć, co nie? Pomyśl pan o tym. Znaczy, wszystkie chłopaki mają tu rodziny...

Geptun, blady jak trup, chwycił krawędź stołu.

- A jeśli odmówię?

- Nie uratuję miasta - wzruszył ramionami Mace.

- Dlaczego ci mam wierzyć, że to zrobisz? Że w ogóle potrafisz?

- Wiesz, kim jestem. \ Geptun zadrżał, ale nie ze strachu.

- To wymuszenie!

- Nie - odparł Mace. - To wojna.

Formalna kapitulacja została przygotowana i podpisana przy świadkach w tej samej stacji wywiadu.

- Wiesz, że to nie ma mocy prawnej - uprzedził Geptun, składając swój podpis i wzór siatkówki. - Podpisuję kapitulację w warunkach wymuszenia...

- Kapitulacja zawsze się odbywa w warunkach wymuszenia - sucho zauważył Mace. - Dlatego się ją nazywa kapitulacją.

Ustawił urządzenia komunikacyjne na automatyczne wykonanie serii transmisji, jak tylko pole blokujące opadnie na tyle, by można było wznowić nadawanie. Część z tych transmisji stanowiły zwykłe rozkazy przekazywane do kolejnych batalionów milicji, aby złożyli broń. Ważniejszy był raport do HoloNetu na Coruscant, z kopią traktatu kapitulacyjnego oraz pilnym żądaniem dostarczenia sił zadaniowych Republiki. Jeśli Republika zdoła tu dotrzeć przed Konfederacją wylądują bez przeszkód. Zanim skończy się blokowanie sygnałów, zdobędzie kontrolę nad myśliwcami, choćby nawet separatyści byli pierwsi. Mace miał szansę sprawić, że w systemie Al'har zrobi się dla nich nieprzyjemnie gorąco.

A jeśli spróbują lądować... cóż, port kosmiczny kontroluje również obronę planetarną.

Teraz musiał jedynie przejąć kontrolę portu.

Przez chaos Pelek Baw eskortował ich pojazd naziemny wypełniony po brzegi uzbrojonymi żołnierzami.

Geptun przeprowadził ich przez zasieki milicji, które rozciągały się szerokim łukiem między płonącymi magazynami. Mace wysiadł z pojazdu.

-Nick, prowadzisz.

Gestem odprawił żołnierzy. Geptun chciał odejść wraz z nimi.

- Pan nie, pułkowniku. Proszę wsiadać.

- Ja? - Droga do portu pozwoliła Geptunowi częściowo dojść do siebie. Wydawał się prawie normalny. - Nie mówisz poważnie! Co niby miałbym robić?

- Przekażesz kody dezaktywacji. Żeby na pewno nic się nie obsunęło.

- A dlaczego ja w ogóle muszę coś robić? Czym wy się będziecie zajmować?

Nick obojętnie wyjrzał przez owiewkę na bramy portu.

- Będziemy zabijać.

Geptun spojrzał na niego i zamrugał, jakby się spodziewał dostać w twarz.

- Wsiadaj - polecił Mace.

- Naprawdę... proszę... nie wiem, za kogo wy mnie uważacie...

- Uważam cię za bardzo inteligentnego człowieka- przerwał Mace. - Myślę, że masz w sobie więcej odwagi, niż przypuszczasz. Zależy ci na tym mieście i jego ludności. Twierdzę, że twój cynizm to poza.

- Naprawdę tak twierdzisz? To zdumiewające...

- Gdybyś był faktycznie tak skorumpowany i złośliwy, jakiego udajesz, już dawno wylądowałbyś w senacie - dodał Windu.

Geptun rozdziawił usta, po chwili je zamknął i parsknął serdecznym śmiechem. Kręcąc głową i wciąż chichocząc, przeszedł na drugą stronę pojazdu.

- Hej, młodzieńcze, posuń się. Ja prowadzę. -Pan?

- Może będziesz musiał postrzelać, nie sądzisz?

Nick spojrział na Mace'a, który wzruszył ramionami, i przesiadł się na miejsce pasażera. Geptun poprawił siedzenie pilota, żeby wygodnie kierować.

- Cóż - rzekł z teatralnym westchnieniem - chyba już nigdy nie będę bardziej gotowy.

Mace włączył miecz.

Podniósł ostrze i przez chwilę wpatrywał się w jego blask, jakby mógł z niego wyczytać przyszłość.

Nie było to całkiem niemożliwe.

Ta mordercza broń mogła być jego jedyną przyszłością.

Opuścił miecz do boku, ale go nie zgasił i ruszył w stronę bram portu.

-Za mną-polecił.

Geptun uruchomił system kierowania pojazdem i prowadził powoli opancerzony wóz za spokojnie idącym Mace'em.

Wieże turbolaserów wznosiły się po obu stronach portu. Od strony miasta dochodził świst powietrza rozcinanego przez walczące statki, dudnienie broni i przetaczające się grzmoty eksplodujących budynków. Za durastalowymi prętami bramy panowała jednak cisza i spokój.

Mace doszedł do bramy i popatrzył w kierunku centrum sterowania, na drugą stronę pustego lądowiska.

Reflektory zalewały milczącą, rozległą płaszczyznę surowym białym światłem.

Miecz błysnął raz. Durastał brzęknęła o permabeton.

Mace wszedł na teren portu.

Pojazd terenowy ruszył za nim.

Nie wiedział, czego się może spodziewać. Wydawało mu się, że jest gotów na wszystko. Prawie miał rację.

Jednej rzeczy tylko nie przewidział: trzasku głośnika hełmu z wjazdu do wieżyczki turbolasera po lewej stronie.

- Mistrz Windu! Panie generale, to pan? W wejściu kuliło się trzech żołnierzy.

- Tak! - zawołał Mace.

- Prosimy o pozwolenie podejścia, sir!

Skinął ręką, a oni podbiegli i stanęli na baczność w idealnie równym szeregu.

- Za pozwoleniem pana generała, sierżant wysłał nas, żeby sprawdzić, czy to naprawdę pan, sir!

- Zgadza się - odparł Mace. - To ja.

- Powiedzieli, że pana statek eksplodował.

- Naprawdę?

- Tak, sir. Powiedzieli, że pan nie żyje.

- Nie ma tak dobrze - mruknął Windu.

Mace gapił się na gładką durastalową płytę drzwi, słuchając raportu kapitana oddziału.

Drzwi miały metr grubości i zamykały się na zasuwę z neutronium. Gładka matowoszara powierzchnia. Z zewnątrz sterowane panelem kodowym. Od wewnątrz koło ręczne. Kiedy używano koła, panel przestawał działać.

Bunkier sterowania był bezpieczniejszy niż większość skarbców. Tylko szybkość ataku pozwoliła Mace'owi, Depie i strażnikom akków wtargnąć do środka: obrońcy po prostu nie zdążyli zamknąć drzwi.

Jasno oświetlony korytarz wydawał się nierealny. Pluton ciężkozbrojnych żołnierzy przykucnął na białych kafelkach wokół wejścia, mocując trójnogi i czyszcząc broń. Cztery kolejne plutony czekały w rezerwie, po dwa w każdym kierunku korytarza. Mace stał przed drzwiami. Geptun siedział na zasilaczu ciężkiego karabinu, kurczowo ściskając notatnik. Nick przycupnął na podłodze; plecami opierał się o ścianę obok drzwi, oczy miał zamknięte. Wyglądał, jakby spał.



Kapitan klonów miał oznaczenie CC-8/349. Powiedział Mace'owi, że regiment nie ma komunikacji z bunkrem od czasu otrzymania wiadomości o śmierci generała. Było to wkrótce po tym, jak Mistrzynie Billaba rozkazała im wykorzystać statki stojące w porcie do ściągnięcia myśliwców nad miasto. Reszta klonów miała pozostawać w gotowości na wypadek ataku piechoty milicji.

Od tamtej pory wszelka komunikacja z bunkrem się urwała. Nikt nie wchodził. Nikt nie wychodził.

Mace wiedział, jak wygląda teraz wnętrze bunkra. Aż za dobrze.

Ciemna moc rozlała się po mieście jak fala uderzeniowa bomby atomowej.

Za tymi drzwiami był teren zero.

- Człowiek się zastanawia - rzekł Nick, nie otwierając oczu - co oni tam mogą robić.

- Czeka ją- zasugerował Mace.

- Na co?

Spojrzał na trzymany w dłoni miecz. -Czy wrócę...

Nick przetrawił to w myśli. Otworzył oczy i dźwignął się na nogi. Rozprostował ramiona, zahaczył kciuki za pas z pistoletami.

- Chyba powinniśmy ich trochę rozczarować.

Mace zmarszczył brwi na widok pistoletów na naboje, które Nick miał w kaburach.

- Powinieneś sobie wypożyczyć miotacz.

- Dam sobie radę z tym, co mam.

-Miotacze są celniejsze. Mają lepszą siłę powstrzymującą-przypomniał Mace ponuro. - Więcej strzałów.

Nick wyciągnął prawy pistolet i obrócił go parę razy w ręku, jakby podziwiając go po raz pierwszy.

- Wiesz, naboje mają pewną zaletę: lecą tylko w jedną stronę -wyjaśnił leniwie. - Miotacze są fajne, ale nie mam ochoty połknąć własnego strzału. Naboje nie rykoszetują.

- Chyba że od wibrotarczy.

Nick wzruszył ramionami.

- Ale od miecza nie.

Mace spuścił głowę. Nie miał gotowej odpowiedzi. Ciężar, który narastał mu w piersi od tak dawna, teraz groził, że go zmiażdży.

- Kapitanie cztery-dziewięć - rzekł powoli. - Nikt stamtąd nie wychodzi, tylko my. Jasne?

- Generale, powinniśmy iść pierwsi... -Nie.

- Za pozwoleniem pana generała, po to tu jesteśmy. - Ludzie się zmieniają- zauważył Mace z przekonaniem. Włączył miecz i ujął go.

- Waszym zadaniem jest walka, nie bezużyteczne umieranie. Mistrz Yoda nie wy oburącz.

słałby żołnierzy przeciwko jednemu nieprzyjacielskiemu użytkownikowi Mocy z Geonosis. W tym bunkrze może ich być siedmioro.

- Ośmioro.

Mace obejrzał się na Nicka. Młody Korun wzruszył ramionami.

- Wiesz, że to prawda. Mistrz Jedi zacisnął zęby. Odwrócił się znowu do CC 8/349.

- Idę pierwszy. Twoi ludzie wejdą dopiero na mój rozkaz. Dwa plutony. Po wejściu zabijacie wszystko, co się rusza. Ale nie chodzi o to, żeby szukać i niszczyć. Macie tylko osłaniać pułkownika Geptuna. Wykorzystacie wszystkie dostępne sposoby, aby go ochronić i dopilnować, żeby wypełnili swoją misję. Taki jest cel całej operacji, rozumiano? Jeśli on zawiedzie, nic innego nie ma znaczenia.

- Tak. Zrozumiano, proszę pana.

- Reszta pozostaje tu i pilnuje wejścia. Jeśli będziecie musieli... i jeśli zdołacie.

- Hm... czy mogę się wtrącić? - odchrząknął delikatnie Geptun. -Czy ktoś już się zastanowił, jak wejdziemy?

- Tak jak robimy wszystko inne. Brutalnie.

- Słucham?

- Ładunki - wyjaśnił Mace. Zwrócił się do kapitana: - Granaty protonowe. Rozwalić drzwi.

- Generale! - CC-8/349 zeszywniał w pozycji na baczność. - Za pozwoleniem pana generała, komandor siedem-jeden wciąż tam jest. Wraz z dwudziestoma ludźmi. I jeszcze więźniowie, których też trzeba brać pod uwagę. Cywile... Jeśli użyjemy granatów protonowych, będą ofiary...

- W tym pomieszczeniu są tylko trupy - ponuro zapewnił Mace. - I ci, którzy ich zabili.

Skinął głową do Nicka.

- Kryj mnie od drzwi.

Młody Korun wyjął broń Chalk z lewej kabury. Oba pistolety trzymał nisko i luźno. Odpowiedział takim samym skinieniem.

- Pułkownik Geptun!

Pulchny mały Balawai dźwignął się na nogi. Wsadził pod jedną pachę opancerzony notatnik, ale wciąż trzymał go obiema rękami. Jedno z kolan podskakiwało mu i drżało, ale głos był beztroski i spokojny jak zawsze.

- Kiedy tylko będzie pan gotów, mistrzu Jedi.

- Nie mogę pana stąd chronić.

- Ślicznie.

- Nie będzie pan używał konsoli. Nadajnik jest w komorze pod bunkrem. Przygotuję wejście. Pozostaniecie tutaj, dopóki nie zawołam żołnierzy.

- Oczywiście. Wcale mi się... eee... tego, nie spieszy, jeśli wiecie, co mam na myśli. Nigdy nie chciałem być bohaterem.

- Niech Moc będzie z nami. Spojrzał na CC-8/349. - W porządku, kapitanie. Wysadzić drzwi.

Ze strzaskanych drzwi unosił się ciężki, tłusty dym. Cuchnęło krwią, mięsem i odchodami.

Odór śmierci.

Mace stał obok wejścia, czekając, aż dym się rozplynie.

W bunkrze dowodzenia ciemno było jak w jaskini. Jedyne oświetlenie stanowił biały promień, wylewający się z otworu, który kiedyś był drzwiami. Wnętrze powoli materializowało się z mgły i dymu.

Wszędzie leżały trupy.

W stosach pod ścianami. Przewieszane przez konsole monitorów. W czarnych kałużach, twarzą do ziemi.

Niektórzy mieli na sobie zbroje. Niektóry - milicyjne khaki. Inni w ogóle nie mieli mundurów.

Niektórym brakowało części ciała.

Ostrze Mace'a zasyczało w kontakcie z dymem, kiedy wchodził do środka.

Miecz świetlny był niezwykle porządną bronią. W pewnym sensie nawet humanitarną. Jego potężny ładunek energii natychmiast przypalał i kauteryzował każdą zadaną ranę. Rany rzadko krwawiły. Naprawdę czysta broń.

Wibrotarcza przeciwnie.

Podłoga w bunkrze była podejrzenie śliska.

Mace stawiał stopy bardzo ostrożnie. Za nim wszedł Nick i natychmiast przywarł plecami do ściany.

Cisza i śmierć. Całkiem inny świat niż to szaleństwo na zewnątrz. Tu zastali szaleństwo znacznie bardziej mroczne. Tak mroczne, że równie dobrze mógł być ślepy.

- Depa - rzekł cicho Mace. - Kar. Wyjdźcie. Wiem, że mnie widzicie.

Odpowiedział mu cichy, miękki pomruk drapieży, który wydawał się dochodzić ze wszystkich stron jednocześnie.

*Nie musimy być wrogami.*

Mace podniósł miecz. Poruszał się ostrożnie wśród zrujnowanego rzędu monitorów, położonego

najbliżej drzwi.

*Czy nie jesteśmy po tej samej stronie? Wydarliśmy dla was tę planetę, prawda?*

Mace sięgnął w Moc, czując pod stopami pustkę, która zawierała nadajnik. Coraz staranniej stawiał stopy, szukając solidnego podparcia, zanim zrobił następny krok.

*Czy naprawdę musisz z nami walczyć? Jesteśmy krewnymi.*

- Nigdy nie byłeś moim krewnym - warknął Mace. - Taki człowiek jak ty na zawsze pozostanie moim wrogiem, nieważne, po której stronie stoi. A ja zawsze będę z tobą walczył.

*Dlaczego nazywają cię mistrzem? Jesteś mistrzem daremności. Nie zdołasz zwyciężyć.*

- Nie muszę zwyciężać - powiedział Mace. - Muszę jedynie walczyć.

Niski warkot był jedynym ostrzeżeniem.

Pistolety Nicka plunęły ogniem. Ciemny kształt wyskoczył jakby znikąd. W pomieszczeniu zatańczyły iskry, gdy Mace okręcił się instynktownie i ciał w ten kształt, który zanurkował i jednym skokiem zniknął za konsolą. Nawet nie zdążył się przekonać, co to takiego.

Nie widział, jak i skąd nadleciało.

Wokół niego wirowała czarna energia.

Wyłączył ostrze i z łomoczącym sercem przycupnął pomiędzy dwiema konsolami.

- Nick! - zawołał. - Dostałeś go?

- Raczej nie - głos Nicka był dziwnie piskliwy i zdławiony. - Chyba przyjął wszystko na tarcze. A ty?

Mace pociągnął nosem. Spalone ciało.

- Raczej tak. Przynajmniej troszeczkę.

- Widziałeś, skąd wyskoczył?

- Nie, ale... - Mace z sykiem wciągnął powietrze przez zęby. - Oni chyba się ukrywają wśród trupów. Pilnuj się.

- Musisz mi zaufać.

Niski, gulgoczący pomruk nabrał drwiących tonów.

*Wasza Moc nic wam tutaj nie pomoże. Tu jest tylko pelekotan. A my jesteśmy tylko jego snem.*

Mace w milczeniu czołgał się wzdłuż konsoli.

*Nie poczułeś, jak na ciebie szedłem. Nie czujesz tego.*

- To nie byłeś ty - odpowiedział Mace przyciszonym głosem.

*Ależ tak. Jedna siódma mnie. O, przepraszam. Jedna ósma.*

Mace czuł teraz wyraźnie komorę z nadajnikiem. Dwa metry od drugiego końca konsoli. Jej sufit zaczynał się półtora metra pod podłogą.

*Straciłeś ją. Straciłeś ją dla pelekotanu. Straciłeś ją dla snu pelekotanu: świata wolnego od Balawai.*

- Wszyscy tu jesteśmy Balawai - mruknął Mace.

Włączył ostrze tylko na chwilę, żeby wbić je w studzienkę kablową konsoli, pod którą przycupnął i wyciąć w niej otwór dość duży, aby móc wejść do środka. Wyjął odcięty kawałek i położył z boku.

Po drugiej stronie pomieszczenia leżał stos martwych klonów. Czterech. Musiał do nich podpełznąć.

Ktoś pozdejmował im hełmy. Mieli otwarte oczy.

Patrzyła na niego poczwórna, nieżywa twarz Janga Fetta.

Martwe oczy zwrócone na niego widziały jedynie poczucie winy.

Szedł dalej.

Miejsce, którego szukał, było tuż przed nim. Mace oderwał wreszcie uwagę od martwych klonów i zamarł.

Ktoś już tam wycinał podłogę. Czarne kawały spalonego pancerza leżały rozrzucone wokół wielkiej dziury, w której mógł się zmieścić człowiek. Obok leżała smukła postać w poszarpanych brunatnych szatach.

W dłoni wciąż jeszcze trzymała miecz świetlny.

Przez jedną upojną chwilę serce mu zaśpiewało: oto odgadła jego zamiar. Nie przeszła na stronę ciemności - to była gra, tylko gra! Wycinała otwór w podłodze, żeby mu pomóc...

Ale wrażenie trwało jedną krótką chwilę. Wiedział, że jest inaczej.

Oczywiście, że odgadła: wiedziała o nim wszystko, czego się można było dowiedzieć. Wiedziała, jaki będzie jego cel i z pewnością nie wycinała przejścia, żeby pomóc mu włączyć nadajnik.

Próbowała się tam dostać, żeby go zniszczyć.

Zdaje się, że wybuch granatu protonowego powstrzymał ją w samą porę. Nie widział, żeby

oddychała. W oślepiającym wirze Ciemnej Mocy wypełniającej bunkier nie czuł w niej śladów życia.

*Co tak ucichłeś, doshalo? Myślisz, że milczenie cię ocali? Myślisz, że jeśli ty mnie nie wyczuwasz, to ja nie jestem w stanie wyczuć ciebie?*

Zbyt wiele zmęczenia, zbyt wiele bólu. Nie zostało mu już miejsca w sercu na nic więcej.

Będzie ją opłakiwał później. Teraz, patrząc na nieruchome ciało, czuł jedynie niejasną, pełną melancholii ulgę. Nie musiał zabić jej własnymi rękami.

*Czy myślisz, że jest coś, czego o tobie nie wiem?*

- Myślę - odparł Mace - że gdybyś był tym wszystkim, za co się podajesz, już bym nie żył.

Zrobił salto w przód, spadł na ugięte nogi i zajrzał w otwór. Depa wykonała już za niego większą część pracy. Mógł się przebić jednym ciosem miecza.

*Twoja śmierć nie należy do mnie.*

- Nie? Więc do kogo?

Odpowiedzią na to pytanie był emiter laserowego miecza, wbity w brzuch Mace'a.

Miał tylko czas pomyśleć: „Nie umarła. Udawała”.

- Depa?

Z krzykiem włączyła ostrze. Krzyczała coraz głośniej, kiedy zielony ogień wyżerał tunel we wnętrzościach Mace'a, aż wyszedł plecami. Instynktownie chwycił ją za rękę, przyciskając i unieruchamiając ostrze w swoim ciele, żeby nie mogła go zabić, przecinając na pół. Włączył własny miecz...

Ale nie mógł zadać ciosu. Nawet teraz. Nawet tu, tak blisko, że mógłby ją pocałować. Nie teraz, kiedy jej krzyk przeszedł w histeryczne wycie, nie teraz, kiedy musiał patrzeć w jej wielkie, puste oczy, nie dostrzegając w nich nienawiści i gniewu. Tylko czyste cierpienie.

Będzie musiał to zrobić w brutalny sposób.

Uderzył mieczem, wycinając w wykopanym dole krzywą elipsę, która spadła w ciemność i brzęknęła o niewidzialną podłogę.

- Geptun! - ryknął. - Teraz!

Przebłyski walki:

.. .cienie uciekające z bunkra, podczas gdy roje świszczących, elektrycznie błękitnych strzałów z

lasera odbijają się od ścian i roznoszą zbiegów na strzępy...

...grupa żołnierzy falą wlewająca się przez drzwi, broń plująca energią barwy błyskawic, Geptun pośrodku, z głową ukrytą w ramionach, biegnie, tuląc notatnik w ramionach jak dziecko...

...warczący srebrny płomień tarczy przecina lufę miotacza, miotacz eksploduje, zabierając ze sobą rękę żołnierza...

Obrazy te płonęły w mózgu Mace'a, gdy walczył o życie z kobietą, która powinna była być jego córką.

Podniósł miecz z wyrwy w podłodze i ustawił nadgarstek tak, aby cofając rękę uderzyć ją w skroń głowicą. Palce Depy ześliznęły się z płytki aktywującej i ostrze jej miecza skurczyło się, opuszczając jego ciało. Zawylała i wbiła mu wolną rękę w oczodół, lecz Mace już zdołał wsunąć jedną stopę w powstałą lukę i jednym potężnym uderzeniem odepchnął ją od siebie.

W tej samej chwili oboje odskoczyli i wykonali salta w przeciwnie strony, lądując na nogach jak zwierciadlane odbicia. Ostrza przemknęły po identycznej krzywiznie, prawie zbyt szybko dla oka.

Wokół nich wyły strzały z miotaczy. Powietrze trzeszczało od rozprysków energii. Ostrza mieczy poruszały się rytmicznie i ani jeden promień nie dosięgnął ich ciała.

Nie spuszczała się z oczu.

Rozdzierało mu wnętrzności, kiedy wykonywał swój skok. Z dziury w brzuchu unosił się dym. Czuł jego odór, ale nie czuł bólu. Jeszcze nie. Ostrze zawarczało, przecinając powietrze.

Jej ostrze poruszało się szybciej. Nadchodziła.

Cięcia nie ustawały. Nigdy nie ustaną. Przechodziły z pozycji w pozycję z płynną precyzją.

Ten stały, prawie niewidoczny strumień śmiertelnej energii to postawa gotowości Vapaad.

- Depo - odezwał się zdesperowany. - Nie chcę z tobą walczyć, Depo. Proszę...

Rzuciła się na niego, bełkocząc niezrozumiale. Nie wiedział, czy w ogóle słyszała, co do niej mówi. Nie był pewien, czy jeszcze rozumie ludzki język.

Zaatakowała i cały jego świat stał się zielonym ogniem.

Dwudziestu trzech żołnierzy weszło do bunkra, tworząc klin wokół pułkownika Geptuna. Nick Rostu, z plecami przy ścianie, obserwował, jak umierają.

Strażnicy akków skoczyli na nich ze wszystkich stron naraz. Z każdym skokiem padał kolejny klon. Żołnierze-klony jednak nie przystawali ani na chwilę, nie wahali się; strzelając z biodra z karabinków laserowych, parli naprzód po ciałach zabitych kolegów.



Nie tylko oni ginęli.

Nick poczuł dotknięcie poprzez Moc, obrócił się z pistoletem i strzelił, nie myśląc, co robi. Strażnik w pół skoku zdołał odbić nabój, ale w momencie nieuwagi spadł na lufę DC-16 i z pleców wytrysnął mu niebieski płomień.

Nick znał tego strażnika, tak samo jak pozostałych. Nazywał się Prouk. Lubił hazard i kiedyś przegrał do Nicka sześćdziesiąt kredytów, a potem je wypłacił.

Kolejne muśnięcie Mocy i kolejny strzał pozbawił strażnika kolana. Upadł na umierającego klona, który jednak miał w sobie jeszcze dość życia, by przycisnąć spust karabinu i roznieść Konina na strzępy.

Był to strażnik, któremu Mace rozbił nos. Nazywał się Thaffal.

Nick czekał na następny strzał, kiedy tuż przed nim, nie wiadomo skąd, wyrósł przepełniony Mocą ciemny kształt. Zaszedł go znieczulenie i szepnął: „Hej!”

Ten strażnik nazywał się Iolu i kiedyś uratował Nickowi życie w czasie bitwy.

- Cześć, Nick - powiedział Iolu i skierował syczące ostrze tarczy ku szyi Rostu.

Miecz Depy był wszędzie.

Mace cofnął się, parując gorączkowo ciosy, przyjmując siłę jej ataków na zgięte ramiona i własne ostrze. Był wyższy od niej, miał większą wagę i zasięg, silniejsze mięśnie, a mimo to spychała go w tył, jakby był dzieckiem. Zielony płomień przebił zasłonę i tylko dzięki błyskawicznemu cofnięciu głowy zdołał sztych w mózg zmienić w palącą smugę zwęglonego ciała na policzku.

Ale nie kontratakował.

- Nie zabiję cię - rzekł. - Śmierć nie jest odpowiedzią na twój ból.

Zareagowała jeszcze dzikszym wrzaskiem i odpowiednio zaciętym atakiem. Znow przedarła się przez jego obronę i spaliła mu nadgarstek. Kolejny cios zostawił czarną smugę na spodniach tuż nad kolanem.

Moc ryczała wokół niej jak burza ciemności.

Mace zrozumiał, co się działo: w miarę jak ginęli kolejni strażnicy, ich część pelekotanu przechodziła przez więzi, którymi powiązał ich Vastor.

Stawała się coraz silniejsza.

Z każdym uderzeniem ostrza Depy czuł, że pogrąża się w cieniu. Musiał. Była zbyt silna, zbyt szybka, zbyt... doskonała. Mógł przeżyć tylko w jeden sposób - oddając się Vapaad. Oddając się w całości.

Pogrążając się we śnie pelekotanu. Zrozumiał, że osiągnął własny punkt przełomu. I rozpadał się.

Wibrotarcza świsnęła na wysokości jego gardła.

Nick ugiął kolana i wychylił się w tył jak napięty łuk. Pięść Iolu prześliznęła się po jego nosie, gdy poziomo ustawiona tarcza przelatowała nad twarzą młodzieńca, by ostatecznie uderzyć w ścianę tak gładko, że strażnik zderzył się z nią kostkami dłoni. Nieoczekiwany wstrząs spowodował, że rozluźnił uchwyt na aktywatorze tarczy i jej szum ucichł. Pozostała tak, wbita w ścianę.

Zanim Iolu zdążył ją wyciągnąć, Nick wcisnął lufę pistoletu pod jego łokieć i nacisnął spust.

Nabój nie odstrzelił mu ręki do końca.

Iolu zachwiał się oszołomiony.

Przez ten czas pistolet Chalk z drugiej dłoni Nicka znalazł się pod podbródkiem Iolu.

- Nigdy cię nie lubiłem - syknął młody Korun i nacisnął spust. Ciało upadło na niego. Strzaskane ramię wysliznęło się z pasków tarczy. Nick wygramolił się bokiem, szukając kolejnego celu, a martwy strażnik zsunął się po ścianie.

Geptuna nie było w zasięgu wzroku. Albo zginął, albo był na dole przy nadajniku. Tak czy tak, Nick nie miał nic lepszego do roboty, jak tylko walczyć.

Grupa klonów stojących plecy w plecy walczyła zacięcie z jednym ze strażników, który skakał i wirował, wykańczając ich z diabelską precyzją.

Nie, to nie był strażnik akków.

To był Kar Vastor.

Nick podniósł pistolet Chalk.

- To za nią, śmierdzieliu - syknął. - Ciebie też nigdy nie lubiłem. Ale pistolet nagle zrobił się dla niego za ciężki. Jego własny też chyba przybrał kilkanaście kilo.

- Co do...

Nogi miał jak z waty.

Spojrzał na ciało Iolu. Druga tarcza, która wciąż zwisała z martwego ramienia, ociekała krwią.

Nick jęknął i spojrzał w dół.

Na tunice miał wielkie, ukośne cięcie, na nogi spływała krew. Oparł się o ścianę.

- Cholera - szepnął. - O, cholera...

Był już zbyt zmęczony. Zbyt stary.

Zbyt poraniony.

Przez resztki więzi w Mocy, jaką miał z Nickiem, Mace czuł, jak młody Korun traci przytomność. Wtedy coś pękło mu w czaszce i spadły na niego wszystkie własne rany.

Każde skaleczenie, każdy siniąc, każda pęknięta kość i naciągnięty staw, ukąszenie na szyi i dziura w jelitach, wszystko to rozkwitło w milczący krzyk.

Miecz zrobił się nagle ciężki, ramiona powolne. Depa narysowała mu smugę spalenizny na piersi. Mace zachwiał się.

Tylko jego duch walki nie uległ zniszczeniu. Nie był nawet tak daleko. Wiedział, gdzie się podział. Mógł go nawet dotknąć.

Czekał na niego w ciemności.

Lorz Geptun dygotał. Przycupnięty w ciasnym pomieszczeniu, które prawie całe wypełniał nadajnik wielkości prysznic, próbował nie wsłuchiwać się w jednostajny szum ognia miotaczy na górze. Każdy karabin, który umilkł, oznaczał, że o jeden człowiek mniej strzeże jego życia.

Ręce drżały mu tak mocno, że z trudem trafiał na klawisze blokady kodowej, która zamykała pancerną obudowę notatnika. Kiedy wreszcie zdołał go otworzyć, musiał długo szukać w ciemności przyłącza. Ręce tak mu drżały, że wprowadzanie kabela przesyłu danych do gniazda było niczym nawlekanie igły nogami, lecz ostatecznie dał sobie radę.

Z okrzykiem triumfu wprowadził sekwencję odwołania myśliwców.

Nic się nie wydarzyło

W chwilę później notatnik oznajmił:

BLAD EDK, WYKONANIE NIEMOŻLIWE. BLAD EDK

EDK = ELEKTRONICZNE DZIAŁANIA KORYGUJĄCE

Blokada sygnału wciąż działała.

Mace czuł w Mocy rozpacz Geptuna. Była jak dar.

Inny człowiek pewnie by się uśmiechnął.

Spojrzał po raz ostatni na ciemność, która go wzywała...

Ciemność wewnętrzna odzwierciedla ciemność na zewnątrz...

Odwrócił się.

Wyłączył ostrze. Opuścił ramiona.

Depa runęła, by zadać śmiertelny cios.

Mace się cofnął.

Skoczyła w jego stronę, tnąc mieczem, a on znów ustąpił. Ponowiła atak, a Mace jeszcze raz umknął, depcząc po ciałach i po ruinach konsoli, aż wreszcie natrafił na jedną, która wciąż miała zasilanie. Światelka wskaźników migotały w mroku jak oczy robotów.

Klinga z zielonego ognia zatoczyła łuk, uniosła się i uderzyła.

Poczuł, że leci w dół.

Upadł na podłogę u jej stóp. Zamiast przebić mu czaszkę, ostrze Depy przecięło na pół konsolę. Kable w wypalonej szczelinie splunęły niebieskimi iskrami.

To ta konsola kontrolowała urządzenia zagłuszające sygnały portu kosmicznego.

Na dole, w pomieszczeniu nadajnika, Geptun szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w notatnik z miną pełną zdumienia i szacunku. Zrozumiał, że spotkała go wielka, niezasłużona i nieoczekiwana łaska.

Na ekranie widniał napis: ROZKAZ WYKONANY.

Pierwsze promienie słońca rozpałały ognie na śnieżnych czapach Ramienia Dziadka. Na niebie nad Pelek Baw myśliwce bezpilotowe zaprzestały ataków na pilotowane przez klony statki i odplynęły w głąb kosmosu.

W bunkrze dowodzenia wir ciemnej Mocy osiągnął szczyt aktywności, zawahał się i zaczął się cofać.

Mace leżał na podłodze. Nie liczył na to, że zdoła się podnieść.

Depa patrzyła na niego z góry; jej twarz, oświetlona zieloną klingą miecza, miała barwę dżungli. Przez szaleństwo jej oczu wydawał się przebijać pojedynczy promyk światła.

- Och, Mace... -jęknęła z bólu i zdumienia. Wyłączyła ostrze i bezradnie opuściła ramiona.

- Mace, tak mi przykro... tak przykro... Udało mu się podnieść rękę, by ku niej sięgnąć. -Depo...

- Mace, tak bardzo mi przykro - powtórzyła. Podniosła miecz i przycisnęła tarczę emitera do skroni. - Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać.

- Depo, nie!

Stwierdził, że jednak ma siłę stanąć na nogi, nawet rzucić się na nią, ale był zmęczony i ranny, i o wiele za powolny.

Przycisnęła płytkę aktywacyjną.

Za jego plecami rozległ się krótki, ostry dźwięk, jak klaśnięcie w dłonie. Metal zaiskrzył, a miecz wytracony z rąk Depy z ogromną siłą, leniwie, zatoczył łuk w powietrzu i wylądował w stercie gruzu.

Zamrugła jak zbudzona ze snu, jakby nie rozumiała, jakim cudem wciąż jeszcze żyje, po czym osunęła się na podłogę.

Mace obrócił się w kierunku, z którego dobiegł dźwięk.

Obok ciała martwego strażnika akków siedział Nick z jedną ręką przyciśniętą do piersi, by zamknąć straszliwą ranę; w drugiej trzymał dymiący pistolet i śmiał się radośnie.

-Mówiłem ci...

-Nick...

- Mówiłem, że umiem strzelać - szepnął. Z bezwładnych palców pistolet wypadł na ziemię. Ręka osunęła się w ślad za nim, a oczy przymknęły się powoli.

-Nick, ja...

Młody Korun już nie słyszał.

- Dziękuję - szepnął Mace miękko.

Zachwiał się. Musiał oprzeć dłoń o zniszczoną konsolę, żeby się nie przewrócić.

Bunkier znów stał się cichy, ciemny i pełen śmierci. Cichy, jeśli nie liczyć niskiego pomruku.

Pomruk wydawał ciemny kształt, który niczym grzyb cmentarny uniósł się spomiędzy zabitych.

*Cóż, doshalo. Znowu razem. Po raz ostatni.*

- Możliwe.

Kształt emanował siłą. Większą niż Mace czuł kiedykolwiek. Był taki zmęczony, taki obolały. Rana w brzuchu od miecza promieniowała bólem, który odbierał mu siły. Cień skinął na niego.

*Chodź tutaj i pamiętaj: zasady dżungli.*

- Mowy nie ma - zaproponował Mace. - Zasady Jedi.

*Jakie są zasady Jedi?*

- Nie musisz wiedzieć - odparł Mace. - Nie jesteś Jedi.

Wibrotarcze ożyły z wizgiem.

*Czekam na ciebie, Mace, Jedi z Windu.*

Mace wyciągnął dłoń i miecz świetlny sam znalazł do niej drogę.

Stał i czekał.

*Boisz się zaatakować?*

- Jedi się nie boją - odparł Mace. - I nie atakują. Jak długo będziesz stał spokojnie, tak długo ja także będę stał. Właśnie nauczyłeś się dwóch zasad Jedi. Nie wiem, czy ci się na coś przydadzą. Nieszczerólnie uważałeś, Kar. A teraz za późno zaczynać. Skończone.

*Nic nie jest skończone! Nic! Nic, dopóki obaj żyjemy!*

- Kolejna zasada Jedi. - Mace zrobił kilka kroków w bok, aby znaleźć sobie na podłodze miejsce, gdzie nie potknie się o ciało. - Jeśli walczysz z Jedi, to tak, jakby cię już nie było.

Ciemny kształt przybliżył się.

*Piękne słowa z ust człowieka, który już raz dostał manto.*

- Myśliwce udało się odwołać. Miasto się odbuduje. Poddało się Republice. Nie mamy powodu walczyć.

*Mężczyźni tacy jak my mają własne powody.*

Mace pokręcił głową.

- Koniec z wielkimi psami. Jeśli będę musiał, to cię skrzywdzę. Bardzo.

*Nie dam się nabrać na blef.*

- Twoja sprawa. I tak mogę cię zabić. Choć wolałbym nie.

*Kolejna zasada Jedi?*

Mace westchnął.

- Masz zamiar wykonać jakiś ruch? Jestem zanadto zmęczony na takie zabawy.

*Prześpisz się, jak będziesz martwy - warknął Vastor i skoczył.*

Błysnął ultrachrom. Mace mógł go zablokować mieczem, ale odsunął się na bok.

Nie miał zamiaru walczyć z tym człowiekiem. Ani tu i teraz, ani kiedy indziej. Ani nigdzie indziej.

Vastor był młodszy, szybszy, silniejszy i dysponował znacznie większą mocą, a przy tym używał broni, której miecz Jedi nie może uszkodzić. Mace nie mógłby zwyciężyć w takim pojedynku nawet w najlepszych czasach, a ten dzień zdecydowanie do najlepszych nie należał. Był zmęczony, ciężko ranny i zrozpaczony...

Ale jeśli nawet miecz świetlny nie jest w stanie uszkodzić tarcz, to wcale nie oznacza, że są niezniszczalne.

Vastor zebrał się do kolejnego skoku. Mace sięgnął w Moc. Wibrotarcza, która utkwiała w ścianie nad głową Nicka, ożyła, zawyła, wyrwała się na wolność i pomknęła jak pocisk prosto w plecy Vastora.

Niewiarygodny refleks Vastora obrócił nim momentalnie, szybki jak błyskawica odruch sprowadził obie tarcze do przodu odpowiednio wcześniej, żeby swobodnie zablokować...

Ale niczego nie zablokowały.

Jeśli Vastor chciał wyprodukować mrozący krew w żyłach zgrzyt tarczami, składał je zawsze powierzchnia do powierzchni.

Teraz wibrujące krawędzie lecącej tarczy przeorały obie tarcze Vastora, potem jego nadgarstki, zagłębiły się w pierś i zatrzymały centymetr od serca.

Vastor zamrugał ze zdumienia, patrząc na Mace'a tak, jakby mistrz Jedi go zdradził.

- Ostrzegałem cię - przypomniał Mace.

Vastor, nagle pobladły, ciężko pokręcił głową i upadł na kolana.

*Zabiłeś mnie.*

Brzmiało to tak, jakby sam siebie próbował przekonać.

- Nie - odparł Mace. - To kolejna z reguł Jedi. Zabójstwo nie jest odpowiednią karą za twoje zbrodnie. Wracasz na Coruscant. Będziesz odpowiadał przed trybunałem.

Vastor zachwiał się. Wzrok zasnuł mu się mgłą i zgasł.

- Karze Vastorze, jesteś aresztowany - oznajmił Mace Windu. Vastor padł na twarz. Mace chwycił go i obrócił twarzą do góry, po czym ułożył nieprzytomnego lor peleka na podłodze.

Ciężko dźwignął się na nogi, opierając się o konsolę.

W oczach mu pociemniało. Na chwilę stracił zdolność widzenia i nie był pewien, gdzie jest. Może to gabinet Palpatine'a. Albo pokój przesłuchań w Ministerstwie Sprawiedliwości. Stacja wywiadu albo trupiarnia na przełęczu Lorshan.

Może nawet Świątynia Jedi... ale w Świątyni Jedi nigdy tak nie śmierdziało...

Czy aby na pewno?

- Mistrzu Windu?

Przypomniał sobie ten głos i dzięki niemu wrócił do bunkra dowodzenia.

- Czy to koniec? - nieśmiało zapytał Geptun, wysuwając się z komory nadajnika. Wydawał się bardzo stary i nieco zagubiony. - Mogę już wyjść?

Mace spojrzał na Kara Vastora i na rosnącą wokół niego kałużę krwi. Przeniósł wzrok na rozrzucone ciała klonów i techników milicji, potem na skulonego pod ścianą Nicka Rostu.

- Mistrzu Windu? - głowa Geptuna powoli wychyłała z dziury. - Zwyciężyliśmy?

Mace objął spojrzeniem smutną, skurczoną postać Depy Billaby i pomyślał o swoich warunkach zwycięstwa.

- Zdaje się - wymamrotał - że tylko ja stoję na nogach. Była to jedyna odpowiedź, jakiej mógł udzielić.



## Z prywatnych dzienników Mace'a Windu

Wciąż śnię o Geonosis.

Ale teraz moje sny są inne.

Siły zadaniowe Republiki przybyły przejąć we władanie Haruun Kal i system Al'har w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od aresztowania Kara Vastora. Można przypuszczać, że zostały wysłane w odpowiedzi na wezwanie o pomoc dowódcy „Hallecka”.

Wylądowali bez problemów.

Republika nie będzie okupować Haruun Kal; korzystając z mojej władzy jako generała Wielkiej Armii Republiki, zmieniłem desygnację wyżyny Korunnai. Nie jest to już terytorium nieprzyjaciela, a Haruun Kal przestała być oficjalnie strefą wojny. Na moje zalecenie senat oznajmił, że walki na Haruun Kal były wyłącznie akcjami milicji.

To ja uznałem, że Letnią Wojnę należy potraktować jako problem z egzekwowaniem prawa.

Nie działałoby się tak, gdyby finansowe interesy związane z handlem korą thysseła nie pozwoliły na przekupienie pewnych senatorów i koordynatorów sądowych sektora.

Na razie prowadzimy rozbijanie poszukiwaczy dżungli i pozostałych band partyzanckich Korunnai. Idzie nam zaskakująco dobrze - szperacze boją się żołnierzy Republiki jak ognia, a bandy Korunnai są wymęczone i nękane chorobami. W miarę jak dochodzą do wniosku, że nie stanie im się krzywda, po prostu się poddają. Wszystkie oskarżenia o zbrodnie wojenne są starannie badane. Jeśli można zidentyfikować osoby odpowiedzialne, zostają one oddane pod sąd i ukarane.

Milicja planetarna pozostanie, choć w znacznie zredukowanej formie. Zawodowi żołnierze staną się wreszcie tym, czym być powinni.

Stróżami pokoju. Nie żołnierzami.

Wielu z nich na ochotnika zaciągnęło się do Armii Republiki.

Niespodziewanie zrobił to również pułkownik Geptun.

Nie został oskarżony o żadne przestępstwo. Niezliczone zbrodnie popełnione przeciwko Korunnai były dziełem poszukiwaczy, a nie milicji. Nawet groźba masakry w przełęczy Lorshan okazała się blefem. Geptun nigdy nie wydał takiego rozkazu. Wszelkie sformułowane na piśmie zasady

zaangażowania milicji wyraźnie zabraniają strzelania do cywilów.

Nie dość, że zarekomendowałem Geptuna do Armii Republiki, to jeszcze dałem mu przydział do wywiadu.

Będziemy go potrzebować.

Nick - a właściwie major Rostu - w dalszym ciągu dochodzi do zdrowia w centrum medycznym na Coruscant. Nie wiem, czy dotrzymam obietnicy i zaoferuję mu posadę instruktora niekonwencjonalnej sztuki wojennej, ale nie wątpię, że coś dla niego znajdę. Przedstawiłem senatowi rekomendację zatwierdzenia stopnia oficerskiego.

Otrzyma też Medal Zasługi za niezwykłą odwagę i szlachetność w walce oraz za działania znacznie wykraczające poza zakres jego obowiązków.

Chalk również otrzymała stopień oficerski. Pośmiertnie. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że jej prawdziwe nazwisko brzmi Lianę Trewal i pojawia się ono w zapisach senatu. Dałem jej stopień po to, aby i ona mogła dostać medal.

Nie mam innego sposobu, aby wyrazić mój głęboki szacunek dla niej.

Jej wielki akk, Galthra, znikła. Jeśli partner powiązany Mocą z akkiem zginie, zwyczajowo zabija się również zwierzę, ponieważ zdarza się, że akki, które straciły swoich ludzi, dziczeją i stają się groźne.

Galthra odeszła do dżungli. Mogę mieć tylko nadzieję, że tam pozostanie.

Pelek Baw zostanie odbudowane. W korze thyssela tkwi taki potencjał finansowy, że centrum handlu tą korą nie może zbyt długo pozostawać w ruinach. Co do ofiar zaś...

Zapisano to gdzie indziej. Liczba jest przerażająca.

Nikt na Haruun Kal nigdy nie zapomni tej nocy.

Kar Vastor również leczy się z ran. Udało się uratować mu rękę, ale pozostaje pod nadzorem w Świątyni Jedi, bo tu jego moc nie ma wpływu na strażników.

Nie będzie sądzony bezpośrednio za zabójstwo Terrela Nakaya; ten zarzut zostanie mu postawiony w przypadku odparcia głównego oskarżenia. Dla potrzeb procesu Kara Vastora odkurzyliśmy kategorię zbrodni, za które nikt nie był sądzony od czterech tysięcy lat, jakie dzielą nas od wojny Sithów.

Kar Vastor zostanie oskarżony o zbrodnie przeciwko cywilizacji.

A Depa...

Depie będzie postawiony ten sam zarzut.

Jeśli kiedykolwiek zostanie uznana za zdolną do wzięcia udziału w procesie.

Po zapoznaniu się z moim raportem z Haruun Kal, wielki kanclerz Palpatine - z tak charakterystycznym dla niego ciepłem i współczuciem - odwołał inne ważne zajęcia i przybył osobiście do świątyni, by zobaczyć się z Depą.

Towarzyszyliśmy mu we dwóch z Yodą; cała nasza trójka stała w półmroku pomieszczenia obserwacyjnego, przez holoobiektyw przyglądając się pracy trzech uzdrowicieli Jedi, którzy zajmowali się biedną Depą, wiszącą w zbiorniku bacty. Jej oczy były otwarte - po zanurzeniu w bactę człowiek nie ma potrzeby mrugać - i patrzyły nieruchomo przez transpastał zbiornika na coś widocznego jedynie dla niej.

Od czasu omdlenia Depa nie przemówiła ani nie poruszyła się. Najwięksi uzdrowiciele Jedi z naszej świątyni nie potrafią znaleźć przyczyny jej choroby. Bacta zaleczyła fizyczne rany, ale reszty nie może osiągnąć.

Kiedy uzdrowiciele dotykają jej poprzez Moc, odnajdują jedynie ciemność, bezkresną i bez wyrazu.

Jest pogrążona w nieskończonej nocy. Wielki kanclerz przez chwilę się jej przyglądał, po czym smutno pokręcił głową.

- Bez poprawy, jak sądzę?

Yoda spojrział na mnie poważnie, a ja daremnie próbowałem znaleźć odpowiednie słowa. Wreszcie westchnął i zlitował się nade mną.

- Skończyć życie swoje próbowała - rzekł. - Tragiczne bardzo to jest: pogrążyć się w rozpacz tak głęboko, że światła już widzieć nie może. Nie możemy tam podążyć za nią. Nadzieję mieć musimy. Odzyskać zdrowie może. Kiedyś.

Być może świadomie nigdy bym się do tego nie przyznał, ale prawda sama ciśnie się na usta.

- Chyba wolałbym stracić planetę, a uratować Depę...

- A czy wiemy, co spowodowało to załamanie? - Palpatine przycisnął dłoń do holoobiektywu, jakby chciał jej dosięgnąć i pogłodzić po włosach. - Przypominam sobie, że był to jeden z celów twojej misji na Haruun Kal, a jednak w raporcie nie ma na ten temat wzmianki.

- Tak, wiem o tym - przyznałem powoli. - I co?

- Trudno to wyjaśnić. Zwłaszcza komuś, kto nie jest Jedi.

- Czy to ma coś wspólnego z tą blizną na jej czole? W miejscu, gdzie był jej... jak to się nazywa?

- Wielki Znak Oświecenia.

- No właśnie. Wielki Znak Oświecenia. Rozumiem, że to dla ciebie bolesny temat, Mistrzu Windu,

ale proszę... Jedi są niezbędni dla przetrwania Republiki, a Mistrzynie Billaba nie jest jedyną, którą nam odebrała ciemność. Wszystko, czego się dowiemy na temat czynników, jakie mogą spowodować upadek, może się okazać pewnego dnia niezmiernie ważne.

Skinąłem głową.'

- Nie potrafię niestety udzielić dokładnej odpowiedzi.

- No to może inne blizny. Czy była torturowana?

- Nie wiem. Możliwe. Jest również możliwe, że tę ranę zadała sobie sama. Nigdy się tego nie dowiemy.

- Szkoda - mruknął Palpatine - że nie możemy zapytać jej samej.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim byłem w stanie odpowiedzieć.

- Mogę tylko snuć ogólne domysły na podstawie tego, co mi powiedziała, jak również moich własnych doświadczeń.

- Twoich własnych? - Brwi Palpatine'a powędrowały w górę. Nie mogłem spojrzeć mu w oczy. Kiedy opuściłem głowę, stwierdziłem, że Yoda też na mnie patrzy.-Jego mądra, pomarszczona twarz przepełniona była odwiecznym współczuciem.

- Upaść nie zdołałeś - rzekł łagodnie. - Z tego siłę czerpać możesz.

Skinąłem głową i stwierdziłem, że znów mogę patrzeć w twarz wielkiemu kanclerzowi.

- To przez wojnę - wyjaśniłem. - Nie tylko tę wojnę, ale w ogóle wojnę jako taką. Kiedy każdy wybór, jakiego dokonujesz, oznacza śmierć. Kiedy ratowanie niewinnych oznacza śmierć innych niewinnych istot. Nie jestem pewien, czy jakikolwiek Jedi byłby w stanie wytrzymać takie dylematy na dłuższą metę.

Palpatine wodził spojrzeniem od Yody do mnie, a twarz miał ułożoną w maskę współczucia i troski.

- Kto by pomyślał, że wojna może mieć na Jedi tak straszliwy wpływ. Nawet jeśli zwyciężamy - mruknął. - Kto by na coś takiego wpadł?

- Tak - musiałem się z tym zgodzić. - Istotnie, kto by pomyślał?

- Dziwić się trzeba - powoli odrzekł Yoda - że być może to największe ze wszystkich pytanie jest...

Nastąpiła długa, niezręczna cisza. Przerwał ją wreszcie Palpatine.

- Cóż, niestety sprawy filozofii muszą czekać na czasy pokoju. Teraz należy się skoncentrować na zwycięstwie.

- To właśnie zrobiła Depa - odparłem. - I proszę spojrzeć, czym to się dla niej skończyło.

- Zgoda, ale coś takiego z pewnością nigdy by się nie przydarzyło... na przykład tobie - ciepło odparł Palpatine. Na ustach miał zagadkowy uśmiezek. - Prawda?

Nie powiedziałem mu, że mogłoby się przydarzyć. Że omal tak się nie stało.

Ostatnio wciąż o tym myślę. Myślę o Depie. O wszystkim, co mi powiedziała.

I co mi zrobiła.

Myślę o dżungli.

Miała rację w tak wielu sprawach.

Miała rację na temat Jedi przyszłości. Aby wygrać wojnę z separatystami, musimy porzucić to, co czyni z nas Jedi. Tak, zwyciężyliśmy na Haruun Kal - ponieważ nasz wróg załamał się pod nieludzkim okrucieństwem Kara Vastora.

Jedi są strażnikami pokoju. Nie jesteśmy żołnierzami.

Jeśli staniemy się żołnierzami, nie będziemy już Jedi.

Ale nie rozpaczam.

Bo w pewnych sprawach nie miała racji.

Widzisz, zagubiła się, walcząc w cudzej sprawie. Walczyła z niewłaściwym wrogiem.

Separatyści nie są prawdziwym wrogiem Jedi. Oni są nieprzyjaciółmi Republiki. To Republika ostatecznie się lub zginie w Wojnie Klonów.

Nawet odrodzeni Sithowie nie są naszymi wrogami. Nie całkiem.

Naszym wrogiem jest siła, mylnie brana za sprawiedliwość.

Naszym wrogiem jest desperacja, która usprawiedliwia potworności.

Prawdziwym wrogiem Jedi jest dżungla.

Naszym wrogiem jest sama ciemność: dławiąca chmura strachu i rozpacz, i przerażenia, którą niesie ze sobą wojna. To właśnie jest trucizna galaktyki. Dlatego moje sny o Geonosis wyglądają teraz zupełnie inaczej.

W moich snach wszystko robię właściwie.

Chociaż robię dokładnie to samo, co uczyniłem wtedy na arenie.

Jeśli wierzyć przepowiedniom, jeśli Anakin Skywalker jest naprawdę Wybrańcem, który przywróci równowagę w Mocy, to okaże się on największą żyjącą istotą dzisiejszych czasów. A jest istotą żyjącą. Dlatego, że moje instynkty Jedi działają właściwie.

Mój błąd na Geonosis wcale nie był błędem.

Gdybym zrobił tak, jak mówiła mi Depa, gdybym wygrał Wojnę Klonów za pomocą bomby baradowej zrzuconej na Geonosis... przegrałbym prawdziwą wojnę. Wojnę Jedi.

Anakin Skywalker może być punktem przełomu naszej wojny przeciwko dżungli.

Jeśli jest... jeśli Anakin urodził się, aby tę wojnę wygrać... wtedy wszyscy Jedi w całej galaktyce mogą zginąć.

Jak długo żyje Anakin, mamy nadzieję. Choćby nie wiem jaka ciemność zapadła, choćby nasza sprawa wydawała się bezpowrotnie stracona.

On jest naszą nową nadzieją na przyszłość Jedi.

Niech Moc będzie z nami wszystkimi.

# Spis treści

## CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW

### ZDRÓW NA UMYŚLE I NIEBEZPIECZNY

#### I - LUDZIE W DŻUNGLI

ROZDZIAŁ 1 - SPIRALA ŚMIERCI

ROZDZIAŁ 2 - ZDRADY STANU

ROZDZIAŁ 3 - Z DŻUNGLI DO DŻUNGLI

ROZDZIAŁ 4 - LETNIA WOJNA

ROZDZIAŁ 5 - GORĄCZKA KRWI

ROZDZIAŁ 6 - CYWILE

ROZDZIAŁ 7 - GRY W MROKU

ROZDZIAŁ 8 - LOR PELEK

#### II - INSTYNKTY

ROZDZIAŁ 9 - WARUNKI ZWYCIĘSTWA

ROZDZIAŁ 10 - SŁOWO JEDI

ROZDZIAŁ 11 - ZAKŁADNIK

ROZDZIAŁ 12 - ZASADY DŻUNGLI

ROZDZIAŁ 13 - JEDI PRZYSZŁOŚCI

ROZDZIAŁ 14 - OSTATNIE WEJŚCIE

ROZDZIAŁ 15 - PUŁAPKA

#### III - PUNKT PRZEŁOMU

ROZDZIAŁ 16 - WSTRZĄS

ROZDZIAŁ 17 - POSZUKIWACZ

ROZDZIAŁ 18 - NIEKONWENCJONALNE DZIAŁANIA WOJENNE

ROZDZIAŁ 19 - STATEK ZA STATKIEM

ROZDZIAŁ 20 - DEJARIK

ROZDZIAŁ 21 - INFERNO

ROZDZIAŁ 22 - KAPITULACJA

ROZDZIAŁ 23 - BRUTALNE METODY

#### EPILOG - WOJNA JEDI